

01319
8

NIEPODLEGŁOŚĆ

CZASOPISMO POŚWIĘCONE DZIEJOM POLSKICH WALK
WYZWOLEŃCZYCH W DOBIE POPOWSTANIOWEJ
POD REDAKCJĄ LEONA WASILEWSKIEGO

TOM IV - ZESZYT 1(7)

WYDANIE II

WYDAWNICTWO INSTYTUTU
BADANIA NAJNOWSZEJ HISTORJI POLSKI
1933

123

TREŚĆ ZESZYTU 7-GO

<i>Dr. Adam Próchnik</i> — O dzieje odbudowy państwa polskiego.	1
<i>Władysław Pobóg-Malinowski</i> — „Gmina” i jej redaktor	20
<i>Dr. Edmund Brzeziński</i> — Wspomnienia mojego życia	44
<i>Stanisław Siedlecki</i> — Założenie „Promienia”	71
<i>Antoni Lange</i> — Wspomnienia więzienne	81
<i>Walentyna Nagórska</i> — Faustyna Morzycka	106
<i>Eugenjusz Anjnenkiel</i> — Napad na furgon pocztowy w Łodzi w dniu 17 maja 1907 roku	118
<i>Włodzimierz Gierowski</i> — Królewsko-Polska Komisja Wojsk.	127
<i>Wacław Lipiński</i> — Proces pułkownika Barty	151

DOKUMENTY

Do polityki antypolskiej Niemiec — <i>Antoni Karpiński</i>	172
--	-----

MISCELLANEA

Z pobytu w Tunce — *Stefan Juszczyński* — str. 179. Do biografji Józefa Mireckiego — Notatka autobiograficzna: str. 183. Józef Mirecki w więzieniu Piotrkowskiem — *Dr. Adam Próchnik*: str. 185.

SPRAWOZDANIA

Józef Piłsudski „Pisma, mowy, rozkazy”, tom III — *Władysław Malinowski*: str. 189. Michał Lityński „Z dni grozy i walki o wolność” — *Wanda Kiedrzyńska*: str. 191.

ILUSTRACJE

Do artykułu *W. Pobóg-Malinowskiego*: J. Tokarzewicz-Hodi. Do artykułu *S. Siedleckiego*: Grupa 15 przyjaciół „Promienia”; grupa 5 przyjaciół „Promienia”; K. Odrzywolski, W. Wolski, M. Kukiel-Krajewski, O. Dawid. Do artykułu *W. Nagórskiej*: F. Morzycka. Do artykułu *M. Ajnenkla*: Plan sytuacyjny. Do artykułu *W. Lipińskiego*: P. Barthel de Weydenthal (2). Do autobiografji *Mireckiego*: J. Mirecki. Do artykułu *S. Juszczyńskiego*: S. Juszczyński.

(Ciąg dalszy na str. 3-ej okładki).

NIEPODLEGŁOŚĆ
TOM IV

NIEPODLEGŁOŚĆ

CZASOPISMO POŚWIĘCONE DZIEJOM POLSKICH WALK
WYZWOLEŃCZYCH W DOBIE POPOWSTANIOWEJ
POD REDAKCJĄ LEONA WASILEWSKIEGO

TOM IV

KWIECIEŃ — WRZESIEŃ 1931

WYDANIE DRUGIE

WYDAWNICTWO INSTYTUTU
BADANIA NAJNOWSZEJ HISTORJI POLSKI
SEKRETARZ REDAKCJI: DR. WACŁAW LIPIŃSKI

1934

4254
37

X-78941
221944

T. 4 (1931)



29594.4

II
Dar

Instytutu Śląskiego
Katowice, w grudniu 1937



Zamieszczając materiały historyczne o charakterze osobistym, jak pamiętniki, wspomnienia, relacje i t. p., Redakcja NIEPODLEGŁOŚCI nie odpowiada za sposób przedstawiania faktów i ich oświetlenia przez autorów. Wszelkie uzupełnienia i sprostowania, ułatwiające wszechstronne wyjaśnienie sprawy i ustalenie obiektywnej prawdy historycznej, będą przyjęte z wdzięcznością.

T R E Ś Ć T O M U I V - G O .

Eugenjusz Ajnenkiel — Napad na furgon pocztowy w Łodzi w dniu 17 maja 1907 roku	118
Eugenjusz Ajnenkiel — „Z kurzem krwi bratniej”	286
Dr. Edmund Brzeziński — Wspomnienia mojego życia 44,	212
Bernard Chrzanowski — Dziesięć lat tajnych wycieczek młodzieży z zaboru pruskiego do Krakowa	241
Włodzimierz Gierowski — Królewsko - Polska Komisja Wojskowa 127,	334
Aleksander Heflich — Wspomnienia moje z roku 1907	315
Jan Klimek — Retkinia a odradzająca się Polska	303
Piotr Koczara — Pułtuskie w latach 1915 - 1918	324
Ludwik Krzywicki — Na marginesie starej fotografii	231
Antoni Lange — Wspomnienia więzienne	81
Wacław Lipiński — Proces pułkownika Barty	151
Walentyna Nagórska — Faustyna Morzycka	106
Władysław Pobóg - Malinowski — „Gmina” i jej redaktor 20,	193
Dr. Adam Próchnik — O dzieje odbudowy państwa polskiego	1
Aleksander Ringman — Z Zagłębia, więzienia i emigracji	248

DOKUMENTY.

Do polityki antypolskiej Niemiec — Antoni Karpiński	172
Propaganda polska w Anglii	358

MISCELLANEA.

St. Juszczyński — Z pobytu w Tunce	179
J. Mirecki — Notatka autobiograficzna	183
Dr. A. Próchnik — Józef Mirecki w więzieniu piotrkowskim	185
J. Strzempiel — Samoobrona	375
Dr. Marja Złotorzycka — W sprawie ucieczki Jarosława Dąbrowskiego i żony jego Pelagji	371

POLEMIKA.

List do redaktora „Niepodległości” — Michała Sokolnickiego 365

SPRAWOZDANIA.

E. Ajnenkiel: J. Jeremski „Bratobójcy” — 385. W. Kiedrzyńska: M. Lityński „Z dni grozy i walki o wolność” — 191. J. Krz.: L. Sledziński „Jak to było w latach 1905—1908” — 384. Dr. W. Lewandowski: Ks. M. Buławski — „Miasteczko nad frontem” — 381; J. Tomaszewski „Walki o Noteć” — 382. W. Pórog-Malinowski: J. Piłsudski „Pisma, mowy, rozkazy”, t. III — 189; Tadeusz Hołówko „Przez dwa fronty” — 379. L. Wasilewski: S. Surzycki „Z dziejów pamiętnego Zetu” — 385; J. Piłsudski „Pisma, mowy, rozkazy”, t. IV — 386; M. Bujalski „Związek im. Jana Kilińskiego” — 387; A. Basiński „Wspomnienia dziennikarza poznańskiego” — 387; „Z walk o szkołę polską” — 387.

ILUSTRACJE.

J. Tokarzewicz - Hodi; Grupa 15 przyjaciół „Promienia” — 32 — 33. Grupa 5 przyjaciół „Promienia”; K. Odrzywolski, W. Wolski, M. Kukiel - Krajewski, O. Dawid — 48 — 49. Faustyna Morzycka; Plan sytuacyjny miejsca zamachu — 96 — 97. P. Bartel de Weydenthal (2); J. Mirecki, St. Juszczyński — 112 — 113. 1 strona „Zmowy”; facsimile listu J. Tokarzewicza — 208 — 209. E. Brzeziński (2), K. Dłuski, St. Barabasz; Farys — 224 — 225. Waryński, W. Sieroszewski, J. Drozdowski, Lubicz - Jankowski; J. Stankiewicz, W. Rechniewska, T. Rechniewski (2) — 288 — 289. B. Siwik, M. Downarowicz, E. Ringman, P. Ringman; Pierwsi peowiacy z Retkini; Organizacja lokalna w Retkini — 304 — 305.

SKOROWIDZ NAZWISK I PSEUDONIMÓW IV-go TOMU „NIEPODLEGŁOŚCI“.

- | | | |
|--|--|--|
| Abramczyk A. 325. | Barthel de Weydenthal
151—171. | Bolesławita 37. |
| Adamowicz J. 325. | Bartkiewicz 286. | Borowiecki W. 187. |
| Ajnenkiel E. 118—126,
286—302, 385. | Bartoszewicz A. 30—32. | Bosak - Hauke 39, 40,
198. |
| Albiński 354. | Basiński A. 387. | Branicki 44. |
| Alchemik 78. | Berbecy 253. | Branicki W. 48. |
| Aleksander II 26, 27, 44,
48, 236. | Berbecki 137, 282. | „Brawura” 254, 262. |
| Aleksander III 181, 280. | Bereszko 354. | Brazon 214, 216, 217. |
| Aleksandrowicz 38. | Berg 371, 372. | Brokowska E. 251. |
| Aleksiejew 169. | Berger 262. | Brokowski 251. |
| Anselme 170. | Berthelot 170. | Brokowski S. 251, 253. |
| „Antek” 250. | Beseler 131, 136, 137,
141—146, 339—346,
348, 349. | Bromirski J. 158. |
| Arciszewski T. 185, 252,
261, 300, 301. | Bezak 50. | Brudziński 386. |
| Arosz 287. | Bezyngier 293. | Brzezińska A. 40, 44. |
| Askenazy S. 7, 370. | Bielscy 238. | Brzeziński E. 44 — 70,
212—230. |
| Aulard 6. | Bielski 259, 266. | Brzeziński J. 23—25, 30,
34, 200—203. |
| Awejde O. 372. | Bień A. 384. | Brzeziński J. 44. |
| Axelrod P. 213. | Biernacki 164. | Brzeziński M. 44, 106.
115, 117. |
| Babiacki 122. | Biernacki W. 253, 261. | Brzostowski 71. |
| Bagiński 153. | Biliński 7. | „Buchalter” 119. |
| Bakunin 203. | Birzyszko 261, 271, 272,
274. | Budniewski 254, 262. |
| Balicki A. 246. | Bismarck 225. | Bujalski M. 387. |
| Balicki Z. 386. | Bitis 30, 202. | Bujno A. 76, 77. |
| Bałanda 354. | „Bober” 119, 125. | Bulewski L. 39, 40. |
| Bałaszow 237. | Bobrowski S. 161, 262. | Buławski N. 381, 382. |
| Bańkowski J. 253. | Boğacki 354. | Bużaniec Z. 24. |
| Barabas 212. | „Bogdan” 261. | Bülów 334, 335. |
| Baranowski 139. | Bohuszewiczówna M. 180. | Caspari 254. |
| Baron 273. | Bojarska 337. | Celichowski Z. 243. |
| Barta 151—171. | Bojakowski S. 329, 333. | Chajkowska B. 253, 254. |
| Barth 339, 341. | Bokanowski 220. | |

- Chmielowski P. 20, 21. Deptuła S. 327, 330.
 Choinka S. 119. Dębiec K. 289.
 Choiński - Jeske 25. Dębicki Z. 78.
 Chomenko 51. Dębski A. 191, 232.
 Chrzanowski B. 241 — Diamand H. 79.
 247. Dickstein Sz. 222.
 Ciborowski A. 207. Dłuski B. 30.
 Cieński T. 192. Dłuski K. 70, 222, 226.
 Cieślak S. 119, 126. Dmowski 7, 287 — 289,
 Ciszewicz A. 206, 207. 369, 370.
 Cwietkowski J. 232, 233. Dołęga - Dołęgowski 354.
 Cybulski N. 386. Domanek R. 187.
 „Cygan” 119. Dowbór - Muśnicki 146,
 Czajewski 297. 163, 166, 167, 338,
 Czajkowski D. 265. 339, 344, 346, 349,
 Czajkowski M. 65. 352, 381.
 Czałyj M. 51. Downarowicz M. 274,
 Czap 308. 275.
 Czarkowski 252. Dragomanow M. 220,
 Czarnowska J. 237. 233.
 Czartoryski A. 29. Drozdowicz 279.
 Czartoryski W. 192. Drzewiecki 268.
 Czechowski A. 185, 187. Duchński 42, 206.
 Czeczot 265. Dulebowie 109.
 Czerkiewow 220. Dunin 317.
 Czerniewski 271. Dupont 200.
 Czerwiński W. 329. Durski 354.
 Czyszczan 217. Dworzecki W. 29.
 Dalecka W. 237, 238. Dzierżyński F. 273.
 Dalecki 238. Dziubińska J. 326.
 Danilczuk 248, 249. Dybowski 58.
 Daniłowski G. 109, 110. Dyrz 271—273.
 Daszkiewicz 354. Eck 248, 249.
 Daszyński I. 7, 79. Ehon 175.
 Dawid O. 72. Ehrlich 317.
 Dąbkowski M. 261, 274, Ejdys 327, 329, 330,
 275. 332.
 Dąbrowska P. 371—375. Engels 224, 257.
 Dąbrowski J. 220, 371 - Erdman 327.
 375. „Eryk” 253, 261, 279.
 Dąbrowski M. 261, 274, Estreicher K. 22, 23.
 275. „Eugenjusz” 253, 261,
 De Flenze 29. 269.
 Degajew 238. F. 324.
 Delekluze 200. Fedorowski M. 23, 28,
 Demby S. 20, 23. 32, 196, 198, 205.
 Denys L. 296. Feldman W. 21.
 Deptuła Ł. 325. „Felek” 261.
 Felsenhardt 180.
 Finkenhauz 206.
 Fits 320.
 Fleury 38.
 „Florek” 261.
 Fraget 44.
 „Franciszek” 119.
 „Franciszek” 253, 261.
 Franciszek Józef 61.
 „Franek” 254.
 Franko I. 60, 70.
 Frankowski 204.
 Freider 316.
 Fremel 125.
 Frenkel 316.
 Frontczak 296, 385.
 Fryderyk II. 368.
 Fursa 181.
 Gajek 254, 262.
 Gajzler 54.
 Galica A. 72.
 Gałęzowski 29, 198.
 Gardecki 111.
 Garibaldi 198.
 Gąsiorowski 353.
 Geradin 200.
 Giebartowski 309.
 Giedroyć 30.
 Gierowski W. 127 - 150,
 334 - 357.
 Giller A. 23, 197.
 Ginsberg 261.
 Ginter 125, 126.
 Glass 159.
 Głażewski A. 312.
 Głuchowski M. 327.
 G. M. 329.
 Gniazdowski D. 327.
 Godebski 206.
 Godziemba-Ryży K. 283.
 Golicyn 209.
 Gołaszewski J. 320.
 Gorenko 183, 185.
 Gottberg 178.
 Górecki 353.
 Górski 201.
 Górski L. 139, 140.

- Gorzycki 72.
 Grajcar A. 125, 126.
 Grajcar S. 119.
 „Grażyna” 253.
 Greffner 353.
 Grocholski 380.
 Grudzielski K. 383.
 Grün 93, 96.
 Grünspan A. 320.
 Grützhändlerówna 259.
 Grzebski F. 330.
 Grzymalita 78.
 Grzymała J. 78.
 Gumpłowicz L. 200, 202.
 Gumpłowicz W. 253.
 Gutkowski T. 176, 177.
 Guttry 201.
 Günther 172.
 Haller J. 138, 151, 160,
 161, 335, 379—381.
 Hankiewicz M. 78, 79.
 Hartleb T. 79.
 Heflich A. 315—323.
 Henszel K. 30, 32.
 „Henryk” 251.
 Herhold 261.
 Herzen A. 22, 26, 27,
 34, 35.
 Hieronimko 316.
 „Hilary” 261.
 Hildt K. 70.
 Hłasko A. 252.
 Hłasko J. 369, 370.
 Hołowko T. 158, 159,
 379—381.
 Horbaczewski 223.
 Hrycaj 65.
 Hubicki 164.
 Hudec M. 79.
 Hugenen 227.
 Hugo W. 207, 220.
 Ilnatowicz 236.
 Iłowajski 257.
 Iskander 35.
 „Iskra” 119.
 Iwanowski 352.
 Iwanowski J. 78.
 Iwanowski T. 78.
 Iwiński 251, 253, 258—
 260.
 Jabłonowski B. 30.
 Jabłoński 221.
 „Jaga” 259.
 Jagminowa E. 237.
 Jagminowie 237.
 Jagodziński B. 187.
 „Jan” 119, 120.
 Janiszewski 224, 225,
 227.
 „Janka” 261.
 Jankowska M. 70, 224,
 225, 227.
 Janota H. 254, 261, 262.
 Janota R. 261, 262.
 Janota W. 250, 254, 261.
 262.
 Janowicz W. 238.
 Januszajtis M. 149, 344,
 353.
 Jarmund 38.
 Jaroszewicz 52.
 Jasiński 23.
 Jaśkiewicze 253.
 Jaworski 155, 266.
 Jaworski W. L. 386.
 Jaźwiński 165.
 Jelski A. 210.
 Jeremski J. 290, 385.
 Jermułowicz 260, 261.
 Jeske-Choiński 25.
 Jerzmanowski E. 208.
 „Jerzy” 119.
 Jeź T. T. 196, 200, 202,
 205—209.
 „Job” 125.
 Jodko W. 76, 78, 79.
 Jonin 230.
 Jordan H. 242, 245, 246.
 „Jot” 158.
 Józefowiczowie 285.
 Józewski H. 158.
 Józwiak 296, 385.
 Juszczyński 178, 183.
 Kabat B. 125, 126.
 Kachnikiewicz S. 72.
 Kaje 271.
 Kakowski A. 137, 340,
 345.
 Kalichiewicz 249.
 Kalinka 29.
 Kamocki S. 271.
 Kania 262.
 Karnicki 164.
 „Karol” 119—121.
 Kapuścikówna 262.
 Kaszubski 275.
 Katarzyna II. 48.
 Katkow 37, 364, 371—
 375.
 Kapałko 264, 265.
 „Kiejstut” 253.
 Kiedrzyńska W. 192.
 Kielak J. 325.
 Kisielewski Z. 78, 79.
 Kisielnicki J. 243.
 Kittel Z. 382.
 Klemensiewicz Z. 253.
 Klempiński 261.
 Klimek I. 306.
 Klimek J. 303—14.
 Klott M. 331.
 Kluska 254.
 Kobylański M. 59, 60,
 215, 217, 219, 222.
 Kobak W. 79.
 Kociura 327.
 Koczara P. 324—333.
 Kohn F. 180.
 Kolacz S. 314.
 Komarnicki S. 119.
 Konopka J. 129.
 Konopnicka M. 79, 175.
 „Konrad” 261, 271.
 Konarzewski 296.
 Konstanty 323.
 Kopiś 273.
 Kornacki 289.
 „Kornel” 280.
 Kornilowicz 353.
 Korzon T. 6.
 Kosmowska I. W. 242.
 Kossa 69.
 Kossobudzki 197.
 „Kostek” 253, 261.
 Koszest 327.

- Koszyczyc 65, 68.
 Kościuszko T. 6, 241, 312, 362.
 Kot S. 79.
 Koturnicki 60.
 Kowal 261.
 Koziański 213.
 Kozieł-Poklewski 353.
 Kraemer 215.
 „Krak” 259.
 Kramarz 370.
 Krasnow 284.
 Krassowskij 369.
 Kraszewski J. 25, 32, 37, 207.
 Kronenberg 260.
 Kronikheim 316, 317.
 Król-Kaszubki 275.
 Kruszewan 375.
 Kruze 175, 176.
 Kryński J. 364.
 Kryżanowskij 249, 250.
 Krzczkowski 253.
 Krzesławski J. 371, 384, 385.
 Krzywicki L. 231—240.
 „Książę” 271.
 Kucharzewski 138, 139.
 Kuc W. 187.
 Kuczewscy 280.
 „Kudłaty” 250.
 Kukiel M. 79, 139, 140.
 „Kulawy” 119.
 Kułakowski B. 262.
 Kunicki 231, 238.
 Kunowscy 280.
 Kunowski 280.
 Kurakin 84, 86, 93, 271, 318.
 Kurzeniecki 353.
 Kuszlejko 30.
 „Kwadrat” 254, 262.
 Kwapiński 262.
 Kwiatek J. 279.
 Lamoni 225.
 Lange A. 81—105, 320.
 Lasocki 107.
 Lavisse 10.
 Lednicki A. 284.
 Lenin 138.
 „Leon” 252.
 Lerchenfeld 129.
 Lewak A. 20.
 Leski J. 149.
 Leszczyński S. 315.
 Lewandowski A. 187.
 Lewandowski W. 381, 382.
 Lewański Z. 187.
 Lewenstein S. 79.
 Lewental 205, 207.
 Lewicki 282.
 Lewicki 354.
 Lewicki F. 199.
 Lewicki S. 149.
 Lewinson 253.
 Lieberman H. 135.
 Likowski 177.
 Limanowski B. 21, 58, 68, 69, 219, 220, 253, 281.
 Lipiński W. 151—171, 381.
 Lis-Kula 164—166, 168.
 Lisowska 108.
 Lityński M. 191, 192.
 Lubicz-Brzeziński M. 44.
 Lubicz-Jankowski B. 212.
 Lubliński 49.
 Lubomirski Z. 137, 340, 341, 345, 386.
 „Lutek” 261.
 Łapiński 50.
 Ławiński F. 320.
 Łącki 180.
 Łobzowscy 254, 262.
 Łossowski 354.
 Łempicki 354.
 Łotocki 58.
 „Łukasz” 261.
 Mach 353.
 Machalski 215.
 Maćkowski 352.
 Mak 79.
 Malinowski 353.
 Malinowski M. 325, 326, 332.
 Malinowski - Pobóg W. 20 — 43, 189 — 191, 193—211, 379—381.
 „Małgorzata” 261.
 Mancewicz 180—182.
 Mańkowski M. 215.
 Marechal 228.
 Markowski K. 320.
 Markowski W. 251, 253, 259, 261.
 Marks K. 224, 257.
 Marszałek 352.
 Masłowski L. 31.
 Mathiez 6.
 Matuszewscy 111.
 Matuszewski I. 164 — 166.
 Medeksza J. 43, 194, 196.
 Meduski D. 282.
 Meduski E. 282.
 Melman Ch. 320.
 Meleń T. 78.
 Mendelson S. 70, 215, 217, 219, 222, 224, 225, 227.
 Menżyński 273.
 Mettler 382.
 Michaelis 152, 156, 381.
 Michalski 353.
 Michajłow 56.
 „Michał” 281.
 Michoń-Czerwiński 284.
 Mickaniewski 38.
 Mickiewicz W. 20, 21.
 Miedziński 158, 159, 161, 162.
 Mielczarek 318.
 Mierosławski L. 39.
 Mikiewicz E. 212—214.
 Miklaszewski B. 76.
 Mikołaj I. 26.
 Mikołaj Mikołajewicz 157, 276.
 Mikołajski S. 215.
 Milko 78.

- M(iller) H. 291.
 Miller K. 186, 188.
 Milutyn 37.
 Miładowski 371, 372.
 Miłkowski 317.
 Miłkowski Z. 23, 38, 197,
 198, 219, 224.
 Minkiewicz H. 145, 342,
 344, 346.
 Mirbach 261, 373.
 Mirecki F. 185, 186.
 Mirecki J. 183 — 188,
 273.
 Mirecki T. 185.
 Mirecki W. 185, 186.
 Miskiewicz R. 119.
 Mojsiejenko 319—321.
 Mokłowski K. 71, 78, 79.
 Momentowicz W. 261.
 Monic 253, 261, 279.
 Montwiłł 273.
 Moraczewski J. 71, 158,
 159, 380.
 Morawski 319.
 Morawski F. 254.
 Morzycka F. 106 — 117.
 Motylewski I. 119.
 Murasik 307.
 Murawjew - Wieszatiel
 283, 372.
 Muśnicki 164, 171, 335,
 346.
 Mycielski A. 201.
 Mystkowski T. 275.
 Nagórski W. 106—117.
 Nałkowski W. 18.
 Napierkowski F. 325,
 327.
 Narutowicz G. 238.
 Narutowicz S. 238.
 Nazimow 28.
 Nelken 253, 261.
 Nencki M. 222, 223, 226.
 Neugebauer 310.
 Niebiasta B. 195.
 Nieczajew 203, 204.
 Niedźwiecki 66.
 Niegolewski F. 243.
 Niemojewski A. 79.
 Niemojewski W. 129.
 Niskupski 353.
 Noczniczki T. 332.
 Nodrychowski 329.
 Nowiccy 107.
 Nowicki J. 78.
 Odincew 371.
 Odrzywolski K. 73.
 Odrzywolski S. 77, 78.
 Odyniec 353.
 Offenbergl J. 386.
 Ogarew M. 26, 27, 34.
 Okrzewscy 285.
 „Olek” 268.
 Olesiński 119, 126.
 Orkan 253.
 Orłowski A. 188.
 Ortwin O. 78.
 Orzeszkowa E. 79.
 Osiński 151, 153, 156,
 157, 159—161.
 Osiński J. 188.
 Ossowski J. 320.
 Ostachiewiczówna C.
 253.
 „Ostoja” 310.
 Ostoja-Zagórski W. 342.
 Ostrowski J. 137, 340,
 345.
 Ostroński K. 249.
 Ozierow 373.
 Padlewski 29.
 Papiński L. 262.
 Pasicz 229, 230.
 Pasio J. 320.
 Pasławski 353.
 Paszkowska M. 179, 253.
 Paszkowska W. 204.
 Paszkowski T. 179.
 Patek 60, 214, 218.
 Patek S. 262.
 „Paweł” 261.
 „Paweł” 251.
 Pawlik M. 60, 70.
 Pągowski 310.
 Pełka 310.
 Perl F. 21, 75—78, 124.
 Peters 273.
 Petrycki J. 288, 289.
 Pfabe 265.
 Pfeifer 248, 249.
 Piątkowski M. 79.
 Piątkowski S. 183, 188.
 Piekarski W. 222.
 Pieniążek 215.
 Pierczukin 88.
 Pietruszewskij D. 233.
 Piltz E. 210, 211.
 Piłsudski B. 280.
 Piłsudski J. 10, 15, 79,
 80, 127 — 133, 136,
 138, 139, 181, 182,
 189—191, 252, 280,
 304, 307, 308, 323,
 329, 331, 343, 379—
 381, 386, 387.
 „Piorun” 310.
 Piwowarowie 253.
 Plechanow J. 220, 240.
 Płoczek F. 307, 310, 312.
 Pluciński 64.
 „Pluskwa” 78.
 Pobóg - Malinowski W.
 20 — 42, 189 — 191,
 193—211, 379—381.
 Pogodin 361.
 Pomaski 329.
 Poniatowski J. 332.
 Popławska F. 107.
 Poros 307.
 Poruszyński 284.
 Próchnik A. 1 — 19, 79,
 185 — 188, 365—368.
 Przeclawska I. 115.
 Przybylski W. 30.
 Prystor A. 261.
 Puryszkiewicz 375.
 Pustowójtówna 28.
 Pużak K. 79.
 Pyat 200.
 Pypin 364.
 Pyszyński B. 50.

- Raczyński Z. 274, 275
 Radek S. 188, 249, 384.
 Radziwiłł F. 148, 149, 341, 344, 353.
 Radziwiłł J. 341.
 Radziszewski H. 240.
 „Rafał” 261.
 Razumiejczyk 179.
 Rechniewscy 231, 236.
 Rechniewski T. 231, 235-240.
 Reckiertówna M. 261.
 Renald 84, 92, 103.
 Rennenkampf 240.
 Res 21, 124.
 Ringman A. 248 — 285.
 Ringman E. 251, 254, 263, 268, 269, 281, 282.
 Ringman L. 250, 252, 254, 258, 259, 266, 267 — 269, 280, 281.
 Ringman P. 251, 254, 269, 282.
 Ringmanówna J. 251, 282.
 Rolicki 181, 182.
 Robinet 6.
 Rodziewicz 346.
 Rolnik 254.
 Romer 18.
 Rosenblatt 215.
 Rossel 201.
 Roszkowski S. 300.
 Rownia S. 38.
 Rożałowski W. 43, 194, 196.
 Rómmel 155, 157, 161.
 „Róża” 119.
 Ruciński 44.
 Rucz J. 243.
 Rudzcy 109, 110.
 Ruprecht K. 198.
 Rutkiewicz J. 253, 261.
 Rybicki J. 188.
 Rybińska 170.
 Rydz-Śmigły 168, 380.
 Rzewski A. 291, 300.
 Sadyk Pasza 65.
 Sakowicz 57, 59, 64.
 Samkowski 262, 265, 267, 272, 273.
 Sawinkowowie 233.
 Schätzel 158, 161.
 Senman T. 119.
 Sianożęcki Z. 79.
 Siedlecka J. 78, 79.
 Siedlecka W. 79.
 Siedlecki F. 79.
 Siedlecki L. 72—74, 78.
 Siedlecki S. 78.
 Siedlecki S. 71—80.
 Siejka 308.
 Sielski F. 60.
 Sienkiewicz 106, 206, 207, 209.
 Sieroszewski W. 79, 328, 329.
 „Siódema” 119.
 „Siwek” 119.
 Siwik B. 264, 265.
 Siwikowie 253.
 Siwiński 34, 37, 206.
 Skallon 93, 278.
 Skolimowski 293.
 Skoropadski 152, 153.
 Skoroszewski 327, 330, 332, 333.
 Skoryna 165.
 Skrzyński J. 320.
 Skwarecki 354.
 „Słaby” 267.
 Słomczyński 354.
 „Słowik” 310.
 Smidt 222, 223.
 Sochaczewscy F., L., T. 50.
 Sokolnicki M. 8, 10, 13, 15, 16, 18, 19, 253, 365—370.
 Sosnkowski K. 136, 171, 261.
 Sowiński 48.
 Spasowicz W. 209, 210, 364.
 „Stach” 121.
 Stachiewicz J. 135.
 Stanek M. 253.
 Staniewiczówna M. 238.
 „Stanisław” 119, 121, 252.
 Staniszewski 354.
 Stankiewicz 151, 159, 380.
 Stankiewicz J. 231—235.
 Starczewski 317.
 Stawicki 320.
 Stefan 311, 312.
 Stehling 59, 60, 70, 213, 214.
 Stępkowski 203, 204.
 Stiller 317.
 Stoch 352.
 Stolarski B. 332.
 Stołypin 122, 124, 369, 370.
 Strakacz 354.
 Straszewicz 231.
 Stroński 380.
 Stróżecka 254.
 Strumiłło 54.
 Strzemiński 180, 346.
 Strzempiel 375—378.
 Studnicki W. 288.
 Studziński 151, 157, 163.
 Suderland 225.
 Sudiejkin 238.
 Sukiennik 282.
 Sulkiewicz A. 281.
 Sulkowska 109.
 Sułkowski 189.
 Sumiński 50.
 Surmacki 354.
 Surzycki 385, 386.
 Swolkień 30.
 Sygietyński 206.
 Szalit 79.
 Szapiro 235.
 Szaynok 71.
 Szczeciński 119, 125, 126.
 Szczepanowski 73.
 Szezyrek 79.

- Szeptycki 138, 340, 349.
 Szer 307.
 Szerwic 320.
 Szliferstein 316.
 Szmitowa 254.
 Szostakowski 54.
 Szpotański 253.
 Szreter 284.
 Sztęfan 50.
 Sztobryń 354.
 Szuwałowowie 221.
 Szuwara 264.
 Szwarce 181, 182.
 Szwedziński 320.
 Szymanowski 253, 261.

 Śledziński 384, 385.
 Śmigły 158, 162.
 Świerczewski 327, 333.
 Świętochowski 208.
 Świętorzecki 42.
 Świętosławski 79.
 Świtalski 79.
 Świtek 159, 162.

 Tański M. 327.
 „Tatar” 281.
 Tatarow 271.
 Terlecki 60, 70.
 Thugut 247, 332.
 Tiedeman 173, 174.
 Tokarz 353.
 Tokarzewicz - Hodi 20—
 43, 193—211.
 Tokarzewicz K. 205.
 Tomaszewski 211.
 Tomaszewski J. 382, 383.
 Torbus 188.
 Tor 261.
 Towiański 41.
 Trepow 56.
 Truszkowski H. 224 —
 227.
 Trzcziński 253.
 Turek 214.
 „Turek” 119.
 Turkiewicz-Brzezińska
 44.

 Turski 203, 204.
 „Tytus” 253, 261.

 Ujejski 40, 41.
 Uspienski H. 233.
 Uszynski 236.
 Uthof L. 185—187.
 Uziębło 222.

 Wachtel 382.
 Waldow 176.
 „Waligóra” 125.
 Waligórski 199.
 Wańkowicz 164.
 Warchałowa 253.
 Warchałowa J. 253.
 Warda W. 325.
 Waren Z. 329, 333.
 Waryński L. 54, 212—
 215, 219, 222.
 Waryński S. 57, 58, 212,
 213, 215, 216, 219,
 221, 227.
 Wasilewska 268.
 Wasilewski L. 386, 387.
 „Wasilij Wielikij” 70.
 Wegnerowicz R. 250.
 320.
 Wegnerowicz W. 250.
 Wegnerowiczowa 250.
 Weigel 64.
 Weinfeld L. 72, 76—79.
 Weisblum 250.
 Weisberg E. 78.
 Wiatr 63, 64, 214.
 „Wicek” 261.
 Widera Z. 253.
 „Widoń” 329.
 Wieleżyński A. 74.
 Wieleżyński M. 78.
 Wieliński 78.
 Wieniawa-Długoszowski
 161.
 Więckowski A. 54.
 Wilczyński 180.
 Wilejski 308.
 Willamowitz 173, 174.

 Wilson 336.
 Witkiewicz 237.
 Witomski 382.
 Witte 232.
 Wityk S. 253.
 Władczyński 30.
 Własow 179.
 Wojciński 119, 121, 126.
 Wojnar K. 252.
 Wojnicz 180—182.
 Wojtkiewicz 54.
 Wolski F. 125.
 Wolski W. 73—78.
 Wójcik 125, 126.
 Wroczyński 344, 352 —
 354.
 Wróblewski W. 38, 198,
 201, 204, 219, 224,
 364.
 Wulf 233.
 Wyrostek 139.
 Wyrwińska Z. 330, 333.
 Wyrwiński 325, 331.
 Wyrzykowski 296, 297.
 Wysłouch 54, 55.
 Wyszniegradzkij 55.

 Zabłocki J. 79.
 Zabłocki W. 79.
 Zagórski 354.
 Zagórski T. 79.
 Zagórski W. 341, 342,
 344, 352.
 Zajączkowski J. 75.
 Zakrzewski 54.
 Zakrzewski K. 245.
 Zaleski B. 29.
 Zameczek-Cichorski 29.
 Zasulicz W. 220.
 Zawadowski 65, 68.
 Zawadzki 354.
 Zawarzin 322, 323.
 „Zbigniew” 253.
 „Zenon” 261.
 Zieliński K. 52, 54.
 „Zimecki” 119.
 Zipser 71.
 „Ziuk” 252.

Złotorzycka M. 371, 373.	Żebrowski 327, 329, 332,	Żmichowska 106.
Zorn 284.	333.	Żmigrodzki Z. 371.
Zubert 307.	Żeligowski L. 169.	Żukowski 221.
Zubow W. 240.	Żeromscy 111.	Żuliński K. 36, 42.
Zwierzyński 308.	Żeromski A. 111.	Żuliński T. 158.
Zygmunt 264.	Żeromski S. 109, 110,	żyżka 60, 61, 213, 214,
„Zygmunt” 119, 125.	189.	218.

DR. ADAM PRÓCHNIK.

O DZIEJE ODBUDOWY PAŃSTWA POLSKIEGO.

Aby rozstrzygnąć zagadnienie, czy nadszedł już czas pisania historii najnowszych dziejów Polski, a w szczególności dziejów odzyskania niepodległości narodowej, należy odpowiedzieć na dwa pytania: 1) czy historia ta jest już narodowi polskiemu potrzebna i 2) czy istnieje już możliwość jej pisania.

Pierwsze zagadnienie nie nasuwa, zdaje się, wątpliwości. Jeżeli historia ma mieć wartości wychowawcze, jeżeli stanowi niezbędny element szkoły obywatelskiej, dzieje najnowsze muszą odegrać rolę czynnika pierwszorzędnego. Najbardziej kształcące są własne przykłady. Najwięcej czerpać możemy z przeżyć, które są nam najbliższe pod względem swej atmosfery, psychiki i dynamiki. Najwięcej zrozumienia i zainteresowania mamy dla działalności ludzi, których umysłowość, kultura i struktura fizyczno-moralna najbardziej do naszej jest podobna. Jeżeli te wydarzenia ostatnie są miary i wagi przeciętnej, moment ich wkroczenia do historii nie odgrywa tak poważnej roli. Ale, jeżeli owe dzieje najnowsze obejmują zjawisko historyczne tak wielkiego i epokowego znaczenia, jak odbudowanie państwowości i zrzucenie kajdan wiekowej niewoli, niepodobna wyobrazić sobie historii narodowej, która faktu tego by nie obejmowała i nie traktowała go w odpowiedniej proporcji do całokształtu swego materiału, dlatego tylko, że fakt ten jest zbyt nowym. Historia polska, gdyby dziś jeszcze pomijała dzieje tej wielkiej przemiany, która panuje nad całą naszą przeszłością i jest jakby jej koroną, czyniłaby wrażenie okaleczającej i pozbawionej najważniejszego swego członka.

Młodzież, opuszczająca szkołę, nie może wyjść z niej, nie otrzymawszy odpowiedzi na pytanie, jak powstał stan obecny. Cóż jest ważniejszego dla młodzieży, która kształci się w szkole po wielkim przełomie, jak dzieje tego przełomu? Pokolenie, które przeżyło to, może naukę zastąpić własnym wspomnieniem. Ci, którzy tych wspomnień nie mają, albo dla których są one za słabe, muszą w szkole otrzymać odpowiedź na trapiące ich zagadnienia. I otrzymują ją. Nasze podręczniki szkolne obejmują już dzieje odbudowania niepodległego państwa. To jest fakt i z tym faktem musimy się liczyć. Czyż nie wynika więc z tego nieodzowna konieczność, że nauka musi owym podręcznikom dać materiał, że musi przetrwać metodami badawczymi ich tworzywo, że musi je przepuścić jaknajprędzej przez sito krytyki? A zatem potrzeba pisania już obecnie historii odzyskania niepodległości jest jasna.

Czy można jednak już obecnie potrzebie tej zadość uczynić, czy pisanie tej historii najnowszej jest już możliwe, czy istnieją już warunki, niezbędne dla obiektywnego, naukowego badania tej epoki? Wyrasta tu przed nami zagadnienie dystansu. Czy okres dwunastu lat, który nas dzieli od rozpoczęcia nowego życia państwowego, jest dostateczny, aby móc już o czasach, poprzedzających ten moment, pisać, czy z tej odległości można już ująć całokształt, czy wydarzenia występują już w słusznej proporcji, czy, z takiego dystansu patrząc na zjawiska dziejowe, można już zdobyć odpowiednie poczucie perspektywy, niezbędne dla malarza historii? Zagadnienie dystansu, to rzecz ogromnie względna. Trudnem byłoby sformułować zasadę, w jakim się to czasie wydarzenie historyczne „jak figa ucukruje, jak tytoń uleży“. Historyk francuski Mathiez, pisząc o dziejach rewolucji francuskiej, a więc o epoce odległej o niemal półtora wieku, podnosi z żalem, że nie można pisać o niej tak, jak się pisze o czasach rzymskich lub greckich. Do ideału trudno zatem dojść w tej dziedzinie. Zresztą sprawa dystansu jest obosieczna. Im dystans jest większy, tem nowe trudności powstają. Jeżeli z bliskiego dystansu obraz wydaje się zbyt jaskrawym, z dalekiego wydaje się zbyt bladym. Historyk, obserwujący scenę historii, przypomina widza, który patrzy przez lornetkę na scenę i reguluje sobie szkła: raz obraz jest zbyt ostry, to znowu jest zamazany, aż wreszcie znajdzie odpowiednią miarę. Gdy blednie żywość barw wyda-

rzenia dziejowego, gdy nie słycać już tego tętna, gdy roz-
wiała się atmosfera, w której się ono rozegrało, jakżeż trudno
je zrozumieć! Historyk czynić musi wtedy wielki wysiłek, aby
wczuć się, wżyć się, wmyślić się w minione dni, aby odtworzyć
epokę. Czyż błędy, wtenczas popełnione, nie będą nawet groź-
niejsze od błędów, wynikających z patrzenia na wydarzenia
ze zbyt bliskiej perspektywy? Nie łatwo jest pisać historję na
podstawie mumji, nie łatwo jest, patrząc w zimną twarz i zam-
knięte oczy nieboszczyka, opiewać życie, nie łatwo jest, ma-
jąc przed oczyma fotografię starca, odtwarzać z niej rysy mło-
dzieńca. Źle jest patrzeć na widok w oślepiających blaskach
słońca, jeszcze gorzej jednak, gdy nastanie noc.

Sprawa dystansu to więc rzecz względna. Jest ona po-
dwójnie względną, ze względu na indywidualne cechy czło-
wieka, który pisze historję, i ze względu na naturę zjawiska
historycznego, ze względu na tego, który obserwuje, i na to,
co on obserwuje. Wróćmy do porównania z człowiekiem, który
patrzy przez lornetkę. Ureguluje on ją wedle swego wzroku.
Czy historyk potrafi w dłuższym lub krótszym czasie po upły-
nięciu wydarzenia historycznego patrzeć na nie bez błędów
perspektywicznych, ujmować całokształt i widzieć rzeczy na-
leżycie, to znaczy w znacznej mierze od rodzaju i charakteru
jego zmysłu historycznego, od tego, czy jest historycznym da-
lekwidzem czy krótkowidzem. Zagadnienie dystansu jest
może jeszcze bardziej zależne od charakteru zjawiska histo-
rycznego, od jego cech odrębnych, od jego indywidualności.
Aczkolwiek historję obserwować musimy w jej ciągłości i płyn-
ności, to jednak ta ciągłość i płynność poszczególnych zjawisk
nie jest jednakowa. Jedne z tych zjawisk przedstawiają się
nam w przestrzeni dziejowej jako procesy przewlekłe, inne
zaś w formie zamkniętej, jako procesy do pewnego stopnia
zakończone, uwieńczone pewnym skutkiem. Bezwątpienia, że
zakończenie to nie jest ostateczne, ale oznacza to bądźco bądź,
że dane zjawisko historyczne przechodzi w nową formę roz-
woju. Rzecz więc jasna, że, jeżeli mamy do czynienia z taką
zakończoną, a może tylko zaokrągloną formą rozwojową, uła-
twia to obserwowanie historykowi i pozwala zmniejszyć ów
dystans. Łatwiej bowiem ująć całokształt zjawiska dziejowe-
go, jeżeli przybrało ono formy zamkniętej całości, niż wtedy,
gdy ma ono formy ciągłe. Aby zjawisko dane wystąpiło przed

nami plastycznie, musi ono uwydatnić się nietylko jako odrębny fakt, ale jako fakt historyczny, a więc pojmowany w związku z innymi faktami. Nie wystarczy zaobserwować fakt, trzeba poznać jego oddziaływanie, jego konsekwencje. I dlatego właśnie historyk musi mieć ów dystans. Otóż ta odległość między faktem, a jego oddziaływaniem, między wydarzeniem historycznym, a jego konsekwencjami, jest rozmaicie wielka. Zależnie od tego, jaką jest ta odległość, dystans, potrzebny historykowi dla rozpoczęcia pisania historii, może być mniejszy lub większy. Jeżeli po danym fakcie uwydatniło się już jego oddziaływanie, jeżeli znane są już jego konsekwencje, jeżeli upłynęła już przestrzeń czasu między błyskawicą, a grzmotem, historyk może kusić się o pisanie dziejów. A więc rzecz jasna, że dystansu, że czasu wyczekiwania nie można mierzyć latami. Zależy on od natury zjawiska historycznego. W wypadku naszym zatem — dziejów odbudowania państwowości polskiej — mamy właśnie do czynienia z takim do pewnego stopnia zamkniętym procesem historycznym, z faktem, którego konsekwencje się już objawiły, czas wyczekiwania może być więc wydatnie skrócony. Ujęcie całokształtu nie przedstawia bowiem znaczniejszych trudności.

Jasnym jest, że doskonałej formy historii nie stworzymy. Co do tego nie należy mieć nigdy złudzeń. Byłoby śmiesznym czekać z pisaniem historii do chwili, gdy będzie można stworzyć dzieło doskonałe, bo chwila taka nigdy nie nadejdzie. Niema doskonałości, jest tylko dążenie do doskonałości. Dążenie to polega na czynieniu prób za próbą. Piszemy historję, a potem napisze się ją na nowo. Historję bowiem pisze się zawsze i nigdy nie mówi się ostatniego słowa. Trzeba jednak pierwsze słowo powiedzieć i z tem nie należy nigdy zanadto zwlekać. Tembardziej w tym wypadku.

Z zagadnieniem dystansu łączy się zagadnienie obiektywności. Dystans jest nie tylko dlatego potrzebny, że wymaga go perspektywa historyczna, ale i z tego powodu, że ludzie, którzy przeżyli pewne wydarzenia, lub, co więcej, w nich uczestniczyli, których serca przepaliły namiętności toczących się walk, nie mogą zdobyć się na konieczny dla pisania historii obiektywizm.

Nic względniejszego ponad pojęcie obiektywizmu. Jesteśmy zawsze skłonni uważać za obiektywne to, co najlepiej

odpowiada naszym poglądom. Aby zdobyć się na istotną obiektywność, trzeba osiągnąć stan całkowitej obojętności wobec zagadnień, których historję się pisze, a to jest niemożliwe. Gdyby to było nawet możliwem, historia taka byłaby zupełnie nieinteresującą. Niewątpliwie, że współczesny, którego tysiące węzłów łączy z wydarzeniami dziejowemi, których był świadkiem i aktorem, z trudnością zdobędzie się na sąd bezstronny i niezależny. Ale czyż w o wiele lepszym położeniu jest ten, który pisze historję z odległości swej pośredniej znajomości wypadków, z wyższości swej obcości wydarzeniom? Podobnie, jak współczesny musi się wyzwolić z pod nacisku atmosfery swych przeżyć, tak i potomny musi nieraz przełamywać grubą zaporę tradycji i legendy. Jeden ulega złudzeniom terażniejszości, drugi ulega złudzeniom przyszłości. Jeden pisze w ogniu poglądów, idei i celów, jakie historii przypisuje współczesne mu pokolenie, drugi pisze ze stanowiska ideałów, celów i dążeń swojej epoki. Czyż istotnie obiektywizm ma na tem polegać, aby odsmażyć przeszłość w sosie terażniejszości? Przypuśćmy na chwilę, że po nas przyjdą do rządów bolszewicy i że ich szkoła historyczna pisać będzie dzieje naszych czasów, czyż napiszą je oni obiektywniej, niż my, choć współcześni, byśmy je napisali? Jest to przykład jaskrawy, ale czyż w gruncie rzeczy nie uwydatnia on istoty rzeczy? Itota obiektywizmu nie może na tem polegać, aby psychikę i ideologję, współczesną wydarzeniom, zastąpić psychiką i ideologją późniejszą, aby oprawić obraz w ramy późniejszej epoki. Nawet wydarzenia dziejowe najdawniejsze i najmniej wspólnego mające z założeniami ideowemi okresu, w którym pisze się ich historję, mogą zostać podporządkowane jego celom, chociażby w poszukiwaniu analogji historycznej. Cezaryzm współczesny idealizować będzie wzory cezaryzmu starożytnego, demokracja współczesna — wzory demokracji starożytnej.

Jeżeli stopień obiektywizmu historjografji z odległego dystansu przewyższa historjografję bliską, czyż nie okupuje się tego poważnemi stratami? Czyż sąd, z zewnątrz wydany, może być tak pełny, jak sąd od wewnątrz idący? Czyż ten, który tylko skutki burzy oglądał, może ją tak opisać, jak ten, który ją przeżył? Czyżby nieznanostwo prawdziwego ducha epoki miała być najlepszą legitymacją dla historyka? Pewnie, że jeżeli ten, który burzę oglądał, da nam jej obraz, ten, który

jej skutki sprawdzał, będzie miał jeszcze czem obraz ten uzupełnić. Trzeba jednak, aby i jeden i drugi obraz malował. Zacząć musi świadek burzy.

Objektywność istotna, nie ta idealna i nieosiągalna, ale realna, polega na tem, aby w sądzie swym zachować umiar, aby wystrzegać się stronnicy przesady w traktowaniu zjawisk, aby unikać przerostu pewnych momentów nad innymi, polega na pewnem poczuciu sprawiedliwości. Taki obiektywizm może istnieć bez względu na epokę i jej oblicze ideowe, bez względu na dystans. Historyk jest, jak sędzia. Sędzia bowiem sądzi wedle poglądów prawnych i moralnych swej epoki, a nie wedle jakiejś abstrakcyjnej, niezmiennej, obiektywnej etyki, musi mieć jednak poczucie sprawiedliwości.

Objektywność tak pojęta jest więc, podobnie jak zdolność perspektywistyczna, cechą indywidualną, a więc dostępną również człowiekowi, współczesnemu wydarzeniom, nawet ich czynnemu uczestnikowi. Uczestnik wydarzeń ma skłonność gloryfikowania swej roli osobistej lub swego obozu. Bezwątpienia. Nie można jednak stanąć na stanowisku konwencjonalnego zapatrywania na obiektywizm, że polega on na tem, aby żadnej ze stron walczących nie przyznać racji, aby zająć stanowisko pośrednie i jakby retrospektywnie rozjemcze między obozami. Może się naturalnie zdarzyć, że stanowisko takie będzie słusznem, ale czyż nie może się również okazać, że akurat jedna z walczących stron miała rację? Czyż zresztą historycy, piszący z odległego dystansu, nie czynią nieraz tego samego, co współczesny historyk? Wspomniany już, naprzykład, historyk francuski Mathiez przyznaje otwarcie, że jest robespierzystą, Robinet i poniekąd Aulard są dantonistami, Korzon przyznaje całkowicie słusność Kościuszce. Wreszcie współczesny i uczestnik wydarzeń historycznych, obserwując swe przeżycia, a nawet czynny, z pewnej odległości, wznosi się nieraz na poziom samokrytyki. Wszystko zależy od tego wewnętrznego obiektywizmu, o którym wspominaliśmy.

Jakaż będzie zatem różnica między wspomnieniem osobistym, a historją? Nie polega ona bynajmniej ani na stopniu obiektywizmu, ani na wielkości dystansu. Wspomnienia mogą być obiektywniejsze od historji. Różnica leży w perspektywie. Jeżeli autor uwzględni tylko własne pole widzenia, dzieło jego będzie wspomnieniem. Jeżeli ujmie całokształt i zastosuje nau-

kowe metody badawcze, będzie to historia, tem cenniejsza, że uzupełniona bogactwem własnych przeżyć i własnej obserwacji. Czyż naprzykład do dziejów odbudowania państwa naszego, obok wspomnień (Daszyński, Biliński, Dmowski i i.), nie mamy historycznych studjów, współcześnie z wypadkami pisanych, w postaci „Uwag“ Askenazego?

A więc trzeba już pisać dzieje odbudowania państwa polskiego i można je już pisać. że wysiłki te powinny być planowe, nie wymaga to specjalnego uzasadnienia. Należy określić rodzaj prac koniecznych i ich kolejność. Tory są tu poniekąd utarte, ale swoiste warunki mają swe znaczenie. Staje przed nami szereg zadań: 1) zagadnienie materiałów, 2) opracowania monograficzne poszczególnych momentów i szczegółów, 3) ujęcie całości, opracowanie syntetyczne, 4) interpretacja, 5) sąd ogólny. Droga od materiałów do sądu jest długa i wymaga wielkich, zbiorowych wysiłków.

Istnieje nadmiar materiałów. Bezwątpienia. Jest to jednak materiał specjalnego charakteru. Pochodzi on z czasu, gdy nie mieliśmy własnego państwa. Ruch niepodległościowy nie rozporządzał aparatem, którym dysponuje państwo, nie miał dobrze zorganizowanych, przystosowanych do trwałych form, kancelaryj, registrarur i archiwów, nie miał armji urzędników, strzegących materiału historycznego. Wiele przejawów tego ruchu rozgrywało się w formach konspiracyjnych, które nie sprzyjają zachowaniu materiałów. Rola, którą dla wolnego narodu odgrywa państwo, rozkładała się w naszych warunkach między szereg organizacyj. Pochodzi stąd wielość i nieuchwytność źródeł. Mimo mnogości materiałów, możemy odczuwać zatem braki rzeczy istotnie ważnych. Tem większa zatem rola przypada wspomnieniom, które nie tylko muszą obrazy historyczne ożywić, ale i niejedną lukę źródłową wypełnić.

Materiały do dziejów odzyskania niepodległości nie są zatem jeszcze kartą zamkniętą, nie są jeszcze spetryfikowanym, martwym tworzywem. Materiał ten jeszcze się rozwija. Póki żyją uczestnicy wypadków, istnieje wciąż nadzieja, że ważne przyczynki powstawać mogą. Przy planowej zatem pracy nad historją tej epoki powstaje zagadnienie zupełnie specjalnego charakteru, akcja nad tworzeniem nowych źródeł, rzucenie podniety do pisania ważniejszych wspomnień.

Drugie z kolei zagadnienie, to zagadnienie zbierania materiału. Uwagi wyżej podane o charakterze owego materiału uzasadniają potrzebę skupiania go i konserwowania dostatecznie. Materiał ten wprawdzie jeszcze rośnie, ale równocześnie i zanika. Popierając jego wzrost, trzeba równocześnie zapobiegać jego zanikowi. Wreszcie jest on bardzo rozproszony. Skoncentrowanie go jest warunkiem uczynienia go użytecznym.

Aby go zebrać, aby go skupić, aby korzystać z niego, trzeba go najpierw znać. Już przy innej sposobności pisaliśmy o konieczności biblijografji do dziejów najnowszych. Biblijografja ta musi być oparta na specjalnych zasadach, dostosowanych do rodzaju materiału historycznego. Wspomnienia o czasach ostatnich ukazują się nie tylko w postaci kilkutomowych pamiętników, ale i w charakterze drobnych broszurek i mnóstwa artykułów, rozsianych po całej prasie, w miesięcznikach, tygodnikach, w grubych tomach dzienników, a także w najrozmaitszych jednodniówkach, kalendarzach, wydawnictwach pamiątkowych. Ileż to materiału znajduje się w artykułach politycznych, w bieżącej polemice politycznej, w różnych oświadczeniach i sprostowaniach, pisanych przez czynnych działaczy owej doby. Dzisiejsza polityka co rok niemal wskrzesza wspomnienia wczorajszej polityki. Niejednokrotnie wybitny i dobrze poinformowany działacz polityczny wyjawia w ogiu polemiki jakiś szczegół, który tonie w powodzi codzienności. Czasem przyjaciel o przyjacielu pisze wspomnienie pośmiertne i wydobywa na wierzch nieznany, a ważny moment. Tu ktoś kogoś atakuje za jego przeszłość, tam ktoś się broni. W tysiącnych okazjach przeszłość jest nicowana. Wśród mnóstwa drobnostek trafi się nieraz cenny przyczynek. Któż potrafi go odszukać wśród niezliczonych, zakurzonych roczników? Sumienna, szeroko zakrojona biblijografja oddać może niespożyte usługi.

Ogrom materiału może przytłoczyć badacza. Trzeba koniecznie dokonać w nim wyboru, odróżnić materiał kapitalnej wagi od drugorzędnego. Nasuwa się potrzeba krytycznego wydawania źródeł. Sokolnicki wyraził pogląd, że przesianie i krytykę materiału źródłowego zostawić możemy przyszłym pokoleniom, gdyż nie posiadamy do tego kompetencji. Można mieć co do tego zastrzeżenia. Czyż niejednokrotnie historia,

okoliczności powstania danego dokumentu, jego istotne znaczenie nie dadzą się wogóle inaczej wyjaśnić, jak tylko przez współczesnych? Jakaś np. ulotka, wydana w czasie okupacji, mogła przejść bez echa i mogła wywrzeć wielkie wrażenie. Trzeba stwierdzić autorstwo, trzeba odtworzyć intencje, towarzyszące wydaniu jakiegoś aktu. Z każdym dniem rzeczy te będzie trudniej ustalić.

Aby wyczerpać zagadnienie materiałów, należy jeszcze poruszyć sprawę udostępnienia akt badaczom. Państwa mają zwykle pod tym względem zastrzeżenia, niechętnie patrzą na zbyt szybkie użytkowanie akt, powodując się względami zrozumiałymi. Tu zachodzą jednak warunki wyjątkowe. Mamy nie tylko na myśli wagę pisania historii odbudowania państwa polskiego. Ale państwo polskie, istniejące dopiero 12 lat, nie jest w tym stopniu zainteresowane we wstrzymaniu publikacji akt, które tyczą się epoki przed jego powstaniem, jak państwo, które już wówczas istniało.

Materiał źródłowy, rozszerzony, zebrany, trzymany w ewidencji, przesiany, poddany krytyce i udostępniony, jest podstawą zarówno prac analitycznych, jak i syntetycznych. Studja monograficzne i biograficzne, dzieje poszczególnych momentów, szczegółów i osób i ujęcie historii całości, całości kształtu zagadnienia, oto dwie drogi, na których materiał przetworzony zostaje w historję.

W jakim kierunku biegną obie te drogi, w jakim są wzajemnym stosunku, czy się krzyżują, czy są równoległe, czy trzeba przejść jedną, aby wkroczyć na drugą? Stosunek analizy do syntezy historycznej jest zagadnieniem ogólnego charakteru. Bywa ono rozmaicie rozstrzygane. Najlogiczniejszą wydaje się droga od szczegółów do całości, od analizy do syntezy. Nie jest ta droga jednak najbardziej celową. Synteza jest celem naszych wysiłków, dla niej to zbieramy materiały i piszemy prace analityczne. Nie możemy jednak czekać z nią, aż tamte prace ukończymy. Synteza jest nam zawsze potrzebna. Historia musi zawsze rozporządzać, choćby niedoskonałym, obrazem całości. Czekanie zresztą na zakończenie studjów źródłowych i monograficznych byłoby choćby dlatego bezcelowe, że nigdy się tego nie osiągnie. Tymczasem synteza jest dla społeczeństwa artykułem codziennej potrzeby. Próbuje się czasem formułkę: analiza-synteza, zastąpić formułką: synte-

za-analiza-synteza. Dla zaspokojenia potrzeby społecznej pisze się próbną syntezę, potem pracuje się nad wyjaśnieniem poszczególnych momentów i szczegółów i—po krytycznym zbadaniu wszystkich elementów pierwszej syntezy—przystępuje się do pisania drugiej, udoskonalonej syntezy. Formuła ta jednak wymagałaby przedłużenia. Nowa synteza prowadzi do nowych studjów analitycznych, które powodują znów nową syntezę. Rzecz tak ciągnie się w nieskończoność i trudno nawet ustalić regularną kolejność syntezy i analizy historycznej. W gruncie rzeczy sprowadza się to do równoległości syntezy i analizy.

W naszym zagadnieniu dziejów odzyskania niepodległego bytu wynika z tego praktyczny wniosek, że niezależnie od prac analitycznych istnieje już od samego początku potrzeba dzieła syntetycznego. Może ono mieć błędy i luki i będzie je miało, ale powstać powinno. Rozpoczynając budowę drogi, kładziemy pierwszy kamień milowy. Gdy przejdziemy pewną przestrzeń, położymy następny.

W parze z zagadnieniem: szczegół-całość, idzie zagadnienie: interpretacja-sąd, i dopiero połączenie tych dwóch zagadnień tworzy pełne zagadnienie: analiza-synteza. Tu dopiero powstają najpoważniejsze trudności. Zapewne, że słusność ma Lavissee, na którego Sokolnicki się powołuje, że „rzecz ogólna w historii jest pewniejsza, niż szczegół“, i słusność ma Sokolnicki, gdy rozszerza to, twierdząc, że „szczęgól i interpretacja muszą być postawione poniżej faktu“. Tembardziej niepewnym jest jeszcze sąd, tem więcej trudności nasuwa ogólna ocena wydarzeń i osób. Ale czyż można ograniczyć się tylko do ogólnych faktów, bez szczegółów, bez interpretacji i bez sądu? Czyż można naszą syntezę walk niepodległościowych ostatniej doby złożyć tylko z tak ogólnych faktów, jak ten, że Piłsudski 6 sierpnia wkroczył do Królestwa, że 15 sierpnia wielki książę wydał manifest, że 16 sierpnia zapadła decyzja tworzenia legjonów, że 5 listopada wydany został manifest obu cesarzy, i że rząd rewolucyjny wydał odezwę, uznającą niepodległość Polski? Pisać historję, to znaczy rozstrzygać wątpliwości. Musimy się kusić o sąd, a droga do niego prowadzi przez szczegóły i interpretację.

Krótki przegląd zadań, jakie wiążą się z badaniem dziejów odzyskania niezawisłości narodowej, wprowadza nas do

zagadnienia najistotniejszego, do zagadnienia metody tych badań. Historia polityczna jest w pierwszym rzędzie historią państw. Dla dziejów państwa, jak dla dziejów każdego organizmu, najważniejszymi momentami są momenty jego narodzin i śmierci, powstania i upadku. Wszelkie inne momenty, wzrost i osłabienie, rozwój i zastój, schodzą do roli drugorzędnej, mają stosunkowo mniejsze znaczenie wobec faktu powstawania i zaniku. Fakty te narzucają się uwadze badacza i zainteresowaniu społeczeństwa z całą mocą, jako fakty przełomowe, najważniejsze. Wyrastają one ponad szary tłum faktów codziennych, jak wielkie szczyty ponad równiną. Cóż więcej przykuwać może uwagę, jak przechodzenie z niebytu w byt i z bytu w niebyt? Fakty te tem bardziej budzą zainteresowanie, że tak rzadko podpadają badaniom. Większość państw współczesnych posiada moment swych narodzin w głębokiej pomroce dziejowej, wypadki upadania państw, interesujących współczesną historję, są rzadkie. Wreszcie zwrócić należy uwagę, że powstawanie i upadanie państw, o ile dokonują się stopniowo i etapami, o ile rozkłada się na szereg drobnych faktów, nie posiada tej siły oddziaływania, tej siły impresyjnej, co wtedy, gdy dzieje się to w jednym szybkim akcie, w jednej nagłej przemianie.

Podnosi to wagę badań nad powstawaniem i upadkiem państw i przyczynia się do wytwarzania odpowiednich metod badawczych. Odrodzenie państwa jest dla nas czemś więcej, niż faktem, jest ono zjawiskiem, jest zagadnieniem. Jeżeli rozpatrujemy je jako fakt historyczny, interesuje nas w pierwszym rzędzie jego przebieg, jego stawanie się, jego dokonanie się, sposób, w jaki fakt ten się urzeczywistnił, okoliczności, które temu towarzyszyły, krótko mówiąc, jego dzieje. Ale jeżeli patrzymy na to dzieło odrodzenia jako na zjawisko, jako na zagadnienie, staje przed nami nieporównanie ważniejsze pytanie, nie tylko więc: jak to się stało? — ale: dlaczego to się stało? Badanie historii i badanie przyczyn — oto dwa kierunki, któremi pójść muszą studia nad odbudowaniem państwa polskiego. Każde badanie historyczne ma w sobie te dwa pierwiastki, ale przy zagadnieniach tego rodzaju rozprawy przyczyn wyrasta do godności niemal odrębnego problemu. Wiemy, że koło sprawy upadku państwa polskiego rozwinęła się również podwójna literatura historyczna: jedna, która zaj-

mowała się rozbiorami, ich tragicznym przebiegiem, ich dziejami, i druga, która poświęciła się wyłącznie zagadnieniu przyczyn, która dociekała, dlaczego państwo polskie upadło. Podobną drogą pójść muszą badania nad odrodzeniem państwa. Jedną gałąź badań musi zająć się treścią materialną procesu historycznego, druga — jego siłami popędowymi. Tak jak się rzecz miała z historją upadku Polski, tak stanie się zapewne i z historją odbudowania, a mianowicie zainteresowanie dla przyczyn przewyższy zainteresowanie dla dziejów.

Będzie to jednak zagadnienie bez porównania trudniejsze. Możemy zdać sobie dość dokładnie sprawę z tego, jak dokonały się rozbiory, dyskusji zaś nad przyczynami ich nie można do dnia dzisiejszego uważać ani za skończoną, ani za rozstrzygniętą. Koło zagadnienia tego dokonał się podział na szkoły historyczne, co najlepiej dowodzi jego wagi, jego roli naczelnej wśród zagadnień historycznych. W niedalekiej przyszłości rola ta przypadnie zapewne zagadnieniu przyczyn odrodzenia państwa polskiego. Czy i to zagadnienie nie rozbije nas również na szkoły historyczne, na zasadnicze kierunki dziejopisarskie? Jest to bardzo możliwe.

Przyczyny zjawiska odbudowania państwowości — można to zgóry powiedzieć — nie są jednowartościowe. Badanie naukowe będzie musiało rozróżnić między przyczynami bezpośrednimi, a przyczynami głębszemi, zasadniczemi, które działają jako sprężyny procesu historycznego. Przyczyny bezpośrednie rzucają się bardziej w oczy, nie są jednak w stanie wyjaśnić istoty zjawiska, nie dają odpowiedzi na zagadnienie: dlaczego Polska została odbudowana? Mogą one natomiast rozstrzygnąć kwestje: dlaczego fakt odbudowania państwa polskiego nastąpił właśnie w tej epoce, a nie wcześniej lub później? dlaczego dokonał się on w taki sposób, a nie inny? dlaczego stało się to w postaci przełomu, a nie w formie stopniowego procesu, nie etapami? Zagadnienia, związane z przebiegiem wojny światowej, z poszczególnemi posunięciami politycznemi, z konjunkturą wojenno-polityczną, należy zaliczyć do tej kategorii przyczyn bezpośrednich.

Decydujące, podstawowe znaczenie mają jednakowe przyczyny zasadnicze, owe siły popędowe historii, które nadają bieg wypadkom, to, co się zwykło nazywać wyrokami dziejowemi. Przed historjografją polską staje pytanie naj-

ważniejsze: jakie były przyczyny rozstrzygające odrodzenia, jaka była *causa efficiens*?

Gdybyśmy sądzili, że owe przyczyny bezpośrednie są same już tą *causa efficiens*, musielibyśmy przyjąć koncepcję, że przyczyną odbudowania państwa polskiego był przypadek. Częściowo jest to powiedziane u Sokolnickiego, kiedy twierdzi, iż „niepodległość w znacznej mierze zdobył za nas los...“. Częściowo, gdyż dalej podaje i inne przyczyny.

Nie można twierdzić, że w historii niema zjawisk przypadkowych. Zdarzają się one niewątpliwie, mimo całej prawidłowości procesów historycznych. Mogłoby więc i dzieło naszej odbudowy być przypadkiem, a wtenczas znaczenie tego faktu byłoby i mniej głębokie i mniej trwałe. Nam się jednak wydaje, że zagadnienia tego nie można sprowadzać do przypadkowej, przez zrządzenie losu nam zesłanej konjunktury. Aczkolwiek konjunkturze wiele zawdzięczamy, aczkolwiek jako przyczyna bezpośrednia najwięcej narzuca się ona naszej obserwacji historycznej, aczkolwiek wpłynęła ona wydatnie na sam przebieg i na tempo procesu naszego odrodzenia, to jednak w tym wypadku wydaje się nam, że za nią stały czynniki nieskończenie większej wagi.

Nie mamy zamiaru i nie czujemy się w tej chwili na siłach do dańia skończonej, pełnej odpowiedzi na pytanie, jaką była *causa efficiens* odbudowania polskiej państwowości. Zamiarem naszym jest tylko nakreślić szkic metod badawczych tego zagadnienia i rzucić kilka myśli do dyskusji, o której w przyszłości zapewne wiele się pisać będzie.

Nie można, rzecz prosta, szukać rozwiązania tego zagadnienia w dociekanii i odnalezieniu tylko jednej zasadniczej przyczyny. Już zgóry twierdzić można, że owa *causa efficiens* będzie to splot szeregu czynników, które razem składają się na mechanizm procesu historycznego.

Jedna rzecz rzuca się nam natychmiast w oczy, która zmusza nas do porzucenia tezy przypadkowości. Odbudowanie państwa polskiego nie jest faktem odosobnionym. Nie tylko, że równocześnie szereg innych narodów odzyskał lub zdobył niepodległy byt, ale od stu lat już odbywa się w Europie realizacja idei wyzwolenia i zjednoczenia ujarzmionych narodów. Pisaliśmy już kiedyś o tem, że ludzkość znajduje się w stadium rozwiązywania zagadnienia narodowościowego, że jest

to naturalny produkt demokratyzacji i wzrostu uświadomienia politycznego i narodowego społeczeństw, że w XIX stuleciu dokonał się szereg aktów tego procesu historycznego, że wojna światowa posunęła ten proces o olbrzymi krok naprzód, zbliżając go już do ostatecznego zakończenia. Masowość, prawidłowość, regularność tego zjawiska jest niewątpliwa. Przecież wojna światowa została wydana i rozpoczęta w innych zupełnie celach, aniżeli te, które urzeczywistniła w ostatecznym rezultacie. To nie był również przypadek. Ponad głowami autorów wojny, ponad ich małymi celami, ponad krótką średnicą koła ich idei politycznych zrealizował się wielki problem, który jest w gruncie rzeczy najgłębszą treścią i zadaniem współczesnej historii, tak, jak wczoraj był problem religijny, tak, jak jutro będzie problem społeczny. Odbudowanie państwa polskiego było ogniwem w tym łańcuchu, było częścią ogólnego problemu. Pewnie, że tę tendencję historyczną można ostatecznie nazwać zrzędzeniem losu, ale dobrze jest stwierdzić, że nie było to zrzędzenie ślepego losu.

Zjawiska prawidłowe powinny być badane nie tylko w oderwaniu, ale we wzajemnym związku, w swej zbiorowości. Proces odrodzenia narodów, tak, jak proces upadania narodów, winien być rozpatrzony jako proces ogólny, którego prawa należy odkryć, którego sprężyny należy odsłonić. Powinna powstać socjologia upadania i socjologia odradzania się państw. Z jej wskazań korzystać mogłaby historia. Nim jednak to uczyni, musi wpierw socjologii dostarczyć materiał, musi zbadać poszczególne zjawiska. Praw tych nie można bowiem zbudować metodą racjonalistyczną, a tylko eksperymentalną.

Nie gubiąc zatem z oczu prawidłowości tego zjawiska, musimy dokonać rozbioru zasadniczych jego przyczyn w dostosowaniu do Polski. Dla usystematyzowania tego badania należy kolejno rozpatrzeć przyczyny wewnętrzne i zewnętrzne. Z dochodzeń tych winna wypłynąć odpowiedź na jedno z najbardziej nas interesujących zagadnień, jaka była własna nasza rola w dziele odbudowy, a jakim był wpływ obcych czynników ?

Przyczyny wewnętrzne mogą być najrozmaitszego rodzaju, a badanie ich, gdyby było wyczerpujące, czego się w tej chwili nie podejmujemy, powinno objąć wszystkie dziedziny

życia wewnętrznego Polski. Tylko taki systematyczny wysiłek pozwoli zbudować dojrzałe sądy. Przyczyny wewnętrzne można podzielić na dwie zasadnicze kategorie, na przyczyny natury politycznej i przyczyny natury gospodarczo-geograficznej.

Przyczyny polityczne wysuwają się na plan pierwszy. Sokolnicki postawił tezę, że odbudowanie Polski nie było zasługą narodu, jako całości, że byliśmy tylko materiałem etnicznym, że dążenie do dobrobytu i zagwarantowania pewnych praw kulturalnych było głównym dążeniem narodu, że ideały niepodległościowe wyszły z nielicznych grup ludzi, ponad które coraz bardziej wyrasta jedna postać, i że, dzięki zrządzeniom losu, konjunkturze, układowi dziejowych stosunków i t. p. okolicznościom, grupy te zwyciężyły politycznie.

Wydaje się nam, że byłoby lepiej usunąć z dyskusji zagadnienie winy i zasługi. Wystarczy zbadać pewne procesy i zjawiska historyczne, wystarczy stwierdzić pewne fakty i ich przyczyny.

O ile szukamy bezpośrednich przyczyn szczęśliwego dla Polski zakończenia wojny światowej, bezwątpienia trudno byłoby twierdzić, że niepodległość została zdobyta własnym, masowym wysiłkiem narodu polskiego. Cóż dopiero możnaby jednak powiedzieć o innych narodach, które w rezultacie wojny uzyskały niezależny byt państwowy? Chyba z tych wszystkich narodów polski dokonał największego samodzielnego wysiłku. Wysiłek ten nie jest znowu tak bardzo do lekceważenia. Zapewne, że nie spowodował on ani klęski Rosji, ani klęski państw centralnych, dwóch głównych, bezpośrednich przyczyn naszego odrodzenia. Ale w takiej wojnie, jaką była wojna światowa, w tak wielkim zmaganiu się sił żaden naród, nawet taki, którego wystąpienie zostało zorganizowane przez potężne własne państwo, nie może się poszczycić, że on wyłącznie posiada zasługę zwycięstwa. Nie można również legjonami tylko mierzyć wysiłku narodu polskiego. Były one bądźco bądź organizacją pierwszego okresu wojennego, kiedy najważniejsze rozstrzygnięcia były jeszcze daleko, organizacją o bezpośrednich, specjalnych, ograniczonych zadaniach. Zużycie całej energii w tym kierunku nie było nawet pożądanem i tem się tłumaczy, że Piłsudski po klęsce rosyjskiej wstrzymał dalszy pobór do legjonów. Aby ocenić rolę narodu pol-

skiego w dobie wojennej, wzięć należy pod uwagę i inne formacje polskie, zwłaszcza Polską Organizację Wojskową, należy w pierwszym rzędzie uwzględnić ostatni, końcowy okres wojny światowej, który zaznaczył się zorganizowaniem szeregu formacji, wypędzeniem okupantów, walką z Ukraińcami, powstaniem wielkopolskiem, okres decydujący.

Można przyjąć zatem szereg przesłanek Sokolnickiego, ale wniosek jego, że naród polski był tylko materiałem etnicznym, nie może się utrzymać. Wniosek ten rozbija się przy pierwszym zetknięciu z rzeczywistością. Sokolnicki sam staje zdziwiony wobec niespodziewanego faktu, że ten materiał etniczny zaraz, natychmiast, gdy znalazł się w obrębie własnego państwa, okazał się zdolnym do odparcia nawały bolszewickiej, do przeprowadzenia powstań górnośląskich, do wydobycia z siebie wielkiego bądźcobądź wysiłku organizacyjno-twórczego, okazał się, krótko mówiąc, narodem. Przyjmując więc tezę Sokolnickiego, trzeba uwierzyć w jakąś cudowną metamorfozę. Przekształcenie materiału etnicznego w naród jest procesem ewolucyjnym, jest głęboką przemianą, wymagającą historycznego uzasadnienia. Wartości, które społeczeństwo polskie wydobyło z siebie w r. 1918 i w r. 1920, nie mogły wybuchnąć naraz.

Nie mamy zamiaru w tem miejscu rozstrzygać zagadnienia, czy państwo polskie upadło z końcem XVIII wieku dlatego, że nie było zdolne do życia. Ale objawia się nam jedna z najbardziej zasadniczych przyczyn odrodzenia naszego, a mianowicie fakt, że czynniki, zdolne do utrzymania i rozwoju państwa w obecnej dobie, istniały. Społeczeństwo polskie było wyposażone w najważniejsze wartości, niezbędne do życia we własnym państwie, i dlatego państwo to musiało powstać.

Sokolnicki stwierdza paradoks, który uważa za pozorny, że w przededniu upadku swego Polska prowadziła politykę możliwie najrozsądniejszą, w przededniu odrodzenia swego — możliwie najgorszą. Nie jest to zupełnie ścisłe, i szczegółowa analiza paradoks ten znacznieby osłabiła, zresztą nie można stawiać jednakowych wymogów politycznych społeczeństwu jeszcze wolnemu i społeczeństwu, które przeżyło 120 lat w niewoli. Sądzymy jednak, że należy nie tylko porównywać politykę okresu przedrozbiorowego z polityką okresu

przedodrodzeniowego, ale również strukturę społeczeństwa polskiego w tych dwóch okresach. W ciągu tych studwudziesięciu lat dokonał się upadek szlacheckich warstw ludowych w naród polski, dokonało się olbrzymie rozszerzenie platformy, na której naród ten się opierał, dokonało się polityczne przeszerogowanie warstw społecznych. Dokonał się w pierwszym rzędzie wzrost świadomości narodowej, objawiający się w szeregu aktów zbiorowej woli. Dla przykładu, przypomnijmy choćby akcję protestacyjną przeciw traktatowi brzeskiemu. Wzmocniło się ciężenie polityczne i kulturalne trzech dzielnic rozbiorowych do siebie.

Zapewne, że przeciętny obywatel myślał przede wszystkim o dobrobycie. Tak jest jednak zawsze pod każdym stopniem szerokości geograficznej i w każdej epoce. Zapewne, że przez dłuższy okres czasu tylko grupka ludzi była wyrazicielką świadomego dążenia do odzyskania niepodległości. To przodownictwo małych grup spotykamy w każdej akcji rewolucyjnej. Potężne prądy, wstrząsające ludzkością, zanim się wyładują w wielkim wybuchu, uzewnętrzniają się w działalności nielicznych jednostek i szczupłych grup, a jednak nie mniej są potężnymi prądami, wyrażającymi najgłębsze potrzeby i interesy owych pozornie nieobecnych mas. Pod ową akcją garstki tkwiła dojrzałość polityczna społeczeństwa polskiego, bez której akcja ta nie mogła zostać uwieńczona sukcesem.

Rozpatrzenie gospodarczych przesłanek odrodzenia państwa polskiego stanowić będzie ważny odcinek badań. Przypomnijmy tylko dyskusję, jaką w okresie przedwojennym stoczyli socjaliści-niepodległościowcy z socjalistami zwolennikami organicznego wcielenia, dyskusję na temat: czy Polska jest gospodarczo nierozłącznie rynkami zbytu związana z Rosją, czy też rozwój gospodarczy Polski wymaga jej niepodległości politycznej, jako warunku samodzielnej polityki gospodarczej? To zagadnienie obecnie, kiedy mamy już bez porównania więcej materiału, kiedy można je o wiele mniej teoretycznie rozpatrzeć, winno zostać poddane najdokładniejszym rozważaniom. Trzeba stwierdzić, czy dalszy rozwój ekonomiczny Polski nie wymagał jej zjednoczenia, czy zastój i bierność gospodarcza dwóch dzielnic i groźba, że stan ten zapanuje i w trzeciej dzielnicy z chwilą, gdy Rosja rozwinię

swe własne siły produkcyjne, nie czyniły z odbudowania Polski konieczności gospodarczej, ratunku gospodarczego dla tych ziem. Należy stwierdzić, czy obok ciężenia politycznego i kulturalnego ów kompleks ziem, rozdartych na trzy części, nie odczuwał i ciężenia gospodarczego. Procesy ekonomiczne mają to do siebie, że odbywają się znacznie powolniej i znacznie bardziej ewolucyjnie, niż procesy polityczne. Wyzwolenie polityczne jest wstępem do wyzwolenia gospodarczego. Tendencje procesu gospodarczego są jednak siłą popędową procesu politycznego.

Obok momentu gospodarczego badania muszą się zwrócić i ku momentowi geograficznemu. Czynnikiem niezmiennym, a więc skoro przy takich samych warunkach geograficznych Polska upadła i następnie odrodziła się, nie wchodzi on w grę jako jedyny lub najważniejszy moment zjawiska odzyskania niepodległości, ale jako jeden z momentów pomocniczych, działających w związku z innymi. Należy sięgnąć do wyników dyskusji naukowej polskich geografów, do sporu między tezą Nałkowskiego o przejściowości Polski, a tezą Romera, że Polska stanowi pod względem geograficznym zwarty i spójny teren. Rezultat dyskusji nad tem zagadnieniem może przysłużyć się do oświetlenia problemu przyczyn odbydowy państwa polskiego.

W parze z badaniem wewnętrznych przyczyn naszego odrodzenia pójdzie rozpatrzenie warunków zewnętrznych. Przy dociekaniu przyczyn bezpośrednich zewnętrzne przyczyny wysuwają się na pierwszy plan. Do tej kategorii zaliczyć należy t. zw. konjunkturę. Rozwija się ona konsekwentnie. Zaczyna się od momentu skłócenia trzech państw zaborczych i sojuszu trzech państw zachodnich, a więc od sytuacji wprost odwrotnej do sytuacji z okresu rozbiorów. Doprowadza ona do kolejnej klęski wszystkich potęg rozbiorowych i przejścia decyzji w ręce Ameryki i mocarstw zachodnich. Nie tylko nasze wewnętrzne warunki, ale i stosunki wewnętrzne państw zaborczych odgrywają więc rolę przy ustalaniu przyczyn odzyskania przez Polskę niepodległości. Prowadzą one bowiem do wywołania rewolucji we wszystkich trzech państwach zaborczych, która wywarła zrozumiałą wpływ na sposób realizacji polskiego problemu.

Ale nie tylko bezpośrednio przyczyny odbudowania Pol-

ski sięgają swemi korzeniami do czynników polityki zagranicznej, międzynarodowej. Jest to ten moment, który Sokolnicki nazywa automatyczną potrzebą równowagi. Stanowi on jakby refleks naszej teorii propagandystycznej, którą szerzyliśmy w czasie niewoli i przedstawialiśmy każdemu, który chciał jej tylko słuchać, teorii, że upadek Polski był zwichnięciem równowagi europejskiej, a więc faktem, groźnym dla jej pokoju, i że odbudowanie jej jest warunkiem bezpieczeństwa i powrotu na drogę normalnego rozwoju. Dziś istnieje możliwość rozpatrzenia tej teorii bardziej przedmiotowo, a nie pod obuchem potrzeb naszej propagandy.

Należy zastanowić się nad tem, czy można realnie stwierdzić wśród sprzężyn historii jakąś potężną siłę, dążącą do utrzymania równowagi między państwami, i czy istotnie siła ta działa automatycznie, przywracając z powrotem równowagę, gdy została zwichnięta. Czy istnieje jakaś tendencja wyrównania wielkości państw? Nie może być mowy o istnieniu jakiegokolwiek bieżącej zasady równowagi państwowej. Obok wielkich państw istnieją zawsze i mniejsze państwa i nie można stwierdzić żadnej tendencji do powszechnej niwelacji. Równowaga polityczna istnieje niewątpliwie, ale jako ideał polityczny pewnej epoki, a nie jako prawo historyczne. Są inne epoki znów, kiedy panującą formą polityczną jest hegemonja, i epoki te powtarzają się co pewien czas. Historia oscyluje między hegemonją i równowagą. Nie można nawet twierdzić stanowczo, że równowaga polityczna oszczędza ludzkości wstrząsów. Czyż przed upadkiem Polski Europa od wstrząsów tych była wolna, czyż w epoce naszej niewoli nie przeżywała właśnie okresu kilkudziesięciu lat pokoju? A tak zwana pax romana? Jak już wyżej zaznaczyliśmy, Europa w dobie obecnej nie tyle okazuje tendencję do abstrakcyjnej równowagi, ile do rozwiązania zagadnienia narodowego w duchu organizacji typu państwa narodowego. Czyż, gdyby na ziemiach polskich nie mieszkał naród polski, ale gdyby przechodziła przez nie granica etnograficzna rosyjsko-niemiecka, zasada równowagi doprowadziłaby również do powstania jakiegoś tu państwa?

Nie daliśmy tu odpowiedzi na zagadnienia przyczyn odzyskania niepodległości. Ambicją naszą było skreślenie planu badań i rzucenie kilku myśli. Dyskusja jest otwarta.

„GMINA“ I JEJ REDAKTOR¹⁾.

I.

„Gmina“ — pierwsze polskie czasopismo socjalistyczne — stanowczo nie miała szczęścia. Za życia bowiem nie cieszyła się popularnością, krótki swój żywot zakończyć musiała najprawdopodobniej wskutek braku prenumeratorów i wyczerpania nader skromnych zasobów pieniężnych wydawcy, po śmierci zaś szybko uległa zapomnieniu. Dziś śmiało powiedzieć można, że ogół polski nie podejrzewa nawet, by „Gmina“ istniała kiedykolwiek, nieliczna zaś grupka osób, poświęcających się studjom nad rozwojem polskiej myśli socjalistycznej, wie o niej niewiele ponadto, że wychodziła w Genewie w latach 1866 i 1867. Szczupłe, krótkie, ogólnikowe wzmianki o niej spotkać można jedynie w kilku obszerniejszych dziełach, ze względu na swój charakter i wiek nie docierających do szerszych kół. Historia literatury polskiej w osobie Chmielowskiego poświęciła „Gminie“ zaledwie parę drobnych uwag w pracy, wydanej w 1894. Władysław Mickie-

¹⁾ W pracy swej opieram się przeważnie na materiałach, wchodzących w skład bogatych zbiorów Biblioteki Rapperswilskiej. Za swój przyjemny obowiązek uważam złożenie na tem miejscu podziękowań p. dr. Adamowi Lewakowi, dyrektorowi Muzeum Rapperswilskiego, który z niezwykłą uprzejmością nie tylko służył cennymi radami i wskazówkami, lecz także okazał pomoc w wynalezieniu potrzebnych materiałów. Niemniej gorące i szczerze podziękowanie składam p. Stefanowi Dembememu, który na prośbę moją dostarczył mi ze swych bogatych i jedynych w Polsce zbiorów niezwykle cennych materiałów do biografji Józefa Tokarzewicza - Hodiego. Zaznaczyć muszę, że reprodukowana tu fotografia wydawcy „Gminy“ pochodzi również ze zbiorów p. Dembego.

wicz w dziele o emigracji postyczniowej podał jedynie nazwisko głównego jej wydawcy i redaktora, daty wyjścia pierwszego i ostatniego numeru, oraz przytoczył dwa, niekoniecznie szczęśliwie wybrane, wyjątki z ogłoszonych w niej artykułów. Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa, gdy sięgniemy do prac, poświęconych historii rozwoju polskiej myśli socjalistycznej — w całości czy też w jego poszczególnych etapach. Autorowie tych studjów, nierzadko bardzo obszernych, opartych na pierwszorzędnym źródłach, zawsze zaś nacechowanych szczerym, głębokim pietyzmem, kwestję „Gminy“ pomijają zazwyczaj zupełnym milczeniem. Jedynie B. Limanowski w dziele o Worcellu, pisząc o osiedleniu się swym po powrocie z wygnania archangielskiego w Galicji, rzuca krótką uwagę, iż dowiedział się „z artykułów Józefa Tokarzewicza w „Gminie“, wydawanej w Genewie, że na emigracji, w niewiele lat po powstaniu 1830 i 1831 r., pojawili się byli w naszych szeregach głosiciele nowej Ewangelji społecznej, którzy właśnie w socjaliźmie widzieli odrodzenie się narodu i spotęgowanie jego sił w walce o wolność i niepodległość“. Poza tem F. Perl w pracy swej o dziejach polskiego ruchu socjalistycznego uzupełnił dane, przytoczone poprzednio przez Wł. Mickiewicza, pseudonimem głównego wydawcy „Gminy“, dodał parę słów o późniejszym sprzeniewierzeniu się jego młodzieńczym ideałom, w przypisach zaś zacytował odnośny ustęp z dzieła Wł. Mickiewicza. I, jeśli do tego dodamy obszerną pracę Feldmana, zawierającą kilka drobnych, ogólnikowych, pochodzących najwyraźniej z wymienionych już źródeł uwag o „Gminie“, to wyliczymy już wszystko, gdzie znaleźć można jakieś drobne i nikłe ślady istnienia tej pierwszej, szczerze demokratycznej i pełnej zapału rewolucyjnego iskierce polskiego socjalizmu ²⁾).

²⁾ Porównaj: Dr. Piotr Chmielowski — „Zarys najnowszej literatury polskiej (1864 — 1894)“, Warszawa, 1894, str. 94. Władysław Mickiewicz — „Emigracja polska 1860 — 1890“, Kraków, 1908, str. 159 i 160. Bolesław Limanowski — „Stanisław Worcell. Życiorys“. Kraków, 1910, str. VII. Res (Feliks Perl) — „Dzieje ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim“, tom I. Warszawa, Kraków, 1910, str. 23 i 403. Wilhelm Feldman — „Dzieje polskiej myśli politycznej w okresie porozbiorowym“. Kraków, Warszawa, 1920, tom II — str. 58 i 118, tom III — str. 8. Nadmienić muszę, że nie biorę tu pod uwagę dość głębokiego i żywego oddźwięku, jaki znalazła „Gmina“ w wydawnictwach współczesnych. Kwestji tej poświęcam sporo miejsca w dalszym ciągu swego szkicu.

W tym stanie rzeczy kwestja „Gminy“ uważana być musi za dziedzinę nietkniętą jeszcze i nieznaną zupełnie. Stąd pierwsze próby wkroczenia w tę dziedzinę dać muszą w rezultacie obraz niejednolity: miejscami linje będą wyraziste i barwy silnie zgęszczone, podczas gdy dalszy ciąg będzie tylko pobieżnym szkicem. Grupując jednak długi szereg szczegółów, zdobytych w drodze żmudnych poszukiwań, ujmuję kwestję „Gminy“ w całość historyczną i sądzę, że innym pozostanie już tylko trud uzupełnienia i ostatecznego wyświetlenia opowiedzianych przeze mnie wypadków.

* * *

Powiedzenie, że „Gmina“ wychodziła w Genewie, wymaga kilku przynajmniej słów wyjaśnienia. Redaktorzy i wydawcy przez cały czas jej istnienia przebywali we Francji. W Genewie — na Chemin du Marché, Nr. 1, Pré — l'Evêque — mieścił się jedynie jej dział ekspedycyjny. Tu również na prośbę redakcji nadsyłano „wszelkie rękopisma“. Pod tymże adresem przysyłano zapewne przygotowane do drugu we Francji poszczególne numery „Gminy“. Składano ją bowiem i odbijano w Genewie w „Drukarni Słowiańskiej“, w tej samej, z której rzucono w świat znany i głośny „Kołokoł“ Aleksandra Herzena.

Wysokości nakładu „Gminy“ ustalić dziś niesposób, musiał być jednak stosunkowo dość znaczny, skoro wysyłano ją z Genewy do wszystkich większych ośrodków emigracji polskiej w Szwajcarji, Francji, Belgji, w Niemczech, Austrii, Anglji, Grecji, Turcji i w Księstwach Naddunajskich. „Gmina“ wychodziła — „w terminach niewyznaczonych“, zeszytami, objętości czterech dwuszpaltowych stronic każdy. Pierwszy jej numer nosi datę 20 września 1866 r. Trzy następne zeszyty ukazały się kolejno 20.X, 30.XI i 31.XII 1866. Nr. 5 i 6 wyszły jednocześnie, jako zeszyt podwójny, z datą 30 maja 1867. Nr. 7 ukazał się 30 czerwca. Nr. 8 i, zdaje się, ostatni nosi datę 15 lipca 1867³⁾.

³⁾ Pomimo usilnych starań nie udało mi się, niestety, ustalić, ile zeszytów „Gminy“ wydano. K. Estreicher w „Bibl. polsk. XIX stul.“ wymienia jedynie zeszyty 1—4 oraz 7 i 8, pomijając zupełnie podwójny 5/6. O ośmiu tylko numerach mówi również i Wł. Mickiewicz. Tokarzewicz w swych wspomnieniach powiada ogólnikowo, że „Gmina“ wychodziła do

Wydawcami i redaktorami „Gminy“ byli J ó z e f B r z e z i ń s k i i J ó z e f T o k a r z e w i c z, dwaj młodzi, bo po dwadzieścia parę zaledwie lat liczący emigranci polscy. O pierwszym z nich niewiele się da powiedzieć, brak bowiem prawie zupełnie danych biograficznych. Poszukiwania w zbiorach Biblioteki Rapperswilskiej, będącej w danym wypadku jedynym źródłem, dać mogą wyniki bardzo nikłe. Niema żadnej, najkrótszej nawet wzmianki o nim ani w aktach, dotyczących powstania styczniowego i Rządu Narodowego, ani w obszernej korespondencji Zygmunta Miłkowskiego i Agatona Gillera. Jedynie w aktach Wydziału Wojny w Paryżu znaleźć można następujące zaświadczenie: „Niniejszem potwierdzam na własne żądanie Józefa Brzezińskiego, że on ukończył szkoły w Poniewieżu, był w Moskwie na uniwersytecie, utrzymania niema żadnego, chce kontynuować nauki, prowadzenia się dobrego. Paryż, 14 listopada 1864. Podpułkownik Jasiński“⁴⁾. Że dane te odnoszą się do wydawcy i redaktora „Gminy“, przekonać się możemy ze wspomnień Tokarzewicza, który pod datą 1865/66 notuje „znajomość z Józefem Brzezińskim, synem chłopca żmudzkiego, i założenie z nim w jesieni pisma socjalistycznego „G m i n a“⁵⁾. Oto wszystko, a raczej prawie wszystko. Bo, opierając się na pewnych danych, dorzucić do tego można jeszcze dwa — małoważne już — szczegóły. Jak z treści części tytułowej zeszytów „Gminy“ wynika, Brzeziński w latach 1866/67 przebywał stale w Paryżu i, poza

drugiej połowy r. 1867. Wynikałoby z tego, że nr. 8 był ostatnim. Zawieszenie wydawnictwa nastąpić musiało nagle i niespodzianie, nr. 8 bowiem zawiera artykuły niedokończone, których dalszy ciąg ukazać się miał w zeszytach następnych. Dla ścisłości dodaję jednak, że K. Estreicher w IV tomie swej „Bibliografji“ na str. 510 wymienia: „Tokarzewicz Józef — Do emigracji zjednoczonej, — wyjątek z 9-go numeru Gminy“. Nie świadczy to jednak, według mnie, by zeszyt 9-ty ukazał się istotnie. Artykuł, dla niego przeznaczony, wobec nagłego zawieszenia wydawnictwa mógł być wydrukowany i rozpowszechniony w formie ulotki z odpowiednim naddrukiem czy podtytułem. W Bibliotece Rapperswilskiej znalazłem tylko 8 numerów „Gminy“, oprawnych w jeden tom. W bibliotekach lwowskich i krakowskich niema ani jednego zeszytu.

⁴⁾ Akty Wydziału Wojny w Paryżu przy Komisarzu Rządu Narodowego na Francję i Anglję. Rkp. Rapp. 579/1863.

⁵⁾ „Główne etapy życiowe Józefa Tokarzewicza - Hodięgo. W porządku chronologicznym sporządził M(ichał) Fedorowski“. Rękopis ze zbiorów p. St. Dembego.

obowiązkami wydawniczymi i redaktorskimi zajmował się sprzedażą poszczególnych zeszytów swego pisma. Poza tem — z wymienionych już wspomnień Tokarzewicza dowiadujemy się, że w r. 1871 Brzeziński, najwidoczniej pozbawiony wszelkich środków do życia, prowadzi „przedsiębiorstwo zapalania lamp“ w obozie leśnym pod St. Germaine.

Granice jego współpracy w „Gminie“ również nie mogą być oznaczone ściśle. Tokarzewicz w jednym ze swych artykułów, ogłoszonych w parę lat po upadku „Gminy“, nazywa Brzezińskiego wyraźnie jej redaktorem⁶⁾. Najprawdopodobniej opierając się na tem stwierdzeniu, Estreicher w swej „Bibliografji“ podaje, że „Gmina“ wydawana i redagowana była przez Brzezińskiego przy stałej współpracy Tokarzewicza. Mam jednak wrażenie, że było wprost przeciwnie, że Tokarzewicz wydawał i redagował „Gminę“ przy pomocy Brzezińskiego. Powodów tej niewinnej zresztą mistyfikacji nie znam, wiele jednak szczegółów przemawia za słusnością mojego przypuszczenia. Przedewszystkiem kwestja zasilania czasopiśma artykułami. Jeśli wyłączymy artykuły bezimienne, które wyjść mogły z pod pióra tak jednego i drugiego wydawcy „Gminy“, jak i osób, nie wchodzących w skład jej redakcji, to się okaże, że Brzeziński ogłosił dwa tylko artykułiki — krótkie, bo liczące w sumie około 100 wierszy druku. Pierwszy — to „Wyznanie wiary“, umieszczony na czołowym miejscu pierwszego zeszytu, a zawierający szereg postulatów polityczno-społecznych, których „rozpowszechnienie między wychodźstwem polskim“ uznane zostało za jedyne zadanie „Gminy“. Drugi — to „Świadectwo“, umieszczony w 3-im zeszycie, a będący odpowiedzią na zarzuty, skierowane przeciwko „Gminie“ przez poszczególne odłamy emigracji polskiej⁷⁾.

Tokarzewicz pisał znacznie częściej i więcej. Niema ani jednego zeszytu „Gminy“, w którym nie można byłoby znaleźć

⁶⁾ Zob. — „Niepodległość“ — czasopismo, wydawane na emigracji w 1866 — 1870, nr. 78 z 30.IX.1868, Tokarzewicza: „Trzeci list z nad Charenty“.

⁷⁾ Pod artykułami temi widnieje podpis — Zygmunt Bużaniec. Pseudonim ten powstał najprawdopodobniej przez dodanie odpowiedniej końcówki do nazwy wsi Bużany, położonej w powiecie Telszewskim, a więc w głębokiej Żmudzi, w odległości około 100 klm. od Poniewieża, gdzie Brzeziński chodził do szkół.

jego podpisu. Numer 1-y wypełniony został przez niego prawie w całości. Co więcej, kilka artykułów, mających jaknajbardziej zasadnicze znaczenie, Tokarzewicz podpisuje najwyraźniej w imieniu redakcji. Za słusnością wysuniętej przez mnie tezy przemawia poza tem i ta okoliczność, że w wydawnictwach współczesnych kwestję istnienia „Gminy“ łączono jaknajściślej z nazwiskiem Tokarzewicza. Dość wymienić rozbiór pierwszego jej zeszytu, umieszczony przez Kraszewskiego w „Rachunkach z r. 1866“. „Gmina“, ogłaszając w zeszytach 5/6 obszerną odpowiedź Kraszewskiemu, nie robi żadnych pod tym względem zastrzeżeń i sprostowań. Poza tem zaś pamiętać należy, że Tokarzewicz, jeśli już nie w literaturze, to przynajmniej w publicystyce polskiej odegrał rolę niemałą. Jeszcze przed narodzinami „Gminy“ wydawał w Paryżu dwutygodnik „Przyszłość“, będący organem polskiej młodzieży, kształcącej się w zakładach naukowych krajowych i zagranicznych. W latach 1868—69 zajmował stanowisko redaktora wspomnianej już „Niepodległości“. W r. 1870 wydawał w Paryżu „Zmowę“, w roku zaś 1878 — „Listy polskie“. Zasiłał swojemi pracami wiele czasopism krajowych, zwłaszcza w latach 1872—1903, wydał parę powieści i kilka poważniejszych rozpraw, gdy tymczasem Brzeziński karierę publicystyczną zaczął i skończył, zdaje się tylko w „Gminie“.

Jak słusznie zaznaczył już Jeske-Choiński⁸⁾, z danych biograficznych Józefa Tokarzewicza możnaby spleść bardzo ciekawą, bardzo zajmującą powieść. „Gdzie nie był, czego nie widział, czego nie robił. Był na wozie i pod wozem, walczył o byt jak Syzyf, spychany ciągle wypadkami na dół góry życia“.

Urodzony 28 grudnia 1841 r. w Bielsku, w dawnym obwodzie Białostockim, gdzie ojciec jego przez czas dłuższy piastował godność prezydenta miasta, nauki początkowe odebrał w szkółce parafjalnej rodzinnego miasteczka. Później uczył

⁸⁾ W przedmowie do wydanych w r. 1900 jako tom 148 „Bibl. Dzieł Wyborowych“ wspomnień Tokarzewicza p. t. „W dniach wojny i głodu“. Zaznaczyć tu muszę, że ta króciutka, bo na jednej tylko stronie mieszcząca się biografia nie jest wolna od błędów i nieścisłości. Tak np. pisze Choiński, że Tokarzewicz „w r. 1867 redagował „Gońca“, drukowanego w Genewie“. Pisma takiego emigracja polska nie zna. Najwidoczniej chodzi tu o „Gminę“, o której Choiński nie wspomina wcale.

szczał do pięcioklasowej szkoły w Drohiczynie i do gimnazjum klasycznego w Białymstoku⁹⁾. W drugiej połowie r. 1859, ukończywszy studia gimnazjalne, poprzez Petersburg udał się do Moskwy, na uniwersytet, gdzie zapisał się na wydział matematyczny, słuchał jednak głównie wykładów filozoficznych i prawniczych.

Moskwa wraz z całą Rosją, podnieconą przez śmierć Mikołaja I i wstąpienia na tron Aleksandra II, przeżywała w tym czasie okres budzenia się idei wolności politycznej i równości społecznej, okres nadziei i przygotowań do wprowadzenia szeregu reform, okres wreszcie najsilniejszego wpływu Herzena na życie rosyjskie. „Despotyzm Mikołaja — czytamy w jednej z prac, poświęconych historii ruchu rewolucyjnego w Rosji, — nie pozwolił sformować się żadnej opinii publicznej, żadnej partji, nie było więc niczego, coby mogło stawić jakiś opór śmiałości słowu Herzena lub rywalizować z jego pismem; przytem zabronienie go przez rząd było najlepszą rekomendacją. Wszystko szło za nim ślepo: najważniejsze tajemnice stanu były otwarcie omawiane w tem piśmie, a nazwiska agentów, wysłanych do Londynu, by go śledzić, ogłaszano w „Kołokole“ wcześniej, niż ci mieli czas postawić nogę na brzegu angielskim. Działalność Herzena polegała przeważnie na oskarżaniu i krytyce; była to ogromna zasługa, i na ocenę moralną panującego systemu „Wolter rosyjski“ miał wpływ przeważny“. Autor zaś innej, przed dwoma zaledwie laty wydanej pracy o Herzenie, stwierdza niezbić, że pod koniec szóstego dziesiątka lat ub. stulecia „Kołokoł“ był jakby ośrodkiem całego postępowego ruchu w Rosji: czytano go pilnie na dworze carskim, studjowano jego artykuły w „komisjach redakcyjnych“, zwoływanych w związku ze sprawą włościańską, brano się jego oskarżeń i krytyk w gabinetach ministerjalnych. A młodzież? Młodzież, wczytując się w płomienne słowa, dygotała z entuzjazmu; w tajnych drukarniach, organizowanych przez kółka akademickie, odbijała i rozpowszechniała następnie w Rosji artykuły Herzena i Ogarowa. Ulec musiał tym potężnym wpływom i młody Tokarzewicz. Wr. 1867, w związku z dziesiątą rocznicą istnienia „Ko-

⁹⁾ Por.: Tamże, oraz „Encyklopedia powszechna S. Orgelbranda“, tom XIV, str. 517.

łokoła“ pisząc do jego wydawców, mówi o tych czasach: „Odświeżyło się powietrze tą kroplą wolności (reformy, wprowadzone przez cara Aleksandra II bezpośrednio po wstąpieniu na tron), a wiatr zachodni przyniósł nam pierwsze przez kordon graniczny ledwo dosłyszalne wzwieki Waszego D z w o n u. Lękliwy rumieniec nadziei wystąpił na wszystkie oblicza, po szkolnych kajetach biegały wasze wyrazy: uwolnienie włościan od poddaństwa, uwolnienie wszystkich od knuta, uwolnienie Polski od obcej przemocy. Ale już nazajutrz jakiś dziwny żal, jakaś rzewna tęsknota z weselnym przemieszały się hymnem, gdy reskrypt cesarski powtórzył także za wami: „Uwolnienie włościan“. Żal przecież był krótki, tęsknota i wesele wzięły górę i spłotły dłonie wyjeżdżającej do Petersburga, Moskwy, Kijowa młodzieży tą uroczystą przysięgą: życie całe dla Prawdy, życie całe dla uciśnionych i pokrzywdzonych! Pokój wieczny tym, co dopełnili już tej obietnicy!

„Przy katedrze, z której nie wywiął był jeszcze duch Granowskiego, u pomnika Minina i Pożarskiego, na drodze, ku „tamtemu brzegowi“ wiodącej, powoli i spokojnie zsunął się nam w przeszłość promienny czas studjów akademickich. Aż wpadło wasze Resurrexit...“

Toczą się, lecą, pędzą szalonymi skokami wypadki r. 1861. „Nikt nie odgadywał, dokąd zanieś nas ten potok; mimowolnie poddaliśmy się jego sile, choć grunt, co nas zrodził, stał na miejscu, nieruchomie. Gdzie ruch — tam życie, mówiliśmy sobie. Wszystko dla ludu, przez czy pomimo szlachty, przez czy pomimo tych nawet, co w duszy swej śpiwają: Pańszczyznę, wolność racz nam wrócić Panie“¹⁰⁾.

Po dwuletnim blisko pobycie w Moskwie, urozmaiconym krótkotrwałą wycieczką do Petersburga celem odwiedzenia jednego z kolegów, Tokarzewicz w połowie r. 1861, korzystając zapewne z letniej przerwy w nauce, odwiedza strony ojczyste. Poprzez Dyneburg udaje się do Kowna, gdzie parę tygodni spędza w gościnnym domu stryja swego, kapelana w klasztorze Bernardynek.

W Królestwie i na Litwie wypadki polityczne przybierać zaczęły w tym czasie charakter coraz bardziej ostry. Codzien-

¹⁰⁾ Zob.: „Gmina“ Nr. 8, z 15 lipca 1867, Tokarzewicza, „1 lipca 1867, List do A. Herzena i M. Ogarewa”.



ne prawie starcia z policją w Warszawie, poważne zaburzenia w Kaliszu, Ostrołęce i Brześciu Kujawskim, manifestacje lubelskie w związku z rocznicą bitwy pod Dubienką i wywiezieniem na zesłanie generałówny Pustowójtówny, wreszcie starcie bezbronnego ludu z wojskiem w Wilnie na Pohulance oraz wspaniała i głęboka w swej treści manifestacja kowieńska (spotkanie się dwóch procesyj—z Królestwa i Litwy—na moście pod Kownem 12.VIII.1861 w rocznicę Unji Lubelskiej), wszystko to było aż nazbyt wyraźną zapowiedzią poważniejszych wypadków. Czy Tokarzewicz brał udział w manifestacji kowieńskiej — ustalić niestety, nie mogłem. Nie ulega natomiast żadnej wątpliwości, że po wyjeździe z Kowna, znalazłszy się w rodzinnym Bielsku (ogłoszono tam w tym czasie stan wojenny), bierze żywy udział w życiu publicznem. We wspomnieniach swych powiada bowiem, że tkwi w tym czasie „cały w demonstracjach: jeżdżenie, chodzenie, śpiewanie“. Ta żywa działalność zwraca uwagę władz rosyjskich: w jesieni 1861 Tokarzewicz wezwany zostaje do przejeżdżającego przez Bielsk gen. gub. Nazimowa i, po krótkiej rozmowie, skazany na opuszczenie Bielska w ciągu 24 godzin.

Zmuszony do posłuszeństwa władzom, udaje się do Moskwy z zamiarem kontynuowania studjów. Do uniwersytetu jednak nie dotarł. Zawadziwszy „po drodze“ o Petersburg, trafił na jedną z licznych w tym czasie demonstracyj studenckich. Aresztowany, dwa zgórą miesiące przesiedział w twierdzach Pietropawłowskiej i Kronsztackiej. W grudniu 1861, „skazany przez sąd konfirmowany przez cesarza na odesłanie do kraju pod nadzór policji na rok“¹¹⁾, wraca „skarbowym kosztem“ do rodzinnego Bielska, gdzie odrazu nawiązuje nici, zerwane przez interwencję Nazimowa, zaciągając się do tajnej organizacji narodowej.

W dziejach powstania styczniowego zapisał się Tokarzewicz nienajgorzej. Zaciągnawszy się bowiem do jednego z podlaskich oddziałów powstańczych w pierwszych dniach lutego bierze udział w krwawej, uporczywej i długotrwałej bitwie pod Siemiatyczami. Czy był ranny — niewiadomo. Do robienia pozytywnych przypuszczeń w tym kierunku upoważ-

¹¹⁾ „Główniejsze etapy życiowe Józefa Tokarzewicza-Hodiego, rkp. M. Fedorowskiego.

niają następujące jego słowa: „Po bitwie pod Siemiatyczami u De Flenzego w Szelągówce pod Tykocinem“¹²⁾ — trudno bowiem mniemać, by w tak gorącym czasie przez miesiąc cały siedział bez poważniejszego powodu bezczynnie.

W marcu 1863 Tokarzewicz wraca na pole walki. We wspomnieniach swych pod tą datą powiada krótko: „pod Myszyniec“. I tym razem jednak walczył niedługo. Z końcem marca, po rozwiązaniu partji Padlewskiego, który, zniechęcony nieustannemi swarami z Zameczkiem - Cichorskim, udał się w okolice Ciechanowa, oddziałek, do którego należał Tokarzewicz, przedziera się „bez bitwy“ przez Mazowsze i Podlasie, dociera do południowo - wschodnich krańców Lubelszczyzny i w okolicy Tuczap przekracza granicę austracką. Tokarzewicz po krótkim pobycie we Lwowie udaje się do Krakowa, gdzie siedzi, korzystając z gościnności Wacława Dworzeckiego, prawie do końca roku. W wigilję Bożego Narodzenia, uciekając przed aresztowaniem, przez Wiedeń i Strasburg udaje się do Francji.

W Paryżu stanął Tokarzewicz tuż przed nowym (1864) rokiem. Sytuację na nieznanym zupełnie bruku paryskim ułatwić mu znacznie musiały listy polecające do Kalinki, Zaleskiego (Bronisława) i Gałęzowskiego, jakie zabrał ze sobą, uciekając z Krakowa¹³⁾. Bo wkrótce po przyjeździe przyjęty zostaje na kurs wyższy Polskiej Szkoły na Mont - Parnasse, założonej przez księcia Adama Czartoryskiego bezpośrednio po wypadkach 1848/49.

Kurs w szkole był dwuletni. Uczniowie, kończący jej oddział wyższy, byli „w stanie zdać egzamin do szkół dróg i mostów, klasy specjalnej szkoły górniczej w Paryżu, szkoły artylerji i inżynierji wojskowej w Metz oraz do szkół górniczych i dróg i mostów w Belgji“¹⁴⁾. Tokarzewicz, najwidoczniej pozbawiony wszelkich środków do życia, przebywał w tej szkole i w jej internacie „na koszcie skarbowym“. Korzystał przytem z zapomóg pieniężnych, udzielanych niezamożnym emigran-

¹²⁾ Ibidem.

¹³⁾ Ibidem.

¹⁴⁾ „Rocznik Towarzystwa Historyczno - literackiego w Paryżu, rok 1866”. Paryż, Księgarnia Luxemburska, 1867, na str. XLII — XLIV, w rozdziale III p. t. „Szkoła Wyższa Polska” (6 Boulevard du Mont - parnasse).

tom przez jedną z organizacyj emigracyjnych¹⁵⁾. Jednakże pobyt jego w tej szkole nie trwał długo. W czerwcu 1864 opuścił ją — jak sam powiada — „dobrowolnie“, a to wskutek zaburzeń, wywołanych przez redagowane przezeń tajne pismo studenckie „Montparnasse“. O rozbracie ze studjami jednak nie myśli. Przeciwnie, robi potrzebne zabiegi i starania w ministerjum oświaty i w lipcu zyskuje możliwość wstąpienia bez egzaminów na uniwersytet paryski.

Praca naukowa nie może zaspokoić jego energicznej natury. Słuchając wykładów na jednym z wydziałów uniwersytetu, bierze jednocześnie czynny udział w życiu politycznym emigracji. W kołach tych znany być musiał z jaknajlepszej strony, skoro w połowie 1865 wchodzi w charakterze sekretarza w skład delegacji, wybranej w celu rozpatrzenia sprawy niewłaściwego wydatkowania t. zw. sum litewskich¹⁶⁾.

Jednocześnie odgrywa Tokarzewicz jedną z pierwszych ról w życiu młodzieży emigracyjnej. Dzięki jego głównie staraniom na przełomie lat 1864/65 powstaje do życia „Stowarzyszenie międzynarodowe studentów polskich“. Niemile w swych następstwach doświadczenia z „Montparnassem“ nie stłumiły bynajmniej, ani nawet nie ostudziły tkwiącego głęboko w duszy i odzywającego się zapewne od najwcześniejszych lat zamiłowania do pracy w tym kierunku. Obudzona żyłka pisarska odzywa się coraz głośniejsze. W latach 1864/65, pracując na uniwersytecie i w kółkach młodzieży, nosi się z szerokimi planami pisarsko-wydawniczymi, a na wiosnę 1866 przystępuje do częściowej ich realizacji. Przy pomocy bowiem A. D. Bar-

¹⁵⁾ Zob.: Archiwum Rządu Narodowego, teczka I, Dłuski-Jabłonowski Bolesław. Sprawa sum litewskich. Rkp. Bibl. Rapp. Znajdujemy tam w wykazie imiennym słuchaczy Szkoły Wyższej Montparnasse nazwisko Tokarzewicza — a przy niem uwagę — „na koszcie skarbowym“. Tamże w „Wykazie wydatków z sum litewskich, poczynionych na mocy mandatu z dn. 31 października 1863 r. Nr. 2004 przez pułkownika Jabłonowskiego“ znajdujemy: „w kwietniu 1864 — Tokarzewiczowi Józefowi — 100 franków“.

¹⁶⁾ Arch. Rządu Nar. Sprawa sum litewskich. Teczka - korespondencja B. Dłuskiego - Jabłonowskiego. Rkp. Bibl. Rapp. Delegacja ta liczyła kilkunastu członków. W skład jej, poza Tokarzewiczem, wchodził m. in. Wacław Przybylski, Antoni Giedroyc, Konstanty Henszel, Józef Władczyński, płk. Bitis, płk. Swolkień, płk. Kusztejko, i, zdaje się, Józef Brzeziński, późniejszy współredaktor „Gminy“.

toszewicza i L. Masłowskiego zakłada dwutygodnik „Przyszłość“ — organ poprzednio do życia powołanego stowarzyszenia akademickiego. W artykule „Nasze zadanie“, umieszczonem na czołowym miejscu 1-go numeru (z dn. 1.IV 1866), Tokarzewicz, powtarzając główne ustępy poprzednio wydanego prospektu, pisał:

„Przyszłość“ ma być organem polskiej młodzieży kształcącej się w rozmaitych krajowych i zagranicznych zakładach naukowych, sprawozdawcą prac i usiłowań, podejmowanych przez nią nad zdobyciem wiedzy, tłumaczem tych jej potrzeb, które wynikają bądź z ogólnego stanu oświaty w Polsce, bądź z czasowego położenia, w jakim ostatnie krajowe wypadki wszystkich nas postawiły.

„Usuwając zgóry wszelkie cele i dążności polityczne, grające tak poważną rolę w życiu dzisiejszego pokolenia, że bez wzmianki o nich nawet nasz Prospekt obyć się nie potrafił, i ograniczając się do przedmiotów czysto naukowych — czy to szkolnych raczej — Redakcja tego pisma zarazem dokładnie wyznaczyła drogę i punkta, po której i do których iść zamierza.

„Zapewne — przy środkach iście studenckich drogi te nie są szerokie, punkta nie odległe, zato niewątpliwie bezpieczne i pewne. Sam rozkład pisma, same jego ramki dadzą o tem niejakie wyobrażenie:

„Dział pierwszy, poświęcony jedynie pracom Redakcji, zawierać będzie artykuły wstępne o głównych bieżących kwestjach wychowania fizycznego u nas i zagranicą; dział drugi — sprawozdania z odczytów sławniejszych profesorów i rozprawy z dziedziny nauk przyrodzonych, ekonomji politycznej, historii i filozofji; dział trzeci — rozbiory elementarnych dzieł naukowych; dział czwarty — korespondencje z wyższych zakładów naukowych w Europie, do których Polacy liczniej zwykli uczęszczać; dział piąty — rozmaitości“.

W tymże artykule Tokarzewicz, spojrzawszy na „stan kraju naszego, na niepogojone jego rany, nędzę i ciemnotę ludu, małość mieszczaństwa, zniechęcenie i niemoc klas, wyższemi zwanych“ — na „urobione krwią i łzami zagony ojczyste, karłowaty, spaczony, nieswojski handel i przemysł miasteczek, ruinę wielkich i małych majątków ziemskich“ — stwierdza, że „pole tu do pracy szerokie, jak przyszłość, a na

niem tyle kłólu, co klęsk w dziejach naszych“, zapytuje: „Któż stanie do walki ze złem, kto dobre zasieje?“ — i odpowiada: „Młodzież, bo do niej jedynie jutro należy“...

Wołania te jednak nie obudziły nigdzie żywszego echa. Jeśli wierzyć można J. I. Kraszewskiemu, który we wspomnianych już „Rachunkach z r. 1866“ strął się wykazać dobitnie, że nikt prawie nie znał „tych kilku pism z barwą rewolucyjną i socjalną, biednie i z boleścią wychodzących w emigracji, rodzących się dziś, a jutro umierających na suchoty“, „Przyszłość“ — „pismo niewinne, zajmujące się kwestjami wychowania“ — miało w kraju (Poznańskie) jednego tylko prenumeratora. Nie o wiele lepiej przedstawiała się ta sprawa i na emigracji. Mimo jednak wielu kłopotów i trudności, wiara i zapał nie opuszczają młodych wydawców pisma. W nr. 3 z 1 maja 1866 r. Tokarzewicz w imieniu redakcji zapewnia, że „Przyszłość“ od dnia dzisiejszego ulepszać się tylko i upiększać może, gdyż dzięki zachęcie miejscowych i zamiejscowych kolegów — coraz szczerzej nad nią wszyscy pracować będziemy“. Ale słowa uznania i zachęty nie mogły mieć większej wartości w walce z kłopotami pieniężnymi. W nr. 8 z 1.VIII 1866 r. znajdujemy zawiadomienie, że „dla braku obecnie środków materialnych — „Przyszłość“ — aż do polepszenia się stanu naszych finansów raz tylko na miesiąc będzie wychodzić“. Polepszenie jednak nie nastąpiło i w dwa miesiące potem bezpośrednio po wydaniu 10-go zeszytu wydawcy „Przyszłości“ pogodzić się musieli z myślą o konieczności zawieszenia wydawnictwa.

Dla ścisłości nadmienić muszę, że dwa pierwsze jego zeszyty podpisał Konstanty Henszel, który nie brał wcale udziału w pracach redakcyjnych i tylko na osobistą prośbę Tokarzewicza pozwolił na umieszczenie swego imienia i adresu na tytułowej stronicy¹⁷⁾. Pozostałe zeszyty podpisał Adam Dominik Bartoszewicz, późniejszy wydawca „Biblioteki Mrówki“. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że redakcja trzech czy nawet czterech pierwszych zeszytów spoczywała w ręku Tokarzewicza¹⁸⁾. Do wystąpienia ze składu redakcji w maju czy

¹⁷⁾ Zob. — „Przyszłość“ — zeszyt III z 1 maja 1866, str. 24. Notatka Tokarzewicza — „Od Redakcji“.

¹⁸⁾ Píše o tem wyraźnie na podstawie słów Tokarzewicza Fedorowski w „Główniejszych etapach życiowych“. Poza tem w „Gminie“ Nr. 5/6



JÓZEF TOKARZEWICZ - HODI
(25.I.1913).

Do artykułu Wł. Pobóg - Malinowskiego.



Stoją: Edmund Weisberg (Wieliški), Feliks Siedlecki, Semen Wityk, Ludwik Siedlecki (Sawa Kryłacz), Marjan Wieleżyński, ?, Aleksander Wieleżyński. Siedzą w 2-gim rzędzie: Janina Rylska (Ludwikowa Siedlecka), Olga Opitzówna, Józefa Siedlecka, Zofja Kachnikiewiczówna, Stanisław Kachnikiewicz. Siedzą w 1-ym rzędzie: Zygmunt Kisielewski, ?, Jakób Knopf.

Do artykułu St. Siedleckiego.

czerwcu 1866 r. skłoniły go zapewne nowe otwierające się możliwości wydawniczo-pisarskie.

Jako współpracownik „Przyszłości” Tokarzewicz nie rozwinął szerszej działalności publicystycznej. Bo poza wspomnianym już artykułem wstępnym i cytowaną również notatką od redakcji w komplecie „Przyszłości” znajdujemy jeden jeszcze tylko, niedokończony, artykuł p. t. „Kwestje żywotne”¹⁹⁾. Czytamy tam m. in.: „Cywilizacja nasza złożyła się z faktów i danych, jakie prawo historyczne — prawo tak skomplikowane, że się kupą niepowiązanych przypadków wydaje — na ziemię naszą napędziło. Świat barbarzyński, zdobycze rzymskie, Chrystusowy zasiew, mądrość starożytnych, nauka nowoczesna — szło to w pozornym nieładzie łączyć się, ścierać i osiadać jakby w geologiczne pokłady. Uformował się ład stały, poprzedziany skalistymi korytami podziemnych wulkanów — rewolucyj, podmyty powolniejszymi i łagodniejszymi wpływami potrzeb, które klimat lub miejscowość wyrażały. Powierzchnia tak ukształtowanej gleby — to terazniejszość. Każda rzecz na niej, każdy fenomen jest rezultatem tysięcy odpowiednich poprzedników: wszystkie pierwiastki naszej pomyślności są jej organicznymi przymiotami, wszystkie choroby wieku chronicznymi jej chorobami. Chcąc je poznać i zbadać, trzeba sięgnąć do gruntu, do granitowych nieraz posad. Gdyby ludzkość, gdyby narody żyły życiem jednostek, ani takich przymiotów skrzywić, ani takich chorób wyleczyć niktby nie potrafił bez zniszczenia organizmu. Ale ogół ma własność nieznaną w jednostkach, własność odmładzania się; jest w nim feniks, wiecznie z popiołów powstający: dzieci i młodzi”.

Artykuł ten jest — jak nadmieniałem — niedokończony. Z ostatnich jego słów wynika, że w dalszym jego ciągu autor miał zamiar zająć się kwestjami pedagogiczno-społecznymi, w zmianie bowiem kierunku wychowania dzieci i młodzieży widział nieodzowny warunek zmiany samego życia. Do reali-

z 30.V.1867, w korespondencji z Paryża, znajdujemy wzmiankę: „Kochany Redaktorze!... „Przyszłość”, dziennik Stowarzyszenia Uczniów Polaków, której w początkach byłeś redaktorem, na 10-ym numerze zakończyła swój żywot...”.

¹⁹⁾ Zobacz „Przyszłość” Nr. 4 z 15.V.1866, str. 27—29.

zacji tych zamierzeń jednak nie doszło — najprawdopodobniej z powodu nielekkiej i niemałej pracy nad utorowaniem drogi dla mającej powstać „Gminy“, — pracy, która pochłonać musiała sporo energii i czasu.

Prawie „nikomu nieznan, niedoświadczony, od dnia wczorajszego dopiero żyjący w owym świecie szlacheckim, który wspólnie z ojcami“ przywykli „napół za swój, napół za obcy uważać“ Brzeziński i Tokarzewicz występują z piśmiem, „drukowanym za grosz, zebrany kosztem dni, spędzonych o suchym, literalnie o suchym kawałku chleba“, występują „z ideą, na której rozpowszechnienie“ — jak sądzą — „zabraknie życia“²⁰). W „Wyznaniu Wiary“, umieszczonym na czołowym miejscu pierwszego zeszytu „Gminy“, dają wyraz przekonaniu, że „reorganizacja obecnego ustroju społecznego w ziemiach, niegdyś Rzeczypospolitą Polską składających, dokonana na zasadzie starodawnych urzędów gminnych, a zastosowana do ducha potrzeb i dążeń nowoczesnych“ — jest „jedyną podstawą, na której przyszłość Polski szczęśliwie i spokojnie rozwijać się może“, jest „jedynym hasłem, na które lud nasz w przyszłej walce o niepodległość milczeniem nie odpowie“. — „Obalenie dzisiejszego układu państwowego na ziemiach polskich dla i przez federację ludów słowiańskich — oto niezawodna rękojmia trwałości takiej reorganizacji“. — „Porozumienie się przedstawicieli rewolucyjnych stronnictw w Słowiańszczyźnie dla obmyślenia i przeprowadzenia ogólnego w niej powstania zbrojnego — oto najkrótsza droga do dopięcia dwóch tych celów“.

A tuż pod „Wyznaniem Wiary“ — na tej samej stronie i w tej samej kolumnie umieszczono list otwarty do Aleksandra Herzena i Mikołaja Ogarewa, redaktorów płomiennego „Kołokoła“: — „Panowie! Przychodzimy połączyć z pracami waszemi nasze młodzieńcze usiłowania. Chcemy mówić Polsce, jak wy Rosji, że jedynym słowiańskich ziem wrogiem jest własna ich nieudolność, własny ich nierozum, z których rządy ciemiejskie a podłe zręcznie tylko korzystają. Pragniemy zerwać z podniesionej w r. 1831 chorągwi: „za waszą i naszą wolność“, świeżemi kłóskami zasiane pyły, obejrzyć materiał,

²⁰) Zob.: „Gmina“, zeszyt trzeci z 30.XI.1866, w artykule p. t. „W sprawie p. Siwińskiego“.

z którego się składa przyszłego bytu naszego budowa, i jeden do niej rzucić kamyczek. Dzieci miejsc, czasów i wypadków, różnych od tych, jakie waszymi były mistrzami, może w niejednym takt do wspólnej mszy dzwonić będziemy, może głos nasz pierwej zamrze na ustach, nim do serca trafi rodaków, nim wy z wież Nowogrodzkich na wielkie Słowiańskie wiece wzywać będziecie, może nas samych pochłonie ta straszna przepaść namiętności, co z waszej ojczyzny kata, a z naszej męczennicę uczyniła: Idźmy przecież i walczmy razem, choć nierównymi siłami. Wy tak naszym cierpienie cierpieniem, jak my waszym płoniemy wstydem...”

Herzen niedługo czekać kazał na odpowiedź. W listopadowym zeszytcie swego pisma, zawiadamiając czytelników o narodzinach „Gminy“, zaznajomił ich z jej programem polityczno-społecznym, podał w tłumaczeniu parę ustępów z listu otwartego jej wydawców i, stwierdziwszy w końcu, że z pierwszego zeszytu „wieje młodością i świeżością“, zapewnił, że szczerze wyciąga swe dłonie do młodych towarzyszy, bojowników z pod wspólnego sztandaru ²¹⁾).

I stwierdzić należy, że szczerze słowa Herzena były jedynym głosem uznania i zachęty. Zewsząd bowiem rozlegały się krzyki protestu i oburzenia. Wystąpiono tak na emigracji, jak i w kraju ze słowami ostrego potępienia dla młodego redaktora, który w obszernym artykule, zajmującym ponad $\frac{3}{4}$ pierwszego zeszytu, „ośmielił się“ w sposób nader jaskrawy oświetlić całą przeszłość Polski. Zaprotestowano głośno, energicznie przeciwko uznaniu przezeń starosłowiańskiej gminy za „wzór, według którego modelować się miała Słowiańszczyzna współczesna“. Obarczono zarzutem, że w środkach do przeprowadzenia nakreślanych celów okazuje się niebezpiecznym rewolucjonistą i — widocznie w nadmiarze oburzenia i troski o przyszłe losy Polski — posądzono go o obłąd, o ciężką chorobę umysłową. Szczupłe ramy artykułu nie pozwalają mi, niestety, na obszerniejsze omówienie tej niezwykle w szczegółach ciekawej „burzy“. Ograniczę się więc jedynie do wypadków, najbardziej jaskrawych i charakterystycznych.

„Wiara“ — pismo, wydawane w Paryżu staraniem Stowarzyszenia Kapłanów Polskich na Emigracji, a pod redakcją

²¹⁾ Zob.: „Kołokol” Nr. 229 z 1 listopada 1866, str. 1875, art. Iskandera (A. Herzena) p. t. „Gmina”.

księdza Kazimierza Żulińskiego — uważała Tokarzewicza za „nauczyciela, ale nie organicznej pracy, nie stawiania, lecz protestu i burzenia“; zapewniała przytem swych czytelników, że wydawcy „Gminy“ — „nie dopną założonego programu reorganizacji społeczeństwa polskiego i, zdaje się, że się nie omylili, mówiąc przeczuciem do redaktorów „Kołokoła“, że „może głos nasz pierwszej zamrze na ustach, nim do serca trafi rodaków“. Bo też głos i ton „Gminy“ to nie rodem z Polski, to echo radykałów i socjalistów ognistego stylu, jakich wykształca Zachód, do dziś jeszcze nieuspokojony po wielkiej rewolucji — to naśladownictwo tych, z pracami których wydawcy „Gminy“ chcą łączyć swe młodzieńcze usiłowania, chociaż już teraz niejeden ustęp „Kołokoła“ zawstydziłby „Gminę“, że lepiej od niej pojmuje przeszłość i przyszłość Polski“. „Wiara“ starała się przytem przekonać „szanownych wydawców „Gminy“, że propaganda ich nie trwoży nas wcale, bo się przyjąć na gruncie polskim nie może; ale nie przestaje ona jednakże nas boleć, że może trawić i nihilizować niejedno gorące serce, niejeden młody umysł“²²⁾).

Wychodzący w Londynie „Głos Wolny“ uważał „Gminę“ za „ciekawe i oryginalne w swoim rodzaju zjawisko“. „Smutno zaprawdę pomyśleć — pisał — jak pokrzywione, jak niedoważone i chorobliwe pojęcia wyrabia niewola narodu. Wczoraj słyszeliśmy wynalazców „prawdy chrześcijańskiej“, dziś występują federaliści słowiańscy, którzy na zasadzie starodawnych urzędzeń gminnych, dla i przez federację ludów słowiańskich, przez porozumienie się z przedstawicielami rewolucyjnych stronnictw w Słowiańszczyźnie — chcą zbawić Polskę“. Uważając, że „zarozumiałość i płochość rzadko dalej sięgnęły“ niż w wypadku „Gminy“ — „Głos Wolny“ radzi jej wydawcom, by „tego, co im w uniwersytetach moskiewskich o przeszłości Polski wykładano, nie brali za ewangelję, ażeby — zanim rzucą kamieniem na własny naród — bliżej i wszechstronniej przypatrzyl się jego dziejom“²³⁾).

Wychodząca w Paryżu — podówczas pod redakcją Aleksandrowicza — „Niepodległość“ — nazwała „Gminę“ —

²²⁾ „Wiara“, zeszyt październikowy 1866, art. „Gmina“, na str. 132 — 138.

²³⁾ „Głos Wolny“, nr. 118, z dn. 10.X.1866 na str. 477 — 478 w artykule pod ogólnym tytułem „Emigracja“.

„arcyciekawem zjawiskiem“: „wydana bowiem na emigracji i w języku polskim, w treści swojej i w duchu jest czystą parafrazą najzaciętszych przeciwko Polsce deklamacyj gazet moskiewskich i „Warszawskiego Dziennika“, który, jak wiadomo, ani przychylnością dla Polski, ani umiarkowaniem, ani też uczciwością nie grzeszy“. „Sami Moskale nawet w asymilacyjnych robotach, a raczej przewrotach swoich nie ośmielają się targnąć na instytucje osobistej własności ziemskiej, chociaż zapewne radziby byli lud nasz narówni z moskiewskim ludem postawić i moskiewską w całej Polsce zaprowadzić obszczybę. Wydawcy „Gminy“ nie cofają się jednak przed żadną trudnością, nie zrażają się żadnym niebezpieczeństwem. Istotnie, wielkiej i arcywielkiej odwagi odmówić im nie można²⁴⁾.

W fali protestów i oburzenia nie brakło również i głosu ludzi, zajmujących w społeczeństwie polskim stanowiska czołowe. Kraszewski, pisząc w jednej ze swych prac o nader nikłej popularności wydawnictw emigracyjnych, nie ukrywa wcale swej radości, że „o „Gminie“ p. Tokarzewicza, piśmie komunistyczno-socjalnem ledwie się może z tych słów czytelnicy nasi dowiedzą. Bolejemy nad chorobą umysłową, która w dobrej wierze takie doktryny propaguje — ale dosyć im wyjść na biały świat, aby straciły siłę. Z p. Tokarzewiczem prędzejby się zgodził Milutyn i Katkow, niż spradkobiercy dziesięciowiekowej cywilizacji i zwolennicy historycznego prawidłowego rozwoju, który najprostsza, choć wolną drogą, kosztem najmniejszym, bez rozlewu krwi i zaparcia się zasad moralnych—prowadzi do celów, społeczności wytkniętych“²⁵⁾.

Nadmienić należy, że „Gmina“ w wyjątkowych tylko wypadkach odpowiadała na liczne napaści. Zazwyczaj ograniczała się do kilku słów, do krótkiej prośby o jakieś sprostowanie — gdyż, jak pisał Tokarzewicz — „dzienniczek swój założyliśmy dla propagowania wyznawanych przez nas zasad, nie zaś dla kłótni...“

Niezwykle trudne — jak na owe czasy — stanowisko ideowe „Gminy“, zgodny chór protestów przeciwko jej postu-

²⁴⁾ Zob.: „Niepodległość“ Nr. 8 z 20.X.1866, str. 3 i nr. 11 z 20.XI.1866, str. 2 i 3 w artykule E. Siwińskiego o „Gminie“.

²⁵⁾ Zob. — Bolesławity (Kraszewskiego): „Z roku 1866 Rachunki“. Poznań, 1867, u Żupańskiego, str. 133—139 w rozdziale p. t. „Wychodźstwo“.

latom polityczno-społecznym, nie mogły, naturalnie, sprzyjać jej rozwojowi. Sytuację pogarszał opłakany stan materialny wydawców. To też zgodnie z ich przeczuciami dziecię ich ukochane, utrzymywane z wielkim trudem przy życiu „kosztem dni, spędzonych o suchym kawałku chleba“, zmarło, nie dotarłszy wcale do serca rodaków. Nie bez wpływu na tę śmierć pozostaje zapewne i nagły, przymusowy wyjazd Tokarzewicza z Paryża. W połowie bowiem 1867, tuż przed wystawą paryską, rząd francuski „zapropozował“ mu wyjazd ze stolicy do jednego z departamentów Francji środkowej. „Odwołałem się do gościnności hr. Ludwika de Fleury, dziedzica zamku Beau-regard w pobliżu Civray (dep. Vienne). Odpowiedział zwięźle, niemal przysłowiem: „za moją bramą — jak u Pana Boga za piecem“. Bawiłem tam czas dłuższy, a gdy następnie wypadło znaleźć sobie obowiązek chlebobójny, otrzymałem za pośrednictwem p. Mickaniewskiego, inżyniera-inspektora kolei Orleans-Boredeaux, zajęcie o tyle ruchliwe, że wieczorny spoczynek wydawał się istotnie rajem. Wtedy to rozpocząłem poczet listów p. t. „Z nad Charenty“ do czasopisma, wychodzącego w Paryżu pod redakcją ś. p. Stanisława Jarmunda“²⁶⁾.

Czasopismem tem była „Niepodległość“, tak niedawno jeszcze zwalczająca zaciekle młodego wydawcę „Gminy“. Dwukrotna jednak w ciągu dwóch lat zmiana na stanowisku redaktora²⁷⁾ pozwoliła puścić w niepamięć dawne urazy. Po raz pierwszy spotykamy się z podpisem Tokarzewicza w nr. 67 z dn. 10.VI. 1868 pod artykułem „System odrębnego działania“ — poświęconym w całości sprawom emigracyjnym. W nr. 75 i 76 z 30.VIII i 10.IX.1868 znajdujemy dwa pierwsze listy z nad Charenty pod ogólnym tytułem „Ludzie, Rzeczy, Zasady“, zaopatrzone w odsyłacz redakcji: „W szeregu artykułów, które pod tytułem listów z nad Charenty ogłaszamy, zdarzyć się mogą szczegóły, na które redakcja tylko z pewnymi zastrzeżeniami zgodzićby się mogła, ogólna jednak myśl i jędrne i zdrowe zapatrywania się autora na najżywotniejsze kwestje skłania nas nietylko do zamieszczenia tej pracy w pi-

²⁶⁾ Zob. — Tokarzewicza: „W dniach wojny i głodu“. Wspomnienia. Bibl. Dz. Wyb. Nr. 148, Warszawa, 1900, str. 60 i 61.

²⁷⁾ Redaktorami „Niepodległości“ byli kolejno: Aleksandrowicz, Stanisław Rownia, Zygmunt Miłkowski, Stanisław Jarmund, Walerjan Wróblewski i Tokarzewicz.

śmie naszym, ale nadto do podziękowania szanown. współpracownikowi za udzielanie nam swych poglądów“. Dwie następne, a zarazem i ostatnie korespondencje z nad Charenty (nr. 78 i 83), ogłoszono już bez żadnych zastrzeżeń ze strony redakcji.

Cztery te listy nie składają się bynajmniej na całość dorobku, powstałego na wygnaniu. Tokarzewicz pisał i wysłał ich znacznie więcej, nie wszystkie jednak zostały opublikowane. „Pozostał w tece (redakcyjnej) zwitek rękopisów, który przeczekał dwa oblężenia Paryża, odbył kilka podróży wzdłuż Europy i ostatecznie dochował się po dziś dzień“ — pisał Tokarzewicz w swych wspomnieniach w r. 1900. Najprawdopodobniej tylko brak miejsca nie pozwolił na ich ogłoszenie w „Niepodległości“, trudno bowiem przypuszczać, by jakieś inne względy odegrać tu mogły rolę, skoro w r. 1869 Tokarzewicz — bez pozwolenia rządu — wraca z wygnania do Paryża, obejmuje redakcję „Niepodległości“ i pozostaje na tem stanowisku aż do dnia 1 stycznia 1870. Szerzej jednak działalności publicystycznej w tym czasie nie rozwinął. W zeszytach „Niepodległości“, które wyszły pod jego redakcją (nr. 92 — 113), znajdujemy jedynie dwie jego prace, a mianowicie artykuł programowy „Sami czy z Towarzystwem Demokratycznym“, będący wnioskiem, wyniesionym „z posłuchania u jen. Mierosławskiego“ (w kwestji połączenia się zjednoczonej emigracji polskiej z Towarzystwem Demokratycznym), oraz list do Komitetu Zjednoczonej Emigracji o ogólnym charakterze „Niepodległości“. Oto wszystko, jeśli nie liczyć kilku odezw i listów otwartych, podpisanych wspólnie z innymi przedstawicielami emigracji, tudzież kilku drobnych notatek w sprawach redakcyjnych.

Z prac, ogłoszonych w „Niepodległości“, najbardziej ciekawymi i najbardziej zarazem charakterystycznymi są „Listy z nad Charenty“ — zwłaszcza dwa pierwsze. Zapewniwszy we wstępie do nich, że będzie „mówić o ludziach, rzeczach i zasadach, t. j. o wszystkim potrosze, ale zato bez płochy lekkości i bez profesorskiej powagi, — ot tak: szczerze, uczciwie, po bratersku“ — pierwszy z nich poświęca Bosakowi-Haukemu i Bulewskiemu, a to z powodu wydanych przez nich odezw do Polskiego Ogniska Republikańskiego, liczącego zaledwie 29 członków i bogatego tak, że „fundusze jego nie przenoszą 61 fr. i 20 ctm.“ Wytknąwszy sporą garść błędów stylistycz-

nych i ortograficznych, popełnionych w odezwie przez Bosaka, Tokarzewicz cytuje prośbę jego do członków Ogniska „o zawiadomienie go, komu z nich — jemu czy Bulewskiemu — chcą powierzyć wyłącznie mandat przedstawiciela Ogniska“ i oświadcza, że „gdybyśmy należeli do Ogniska, zato już samo taki wot posłałibyśmy Bosakowi: a n i j e d n e m u, a n i d r u g i e m u. Zapewne, każdy ma prawo podać się, podać siebie na kandydata — choćby do tronu królewskiego, ale jest rzeczą politycznie niemoralną i nierozsądną przedstawiać się nawet do Przedstawicielstwa temi słowy: „albo ja, albo ten oto jegomość“. I nikt więcej? A gdzież prawa osób trzecich, piątych i dziesiątych? Jeżeli zaś — jak mówią, dyktaturę bierze się, a nie daje (Ludwik Bulewski przedstawicielstwo Bosaka nazwał dyktaturą, przyp. mój) — to czegoż ob. Bosak swe odezwy drukuje? Biedna Polska! Nikt w niej nawet porządnego coup d'état zrobić nie potrafi!“ W dalszym ciągu, cytując zapewne Bosaka, że pozostanie on wiernym Republikańskiemu Sojuszowi, równie jak i jego programowi — „w tekstualnem jego znaczeniu“, t. j. „iż tylko lud wszechwładny w przyszłej niepodległej Polsce prawo o zarządzie i własności ziemi ostatecznie postanowi i wolą swą uświęci“ — pisze Tokarzewicz: „Zaiste, nasza polityczna edukacja na bardzo niskim jest jeszcze stopniu. Jeżeli takim mużułmańskiem opuszczeniem rąk zwalimy wszelkie: społeczne, ekonomiczne, prawne kwestje na głowę... izby poselskiej w przyszłej Polsce, cóż się stanie z nią biedną? Przyjmie zapewne jednozgodnie i bez rozpraw wszystkie rządowe projekta i, zażądawszy, aby posłom darmo M o n i t o r a przysyłano, rozjedzie się w kilka dni do domu, z okrzykami: niech żyje Gospodar, Dyktator czy Imperator! — wszystko jedno. Któż nie wie, że natchnieniem Ducha Świętego prawa się nie rodzą, że aby lud miał „wolę stanowienia o zarządzie ziem i o własności“, trzeba, aby pierwaj miał o tem jakiegokolwiek poza dziedzinę prostego empiryzmu sięgające pojęcie i że właśnie na wyrobieniu w ludzie, a przynajmniej na przygotowaniu dlań odpowiednich duchowi czasu pojęć polega cała rola prawdziwie republikańskich ognisk...“

Drugi list z nad Charenty poświęcony jest sprawie odsłonięcia w dn. 16.VIII.1868 r. pomnika polskiego w Rapperswilu — ściślej, mowie wygłoszonej z tej okazji przez Ujejskiego.

„Z naszych łez i za wolność wylanej krwi — wołał do zebranych Ujejski — powstałoby mogło takie wielkie jezioro, jako to przed nami; z naszych mogił na polach w ciągu stu lat bitew urosłaby góra, góra tak wysoka, jako jedna z tych Alp; nasza męka wystarczy na odkupienie grzechów całego świata. Jesteśmy narodem, w który wciela się Chrystus. Jako taki, nasz naród nie staje przed wami z jękiem żebraka, chociaż jego łachmany wiszą na nim, ale staje on z powagą i z pewnością wielkiego bogacza ducha“²⁸⁾.

Ten mesjanistyczny charakter przemówienia nie podobał się Tokarzewiczowi. „Precz z mistyfikacją, prorocy i kapłani!“ — woła on w świętem oburzeniu. — „Znane są każdemu z nas potrochu przesady i zabobony poczciwego ludu... Wiemy, co się u niego cudem, a co czarami nazywa... niema na bożym świecie zjawiska, któregooby chłop pod kategorię cudów lub czarów podciągnąć nie potrafił... Dobroczynny wpływ religii chrześcijańskiej zmodyfikował tę filozofję dualizmów i dziś wieśniak nasz przyczynę wszystkich swych powodzeń, klęsk, zmartwień i radości częściej wyrazem Bóg, niż czar lub cud tłumaczy...“ W objaśnianiu „zjawisk dziejowych, politycznych i społecznych nowatorowie nasi i wynalazcy praw chrześcijańskich są czysto ludowymi nowatorami i wynalazcami“. Logika ich ma „swój sens, swój cel, swoją dążność — dążnością zaś tą jest: uśpić realną samodzielność narodu w kontemplacjach nieznannej, nieoznaczonej, pozaświatowej jakiejś potęgi; uwagę jego od przedmiotów dzisiejszej, natychmiastowej, ziemskiej wartości zwrócić w stronę nieokreślonych i niepochwytnych ideałów; rozpustnie rozegrać fantazję człowieka, aby tem łatwiej wolą jego zawładnąć; niebieskimi chmurami miłości i poświęcenia zaćmić wzrok bliźniemu i z pod nóg jego tę nędzną i brudną (o! brudną w istocie) ziemię wytrącić; wiarą w fatalność, w zewnętrzne pomoce i nadprzyrodzone talizmany zabić wiarę we własne siły, we własne natchnienie, we własną wolność; rozum objawieniem zastąpić“. Oto, czem jest i czego chce od nas, według Tokarzewicza, „teorja duchów“ — której „ojcem prawowitym“ był Towiański, a którą wprowadził do historii literatury A. Mickie-

²⁸⁾ Zob. — Sprawozdanie z uroczystości rapperswilskich w nr. 74 „Niepodległości“ z dnia 20.VIII. 1868 na str. 6.

wicz („nie poeta, lecz ten drugi, obłąkany“), do historii politycznej — Franciszek Duchński, do polityki zaś emigracyjnej „Świętorzecki w spółce z ks. żulińskim“. Jak widzimy, pozytywizm, wyzierający do nas już z kart „Przyszłości“, tym razem przemówił silniej i jaskrawiej.

A Zachód? Zachód, któremu Ujejski w mowie swej błogosławił i któremu odrodzenie obiecał? Czemżeż zaimponować mu możemy, z czemżeż „przed nim wyjeżdżać“? Zwolennicy „teorii ducha“ na wypadki warszawskie z r. 1861 i na manifestacje przedpowstańcze wskazują jako na objawienie tych sił moralnych, któremi „zdobyliśmy na nas samych równouprawienie wyznań, kast i narodowości“. A na Zachodzie — woła Tokarzewicz — lud „już przed stoma laty zdobywał... Bastylę ciemństwa i przed stoma laty kolumny wolności stawiał...“ „Nie! niema u nas ludzi. Czego się dotkniesz, gdzie spojrzysz — chaos, pomieszanie języków, wojny przeciw pojęciom, wojny przeciw nieprzyjaciołom rodziny i własności, ligi pokoju, republikańskie związki powszechnie, przesada sentymentalizmów, słabizna myśli — i natężona wszystkich uwaga w kwestji propinacyjnej. Biedny ty nasz orle biały! Zawcześniś na kolumnie rapperswilskiej różwinął skrzydła do lotu. Nie poznasz się w rodzinnem gnieździe. Przyjmą cię za sowę, bociana, za Ducha Świętego, ale za godło przyszłości, potęgi i chwały Polski — ani się nie spodziewaj!...“

Tak oto przedstawia się Tokarzewicz, jako współpracownik „Niepodległości“. Jak widzimy, pozytywizm stuprocentowy. Szczegół ten jest tem ciekawszy, że w Polsce, która, wyszedłszy z krwawej topieli styczniowej, szukała nowych dróg ideowych, podnosić się dopiero zaczynała fala protestu przeciwko romantycznemu pojmowaniu dziejów, fala, która z czasem — przy energicznej współpracy ugody — przerodzi się w prąd antyniepodległościowy, znany pod nazwą warszawskiego pozytywizmu.

Te pozytywistyczne tezy — podpisać się pod niemi mógłby śmiało i bez żadnych zastrzeżeń nawet i sam Aleksander Świętochowski — nie upoważniają jednak do zaliczenia Tokarzewicza do zastępu ludzi, którzy przy stanowczym rozbracie z wiarą w zbawczą moc uczucia, przy wykluczeniu czynników metafizycznych i hołdowaniu płytkim tezom materializmu,

w stosunku do niepodległości Polski pełni byli wyraźnego sceptycyzmu, głębokiej beznadziejności i rezygnacji. Przekonywują o tem aż nadto wyraźnie artykuły, ogłaszane w „Gminie“ w ll. 1866/67. Jeszcze bardziej wymowny dowód znajdujemy w „Zmowie“, do której wydawania przy pomocy I. A. Medekszy i Wł. Rożałowskiego przystąpił Tokarzewicz w roku 1870, wkrótce po wystąpieniu ze składu redakcji „Niepodległości“.

(D. c. n..)

Dr. EDMUND BRZEZIŃSKI.

*Żonie mojej, Helenie z Surzyckich,
to wspomnienie poświęcam.*

WSPOMNIENIA Z MOJEGO ŻYCIA.

I.

Jako szósty z dziesięciorga rodzeństwa przyszedłem na świat 11 maja 1854 roku z ojca Mieczysława Lubicz-Brzezińskiego i matki Agnieszki z Turkiewiczów. Urodziłem się we wsi Szamarajówce skwirskiego powiatu w Kijowszczyźnie. Ojciec uprawiał gospodarstwo rolne, częściowo na własnym, częściowo administrując pojedynczemi majątkami z kompleksu hr. Branickiego w Białocerkiewszczyźnie.

Dom moich rodziców był szczerze polski z pewnemi pretensjami stanowemi i tradycjami, utrzymującemi ciągłość duchową z utraconą ojczyzną. Pradziadek mój ze strony ojca, Andrzej Brzeziński, był porucznikiem, a po upadku Insurekcji Kościuszki, wzięty do niewoli rosyjskiej, został wcielony do wojsk rosyjskich i przeniesiony do Kijowszczyzny. Syn jego, Jan, którego wcale nie znałem, przebywał na emigracji we Francji od roku 1830 do 1855-go, po wydaniu manifestu koronacyjnego cara Aleksandra II powrócił do Warszawy i wkrótce w domu moich rodziców zmarł. Brat mego dziada, Andrzej Brzeziński, był szefem gwardji narodowej w czasie Księstwa Warszawskiego i prezesem Towarzystwa Dobroczynności w Warszawie, gdzie też został pochowany na Powązkach 18 Listopada 1819 r. Braci mego ojca pamiętam bardzo mało, dwie siostry ojca mego wyszły zamąż: jedna za Rucińskiego, druga za Frageta, znanego przemysłowca w Warszawie.

Rodzice moi utrzymywali stosunki towarzyskie z kołami, społecznie im równymi, do pańskich progów się nie pięli, pędzili żywot pracowity, zbożny i nie nad stan. Kulturalne potrzeby nie były zaniedbane, prenumerowano ówczesne pisma ilustrowane i polityczne, i sprowadzało się dużo książek: poezje Mickiewicza, Syrokomli, Pola; powieści Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Kaszkowskiego i dzieła z zakresu historii Polski oraz gospodarstwa.

W takiej oto atmosferze typowego szlacheckiego dworku przeszło moje dzieciństwo, prawdziwie sielskie anielskie. Uznawałem tylko dwie władze na świecie: rodziców na ziemi i Boga na niebie. Nie wiem, dlaczego uchodziłem w domu za psotnika, to też na własnej skórze musiałem odczuć nieraz znaczenie i potęgę ojcowskiej powagi. Powoli krąg moich wyobrażeń rozszerzył się i wzbogacił. Jakiś wśród zabawy i igraszek usłyszany urywek zdania, jakiś gest starszych, niby niedostrzeżony, jakaś nazwa lub rozkaz utrwały się w mojej pamięci i urastały do wyobrażeń niekiedy trafnych, niekiedy fantastycznych.

Tak było z wyobrażeniem „Moskala“. Ściany polskiego dworku, ani moje uszy do 7-go roku życia nie słyszały mowy rosyjskiej. Matka moja języka rosyjskiego wcale nie знаła, a urzędowe osoby w domu naszym nie bywały. Wytworzyło się we mnie wyobrażenie, że „Moskal“ jest czemś złem i wrogiem, z czem należy walczyć. To też pod wpływem moich militarnych zapędów ścigałem cichaczem nóż od chleba i siałem zniszczenie na sąsiedniej łące wśród bodiaków kwitnących i przekwitłych maków. Serce się radowało, jak łatwo i sprawnie spadały głowy nieprzyjacielskie.

Kończyłem lat 7. W jesieni 1861 r. atmosfera domowa zdradzała jakieś zaniepokojenie, ojciec był zaambarasowany, odbywały się jakieś narady z panami z sąsiedztwa., My dzieci, przyglądaliśmy się wszystkiemu ciekawie, nastawiając uszu, i czekaliśmy jakiegoś wydarzenia. A działy się rzeczy niezwykłe: zjawiali się jacyś panowie, przyjmowani bardzo uprzejmie przez rodziców, przywozili jakieś pisma, wiersze, czasem śpiewali jakieś pieśni, przyjeżdżali także nasi znajomi z okolicy. Później dowiedzieliśmy się, że to byli panowie z Warszawy, że przywieźli ważne wiadomości, że będzie wojna, a jeden pan nawet nosił ze sobą króciwę, którą miałem w ręku. Były to czasy przedpowstaniowe.

W tym okresie rozpoczęła się moja nauka czytania, udzielana mi przez matkę, pisanania zaś uczył ojciec. Jednocześnie ze mną uczył się młodszy o 10 miesięcy brat i po kilku miesiącach jako tako czytaliśmy i przepisywaliśmy pojedyncze zdania, wykaligrafowane ręką ojca: „czcij ojca i matkę Twoją“ lub „tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono“ i t. p. Pod koniec 1861-go roku zawitali do nas nauczyciele domowi.

W oficynie urządzona była dla nas szkoła z mieszkaniem dla nauczyciela; do kompletu przyjęto 4-ch chłopców z najbliższego sąsiedztwa. Nauka trwała od 8-ej rano do 4ej po poł. w zakresie przygotowania do klasy 1-szej najbliższego gimnazjum — w Białej Cerkwi.

Wspomniany powyżej nastrój domowy nietylko nie osłabł, ale przeciwnie zarysowywał się coraz wyraźniej: obcy panowie zjawiali się u nas coraz częściej, odbywały się zebrania, rozmowy, czytania, śpiewano pieśni narodowe, dzieci wnet się ich uczyły. W tym mniej więcej czasie nastąpiło ogłoszenie manifestu, uwłaszczającego chłopów. Odbyło się to na dziedzińcu naszego dworku pod przewodnictwem jakiegoś pana w mundurze i w urzędowej czapce przy masowym zebraniu włościan ze wsi. Pan ów coś długo mówił do obecnych po rosyjsku, przemawiał także mój ojciec „po chłopsku“. Oni słuchali milcząco, żegnali się i kłaniali się nisko, krzyknęli „hurra“ i rozeszli się do domów. My nic nie rozumieliśmy z przemówień, chyba tylko tyle, że dzeje się coś niedobrego, o czym dzieci ani wiedzieć, ani mówić nie powinny. Na tem tle począł w duszach dzieciennych kiełkować pierwiastek obserwacyjnej ciekawości.

W lecie 1862 r. ojciec wyjechał na kilka dni. Po jego powrocie przyprawiono 5 koni, które, jak się nam zdawało, nie były potrzebne i sprawiały dużo kłopotów: codziennie pędzono je na lince, a potem ujeżdżano pod wierzch. Konie te były przedmiotem naszych zachwyków i to tembardziej, że na strychu wykryliśmy 5 jednakowych siodła i nowiusieńskich munsztuków. Nikomu o tem nie mówiliśmy ani słowa.

Czas płynął niepowstrzymanie. W maju 1863 r. skończyłem lat 9. Ojciec czynił starania o umieszczenie mnie i brata w gimnazjum, co nastręczało pewne trudności, gdyż ani ja, ani tem mniej mój brat nie osiągnęliśmy przepisowego wieku. W połowie sierpnia mieliśmy stanąć do wstępnego egzaminu.

Przed tym ważnym dla nas dniem nastąpiło wydarzenie, które utkwіło nazawsze w mojej pamięci: było to w czerwcu czy w lipcu, w cudowny i pogodny dzień. Po południu przyjechało do nas dużo panów, niektórzy konno, niektórzy bryczkami, dzieci przezornie były wysłane z domu. Odprawiano modły, śpiewano pieśni narodowe, kobiety płakały, ksiądz, przybyły w przebraniu, udzielał błogosławieństwa. Po powrocie ze spaceru kazano nam zostać w ogrodzie, a w jakiś czas potem zpoza krzaków i przez szpary w płocie dostrzegliśmy wyruszający z domu oddziałek w jakiś tuzin koni, panów w czamarach, kurtkach, długich butach i w rogatywkach. Poznaliśmy także kilku panów znajomych na koniach, właśnie objeżdżanych u nas. Jadąc śpiewali, na końcu jechał ojciec z jakimś panem w bryczce. Powrócił sam późno w nocy.

Od tego mniej więcej czasu dom się zmienił, życie przycichło, ojciec był posepny i zamyślony, matka niespokojna, domownicy także, liczna czeladź służebna mało się zmieniła: była karną, posłuszną i obojętną — sprawy pańskie nie obchodziły jej wcale. Tylko dzwonki pocztowe na niedalekim trakcie odzywały się coraz częściej i natarczywiej: to pędziły szlakiem urzędowe osoby, policja, żandarmerja. Przy tym dokuczliwym dźwięku cały dom się wstrząsał, coś pośpiesznie chowano po szafach, w sofach, w jakichś schowkach na strychu i t. p. Czegoś czekano i czegoś obawiano się.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu do Białej Cerkwi: ubrano nas odświętnie, wsadzono do parokonnego powozu, rodzice pojechali także. Coś w połowie drogi ojciec kazał budę podnieść, co mię mocno zdziwiło, gdyż dzień był pogodny i nie zanosiło się na deszcz. Rozkaz ten obudził moją ciekawie, a ostrożnie, zacząłem się rozglądać. Wychyliłem głowę z budy, wtem wiatr porwał moją czapkę i wyrzucił na drogę. Ojciec rozgniewał się, dał mi w kark, kazał zatrzymać powóz i prędko podnieść czapkę. Momentalnie zeskoczyłem i pobiegłem po czapkę, oddaloną o jakich 10 kroków.

Nagle oczom moim przedstawił się osobliwy widok: kilkunastu panów takich, jak mój ojciec, ze skrępowanemi wtył rękami byli przywiązani razem do drąga i szli pod eskortą chłopów, uzbrojonych w kije. Szli powoli i milcząco. Na ten widok skamieniałem i zatrzymałem się chwilkę, dopiero na wołanie ojca wsiadłem do powozu — pojechaliśmy. Rodzicom nie opo-

wiedziałem, co zobaczyłem — oni wiedzieli. Był to drugi rozdział historii nastrojów, jakie wówczas panowały w społeczeństwie polskim.

W Białej Cerkwi zostaliśmy ulokowani na kwaterze u „nadziratiela“ gimnazjalnego i nazajutrz zdaliśmy egzamin do klasy pierwszej. Zaczęliśmy chodzić do gimnazjum.

Gimnazjum białocerkiewskie, ufundowane sumptem Władysława hr. Branickiego, znanego magnata w czasach przedpowstaniowych, było wspaniałym i luksusowym gmachem z dużymi klasami, wielkimi oknami, słoneczne i przewiewne. Wszędzie posadzki, duże podwórza, wspaniałe ogród, nazwany paradnem podwórzem, główne schody z litego żelaza i przepyszna sala główna, gdzie odbywały się wszelkie akty uroczyste. Posiadało ono także wspaniałą bibliotekę polską. Tak było do roku 1861. Kiedyśmy zaczęli chodzić, zaszły gruntowne zmiany: biblioteka polska została zamknięta na głucho, kaplica gimnazjalna naprędce przerobiona na cerkiewkę, natomiast ufundowano skromną bibliotekę rosyjską, na dachu gimnazjum, nad cerkiewką, postawiono złoconą banię z prawosławnym krzyżem, w klasach zawieszono obrazy prawosławne, nawet sygnaturka przy bramie, zwołująca uczni na nabożeństwa w kaplicy lub do szkoły, rytm dzwonienia katolickiego zmieniła, na bębnienie prawosławne. Prócz tego z początkiem roku szkolnego gimnazjum było na nowo przez popa poświęcone. Język polski, dawniej obowiązujący, został skasowany, a mowa polska zakazana i surowo karana. Ściany uroczystej sali zostały upiękzone portretami od Katarzyny II do Aleksandra II.

Do takiego oto przybytku wiedzy oddawane były polskie dzieci! Nie było innych — w Kijowie to samo. Skazani byliśmy na zapomnienie ojczystego języka, wypaczenie charakteru z utratą odporności narodowej i w konsekwencji zmoskwiczenie! Ratowało kilka rzeczy: tradycje rodzinne, odrębność religijna, czuwanie starszego pokolenia nad nami zdaleka i ostrożnie, przewaga elementu polskiego w gimnazjum i jaskrawe, prostackie represje władz i rad pedagogicznych. Religja miała być wykładana po rosyjsku, lecz nie można było znaleźć odpowiedniego katechety. Ówczesny katecheta, ks. Sowiński, opierał się temu stanowczo i wykladał w dalszym ciągu po polsku. Czuliśmy w nim opiekuna i sprzymierzeńca, zaco go serdecznie kochaliśmy. Z końcem roku szkolnego przyszedł na jego miejsce



Stoją: Leon Weinfeld, Stanisław Kachnikiewicz.
Siedzą: Stanisław Siedlecki, Janina Zabłocka, Felicja Iwanowska.

Do artykułu St. Siedleckiego.



Kazimierz Odrzywolski.



Wacław Wolski.



Marjan Władysław Kukiel-Krajewski.



Oswald Dawid.

Do artykułu St. Siedleckiego.

ks. Lubliński, który został za to odznaczony krzyżem Stanisława, ale i ten, choć dyktował nam lekcje po rosyjsku, zawsze mówił z nami po polsku, poprawiał błędy językowe w rozmowie, chronił od wpływów rusyfikacyjnych szkoły, a z biegiem lat zlekka potrzącał o politykę.

Przewaga elementu polskiego w gimnazjum pochodziła stąd, że ustawy gimnazjalne przed powstaniem do nauki dopuszczały tylko klasy uprzewilejowane t. j. dzieci szlacheckiego pochodzenia, dzieci urzędników rządowych i prywatnych, dzieci oficerów, a wykluczały włościan i żydów. W pierwszej klasie byli wszyscy bez wyjątku Polacy i katolicy. Rząd w 63 r. zdemokratyzował ustawy, co było słusznem, a że w Białocerkiewszczyźnie było dużo rodzin polskich, przeto dzieci ich masowo garnęły się do nauki. Aby zaradzić brakowi dzieci innej narodowości, założono szkołę przygotowawczą do gimnazjum, skąd z biegiem czasu zaczęły napływać dzieci prawosławne i żydzi. Do matury stanęło co najmniej 80% Polaków. Ta mnogość elementu rodzimego ratowała nas od zupełnej deprawacji. Wspólna tragedja uciemiężenia głęboko tkwiła w sercach naszych i wytwarzała nieświadome poczucie jedności, mające w niedalekiej przyszłości nabrać kształtów konkretnych. Starsze społeczeństwo, bądź steroryzowane i zrujnowane materialnie, bądź oczekujące przezornie lepszych czasów, głosu nie zabierało. Kościół był jedynym terenem poza rodziną, na którym przychodziło do jakiegoś takiego z nim kontaktu. Zresztą dzieci przez większą część roku oddane były na pastwę zakusów rusyfikacyjnych szkoły. Jaką ta szkoła była, czego i jak uczono, jakich metod używano, to pomijam, nadmienię tylko parę ważniejszych wypadków, ilustrujących losy ówczesnej młodzieży.

Było to pod koniec drugiego roku szkolnego. Żandarmerja przyjechała do domu rodziców i zabrała ojca do powiatu, skąd odesłany został do kijowskiej cytadeli na „Pieczersku“ i tam utkwiał na dłużej... Matka nam o tem nie powiedziała. Później dowiedzieliśmy się, że oskarżony był o dostarczanie powstańcom koni i rynsztunku. Oddziałek zaś ten, który z naszego domu wyszedł dla połączenia się z kijowskim oddziałem Olszańskim, został otoczony pod Sołowijówką przez parę tysięcy chłopów, którzy podczas odczytywania „złotej hramoty“, przy ustawionej w kozły broni powstańców, nim zdążyła przybyć na

miejsce piechota rosyjska, idąca wślad za oddziałem, rzucili się nań i częściowo pomordowali, częściowo poranili lub żywcem zakopywali powstańców. Dowództwo oddziału zakazało strzelać do ludności nieuzbrojonej pod rygorem wydawania chłopom przekraczających ten zakaz. W ten sposób zginęli: Łapiński, Sumiński; Bolestawowi Pyszyńskiemu, stud. med. z Kijowa, połamano kołami nogi. Osądzono go i wyleczono w Kijowie, poczem skonfiskowano majątek i skazano na długoletnie ciężkie roboty. Olszańskiego rozstrzelano w Kijowie. Wypadki te były zanadto głośne, aby nie dochodziły do ogólnej wiadomości i powoli nie dostawały się do gimnazjum. Na wakacjach powiedziano nam w domu, że ojciec ciężko zachorował i leczy się w Kijowie.

Po wakacjach w III kl. gruchnęła wiadomość, że wielkorządca kijowski, generał-gubern. Bezak, wkrótce zlustruje nasze gimnazjum. Rozpoczęły się przygotowania: ustawianie w ordynku klasami, stawanie na baczność, odpowiadanie na pozdrowienia etc. Pewnego dnia ustawiono nas klasami na podwórzu w szeregu, repetując jeszcze raz odpowiedzi na ewentualne pozdrowienia. I oto Bezak nadszedł: mała plugawa figura, obwieszona orderami, pyszna i nadęta, w otoczeniu świty, a na samym końcu dykcja i profesorowie gimnazjum. Zatrzymał się przed szeregiem, ostro po nim spojrzął i wrzasnął jakieś niedobrze zrozumiane słowa. Odpowiedzieliśmy dość hałaśliwie. Wtem występuje z szeregu 3-ech braci Sochaczewskich z 3, 6 i 7-ej klasy, Tadeusz, Ludwik i Franciszek, padają przed Bazakiem na kolana, i Tadeusz o coś błaga, wręczając jakiś papier. Ojciec jego siedział wówczas na Pieczersku i synowie błagali o łaskę. Po szeregu przeszło chwilowe drżenie... Podanie chłopców zostało przyjęte. Impreza się udała — Sochaczewski wkrótce powrócił do domu. Lustracja skończyła się głośnym skandalem: uczeń 6-ej klasy, syn nowomianowanego sędziego do spraw politycznych, Sztęfan, stojąc w pierwszym szeregu, skrzyżował ręce na piersiach i jedną nogę wysunął. Bezak to spostrzegł i wściekł się. Kazał mu stanąć na baczność i zapytał, czy jest katolikiem? Odpowiedź brzmiała— „ruskij”, „prawosławnyj”. Nastąpiła konsternacja. Bezak zgromił dyrektora, ciało nauczycielskie, sprowadzonego ojca, a że wówczas kara cielesna w szkołach była już zniesiona, zażądał od ojca pod rygorem wydalenia syna z „wilczym biletem“, aby wsypał

synowi własnoręcznie dwadzieścia pięć odlewanych. Rozkaz był wykonany. Uczniom kazano się rozejść — zajęcie przestraszyło i nas, niemniej w duszy cieszyliśmy się z wypadku.

W takich oto warunkach mieliśmy zdobywać wiedzę, kształcić charaktery, uczyć się cnót i przygotowywać się do przyszłej pracy obywatelskiej! Triumf gwałtu panował na całej linii, społeczeństwo polskie zamykało się w sobie coraz bardziej, sytuacja stawała się coraz beznadziejniejszą. Dyrektor gimnazjum Michał Korniejewicz Czajłyj, były docent uniwersytetu kijowskiego, wydalony za liberalną mowę na pogrzebie Szewczenki, był nieubłagany wrogiem polskości. Używanie języka polskiego było jeszcze surowiej karane, na szczęście ręka władzy poza szkołą do kwater uczniowskich nie sięgała. Wielkim preceptorem historii był Howajskij; profesorowie uzupełniali wykłady komentarzami i dowcipami, zohydżającymi lub drażniącymi świętości, wyniesione z domu. Nauczyciel języka rosyjskiego—piła i pijus Chomenko—za błędy w akcencie lub pisaniu obrzucał nas prostackimi wymyślaniami w rodzaju: „Samojedy“, „Czuchoncy“, „Kamezadaly“, „dzicy“ i t. d. Byliśmy bezbroni, z początku bolało to nas, dąsaliśmy się i czuliśmy się upokorzeni, powoli zaczęliśmy się z tem oswajać.

Najbardziej bolały nas wszelkie słówka, dotyczące nierządu szlacheckiego, uciemżenia włościan, chytrności polskiej i tchórzostwa, albo dowcipy w rodzaju: „krzyknęli nie pozwałam i uciekli dołem“ i wiele innych. Niemożność protestu czyniła nas coraz nieszczęśliwymi i pozostawiała w duszy jakiś ciężki osad. W tem się zawierała cała nikczemność systemu.

Z wiosną 1866 r. ojciec mój powrócił z Kijowa. Sprawa jego nie była doprowadzona do końca. Zwolniony został na jakiś czas na podstawie świadectw lekarskich, zachorował bowiem na galopujące suchoty. W maju tegoż roku powtórnie pojechał do Kijowa na konsultację z powagami lekarskimi i w powrotnej drodze zahaczył o Białą Cerkiew. Wezwał nas do hotelu. Już nie wstawał z łóżka i udzielił mnie i bratu ostatniego błogosławieństwa, poczem na noc wyjechał do domu. 16-go czerwca 1866 r. przysłano po nas konie, z gimnazjum wystawiono nam świadectwa o przejściu do 5-ej klasy i pośpiesznie pojechaliśmy do domu. Ojca zastaliśmy na katafalku. Po

śmierci ojca sprawa jego była umorzona, co kosztowało jeszcze długich zabiegów matki. Posiadłość ojca uległa sekwestrowi.

Ze względnie zagospodarowanego bytu pozostały matce majątek nieruchomy, bardzo niewielkie oszczędności i 6-rodzieci. Najstarszy mój brat, uczeń gimnazjum w Kijowie, za samowolny wyjazd do domu w czasie choroby ojca był zwolniony z „wilczym biletem“. Posadzono go, że poszedł „do lasu“ i mimo wyjaśnienia sprawy, wyrok zmieniony nie był.

Po wakacjach matka osiadła w Białej Cerkwi. Od 5-ej klasy zaczęto uczeni traktować lepiej; przybyło kilku nauczycieli wykształconych i postępowszych. Życie zaczęło być lżejsze. Właśnie w klasie 5-ej inspirowani przez studenta uniwersytetu kij., niejakiego Jaroszewicza, założyliśmy związek konspiracyjny uczniów w celu uzupełnienia naszego wykształcenia: uczyliśmy się polskiej historii, gramatyki, poezji, pisaliśmy referaty. Starsze klasy do nas nie zgłaszały się, my nie śmieliśmy ich zapraszać. Obowiązywała ścisła tajemnica i była dochowywana. Mieliliśmy swoją bibliotekę i z czasem dostaliśmy się do literatury nielegalnej, przeważnie dotyczącej czasów przedpowstaniowych, dzieł historycznych, jak np. Maurycego Mochackiego. Odbywały się ożywione dyskusje, daleko idące, i rojenia o przyszłości. Biblioteka przechowywała się u kol. Kazimierza Zielińskiego, gospodarza Związku, syna generalnego plenipotenty klucza białocerkiewskiego hr. Branickiego. Mieszkanie nadawało się jaknajlepiej do tego celu. Schodziliśmy się dość często. Ja byłem prezesem, a brat mój młodszy sekretarzem. Odbijało się to trochę ujemnie na naszych postępach w gimnazjum, ale nie do takiego stopnia, abyśmy się zupełnie zaniedbali. Administracja spoczywała w rękach zarządu, polegała na dobrej wierze i zaufaniu, skarbnika nie było. Wsypy nigdy nie było. Niekiedy powstawały jakieś niepokoje, podejrzenia i obawy, które prowadziły do burzliwych narad. Dodać należy, że od roku 1867—1868 poprzedni surowy régime powoli osłabł w miarę uspakajania się kraju; nie zmienił się on zasadniczo, ale coraz mniej zwracano uwagi na to, że uczniowie jednak używają języka polskiego w obrębie gimnazjum.

Niemalą rolę w obronie polskości odegrała parafja katolicka, bardzo sympatyzująca z ruchem narodowym. Element polski w Białej Cerkwi był bardzo silny; ostoja rosyjskości były

urzędy i gimnazjum. Nie wszyscy uczniowie Polacy należeli do naszego Towarzystwa; pod tym względem odbywała się jakaś niewytłumaczona selekcja: od czasu do czasu ktoś się zgłaszał na ochotnika do nas, bywał z otwartymi rękami przyjęty, stawał się członkiem, otrzymywał książki i t. d. Być może, że łagodniejszy régime w gimnazjum ułatwiał kontakt ze społeczeństwem polskim i stwarzał jaką taką możliwość atmosfery rodzimej.

Zbliżał się czas mojej matury. W 1872 r. stanęliśmy do egzaminów ostatecznych, i 20 czerwca otrzymałem maturę. Mój młodszy brat, od pierwszej klasy kolega szkolny, zaczął chorować na gruźlicę stawu biodrowego. Zdał maturę w 1873 r. i umarł w grudniu następnego roku. Z 42 uczni pierwszej klasy doszło do matury około 20.

Gimnazjum zegnaliśmy bez żalu; gremjalnie poszliśmy do kancelarii gimnazjalnej, z papierosami w zębach na znak naszej dojrzałości, w cywilnych ubraniach, zachowywaliśmy się dość swobodnie, pokwitowaliśmy odbiór dokumentów i rozeszliśmy się do domów. Żadnego uroczystego aktu doręczenia matur, żadnego bankietu, żadnej wspólnej fotografii, żadnego pożegnania profesorów i wychowawców. Przed nami odkrywały się szerokie możliwości, lecz i zastraszające trudności. Cóż Polak mógł wybrać? Medycynę, prawo i technikę. Po długich naradach z matką i ze znajomymi zatrzymałem się na prawie — było to rzeczą najłatwiejszą: 4 lata, można uczyć się poza uniwersytetem w domu lub na kondycji, żadnych praktycznych zajęć, wiele czasu na zarobek prywatny, a później zostać kazyperdą. Zdecydowała okoliczność, że w Odesie wówczas od 3 lat bawił mój brat, najstarszy, ów „z wilczym biletem“, o 10 lat starszy ode mnie. Uczył się w prywatnej szkole handlowej, miał zostać buchalterem.

Po wakacjach, jako tako wyekwipowany, wyjechałem do Odesy. Zapisalem się na prawo — w cichości marzyłem o medycynie. Miałem lat 18. Wrażenie w Odesie było fatalne; młodzież w wielkim procencie obcoplemienna, trochę Moskali, Polacy w niewielkiej ilości, trzymający się zdala od innych, dzieci zamożnych rodziców — bawili się wesoło w licznej podówczas kolonii polskiej. Nie pasowałem do nich. Matka nie mogła zasilać mnie materjalnie, zacząłem poszukiwać korepetycyj. Brat mój tak samo. Jako tako zarabiałem i żyłem. Po kilku miesią-

cach zabrałem z uniwersytetu papiery i skończyłem z moją karierą prawniczą. Postanowiłem wyjechać do Petersburga i zapisać się albo do t. zw. Akademji Medyczno-Chirurgicznej, albo do Instytutu Technologicznego. Wyjechałem przez Białą Cerkiew, gdzie się spotkałem z paczką młodszych o rok ode mnie maturzystów, i razem puściliśmy się w drogę, gwarno i wesoło, w poszukiwaniu nauki. Razem ze mną jechali: Ludwik Waryński, Kazimierz Zieliński i kilku innychz ostatniego rocznika.

W Petersburgu spotkałem się z kupką wychowalców gimnazjum białocerkiewskiego, odbywających studia. Zgłosiłem się do Akademji Medycznej i nie zostałem przyjęty, ponieważ procent Polaków nie mógł przekraczać 5—10. Zapisałem się więc na Technologję i zacząłem pracować. Młodzieży z całego zabaru rosyjskiego było bardzo dużo, przedtem już zorganizowanej w koła regionalne, wysyłające swoich radnych na comiesięczne ogólne zebrania. Z t. zw. Koła Ukraińskiego wydelegowano mnie. Przyjąłem tę godność z gotowością i regularnie na zebrania uczęszczałem. Z wybitniejszych kolegów w owym czasie byli: Aleksander Więckowski, przyrodnik i zdolny prelegent, Szostakowski i Wojtkiewicz z Wilna, Bolesław Wysłouch, znany działacz polityczny, późniejszy redaktor „Przyjaciela Ludu“, Zakrzewski, Gajzler i inni, których nazwisk nie pamiętam. Ówczesny kierunek umysłowy młodzieży nastrojony był na ton racjonalistyczno-pozytywny, a ideowo — na zadania pracy organicznej. W tych dwóch kierunkach szła przeważnie część referatów.

W zimie właśnie zmarł mój brat młodszy; była to dla mnie bardzo bolesna strata — przerwałem nauki i wyjechałem do domu, aby po paru tygodniach powrócić. Stało się inaczej: budowała się wtym czasie nowa kolej, i inżynier, kierujący robotami, Strumiłło, zwrócił się do mnie, jako do słuchacza techniki, z propozycją przyjęcia obowiązku rysownika plant i nasypów z płacą 75 rs. miesięcznie. Propozycja była bardzo męcząca, więc zdecydowałem się stracić kilka miesięcy, tem bardziej, że nie zrezygnowałem ostatecznie z dostania się do Akademji Medycznej. Jesienią powróciłem do Petersburga z pewnym zapasem gotówki. Do Akademji Med. nie zostałem przyjęty na tej samej podstawie; stracony czas w Technologji nadrobiłem, i życie poszło dawnym trybem. Miałem zostać inżynierem-chemikiem. Los zrządził inaczej.

Czasy, były burzliwe. Był to okres t. zw. szerokiej propagandy wśród ludu. Nam, Polakom, to o tyle dogadzało, że samo społeczeństwo rosyjskie występowało przeciw naszemu ciemiężcy. Kilka odbytych procesów politycznych zdawało się potwierdzać, że ruch jest głęboki i szerszy; rząd zaczął tracić głowę i uciekać się do represyj, emigracja rosyjska zasypywała rewolucyjną propagandą z zagranicy, powstawała literatura nielegalna, tajna. Młodzież burzyła się i radykalizowała. Polska młodzież wsłuchiwała się w hasła głoszone. Ideały sprawiedliwości społecznej nie były obce społeczeństwu polskiemu: dziadowie nasi wzywali rosyjskie społeczeństwo do walki „o naszą i waszą wolność“, emigracja z 48 roku była społecznie radykalna, wielu posiadaczy ziemskich wносиło podania do cara o pozwolenie nadania ziemi poddanym.

Organizacja młodzieży polskiej zbierała się w dalszym ciągu regularnie. Na jednym z posiedzeń postawiłem wniosek, aby organizacja wzięła sobie za obowiązek zaznajomienia się tak na kołach regionalnych, jak i na zebraniach ogólnych, z dostępną nam nielegalną literaturą rosyjską. Wniosek bez sprzeciwu został przyjęty. Okazało się, że wielu z kolegów już przedtem to czyniło. Po jakimś czasie wspomniany W y s ł o u c h przyszedł do mnie i po długiej, agitacyjnej rozmowie oświadczył mi, że przychodzi w imieniu ścisłej organizacji socjalistycznej polskiej, abym do tej organizacji przystąpił. Zgodziłem się. Do posiedzenia tej organizacji jednak nie doszło.

Wybuchły zaburzenia ogólnostudenckie. Na bardzo burzliwym zebraniu w gmachu Instytutu, trwającym kilka godzin, zjawił się ówczesny dyrektor, głośny W y s z n i e g r a d z k i j. Chodziło o rzeczy ściśle studenckie, jak o urządzenie taniej restauracji pod zarządem studentów, o wpływ studentów na rozdzielanie zapomóg i subwencji, o udział ich w sądzie dyscyplinarnym i t. d. Wyszniegradzkij starał się nas uspakajać i składał obietnice. Wtem jeden z gorętszych młodzieńców wskoczył na stół i zawołał: — „Oszukacie nas znowu, łotry!“ Wyszniegradzkij wyszedł. Po uspokojeniu dano hasło do rozejścia się... Lecz wszystkie wyjścia były obsadzone przez policję z profesorami na czele. Zapisywano nazwiska uczestników, musiałem podać i swoje, profesor mnie znał. Sprawa przybierała zły obrót. Wróciłem do domu, zabezpieczyłem korespondencję i posiadaną literaturę i wyszedłem na zwiady.

Między studentami szerzył się wielki popłoch. Dwa dni nie nocowałem w domu, parę razy w tym czasie zjawiała się u mnie policja, mnóstwo studentów aresztowano, wyjścia nie było — zameldowałem się sam w cyrkule. Komisarz przyjął mnie grzecznie, ale chciał mnie zatrzymać. Tłumaczyłem mu, że mam jeszcze parę spraw do załatwienia, chciał mi dodać policjanta, nie zgodziłem się i dałem słowo, że o 6-ej wieczorem się stawię. Punktualnie o 6-ej przyszedłem z kuferkim i odstawiony zostałem dorożką do 3-go Wydziału Kancelarji Carskiej, gdzie już zastałem kilku kolegów, czekających na swoje losy.

Po godzinie zostaliśmy pojedynczo postawieni przed oblicze generała *Trepowa*, byłego dyrektora policji warszawskiej w r. 1861. Sekretarz zapisywał nazwisko, miejsce zamieszkania, stosunki rodzinne i t. d. O stosunkach rodzinnych wiedział tyle, że ojciec mój zmarł i że tylko dla tego sprawa jego została umorzona. Powiedział także, że odsyłają nas do miejsc rodzinnych pod dozór policyjny. O 10-ej wieczorem dano nam ciepłe ubrania, wsadzono do sań 6-ciu razem: dwóch Polaków i 4-ch Rosjan i odstawiono na dworzec Moskiewski na pociąg nocny. Na dworcu młodzież ze wszystkich uczelni petersburskich żegnała nas ostentacyjnie i zaopatrywała w prowianty; jeden kolega-Polak doręczył mi w wagonie 70 rs. Asystowało nam 6-ciu policjantów stołecznych, ludzi grzecznych i uprzejmych. Jechaliśmy w rozmaite strony.

Nazajutrz stanęliśmy w Moskwie, gdzie mieliśmy dzień odpoczynku. Na drugi dzień część się rozjechała, a wieczorem ja i Michajłow pojechaliśmy dalej, konwojowani przez policjantów moskiewskich. Zrana przybyliśmy do Nowogrodu. Michajłowa oddano policji nowogrodziej, ja zostałem sam w asystencji policjanta miejscowego — dobrodusznego prostaka. Zrobiło mi się nieswojsko, nie wiedziałem, czy zaszła jaka pomyłka, czy wiozą mnie gdzie dalej. Koło południa posłałem policjanta po zakupy, a w kwadrans po jego wyjściu wziąłem kuferek i ostrożnie wyszedłem na ulicę, wsiałem do dorożki i pojechałem do Michajłowa, brata aresztowanego. Ucieszył się i radził parę dni zostać u niego, potem jechać do domu. Tak postąpiłem.

Wkrótce ku zdumieniu rodziny byłem już w domu. Matka o niczem nie wiedziała. Najdziwniejszem było to, że policja białocerkiewska o moim przyjeździe nie wiedziała, pozosta-

wiła mnie w spokoju, jednak po jakimś czasie przekonałem się, że pozostawałem pod dyskretnym dozorem.

W ten sposób moja karjera technologiczna została zapieczętowana i znowu powróciłem do marzeń o medycynie. Rosyjskich uczelni miałem już dość; pozostawały mi jeszcze Kraków lub Wiedeń. Po długich namysłach i naradach wybrałem ten ostatni. Zacząłem się energicznie uczyć po niemiecku — z gimnazjum wyniosłem dość dobre przygotowanie. Zresztą udzielałem lekcyj i robiłem starania zabezpieczenia finansowego dla przyszłych studjów. Było to najtrudniejsze. Trzeba było pomyśleć o paszporcie zagranicznym. Nie zawiadomiwszy policji, pojechałem do Kijowa, wszedłem w kontakt z paru studentami medycyny, chodziłem na wykłady, aby się jeszcze w ostatniej chwili przekonać, czy nie zamienić zagranicy na Kijów. Zameldowany nie byłem; udało mi się wyrobić świadectwo lekarskie o potrzebie kuracji zagranicą i wniosłem do gubernatora podanie o paszport narazie na pół roku. Po 3-ch tygodniach powróciłem do Białej Cerkwi. W domu zastałem wielki alarm: komisarz policji miejscowej otrzymał siarczystą reprimendę z kancelarji gubernatora za zaniedbanie raportu o mojem przybyciu do Kijowa.

Dalsze przygotowania nie zabrały mi dużo czasu. Mając w kieszeni parę setek rubli, żegnałem wszystkie kąty i ludzi, których miałem w życiu już więcej nie ujrzeć. Znany lekarz, dr. S a k o w i c z, ze względu na burzliwe, jak mówił, czasy, bardzo chwalił moje zamierzenia; żegnał jak syna i przyobiecał w przyszłości wyrobić mi stypendjum, gdyż miał wielkie wpływy w kołach tamtejszego ziemiaństwa. Zagranicą bywał nieraz, z Austrią sympatyzował (wówczas Galicja cieszyła się już autonomją) i zapewniał, że w Austrii panuje zupełna wolność polityczna. Ze mną miał wyjechać młodszy brat Ludwika Waryńskiego, Stanisław. Ojciec ich, wychowaniec uniwersytetu Kijowskiego, matematyk, znany działacz konspiracyjny w r. 1863, obawiał się o synów. Gospodarował na dzierżawie z dobrem powodzeniem. Pożegnałem naostattek organizowaną w moich czasach gimnazjalnych bibliotekę polską; zastałem wszystko w najlepszym porządku: książki utrzymane dobrze, oprawione, skatalogowane; przybył dział książek dla klas niższych. Ani listy członków, ani protokołów posiedzeń nie prowadzono.

Okolo 10-go sierpnia 1876 r. puściliśmy się w drogę, pełni otuchy i najlepszych nadziei, zahaczywszy o Kijów dla umówionego spotkania z kilku kolegami, z których zostały mi w pamięci nazwiska Dybowskiego i Łotockiego — obaj prawnicy na ukończeniu. Pojechaliliśmy do Warszawy. Tu także miałem się spotkać z paru kolegami dla doręczenia listów z Kijowa i otrzymania ewentualnych poleceń. Zatrzymaliśmy się dwa dni, bo nie mogliśmy nie zwiedzić Warszawy, do której tyle razy wybiegaliśmy myślą i sercem, a która tak niedawno złożyła tyle dowodów bohaterstwa i poświęcenia. Przytem wydarzył mi się przykry incydent. Nie znając miasta, nie mogłem trafić do uniwersytetu i, spotkawszy na ulicy młodzieńca w czapce uniwersyteckiej, pozdrowiłem go i zapytałem o drogę. Otrzymałem krótką i nieuprzejmą odpowiedź w mowie urzędowej: „po polsku nie rozumiem“. Rozeszliśmy się bez ukłonu.

Z Kijowa i Warszawy zabrałem ze sobą paczkę manuskryptów dla przesłania lub doręczenia Bolesławowi Limanowskiemu we Lwowie. Po zwiedzeniu tak drogich sercu Polaka pamiątek Krakowa ja pojechałem do Lwowa, Waryński czekał w Krakowie.

Miałem zaszczyt poznać Limanowskiego. Z podziwem i czcią przypatrywałem się człowiekowi średnich lat, byłemu powstańcowi, cichemu i skromnemu i już wówczas znanemu z prac naukowych. W przywiezionych przeze mnie papierach było przygotowane do druku tłumaczenie Lassala „O istocie konstytucji“, dokonane w Kijowie w języku, tak pełnym błędów, że dopiero po zupełnej przeróbce w lat parę mogło być wydane. Tego samego dnia powróciłem do Krakowa i nocnym pociągiem pojechaliliśmy do Wiednia.

W Wiedniu zamieszkaliśmy w IX dzielnicy Lenaugasse Nr. 11 na 4-tem piętrze. Poinformowawszy się u kolegów-Polaków z Galicji, jakich mam dopełnić formalności, złożyłem potrzebne podanie i bez przeszkód zostałem przyjęty w poczet słuchaczy medycyny. Rozpoczęły się wykłady. Cieszyło mnie to, że dopiąłem swego, że nie odstraszyły mnie żadne trudności i wykłady rozumiałem dobrze. Przyszły mój zawód pociągał mnie, i stawałem się jego wiernym wyznawcą. Płaciliśmy za nasz pokoik 8 reńskich miesięcznie, za kawę z bułką po 10 centów, obiad w prywatnej kuchni 25—30 centów, kolacja: herbata, chleb, masło, ser — chyba wystarczyło. Przyjemności

wielkomiejskie nie pociągały ani mnie, ani Waryńskiego; poszło się czasami do knajpy na szklankę piwa i posłuchało się śpiewu i muzyki; później spacerować w ogrodzie, a po powrocie szczęśliwy młodzieńczy sen do rana.

Moje stosunki osobiste były dość ograniczone, przede wszystkim z kolegami Polakami, poczęści z Rusinami, a z kolegami pochodzenia miejscowego dość dalekie. Życie kulturalne polskie obejmowało: świat urzędniczy, zupełnie prawie niedostępny; uczącą się młodzież, jako całość ześrodkowaną w Towarzystwie akademickim „Ognisko“, i klasy średnie, do których należało kupiectwo, inteligentni pracownicy różnych zawodów, drobny przemysł i rzemiosło, jednoczący się w stowarzyszeniu „Siła“. To ostatnie nie miało żadnego charakteru oficjalnego, było bardzo patriotyczne i najbardziej odpowiadało moim upodobaniom.

Stosunki nawiązane w kraju utrzymywałem w dalszym ciągu tak listownie, jak i przez osoby trzecie. Od czasu do czasu ktoś przybywał, załatwiały się na moje imię różne interesy polityczne: wysyłka jakiejś kwoty pieniężnej do Genewy lub Londynu, przesyłanie różnych papierów i t. d. Moi dawni koledzy korzystali często z mego adresu. Pewnego razu przybył do Wiednia kolega technolog, niejaki Kobylański, Polak z Mińszczyzny, konspirator i trochę ciemięga. Polecono mu zakupić w Wiedniu najrozmaitsze wydawnictwa rosyjskie i polskie, których w kraju dostać nie można było. Bawił u mnie kilka dni, i ja byłem mu przy tem pomocnym. W znanej księgarni na Grabenie zakupiliśmy mnóstwo książek niecenzuralnych, parę hektografów i inne rzeczy. Odjechał szczęśliwie. Było to w lecie, ja całą parą przygotowywałem się do czekających mnie w jesieni pierwszych egzaminów i spodziewałem się właśnie przybycia dr. Sakowicza. Miała się bowiem rozstrzygnąć kwestja ewentualnego stypendjum, mogącego zabezpieczyć moje studia na przyszłość.

Pewnego niedzielnego poranku siedziałem nad książką i uczyłem się. Ktoś puka, zrywam się na jego przybycie, zaczynam witać po polsku. Przybysz odpowiada, że nic po polsku nie rozumie, przedstawia się jako szef biura detektywów Stehling i oświadcza, że polecono mu przeprowadzić u mnie ścisłą rewizję w sprawach politycznych. Struchlałem. Weszło jeszcze dwóch panów — dość pospolicie wyglądali — byli to

łapacze żyżka i Patew, obaj mówili z czeska — po polsku. Przeszukali wszystko. Znalezione 17 listów od matki i znanych treści obojętnej oraz zeszyt z kopją mojego odczytu w „Sile“. Kazano mi się ubrać i jeden z nich zaprowadził mnie do aresztów policyjnych, położonych w śródmieściu, niedaleko od kwatery uniwersyteckiej. Stehling już czekał na mnie i zaczął przesłuchiwać. Przedewszystkiem zapytywał, czy znałem niejakiego Michała Kobylańskiego — zaprzeczyłem. Stanowczo — powiedział — niech pan nie żartuje — on mieszkał u pana tyle i tyle czasu, gospodarze pana powiedzą to panu w oczy; mówili mi, że zameldował się pod fałszywym nazwiskiem Koturnickiego.

Później się okazało, że, przyjechawszy do Lwowa dla konspiracji, Kobylański zatrzymał się w Grand Hotelu i nawiązał stosunki tak z Polakami jak Rusinami — Limanowskim, Pawlikiem, Franką, Feliksem Sielskim, Terleckim i t. d. Kupował także wydawnictwa nielegalne, a znosząc te rzeczy do hotelu, po całych dniach segregował i pakował, przez co obudził podejrzenie służby, która zawiadomiła policję. Przeprowadzono rewizję i zamknięto go. Nie dość na tem, zapisywał w kieszonkowym notesie adresy wszystkich osób, z którymi się stykał, z całą dokładnością. Stąd doszło i do mnie.

Po podpisaniu protokołu zeznań Stehling oświadczył mi, że ku jego ubolewaniu zmuszony jest zatrzymać mnie nadal w areszcie i kazał zaprowadzić do ohydnej, brudnej i śmierdzącej celi. Pora była już spóźniona, przeto nie figurowałem na liście przybyszów i musiałem pozostać na ścisłej djecie do rana. Noc była okropna. Nazajutrz przynieśli mi na śniadanie jakiegoś brudnego płynu, którego nie tknąłem. Po śniadaniu odprowadzono mnie na podwórze dla zdjęcia fotografii i uwiecznienia jej w albumie zasłużonych przestępców. Nie doceniając tego wysokiego szacunku, broniłem się przeciw niemu, robiąc różne grymasy, a kiedy jeden z policjantów wyjął z kieszeni kajdanki i zagroził ich założeniem, poddałem się.

Było jeszcze jedno dodatkowe przesłuchiwanie. Wkońcu oświadczone mi, że dla dokończenia dochodzeń będę odstawiony do Sądu Krajowego, olbrzymiego gmachu na Landesgerichtsstrasse. Odstawiono. Z głuchym hałasem zawarły się za mną ciężkie wrota żelazne; poddano mnie rozmaitym badaniom, za-

brano zegarczynę, ołówek i próżną portmonetkę i zaprowadzono przez wiele żelaznych drzwi i korytarzy do wybielonej dużej celi, potężnie okratowanej, z mocnymi żelaznymi drzwiami i małym w nich „judaszem“. Czystość była wzorowa. W rogu na wyszorowanej czysto pryczy było dobrze wypchanych sienników tyle, ile cęła liczyła delikwentów; w dzień układano jeden na drugim, na noc rozkładano pokotem; umywalka, kopenhawki z wodą, za drewnianym parawanem klozet kanałowy, zasypywany po użyciu jakimś dezynfekcyjnym proszkiem, wentylacja. Po areszcie policyjnym cęła ta wydawała mi się salolem. Jako najświeższy przybysz nosiłem urzędowy tytuł „Zuwachsa“, najdawniejszy tytułowany był „Stubenvaterem“. Zwyczajowo „Zuwachs“ był obowiązany spełniać niektóre lżejsze posługi: podmiatanie cęła, wystawianie konwi na wodę za drzwi, składanie sienników, poduszek i koców na kupę. „Stubenvater“ czuwał nad porządkiem.

Zastałem 3-ch lokatorów: „Stubenvater“ wesoły, okrągły kupiec wiedeńczyk, odbywał rekolekcje z powodu złośliwego bankructwa; drugi kandydat, Węgier, koło 50 lat, wysoki i chudy, śledziennik, cierpiał na padaczkę, odznaczał się wybitnym talentem rysowniczym i uprawiał sztukę stosowaną w postaci fałszowania pieniędzy z dobrymi wynikami; trzeci — młody człowiek około lat 30, bezbarwny, wyglądał na kieszonkowca. W takim oto cnem towarzystwie schodziły mi długie dnie letnie. Powitali mnie bardzo po koleżeńsku i radośnie w nadziei, że przynoszę im coś nowego ze świata i opowiem wiele ciekawego o sobie. Gazety surowo były zabronione, liche powieści — dla można było dostać z biblioteki zakładu.

W tym mniej więcej czasie Wiedeń i cała Austria przygotowywały się do 40-letniego jubileuszu panowania Franciszka Józefa. Moi towarzysze więzienni robili mi najlepsze nadzieje tak że wkońcu ja sam w to uwierzyłem. Powoływany parę razy do sędzięgo śledczego, nic nowego nie zeznałem. Jubileusz minął, a w mojej sytuacji zmiana nie nastąpiła. Optymistyczny wiedeńczyk zasądzony został na 2½ lat ciężkiego więzienia, artystyczny Węgier na 10 lat, ów domniemany kieszonkowiec dostał także jakąś niewielką karę więzienną. Ja awansowałem na „Stubenvatera“. Po pierwszym przesłuchaniu przez sędzięgo i za jego pośrednictwem napisałem do gospodyni, u której wynajmowałem pokój, aby odesłała moją walizę, pozostawione

ubranie, parę butów, bieliznę i wszystkie książki naukowe, jakie posiadałem. Wszystko to otrzymałem i kułem zapamiętałem od świtu do nocy. Było to moją prawdziwą potrzebą.

Dnie stawały się krótsze. Pewnego popołudnia odmykają się drzwiczki w okienku, staje klucznik i woła: — „Brzeziński — pakować się“; nie zdążyłem się zapytać ani kiedy, ani dokąd. Noc spędziłem źle, obudziłem się o świcie, spakowałem rzeczy. O 7-ej rano sprowadzono mnie na dół, zwrócono mi zatrzymane przedtem przedmioty, zajechała karetka więzienna. Jeden ze straży więziennej wyjmuję ręczne kajdanki i chce mi je założyć. Protestuję energicznie, tłumacząc, chowam ręce w tył — niepomaga. Przystępuje do mnie jeszcze 2-ch tegich strażników w uniformie, po obu stronach każdy mocno oburącz porywając ręce, zdecydowanie krzyżują je, a trzeci momentalnie zakłada mi kajdanki. Westchnąłem tylko — jakieś tkliwe myśli poruszyły się we mnie, bo czyż to mnie pierwszemu z Polski dzieje się taka niesprawiedliwość?!

Oburącz wkładam kapelusz, postępuję parę kroków w kierunku karetki, na koźle siada uzbrojony w karabin jeden ze strażników, wsiadam i zastaję moich dawnych znajomych: żyżkę i Patka. Pytam — dokąd jedziemy? Odpowiadają: — „Rozkaz — zobaczymy“. Opanowuje mną bezsilna rozpacz i wściekłość. Żebym miał ręce wolne!... Mówię długo, tłumacząc całą nikiemność ich roli — zachowują spokój istic angielski. Zaczynam się i milknę. Jedziemy znajomymi ulicami: śledzę utęsknionym wzrokiem miejsca, przez które tyle razy przechodziłem. Po lewej stronie pozostaje jubileuszowa Votivkirche, krzyżujemy w Ringstrasse, widzę zdala drogą w kierunku gmachu sał wykładowych — Schwarzspanierstrasse, widzę dobrze znany mi bulwar, po którym się idzie do Dworca Północnego. Niespokojnie uderza mi serce: jadę na Północny Dworzec, kolej prowadzi bezpośrednio przez Kraków, Szczakową, Granicę. Może mnie wydadzą wprost Rosji! Różnie już bywało! Dojeżdżamy poprzez tor, stajemy przed wagonem III klasy. Każą mi wysiadać. Niezręcznie, trzymając się oburącz poręczy, siadam do wagonu, moi dwaj asystenci ze mną. W przedziale oprócz nas trzech nie było nikogo. Pociąg ruszył. Po pewnym czasie przypomniałem im, że obiecali zdjąć mi kajdanki, kiedy pociąg ruszy. Odpowiedzieli, że takiego rozkazu nie mają. Byłem zupełnie bezsilny — zacząłem się im odgrażać, przekonywać, że to

bezprawie. Nie odpowiadali mi. Zamilkłem. Gdy zatrzymaliśmy się na stacji Wiener-Neustadt, zorientowałem się, że jedziemy na północ — myślałem sobie — napewno wiozą mnie do granicy. Na chwilę wypłynęło wspomnienie z lat dziecińczych: szereg panów ze skrępowanymi w tył rękami przywiązanymi do drąga — im także nikt pomóc nie mógł. Przyszła kolej na mnie !

Jechaliśmy dalej. Około południa panowie detektywi zabrali się do śniadania: z podróżnej torby wyjęli chleb, kotlety, flaszkę wina, dwie szklanki. Jeden z nich odkrajał dużą kromkę chleba, posmarował masłem, położył kotlet i podał mi z dość protekcyjnym gestem — z oburzeniem i w opryskliwym tonie odpowiedziałem: „od panów nie przyjmuję“. Odtąd nie mówiliśmy nic. Wreszcie ukazały się światła Krakowa — pociąg stanął. Kazali wysiadać. Na peronie dołączył się do nas uzbrojony żołnierz czy policjant, kuferek mój był wyniesiony na peron. Kazano mi nieść. Odmówiłem wręcz — żołnierz mnie zastąpił. Szliśmy dość długo plantami. Był ładny ciepły wieczór księżycowy, dużo osób spacerowało i przypatrywało się dziwnemu pochodowi. Ciekawsi stawali i pytali, za co tego młodzieńca prowadzicie i dokąd — moi konwojenci nieśmiało odpowiadali, że do Sądu krajowego, a potem do Lwowa. Wstąpił duch we mnie. Zacząłem przemawiać do otaczających, wytykając im, że oto tak traktują w Austrii więźniów politycznych, syna patrioty, że od Wiednia aż do tej chwili ani razu nie zdejmowali ze mnie kajdanek. Parę panów zapytało o nazwisko — powiedziałem, niektórzy zaczęli się chyłkiem oddalać. Asystencja moja zachowywała się biernie.

Wreszcie doszliśmy do podwoi Sądu Krajowego. Po załatwieniu pewnych formalności wprowadzono mnie do celi, w której zastałem jeszcze jednego aresztanta, leżącego na czysto i wygodnie zasłanym tapczanie. Spokojny i uprzejmy jakiś kupiec — żyd. Wprowadził mnie klucznik, p. Wiatr, z którym w przyszłości miałem zawrzeć znajomość na czas dłuższy. Zdjął ze mnie kajdanki, z rozkoszą wyciągałem obolałe ręce, umyłem się, a mój nowy znajomy potraktował mnie bułkami, serem i kawałkiem gęsi na zimno. Z podziękowaniem skorzystałem z uprzejmego traktamentu i na drugim tapczanie ułożyłem się do snu. Wiedziałem, że będę odstawiony do Lwowa. Wypoczęty i pokrzepiony snem, wstałem wcześniej, przygoto-

wałem się do dalszej podróży, a podczas kiedy mój współlokator odprawiał poranne modły, wyjrzałem przez kraty i spostrzegłem stojącego na warcie pod oknem żołnierza, jednorocznego ochotnika, słuchacza prawa Weigla.

Cela była na parterze, rozmawialiśmy dość długo, opowiadałem swoje dzieje z ostatnich kilku tygodni i użalałem się na traktowanie więźniów politycznych. Zdawał się to rozumieć i wyraził ubolewanie, podejrzliwie nad słuchując, czy nie usłyszy nadchodzącej zmiany warty. Pożegnaliśmy się uściskiem ręki przez kratę — odszedł o kilka kroków w bok. Wchodzi p. Wiatr i oznajmia, że pora jechać na dworzec. Zakłada mi nanowo kajdanki, może nieco mniej ściągą, jadę na dworzec w towarzystwie policjanta i wsiadamy do osobnego przedziału III klasy zwyczajnego pociągu. Przedziały w wagonie niskie, wstawszy, widzę swobodnie podróżujących całego wagonu. Policjant w niczem nie przeszkadza, zawieram znajomości, stoję w przedziale i rozmawiam. Jakieś starsze małżeństwo wstaje, przedstawia mi się, podaje ręce; przepraszam, że ręki podać nie mogę, bo jestem w kajdankach; pani ujmuję obie moje dłonie — ja całuję jej ręce. Przychodzi mi na myśl moja matka... Kieruję do niej myślą słowa zapytania, czy nie zwątpiłaby o czystości mojego serca, zobaczywszy mnie w tej hańbiącej sytuacji? Chcę wierzyć, że nie!

Czuję się zmęczony, mam ból głowy. Podjeżdżamy do Przemyśla. Siedzę przy oknie, przypatruję się publiczności, ręce trzymam na kolanach, aby nikt nie spostrzegł, że jestem skuty. Jakiś pan staje przy oknie i wita mnie po nazwisku. Jest to mój znajomy, szwagier dr. Sakowicza, dr. Pluciński, powstaniec-sybirak, zbiegł do Krakowa, skończył medycynę i jest lekarzem w Przemyślu. Wyciąga do mnie rękę — podaje obie ręce. Czytam przerażenie w jego twarzy. Opowiadam, jest mocno wzruszony — sam szedł na Sybir piechotą z partją — po chwili ginie w tłumie.

Osobowy pociąg wlecze się jak na raku, czuję się niedobrze do samego Lwowa, publiczność odnosi się do mnie sympatycznie. Po 10 wieczór przyjeżdżamy do Lwowa, zajeżdżamy dorożką przed więzienie przy Sądzie Krajowym, ul. Batorego. W kancelarji zatrzymuję się parę minut, klucznik z latarką prowadzi mnie na drugie piętro, otwiera jakieś drzwi i wprowadza. Śpiący już mieszkańiec celi unosi głowę, poznaje mnie

i woła po imieniu. Klucznik zabiera mnie z prowrotem, wprowadza do innej celi i zamyka. Przy kopćcem światle lampy rozpatruję się w sytuacji: 10 więźniów, brudnych, cuchnących, śpiących pokotem na ziemi. Deski brudne, zdeptane, oplute, kubeł cuchnie niemożliwie. Niema rady. Jestem szalenie zmęczony, kładę się nierozebrany przy jednym ze śpiących i zasypiam jak zabity. Nazajutrz przenoszą mnie do innej celi, lepszej, na trzeciego, a około 11-ej przed południem wzywają do sędziego śledczego na przesłuchanie.

Starszy, wysoki, zasuszony jegomość jest ugrzeczniony, traktuje papierosami — odmawiam. Na jego zapytanie — dlaczego, odpowiadam, że zwykłem przyjmować papierosy od znajomych i kolegów, a nie jako przynętę dla żółtodziobów. Odpowiada, że sam jest palący, że tylko w niektórych celach palenie jest dozwolone. Po raz drugi odmawiam. Zaczyna się badanie; sędzia słodki, uśmiechnięty, ale stawia pytania dość podstępnie, stara się sam dawać odpowiedzi lub sugerować mi takie, których nie miałem na myśli. Mówił po polsku doskonale, napomknął parę razy, że K o b y l a ń s k i jest Moskałem (istotnie mówił on bardzo źle po polsku, ale był Polakiem i katolikiem). Byłem w tych rzeczach niedoświadczony, ale mówiłem prawdę, ukrywając o tyle, aby innym nie zaszkodzić. Ta gra sędziego, jak kota z myszą, tak mnie zmęczyła, że na propozycję jego, aby jeszcze raz odczytać ukończony protokół, zrezygnowałem się tego i podpisałem bez czytania. Około 2-ej pop. zaprowadzono mnie do celi.

Czułem się bardzo niedobrze, ból głowy, zupełny brak apetytu; położyłem się na tapczanie i przeleżałem do wieczora. Wieczorem dwaj moi nowi towarzysze więzienni — O s t a p H r y c a j Z a w a d o w s k i, gente Ruthenus, natione Polonus, szlachcie i spiskowiec, aresztowany za jakieś stosunki z resztkami kozaków S a d y k - P a s z y C z a j k o w s k i e g o i drugi, poeta i powieściopisarz, K o s z c z y c, człowiek wówczas około 60-łki, także mający na sumieniu jakieś knowania polityczne, meldują w kancelarji o chorobie mojej. Na drugi dzień odprowadzają mnie do lekarza: puka, maca, opatruje, naznacza ściśłą dietę i każe jeszcze raz przyjść. Przychodzę znowu: rozpoznano tyfus brzuszny. Lekarz raportuje do Prezydjum Sądu i wnosi ze względu na zaraźliwość choroby, aby mnie przeniesiono do szpitala miejskiego. Kancelarja więzien-

na wydaje odpowiednią dyspozycję, ale opatrnościowy mąż c. k. Staatsanwalt recte prokurator sprzeciwia się temu i komunikuje zarządowi więziennemu w piśmie urzędowym, że jako obcy poddany podejrzany jestem o chęć ucieczki, i proponuje przenieść mnie na czas choroby do Domu Karnego t. zw. „Brygidek“ na krańcach miasta przy ulicy Kazimierzowskiej. Zawiazuje się kilkudniowa walka władz o kompetencję, prokurator zwycięża.

„Brygidki“ — olbrzymi budynek poklasztorny, od czasów Józefa II własność rządu, powiększony, rozbudowany i dostosowany do celów więziennictwa — jest niedostępny jak forteca; posiada liczne warsztaty i wytwórnie, szpital na 25 łóżek, lekarza i własną administrację. Pomieścić może naraz do dwóch tysięcy skazańców. Więzienie przy Sądzie Krajowym służy przeważnie dla osób, pozostających w śledztwie, jako więzienie prewencyjne, częściowo także skazanych na kary lżejsze — najwyżej do roku. Skazani na kary dłuższe, do bezterminowych włącznie, recydywiści i skazani na więzienie ciężkie, odbywają je w „Brygidkach“. Raz w tygodniu pod silną osłoną policji i żołnierzy odbywają się transporty zasądzonych — partjami po 10 — 15 ludzi.

Jednego z takich dni kazano mi zejść na dół i wsiąść do małej ręcznej karetki drewnianej, prymitywnej i trochę za niskiej dla mnie. Dwóch skazańców ciągnęło. Po godzinie stanęliśmy na miejscu. Dyrekcja w osobie jakiegoś uniformowanego pana odmówiła mi wręcz przyjęcia, powołując się na to, że od swoich władz bezpośrednich niema żadnego rozkazu. Rady na to nie było — wyprowadzono mnie na ulicę; kiedy i w jaki sposób powróciłem do miejsca, z którego przybyłem, nie pamiętam. Po paru dniach odwieziono mnie znowu, tym razem powozikiem w asystencji dozorca więziennego. Zostałem przyjęty bez zastrzeżeń. Byłem tak osłabiony, że najczujniejszy prokurator austriacki nie mógł mnie już o ucieczkę podejrzewać. W kancelarji uwijał się niejaki pan N i e d ź w i e d z k i, młody człowiek przyjemnej powierzchowności, gładki, o dobrze skrojonem ubraniu więziennem, skazany na 3-letnie ciężkie więzienie i prawa ręka dyrektora. Kazał znieść z pierwszego piętra łóżko z pościelą, rozebrano mnie i wniesiono do sali szpitalnej; sam już po schodach wejść nie mogłem. Czterech mocnych skazańców niosło łóżko jak piórko; pan N, szedł obok i w pewnej

chwili coś mi wsunął pod poduszkę. Zamajaczyło mi się, czy nie wiadomość jaka z domu lub od przyjaciół? Może jaka pomoc? Wreszcie ustawiono moje łóżko na miejscu. Pan N. stał przy mnie. — „Cóż to“? — zapytałem. „Trochę dobrego tytuniu, bibulek i zapalki. Tutaj o tytuń bardzo trudno, ale ja o panu będę pamiętał“. Było mi to zupełnie obojętne, byłem w stanie zupełnej prostracji bezbolesnej; była to depresja moralna, spowodowana przeżyciami moralnymi, jakieś bezgraniczne zobojętnienie na wszystko, co się naokoło działo, co mnie miało spotkać. Godzinami leżałem z zamkniętymi oczami bez ruchu. Przyszedł doktor, zbadał, potwierdził rozpoznanie.

Jeden z więźniów obsługiwał mnie, podawał mi jakiś napój, czasami pomagał przy niektórych czynnościach, o ile własnych sił mi nie starczyło. Swoje samarytańskie czynności spełniał spokojnie, bez śladu zniecierpliwienia. Nie mogłem absolutnie nic jeść, wszystko oddawałem jemu — on chętnie przyjmował. Byliśmy z siebie zadowoleni wzajemnie. Lekarz kilka razy mnie odwiedził. Zacząłem powoli przychodzić do siebie. Rekonwalescencja postępowała. Po tygodniu schodziłem nadół, spędzałem godziny na powietrzu, nabierałem apetytu i sił. Przypatrywałem się otoczeniu i zacząłem sobie zdawać sprawę z ogromu nędzy i poniżenia, w jakim zatracala się część społeczeństwa naszego.

Moją celę szpitalną, pokój o 4-ch oknach, pojemny i czysty, dzieliło ze mną jeszcze 3-ch więźniów. 70-letni Rusin, trzykrotny recydywista, podpalacz z zemsty, skazany na dożywotnie więzienie, leżał stale w łóżku. Kiedy go raz zapytałem, jak długo jeszcze tu przebywać będzie, odpowiedział bez najmniejszego wahania: — „do śmierci, panie“ — i opowiedział mi wstrząsającą historję. Drugi — wielokrotny włamywacz, szewc z zawodu, siedział cały dzień przy stole szewskim i pracowicie szył obuwie za minimalną zapłatę, którą zarząd na jego rachunek składał, aby po 2-ch latach mógł opuścić dom karny z jakim takim zaopatrzeniem. Trzeci — morderca rabunkowy, odbywający 15-letnie więzienie. I wszyscy bez wyjątku tutejsi mieszkańcy, których ja widywałem, czy na spacerze, czy przypadkowo w obrębie tego domu, mieli na sumieniu cięższą lub lżejszą krzywdę, wyrządzoną swoim bliźnim. Jakimże sposobem i z czyjej winy znalazłem się w tem występnie społeczeństwie?

Zaprzagnąłem za wszelką cenę powrócić do mego dawnego miejsca pobytu i do moich nieobciążonych zbrodnią towarzyszy w Sądzie Krajowym — Z a w a d ó w s k i e g o i K o s z c z y c a. Poszedłem do kancelarii i prosiłem o to, p. N. uzależnił to od opinii lekarza, a na drugi dzień zostałem wypisany ze szpitala i zpowrotem odstawiony do Sądu Krajowego.

Tymczasem społeczeństwo polskie zaczęło się niepokoić przewlekaniem sprawy, w paru dziennikach lwowskich pisano, że powraca fala prześladowań społeczeństwa polskiego. „Koło“ polskie zainterpelowało ministra sprawiedliwości o zaszedłem i stanęło w obronie młodzieży polskiej. Widocznych skutków to nie miało narazie.

Ja powracałem do zdrowia. Przeszły jeszcze ze trzy miesiące — coraz nudniejsze. Z poza muru więzienia wystawał wysoki gmach. Było to jakieś gimnazjum, w którym popołudniu odbywała się nauka chłopców IV czy V klasy. Sala była oświetlona, przez okno widziałem dokładnie pracującą młodzież — czasami zjawiał się nauczyciel. Pewnego dnia przez okienko na korytarz spostrzegłem idącego z klucznikiem B o l e ś ł a w a L i m a n o w s k i e g o. Przeraziłem się, dotąd bowiem nie wiedziałem, że był aresztowany.

Za przykładem młodzieży przeciwka wznowiłem nauki, przerwane chorobą, zacząłem się przygotowywać do egzaminów, które miałem odbyć w lipcu, a był już wrzesień. Przeszło jeszcze parę tygodni — niespodzianie wołają mnie do kancelarii i mówią: „Pakuj się pan, przeciw panu powstrzymano dochodzenie sądowe i prokurator odstępuje od oskarżenia“. Pytam: „Za cóż ja przesiedziałem 6 miesięcy, maltretowany i męczony?“ Odpowiedzi nie otrzymałem, natomiast w kancelarii powiedziano mi, że z Wiednia jest list pieniężny, około 20 rubli, których oddawna się spodziewałem, i że odstawiony będę do aresztów policyjnych do ostatecznego przesłuchania. Była jeszcze druga niewielka kwota, około 20 reńskich, przysłana dla mnie od niewiadomego ofiarodawcy. Zaopatrzony w gotówkę, której od dnia mego aresztowania w Wiedniu nie widziałem, prędko spakowałem się, pożegnałem moich współtowarzyszy celi i odjechałem do policji — bez asysty. Tam byłem oczekiwany.

Dostałem dość przyzwoitą celę, drzwi zamykały się tylko na noc, pożywienie mogłem sobie obstałować w sąsiedniej re-

stauracji i mogłem cały dzień przebywać na podwórzcu. Przespałem się doskonale. Przed południem, kiedy spacerowałem po podwórzcu, wchodzi Limanowski. Witamy się — on mnie winszuje i zaprasza do siebie na obiad. Mówię mu, że mam być przesłuchany przez komisarza Kossę, osławionego z brutalnych zająć z młodzieżą wyższych uczelni we Lwowie. Limanowski rozmawia z nim i prosi o wypuszczenie mnie po przesłuchaniu, abym mógł pójść do fryzjera, do łazienki, a potem do Limanowskiego na obiad. Otrzymałem pozwolenie z tym zastrzeżeniem, że o 6-ej wieczór znajdę się na dworcu i odjadę do Wiednia. Idę do przesłuchania, idzie wszystko gładko, otrzymuję pozwolenie na wyjazd do Wiednia.

Na 6-tą jesteśmy na dworcu, kupuję bilet do Krakowa, dwóch podejrzanych panów ma mię na oku, wsiadam do pociągu i jadę. W przedziale zastaję kilka osób. Zaznajamiamy się, jest mi w tem towarzystwie przyjemnie, swojsko i swobodnie. Ożywiam się, czując się wolnym. Do ziszczenia moich najgorętszych pragnień i marzeń czuję się w tej chwili tak bliskim, jak dalekim od nich byłem przed paru dniami. Nad ranem stajemy w Krakowie. Podróżni zabierają kufarki i kąpa wychodzą. Przed kratkami jakiś jegomość zapytuje mnie: „jak godność pana?“ żartobliwie odpowiadam: „a cóż to pana obchodzi“ — „Owszem, bardzo, ja jestem komisarzem policyjnym“. Odchyła klapę zarzutki i pokazuje mi ukrytego orzełka. Towarzystwo moje skonsternowane, nie żegnając się ze mną, odchodzi. Ów jegomość legitymuje się telegramem z Namiestnictwa, że ma nie pozwolić mi wysiąść w Krakowie, a najbliższym pociągiem skierować do Wiednia. Perswazje moje nie skutkują. Z istic policyjną uprzejmością proponuje mi wypożyczek po bezsennej nocy w straźnicy policyjnej na dworcu. Najbliższy pośpieszny pociąg odchodzi za 15 minut, jest droższy — rady niema — kupuję bilet i wsiadam do wagonu. Mój szczęśliwy nastrój z przed półgodziny spada nagle do zera. Myślę, jeszcze nie koniec! Mam w kieszeni około 15 guldenów, a co będzie, jeśli mnie do Wiednia nie wpuszczą? Pociąg pośpieszny, obojętny na moje refleksje, szybko mnie unosi w niewiadomą przyszłość!

Dnie są wyraźnie krótsze, czuję się strasznie rozbity, nie ruszam się z wagonu, trochę się przesypiam. Zapada wieczór — około g. 8-ej wieczorem staję w Wiedniu. Nie śpieszę się z wyj-

ścieniem, wychodzę ostatni. Ostrożnie rozglądam się, czy kto nie czeka na mnie—niema nikogo. Wychodzę na peron; mój kuferek oddaję do rewizji celnej—nikt mnie nie zaczepia. Wychodzę przez bramę i śpieszę do hotelu „Pod białym koniem“ w II dzielnicy, zostawiam rzeczy i pędzę na Lenaugasse, gdzie prawie dwa lata przemieszkałem. Gospodyni przyjmuje mnie z otwartymi rękami: pokój wolny, umawiam się, nazajutrz się sprowadzam!

Dokumenty moje, wysłane przez policję lwowską pod adresem Stehlinga, otrzymałem. Zapisalem się na semestr zimowy, uporządkowałem swoje sprawy finansowe o tyle, że umówioną kwotę 15 rubli miesięcznie znowu miałem zabezpieczoną. Od czasu mego uwięzienia, t. j. więcej niż pół roku, nie pisałem do matki, bojąc się narazić ją na możliwe zyskany. Okazało się, że nieznaną drogą była ona poinformowana. W odpowiedzi nie spotkał mnie żaden zarzut lub wymówka. Zaklinała tylko na popioły ojca, abym od polityki trzymał się zdala... Prośby zbiedzonej matki pomogły niewiele. Życie poszło zwykłym trybem, pracowałem z ochotą i pilnie, nawiązane stosunki polityczne odnowiłem i utrzymywałem w dalszym ciągu. Mieszkanie moje było ośrodkiem pośredniczącym pomiędzy Polską a Rosją — z jednej strony, a z zachodem, względnie z Genewą, z drugiej. Byłem zakonspirowany doskonale. Listów pod własnym adresem otrzymywałem bardzo mało — od rodziny, co miesiąc jeden list pieniężny; większe kwoty i nie dla mnie pod zupełnie pewnym adresem. Dyspozycje o ich użyciu lub przeznaczeniu, przechowanie i dowody wypełniały osoby zupełnie niepodejrzane, słowem — byłem kryty kompletnie. Poznałem kilku nowych ludzi: Kazimierza Hildta, Kazimierza Dłuskiego, Stanisława Mendelsona, Marję Jankowską i istotnie kompromitującą osobistość, uciekiniera z „procesu 193-ch“, doktora medycyny, pod pseudonimem Wasilij Wielikij.

Nazwisko moje stawało się znanem na emigracji, ale w oczach policji było coraz czystsze. Proces Kobyłańskiego skończył się na niczem: K. został zasądzony za fałszywy meldunek na 3 tygodnie zwykłego aresztu i wydalony policyjnie z kraju. Jego współnicy: Franko, Pawlik i Terlecki wyszli bezkarnie. Sprawa powoli zapominała się.

(C.d. n.).

STANISŁAW SIEDLECKI.

ZAŁOŻENIE „PROMIENIA“.

W roku 1897 znalazłem się na studjach we Lwowie, jako wyrzucony ze szkół rosyjskich na Ukrainie, z tak zwanym „wilczym biletem“, za organizowanie w gimnazjum w Złotopolu kółka młodzieży w duchu narodowo-niepodległościowym¹⁾. Wstąpiłem na politechnikę, ponieważ, hołdując zasadzie walki czynnej o niepodległość, wierzyłem, iż „nie biadać i gadać, lecz robić należy“. Lwów oszołomił mnie na razie. Musiałem z miejsca zrewidować swe, nie wypowiedane zresztą, mniemanie, że ja i mój brat Ludwik, to może jedyni w Polsce prawdziwi niepodległościowcy wśród młodzieży.

Zaraz na politechnice zetknąłem się ze starszymi kolegami, rządzącymi wówczas „czerwoną“ Bratnią Pomocą, jak Szaynok, Brzostowski, Zipser, którzy o dążeniach niepodległościowych mówili jako o czemś samo się przez się rozumiejącem. A oni przecież nadawali ton całej młodzieży, do „Bratniaka“ należącej. Pozatem w sali „Bratniaka“ wygłosił odczyt o socjaliźmie młody inżynier, Kazimierz Mokłowski. Mówiono wtedy o nim, że jest gorącym i czynnym niepodległościowcem, w przeciwieństwie do innych socjalistów galicyjskich, mniej lub bardziej obojętnych dla tej sprawy. Wskazywano również wysoką postać świeżo ukończonego inżyniera, Jędrzeja Moraczewskiego, jako wybitnego socjalistę, który w dążeniach niepodległościowych idzie śladami swego sławnego dziada. W socjalistycznym stowarzyszeniu akademickim „Zjednoczenie“ spot-

¹⁾ Organizacja ta nie miała jeszcze zupełnie zabarwienia socjalistycznego.

kałem Stanisława Kachnikiewicza, doktora Górzyckiego, Oswalda Dawida, Leona Weinfeldta i słuchacza politechniki, Andrzeja Galicę, co do których nabrałem przekonania, że nie są gorszymi ode mnie niepodległościowcami.

Jednak, kiedy w jesieni 1898 roku z zaagitowanym przeze mnie bratem Ludwikiem jechaliśmy na politechnikę do Lwowa, byliśmy zdecydowani działać w kierunku szerzenia idei niepodległości, niezależnie od tego, czy tamci wybitni i imponujący ludzie robią coś w tym kierunku, czy nie robią. Szukając terenu działania, stwierdziliśmy przedewszystkiem, że młodzież gimnazjalna galicyjska, mająca w porównaniu z młodzieżą zaboru rosyjskiego nieskończenie większą łatwość zrzeszania się dla samokształcenia, nie organizuje się prawie wcale. Następnie, że duch ugodowości i filisterstwa, jaki szerzyła od lat w Galicji szkoła stańczykowska, zabił wszelkie szczere przejawy porywów niepodległościowych. Cały ówczesny patryjotyzm galicyjski polegał na urządzaniu nudnych obchodów narodowych (3-go maja, rzadziej rocznicy powstań), noszeniu strojów narodowych i urąganiu po kątach na centralizm austriacki. Czy, obiektywnie biorąc, było to wszystko, nie chcę w tej chwili przesądzać, w każdym razie wtedy mieliśmy o tem takie właśnie pojęcie. Wiedzieliśmy również, że socjalizm galicyjski nie przeciwstawia temu stanowisku rzeczy hasła niepodległości z oparciem o masy robotnicze, tak jak P. P. S. zaboru rosyjskiego, będąc w owym czasie niejako emanacją socjalnej demokracji austriackiej. Dość liczni niepodległościowcy, zgromadzeni we Lwowie, byli dodatkowym dowodem, że szkoła polska w Galicji nie sprzyja rozwojowi uczuć niepodległościowych. Swe przekonania bowiem zawdzięczali oni albo rodzinie, albo też hasłu, rzuconemu przez P. P. S. zaboru rosyjskiego. Hasło to, poparte czynną walką w najtrudniejszych warunkach, zaś powtarzane na łamach tajnego „Robotnika”, co wytrwale wychodził w Warszawie (tak brzmiało bowiem miejsce wydawania pisma), poczyniło właśnie przedostawać się przez chiński mur filisterstwa i ugody, którym otaczała szkoła galicyjska swych wychowanków.

Idea założenia niepodległościowego pisma dla młodzieży powstała na wieczorach kółka lierackiego, które utworzono w listopadzie 1898 r. w Bratniej Pomocy politechniki lwowskiej. W grudniu tegoż roku przyszedł do mnie mój brat Ludwik

i zwierzył się, że w porozumieniu z kolegą Wacławem Wolskim postanowili założyć pismo dla młodzieży szkolnej. Co ono ma propagować, to ułoży ze wszystkimi szczegółami Wolski, bo on ma do tego talent, by wszystkie drobiazgi zebrać, chodzi jednak głównie i przede wszystkim o szerzenie uczuć niepodległościowych wśród młodzieży. Chodzi o to, byśmy mogli stworzyć liczny zastęp ludzi, którzy będą chcieli w swoim czasie bić się o niepodległość. Ludwik, który właśnie wtedy począł się uważać za Ukraińca, chciał, by to propagowanie idei niepodległości mogło w przyszłym piśmie dokonywać się równoległe i wśród młodzieży ukraińskiej.

Z radością przyjąłem do wiadomości postanowienie założenia pisma. Co do wyżej wyłożonego programu, to był on już przez nas w zasadzie dawno ustalony, teraz następował tylko moment możliwości jego urzeczywistnienia. Wyobrażaliśmy sobie, że pismo będzie samowystarczalne, t. j. na papier, druk i przesyłkę pocztową zdobędziemy pieniądze z kolportażu pisma. Oczywiście, o kosztach redakcji, administracji, czy też honorariach autorskich nie było mowy ani w projektach, ani potem w długoletniej a sławnej historii pisma. Pomimo tak skromnych wymagań, trzeba było znaleźć pewną kwotę na początek na wydrukowanie I-go numeru pisma. Kwoty takiej nie mieliśmy. Sytuacja wydawała się beznadziejną. Pewnego dnia jednak kolega Wolski zawiadomił nas, że, o ile do niego przyjdziemy wieczorem na ul. Kurkową 14 na zebranie, to da się może coś zrobić i w sprawie pieniężnej.

Koniec roku 1898 w Galicji był znany z tego, że wtedy nastąpiło wielkie bankructwo przedsiębiorstw naftowych Stanisława Szczepanowskiego, właściwego twórcy przemysłu naftowego w Polsce. Bankructwo spowodowały intrygi obcego kapitału, a dopuścił doń krótkowzroczny a zazdrosny kapitał polski. Było ono tak wielkim ciosem dla polskości przemysłu naftowego, że do dziś dnia nie może on się z jego skutków otrząsnąć. Jednocześnie ze Szczepanowskim zrujnowani zostali inżynierowie Wolski i Odrzywolski, przyjaciele Szczepanowskiego, którzy poręczyli za niego całym swym kilkamiljonowym majątkiem. Na Kurkowej pod 14 mieszkał kolega Wolski właśnie w mieszkaniu jednego z tych szlachetnych poręczycieli, inżyniera Odrzywolskiego, i zebranie miało się odbyć z jego udziałem.

Pierwsze tedy formalne posiedzenie organizującego się pisma odbyło się w następującym składzie: inż. Kazimierz Odrzywolski, Waclaw Wolski, Ludwik Siedlecki i Stanisław Siedlecki. Na tem posiedzeniu wybraliśmy nazwę pisma i powtórzyliśmy w sposób już uporządkowany program jego działalności. Odrzywolski przy końcu posiedzenia, wyraziwszy aprobatę dla kierunku pisma, ofiarował nań 50 guldenów. Pozatem inż. Odrzywolski w niczem nam nie pomagał, ani też przeszkadzał, zresztą umarł wkrótce na chorobę serca.

Mając taki „majątek” w kieszeni, poczęliśmy już myśleć konkretnie o wydawnictwie, a więc szukać redaktora, fachowca od artykułów programowych, oraz redaktora odpowiedzialnego. Redaktor odpowiedzialny był „najważniejszy”, bo bez jego podpisu nie mógł się pierwszy numer ukazać. Wedle istniejącej wtedy ustawy, musiał być obywatelem austriackim i mieć skończone 24 lata. Między młodzieżą z I i II roku politechniki o takiego było trudno, więc udaliśmy się o pomoc i radę do zarządu „Bratniaka”. Gdy się jednak tam powiedziano, o co chodzi, a przede wszystkim, ile mamy pieniędzy, uśmiechając się pobłaźliwie, radzono zamiaru poniechać, zaś pieniądze oddać na „Bratnią Pomoc”.

Nie nawymyślaliśmy im, czego dotąd żałuję, bośmy sami byli skromni i pełni wątpliwości, aleśmy zamiaru, oczywiście, nie pojechali. Postanowiliśmy tylko nie iść w staraniach o redaktora odpowiedzialnego „drogą organizacyjną”, ale rozpoczynając indywidualne poszukiwania. Po kilku dniach zatrzymaliśmy się na pewnym bukowińczyku²⁾, koledze Aleksandrze Wieleżyńskim.

— Odpowiedzialny redaktor! — wykrzyknął, śmiejąc się, poczciwy kolega, gdy brat mój wyłożył mu sprawę. Wykrzyk ten i ton oznaczały, że wie on, o co chodzi — mianowicie o odsiadywanie więzienia w razie czego. Zgodził się jednak bez wahania.

Należało z kolei obejrzeć się za kierownikiem pisma. Wprawdzie kolega Wolski dawał, bardzo zresztą skromnie, do zrozumienia, że potrafi redakcję prowadzić, a wiedzieliśmy sami, że ma po temu uzdolnienia, ale baliśmy się go, ponieważ był za mało radykalnych poglądów.

²⁾ Polak z Bukowiny, ze szkoły niemieckiej.

Tymczasem cuda opowiadano nam o rozumie, energii i wiedzy, a zarazem o dowcipie i ekscentryczności członka akademickiego „Zjednoczenia”, a także członka P. P. S. zaboru rosyjskiego, doktora Feliksa Perla. Wstawał o 6 wieczorem, siedział cały czas w kawiarni, o godzinie 2-iej w nocy pytał: „co zrobić z resztą wieczoru?”; chodził w zimie w dwu letnich paltach, odżywił się okropnie i mieszkał w nieopalanym pokoju. Znał na pamięć prawie całego Słowackiego i innych poetów polskich i był znakomitym znawcą socjologii, socjalizmu i „Kapitału” Marksa.

O godzinie 4-iej po południu poszliśmy tedy odwiedzić Perla, by mu zaproponować redakcję „Promienia”; było to na III piętrze przy ul. Ossolińskich 12. Pokój, zajmowany przezeń, miał łóżko żelazne, dwa krzesła, stół i nocną szafkę. Mieszkanie było nieopalone oddawna. Zresztą drzwiczki od pieca były wyrwane i wstydliwie wyzierały z kąta. Na łóżku, przykryty z głową cienkim bawełnianym kocem, letniem paltem i dwiema wielkimi rozłożonemi książkami, spał gospodarz.

Weszliśmy i usiedli na krzesłach, rozmawiając (drzwi nie były wcale zamknięte). Po pewnej chwili śpiący się poruszył i z pod kołdry wysunęła się głowa i biała jak pergamin, cienka, bez mięśni ręką. Ręka odgarnęła długie czarne włosy i wyjrzał na koniec sam „Felek”. Miał rasową semicką, ujmującą twarz, okoloną czarną rzadką bródką.

Było nas gości trzech: Wolski, Jan Zajączkowski, syn znanej działaczki pepeesowskiej, którego prosiliśmy, by nas przedstawił Perlowi, i ja. Wyłożyliśmy naszą sprawę. Perl na redaktorstwo się nie zgodził, nie miał na to „ani czasu, ani ochoty”, ale napisać obiecał.

To też i napisał. W numerze 1-ym był jego artykuł, poświęcony rocznicy powstania styczniowego, w 2-im — krytyka wypisów szkolnych pod tytułem: „Jak nie należy układać wypisów”, w 4-ym — artykuł pod tyt.: „Hr. Tarnowski w walce z historją porobiorową Polski”. Napisał również w tychże numerach umieszczony szereg artykułów popularnych z zakresu socjologii, jak: „Gospodarka naturalna i pieniężna” i inne³⁾.

³⁾ On też zaproponował tytuł pisma — „Promień”, który przyjęliśmy jako najlepszy.

Artykuły te, pisane niezwykle jędrnym, pełnym uszczypliwego humoru stylem, wykazywały obłudę quasi-patrjotyzmu galicyjskiego tych czasów, wytykały zacofanie, klerykalizm i zaściankowość metod szkolnych i rzucały śmiało hasło walki z tem wszystkim. Nadały one właściwy prometejski ton pierwszym poczynaniom „Promienia”. Zrobiły one to, że nie zdawał się bladym wstępem programowy artykuł od redakcji, pisany ręką Wolskiego.

Kiedy Wolski mówił, że będziemy „podsycali znicz uczuć narodowych”, w artykułach Perla (R) znicz ten buchał wysokim słupem płomienia. Kiedy artykuł programowy oświadcza, że chcemy wystąpić przeciw „bezmyślnemu szowinizmowi i zaściankowości”, to Perl ten szowinizm i zaściankowość ciął bez pardonu ostrym nożem zjadliwej krytyki, wyśmiewał wesołym i zdrowym śmiechem młodości. Przez artykuły popularno-społeczne Perla wchodzi ostrożnie i umiejętnie wszczepiony w umysł młodzieży światoburczy, bohaterski polski socjalizm.

Po wizycie u Perla sprawa była zdecydowana i redaktorem został Wolski. Kiedy się pojawił 1-szy numer, trzeba się było zająć jego porządnym i celowym kolportażem. Do tego się zgłosił ofiarny i oddany kolega, uświadomiony już socjalista galicyjski, Leon Weinfeld. Nie miał żadnych pisarsko-redaktorskich aspiracji, ale miał zdolności organizacyjne. To też sprawa kolportażu i administracji, sprawa zdobywania funduszków na dalsze numery, stworzenie kół młodzieży „promienistej”, to jego prawie wyłączna inicjatywa i zasługa. Nad jego osobą zatrzymam się trochę dłużej, bo stał się on w pewnej chwili przedmiotem sporu, który zaważył dość znacznie na losach „Promienia”.

W zimie 1899 — 1900 roku naszym pismem zainteresowali się przedstawiciele P. P. S., którzy poza Perlem byli wtedy we Lwowie, mianowicie Witold Jodko, Adam Bujno, Bolesław Miklaszewski. Skutkiem tych zainteresowań pepeesowców było postanowienie opanowania przez partję „Promienia” w całości. Nie wiem zresztą, gdzie to i jak postanowiono, dość, że zjawił się do mnie (wtedy już należałem do tajnej sekcji P. P. S., wprowadzony przez B. Miłaszewskiego) Adam Bujno z następującem żądaniem. Ponieważ redakcja pisma jest w naszych rękach ⁴⁾, zaś administracja i propaganda znajduje się

⁴⁾ Wacław Wolski właśnie wtedy zachorował i wyjechał.

w rękach członka galicyjskiego P. P. S. D., Weinfelda, więc należy go usunąć.

Do dziś uważam, że człowiek wydajny w pracy i bezinteresowny jest wielkim skarbem dla każdej organizacji, zaś Leon Weinfeld imponował poprostu ofiarnością i niezmordowaną pracą dla „Promienia”. Oparłem się tedy żądaniu usunięcia go. pomimo całego strachu, że sprzeciwiam się woli potężnej, tajemniczej siły, której autorytet był dla mnie wtedy alfą i omegą autorytetu wogóle; miałem bowiem podejrzenie, że Bujno więcej tu działa na własną rękę i, jeśli nawet ma za sobą uchwałę, to że sam ją spowodował przez odpowiednie przedstawienie sprawy. Tłumaczyłem Bujnie jak mogłem, że po pierwsze Weinfeld jest entuzjastą zupełnie bezinteresownym i da sobą pokierować, powtóre, że lgnie do nas, „królewaków” i niepodległościowców całym sercem, a nakoniec, że bez jego współpracy wogóle pismo nie może się obyć. Przypomniałem mu i ten fakt, że, gdyby nie Weinfeld, to przecież pyszne artykuły Perla w pierwszych numerach też nie byłyby się ukazały. On to bowiem, chodząc za Felkiem od kawiarni do kawiarni i bawiąc go rozmową do 3-ej rano, wymuszał na nim te artykuły, pisane zawsze na stolikach kawiarnianych. Nie umiałem jednak Bujny przekonać.

Skutki mego sprzeciwu były narazie opłakane. Mianowicie członkowie P. P. S. przestali zasilać „Promień” swemi pracami (zresztą Perl wtedy wyjechał, jak teraz wiemy, do redakcji tajnego „Robotnika”), zaś inni współpracownicy odpadli poprzednio, odstraszeni zbliżeniem się naszym do socjalizmu. Zostaliśmy sami. Ja w dodatku, kończąc właśnie studia, nie miałem czasu — zresztą nie odważyłbym się wtedy brać w ręce redakcji pisma. Został więc L. Weinfeld, który siłą rzeczy stał się i redaktorem i sekretarzem redakcji i wogóle wszystkim ⁵⁾. On też, wyprasząc i wyblagując artykuły u wybitnych socjalistów lwowskich i zestawiając kroniki oraz gromadząc materiały, nadsyłany przez młodzież, pchał numer za numerem jak mógł i umiał. Dopiero po kilku miesiącach redakcję objął student uniwersytetu Stefan Odrzywolski (zresztą współpracownik „Promienia” od pierwszych numerów) i redagował pismo przez pewien czas dobrze i zajmująco.

⁵⁾ Pismo miało swą siedzibę narazie w mieszkaniu braci Wieleżyńskich, potem już stale było w mieszkaniu L. Weinfelda.

Kiedy „Promień” przetrwał ten trudny okres, znów się nim zaczęli interesować wybitni pepeesowcy. Miał on wtedy już dość wyraźne oblicze, opierając się o liczne koła młodzieży „promienistej” w Galicji, na Śląsku, a także i w zaborze rosyjskim, w tym ostatnim przy czynnej pomocy P. P. S.

Jeśli chodzi o współpracę pierwszych dziesięciu numerów „Promienia”, to, poza już wymienionymi — W. Wolskim (W), F. Perlem (R), Ludwikiem Siedleckim (Grzymalita) i Stefanem Odrzywolskim (St. Od.) — wymienić mogę matkę moją (Józefa Grzymała), Ukrainca Teofila Mełenia, autora artykułów w sprawach ukraińskich (T. M.), Marjana Wieleżyńskiego (Alchemik), znanych już wówczas krytyków literackich: Ostapa Ortwina i Zdzisława Dębickiego, oraz Edmunda Weisberga (Wielińskiego). Pisali też W. Jodko, M. Hankiewicz, K. Mokłowski, Z. Kisielewski, Milko, ale to już późniejsze czasy.

Pomimo, że wydawnictwo „Promienia” kosztowało mało, bo płaciło się tylko za papier i druk, jednak z funduszami na dalsze numery było zawsze krucho. Młodzież szkół galicyjskich, jak to zawsze młodzież, płaciła bardzo kiepsko, zresztą i cena egzemplarza (15 centów) była skromna, jeżeli liczyć, że rozchodziły się te egzemplarze nie w tysiącach, ale w setkach zaledwie. To też ważną rolę odgrywało tu przewożenie „Promienia” do zaboru rosyjskiego i uzyskiwanie tam gotówki z kolportażu i zbiórek. Kiedy przychodził czas wyjazdu na ferje świąteczne i wakacje, Weinfeld całe góry „Promienia” naładowywał na studentów, jadących za kordon. Częściowo zajmował się tem i Józef Nowicki (pseudonim partyjny „Pluskwa”), który wprawdzie obładowywał kolegów głównie bibułą ściśle partyjną, ale i dla „Promienia” miał względy.

Dużem oparciem dla „Promienia” był na Ukrainie dom moich rodziców, sławny „futerek” pod Złotopolem. Pierwsze numery prawie wyłącznie, a później przez parę lat duża część kolportażu pisma na cały zabór rosyjski szła przez „futerek” na Ukrainie. Stamtąd też płynęły i znaczniejsze fundusze, bo patriotyzm „promieniowy” był tam tak wielki, że nie było zwykłego podziału: trochę na „Promień”, a resztę na bibułę P.P.S., wszystko tam szło na „Promień”. „Futerek” grupował, pod opieką pieczołowitą moich rodziców, Stanisława i Józefy Siedleckich, młodzież, z której jako „promienistych” należy wymienić, poza już wymienionymi: Felicję i Jadwigę Iwanowskie,

Józefę, Jadwigę i Wandę Siedleckie oraz Feliksa Siedleckiego. Tutaj też często widzimy ciężko obciążonego „Promieniem” Leona Weinfeldą, który pilnował, by nie tylko, jak my to czyniliśmy, bibułę przewieźć i rozepchnąć między ludzi, ale głównie, by zainkasować tak dla dalszego wydawania potrzebną gotówkę, o ile możliwości największą. Oparciem dla „Promienia” na Ukrainie była również grupa studentów kijowskich, do której wchodził: Witold Zabłocki, Wojciech Świętosławski, Tadeusz Zagórski, Mieczysław Piątkowski (Mak), Zygmunt Sianożęcki oraz studentka uniwersytetu lwowskiego Janina Zabłocka. Ta ostatnia nieraz przewozi „Promień” na sobie przez kordon. Widzimy też stale w numerach powakacyjnych „Promienia” pokwitowania „znacznych sum” z zaboru rosyjskiego, bo sięgające czterdziestu kilku rubli jednorazowo.

Z pośród „promienistych” wyszli politycy i działacze społeczni, jak: Tadeusz Hartleb, Marjan Hudec, Zygmunt Kisielewski, Władysław Kobak, Stanisław Kot, Marjan Kukiel, St. Lewenstein, Adam Próchnik, Kazimierz Pużak, Edm. Szalit (poległ jako legionista II Brygady), Jan Szczyrek, Kazimierz Świtalski i wielu, wielu innych.

W późniejszych latach swej działalności „Promień” podjął dwie prace, o których tu chcę wspomnieć, chociaż nie posiadam odnośnych roczników pisma, by dokładnie móc sprawę oświetlić. Pierwszą pracą była ankieta, w której chodziło o wyświeślenie, czy miłość ojczyzny w jakikolwiek sposób koliduje z dążeniem ludzi do międzynarodowego współżycia. Odpowiedzi na tę ankietę nadesłali: Marja Konopnicka, Eliza Orzeszkowa, Wacław Sieroszewski, Andrzej Niemojewski i wielu innych pisarzy polskich.

Drugą pracą była ankieta na temat: „Jak zostałem socjalistą?” Odpowiedzi nadesłali: Józef Piłsudski, Kazimierz Mokłowski, Witold Jodko-Narkiewicz, Ignacy Daszyński, Mikołaj Hankiewicz, Herman Diamand i inni. Ankieta ta jest jednym z nielicznych źródeł biograficznych Józefa Piłsudskiego.

Na pytanie, co zdziałał „Promień” wśród młodzieży polskiej wogóle, a galicyjskiej w szczególności, odpowiedzieć można — wiele zdziałał! Praca ideowa „Promienia” przeorała do gruntu niwę galicyjską, odpychając do krystalizującej się właśnie endecji tromtadracki „parade-patrjotyzm” i tworząc liczną kadre entuzjastycznie nastrojonych zdecydowanych niepod-

ległociowców. Gdyby nie „Promień” i jego wieloletnia praca, nie wiem, czyby Józef Piłsudski potrafił znaleźć w Galicji w latach 1910 — 1914 kilka tysięcy młodzieży do swoich zastępów strzeleckich. By młody żołnierz polski w latach 1914 — 1918 mógł wytrwać wobec obojętności, a nawet niechęci społeczeństwa polskiego, by mógł wyminąć wszystkie sidła, nań zastawione, gdy wracał ze szpitala do I-ej Brygady, by mógł znieść z godnością cały szereg ciężkich przejść w tym czasie, gdy Komendant poszedł do Magdeburga, musiał mieć wiele w sobie hartu i siły ducha. By jednocześnie ten źle uzbrojony i słabo zaopatrzony żołnierz, pod komendą tak samo młodych, świeżo ze szkół i „cywila” wysłanych oficerów, potrafił na polu bitwy imponować niemieckiej armji, musiał mieć wiele rycerskich cnót i wiele miłości Ojczyzny.

Na stworzenie tych rycerskich nastrojów i tej niezłomnej postawy przyszłych żołnierzy wyzwalającej się Polski złożyło się dużo czynników potężnych i wzniosłych, jednak śmiało mogę powiedzieć, że i zasług tu zapomnianego już dziś „Promienia” *m a g n a p a r s f u i t.*

Warszawa, 27.VIII 1930.

ANTONI LANGE.

WSPOMNIENIA WIĘZIENNE.

II.

Na Pieresylnej.

— Cygoń! Szuster! Agafonow! Feuerstein! Abramson! Kat! Bot! Winograd! Szelest! Żwir! Krasicki! Węgierski! Der! Mańko! Zimmerfenster! Fensterzimmer! i t. d.

Taka litanja zabrzmiała koło południa, we środę, 24 lipca, po korytarzach więzienia ratuszowego.

Diad'ka, strażnik naszego piętra, chodząc od celi do celi, czytał listę osób, przeznaczonych na etap do Brześcia Litewskiego. W ciasnym, prawie ciemnym korytarzu zaroilo się od ludzi, zaszumiało, zahuczało.

— Etap! etap! — brzmiało dokoła. — Do Brześcia! Stu dwudziestu ludzi wyrusza! O godzinie szóstej.

— Do opisu! — zawołano znowu.

— Co to znaczy? — pytali nieświadomi.

Idzie się do osobnego biura, na dole, gdzie dla każdego zesłańca przygotowano oddzielny arkusz z opisem jego osoby.

„Idziemy do kancelarji” — jak to mówi śpiewka — gdzie pytają nas o nazwiska, imię, imię ojca i wiek: to się nazywa opis. Sto dwadzieścia takich arkuszy weźmie w drogę konwój, prowadzący etap.

Gdy jedni kolejno schodzili do opisu, drudzy tymczasem kończyli obiad, a inni już szykowali tłumoki. Układanie rzeczy w więzieniu jest to robota żmudna, kunsztowna i wymagająca niemałej przezorności. Bywalcy objaśniali nowicjuszów o tajemnicach tej wyprawy.

— Idziemy naprzód na pieresylną! Nie wolno mieć wali-
zy, tylko worek! Nie wolno mieć noży, widelców, brzytw, no-
życzek. Nie wolno mieć masła, mydła, proszku do zębów, tytu-
niu, pieniędzy. Czuj duch!

Pół ze śmiechem słuchano tych uwag, ale każdy w ten lub
ów sposób stosował się do nich, wykonując przytem jakieś rę-
koczyny mistyczne ku ukryciu kontrabandy. Są sposoby na spo-
soby. Przenikliwe jest oko rewizora, ale większa jest chytróść
więźnia. Cała tajemnica wszelkiej rzeczy ukrytej polega na
tem, aby ta rzecz była na wierzchu, gdzie jej nigdy nikt nie szu-
ka. Metoda taka daje zdumiewające rezultaty.

W ciągu dwóch godzin wszyscy byli gotowi do drogi, że-
gnamy się czule z towarzyszami, którzy nadal w ratuszu pozos-
tają, z celą, do której — rzecz dziwna! — jakoś się nawykło.
Stara sentymentalna historia więźnia Chillonu powtarza się raz
jeszcze. Tylko, że tu, w ratuszu, brak zupełny samotności.
Przeciwnie: wrzawa nieustająca 600 ludzi w zbyt małym — na
200 ledwie osób obliczonym — pomieszczeniu.

Architekt, który budował więzienie ratuszowe, nie prze-
czuwał tak wysokiego rozkwitu w interesie więziennym, na co
szczególnie wpłynęła wielka reforma państwowa. Od czasu za-
prowadzenia konstytucji ratusz stał się przepelniony i ten, coby
tam szukał ciszy pustelniczej, grubo się zawiedzie. Ale czas
w drogę. Na korytarzu huczy jak w ulu. Po raz ostatni spoglą-
dasz w „o k n o z b l a c h a m i”, czytasz wyrazy, widziane
na szyldzie z okna: „G u z i k i — w y r o b y m e t a l o w e”
(była to długi czas nasza jedyna lektura) i powoli ruszamy.
Objuczeni workami, wlecemy się przez ciemny korytarz i spły-
wamy po ciasnych schodach na pierwsze piętro.

Publika (jak tu się mówi grzecznie) XXI celi, wielkiej celi
złodziejskiej, przypatruje się odchodzącym i żegna swoich to-
warzyszy, których część razem z nami idzie w etap.

Na pierwszym piętrze coraz ciaśniej, gorąco staje się nie
do wytrzymania, choć światła więcej, gdyż okien tu cały szereg
i okna są wielkie tak, że pomimo blachy znów widać na balko-
nie drugiego piętra — naprzeciwko — młodego oficera z pan-
ną: czule ściskają sobie ręce i patrzą sobie w oczy!

„Zapomnieli o wszystkim,
Zapomnieli o świecie!...”

Coraz trudniej się przepychać, coraz trudniej odetchnąć. Schody, prowadzące na dół, wprost grożą zawaleniem.

Idzie nas stu dwudziestu w drogę, a drugie tyle ciekawych tłoczy się dokoła, albo raczej z prawa, z lewa, z tyłu, wpoprzek. Wrzawa, ciasnota, zaduch. Ciasnotę powiększają toboły, które dźwiga każdy.

Nakoniec poprzez te gęste fale ludzkie docieramy piętra dolnego. Oddział żeński szczelnie zamknięty i wtórą czarną ścianą zasłonięty. W ciasnym korytarzu dolnym na przestrzeni dwudziestu paru łokci kwadratowych tłoczą się wszyscy, którzy mają być etapem wysłani.

Czekamy tutaj u drzwi kancelarji, które mają się lada chwila otworzyć, albo raczej otwierać za każdym wywołaniem nazwiskiem. Jakoż znowu słyszymy:

— Cygoń! Szuster! Agafonow! Feuerstein! Każdy z wywołanych kolejno wchodzi do kancelarji. Każde wejście połączone jest z wielkimi trudnościami: drzwi otwierają się na nasz korytarz — i naprzód odpychają całą falę ludzi, którzy się wstecz muszą cofać, poczem przez całą tę gromadę przepycha się wywołany, wreszcie znika za drzwiami, drzwi się znów zamykają na klucz — gromada znów się u drzwi tłoczy i znów słychać:

— Abramson! — i d a c a p o!

Kancelarję już znamy, aleśmy się jej dokładnie nie przyrzeli; jest to niewielki pokój o dwóch oknach, kunsztownie za pomocą siatek drucianych podzielony na trzy lub cztery kompartimenty. W pierwszym stoi odźwierny z kluczem w ręku: ten wpuszcza wybrańców do tego raju i wypuszcza przed oblicze smotrytiela na inne okazje.

Naprzeciw tego odrutowanego przedpokoju jest odrutowane okienko, w którym siedzi młody urzędnik. Rzeczą jego między innymi jest zapisywać nazwiska gości, przybywających do tego grodziska, oraz przyjmować ich precjoza, jako to: laski, zegarki, wreszcie paszporty. Człowiek bez paszportu to niemal półczłowiek; tu w ratuszu mniej więcej każdy staje się półczłowiekiem. Przy wyjściu „n a w o l ę”, jak tu się mówi, skarby te są oddawane; przy wyjściu na etap lepiej ich nie mieć na p i e r e s y l n e j, ale raczej kazać je sobie oddać na miejscu przeznaczenia.

Nie będę tu opisywał dalszych odrutowań kancelarji ratu-
szowej, powiem tylko, że kolejno wywoływani więźniowie za
pośrednictwem klucznika dostają się do pierwszej odrutowanej
klatki, a ponieważ nie stoją oczywiście w porządku takim, jak
głosi lista, więc przepychają się wraz z tobołami, kobiałkami,
pościelą, w kostjumach dość zaniedbanych — i suną poprzez
gęstą masę ludzi, którzy dyszą wyziewami potu i gorąca, któ-
rzy sapia, kaszlą, kichają, chrząkają, charczą, ucierają nosy...

Klucznik woła dalej: — Perczukin! Koralewski! Podolski!
Kociuba!

Jeden za drugim pchają się — wychodzą.

— Mularz! Duda! żakwas! Szkir! Angelegenheit!

Nareszcie i mnie wołają. Staję przy okienku, gdzie młody
zapisuje moje nazwisko, poczem wychodzę do parlatorjum.
Piękny ten salon jużem opisał; strażnik otwiera mi odrutowane
drzwiczki — w środku ściany drutów — i wchodzę do tej
części rozmównicy, gdzie zwykle zatrzymują się krewni lub
znajomi więźniów. Tu już tłum wywołanych ciśnie się i gniecie
na jeszcze mniejszej przestrzeni, niż w dolnym korytarzu wię-
zienia.

Coraz nowi ludzie przybywają. Powoli przenosimy się do
sieni, która stanowi niewielkie *carreau* na wysokości 8 — 10
schodów. Niżej sionka i podwoje, prowadzące na dziedziniec.
Drzwi szczelnie zamknięte. Na przestrzeni może 20 łokci kwa-
dratowych — na schodach, w sieni, w pierwszej części rozmów-
nicy — znowu się tłoczy 120 ludzi. Gorąco, ścisk, zaduch coraz
bardziej dokuczliwe.

Przez ujemny przywilej starszeństwa Renald i ja — w cha-
akterze *senjorów* — zostaliśmy wypuszczeni naprzód na po-
dwórze więzienne. Od dłuższego czasu oglądam po raz pierw-
szy niebo i otwartą (względnie otwartą) przestrzeń.

Podwórze niewielkie. I pod tym względem architekt nie
przewidział, że ten Bristol będzie miał kiedyś kolosalne powo-
dzenie i tylu mieszkańców. Na podwórzu parę suchotniczych
drzew na klombie, studnia pod ścianą, a tuż obok mieszkanie
pana naczelnika (Kurakina) z ogródkiem o zielonych sztachetach.
Tu rosną kwiaty różnobarwne, a słodycz tej sielanki pod-
nosi biały kotek i biały piesek z rodzaju drobnych buldogów;
miłe te zwierzątka bawią się zgodnie i wesoło, a czar tej sceny
przyozdabia nadto ukazanie się dziewczyny z koszykiem, mało

urodziwej, ale zato w szatach wielce brudno-białych. Pod oknami oddziału żeńskiego — ogród dla „p r o g u ł k i” kobiet uwięzionych, a z drugiej strony podwórza wzdłuż okien z b l a c h a m i również rodzaj ogrodu o kilku drzewach półsennych i roślinności mefitycznej. Na lewo mieszkanie służby, nawprost sieni wrota zielone z okienkiem wielkości pudełka od cygar.

Tymczasem 120 ludzi, zamkniętych w nadmiernej ciasnocie, omdlewało od własnych oddechów. Drzwi pilnował strażnik, któremu trudno było poradzić sobie z niespokojnym elementem więźniów.

— Otworzyć! Otworzyć! Dusimy się! Powietrza!

Strażnik wahał się.

— Nikt nie wyjdzie na podwórze, tylko chcemy odetchnąć. Strażnik ostatecznie ustąpił, drzwi otworzył. Nikt go zato potępić nie może, postępek był czysto ludzki. Więźniowie chwilo-wo zadowolili się tym dopływem świeżego powietrza. Dopiero zwolna ten i ów szedł z manierką do studni, by zaczerpnąć wody. Powoli ten i ów występował z sieni, popychany ztyłu przez ludzi, którzy choć trochę luzu pożąдали. Tak się zlekka podwórze roić zaczęło od p u b l i k i. Jedni wołali: — nie wychodzić! Drudzy: — nie można wytrzymać!

Bliżko dwie godziny (zamiast 20 minut) trwał ten postój. Ruchoma fala ludzi na podwórzu rosła bez przerwy, i strażnik nie był w stanie jej cofnąć ani zatrzymać.

Nakoniec zgrzytnęły zielone wrota i furta się otwarła.

W bramie otwartej furty ukazała się wygolona, tłusta, różowa twarz i okrągły brzuch p. naczelnika więzienia w mundurze policji warszawskiej. Pierwsze jego słowa dotyczyły bezładu na podwórzu: strażnik obowiązany był trzymać nas przez te dwie godziny zgórą za drzwiami i żadną miarą nie wypuszczać. Ciasno, bo ciasno, ale takie jest z a k o n n o j e o s n o w a n j e.

— Trzy doby z rzędu będziesz stał na k a r a u l e! — taki wyrok ogłosił naczelnik strażnikowi.

I bądź tu w Rosji humanitarnym!

W tym samym niemal czasie z za murów więzienia zabrzmiała pieśń: K r e w n a s z ą d ł u g o l e j ą k a t y! To więźniowie w celach, za blachą, za kratami ukryci, żegnali nas owacyjnie.

Potem nagle ucichło.

Kurakin zaczął wywoływać nazwiska podług listy. Na samym początku było nazwisko moje i Renalda. Ruszyłem naprzód ze swoim workiem na plecach (na worku był napis: Józefów 29,731; znalazłem to w celi XII ratusza; sam nie wiem, po kim go dziedzicę). Grzecznym ukłonem pożegnałem gościnnego gospodarza tego domu — i sunąłem pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy pułku X.

Konwój, ustawiony w formie prawie kąta prostego, szedł od furty więziennej przez plac straży ogniowej ku jednej z bram, wychodzących na ulicę Daniłowiczowską. W bramie tej znajduje się biuro t. zw. O c h r a n y.

Przeszedłem powoli pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy. Ceikawie przyglądaliśmy się sobie nawzajem i, o ile uważałem, moje nowe palto zimowe, które przezornie wziąłem ze sobą, a w którym wyglądałem conajmniej jak s t a t s k i j s o w i e t n i k, wywołało dla mnie wśród żołnierzy respekt niemały. Co się mnie tyczy, to cały ten epizod traktowałem jako turysta. W oczach żołnierzy widziałem więcej życzliwego zaciekawienia, niż innego uczucia. Zresztą mówili mało, tylko szeptem udzielali nam swoich uwag i zwierzeń. Jedynie u n t e r był wyraźnie wrogo względem nas usposobiony.

Żołnierze — gwardja, w pięknych granatowych czystych mundurach i w niebieskich czapkach z żółtym o k o ł y s z k i e m — zachowywali się względem nałożonego na nich obowiązku bardzo ironicznie, wprost jakby drwiąco. Ta ironja jest częstą wśród żołnierzy rosyjskich. Jaki będzie wynik tych drwin i tego kpiarstwa, do którego ruski człowiek ma skłonność, tego przewidzieć nie można. Lud rosyjski posiada g r a n u m zdrowego rozsądku, ale też jest wytresowany w ciemnocie. Są całe rotы nastrojone sceptycznie i znów inne w tym samym pułku o duchu „czarnosecinnym”.

Gwardziści pułku X chlubią się, że nigdy nie służyli w charakterze policji. Przypatrywali się nam ciekawie i niewątpliwie naszej, bardzo różnorodnej, zbieraninie przypisywali większe znaczenie, niż mieliśmy istotnie.

Kolejno tłusty pan naczelnik wywoływał nazwiska; kolejno z ciasnego podwórza wychodził elegant lub nędznie odziany człowiek z workiem lub koszem na plecach. Nareszcie odczytano wszystkich.

Stu dwudziestu ludzi znalazło się w otoczeniu zwartego kordonu żołnierzy. Ustawiono nas czwórkami, po trzykroć rachowano, czy którego nie brak. *Str o j s i a!* — zabrzmiał głos oficera — i wnet obok żołnierzy szybko zaczął kroczyć mały, żywy, niskorosły brunecik o niemieckiem nazwisku. Badał gęstość kordonu i postawę żołnierzy.

Żołnierze rozstawili się odpowiednio, i każda czwórka znalazła w sąsiedztwie żołnierza po obu stronach:

Oficer mówił nauczająco:

— Gdyby który wychodził z szeregu — ty go w kark *p r i k ł a d o m* (kolbą — albo, jak mówią więźniowie, „przykładem”).

— *Słuszajus* — powiedział żołnierz, a pocichu szepnął: długo poczekaasz! — Później dodał mi na ucho: — To jest *i s t i n n o r u s k i!*!

Oficer policyjny, który czuwał nad całą tą sprawą, zawołał nam trzy dorożki w charakterze podwód, gdzie złożono co cięższe worki i toboły.

— *Marsz!*

Ruszyliśmy w drogę za bramę — na Daniłowiczowską. Pod bramą domu na przeciwnym chodniku stała gromadka ludzi — kobiety i mężczyźni, którzy przenikliwie zaglądali w oczy idącym w etapie więźniom. Nie byli to zwykli gapie — *p u b l i k a* w charakterze *a g e n t u r n y m*.

Dość jasną jeszcze mieliśmy drogę, gdyśmy szli ulicą Senatorską, ale już nadchodził zmrok i kolejno zapalano latarnie.

O przejściu konwoju policja była uprzedzona i „oczyszczala” przed nami ulice w taki sposób, żeśmy na znacznej przestrzeni nie spotkali ruchu kołowego; tu i ówdzie stała tylko niezajęta dorożka.

Jeden z dorożkarzy dość głośno wyrażał swe niezadowolenie z tego zatamowania ruchu („Bez tę cholereę — to i ludzie giną i zarobki marnieją”), ale nasz etap szedł niewzruszony; na oko pełny powagi, ale wewnątrz, t. j. wśród żołnierzy i więźniów — szydery i nastrojony na ton *g a l g e n h u m o r u*. Przy wyjściu na Zjazd pozycja się zmieniła; tu niepodobna zatrzymać ruchu, ile że znaczna liczba osób śpieszy na dworzec Petersburski i Terespolski, nadto żywy jest ruch tramwajowy. Mimo to nasza potęga była tak przeważająca, że na nasz widok tramwaje, dorożki, omnibusy zwalniały kroku, a na moście cał-

kiem się zatrzymały, czekając na nasze zniknięcie. Poszliśmy stroną prawą mostu, gdy cały ruch kołowy toczył się po lewej. Brzegi Wisły migały szeregiem świateł latarnianych, a nad całym miastem unosił się refleks błękitno-biały lamp gazowych i elektrycznych. Na połowie drogi — na moście — jakiś generał w powozie zatrzymał oficera i zrobił mu uwagę, że nasza banda idzie nieporządnie: czwórki są „nie strojne”. Oficer słuchał pokornie, poczem zasalutował i odszedł ku nam; niezadowolony, zaczął wymyślać na żołnierzy, chcąc ich znowu nakłonić do działania „przykładem”. Jednakże nie doszło do tego. Gwardziści do końca zachowali się spokojnie. Byli przecież i wśród żołnierzy ludzie surowi; jeden np. maszerował koko Pierczukina w taki sposób, że go poprostu naciskał swoją osobą i złośliwie mu się przyglądał. NB. Pierczukin był oskarżony o propagandę w wojsku i był dezterterem; zdaje się, że go żołnierz poznał.

Opuściliśmy most i zeszliliśmy na Pragę. Wieże kościoła św. Florjana już widniały niedaleko. Ruch tu mniejszy: więcej luzu, więcej ciszy. Widnokrąg tu szerszy: mniej budynków, z jednej strony park Aleksandrowski, z drugiej dolina wybrzeża, szpital, małe fabryki nadwiślańskie. Zielone gałęzie drzew na tle szafirowego zmroku kołysały się na pożegnanie. Tu i ówdzie już błyszczały gwiazdy. Po szerokiej ulicy dorożki sunęły swobodnie i mniej czyniły hałasu. Słyszeliśmy tylko równomierne kroki naszej gromady oraz szepty i półgłośnie śmiechy więźniów, którzy zwolna przybliżali się do ulicy Moskiewskiej — do celu swej wyprawy — do Pieresylnaj.

Pieresylnaja — dom transportowy, przesyłkowy — jest to więzienie tymczasowe, do którego ściągają etapy z różnych więzień w Warszawie i na prowincji i skąd rozsyłają partje na prowincję i do Cesarstwa, i naodwrot z Cesarstwa naprzód się zajeżdża na pieresylną, a potem dopiero na miejsce przeznaczenia. W naszym etapie wszyscy prawie jechali do Brześcia, ale jeden miał wyznaczony pobyt w Łodzi. Tędy muszą przejść niemal wszyscy, którzy są wysyłani do Archangielska, do Wiatki, Tobolska, Astrachania i t. d. Pieresylna warszawska jest bardzo niewielka; w Moskwie t. zw. Butyrki — obliczone są na 10.000 osób i stanowią prawie miasteczko.

Gdyby nie napis nad bramą — szyld zielony, czarne litery — to pieresylna warszawska miałaby wcale niewinny wy-

gląd pocziwego domu mieszczańskiego, czem niewątpliwie być musiała dawniej.

Było to po godzinie siódmej i robiło się ciemno, gdyśmy stanęli pod bramą, prowadzącą na dziedziniec, i gdy kordon zatrzymał się na rozkaz dowódcy. Żołnierze pożegnali się z nami, błogosławiąc życzliwie, i znaleźliśmy się już pod strażą innego wojska. Jest to t. zw. k o n w o j n a k o m e n d a, służba specjalna, mająca do czynienia tylko z więźniami i odpowiednio też wytresowana. Ciągłe obcowanie z kryminalistami wyrobiło w wielu pewną surowość w przykrym tonie, a trzeba dodać, że zbrodniarzy oni mało co odróżniają od k r a m o l n i k ó w.

Podwórze jest tu niewielkie. Może się tu jednak dość wygodnie pomieścić 200 osób i więcej, ustawionych czwórkami w szeregi. Nawprost bram goła ściana, pod którą jeden niešťczesny košťawy kasztan chylił się ku ziemi. Obok drzewa wysoko, słabo świecąca latarnia; półcień Rembrandtowski. Ostatnie ślady pierzchającego dnia, który już upada zemdlony pod pajęczyną wieczoru.

Po obu stronach dziedzińca dwa nierównej miary budynki: po lewej parterowy, po prawej jednopiętrowy z facjatą nad dachem. Ponad bramą trzy piętra: okna niemal wszystkie sześćcioszybowe, zakratowane. Mansardy, również zakratowane, mają po cztery szyby. W mansardach, jakem się dowiedział później, siedzą więźniowie-żołnierze.

Na trzecim piętrze (nad bramą) oddział kobiecy.

Gdyśmy weszli na podwórze, po małej chwili dźwięczny głosik woła w przestrzeń (niewiadomo do kogo):

— Co za jedni — partyjni, czy nasi?

Zwracamy oczy w górę; coś nie coś widać tam jeszcze. Mówi wyfiokowana w czerwonych wstążkach na głowie dziewczyna. Pyta o nowych przybyszów.

— Partyjni! — odpowiada jakiś baryton z 1-go piętra na prawo. — Nie nasi!

— Eh — pogardliwie rzuciła dama i znikła w świetelku swej celi na 3-em piętrze.

Nie nasi — to znaczy nie złodzieje i nie kryminaliści, tylko poprostu p o l i t y k i. W oddziale żeńskim, jak to zauważyliśmy nazajutrz, mieściły się głównie złodziejki i prostytutki: wszystkie niemal starannie z kokieterją postrojone i silnym płożące afektem ku wybitnym kryminalistom. Podobno korespon-

dencja miłosna, śpiewana i oczkowana, a nawet przez służbę więzienną dyskretnie transportowana, kwitnie tu w najlepsze.

Zmrok zapada całkowity. Oficer konwojnej brygady zasiada przy stoliku, koło parterowej połaci domu; na stoliku lampa. Raz jeszcze czyta szybko nazwisko po nazwisku; raz jeszcze obrachował całą partję. Nie brak nikogo.

Wówczas otworzono nam cele IX i X — na parterze, i stu dwudziestu ludzi zaczęło się do niej cisnąć i przepychać. Pomieszczono nas w każdej celi po 60 i drzwi na klucz zamknięto. Znaleźliśmy się w głębokich ciemnościach, w dwuokiennej izbie, dość obszernej, ale zbyt ciasnej na 60 osób. I tu widać budowniczy nie przewidział takiej frekwencji.

O ile przy bładem świetle podwórzowej latarni można było widzieć, w izbie znajdowały się w trzech miejscach nary na 20 osób do 24 — 5 najwyżej; żadną miarą na 60. W kącie przy drzwiach stał podejrzany przyrząd w formie dużej konewki drewnianej. Rozkładano toboły na narach, ale nikt nie miał odwagi na nich się położyć. Pieresylna bowiem jako karczma popasowa nieszczególnie bywa zamiatana. Obfituje też w brud, odory wielorakie i wszy rozmaitego pochodzenia.

Błądziliśmy w ciemnościach naszej celi, jak cienie wśród cieniów, zaledwie poznając się nawzajem. Zażądaliśmy dozorcę, a gdy się zjawił, wołaliśmy: Świecy! Właściwie nie p o ł a g a j e t s a, ale, że i z niebem wchodzi się w układy, więc za 15 kop. otrzymaliśmy 10-groszową świeczkę; za 30 kop. ukazał się wielki miedziany czajnik z gorącą wodą; za inną sumę dostaliśmy chleba, herbaty, cukru.

Zapalono świecę i z pomocą gorącej stearyny przymocowano ją do półki koło pieca. Ponurem światłem oblała ona barłogi nasze, nadając wszystkiemu jakiś cmentarny charakter. Twarze więźniów, wykrzywione jakimś szyderczym uśmiechem, zwiastującym bezsenność, zwróciły się wszystkie ku mizernemu światłu łojówki, albo znów śledziły długie czarne cienie, idące od pieca, od nar, od tłumoków, od ludzi.

Przedewszystkiem ta cała gromada wygnańców, już to leżących z tobołami na narach, już to błakających się, jak wilki po ciasnej celi, pragnęła jeść i pić. Rozwiązywano worki, węzłki, troki, wydobywano żywność, szklanki, czajniki, rozlewa-

Więźniowie — o ile się nie znali — zapoznawali się ze sobą. Inteligenci, robociarze, kolejowcy, rzemieślnicy — stłoczeni przypadkowo w jednej ciasnej izbie — zaczęli przy uczcie opowiadać sobie przygody w tej chwili osobliwej, bardzo osobliwej.

F., literat, z którym sąsiadowałem na narach, albo—raczej na trokach koło nar — człowiek dobry i delikatny, z podziwu godnym stoicyzmem znosił trudy tej ekspedycji i częstował mnie ciasteczkami, które mu żona dziś rano posłała do ratusza.

Byliśmy niby w podróży po nieznanym kraju, po jakichś Tatrach nadzwyczajnych — i oto natrafili na schronisko, zbyt ciasne dla tak znacznej liczby gości i nienależycie przygotowane. E n f i n w podróży i to można wytrzymać. Ile że czekają nas wielkie niespodzianki. Takeśmy po akademicku rozważali sprawę naszego położenia, gdy naraz usłyszeliśmy straszliwe jęki na 2-em piętrze w jednej z kamer nad bramą.

— Towarzysze! — zawołał jeden z bywalców. — To złodzieje biją robotnika. Łamać kraty! Na pomoc, na pomoc! — Łamać kraty! rozbijać! — krzyknęło za nim kilkanaście osób.

(Nawiasem mówiąc — owo rozbijanie krat należy tu traktować jako figurę retoryczną).

— Czego orzecie? (t. j. wrzeszczycie) — zagrzmiął głos dozorczy, a zarazem dało się słyszeć gromkie basowe szczekanie wielkiego białego psa gotardzkiego, który stanowi ornament pieresylnej i cały dzień i noc włóczy się po podwórzu.

— Człowieka mordują! Na pomoc! Na pomoc! — znowu zawołali nasi chłopcy — i teraz nasze krzyki, szczekanie psa i jęki robotników, bitych w celi złodziejskiej, tworzyły razem chaotyczną kakofonję.

Wkrótce 4 żołnierzy wyruszyło w stronę bramy do owej celi. Była to mała ekspedycja karna. Zamilkł pies, zamilkła nasza gromada i wkrótce usłyszeliśmy głuchy łomot i nowe wrzaski, które się z wrzaskiem poprzednim łączyły w furios o. Żołnierze „przykładami” walili na prawo i na lewo, po karkach winnych i niewinnych.

Ile razy, najczęściej z braku miejsca, p o l i t y k - robotnik zostanie pomieszczony wśród złodziei, następuje okropne znęcanie się; zresztą robotnicy przy sposobności nie zaniedbują odwetu.

W celi ucichło — i my też zwolna przyszliliśmy do równo-

wagi, zwracając się do herbaty i rozmowy. Rozmowa była treści ogólnej i zakończyła się pieśnią:

A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotników krew!

Tak zagrzmiął chór w X celi, a IX mu wtórowała. Na chwilę ucichło, a niedługo potem dźwięczny kobiecy sopran z c o t é d e s d a m e s zadzwonił, rozplywając się szeroko po dziedzińcu:

Siwa gaska siwa po Dunaju pływa,
powiedz moja miła, kto u ciebie bywa?
Bum - cyk - cyk...

Z drugiego piętra odpowiada baryton:

Bywał Antek bywał, ale już nie bywa!
siedzi na Pawiaku, palcem w bucie kiwa.
Bum - cyk - cyk...

I znów sopran zadzwonił:

Siedzi na Pawiaku, okienkiem lipuje ⁵⁾
jak się jego miła z frajerem całuje.
Bum - cyk - cyk...

Jak widać z cieniów koło krat, nie partyjni z przyjemnością słuchali tej opery złodziejskiej, którą śpiewali uwieczniona prostytutka i romansowy kajdaniarz.

Tymczasem nasza banda zaspokoiła głód i pragnienie. Niektórzy zaczęli się do snu układać: worki i toboły służyły za pościel, a wielu było tak usposobionych, że, pomimo ciasnoty oraz obawy przed wszami i pluskwami, kładło się na tych improwizowanych łózkach. Renald wymyślił sobie kunsztowne łożo: na oknie. Świeże powietrze, elegancja i bezpieczeństwo (właściwie kraty).

Niektórzy dla dogodności zdejmowali buty, a ich nogi po pewnej chwili znajdowały się na plecach lub głowach sąsiadów. Tu i ówdzie słychać było chrapanie; są natury świeże, które umieją zasnąć wszędzie snem bohaterskim. W migotliwym blasku jednej świeczki, u powały niemal zawisłej, cała ta cela stłoczonych worków i ludzi, najczęściej licho odzianych, wyglądała, jak masa łachmanów szarych i czarnych, burych i popielatych.

Jeden się wyróżniał — młodzieniec w czerwonej koszuli,

⁵⁾ Lipuje — po złodziejsku — patrzy, przygląda się.

o błękitnych płomienistych oczach i bladej twarzy, podniecony jakąś szczególną mocą ducha, bardzo żywotną i naiwną. Był to robotnik kolejowy, rozmiłowany w śpiewie. Należał on do grupy nieśpiących i nieustannie krążył po sali z gromadką innych śpiewaków. Kiedy umilkła pieśń złodziejska — partyjni postanowili ich zagłuszyć swoim chórem.

Naprzód śpiewano po polsku. Jest obecnie cała nowa poetyka (twórczość ludowa), pieśń powożytna, miejska, robotnicza, bojowiecka. Często na znaną starą nutę śpiewa się pieśń o nowych słowach. Oto np. pieśń o bojowcach:

Nie masz to wiary jak w naszym znaku:
na bakier czapki, do góry wasy!
śmiech i kajdanów brzęk na Pawiaku,
na szafot idziem, jakgdyby w płasy!

Oto pieśń zesłańców:

Sybirskie tudry, kraju daleki!
Głos pożegnania bracia wam ślą —
Wynani z kraju, lecz nie na wieki,
Rozstanie z braćmi uczcijmy łąą!
Na krótki czas żegnajcie nam —
lecz wnet na bój powrócim k'wam!

Oto ironiczna kolenda:

Hej, w dzień narodzenia chwałę Panu dajmy —
wesołą kolędę sobie zaśpiewajmy:
o Skalkonie — Grünie i o Kurakinie —
hej kolęda — kolęda!

Pieśń o strejkach:

Tak się martwią cne burżuje,
jak ten strejk nasz kraj rujnuje —
oj to bida — oj to bida — oj to to —
oj bida — bida — niedola!

Pieśni w więzieniu mają zawadjacki, drwiący charakter, pewną siłę niezaprzeczoną, straszliwą prozodję i okropne rymy. Do popularnych należy pieśń o z m o w i e r o b o t n i c z e j — utwór zbiorowy, ułożony przez ludzi, którzy szli jutro na szubienicę:

A w niedzielę rano, kiedy się ubiera,
Wtem przychodzi patrol i wszystkich zabiera.
ram — tam — tarara....⁶⁾.

⁶⁾ Tarara — na nutę warszawskiej ludowo-mieszczańskiej pieśni:
ulica Kościelna, domu numer trzeci,
zabił p. Wiśniewski żonę z trojgiem dzieci.

Jeden z więźniów zaczął śpiewać w żargonie żydowskim pieśń o Szulmanie, wielce naiwną w fakturze, ale rzewną w melodji...

Aso den ersten rusiszen Maj
hot sich gehert a grojsser Klapp,
das gance Folk hat sich getun gefraj,
als Konstantinow hot gekrigen a Kopf.

Później zaczęto śpiewać po rosyjsku, co ma swój cel taktyczny. Ruch obecny stworzył i w Rosji obfitą literaturę pieśniową. Pomijając nuty znane, rodzime i obce (polskie i francuskie), jest wielka liczba pieśni nowych, pod względem muzycznym bardzo pięknych, co do treści nieraz lichy skonstruowanych. Do najosobliwszych należy pieśń o słowach nieudolnych, ale melodyjna i z pięknym refrenem, poruszającym do łez kogo należy. Refren brzmi:

Rossija, Rossija! żal mnie tiebiã.
Gorkaja, żalkaja uczastj twojã. ⁷⁾

Żołnierz, stojący pod oknem, nie wytrzymał: osłabiający duszę wartownika liryzm wzburzył go do tego stopnia, że przez łzy krzyknął pełen gniewu:

— Dosyć tego wycia! M a ł c z a t'!

— Czewo sierzajesz, brat? (czego się gniewasz?), ludzie modlą się do Boga — powiedział mu z powagą jeden z więźniów.

Zresztą koncert i tak się skończył. Rozważaliśmy teraz, jak przepędzić pozostałe godziny nocy. Część stanowczo już się do snu ułożyła. Pozy śpiących nadzwyczajne: gdy jeden rozciągnął się jak długi, drugi złożył się jak scyzoryk, trzeci siadł po turecku na swoim worku, a czwarty zrobił sobie poduszkę z sąsiada.

W każdym razie promenada po celi ustała i zapanowała względna cisza. Ja pozostałem na swoim stanowisku. Kołonary na worku siadłem jak człowiek, przewidujący noc bezsenną; nogi wyciągnąłem na środek izby i ćmiłem papierosa za papierosem.

Było już po północy.

⁷⁾ O, Rosjo, Rosjo! żal mi ciebie! Gorzka, żalosna dola twoja!

Pewna grupa bardzo młodych ludzi postanowiła się zaba-
wić i wybrała grę, która się po polsku zowie p y t k a, ale po
więzieniach rozpowszechniła się pod nazwą żydowską p a ć
t u c h a (od p a ć — uderzenie, t u c h a — lędźwie). Gra ta
zresztą odwieczna i na piramidach egipskich wielokrotnie ma-
lowana. Rzecz polega na tem, że jednemu z graczy zawiązuje
się oczy chustką; nadto kładzie on głowę na rękach wybranego
dyrektora zabawy, inni stoją za nim i ten lub ów bije go po
lędźwiach. Bity powinien odgadnąć, kto go uderzył; jeżeli od-
gadnie, bijący idzie na jego miejsce; jeżeli nie odgadnie, dalej
ulega p y t c e. Gra wywołuje wielki śmiech, ile razy ktoś ar-
tystycznie obije ofiarę, a potem z niewinną minką stoi i obite-
mu się przygląda; niemniej wesoło bywa, gdy obity trafnie
wszakże swego obijacza i gdy temu chustką zawiązuje oczy.

Niewinną tę i dla małych dzieci odpowiednią zabawę prze-
rwał nowy ryk ludzi, albo, ściślej mówiąc, nieludzki jakiś
grzmot rzeżący. Rzuciliśmy się do okna: nowa ekspedycja kar-
na wyruszyła do którejś celi. Jakiś się dowiedzieli naza-
jutrz, był tu od paru dni na pieresylnej furjat, który w obłądzie
zabił kochankę i dwoje dzieci i który skazany został na 20 lat
katongi. Wieść o tej karze zmieniła jego obłąd w furję. Złodzie-
je, z którymi siedział, drażnili go, gdy był w apatji. Mówili mu
naprzykład: Andzia była tutaj, albo Andzia przyjdzie, albo
poprostu Andzia, Andzia! — a wnet budziła się w nim straszli-
wa energia szału; że zaś był to przytem potężny muskularny
atleta — więc bezlitośnie łamał kości swoim towarzyszom. Eks-
pedycja karna zapomocą „przykładów” spowodowała nową mu-
zykę jęków i wycia, poczem jednak wszystko zamilkło i przez
całą noc do szóstej rano głęboka cisza panowała na pieresylnej.

Tylko od czasu do czasu wielki biały pies poszczekiwał
i warczał, grożąc niewidzialnym duchom opętanych, które błą-
dzą w mrokach nocy.

Nasi chłopcy przestali bawić się w p a ć t u c h ę i zaczęli
rozmawiać o sprawach bieżących, o Bogu, o własnych przeży-
ściach. Co do spraw bieżących, to nie widać w nich było żadnej
depresji: ludzie ci mieli wiarę w wielkość i słuszość swej sprawy
i ostateczne jej zwycięstwo. Co się tyczy Boga, to wszyscy,
można rzec, byli ateści i dość ironicznie o jego wszechmocy
się wyrażali, a księża — to burzuje i służą burzujom.

Swoje własne przygody traktowali jako rzecz przypadkową, robotę szpiclów i prowokatorów; zresztą prędzej czy później wyjdą z więzienia, albo też będą zesłani do Wiatki, do Astrachania, do Tobolska. Każdy już miał w tamtych stronach znajomych i doskonale wiedział, jak tam jest: w Wiatce bardzo dobrze, w Astrachaniu też, w Tobolsku — gorzej, najgorszy jest Archangielsk. Wszyscy jechali jakby do znanych krajów.

Do rozmowy się nie mieszałem i wkrótce myśl uniosła mię daleko poza mury pieresylnej, poza tę ciasnotę, ciemność, zaduch, poza tę świeczkę, „paraszę” i t. d. Od czasu do czasu, jakby z drugiego pokoju, dochodziły mnie słowa młodego człowieka, który, choć blado-zielony jak trup, gadał bez zmęczenia:

— ...Więc jak mnie te szpicle złapali na Karolkowej ulicy, bo tam zabity był jeden rewirus, to mnie zataszczyli na Pawiak... Tam ci siedziałem — i była laba. Bo mnie wyrobili bardzo na lewo na tego zabójcę. Ja — ma się wiedzieć — precz gadam: nieprawda! Ale ty wiesz kto zabił! — szczeka jeden k a p u ś. Wiesz, boś także bojowiec. — Wcale nie jestem bojowiec. Tak sobie gadamy: aż tu raz przychodzi do mnie ten taki syn, Grün, i daje mi paszport zagraniczny i 300 rubli. Pytam — co to? — Ano nic, weź — to dla ciebie. Jesteś chory — pojedziesz zagranicę leczyć się. Co za troskliwość — myślę sobie — no, no! A możebyś się napił herbaty z araczkiem? A no, to dajcie! Może papierosa? Owszem. Przynieśli mi herbaty, chleba z masłem; ma się rozumieć, jadłem, piłem, a on mię namawia tak, a tak... niby, żebym p o k a z y w a ł. A ja mu na to: — kiedy ja nic nie wiem, to co ja będę p o k a z y w a ł?—No, to się dowiesz i p o k a ż e s z. — Kiedy ja nie znam nikogo. Słowem, nie udało mu się. Wtedy on: — a ty, taki synu, psubracie, oddaj paszport, oddaj 300 rubli. — A bierz sobie! — powiadam. Oddałem — a on jak mnie zacznie łomotać kastetem po łbie, nie po łbie, po piersiach, nie po piersiach, po plecach, nie po plecach—tak ci mnie pokrwawił, że niech go cholera. W uchu mi coś pękło — i krew się ciurkiem lała. Żebra mi też połamał i płuca nadciął. W szpitalu leżałem, ale jeszcze jestem chory. Nic mi nie d o k a z a l i, a teraz mam siedzieć aż się skończy w o j e n n e p o ł o ż e n i e.

Tak mówił ten młody, blado-zielony 19-letni chłopiec, ale powoli i ich rozmowa ucichła, i oni też posnęli na swoich narach.



FAUSTYNA MORZYCKA.

Do artykułu W. Nagórskiej.

Paru więźniów tylko spać nie mogło. Powoli świeczka dogasała. Powoli też izba robiła się szara od pierzchającej nocy; potem jakby zmęczonym błękitem osnowana, potem biała, o ile na tych brudach może się odbijać białosc. Pies zaszczekał radośnie i żywo zaczął biegać po podwórzu. Gromada gołębi uleciała w powietrze, gruchając i turkając, a potem spadła na ziemię, szukając ziarn wśród kamieni.

Gdzieś na zegarze uderzyła 6-ta. Zgrzytnęły wrota na podwórzu i drzwi naszej celi otwały się szeroko. Ukazał się w nich dozorca, a za nim posługacz więzienny z ogromnym szaflikiem i całą masą cynowych rondelków i zawołał przyjaźnie:

— Barszczyk, panowie!

Słowa te przebudziły śpiących — i znakomita część więźniów rzuciła się do szaflika, zbierając w k a z i o n n e naczynia żur pomyjowaty, który stanowił pierwsze śniadanie. Nadto dano każdemu z nas 2 funty chleba razowego.

Minęła noc, dla niejednego bezsenna. Nadszedł dzień, który do godziny 8 — 9 ppoł. mieliśmy tu przepędzić, zanim nasz etap wyruszy na dworzec Terespolski, na pociąg północny.

Dzień cały był tu podzielony na godziny, stosownie do p r o g u ł k i różnych kamer. Wypuszczano kolejno więźniów innej kategorii na dziedziniec. Przedewszystkiem jednak trzeba się było umyć i orzeźwić, co też uczyniliśmy wprost pod wodociągiem, gdyż było to jedyne l a v a b o w tej instytucji. Następnie wystaraliśmy się o k i p i ą t e k (też wyraz więzienny) do herbaty.

Przypadkowo, krążąc obok jednej z cel złodziejskich na parterze, ujrzelśmy za kratą okna znajomego. Był to Stasiek, ów uczeń felczerski, którego parę dni temu poznaliśmy w ratuszu. Miał być wysłany etapem do Łodzi, ale jeszcze tego etapu nie zgromadzono. Ponieważ wśród więzionych najbardziej mnie wzrusza los aresztowanych dzieci, opowiem tu jego przygody, antycypując nawet zdarzenia późniejsze. Za pobytu mojego w ratuszu przyszedł do celi XII chłopiec o przyzwoitej postaci ucznia szkoły niższej, w czapce z zielonym wyłogiem i prosił, aby mu napisać list do stryja. Zdziwieni tą wizytą, pytaliśmy, skąd, jakim sposobem się tu dostał i gdzie siedzi? Opowiedział nam, o ile sędzę, prawdziwą taką historję. Skończył szkołę miejską 2-klasową w Łodzi; jest uczniem felczerskim i zarabiał już 4 rb. miesięcznie; nie ma matki; ojciec jego, kra-

wiec, ożenił się powtórnie, ale macocha go prześladowa, a w domu bieda. Przybył do Warszawy, aby się wydoskonalić w swoim rzemiośle i za otrzymaną pensję kupił bilet. Liczył na pomoc stryja, który ma tu sklep, ale go nie zastał w Warszawie, gdyż stryj z rodziną wyjechał na wieś. Nie mając mieszkania, błądził po ulicach; przejadł resztę, która mu pozostała z 4 rbl., i miał tylko 40 kop. Tak się tłukł do północy, gdy jacyś chłopcy zaczęli z nim bójkę. Na widok policjanta chłopcy uciekli, on zaś pozostał na miejscu; policjant zaczął go badać, skąd jest i co tu robi. Stasiak nie miał paszportu (do lat 13 paszport nie obowiązuje) i został zaprowadzony do ratusza. Tu pomieszczono go w celi XXI — wśród włóczęgów i złodziei. Ci rzucili się natychmiast na Staśka i pod pozorem, że ukrywa nóż, zbili go w okropny sposób, zabrali mu 40 kop. i poszarпали mu ubranie. Stasiak prosił nas wtedy, oprócz listu do stryja, abyśmy mu wyrobili przeniesienie do innej celi, co też przez diad'kę przeprowadziliśmy.

Po paru dniach wzięto go z ratusza na pieresylną; zebraliśmy dla niego parę złotych. Tu już czwarty dzień czeka na etap, ale do Łodzi idą etapy co dwa tygodnie. Znow siedzi w towarzystwie złodziei, którzy go znow ograbili i obili i dopuszczali się na nim różnych ekscesów. Prosił nas o pieniądze, ale zadecydowaliśmy, że niema poco, bo mu zabiorą. Pewna zmiana była w nim widoczna, zachowanie się Staśka nie było tak pokorne, jak w ratuszu, przemawiał nieco bezczelnie: upodabniał się do swej kompanji.

Rozmawialiśmy przez okno, gdy nasza promenada skończyła się, i musieliśmy wrócić do swoich kamer. Po paru godzinach odbyła się *pr o g u ł k a* dolnych kamer prawej strony. Ujrzelśmy Staśka pod naszym oknem z czapką w ręku: prosił o pieniądze i coś do zjedzenia. Byłem przeciwny temu, aby mu dawać pieniądze, ale sentymentalizm jest niezwykły. Towarzysze nasi zebrali dla niego miedziakami jakieś 4 złote pol. i dali mu to wraz z kilku funtami chleba i trochę wędliny i sera. Podziękował i odszedł ku sieni swej celi. Tu stało kilku drabów, którzy na jego widok cofnęli się do izby. Wszedł za nimi. Natychmiast prawie usłyszeliśmy jęk i łomot. Złodzieje bili Staśka i najwidoczniej zabrali mu prowianty i pieniądze. Więcej się już nie pokazał, nawet nie wyszedł na podwórze.

Sądzę, że zjawił się pod naszym oknem na żądanie swej kompanji, i że chcieli go w ten sposób wyzyskać. W każdym ra-

zie dostał się do dobrej szkoły i, jeżeli Stasiek, jak mi się zdaje, nie był dotąd złodziejem, to napewno nim zostanie: te dziesięć dni pobytu po więzieniach odsłoniły mu nieznaną dotąd krainę zepsucia i ohyd.

Na podwórzu widowisko ciągle się zmieniało. Kolejno różne kamery miały po 50 — 55 minut przechadzki; po trzykroć w ciągu dnia zamykano wszystkie cele, aby podwórze opróżnić dla nowych etapów.

Różne postacie migały nam w oczach i znowu znikwały. Było tam na dole dwóch kryminalistów w kajdanach, przytem jeden miał kokieteryjnie u nóg czerwoną skórą obszyte żelaza, do których przymocowane są łańcuchy. Ci, chodząc po dziedzińcu, dzwonili kajdanami; nie da się zaprzeczyć, że w tem dzwonienu jest pewna muzyka.

Później ukazał się jeszcze jeden człowiek w łańcuchach; był to anarchista, ujęty w chwili, gdy urządzał eks (t. j. wyprawę ekspropriacyjną) na jakąś kasę rządową w Brześciu Litewskim. Ten siedział osobno na I piętrze i osobno się przechadzał.

Łańcuchy umocowane są na biodrach, silnym pasem skórzanym otoczonych — i idą na krzyż ku obu kolanom; waga ich dwadzieścia funtów (8 klg.).

Wśród figur, które po podwórzu błądziły, uderzył moje oczy huzar (bez munduru), tylko w koszuli i we wspaniałych czerwonych spodniach kawaleryjskich, nie wiem za jaką zbrodnię uwięziony. Nie był on w oddziale żołnierskim, tylko wśród kryminalistów, i on kokietował damy na trzecim piętrze.

Był tam złodziej, stary już niedołęga, w chałacie więziennym, manjak wpółobłąkany, który zbierał na podwórku kawałki papieru, szkła, drzazgi, słomę, skórki od serdelków i co tylko mógł znaleźć — i to wszystko chował do kieszeni, przy czem ciągle się przewracał na ziemię, gdyż miał jakąś wadę w nogach.

Ponieważ każde więzienie w Rosji ma swego niemowę, więc i tu był specjalny niemowa z pieresylniej, stały mieszkaniec, chłopiec lat 17 — 18, włóczęga niewiadomego nazwiska, który uzyskał specjalne pozwolenie na zbieranie jałmużny, a który teraz niemiłosiernie drwił ze złodzieja manjaka.

Ujrzyliśmy też owego furjata, który w nocy łomotał swoich towarzyszków. Wszyscy prawie zniknęli z podwórza, tu i ówdzie

zaledwie jakiś śmiałek się ukazał. Był to chłop olbrzymi, tego zbudowany, dość przystojny, śmiał się wesoło i krzyczał ponuro. Miał na sobie tylko kalesony, a resztę garderoby zostawił w swej gotowni. Dwóch dozorców go prowadziło, ale im się wyrwał i zaczął skakać jak kangur po całym podwórzu, wreszcie pochwycił ciężką konewkę blaszaną i oblewał nią ludzi, a nawet zamierzał się ich bić konwią. Wszyscy też przed nim uciekali, nawet żołnierze wartownicy cofnęli się do sieni, ale trzeba było ostatecznie poskromić warjata. Oczywiście nie obyło się bez „przykładów”.

Ukazały się niewiasty. Dozorczyńni czuwała nad ich dobrem zachowaniem się niby dama klasowa. Były to niemal wyłącznie złodziejki i prostytutki. Niektóre bardzo starannie przystrojone. Po większej części niemłode już, roztyłe kobiety. Dwie natomiast były dziewczyny lat 17 — 18, świeżo ubrane, w sukniach niebieskich, wstążkach czerwonych, grzbietach poślaczanych, kołnierzykach białych, krawatkach szkockich; obie jasnowłose, rzekłbyś pensjonarki, a przytem bardzo podobne, zapewne siostry. Zerkały płomiennie ku celi złodziejskiej, a przedmiotem ich westchnień byli podobno dwaj młodzieńcy w łańcuchach.

Starsze dziewczki — też nie bez pretensji przyodziane — bawem wymyślały sobie, wiodąc spór o jakieś drobne sprawy kameralne. Jedna zaś, najstarsza, pewnie pięćdziesięcioletnia baba, chuda, nędznie odziana, z rozwianym szpakowatym włosom, o ceglatszej cerze i błędnem zabieliem oku, typ bezwstydnej megiiery-pijaczki, zatrzymała się koło celi złodziejskich, krzywiła usta brzydkim uśmiechem i ciągle język pokazywała. Dopiero nadzorczyńni do spółki z nadzorczą spędzić ją musiały z tego posterunku i wygnać zpowrotem do celi.

Wśród kobiet nadto była cyganka w kostjumie narodowym, wielce zresztą brudnym. Miała ze sobą ślicznego, jasnowłosego chłopca lat 6 — 7, którego podawała za swego syna, co mi się zda wątpliwem. Żebrała u naszych okien, ten i ów dawał jej miedziaki.

Nakoniec — jako szczególne zjawienie — w tej tłuszczy istot z najgorszych mętów społecznych — ukazała się niezwyklej piękności włościanka ukraińska, „bajecznie kolorowa” w swej szacie ludowej — aresztowana dla braku paszportu.

Damy zniknęły — i nastąpił okres próżni na dziedzińcu. Zato w naszej celi ruch i rozgwar. Czuję senność, lecz usnąć nie

mogę. Przyglądam się ścianom brudno - żółtym, upstrzonym różnemi napisami. Niejeden z więźniów pisze tu wspomnienia, zazwyczaj węglem, przyczem w ramki zamyka swój napis. Ma to jakiś charakter katakumbowy.

Oto niektóre napisy:

Jan Kobra (data), wysłany do Archangielska — żegna przyjaciół.

Mordka Szyfer (data) tędy jechał do Wiatki.

Uwaga!! N. N. — X. X. Y. Y. zdrajcy i szpicle !

Express International — chemin de fer de luxe. Paris — Orient. Ligne de Yakoutsk. Train spécial (podpis i data).

Towarzysze! do widzenia w Tobolsku! (podpis i data) itd.

Na chwilę położyłem się wśród gwaru i zaduchu i szczęśliwie usnąłem. Śnił mi się jakiś ogród cudowny, po którym błędziły wiotkie i subtelne damy w sukniach świetlanych, bladobarwnych, seledynowych, niby Lady z Shelleyowskiej Mimosy. I oto ukazał się nasz dozorca z pieresylnej i zawołał do tych cudownych zjawień półniebieskich:

— Barszczyk, panowie!

Promienne ladies — każda z cynowym rondelkiem w ręku — wnet pobiegły ku dozorcey, a on im z szaflika wielką łyżką nalewał żur do menażek. Szlachetne seledynowe zjawienia siadły na ziemi i zaczęły przyglądać się żurowi, a w każdej menażce, wśród popielatych fal żuru, pływało wielkie, straszliwie patrzące, krowie oko, o ciemnej obłakanej źrenicy⁸⁾. Czarodziejki skamieniały z przestachu, menażki spadły im na ziemię, a krowie oczy w górę uleciały — jako błękitne bomby, które z hukiem pękały w powietrzu.

Obudziłem się. Drzwi się otwały z trzaskiem i znów ukazał się dozorca, który przyniósł nam obiad. Obiad składał się z grochówki i s z t u c z e k. Obiad wywołał żywy ruch wśród więźniów, a niezbyt wysoka kultura towarzyska niektórych ujawniła się w gwałtownem porywaniu sztuczek, aż jeden z robotników o wytworniejszych manjerach zaczął in „po rusku” wymyślać, aby ich doprowadzić do porządku.

⁸⁾ Geneza snu: J. J. — jeden z więźniów był przedtem w Mokotowie. Tam w charakterze mięsa do zupy dają wyłącznie łby i ogony krowie, na kawały pokrajane. Dostajesz zatem kawał nosa, ucha, wargi krowie i t. d. J. J. powiada, że najstraszniejsze wrażenie na nim zrobiło, gdy raz otrzymał oko krowie. Widać, że mi się to „oko” we śnie przypomniało.

Ostatecznie i to się uspokoiło i więźniowie znudzeni łączyli się w drobne kółka, tak iż względna cisza zapanowała w kamercze.

Koło godziny 2-jej popołudniu rozwarła się brama główna pieresylnej i weszła partja z czterdziestu kilku osób złożona, w czem dwie kobiety, tym razem partyjne. Był to etap z więzienia w Kaliszu, przeznaczony teraz nie do innej turmy, lecz na zesłanie do Białegostoku (właściwie do pow. białost.). Pomieszczono ich na pierwszym piętrze, w celi naprzeciw naszych okien. Byli tam liczni znajomi naszych towarzyszków, witali się głośno i przez kraty rozmawiali ze sobą.

Wkrótce zebrano na dziedzińcu znaczny i bardzo urozmaicony etap, idący na Kijów, Jekaterynosław i Astrachań. Było zgórą osiemdziesiąt osób: zarówno politycznych, jak kryminalnych, cywilnych i wojskowych, mężczyzn i kobiet.

Ręce im skuwano po dwóch bransoletkami z żelaza, obciągniętego skórą, które zamykają się na kłódkę i stanowią środek ochrony od ucieczki. Konwój, prowadzący więźniów z pieresylnej na dworzec, jest stosunkowo nieliczny — i nie byłby w stanie dopilnować takiej gromady.

Na czele etapu stały naprzód cztery czwórki żołnierzy rozmaitych pułków, którzy za przekroczenia służbowe, za dążności buntownicze i t. d. szli do bataljonów dyscyplinarnych⁹⁾. Nie mieli już epoletów, ani oznak swoich regimentów, jako z normalnych kadrów wojska wydalenii.

Za nimi osobliwie skuta para: młody chłopiec lat 16, nie wiem zaco aresztowany, i ogromny chłop wielkoruski, człowiek już niemłody, podobno zabójca, w żółto-brunatnym płaszczu więziennym, mający na plecach czarną łatę romboidalną, co oznacza kryminalistę. W tej samej partji zauważyłem kilka sympatycznych, rozumnych twarzy: to Łotysze, robotnicy z fabryki linoleum, naród błękitnookich marzycieli i energicznych bojowników. Byli tam dalej różni więźniowie, a z nimi ich żony i dzieci, które dobrowolnie szły w etap, śladem mężów i ojców. Była tu i Cyganka z jasnowłosym chłopczykiem i barwnie przystrojona młodocia ukraińska (kobiety szły nieskute).

⁹⁾ Zauważyłem, że żołnierze, którzy się mieścili na mansardzie, nie mieli wcale progówki. Robi się to ze względu na żołnierzy z konwojnej komendy, którzy mogliby ulec korupcji ze strony żołnierzy aresztantów.

Dyżurny oficer odczytał listę więźniów. Kilkakrotnie ich obliczył. Zgrzytnęła zielona sztacheta — i etap ruszył za wrota.

Znów podwórze było puste, tylko biały pies biegał po niem dookoła i gołębie latały, szukając okruchów chleba. Mieliśmy przechadzkę jeszcze raz, ale koło szóstej na nas przyszła kolej szykować się do drogi.

Deszczyk padał tego dnia od czasu do czasu i podwórze było niezupełnie suche: pod wieczór jednak niebo się roz pogodziło. Na podwórze miarowym, echowym krokiem wszedł konwój i ustawił się pod oficyną prawą pieresylnej. Ukazał się oficer dyżurny. Koło szóstej popołudniu drzwi naszych kamer otworzono, i wraz z tobołami ustawiliśmy się szeregami po czterech. Kolejno wywoływano nazwiska: każdy wychodził ze swej linji na środek podwórza — i worki jego podlegały ścisłej rewizji. Zabierano wszystko, co tylko wydało się metalowe; zabierano mydło, proszek do zębów, papierosy, zegarki, pieniądze. Rzeczy cenne zapisywano i składano do kancelarji. Mydło, proszek do zębów, papierosy rzucano na podwórze, a dozorczyńni oddziału żeńskiego natychmiast rzeczy te zabierała do worka, zda się na własny użytek.

Pieniądzy wolno mieć ze sobą tylko mniej od rubla.

Na oko niechęć co do różnych przedmiotów zdaje się niezrozumiała, ale wszystko to ma swój cel tradycyjny. żelazem można skruszyć okowy; masłem, mydłem można je rozluźnić i zesunąć; pieniędzmi możnaby konwój przekupić; proszkiem do zębów zasypać mu oczy; tytuniem (zatrutym) uśpić etc. Każda rzecz może służyć chytremu więźniowi za środek do zerwania pęt.

To też rewizja odbywa się mniej więcej szczegółowo i trwa dość długo. Rewizję prowadzą żołnierze, wybrani w tym celu. Skoro rzecz gotowa — idziesz do szeregu, gdzie twoją ręką prawą skuwają z lewą ręką sąsiada. Jest w tem pewien grotesque.

Młody malarezyk, który skuty z jakimś metalowcem stał koło mnie, radował się jak dzieciak, tak go bawiła ta sytuacja. Jestem w kajdankach! w kajdankach! — wołał zadowolony.

Powoli zapełniały się szeregi. Renald, jako mający brode przynajmniej na pół siwą, puszczoney został bez bransolet. Ale tego dnia inni więźniowie mieli niespodziankę; w interesie bransoletkowym na pieresylnej jest taki popyt, że dla 20 kilku

ludzi zabrakło kajdan. Sytuacja pod względem państwowym bardzo smutna, ale podobno trzecia Duma udzieli specjalnych kredytów na ten wyrób konstytucyjny — i w Bogu nadzieja, nie zabraknie kajdan na pieresylnej.

Latarnie zapalone już na dziedzińcu — i etap się ustawił w formie pochodowej.

Na czele etapu oraz na jego końcu szli dwaj żołnierze, każdy z wielką pochodnią w ręku; pochodnie płonęły ogniście i gęsto dymiły. Zapewne jest to zabytek z owych czasów, gdy na ulicach i gościńcach było ciemno. W każdym razie widok tej gromady ludzi w kajdanach, otoczonej wojskiem, pomiędzy dwojgiem żałobnych płomieni — jest na oko pełen grozy.

Parę tygodni przed mojem uwięzieniem pewien mój znajomy na widok takiego etapu omal się nie rozplakał spazmatycznie.

— Co za okropność! — mówił.

Nie wiedziałem, że wkrótce i ja się znajdę w tej okropności. Wszystko jest złudzeniem. Wewnątrz pochodu niewyczerpany humor panuje; nuci się m a z u r k a k a j d a n i a r s k i e g o; śmiechy i rozmowy ironiczne. G r o t e s q u e sięga wysokiego szczebla.

Ruszamy na ulicę! Tu już policja oczyściła nam drogę — i publiczność spędzono na rogi ulic sąsiednich i skwerów ulicy Targowej.

Na widok tych tłumów, wyznam szczerze, byłem po stronie policji, a nawet uważałem, że publiczność zamało rozpędzano. Była to ciżba krewnych, znajomych i przypadkowych przechodniów, przeważnie kobiet i dzieci, wreszcie gapiów rozmaitych, którzy spazmatycznym łkaniem i zawodzącymi okrzykami drażnili i psuli nam szubieniczny humor, robiąc z tego pochodu jakąś sprawę liryczno-tragiczną.

Koło godz. 10-ej wprowadzono nas do wagonów. Było ich trzy, ale tylko dwa miały okna zakratowane. Tu więźniom zdjęto bransolety. Ze względu na znaczną ilość aresztantów dodano trzeci wagon, zwykłej formy (kl. III), t. zw. służbowy. Tu okna były zwyczajne i więźniowie całą noc spędzali w kajdanach skuci po dwóch.

Gdyśmy już siedzieli w wagonie, jeden z więźniów mówił mi w ten sposób:

— *C h e r c h e z l e v o l!* Dobry obserwator urządzeń państwowych rosyjskich powinien wszędzie przewidywać zło-dziejstwo. Np. tu na pieresylnej. Każdemu z więźniów należy się 11 kop. na przeżycie między Warszawą a Brześciem. Pie-niądze płaci magistrat warszawski. Uważaj, że były dziś trzy etapy — jeden koło 40 osób, drugi 80, trzeci — 120: razem 240, licząc po 11 kop. na człowieka, masz 26.40 rub. Tak prawie co-dzień, bo powstał umyślny przemysł transportowo-więzienny. Tych 11 kop. nigdy jeszcze żaden więzień nie oglądał, i nikt się o nie nie upomniał, a gdyby się upomniał, to by ci zarząd z miejsca wypłacił i nawetby tego nie zapisał: bo to żadna su-ma. *C h e r c h e z l e v o l!* — Ktoś te 26,40 rub. zabiera do kieszeni.

Ze świstem i rykiem pociąg ruszył. Znużony czuwaniem na pieresylnej, ukołysany ruchem kół, usnąłem głęboko i całą dro-gę przespałem. Koło 6-ej rano przebudziłem się. Byliśmy w Brześciu, a naszymi trzema wagonami lokomotywa tak ma-newrowała, aby je ustawić u wylotu drogi, prowadzącej do twierdzy brzesko-litewskiej.

WALENTYNA NAGÓRSKA.

FAUSTYNA MORZYCKA.

(1864 — 1910)

„Przyszła na świat w turmie tambowskiej, jako „docz katorżnika”, trzymali ją do chrztu towarzysze wygnania jej ojca. Wichry sybirskie zawodziły kołysankę nad kibitką etapową rodziców — mrozy i tajgę sybirskie wychowały tę wątłą latorośl dalekiej Polski. W duszę jej zapadały głęboko marzenia bujne, nieziszczone nadzieje i tęskne rodaków rozmowy”¹⁾.

Te pierwsze ponure wrażenia dzieciństwa odbiły się w melancholijnym, jakby przerażeniem spojrzaniu, jakim cudnymi oczami na świat patrzyła. Imię jej, dane na pamiątkę ciotki, Faustyny Morzyckiej, entuzjastki ze Żmichowską zaprzyjaźnionej, znaczyło ją jakby stygmatem, czuła się powołaną do podejmowania najszlachetniejszych zadań i snucia przerwanej tradycji entuzjastek. W istocie każdy jej czyn i stosunek do ludzi wpływał z uczuciowego podłoża, z serca, płonącego niewygasłym zniczem. Dusza, na górny nastrojona ton, rwała się do czynów ofiarnych, do pracy ideowej. Harmonję z tem duchowem pięknem tworzyła śliczna jej postać. Sienkiewicz po powrocie z Nałęczowa, gdzie poznał Morzycką, opowiadał znajomym: „Płynąłem łódką po stawie nałęczowskim z boginią, która chyba zstąpić musiała na ziemię!”.

Uroda niezwykła torowała jej drogę do hołdów, do królowania w salonach, rzucić mogła w wir uciech światowych, zacieśnić horyzonty, odwrócić myśl od zadań głębszych. Marzenia jednak pięknej dziewczyny po innych biegły szlakach.

¹⁾ M. Brzeziński. Wspomnienie pośmiertne. Kurjer Lubelski. 1916.

Na progu młodego życia, po ukończeniu pensji Czarneckiej, udaje się do jednego z wybitnych działaczy na polu pracy społecznej z prośbą o wskazówki i rady. „Nie zapomnę tej bladości ze wzruszenia twarzy i cichego, jakby z głębi płynącego, głosu, jakim wypowiedziała te słowa: „Weźcie mnie do roboty, nauczcie, co i jak mam czynić”²⁾). Wydaje mi się jednak, że już wtedy krystalizował się jej światopogląd i sama wiedziała dobrze, ku czemu pójdzie. Oświecać lud, szerzyć kulturę, budzić zakrzepłe w obojętności serca, ciemne masy pozyskać dla dobra i przyszłości kraju — to były dla niej zadania palące, jakie z młodzieńczym zapałem podjąć pragnęła.

Warunki jej życia składały się pomyślnie dla takiej właśnie pracy. Trudne położenie materialne rodziców skłoniło ich do oddania małej jeszcze Faustyny na wychowanie bezdzietnym doktorstwu Nowickim. Otoczona najczulszą opieką, wrażliwa pod bezpośrednim wpływem Fortunata Nowickiego, człowieka wysoce szlachetnego, o szerokim umyśle, co niewątpliwie wpłynąć musiało na rozwój jej intelektualny i duchowy.

Nowicki, szczerzy patarjota, stęskniony za krajem, rzuca stanowisko zdrojowego lekarza w rosyjskim Lipecku i staje do pracy twórczej we własnym kraju, gdzie z wielkim trudem wskrzesza i urządza wraz z doktorem Lasockim zakład leczniczy w Nałęczowie i tam się osiedla. Łączy to przybraną córkę z tym uroczym zakątkiem kraju. Kiedy po wielu latach i przebywaniu w różnych miejscowościach Faustyna wraca znów do Nałęczowa, dawno już po śmierci swego opiekuna, poświęca mu gorące wspomnienie w przemówieniu na otwarciu szkoły ludowej w Nałęczowie. Zaznaczając, jak ta miejscowość, dawniej zaniedbana, podniosła się dzięki jego pracy, mówi: „Nałęczów i ja zawdzięczamy mu wiele. On mi wskazał drogę i cel życia. Pamiętam, jak z Warszawy przywoził elementarz Promyka i parę przez niego wydanych książeczek. On pierwszy zwrócił moją uwagę na ubóstwo literatury ludowej, a gdy skończyłam pensję, zachęcił do zdania egzaminu na patent nauczycielski”.

W Nałęczowie zbliża się Faustyna do wsi i ludu, staje się tą „siłaczką”, pionierką idealną w pracy cichej, nieznaney.

²⁾ F. Popławska. Wspomnienie pośmiertne. Przewodnik Oświatowy. 1910.

Setki analfabetów czeka promyka światła, rozpala go Faustyna, niosąc elementarz do najuboższych chat wiejskich.

Po śmierci drogiego opiekuna wyjeżdża na czas pewien do Warszawy, gdzie również staje do pracy społecznej. Obie z siostrą Różą są inicjatorkami i założycielkami tajnego koła oświaty ludowej, przy którym powstaje wydawnictwo popularnych książek dla dzieci, młodzieży i samouków. Faustyna Morzycka zasila je cennymi książkami z dziedziny historii, geografii, przeróbkami niektórych utworów beletrystycznych. Napisała kilkadziesiąt książeczek, jak „Rzym Chrześcijański”, „Belgja”, „Holandja”, „Zamojski”, „Słowacki” i wiele innych.

Nęci ją jednak wieś i chętnie wraca pod Nałęczów do Paulinowa, małej wioski ojca, pomaga mu w gospodarstwie i na szeroką skalę prowadzi tajne nauczanie. Gromady dzieci przemykają się przez pola i lasy, „aby ich złe oko nie dojrzało”, i biegną radośnie do ukochanej Faustyny, jak ją powszechnie nazywano, nie tylko dla nauki czytania, lecz i dla pięknych pogadanek, jakimi umiała rozjaśniać umysły, rozgrzewać serca miłością do ojczyznej ziemi, ukazywać piękno i cuda przyrody. Po kilku latach znoonej, owocnej pracy, szczęśliwie przez szpicli niedostrzeżonej, wypadło pomyśleć o pracy zarobkowej, jaką znajduje w Nałęczowie, obejmując stanowisko kasjerki zakładowej.

Sumienne spełnianie suchych obowiązków nie mogło jednak zadowolnić żadnej szerszego czynu natury. Nie dopisywało też wcale zdrowie. Powraca do Warszawy, gdzie wspólnie z Lisowską zakładają księgarnię, do dziś istniejącą.

Jednak nie wystarcza jej należenie do konspiracyjnych kółek oświatowych, pragnie teraz poznać wielkie środowiska pracy fizycznej, zbliżyć się do robotników, których ciężka dola budzi w niej gorące współczucie. Dociera do fabryk, poznaje pracowników, ich rodziny, oświeca dorosłych, uczy dzieci i młodzież.

Po kilku latach osiedla się w Skierniewicach w dzielnicy robotniczej, aby tam swobodniej i bezpieczniej szerzyć oświatę. Działalność tak intensywna podkopuje jej wątły organizm, czuje się bardzo wyczerpaną, lekarz zaleca wypoczynek, a ze względu na zagrożone płuca wyjazd do Włoch. Konieczność taka zmusza ją do przzerwania umiłowanej pracy. Rodzina ułatwia kurację klimatyczną. Niebardzo ona się powiodła, po

kilkumiesięcznym pobycie we Włoszech Faustyna zapada ciężko na zdrowiu. Duch jednak zwycięża i powoli siły wracają, co ułatwia stęsknionej powrót do kraju.

Jest zawsze bezdomną, nie posiada własnego ogniska, choć łatwo mogła je zdobyć. Serce i dobroć wielka kieruje ją tam, gdzie może być najpotrzebniejsza — do siostry owdowiałej z dwojgiem małych dzieci, mieszkającej w Szawlach. Dusza jej wiecznie płonąca i tutaj promieniuje nie tylko na otoczenie najbliższe, dla którego jest aniołem opiekuńczym, ale ogarnia i szersze kręgi. W mieście obcem, w warunkach odmiennych znajduje teren pracy oświatowej. Ze zwykłą umiejętnością nawiązuje kontakt z wioskami okolicznymi, działa wśród miejscowej ludności, zyskując, jak wszędzie, gdzie zjawia się, świetlaną jej postać, miłość i uznanie. Z Szawel przyjeżdżała do Warszawy, aby odwiedzić krewnych, przyjaciół i po dłuższym pobycie na prowincji, „zaczepnąć szerszego oddechu”.

W długich, serdecznych ze mną gawędach opowiadała o cudnych wiosennych porankach, kiedy złote połyski różowego świtu zastają ją przy pracy, wtedy bowiem znajduje idealną ciszę i spokój, niczem nie zakłócony po pisania powieści. Przejęta, podniecona próbą sił twórczych, nie znalazła w tem oczekiwanego zadowolenia, ani radości, jaką dawać musi pełnia talentu, możliwość pięknego zrealizowania swych wizyj. To nie była jej dziedzina, choć Żeromski chwalił późniejszą jej powieść „Powrotne Fały”, choć z właściwym sobie entuzjazmem zachwycił się mocą i pięknem poszczególnych fragmentów, chodził z autorką do wydawców, polecając jej pracę.

Warunki rodzinne sprowadzają znów Morzycką do Nałęczowa, gdzie zaczyna się dla niej nowy okres życia, działalność szersza, praca różnorodna. Nadchodzi rewolucja. „Jeden wspólny huragan szalonej radości porywa nasze dusze” — mówiła Faustyna. Ożywcze tchnienie płynie poprzez łąny Polski, brzmia potężne hasła, budząc uśpione dusze, z podziemi ciemnych na jaw i słońce dumnie występują zakonspirowane prace, zakneblowane dotąd usta przemawiają głosem silnym, żądając praw człowieka.

Zakipiał ruch i w Nałęczowie, jaki wówczas szczylił się stałym pobycem ludzi tej miary, co Żeromski i Daniłowski. Pod ich egidą, i przy czynnej pomocy znanych już społeczników, jak Dulębowie, P. Rudzcy, wielkich zasług Felicja Sulkowska

i świeżo przybyła Faustynaa Morzycka, powstaje szereg placówek kulturalno-oświatowych na małym terenie uzdrowiska. Najpilniejszą okazuje się szkoła powszechna dla dzieci wiejskich, a najbardziej powołaną do jej utworzenia F. Morzycka. Radośnie staje ona na nowym posterunku i, nie czekając pozwolenia, jakie od władz nie nadchodzi, otwiera dwuklasową szkołę, do której tłumnie zgłaszają się dzieci. Z racji uroczystości otwarcia szkoły przemawia do zebranego ludu: „Wracam tu z mocnym postanowieniem poświęcenia reszty życia pracy dla dobra tego zakątka mej ojczyzny, tej ziemi, na której spoczęli moi najbliżsi i najukochańsi. Pragnieniem mojem jest roznieść w tej okolicy nieco światła, bo wierzę w olbrzymią potęgę oświaty, przez nią nietylko pojedynczy ludzie, ale i całe narody wznoszą się na szczyt największej chwały, pod wpływem zaś ciemnoty opadają na dno najmroczniejszych przepaści. Z czem przychodzę, jak będę prowadzić moją szkołę — oto pytanie, które czytam w wszystkich oczach ku mnie zwróconych. Otóż pragnę, aby pierwszą zasadą, dewizą i systemem mej szkoły była miłość. Zawsze za najlepszą wychowawczynię dziecka jest uważana matka, a dlaczego? — bo je najbardziej kocha. Nie posiadając własnych dzieci, pragnęłabym przelać na powierzoną mej pracy działwę te uczucia miłości macierzyńskiej, jakie są złożone w sercu każdej uczciwej kobiety. Sądzę też, że zdołam rozbudzić w duszach powierzonej mi działwy dążenia do wszystkiego, co dobre i piękne”³⁾).

Niestrudzona pracownica wyklada również i na popołudniowych kursach dla dorosłych z oddziałem dla analfabetów. Pozatem współdziała żywo w organizowaniu cyklu odczytów popularnych, jakie odbywają się w każdą niedzielę i święto, z udziałem sił miejscowych i zaproszonych prelegentów z Lublina i Warszawy. Kiedy po inauguracyjnym odczycie urządzono manifestacyjny pochód i wiec przy świetle kagańców, przemawiają o chwili bieżącej Żeromski, Daniłowski, Rudzka i Morzycka. W parę tygodni potem wypowiada ona pięknie opracowany i porywający odczyt o powstaniu 1863 roku, ilustrowany pokazami świetlnymi obrazów Grottgera. Odczyty te cieszą się wielkim powodzeniem. Rozbudzeni wypadkami włościanie, rzemieślnicy, służba zakładowa zapełniają po brzegi

³⁾ Własnoręczna notatka Morzyckiej.

salę hotelową, gdzie odbywały się wykłady, i już pomieścić się tam nie mogą. Akcję przenieść wypadło na pobliskie Pałuby do wielkiej szopy, jaka staje się odtąd terenem wszelkich zebrań, koncertów popularnych i widowisk teatralnych, leżących w programie prac naszych działaczy, a popieranych gorąco przez Żeromskiego.

Faustyna, obdarzona z natury duszą artystyczną, obejmuje kierunek teatru ludowego. Ze zwykłą energią i zapałem wyszukuje i dobiera zespół, sięga odrazu do repertuaru o głębszej wartości, a dla tych sfer odpowiedniego, sama z intuicją wyjątkową i wyczuciem sceny reżyseruje doskonale pięcioaktową sztukę „Harde Dusze”, z powieści Orzeszkowej „Bene Nati” przerobioną. Przedstawienie, tak na owe czasy oryginalne, na dzień Zielonych Świątek przygotowane, staje się uroczystością dla Nałęczowa i okolicy. Pamiętam rozpromienienie Żeromskiego, z jakim pokazywał mi przywieziony do Warszawy afisz, pięknie w Lublinie wydrukowany. Sztukę powtórzono w sezonie, już nie w szopie, a w przepięknej sali pięknego pałacu niegdyś Małachowskich. Prowizoryczna trupa wyjeżdża na gościnny występ do Lublina. Przedstawienie ludowe, poprzedzone rozgłosem doskonałej gry, dane na cel dobroczynny, budzi powszechne zainteresowanie.

W kilka miesięcy później odegrano, również dzięki pracy Faustyny, III część Dziadów, jedną tylko rolę Konrada objął inteligent rzeźbiarz Gardecki, reszta spoczywała w rękach dawnego zespołu. Wobec wielkiego powodzenia i niemal talentów, jakie ujawniły się wśród dziewcząt zwłaszcza, Faustyna marzy o wystawieniu całej Balladyny, co amatorzy przyjmują z entuzjazmem i niebawem rozpisują role i zaczynają już próby, trudności jednak techniczne zmuszają do odłożenia całej imprezy.

W owych latach przyjeżdżali na wywczasy letnie Ignacostwo Matuszewscy, z Żeromskimi zaprzyjaźnieni. Pani Matuszewska zapragnęła urządzić na rzecz budującej się ochronki im. Adasia Żeromskiego przedstawienie dziecinne, ze śpiewami, które artystycznie prowadzić umiała. Trudności z wyborem sztuki rozwiązuje szczęśliwie Faustyna, inscenizując udatnie prześliczną baśń Konopnickiej „Krasnoludki”. Wśród letników znajduje się łatwo gromada dziatwy, radośnie rozchwytywanej powierzone jej role, brakuje jednej — ducha ukazującej się

matki. Na pierwszej próbie staje jako zjawia młodzianka siostrzenica Faustyny, ktoś jednak przesądny ostrzega, że osoba, przedstawiająca ducha, nie pożyje długo. Faustyna śpiesznie zastępuje ukochaną kuzynkę. Pamiętam cudną ową bajkę na scenie, pięknie udekorowanej, i wzruszenie, z jakim patrzyłam na bladą twarzyczkę Faustyny, na jej gorejące aksamitne oczy, wpatrzone gdzieś w dal, na postać całą w zwiewnych białych szatach, jakby nie z tego już świata. Los zdarzył, że przesądne ostrzeżenie miało się sprawdzić za lat parę. Przedtem jednak ze świata poezji i czarów szła ku twardej służbie dla ojczyzny.

W tym czasie z Lubelskiego więzienia ucieka podkopem przez kanały miejskie czterdziestu więźniów. Pięciu z nich, politycznych, kieruje P. P. S. do Faustyny. Zjawia się ona u mnie o świcie i wzruszona mówi: „Obudź się i słuchaj: potrzebuję bielizny, ubrania i butów dla moich uciekinierów. Trudno ci opowiedzieć, w jak oplakanym są stanie. Teraz kąpią się i myją, palą brudne łachmany. Trzeba ich odziać od stóp do głowy. Przydadzą się i bluzy twoich chłopców, bo dwaj są szczupli i drobni”. Paczka odpowiednia została niebawem wysłana na Pałuby, gdzie obok „historycznej” szopy mieszkała Morzycka. Niedosć jednak było okryć więźniów, należało szybko zająć się dalszym ich losem. P. P. S. przygotowała paszporty i kilkanaście z nich dostarczyła Faustynie. Pokazywała mi ową niebezpieczną, grubą paczkę, na piersiach zawieszoną. Trzeba to było rozwieźć w różne miejsca. Wtedy syn mój, dziecko prawie, zaprzęgał kucyka do maleńkiej bryczki i woził Faustynę pojazdem, nie budzącym żadnych podejrzeń, po różnych siołach i zaułkach wiejskich. Podobne eskapady w celach konspiracyjnych odbywali oni niejednokrotnie.

Tym razem jednak opieka nad przestępcami nie uszła Morzyckiej bezkarnie. Jeden z tych nieszczęśliwych chłopców, schwytyany na granicy, ponownie uwięziony i zapewne torturowany na śledztwie, zeznał, u kogo znalazł schronienie w Nałęczowie, poczem niezwłocznie Faustyna została aresztowana i osadzona w więzieniu lubelskim. Więzienie nie złamało jej duchowo, może ze względu na przeżycia osobiste, jakie w owym czasie nurtują jej duszę. Opanowana i spokojna, spisuje swoje wrażenia i refleksje, ilustruje nawet swoje notatki, choć nigdy dotąd nie zajmowała się rysunkiem. Zajmuje ją, jak zwykle, świat dziecięcy, znajduje nawet sposobność nauczania



Przemysław Marjan Antoni Barthel de Weydenthal.

Do artykułu W. Lipińskiego.



Józef Mirecki
(więzienie radomskie 1903 r.).



Stefan Juszczyński.

Do artykułu St. Juszczyńskiego.

dzieci, przebywających również w więzieniu. Kajet jej, od żandarmów otrzymany, przez nich ponumerowany i pieczęcią oficjalną opatrzony, zapełnia do połowy kaligraficzne pismo dziecięce. Maleństwa te piszą: „Siedzę w więzieniu Lubelskim”, a Faustyna zostawia szkic rysunkowy z ich życia, zatytułowany „przestępcy w więzieniu lubelskim”. Niemowlę w poduszce, porzucone na ziemi, obok troje smutnego drobiazgu. W nawiasie dodaje: „więzienie czy ochronka”.

Nastrojom swoim daje wyraz, pisząc: „Przypuszczałam zawsze, że straszną jest cisza więzienia, tymczasem spotykam się tu ze stokroć przeraźliwszym bezustannym gwarem. Muzyka kajdan, krzyk chorych dzieci, niby w żłobku źle utrzymanym, wstrząsający zgrzyt zamków, brutalne wkraczanie żandarmów z „powierkami”, rewizjami i ostatecznie mnie zabijający bezmyślny szczebiot i śmiech... koleżanek. O nie, to nie przedsmak grobu, ale życie w całej pełni swych najwstrętniejszych przejawów”.

„Lubię już swoją samotność, stworzyłam sobie swój, swój własny niepodzielny świat wewnętrzny, żadna siła ludzka mi go nie zabierze, czuję się silną, posiadając to, do czego nikt nie ma prawa, bogatą jestem”.

„Śnił mi się człowiek stary o niezgłębionem smutnem spojrzeniu, szlifował z niebywalej bryły szczerze djamentowej krzyż, który mógłby stanowić najcenniejszy klejnot ludzkiej próżności. Dla kogo tak pracujesz, staruszkule? — zapytałam. Dla ciebie — odpowiedział człowiek, którego nazwałam swoim losem. Czeka panią największe nieszczęście — wytłumaczyła nasza prorokini”.

„W wielkiem załamaniu ducha pomniejsze nieszczęście stanowi tylko przygodę, która nawet nie dotyka głęboko, ale odrywa od ważniejszego, bawi, rozrywa”.

„W gruncie rzeczy niema na świecie ani dobra, ani wolności, ani szczęścia, jest tylko dążenie i walka o to, aby było lepiej, swobodniej i szczęśliwiej. W chwili więc najzaciętszej walki żyjemy najświetniejszą i najchwalebniejszą pełnią życia”.

Tymczasem przyjaciele jej w Nałęczowie w trosce i niepokoju oczekiwali dalszych losów Faustyny. Imię to było na wszystkich ustach. Pewnego poranku córeczka moja, przecierając zaspane oczęta, mówi: „Mateczko, dzisiaj przyjdzie do

nas Faustyna". Roześmiałam się smutnie na zapowiedź tak mało prawdopodobnej wizyty. Jakże radosne było jednak zdziwienie nasze, gdy w parę godzin później stanęła nagle we drzwiach werendy Faustyna. Okazało się, że w czasie konfrontacji młody ów więzień, może pod wpływem głębokiego spojrzenia Faustyny, drgnął zlekka i po chwili skupienia wyrzekł głosem stanowczym: „tej pani nie znam wcale i nie do niej zwracałem się w Nałęczowie”. Skrucza ta i opamiętanie się więźnia dały wolność Faustynie. Mogła ona jednak łatwo być zagrożoną, w słusznej tedy obawie ułatwiono jej szybko wyjazd do Krakowa, za cudzym paszportem.

Oderwanie od przyjaciół i miejsc drogich uczuła głęboko. W kilka tygodni po wyjeździe pisze mi: „Poza ukochanym Nałęczowem nie mogę zabrać się do pracy oświatowej. Przyjedź nawrócić szkaradną grzesznicę”. Zbyteczną jednak była interwencja osób trzecich, aby ją skierować na dawną drogę. W Krakowie istniał, jak wiadomo, Uniwersytet ludowy, najpoważniejsza oświatowa instytucja w kraju. Działając na wielką skalę, promieniowała na cały obszar Polski. Do szeregu ludzi, tam pracujących, zaciągnęła się i Morzycka. Prowadziła stale wykłady i miewała odczyty w Krakowie i okolicy. Przyjeżdżali włościanie po znaną prelegentkę drabiniastym umajonym wozem z wiosek, o kilka mil od Krakowa położonych. Wiem od naocznego świadka, jak umiała porwać słuchaczy, jak po odczycie podchodzili do niej tłumnie, w gorących słowach dziękując za pouczający i piękny odczyt.

I w Krakowie bierze udział w artystycznych imprezach dobroczynnych, pisze mi bowiem: „Wyobraź sobie, i tutaj wystawiam Krasnoludki, i tak każdy idzie po swój los”. Może to była aluzja do owej roli ducha matki, jaką znów odegrać miała mimo owych przesądnych ostrzeżeń!

Coś jednak łamać się poczęło w jej dotąd prostolinijnem życiu. Rewolucja zbyt silnie wstrząsnęła jej psychiką, rozbudzone nadzieje zrzucenia kajdan niewoli zbyt silnie ogarnęły jej duszę i rozplomieniły wyobraźnię, aby teraz wystarczyć jej mogła spokojna, cicha praca. Pociąga ją raczej doraźny czyn ofiarny, jaki — wierzyła — ważyć może na losach nieszczęśliwej ojczyzny. W tym celu zapisuje się do bojówki P. P. S. Uczy się techniki przenoszenia broni, co było ciężką pracą fizyczną. Daniłowski opowiadał, z jakim zdumieniem

zobaczył ją na ćwiczeniach rzucania bomby, i powiedział, że to nie dla jej delikatnych rąk i nerwów robota. Porzuca ona jednak pracę oświatową, aby stanąć na posterunkach niebezpiecznych. Nosi przy sobie proszek cjankali, dany przez spiskowców, aby w razie wpadnięcia w ręce policji zrobić zeń użytek.

Bierze pewien udział w nieudanym zamachu na wysoko postawioną osobistość w Warszawie i bezpośrednio potem wyjeżdża na Ukrainę do krewnych swoich i przyjaciół Przeclawskich. „Wpadła do nas nawpół żywa, prawie nieprzytomna, ze słowami: żyć nie mogę, pozwólcie mi umrzeć tu, wśród Was, których tak kocham”. Nie wiedziała narazie, czy nie było jakiej ofiary niefortunnego zamachu i męka zabójstwa udręczała ją.

Zdawało się, że paromiesięczny pobyt na wsi w spokoju i ciszy i w otoczeniu drogich jej osób ukoji poszarpane nerwy — „Ale nie była to już dawna towarzyszka — coś się załamało w jej tak pełnej wiary i zapału duszy, jakiś bolesny grymas ścinał promień jej oczu — życie zamarło. Straciła wiarę w skuteczność działania” 4).

Zerwała się niebawem, aby jechać do Charkowa, gdzie przebywali jej krewni — zabawiła tam niedługo. Niepokój wewnętrzny pchał ją dalej w świat. Zajechała do Kijowa, aby wkrótce powrócić do Krakowa, z ukrytą może iskierką nadziei odnalezienia tam siebie z podjęciem pracy dawnej!..

„Pierwsze jej listy były martwe, obojętne, potem przebłyśki życia zaczęły się zjawiać i jakaś możliwość potrzebnej roboty zdawała się wskrzeszać dawną Faustynkę” 5).

Spotkanie jednak z dawną paczką bojówki P. P. S. — widok rozbitych doszczętnie prac — zupełne załamanie ideologii poszczególnych jednostek, sprawiają Morzyckiej nowy, gorzki zawód i ból niewymowny. Myśl o tylu zmarnowanych wysiłkach, o krwi nadarmo wylanej napełnia ją rozpaczą.

„Przyzwyczać się nie może do mroku, jaki zapanował po spadnięciu nanowo kamienia grobowego, który już uchylony się zdawał, i serce jej pęka z żalu i bólu po cudnej, bajecznej godzinie, którą przeżyła z takim zapałem⁶⁾). Nigdzie też i w ni-

4) List pani I. Przeclawskiej, pisany do mnie.

5) List pani I. Przeclawskiej, pisany do mnie.

6) Brzeziński. Wspomnienie pośmiertne. Kurjer Lubelski. 1916.

czem nie znajduje oparcia i siły. A serce krwawi się dumnie tłumionym bólem osobistego cierpienia. W swoim czasie nie zesłała ona, zejść nie mogła z górnych szlaków wyniosłej etyki, by podeptać szczęście cudze i na tych gruzach budować własne... I nie starczyło sił, by dźwigać podwójny krzyż niedoli ojczyzny i własnej.

Musiła paść pokonana przemożnem cierpieniem! Tragiczne podłoże jej duszy jakże było podatne ku temu! Jak ono przez życie całe wyolbrzymiało każde jej niepowodzenie, gasiło niejedną radość. W młodości jeszcze, bo w latach 1901 — 1902 — pisze w kajecie „Wszystko znam, pozdrawiam, ale najbardziej moje i w duszę wrosłe to, co tajemne, groźne i ponure”. W szkicach zaś powieściowych mówi o sobowtórach swych zapewne: „Obie przesmutne o zupełnie odmiennych załamaniach mrocznych cieniów rozpaczy krążyły około mistycznych zagadnień wszechświata. W cudnych arcydziełach ludzkiego ducha szukały bezwiednie tego tragizmu i męki. Dwie te dusze, płynąc z życiem, uczuły nagle, że nie wynoszą z niego ani poznania, ani szczęścia, ani siły!...”

W ostatnich miesiącach życia Morzycka próbuje pisać dramat: „Barbara Radziwiłłówna”, chwilami marzy o wystawieniu go w Krakowie. Może poczucie talentu zatrzymałoby ją nad przepaścią, ale tego poczucia ona, tak pozbawiona wszelkiej zarozumiałości, mieć nie mogła.

I oto słoneczna, promienista jej dusza, przez życie całe ofiarnie idąca ku każdej niedoli, słabości, by ją wzmocnić, oświecić, podnieść, ogrzać sercem czującym, zmaga się teraz samotnie i szarpie, nie mogąc wyrwać raniących ją cierni. Ogromnym jednak wysiłkiem woli zdobywa hart i siłę ducha, jakiej wyraz daje w podniosłych listach ostatnich, z których kilka wyjątków upoważniona jestem przytoczyć:

„Nazewnątrz ton mam wesoły, brawurowy — tak może najlepiej. Za bogatą mam duszę, ukochań za wiele, by dać się złamać bezwzajemnemu uczuciu. Niweczy ono we mnie jedne potęgi, by wygórowały inne, i taki los sądzony był zdawna — mój „żrebij” — widzę go jasno, spotykam śmiało i nie żałuję niczego”.

„życie nadto cięży, pesymizm nadto zjadał serce, a tak ogromnie nęci myśl, że śmiercią swą będę użyteczną! Niech

ona w sercach waszych rodzi moc, chęć czynu, a nie żal i słabość. Jestem spokojna i szczęśliwa!"

„Stoję teraz jak Brand Ibsenowski wśród najwyższych, stromych szczytów lodowców, zagadnień — jedyne pragnienie dotrwać!"

„Nie rzucę szpady wrogowi, lecz we własnem utopię ją sercu”.

„Pozwalam sobie na rozkosz nie przeżywania już nikogo z ukochanych. Gdy mnie wyrzucono z miejsc ukochanych, odezwano od pracy najodpowiedniejszej, stało się to, czego ani Ty, ani ja nawet sama nigdy się nie spodziewałam. Brutalnie, słabymi rękami muszę zło zabijać!"

Dziś jeszcze po latach dwudziestu nie mogę oprzeć się wzruszeniu, wspominając okrutną wieść o śmierci powszechnie kochanej Faustyny, wieść, jaka zaskoczyła nas w Nałęczowie.

„Wzięła ona coś z nastrojów Anhellego w spuściznie i przez życie płynęła, jak promień nadziemski — zlekka tylko dotykając tej ziemi — kału i brudu” 7).

7) M. Brzeziński. Wspomnienie pośmiertne. Kurjer Lubelski. 1910.

EUGENJUSZ AJNENKIEL.

(Łódź).

NAPAD NA FURGON POCZTOWY W ŁODZI

w dniu 17 maja 1907 roku.

Napady, czy zamachy polityczne, dokonywane zbrojnie przez organizację bojową P. P. S., wywoływały wściekłość władz rosyjskich. Tem większą była ona, im większą była bezsilność policji i „Ochrany” wobec uczestników tych napadów. Brak realnego wyniku w przeprowadzonym doraźnie dochodzeniu — w postaci schwytanych bojowców — doprowadzał władze oraz żołnierzy do bezprzytomnego nieraz okrucieństwa wobec Bogu ducha winnych ludzi. Strzelano w ulicę do bezbronnych, bito bezlitośnie napotykanym przechodniów, areztując ich na chybił trafił, byleby swej zemście zadość uczynić. Wściekłość rozpasanego żołdactwa przybrała wprost przerażającą formę po dokonaniu przez bojowców P. P. S. Fr. Rewolucyjnej napadzie na furgon pocztowy w Łodzi przy ul. Podleśnej w dniu 17 maja 1907 r.

Łódzka organizacja bojowa P. P. S. postanowiła skonfiskować pieniądze skarbowe, przewożone ze stacji kolejowej Łódź-Kaliska do poczty głównej. Przesyłki pocztowe i pieniądze, przywożone na stację, odsyłane były w furgonie pocztowym pod eskortą kilkunastu kozaków lub dragonów. Przewożono je najczęściej ulicami: Karolewską, Łąkową, Podleśną, Długą ¹⁾, Andrzeja i Przejazd, na rogu której, przy ul. Widzewskiej ²⁾, mieściła się główna poczta. Władze rosyjskie wybierały te uli-

¹⁾ Obecnie ulica Gdańska.

²⁾ Obecnie ulica Kilińskiego.

ce jako najbliższą drogę, jakoteż i ze względu na to, że część tych ulic, jako mało zabudowane i bezludne (Łąkowa i Polna), umożliwiały szybki przejazd i możliwe bezpieczeństwo. Inny jeszcze wzgląd przemawiał za temi ulicami, mianowicie bliskość koszar kozackich, mieszczących się na ulicy Luizy ³⁾ i Pańskiej ⁴⁾.

Te właśnie też ulice (Łąkowa i Podleśna) wybrała organizacja łódzka na miejsce dokonania zamachu, otrzymawszy uprzednio poufną informację, iż w dniu 17 maja furgon pocztowy zawierać będzie większą sumę pieniężną. Pieniądze te postanowiono skonfiskować na cele walki z ciemną. Po ustaleniu planu zamachu, polecono zwołać trzy szóstki bojowe. Jako miejsce tej zbiórki wyznaczono punkt miasta przy zbiegu ulicy Przejazd i Zagajnikowej.

W dniu 17 maja 1907 roku, o godzinie ósmej rano przybywać zaczęli na miejsce zbiórki wyznaczeni bojowcy, których oczekujący tam instruktor bojowy „Jan” ⁵⁾ skierował do parterowego, drewnianego domku, mieszczącego się w głębi ogrodu przy końcu ul. Przejazd. Do godz. 8.30 w małym mieszkanku zebrało się 18 bojowców ⁶⁾. W mieszkaniu tem zastali oni dwóch nieznanych mężczyzn, z których jeden witał przybywających, przedstawiając się jako towarzysz „Zimecki” ⁷⁾. Po upewnieniu się, że rozstawione „czaty” bojowe zabezpieczają dostatecznie od ewentualnej a nieproszonej wizyty policyjnej, przystąpiono do omawiania sprawy, którą zebrany referował towarzysz „Zimecki”. Wskazał on, że projektowany napad musi się udać, choć bowiem wóz eskortować będzie 12 kozaków i 3 uzbrojonych funkcjonariuszy poczty, to jednak w pierwszej chwili, wobec niespodziewanego napadu, dbać oni będą prze-

³⁾ Obecnie ulica 28 pł. Strzelców Kaniowskich.

⁴⁾ Obecnie ulica Żeromskiego.

⁵⁾ Nazwisko nieznane.

⁶⁾ Stanisław Grajcar — „Zygmunt”; Ignacy Motylewski — „Cygan”; Stefan Choinka — „Róża”; Szczeciński Jan — „Jerzy”; Cieślak Stanisław — „Iskra”; Teodor Senman — „Turek”; Roman Miskiewicz — „Karol”; Antoni Wojciński — „Siódema”; Stanisław Komornicki; Olesiński — „Buchalter”; znani tylko z pseudonimów: „Siwek” (zabity w kilka dni później przy zamachu na rewirowego); „Kulawy”; „Franciszek”; „Stanisław”; „Bober”! (później prowokator), oraz trzech towarzyszy, nieznanych ani z nazwisk, ani z pseudonimów.

⁷⁾ Nazwisko nieznane.

dewszystkiem o to, by ująć z życiem z zagrożonego miejsca, furgon zaś zostawia w rękach bojowców. Z tego momentu należy skorzystać i furgon szybko wypróżnić. Zamachu postanowiono dokonać w chwili, gdy wóz wjedzie z ulicy Łąkowej w Podleśną, tak, by część eskorty mieć na jednej ulicy, część zaś na drugiej. Tam też miano rozlokować część bojowców, umieszczając czterech na rogu ulicy Łąkowej i Podleśnej, a czterech wraz z instruktorem na rogu ulicy Luizy i Podleśnej. Gdyby jednak napad, w tem miejscu dokonywany, nie udał się, i gdyby furgon wraz z eskortą kłusem dążył w głąb ulicy Podleśnej, musiałyby mijać blisko siebie leżące ulice Zakątną i Lipową. Organizatorzy, postanawiając konfiskatę pieniędzy, na rogach tych ulic rozmieścili dalsze posterunki bojowe w ten sposób, że dokonanie zamachu w każdym razie musiało się udać, bowiem ulice Luizy i Zakątna, nie przecinające Podleśnej, a zastawione przez bojowców, zamykały furgon w potrzasku. Na ulicy Zakątnej, obok drugiego posterunku, wyznaczono postój bryczki, zaprzężonej w parę gniadych koni, któremi powoził towarzyszył „Karol”. Kierownictwo całej akcji spoczywało w rękach instruktora „Jana”.

Po otrzymaniu wskazówek zebrani rozeszli się, wychodząc po jednym, dwóch lub trzech w pewnych odstępach czasu, aby udać się na wyznaczone im stanowiska. Po zajęciu tychże i po krótkim a denerwującym oczekiwaniu usłyszano turkot kół i uderzenia kopyt końskich. Chwila napiętej ciszy, niepewności i rozrachunku z samym sobą. W ulicę Podleśną wjeżdża czterech kozaków z karabinami w rękę, opartymi na kolanach. Karabiny gotowe do wystrzału. W tej chwili rozlega się krótki sygnał, małą trąbką podany. To instruktor „Jan” daje hasło do walki.

Rozlegają się strzały brauningowe. To czwórka, umieszczona na ulicy Łąkowej, wali do pozostałej na tej ulicy reszty eskorty kozackiej, która z miejsca skręca konie i, ostrzeliwując się, ucieka w stronę ulicy Milsza ⁸⁾). Jednocześnie z pierwszą salwą rozlega się salwa następnej czwórki bojowej, która z instruktorem „Janem” atakuje przednią część eskorty. Kozacy i siedzący na wozie pocztowcy rozpoczynają bezładną strzelaninę. Rozbiegane konie kozackie ponoszą jeźdźców. Kozacy

⁸⁾ Obecnie ulica Kopernika.

ostrzeliwują się, lecz, prażeni strzałami z tyłu i z przodu przez posterunki, umieszczone na ulicy Zakątnej, uciekają w po- płochu, by wpaść na trzeci posterunek przy ulicy Lipowej. Dwóch z nich zostaje rannych. To ich utwierdza w przekonaniu, że trzeba uciekać. Uciekają więc, gdzie który może. W ślad za nimi uciekają funkcjonariusze poczty, pozostawiając na wo- zie ciężko rannego kolegę.

W tym czasie do furgonu podbiega jeden z bojowców, chwytając za uzdy wystraszone konie, a inni wyładowują za- wartość furgonu i przenoszą ją na podjeżdżającą bryczkę. Po przerzuceniu trzech sakw i jednej drewnianej skrzynki na bryczkę wskakuje „Stach” (wyznaczony do pilnowania skon- fiskowanych paczek) i rozpoczyna się odwrót. Po udanym lub nieudanym zamachu bojowcy mieli, dając jedną gromadną sal- wę na postrach, względnie ostrzeliwując się pościgom, rozbiec się pojedynczo w różne strony i skryć się. Bryczka zaś miała się udać ulicą Zakątną do Zielonej, nią zaś do Dzielnej ⁹⁾, by skrę- cić w Widzewską, a potem w ulicę Nawrot do wyznaczonego domu, wiadomego towarzyszeni „Karolowi”. Tak też się stało. Sakwy i skrzynie zawieziono do mieszkania tow. „Stanisława”, w którym na wyniki akcji oczekiwali ci sami towarzysze, którzy bojowcom wyjaśnili plan zamachu, oni też zatrzymali tow. „Sta- chha” do pomocy przy sprawdzaniu zawartości paczek ¹⁰⁾.

Na ulicy Podleśnej pozostał opróżniony furgon z ciężko rannym funkcjonariuszem poczty. Konie, opuściwszy łby, sta- rały się skubać trawę, zarastającą uliczny rynsztok. W czasie walki został ugodzony kulą w pierś jeden z eskortujących wóz kozaków. Spadające z konia ciało przytrzymała noga, tkwią- ca w strzemieniu. Spłoszony koń, nie czując ręki, trzymającej mocno uzdę, pobiegł ku ulicy Pańskiej, wlokąc po bruku zwi- sające ciało. Na ulicy Pańskiej (Żeromskiego) noga wyslizgnęła się ze strzemienia, i trup kozaka pozostał na bruku, koń zaś spadł do koszar, mieszczących się opodal.

⁹⁾ Obecnie ul. Prezydenta Gabriela Narutowicza.

¹⁰⁾ Z prasy ówczesnej wiemy, że skonfiskowano 2.000 rubli. Zaś ze sprawy, wytoczonej Antoniemu Wójcińskiemu za udział w tym zamachu, wy- nika, że bojowcy zabrali 239.384 rubli, w której to sumie były również weksle Łódzkiego Banku Państwowego (akta kancelarji warszawskiego Ge- nerał-Gubernatora 1.109.643, zeszyt 15, oraz L. 180145, zeszyt 284). Wi- docznie kwota gotówkowa nie była większa, niż 2.000, resztę zaś stano- wiły weksle.

Kozacy, stanowiący eskortę, zbiegłszy z miejsca napadu, okrężnymi ulicami przybyli do koszar, składając odpowiedni meldunek oficerowi służbowemu, który natychmiast zawiadomił władze policyjne i wysłał kozaka z raportem do dowódcy, będącego wraz z całym oddziałem na placu ćwiczeń ¹¹⁾). Sam, zabrawszy kilku kozaków, udał się na miejsce walki i rozmówił się z rannym funkcjonariuszem poczty, który wskazał jako miejsce ucieczki napastników ulicę Luizy.

W pół godziny po napadzie, na wieść o nim, ćwiczący się na polu kozacy przybyli na ulicę Podleśną i rozpoczęli strzelanie wzdłuż sąsiednich ulic i domów. Wreszcie, przypuszczając na podstawie informacji rannego urzędnika poczty, że bojowcy skryli się do pobliskiej fabryki (na ulicy Luizy), należącej do firmy „Kunert, Landsberg i Wojdyśławski”, rozpoczęli tam bezprzykładną rzeź.

Z podwórza fabrycznego, gdzie pozostawili konie, wpadli na sale fabryczne, strzelając do robotników i robotnic, a co bliżej stojących siekli szablami. Robotnicy, zajęci swą pracą, ani wiedzieli ci się stało na ulicy, ani też nie rozumieli przyczyny tego bestjalskiego napadu kozaków. Padali od kul i szabel kozackich jedni po drugich. Kryli się gdzie i za czym tylko mogli. Wyciągano ich stamtąd i sieczono, wyrzucając półżywych, a nawet i ciała zmarłych na podwórze. Lecz rzeź, dokonana w jednej fabryce, nie zadowolniła ich. Reszta kozaków, którzy do sal fabrycznych nie mogli się już dostać, udała się do fabryki Metzlera i Ferenbacha, aby tam zalać krwią robotników podłogi fabryczne.

Skutkiem tego masowego mordu zmarło było ogółem przeszło 80 osób. W czasie tej dzikiej hulanki żołdaków, pod dowództwem oficerów dokonanej, nie omieszkało zajrzeć i do kantorów fabrycznych, by rozbić i opróżnić ich kasy, które potem znaleziono otwarte i puste.

Straszna ta rzeź wywołała w Łodzi olbrzymie oburzenie. Dokonana zaś przez kozaków kradzież w kantorach fabrycznych poruszyła sfery kapitalistyczne. O tych mordach i kradzieżach zawiadomiono telegraficznie łódzkiego posła do dumy państwowej, p. Babiackiego, który na tej podstawie złożył osobiście skargę u prezesa ministrów, Stołypina.

¹¹⁾ Obecnie plac im. Generała Hallera.

Oburzenie ludności starano się wykorzystać i do walki z P.P.S. Fr. Rewolucyjną. Obok Narodowej Demokracji skwapliwie wykorzystwała to P. P. S. Lewica, która, napadając na Frakcję Rewolucyjną i jej Organizację Bojową, starała się przedstawić żołdaków rosyjskich jako dobroczyńców robotników łódzkich, jako tych braci rosyjskich proletariuszy, którzy stają się niewinnymi ofiarami „fraków”.

Z tego to źródła wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wyszła i szerzona była między robotnikami następująca wieść:

Na wiadomość o dokonanym zamachu na miejsce jego dokonania, jak zwykle, przyjechały władze wojskowo-policyjne. Przybyły też dwie kompanje piechoty, z których jedna obsta-wiła pobliskie ulice, druga zaś udała się w stronę, skąd docho-dziły odgłosy strzałów kozackich. Dowódca piechoty na czele swej kompanji wkroczył na podwórze fabryczne. Widok, który przedstawił się oczom żołnierzy, wywołał tak głośne oburzenie i protesty, że oficer rozkazem „baczność!” zmusił ich do mil-czenia. Widząc jednak to oburzenie swoich żołnierzy i sam wstrząśnięty rozpaczliwymi scenami mordu, dokonywanego na podwórzu, zażądał od oficera kozackiego opuszczenia terenu fabryki wraz ze znajdującymi się tam kozakami. Oficer ko-zacki żądaniu temu odmówił, wówczas dowódca piechoty miał oświadczyć, że, jeśli kozacy w ciągu minuty nie usuną się z te-renu fabryki, wyda rozkaz strzelania do nich. Jednocześnie, wyjmując zegarek, dał rozkaz: „gotuj broń!”. Żołnierze aż na-zbyt skwapliwie rozkaz ten wykonali. Widząc to, kozacy szyb-kò opuścili sale i podwórze farbyczne, pniąc się ze złości i lżąc piechotę, która dopiero wtedy wzięła broń do nogi, gdy już na podwórzu kozaków nie było. Temu też oficerowi robot-nicy zawdzięczać mieli wezwanie pogotowia ratunkowego. Po obstawieniu fabryki i przesłuchaniu pozostałych przy życiu ro-botników, poczęto wypuszczać ich z fabryki.

Centralny Komitet Robotniczy P. P. S. Frakcji Umiarko-wanej (Lewicy) wystąpił z odezwą przeciwko w tym czasie dokonywanym konfiskatom, a przede wszystkim przeciwko na-padowi na pocztę w Łodzi i przeciw organizacji Bojowej P. P. S.¹²⁾. Odezwa ta odsądziła od czci tych bojowników o wolność społeczną i niepodległość kraju, którzy nie wahali

¹²⁾ Wydana pod datą 22 maja 1907 r.

się z bronią w ręku do walki tej wystąpić. Przedstawiano ich robotnikom w najciemniejszych kolorach: „Każą nam wierzyć — mówi odezwa — że czynem „rewolucyjnym” jest zbrojny napad z zasadzki na ludzi, wiozących pieniądze skarbowe. Ludzi, którzy nam nic nie zawinili. że czynem bohaterów jest napaść w kilkudziesięciu na kilku żołnierzy i urzędników pocztowych, zranić lub zabić, zanim jeszcze zaczną się bronić, a potem — zabrawszy pieniądze — uciec, wydając całą dzielnicę robotniczą na łup rozbastwionego żołdactwa”.

Odezwa ta, jak i cała akcja, prowadzona przeciwko bojowcom, nie mogła pozostać bez odpowiedzi i nie pozostała. Poza ulotkami odpowiedział nieodżałowanej pamięci Feliks Perl (Res) w „Trybunie”¹³⁾. Czytamy tam między innymi: „(odezwa ta) . . . to nie krytyka, to nie rozważanie tych faktów z jakiegokolwiek stanowiska. To poprostu zawiść partyjna, wyzyskująca wszystkie złe instynkty doby reakcji i przygnębienia. To apel do tchórzostwa, to podawanie ręki siłom kontrrewolucyjnym, to spotwarzanie, opluwanie czynów odwagi i poświęcenia, w s z e l k i c h h czynów bojowych.

„Snać taktyka i moralność autorów odezwy wymagają, żeby bojowcy ginęli na miejscu, a „niewinni proletariusze w mundurach” za „niewinność” swą otrzymywali kieliszek wódki i „nagrady”... Podsycają w społeczeństwie nastrój reakcyjny, starają się stworzyć atmosferę ciężką, duszną i mroczną, w której zginąć musi wszelkie światełko nadziei na ruch zbrojny. Idą do robotników z mściwem, oszczercem, plugawem słowem, przeciwko tym, którzy pragną być mieczem proletariatu”.

„I nieszczęsne, niewinne ofiary dzikiego żołdactwa starają się wyzyskać dla swego kramiku frakcyjnego i wywlekają trupy, nie żeby się zemścić, lecz żeby spekulować na zwyżkę akcji umiarkowanych”.

„Endeckie Koło Polskie ma wnieść interpelację z powodu zbrodniczego czynu żołdactwa łódzkiego. I oto frakcja umiarkowana P. P. S. podsuwa Stołypinowi odpowiedź — nie żołnierze są winni — winni są bojowcy . . .”

Oczywiście byli oni winni z punktu widzenia „Ochrań” rosyjskiej, która poruszyła wszystkie sprężyny, by wynaleźć

¹³⁾ Nieoficjalny organ P. P. S. Frakcji Rewolucyjnej, wychodzący w Krakowie, numer 15 z dn. 1 czerwca 1907 r.

sprawców zamachu. W pierwszym rzędzie starano się znaleźć kogoś z szeregów partyjnych, od kogo możnaby było wydobyć zeznania. Wyznaczono dla szpicłów nagrody pieniężne za wskazanie choćby jednego sprawcy. Znany prowokator i kat łódzki, były członek Socjaldemokracji Królestwa Polskiego, Fremel, chcąc uzyskać nagrodę, wyspał kilku swoich byłych towarzyszy, którzy oczywiście w napadzie udziału nie brali, ani też nic o nim wiedzieć nie mogli, jednak, wzięci w obroty w biurze „Ochrany”, nie wytrzymując cierpień, torturami spowodowanych, przyznali się do niepopelnionej winy.

Lecz i część winnych wpadła w ręce „Ochrany” na podstawie zeznań jednego z uczestników zebrania przygotowawczego na ulicy Przejazd. Niestety, nie znamy jego nazwiska, tylko pseudonim „Bober”. Tenże „Bober” od niedawna wówczas bojowiec, stchórzył przed wzięciem udziału w napadzie na furgon i na wyznaczone stanowisko nie przybył. Aresztowany w połowie czerwca, a więc w niespełna miesiąc po zamachu, zaczął „Ochranie” sypać, a spytany, czy zna sprawców tego zamachu, wymienił kilka pseudonimów i adresów, na podstawie czego aresztowano paru uczestników zamachu.

W dniu 19 listopada (starego stylu) 1907 roku odbyła się rozprawa sądowa przed warszawskim okręgowym sądem wojennym. Na ławie oskarżonych zasiedli z „wsypy” „Bobra”: Jan Szczeciński, pseudonim „Jerzy”; Stanisław Cieślak, z zawodu fryzjer, pseud. „Iskra”; Olesiński, z zawodu buchalter, pracujący w widzewskiej niciarni; Antoni Grajcar, z zawodu przedsiębiorca, pseud. „Zygmunt”, oraz z wsypy Fremela ci, którzy w zamachu udziału nie brali: Feliks Wolski, pseud. „Waligóra”; Berła Kabat, pseud. „Job”; Ginter, lat 60, oraz Wójcik, wszyscy esdecy.

Na rozprawie sądowej oskarżeni do winy się nie przyznali, esdecy zaś poprzednie przyznanie się tłumaczyli torturami, jakim poddani zostali w „Ochranie”. Świadcami oskarżenia byli kozacy z eskorty i pracownicy poczty oraz szpicle. Kozacy i pocztowcy oświadczyli na rozprawie, że w oskarżonych nie mogą poznać napastników. Szpicle natomiast, szczególnie „Bober” i ajenci „Ochrany”, którzy byli obecni przy spisaniu protokołów przyznania się do winy, stwierdzali z całą stanowczością udział oskarżonych w napadzie. Na podstawie zeznań tych świadków sąd skazał: Feliksa Wolskiego — na śmierć

przez powieszenie (wyrok wykonano); Berłę Kabat — na śmierć (wyrok zamieniono na bezterminową katorgę); Wójcika — na bezterminową katorgę; Gintera — na 20 lat katorgi (sąd wziął pod uwagę wiek oskarżonego, 60 lat, jako okoliczność łagodzącą); natomiast Szczecińskiego, Cieślaka, Olesińskiego i Grajcara (ponieważ na śledztwie, ani w sądzie nie przyznali się do winy) skazano od 6 do 10 lat katorgi z pozbawieniem wszystkich praw za należenie do Organizacji Bojowej P. P. S., przechowywanie broni, werbowanie nowych członków do O. B. i prowadzenie nauki strzelania ¹⁴⁾).

Krwawa ta tragedja robotników łódzkich stanowi jeszcze jedno ogniwo w tym długim łańcuchu ofiar w czasie zmagania się z obcą przemocą o wolność ludu i niepodległość kraju.

¹⁴⁾ Odgłosem tej rozprawy była prowadzona w Łodzi rozprawa sądowa w dniu 17 marca (st. stylu) 1909 r. przeciwko Antoniemu Wójcińskiemu, pseud. „Siódema”, który w maju 1907 r., „wraz z innymi po uprzednim obmyśleniu planu, na ulicy Podleśnej w Łodzi dokonał napadu na transport pocztowo-telegraficzny urzędu łódzkiego”, zaco został skazany na karę śmierci. Tymczasowy Generał - Gubernator gubernji Piotrkowskiej wyrok zatwierdził zmieniając karę śmierci na zesłanie do katorgi na lat 20 z jednoczesnym pozbawieniem praw.

WŁODZIMIERZ GIEROWSKI.

KRÓLEWSKO-POLSKA KOMISJA WOJSKOWA. (1917 — 1918)

I.

Geneza powstania Komisji Wojskowej.

W momencie wybuchu wojny światowej Niemcy i Austria nie miały ani indywidualnych, ani też wspólnych programów w kwestji polskiej. Akcja powstańcza, jaką w dniu 6 sierpnia 1914 wznicił Józef Piłsudski przeciw Rosji, wynikła wyłącznie tylko z jego inicjatywy. Czynowi temu galicyjskie „Koło Polskie” nadało formę legalną Legjonów Polskich, a z pośród siebie wyłoniło Naczelny Komitet Narodowy (N.K.N.), który uważał siebie za przedstawiciela politycznego tego ruchu. Do tych wypadków Austria ustosunkowała się przychylnie, udzielając zgody na formowanie Legjonów, nie wiążąc się jednak z Polakami żadnymi zobowiązaniami politycznymi. W ten sposób powstały Legjony Polskie, zorganizowane w dwie — a od 1915 roku w trzy — brygady, które przy boku państw centralnych rozpoczęły walkę z Rosją i w krótkim czasie zasłynęły swą sprawnością i walecznością.

Zwycięstwa Mocarstw Centralnych w roku 1915 spowodowały, że cała Polska znalazła się pod ich władzą, co jednak nie wywołało z ich strony jakiegokolwiek wypowiedzenia się w kwestji polskiej.

Cały obszar zagarniętego Królestwa Kongresowego rozdzielono na dwie części, i większą z nich wraz z Warszawą za-

trzymali Niemcy, niczem nie zdradzający, aby polityka ich dążyła do zaspokojenia nawet najbardziej minimalnych postulatów polskich. Równocześnie rozpoczęli oni bezprzykładnie dziki i rabunkowy wyzysk gospodarczy ziem okupowanych i wyraźnie niszczyli przemysł polski. Nie o wiele lepiej działało się na okupacji austriackiej. Ten stan rzeczy trwał do roku 1916. Niepowodzenia na frontach uświadomiły Niemcom fakt, że wojna toczyć się będzie dalej pod hasłem „walki na wyczerpanie”, i skupiły całą uwagę na siłach żywych, niezbędnych do dalszego prowadzenia wojny.

Troska o uzupełnienia zwracała ich oczy na obrzymi rezerwuwar ludzki, jaki pozostał na ziemiach polskich byłego zaboru rosyjskiego, znajdujących się teraz pod ich okupacją. W dniu 10 października 1916 przeprowadzają oni wspólnie z Austriakami na obszarach zajętych spis ludności, który wykazuje w samym b. Królestwie Polskiem 1.409.374 mężczyzn w wieku od 16 do 45 lat. Wykorzystać ten materiał ludzki do walki na froncie można było tylko przy dobrej woli Polaków, wskutek czego kwestja polska narzucała się Niemcom jako konieczność, warunkująca możliwość wyciśnięcia tych zasobów z zagarniętego kraju. Namyślali się i wachali długo, łudzili się jeszcze nadzieją odrębnego pokoju z Rosją, o który zabiegano usilnie, gdy jednak ta rozwiąła się, postanowiono ogłosić niepodległość Polski. W ten sposób i dla tych celów wydany został pamiętny akt 5 listopada 1916, w którym obaj cesarze ogłosili utworzenie państwa polskiego jako monarchji dziedzicznej i konstytucyjnej, nie określając jednak ani jego granic, ani też nie powołując do życia rządu, natomiast zapowiadając utworzenie armji, która organizowana, szkolona i kierowana miała być na zasadzie wspólnego porozumienia Niemiec i Austrii.

Akt ten nie wywołał w Polsce takiego wrażenia, jakiego się mocarstwa centralne spodziewały. Niemiecki apel werbunkowy do szeregów wojska polskiego, przez Niemców formowanego, przebrzmiał bez echa. Społeczeństwo polskie miało tyle krytycyzmu, aby wyczuć nieszczerłość tej akcji. Ratując więc sytuację, mocarstwa centralne wydały w dn. 6.XII.1916 dekret, którym obaj monarchowie powołali do życia Tymczasową Radę Stanu. Zakres jej działania określono niejasno. Miała ona wydawać opinię na żądanie okupantów, współdziałać przy tworze-

niu armji i dalszych urzędzeń państwowych oraz zajmować się dźwignięciem z ruiny wojennej życia gospodarczego. Wszystko to mogła ona wprowadzić w życie tylko za zgodą władz okupacyjnych.

Radcami stanu, których miało być 25-ciu, okupanci mianowali wybitniejszych członków obozu aktywistycznego. Stanowisko „marszałka koronnego” (taki tytuł nadali Niemcy przewodniczącemu Rady Stanu) objął mało znany ziemianin z Kaliskiego, Wacław Niemojewski. Przy Radzie ustanowieni byli przez władze okupacyjne komisarze: z ramienia Niemiec — hr. Lerchenfeld, z ramienia Austrii — bar. Jan Konopka.

Otwarcie Rady nastąpiło w dniu 14 stycznia 1917. Naza jutrz wydała ona orędzie do narodu, w którym między innymi powiedziała, że „Stworzenie licznej, bitnej a karnej armji, która, wierna naszym wielkim rycerskim tradycjom, wskrzesiłaby dawną chwałę oręża polskiego, stanowi dla nas radosną i pilną konieczność. Świadomi bowiem jesteśmy, że taka armja, to pierwszy niepodległego bytu państwowego warunek. Przyczyni się ona do uzyskania potrzebnych Państwu Polskiemu możliwie szerokich granic i będzie powagi tego państwa rękojmią”.

Ta „radosna i pilna konieczność tworzenia wojska” najpilniejszą była dla Niemców, którzy, o ile skrupowali działalność Rady Stanu we wszystkich kierunkach, o tyle w dziedzinie wojskowej zezwalali na rozwinięcie jaknajszerszej akcji. To też już przy pierwszym podziale prac w łonie Rady Stanu w styczniu 1917 r. zamierzone zostało utworzenie: 1) Delegacji Rady Stanu do spraw wojskowych, 2) Departamentu Wojny i 3) Komisji Wojskowej.

Delegacja Rady Stanu do spraw wojskowych miała rozstrzygać wszelkie sprawy, dotyczące wojska, a mające charakter polityczny lub charakter zasadniczych ustaw wojskowych (Wehrgesetz), nadto spraw nadzwyczajnych, wymagających ingerencji Rady Stanu w sprawach wojskowych u Naczelnej Komendy Armji, z którą Delegacja komunikowałaby się bezpośrednio. W skład delegacji weszliby z urzędu: Marszałek Koronny, Dyrektor Departamentu Wojny i Dyrektor Departamentu Spraw Politycznych, oraz 3 członków Rady Stanu, specjalnie wybranych przez plenum. Dla zwołania

delegacji potrzebna byłaby specjalna uchwała Wydziału Wykonawczego T. R. S., każdorazowo dla zupełnie określonego zadania. Sprawy przed Delegacją referowałby Dyr. Dep. Wojny lub wyznaczony przez niego urzędnik, względnie oficer.

Departament Wojny byłby organem T. R. S., który opracowywałby w przyjętym przez nią zakresie wszelkie kwestje wojskowe. Dzieliłby się na Wydziały: Werbunkowy, Opieki, Popularyzacji wojska i idei wojskowej w Polsce oraz Przemysłu Wojennego, Kancelaryj, Kasę i Rachunkowość. Do Departamentu Wojny Nacz. Kom. Armji odkomenderowałaby jednego z oficerów, jako stałego łącznika, którego obowiązkiem byłoby sprawozdanie jednolitości w zarządzeniach i współpracy Dep. Wojny i Nacz. Kom. Armji.

Komisja Wojskowa funkcjonowałaby przy Dep. Wojny jako ciało doradcze, analogicznie do Rad Departamentalnych w innych departamentach. W skład Kom. Wojsk. wchodziłoby 5 członków Rady Stanu, wybranych przez plenum.

Komisję zwoływałby Dyrektor Dep. Wojny. Przedmiotem jej obrad byłyby sprawy, przedłożone jej przez Dyrektora Dep. Wojny. Posiadałaby głos doradczy.

Dla uregulowania prac bieżących Dep. Wojny z innymi Departamentami, specjalnie z Dep. Spr. Wewnętrznych działałaby stała Rada Międzydepartamentalna. W skład jej wchodziłoby: Dyrektor Dep. Wojny lub jego Wicedyrektor, jako przewodniczący, Szefowie Wydziałów Dep. Wojny, 2-ch delegowanych urzędników z Dep. Spr. Wewn., 1 z Dep. Oświecenia (dla spraw wychowania młodzieży) i 1 z Dep. Finansów. Radę zwoływałby Dyrektor Dep. Wojny. Narady jej miałyby charakter informacyjno-doradczy.

W realizacji tych zamierzeń w styczniu 1917 r. utworzona została Komisja Wojskowa, której kierownictwo objął (wówczas brygadjer) Józef Piłsudski, Referent Wojskowy T. R. S. W lutym 1917 zaczęły powstawać biura tej Komisji. Miały one być tylko podstawą i przygotowaniem dla projektowanego Dep. Wojny, to też w organizacji ich starano się zachować „giętkość wewnętrzną i zdolność do naatychniastowego przekształcenia się na odpowiednie resorty Departamentu Wojny”, gdyby tylko otwarły się możliwości po temu.

II.

Okres od lutego do lipca 1917 r.

W momencie powstawania K. W. sprawa tworzenia wojska polskiego po stronie mocarstw centralnych była jeszcze zagadnieniem możliwym, bo pragnęły ją realizować Niemcy i Austria, a właściwy wódz całego ruchu niepodległościowego w Polsce, Józef Piłsudski, jeszcze nie zajął był otwarcie wrogiego stanowiska wobec Niemców. Tworząc zarówno Legjony, jak i następnie P. O. W., kierował się myślą walki zbrojnej z Rosją carską, uważając ją za największego wroga Polski, i dlatego zdecydował się działać wspólnie z państwami, prowadzącymi z nią wojny. Dla tych przesłanek zdecydował się również na kompromis z polityką N. K. N-u, budującego Polskę, związaną z Austrią. Z tych samych powodów przystępował obecnie do współpracy z Radą Stanu, której też podporządkowała się w dn. 17.I.1917 r. przez niego stworzona P. O. W.

Armja polska miała powstać, opierając się na Legjonach Polskich jako kadrze. W tym celu ściągnięto je z frontu do kraju i w dniu 1.XII.1916 r. uroczyście wprowadzono do Warszawy, następnie zaś Austria oddała je w dniu 10.IV.1917 r. generałowi Beselerowi, jako przyszłemu Naczelnemu Wodzowi Wojska Polskiego.

Pomimo tych, pozornie pomyślnych, warunków, możliwość tworzenia tak zaprojektowanego wojska z każdym dniem stawała się coraz bardziej mglistą. Przedewszystkiem ujawniło się szybko, że Rada Stanu nie ma charakteru rządu i jest tylko instytucją doradczą i przygotowawczą, nie mającą prawa zarządzenia czegokolwiek bez uzyskania zgody okupantów. W łonie jej samej w sprawie tworzenia wojska zdania były podzielone; jedni żądali rekrutacji, inni zgadzali się na to, ale pod warunkiem, że wojsko to będzie zależne tylko od władzy polskiej. Ten ostatni kierunek reprezentował Józef Piłsudski, uważając, że trzeba tworzyć armję, naprawdę polską i dla polskich celów — tylko przy pomocy okupantów. To znów zasadniczo sprzeciwiało się twardym postulatami Niemców, żądających, by tworzone wojsko bezwzględnie było oddane wyłącz-

nie pod ich rozkazy. W łonie samych Legjonów też ujawniać się zaczęły tarcia między oficerami legjonowymi i przydzielonymi w charakterze instruktorów oficerami armji niemieckiej, którzy używali tylko niemieckiego języka. W tym też czasie, bo w dniu 8 marca 1917 wybuchła w Rosji rewolucja, która zmiotła carat, a nowy rząd rosyjski w dniu 30.III.17 r. ogłosił odezwę, przyznającą Polsce niepodległość, co państwa koalicyjne powitały radośnie. Zdawać się więc mogło, że z tą nową Rosją walka o Polskę nie będzie potrzebna, a wobec tego polskie dążenia niepodległościowe musiały się obecnie inaczej ustosunkować do Niemiec, będących teraz najgroźniejszym wrogiem Polski.

Te rosnące sprzeczności w poglądach na tworzenie wojska polskiego wyraziły się w sporze między Radą Stanu, a Beselerem, w związku z opracowywaną rotą przysięgi tak dla istniejących już kadr, t. j. Legjonów, jak i dla mającego powstać dalej wojska polskiego. Pomimo ustępstw, poczynionych w tej sprawie, spór ten doprowadził do rozłamu, i Piłsudski oraz członkowie lewicy wystąpili z Rady Stanu.

Wśród takich warunków politycznych utworzone w lutym 1917 r. biura K. W. nie doczekały się przemianowania na Dep. Wojny. Jako jego surogat skostniały w formie pierwotnej, przyjmując nazwę „Komisji Wojskowej”, i pracowały w kierunkach i zakresach takich, na jakie sytuacja pozwalała, oraz jakich wymagała. Organizacja ich ustaliła się następująco (patrz tablica Nr. 1):

Poza załatwianiem spraw bieżących, zainteresowanie K. W. zwracały się przede wszystkim do zewidencjonowania wszystkich tych żywych i martwych zasobów polskich, jakie można było brać w rachubę, budując wojsko. W tym celu starano się nawiązać kontakt i zapewnić wpływy tak na Legjony polskie, jak i na P. O. W., co w tym czasie faktycznie, choć nieoficjalnie, koncentrowało się w osobie kierownika K. W., Józefa Piłsudskiego, twórcy i wodza tak w znacznym stopniu Legjonów, jak i całkowicie P. O. W. Zajęto się też losem Polaków wojskowych rosyjskich, przebywających w obozach jeńców wojennych państw centralnych, i przeprowadzono analizę ich wartości jako ewentualnego materiału kadrowego dla wojska polskiego:

Kierownik Komisji byrgadier Józef Piłsudski (równocześnie referent wojskowy T. R. S.).

Komisja Wojskowa w czasie od lutego do lipca 1917

4) Kancelaria ogólna	B) Wydział spraw ogólnych i przygotowawczych					
	1. Referat prac przygotowawczych	2. Referat spraw bieżących	3. Referat statystyczno-ewidencyjny	4. Referat wychowania wojskowego	5. Biblioteka	6. Ref. spraw słownictwa wojskow.
	Prace projektodawcze z zakresu spraw organizacyjnych, statutów i ustaw wojskowych. Materiał źródłowy dla prac projektodawczych.	Sprawy bieżące. Ustawa werbunkowa. Informacje wewnętrzne i zewnętrzne. Sprawy związane z ewentualną mobilizacją P. O. W.	Gromadzenie danych statystycznych i ewidencjonowanie wszystkich dziedzin związanych z tworzeniem wojska.	Studjowanie wychowania fizycznego i wojskowego młodzieży za granicą, projekty prowadzenia tej pracy w przyszłości w Polsce.	Gromadzenie dzieł wojskowych polskich i obcych.	Ustalenie terminologii wojsk. polskiej. Opracowanie słownictwa wojskowego polskiego.
						C) Referat spraw przemysłu wojennego
						D) Referat Spraw Opieki
						a) pośredniczenie między producentami a odpowiednimi organami wojska w sprawach udziału Polski w przemyśle wojennym. b) pośredniczenie pomiędzy odpowiednimi organami wojska a producentami, chcącymi załatwić jego potrzeby.
						Opieka nad rodzinami wojskowych Polaków, inwalidami i t. d.

Zamierzano objąć ewidencją cały „materiał ludzki” w kraju, a więc zaczęto przeprowadzać analizę Królestwa Polskiego pod względem ilości ludzi, zdolnych do wojska, dalej zamierzano zewidencjonować inżynierów, lekarzy, adwokatów i t. p., którzy dla tych, czy innych zadań byłiby potrzebni zorganizowanej armji. Rozpoczynają się też prace nad studjowaniem wychowania wojskowego młodzieży za granicą i nad nawiązaniem kontaktu i zewidencjonowaniem wszystkich odłamów ruchu wojskowo-sportowego, jakie w kraju reprezentowane były przez skaut i t. p. organizacje, dążące do rozbudzenia i propagowania w społeczeństwie idei wojskowej. Zajęto się też kwestją przemysłu wojennego i roztoczono opiekę nad inwalidami oraz nad rodzinami wojskowych Polaków.

Poczynania w tych kierunkach nie dały pozytywnych rezultatów. Analizę Królestwa pod względem materiału ludzkiego zamierzano powierzyć specjalnej Komisji Statystycznej Dep. Wojny. W pewną ewidencję ujęto Organizacje Komitetu Popierania Wojskowości Polskiej oraz zaczęto prace nad ewidencją P. O. W., kontakt jednak z jej Komendą Naczelną po ustąpieniu z Rady Stanu Józefa Piłsudskiego zerwał się zupełnie, i organizacja ta wrogo niemal zaczęła się ustosunkowywać do dalszych prac tworzenia wojska przy poparciu Niemiec i ponownie rozwijała akcję tylko konspiracyjną. Na tej organizacji oparł znów całą swą dalszą i tylko konspiracyjną działalność Józef Piłsudski.

Bardziej owocna działalność K. W. rozwinęła się w kierunku prac projektodawczych z zakresu spraw organizacyjnych, statutów i ustaw wojskowych oraz w dziedzinie naukowo-przygotowawczej. Z tych zamierzeń i prób w dziedzinie organizacyjno - przygotowawczej jako wykończone elaboraty pozostały:

1) Projekt ustawy organizacyjnej Dep. Wojny T. R. S., projekt Wydziału V propagandy i wychowania wojskowego i związanych z jego działalnością organizacyj, jak statut Komitetu Popierania Wojskowości Polskiej, projekt organizacji Centralnego Towarzystwa dla Propagandy i statut Przyjaciół Armji Narodowej. Opracowano też statut Archiwum Wojennego, które miało się rozwinąć razem z Biblioteką Dep. Wojny.

Co do statutów innych wydziałów, to narazie zgromadzo-
no tylko dzieła, potrzebne do ich opracowania.

2) Projekt ustawy wojskowej, zasadniczego statutu orga-
nicznego o służbie wojskowej, opracowany przy współudziale
oficerów legjonowych (kpt. J. Stachewicza i ppor. dr. H. Lie-
bermana).

3) Statut organizacyjny werbunku ochotniczego do woj-
ska polskiego, oparty na zasadach, przyjętych przez uchwałę
T. R. S., t. j. na włączeniu go do kompetencji Dep. Wojny.
Prócz tego opracowano: projekt współdziałania przy werbun-
ku istniejących organizacji popierania wojskowości polskiej
i projekt obwodów kompletujących dla pułków wojska pol-
skiego (przy 16 pułkach piechoty i 4 Korpusach Armji).

4) Projekt organizacji Sądów Wojskowych, opracowany
przez specjalną komisję, złożoną z zaproszonych rzeczoznaw-
ców. Komisja ta wydzieliła z siebie 3 podkomisje. Pierwsza
z nich opracowała wspomniany wyżej „Projekt Organizacji Są-
dów Wojskowych”. Druga podkomisja opracowała „Kodeks
Karny” i wykończyła jego część ogólną, mieszczącą 80 z górą
artykułów. Podkomisja trzecia opracowała „Przewód Sądowy”
i „Część ogólną procedury sądowej i działu o śledztwie pier-
wiastkowym”.

W pracach swoich podkomisje te posiłkowały się odpo-
wiednimi wzorami wojska polskiego Królestwa Kongresowe-
go oraz wzorami niemieckimi, austriackimi i rosyjskimi.

W dziedzinie naukowo-przygotowawczej uchwałą K. W.
T. R. S. z dnia 28.II.1917 powołana została specjalna Komisja
Słownikowa celem: a) ustalenia terminologii wojskowej, opar-
tej o dawne słownictwo i odpowiadającej potrzebom obecnym
Wojska Polskiego; b) przygotowania materiału do wydania
słownika wojskowego. Utworzono Komisję Główną dla usta-
lenia metod pracy, rozstrzygania wątpliwości i ułożenia zebra-
nego materiału, utworzono też szereg sekcji dla zebrania ter-
minów z zakresu różnych działów wojskowości. Istniały sek-
cje: taktyczna, prawnicza, techniczna, medyczna i terenoznaw-
cza, a zamierzano jeszcze utworzyć sekcje dla nauki broni
i hippiki. Organem wykonawczym tej komisji był referat słow-
nikowy przy K. W.

III.

Okres od 1 lipca 1917 r. do kwietnia 1918 r.

Rozłam, wywołany przysięgą, tak w łonie Rady Stanu, jak i w szeregach Legjonów, spowodował, że nadzieje niemieckie wydobyć rekruta, któryby o Niemcy, nie zaś o Polskę walczył, rozwiały się ostatecznie i bezpowrotnie, ku niemałej z ich strony goryczy. Akcja łodzi podwodnych pozwalała im jeszcze wierzyć w zwycięstwo, to też Niemcy, nieustępliwi przedtem wobec żądań polskich, obecnie zastosowali ostre represje wobec Legjonów.

Wszystkich Legjonistów, pochodzących z zaboru rosyjskiego, a nie chcących złożyć przysięgi, internowali w obozach jeńców wojennych, szeregowych w Szczypiornie, oficerów w Benjaminowie. Poddanych austriackich, którzy nie przysięgali, odesłali niezwłocznie do właściwych ich pułków w c. i k. armji. Piłsudskiego i jego szefa sztabu, Sosnkowskiego, aresztowano dnia 22 lipca, następnie zaś wywieziono do twierdzy w Magdeburgu.

Wreszcie w dniu 25 sierpnia gen. Beseler zawiadomił Radę Stanu, iż resztę Legjonów oddaje Austrii. W ten sposób zaprzysiężeni Legjoniści, przekształceni w Polski Korpus Posiłkowy, odtransportowani zostali do Galicji (między 28 sierpnia — 5 września 1917, do Przemyśla i Żórawicy, zaś w dniu 26.X.1917 na front bukowiński). W odpowiedzi na to Rada Stanu podała się do dymisji.

Na ziemiach polskich jedynym jawnym szczątkiem polskich poczynań zbrojnych przy boku państw centralnych pozostały instytucje i formacje, utworzone poprzednio przez gen. Beselera, jako ramy przygotowawcze dla kadr zamierzonej armji polskiej; składały się one z trzech kursów wyszkolenia piechoty (każdy z 2 komp. piech. i 1 plutonu k. m.), kursu wyszkolenia kawalerji (1 szwadron), artylerji (1 baterja), saperów (1 kompanja) i taborów (1 kompanja). Ponadto ze szkoły aspirantów oficerskich, szkoły podoficerskiej, żandarmerji, stacji zbornej w Warszawie i aparatu zaciągowego, którego posterunki rozrzucone były po całej okupacji tak niemieckiej, jak i austriackiej, ale tylko na ziemiach byłego Królestwa Polskiego.

Naczelnym Wodzem tego wojska, które nosiło nazwę Polskiej Siły Zbrojnej (Polnische Wehrmacht), był Beseler, którego organem dowodzenia był Oddział Polskiej Siły Zbrojnej (Abteilung Polnische Wehrmacht) w jego ogólnym sztabie Gen.-Gubernatorstwa Warszawskiego.

Szczeblem pośrednim między Naczelnym Wodzem a tem wojskiem polskiem była Inspekcja Wyszkozenia (skrót I. N. W.), na czele której stał niemiecki gen. piechoty Barth. Podlegały mu: 1) Inspektorat Kursów Wyszkozenia (płk. Minkiewicz) — bezpośrednia władza przełożona kursów wyszkolenia wszystkich rodzajów broni i stacji zbornej. 2) Inspektorat Szkół Piechoty (płk. Berbecki) — bezpośrednia władza przełożona szkoły aspirantów i szkoły podoficerskiej. 3) Inspektorat Zaciągu — bezpośrednia władza przełożona urzędów zaciągowych. 4) żandarmerja, wojskowy zakład karny i szpitale. Stan liczebny całego tego wojska liczył niespełna 3,000 ludzi.

Niemcy, rezygnując z możności wydobycia z Polski rekruta, nie rezygnowały jednak z posiadania narzędzia politycznego, tak w stosunku do Polaków, jak i do kwestji polskiej, która obecnie, po rewolucji rosyjskiej, cieszyła się żywym zainteresowaniem Koalicji, i dlatego też pozostawiały przy życiu tę garstkę wojska, ale już tylko jako atut w grze politycznej.

Nadzieja Niemców na łodzie podwodne szybko zawiodła. Koalicja znalazła środki, przeciwdziałające tej akcji. Ameryka prowadziła na wielką skalę zbrojenia, gdyż od 5.IV.1917 była już w stanie wojny z mocarstwami centralnemi. Te warunki ogólne odbijały się na stosunku Niemców do Polski. Stali się ustępliwi wobec tej nielicznej garstki Polaków, którzy jeszcze chcieli współdziałać z nimi. Posypały się więc nowe koncesje.

W dniu 1.IX.1917 Komisji Likwidacyjnej Rady Stanu oddano szkolnictwo w obu okupacjach, w dniu 1.X.17 także i sądownictwo. W międzyczasie, bo 15 września ogłoszono patent obu cesarzy z dnia 12 września 1917, który powoływał do życia w Polsce Radę Regencyjną. Na jej członków władze okupacyjne mianowały 15.X.1917 księcia Zdzisława Lubomirskiego, arcybiskupa warszawskiego Aleksandra Kakowskiego i Józefa Ostrowskiego, którzy w dniu 27 października objęli wła-

dzę. Obóz aktywistyczny w Polsce ożywił się nadziejami tworzenia państwa i armji w oparciu o Niemcy. Lecz w dniu 7 listopada wybuchła druga rewolucja w Rosji, na czele której stanął wódz stronnictwa komunistyczno-bolszewickiego, Lenin, propagujący hasło pokoju. Armja rosyjska była już zupełnie zdemoralizowana, a żołnierze samowolnie opuszczali front i na własną rękę wracali do domów.

W dniu 28.XI.1917 władze bolszewickie zwróciły się do Niemiec z propozycją rokowań pokojowych. Wojna na wschodzie została przez Niemców wygrana, to też podnoszą oni butnie głowę do góry i ludzą się nadzieją bezwzględного zwycięstwa wobec możności rzucenia wszystkich sił na zachód. Dnia 3.XII.1917 rozpoczęły się w Brześciu Litewskim pertraktacje z Rosją, do których, pomimo zabiegów ze strony ówczesnego rządu polskiego, Polacy nie zostali dopuszczeni. Rokowania z Rosją zostały jednak zerwane, zawarto natomiast dnia 9 lutego 1918 pokój z Ukrainą, mocą którego mocarstwa centralne zgodziły się oddać państwu ukraińskiemu Chełmszczyznę i Podlasie.

Wiadomość o dokonany „czwartym rozbiore” wywarła olbrzymie wrażenie w całej Polsce. Rada Regencyjna ostro zaprotestowała. Prezydent Ministrów rządu polskiego, Kucharszewski, złożył swój urząd. Do dymisji podał się też generał-gubernator lubelski, hr. Stanisław Szeptycki, a także Polacy urzędnicy austriaccy okupacji w Królestwie. Protestowały również „Koła Polskie” w Berlinie i Wiedniu, a Polski Korpus Pośilkowy, stojący na granicy Bukowiny i Besarabji pod wodzą Józefa Hallera, w dniu 15 lutego 1918 częściowo przebił się przez front i połączył się z oddziałami polskimi, zorganizowanymi po stronie Rosji, częściowo został wyłapany przez Austriaków i uwięziony w Marmarosz-Sziget, na Węgrzech.

Wojska niemieckie parły naprzód w głąb Rosji, nie napotykając nigdzie oporu. Bolszewicy w dniu 3 marca 1918 przyjęli w Brześciu podyktowane przez Niemców warunki pokoju, w których Polska miała być od Rosji odgradzona sztucznym korytarzem niemieckim, idącym od Prus Wschodnich ku Ukrainie, a tem samem zduszona w żelaznej obręczy niemieckiej.

Te warunki polityczne nie dawały pola szerszej pracy K. W., której kierownictwo po dymisji brygadiera Piłsudskie-

go objął Ludwik Górski, mając do pomocy kpt. Marjana Kukiela z szeregów Polskiej Siły Zbrojnej. Na wstępie opracowano nową organizację biurową, która w dniu 25.VIII.1917 została zatwierdzona przez istniejącą jeszcze wówczas Radę Stanu. Przedstawiała się ona następująco (patrz tabl. II):

Działalność K. W. w tym czasie ograniczyła się tylko do prac naukowych i opieki nad wojskowymi polskimi i ich rodzinami. Pewne trwalsze dorobki dały powoływane czasowo Komisje.

1) Komisja Prawno-Wojskowa opracowała: a) słownik niemiecko-polski wyrażeń prawniczych, używanych w prawie kamem wojskowem, formalnem i materjalnem; b) projekt „Ustawy o szczególnem uprawnieniu legjonistów polskich w służbie państwowej”. Przejrzała i zatwierdziła dokonane przekłady: a) niemieckiego kodeksu karnego wojskowego z dn. 24.VI.1872; b) ordynacji dyscyplinarnej niemieckiej; c) rozporządzenia cesarskiego o wymiarze sprawiedliwości karnej w wojsku na czas wojny z dn. 28.XI.1899 o nadzwyczajnem postępowaniu względem cudzoziemców i sprawowaniu sądownictwa karnego względem jeńców wojennych; d) ordynacji o zażaleniach; e) artykułów wojennych 22.IX.1902; f) rozpoczęła przekład ustawy postępowania karnego wojskowego z dn. 1.XII.1898.

2) Subkomisja dla opracowania ustawy o ogólnej powinności wojskowej, wyłoniona pod koniec urzędowania gabinetu Kucharzewskiego, pod przewodnictwem majora dr. Wyrostka opracowała ustawę o ogólnej powinności wojskowej.

3) Komisja, która opracowywała ustawę i program mającej powstać w przyszłości Szkoły Oficerskiej imienia Tadeusza Kościuszki.

Wspomnieć też należy o powstaniu „Komitetu Organizacyjnego Wydziału Wojskowego”, którego inicjatorem był profesor politechniki warszawskiej Baranowski, a którego zadaniem miało być otwarcie Wydziału Wojskowego w Politechnice, celem wykształcenia oficerów-konstruktorów dla przyszłej armji polskiej.

TABLICA II
Do strony 189.

Komisja Wojskowa w czasie od lipca 1917 do kwietnia 1918
Kierownictwo Komisji p. Ludwik Górski od dn. 11.VII.1917 (równocześnie referent wojskowy T.R.S.),
pomocnik: Marian Kukiel.

Obejmował wszystkie sprawy, nie wchodzące bezpośrednio w zakres działalności Wydziałów.

Przeprowadzenie badań naukowych we wszystkich dziedzinach, związanych z tworzeniem się wojska polskiego i dostarczanie Komisji danych statystycznych, historycznych, ewidencyjnych i t. d., potrzebnych w jej pracach. Zbieranie danych o ustroju i organizacji b. Wojsk Polskich oraz współczesnych, o powinności wojskowej, organizacji pospolitych ruszeń, milicji, szkolnictwie wojskowym, młodzieży, narodowej służbie pomocniczej, sprawach uzbrojenia, ubioru i oporządzenia. Opracowanie na żądanie referenta wojskowego elaboratów w tej dziedzinie. Ustalenie polskiego słownictwa wojskowego. Spolszczenie map topograficznych kraju przez rewizję i poprawę pisowni nazw miejscowości. Ogłaszanie konkursów na prace wojskowo-naukowe, wydawnictwo pisma fachowego dla oficerów i szkół oficerskich (miesięcznik „Bellona”). Przy wydziale istniała biblioteka wojskowa, która posiadała w listopadzie 1917 1500 tomów.

Propaganda w społeczeństwie za wojskiem narodowym oraz odpowiednie publikacje, odczyty i t. p. Współdziałanie z Dowództwem wojskowym celem podniesienia w wojsku zapału do służby, praca kulturalna wśród wojska, szkoły analfabetów, uniwersytety żołnierskie, biblioteki żołnierskie, wydawanie czasopisma żołnierskiego „Wiarius”.

Opieka nad inwalidami wojskowymi, zwolnionymi ze służby, oraz rodzinami żołnierzy. Współudział przy regulowaniu poborów rodzinnych (Biuro Zasiłków), zakładaniu i prowadzeniu Biura pośrednictwa pracy, tworzenie domów żołnierskich. Prace przygotowawcze nad rozwinięciem polskiej organizacji Czerwonego Krzyża. Opieka nad legionistami, internowanymi w Benjaminiowie i Szczypiornie.

Przeprowadzenie studjów nad wciągnięciem przemysłu krajowego do współdziałania w zapotrzebowaniu, oporządzeniu i uzbrojeniu wojska narodowego. Interwencje i zabiegi celem doprowadzenia tego przemysłu do udziału w pokrywaniu zapotrzebowania wojska.

A) Sekretariat
Generałmajor
Por. dr. Olgierd
Górka (sekretarz gen.
i zastępca
pomocnika

Wydział I-szy
Studjów nad wojskowością
polską

Wydział II-gi
Propagandy i prasy

Wydział III-ci
Opieki Wojennej

Wydział IV-ty
Przemysłu wojennego

B) W Y D Z I A Ł Y

IV.

Okres od kwietnia do września 1918 r.

Jako jedno z następstw zawartego przez Niemcy, zwycięskiego pokoju z Rosją i przerzucenia wszystkich sił na zachód celem rozpoczęcia decydującego ataku, który miał doprowadzić do zdobycia Paryża i zmuszenia Koalicji do pokoju, było błędne przekonanie Rady Regencyjnej, że ostatecznie wojnę wygrają Niemcy i oni tylko decydować będą o losach Polski.

W momencie rokowań brzeskich R. R. chciała, protestując, ustąpić, lecz wzgląd, że tem samym pogrzebane będą już wytworzone zawiązki państwowości, powstrzymał ją od tego kroku. Obecnie pod hypnozą potęgi niemieckiej podjęto akcję, mającą na celu, wobec nadchodzącego zupełnego zwycięstwa Niemiec, ratowanie tych pozorów niepodległości, jakie dotychczas otrzymano. To też zainteresowania Rady Regencyjnej zwracają się przede wszystkim ku tej garstce wojska polskiego, zwanej pospolicie „Wehrmachtem”, która nadal prowadziła swój karli żywot, zupełnie i tylko od Niemców zależny, bo ani R. R., ani K. W. poza tem, że miały w swem łonie przypdzielanych oficerów polskiej siły zbrojnej, w żadnym innym oficjalnym kontakcie z nią nie pozostawały, w sprawach wojskowych głosu żadnego nie miały i wykładnikiem politycznym tej mikroskopijnej siły nie były, a nawet, chcąc obradować nad najbardziej ogólnemi kwestjami przyszłego wojska, jak np. nad ustawą o powszechnej służbie wojskowej, musiały na to posiadać zezwolenie władz okupacyjnych.

Jeszcze podczas swej bytności w Berlinie Rada Regencyjna przedłożyła Niemcom swój projekt w sprawie tworzenia wojska, na który władze niemieckie odpowiedziały przez gen. Beselera w dniu 1.II.1918 jego pismem L. 338/18, że „ku wielkiemu żmartwieniu swemu, Szef Sztabu Generalnego obecnie jest tak zajęty, że nie może przystąpić do omówienia w Wielkiej Kwaterze głównej szczegółów, dotyczących tworzenia wojska polskiego”, i że, aczkolwiek Naczelne Dowództwo Niemieckie uważa przedłożony mu w Berlinie w czasie wizyty Rady Regencyjnej projekt organizacyjny wojska polskiego, ze względów gospodarczych i technicznych obecnie za niedający

się przeprowadzić, jednakże zajmuje stanowisko przychylnie wobec tworzenia się i dalszego rozwoju wojska polskiego na zasadach narodowych. Dalsze tworzenie wojska polskiego, według zapatrywań Naczelnego Dowództwa, możliwe byłoby w sposób następujący:

1) Stworzenie przede wszystkim z istniejących dotychczas jednostek 2 pułków piechoty, w miarę możliwości o etatach wojennych, oraz uzupełnienie do pełnego etatu szwadronu szkolnego jazdy, baterji szkolnej, szkolnej kompanji saperów i szkolnego szwadronu taborów.

2) Podwojenie wszystkich stopni w obu pułkach piechoty przez stworzenie nowych stanowisk dla 275 oficerów i 750 podoficerów, by w chwili wprowadzenia w życie ustawy o powszechnym obowiązku służby wojskowej posiadać kadre dla 2 dalszych pułków piechoty, których stany liczebne, jak również brakujące do pełnych etatów stany liczebne w istniejących obecnie obu pułkach, byłyby uzyskane na wiosnę w drodze poboru.

3) Zwiększenie wydajności w szkołach podchorążych i podoficerskiej celem uzupełnienia korpusu oficerskiego i podoficerskiego.

4) Zamiana 17-tu Głównych Urzędów Zaciągowych na Powiatowe Komendy Poborowe, na wzór niemieckich komend powiatowych, których ilość musiałaby być jeszcze określona, wyszkolone i przygotowane do powszechnej służby wojskowej.

W tych granicach możliwości utrzymana organizacja zapewnić miała po wprowadzeniu służby wojskowej dalsze podwojenie wojska.

Co do rozbudowy broni konnych i technicznych (kawalerja, artylerja i t. d.), to gen. Beseler, aczkolwiek ich w piśmie swem nie pominął, jednak uważał, że zajmować się nimi można będzie dopiero po usunięciu istniejących trudności w dostarczaniu koni, dział i materiału. Podkreślił też fakt, że dalsza rozbudowa i wyszkolenie polskiej siły zbrojnej będzie nadal jego zadaniem i wobec tego prosił R. R. o porozumienie się z nim, lub z jego zastępcami, celem ustalenia wszelkich szczegółów z dziedziny wojskowej i gospodarczej, dotyczących dalszego tworzenia wojska polskiego.

Dopiero teraz zdecydowała się R. R. na danie odpowiedzi na to pismo i po konferencjach, odbytych z generałem Barthem, pismem z dnia 12.IV.1918 wysunęła 12 zasad dalszego tworzenia i szkolenia wojska polskiego i prosiła gen. Beselera o wyrażenie zgody na nie.

Zasady te były następujące:

1) Istniejące obecnie i mające powstać wojsko polskie nie będzie użyte w celach wojennych ani na zewnątrz, ani na wewnątrz bez zgody na to Rady Regencyjnej.

2) General-Pułkownik von Beseler pozostaje z mocy układu Pszczyńskiego Naczelnym Dowódcą wojska polskiego, on mianuje i awansuje polskich oficerów za wiadomością Rady Regencyjnej, która ma prawo w ciągu 14 dni po uczynieniu odnośnej propozycji założyć swój sprzeciw. Oficerowie otrzymują patenty, wygotowane przez Radę Regencyjną.

3) Będzie przedewszystkiem utworzona polska komenda jednej Brygady, złożonej z 2 pełnych na stopie wojennej pułków piechoty z podwójną oficerską obsadą; dalej intensywne szkolnictwo z odpowiednim składem nauczycieli, ze szkołą podchorążych i podoficerów, dalej podwojenie stanu wojska przy pierwszym poborze i dalsza rozbudowa wojska, tak co do piechoty, jak i co do kawalerji, artylerji i oddziałów technicznych aż do możebnie najwyższego liczebnego składu, jaki według porozumienia z Radą Regencyjną potrzebom powstającego Państwa Polskiego tak na wewnątrz jak i na zewnątrz będzie odpowiadać.

4) Dowódcy Brygady będzie przekazana wyższa władza sądowa nad wszystkimi osobami, należącymi do wojska polskiego, a pochodzącymi z kraju okupowanego.

5) Organizacja wojska i wyszkolenie będą się odbywały pod kierunkiem niemieckim i wyłącznie według wzorów niemieckiej organizacji wojskowej.

6) Podstawą tworzenia wojska będzie powszechna służba wojskowa.

7) Działalność przygotowawcza, dotycząca ewidencji poborowej, może być rozpoczęta zaraz, przed uchwaleniem ustawy wojskowej przez Radę Stanu.

8) Ustanowione będą 34 okręgi poborowe, zamiast istniejących 17 posterunków werbunkowych. Przy tworzeniu okręgów poborowych nie może nastąpić przekroczenie granic żadnej z okupacji, czy to niemieckiej czy austriackiej. Pierwszy pobór odbędzie się z chwilą ukończenia czynności przygotowawczych.

9) Utworzenie komend polskich oficerów przy władzach i oddziałach wojskowych niemieckich, jak również oficerów łącznikowych przy Królewsko-Pruskiem Ministerjum Wojny będzie później wzięte pod uwagę.

10) Aż do wprowadzenia w życie ustawy wojskowej pozostaje bez zmiany dotychczas obowiązująca formuła przysięgi.

Jednocześnie z wniesieniem ustawy o powszechnej służbie wojskowej będzie przez Radę Regencyjną żądane następujące uzupełnienie w formie przysięgi. Po słowach „przyszłemu królowi polskiemu” mają być wstawione słowa: „i Radzie Regencyjnej, jako tymczasowo zastępującej króla”.

11) Jednocześnie z tworzeniem wojska nastąpi także rozszerzenie polskiej Komisji Wojskowej, podległej Rządowi Polskiemu.

12) Co do wojsk polskich, tworzących Korpus jen. Dowbór-Muśnickiego, nastąpi odrębne porozumienie.

Na notę tę gen. Beseler w dniu 24.IV.1918 odpowiedział pismem L. Abt. Kr. Nr. 1039/18 tajne, które przytaczam w przekładzie polskim w całości. Brzmiało ono:

„Na pismo Wysokiej Rady Regencyjnej z 12.IV.18 r. Nr. 417/18 mam zaszczyt najuprzejmiej odpowiedzieć, że nie mogę we wszystkich punktach zgodzić się na wysunięte tamże zasady, mające być miarodajnymi dla dalszej rozbudowy armji polskiej.

Zmienione poniżej ujęcie propozycji Rady Regencyjnej okazało się konieczne, by uniknąć uchybień w stosunku do zawartych umów Sprzymierzonych Monarchów, naprzykład umów Pszczyńskich, lub też w stosunku do obowiązujących mnie postanowień. Uchylenia od tych zaaprobowanych wytycznych wymagałyby celem osiągnięcia ponownego porozumienia wszystkich zainteresowanych stron długotrwałych rokowań, a to zwłaszcza odnośnie punktów 1, 2, 10 i 11, co by pociągało za sobą tylko niepożądaną zwłokę dalszej rozbudowy armji.

1) Wysokiej Radzie Regencyjnej przyznaje się prawo współdziałania politycznego przed ewentualnym użyciem bojowym armji polskiej jako wojsk walczących na obszarze lub poza obszarem państwa polskiego (Generalne Gubernatorstwo Warszawa i Wojskowe Gubernatorstwo Lublin).

2) Generał Pułkownik von Beseler jest Naczelnym Wodzem armji polskiej. Mianuje i awansuje on oficerów polskich. O mianowaniach i awansach będzie Rada Regencyjna powiadamiana.

3) Na razie utworzy się Polskie Dowództwo Brygady. Brygada składać się będzie z dwóch pułków piechoty na stopie wojennej, o podwójnej obsadzie stopni służbowych, następnie odbywa się intensywne szkolenie przy pomocy odpowiedniego personelu wyszkoleniowego, jak również wzmozona aktywność szkoły aspirantów oficerskich i szkoły podoficerskiej.

Potem następuje wystawienie dwóch dalszych pułków piechoty po uchwaleniu Ustawy Wojskowej i po odbyciu pierwszego poboru.

Szczegóły dalszej rozbudowy armji, włącznie broni specjalnych, podlegają umowie z Wysoką Radą Regencyjną.

4) Porucza się dowódcy Brygady Wyższą Władzę Sądową nad wszystkimi członkami armji, pochodzącymi z okupowanego obszaru.

5) Organizacja i wyszkolenie armji i jej władz administracyjnych odbywają się pod niemieckim kierownictwem i wyłącznie wedle przepisów służbowych i wzorów niemieckich instytucyj wojskowych.

6) Podstawę dla powstania armji stanowić będzie powszechny obowiązek służby wojskowej.

7) Przygotowawcze zarządzenia dla poboru mogą być częściowo rozpoczęte jeszcze przed uchwaleniem Ustawy Wojskowej, a to po szczegółowej umowie z władzami okupacyjnymi i na podstawie wzorów niemieckich.

8) 17 istniejących obecnie urzędów zaciągowych przeistoczone będą w 34 powiaty poborowe wedle punktu widzenia, podanego pod liczbą 7.

Granice powiatów poborowych nie śmią ani po stronie niemieckiej, ani austrjackiej przekroczyć granic okupacyjnych.

Pierwszy pobór nastąpi wkrótce po uchwaleniu ustawy wojskowej przez Radę Państwową.

9) Przedmiot późniejszych rozważań stanowić będą utworzenie Komend Polskich oficerów przy niemieckich władzach i oddziałach, jak również ustanowienie oficerów łącznikowych przy Królewsko-Pruskiem Ministerstwie Wojny.

10) Dotychczasowa rota przysięgi zachowuje na razie w całej swej osnowie ważność. Zastrzeżone jest uzupełnienie, uwzględniające stanowisko Rady Regencyjnej, a to w drodze późniejszej umowy.

11) Przejście Polskiej Komisji Wojennej w Departament Wojny, jak również określenie zakresu działań tegoż, podlegają aprobacie Cesarско Niemieckiego Najwyższego Kierownictwa Armji i C. K. Naczelnego Dowództwa armji. Oczekuje się odnośnych propozycyj.

12) Wszystkie postanowienia i przepisy, mające obecnie moc obowiązującą dla wojsk polskich, podlegających Naczelnemu Wodzowi Armji Polskiej, muszą w interesie dalszego jednolitego rozwoju armji polskiej znaleźć w przyszłości zastosowanie również i w odniesieniu do wszystkich oddziałów lub żołnierzy narodowości polskiej, przechodzących z armji obcych lub skądinąd do armji polskiej.

13) W razie wątpliwości, zachodzących co do interpretacji powyższych uzgodnień (Abmachungen), uważać należy za miarodajne dosłowne brzmienie tekstu niemieckiego”.

podpisał von Beseler.

W tym samym dniu 24.IV.1918 rozporządzeniem Naczelnego Wodza Wojsk Polskich, gen. Beselera, L. 169033 przeniesione zostało wykonywanie sądownictwa wyższego odnośnie do wszystkich osób, należących do wojska polskiego, polskiej przynależności państwowej na pułkownika Minkiewicza, w tym zakresie, w jakim poprzednio sprawował je gen. von Barth, inspektor wyszkolenia przy Wodzu Naczelnym. W dniu 30.IV.1918 wyszedł rozkaz I. N. W. L. 20875/I, nakazujący z dniem 1.V.1918 uformowanie 1-ej brygady piechoty wojsk polskich i oddanie jej dowództwa pułkownikowi Minkiewiczowi, co wykonano w ten sposób, że na miejsce zniesionego Inspektoratu Kursów Wyszczolenia powołano do życia „Dowództwo 1-ej Brygady Piechoty”, któremu podlegały pułki piechoty 1 i 2 oraz kompanja saperska. Pułki piechoty 1 i 2 uformowane zostały z kursów wyszczolenia 1, 2, 3 i baonów rekrucich 1, 2 oraz istniejących oddziałów karabinów maszynowych. Każdy z pułków miał liczyć po 3 bataljony cztero-kompanijne i jedną kompanję karabinów maszynowych. Etaty tak w oddziałach, jak i sztabach, przewidywały podwójną obsadę oficerów, podoficerów i starszych żołnierzy i w ten sposób organizacja 1 brygady dawała możność podwojenia jej w razie przeprowadzenia poboru rekruta. Kurs wyszczolenia kawalerji w Mińsku Mazowieckim został przemianowany na szwadron kawalerji, kurs wyszczolenia artylerji w Garwolinie — na

6-działową baterję artylerji, a kompanja trenowa w Mińsku Mazowieckim przemianowana została na szwadron trenowy. Te oddziały od tego czasu podlegały wprost Inspektoratowi Wyszkołenia (I. N. W.). Dotychczasowy Inspektorat Szkół Piechoty, aczkolwiek nie był przewidziany etatem, pozostał nadal w tym samym składzie na etacie dowódcy kadr 3 p. p. i jego sztabu pułkowego.

Były to faktyczne i jedyne zdobycze w kwestji organizacji wojska, które i nadal nie było w niczem podporządkowane R. R., bo przecież „prawo współdziałania” (punkt 1), przyznane jej pismem Beselera, nie krępowało w niczem woli władz niemieckich w tej kwestji, a zapowiedź, że o awansach oficerskich Rada Regencyjna będzie powiadamiana, i w tej dziedzinie małowala jej zupełną bezsilność.

Oczywiście, nie zadawalniało R. R. takie rozwiązanie sprawy, to też probuje ona w dalszym ciągu, mimo wszystko, rokować z Niemcami w sprawie definitywnego rozwiązania sprawy polskiej pod względem politycznym, wojskowym i gospodarczym. Zaproponowała te rokowania nota Jana Steczkowskiego, powołanego przez Radę Regencyjną w dn. 4.IV.1918 na Prezydenta Ministrów, a wystosowana w dn. 29.IV.1918 do Rządów państw centralnych. Wskazano w niej jako rozwiązanie, odpowiadające obustronnym interesom: zapewnienie Państwu Polskiemu — pod warunkiem przymierza z państwami centralnymi i konwencji wojskowej, niezawisłości i nienaruszalności dotychczasowego terytorjum Królestwa Kongresowego, bez czterech powiatów gub. Suwalskiej, ale zato z granicami, wysuniętymi na wschód od linji Narew, Bóbr, Niemen, z zapewnioną możliwością rozwoju gospodarczego przez dostęp handlowy do morza i wolną żeglugę na Wiśle. Odpowiedź na tę notę nie nadeszła, gdyż państwa centralne różniły się w zapatrywaniach swoich na rozwiązanie kwestji polskiej.

Wspomnieć też należy o staraniach R. R. objęcia władzy nad oddziałami wojska polskiego, sformowanego w Rosji, a przedewszystkiem nad 30.000 korpusem Dowbora - Muśnickiego, rozlokowanym koło Bobrujska. Jednak i tu spotkało ją niepowodzenie, gdyż Niemcy po zetknięciu się z tym korpusem zmusili go do złożenia broni i rozwiązania się (31 maja), a już poprzednio siłą rozbroili oddziały polskie na Ukrainie.

Troską tak R. R., jak i władz niemieckich, były też w tym czasie coraz to bardziej zmniejszające się stany liczebne polskiej siły zbrojnej, która topniała z dnia na dzień i groziła zupełnym zanikiem nawet tej fikcyjnej siły militarnej Polski. Stan jej w dniu 2.IX.1918 wynosił zaledwie 336 oficerów, 137 podchorążych, 837 podoficerów i 3,456 szeregowców. Raporty Inspektora Wyszkożenia do Naczelnego Wodza jeszcze w dniu 8.VI.1918 alarmowały ubytkiem ludzi z powodu dezercji i zwolnień. Ubytek ten w przeciągu 6 skontrolowanych dekad wynosił przeciętnie 66 ludzi, co przy stanie ogólnym 3,000 ludzi dawało 2% na dekadę.

Dla ratowania sytuacji K. W. opracowała w dniu 20.VIII.1918 odezwę werbunkową, na ogłoszenie której zasadniczo zgadzało się Gen. - Gubernatorstwo Warszawskie, lecz nie zezwalało na oficjalne ogłoszenie werbunku w Zamościu, jako w mieście, należącym do państwa ukraińskiego (w myśl traktatu Brzeskiego). Ze strony polskiej były znów obawy, że zgadzanie się na nieprzeprowadzanie werbunku w Zamościu może być poniekąd uznane jako zgodzenie się rządu polskiego na granice, ustalone traktatem brzeskim. Ostatecznie dopiero w dniu 26.IX.1918 — po daremnych staraniach w Berlinie — wydano odezwę, w której wezwano ochotników do szeregów, przyczem z istniejących 17 Głównych Urzędów Zaciągowych wymieniono tylko 10, mówiąc, że tylko te „narazie zgłoszenia przyjmują”, inne zaś, a między nimi i Zamość, miały oddać swój personel urzędowy pozostałym do pomocy przy przeprowadzeniu zaciągu. W ten sposób ominięto drażliwą sprawę. Wyniki odezwy były bardzo słabe. W dniu 15.X.1918 K. I. Z. podaje ilość 205 zgłoszonych ochotników, z czego przyjęto 147.

Badając stosunek władz niemieckich do R. R. i kwestji formowania wojska polskiego wogóle, można powiedzieć, że były one dla Niemców tylko atutami politycznymi, jakie utrzymywali w swem ręku dla demonstracji przeciwko akcji, podejmowanej przez Koalicję w sprawie polskiej. Dlatego też z jednej strony wysuwali coraz to nowe protesty, aby Polakom nie oddać władzy i nie budować armji polskiej, która, jak to wyczuwali, mogła się w każdej chwili przeciw nim obrócić, z drugiej zaś — zabiegali, aby te instytucje jednak pomimo

wszystko utrzymać przy życiu, bo były one dla nich zewnętrznym wyrazem państwa polskiego, stojącego po ich stronie.

Nadzieje polskich czynników rządzących, że sprawa tworzenia wojska stanie się nareszcie aktualną, odbiły się na K. W., na której dyrektora (po objęciu steru rządów przez Jana Steczkowskiego) powołany został Franciszek ks. Raziwiłł.

W myśl organizacji przyszłego Ministerstwa Wojny, K. W. została odpowiednio przekształcona, a mianowicie utworzono 4 działy: 1) Centralny, 2) Naukowy, 3) Wojskowo-gospodarczy i 4) Opieki.

Dział Centralny objął sprawy wojskowo-polityczne oraz całkowitą organizację przyszłego wojska i związane z tem agendy. Została opracowana i złożona Radzie Ministrów Ustawa o ogólnej powinności wojskowej. Dział Naukowy pracował w tym samym, co poprzednio, zakresie. Jedynie wzmocnienie jego obsady dało wydatniejsze wyniki pracy. Dział Wojskowo-Gospodarczy zajął się przygotowaniem ewidencji zakładów przemysłowych, mogących wojsku służyć lub nadających się do przystosowania dla celów przemysłu wojskowego. Pośredniczył też w oddawaniu robót przez władze okupacyjne zakładom przemysłowym w kraju. Dział Opieki został zreorganizowany i znacznie powiększony skutkiem konieczności zajęcia się bardzo licznym materiałem żołnierskim i oficerskim, powracającym z rozwiązanych Wojsk Polskich w Rosji i formacyj rosyjskich, jako też z Austrii na skutek zasadniczej zgody ze strony władz austriacko-węgierskich na zwolnienie do kraju wszystkich oficerów-jeńców w krótkim czasie, zaś jeńców-żołnierzy, poczynając od października 1918. Między innymi został utworzony oddział pośrednictwa pracy dla b. wojskowych, który bardzo dodatnio rozwijał swą działalność. Oprócz tego zajęto się zewidencjonowaniem jeńców-Polaków, będących jeszcze w Niemczech i Austrii. Roztoczono opiekę nad internowanymi w Marmaroszu-Sziget. Uruchomiono loteryję klasową na inwalidów. Zakładano i rozszerzano schroniska dla b. żołnierzy (około 250 łóżek dla szeregowych i 50 dla oficerów). Zapoczątkowano również w tym czasie pracę nad utworzeniem Instytutu Geograficzno-Mierniczego, jednym z zadań któ-

TABLICA III
Do strony 150.

Komisja Wojskowa w czasie od kwietnia do czerwca 1918

Dyrektor Książe Franciszek Radziwiłł, Adjutant, Wicedyrektor-płk. M. Januszajtis,
Adjutant por. J. Leski, Registrar por. St. Lewicki.

Sektoria Centralna		Ogólna Sektoria Wojskowa		Sektoria gospodarcza		Sektoria Opieki		Sektoria naukowa		Po- miary kraju							
Płk. Januszajtis		Pp. Skrudlik		Ppor. Etle		Mjr. Pasławski		Prof. Dr. W. Tokarz, do pomocy W. Drojowski									
C. II	C. I	C. III	C. IV	G. I	G. II	O. I	O. II	O. III	O. IV	N. I	N. II	N. III	N. IV	N. V	N. VI	N. VII	Ppor. Ada- mo- wicz
Por. Leski	Por. Maleszewski	Pchor. Le- wicki	Pchor. Hoch- stim			Inż. Ozaj- kowski	Por. Ma- cie- sza	Por. Ma- cie- sza	Dr. Kaspe- rowicz	Pchor. Go- styń- ski	Plut. Albin- ski			Ppor. Dąb- kowski	Sierż. Bień- kowski		
Organizacja. Regulowanie służby O de B. Pośrednictwo w angażowaniu lekarzy, weterynarzy, sędziów i duchownych.																	
Personalja i sprawy dyscyplinarne officer., podof., urzędn., żołn. i ewid. 1. Korp., 2. Korp., 3. Korp., 4. P.K.P., 5. Jeńcy w Niemczech, 6. Jeńcy w Austrii, 7. Luźne grupy w Rosji, Bułgarji i Turcji. 8. Ofic. w wojsku ros., to samo—podof. uzupełn. Korpus. Oficerski.																	
Registratura.																	
Rachunkowość.																	
Uzupełnienia. Wprowadzanie w życie ustawy poborowej (informacyjnie). Najwyższa instancja czy reklamacja obowiązanych do służby wojsk. Powoływanie ochotników na specjalne wyszkolenie. Zakładanie specjal. kursów z inicjatyw poszczeg. referentów. Odkomenderowanie do niem. Wł.																	
Wyszkolenie urzędn. admin. Umundurow., uzbroj., wyekwipowanie, zaprowiantowanie i pomieszczenie.																	
Przemysł wojenny.																	
Superarbitrowani, inwalidzi, pośrednictwo w pracy.																	
Internowani.																	
Opieka społeczna.																	
Jeńcy wojenni Polacy.																	
Redakcja „Wiary” i „Bellony”.																	
Biblioteka.																	
Archiwum.																	
Słownictwo wojskowe i tłumaczenie.																	
Kursy dla analfabetów. Ruchoma biblioteka dla żołnierzy. Kantyny.																	
Oddziały techniczne.																	
Wojskowe wyszkolenie młodzieży.																	
Wojsk. Instytut Geograficzny. Kartografja w porozumieniu z Min. Spr. Wewn.																	

regu byłoby wykształcenie odpowiednich sił fachowych w specjalnie założonej szkole mierniczej, która w pierwszym swoim kursie wydała około 20 wykwalifikowanych topografów wojskowych.

Ten rozrost K. W. obejmował stopniowo coraz dalsze działy, związane ze sprawą tworzenia wojska; ostatecznie we wrześniu organizacja jej przedstawiała się następująco (patrz tablica Nr. III):

(d. n.).

WACŁAW LIPIŃSKI.

PROCES PUŁKOWNIKA BARTY¹⁾.

VIII.

W chwili objęcia przez generała Osińskiego Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich i szefostwa sztabu przez pułkownika Bartę — stan oddziałów, rozłożonych na terenie Ukrainy, przedstawiał się więcej, niż skromnie. Główny ośrodek stanowiły — dowodzony już teraz po usunięciu niedołęznego gen. Stankiewicza przez Hallera korpus II, którego stan liczebny wynosił niecałe 7.000 bagnatów i szabel, oraz grupa podolska, zwana korpusem III, którego siła nie przekraczała 2.000 ludzi²⁾, rozrzuconych w dodatku na dużej przestrzeni, z trudnością dająca się ująć w jakie takie ramy organizacyjne.

Jaknajszysze tedy doprowadzenie tych oddziałów do porządku, skoncentrowanie ich i celowy później rozwój — stało się zadaniem, którego podjął się Barta. Zadaniem, specjalnie teraz właśnie trudnem i skomplikowanem.

Od pierwszych bowiem organizacyjnych zaczątków, od pierwszej chwili powstawania oddziałów korpusu III, zawiśla nad nimi fatalna inercja dowództwa, niezdolnego ani przez chwilę przejąć się temi hasłami, pod którymi Naczpol wzywał do formowania polskich oddziałów wojskowych. Miast wszczepić w nie hasło walki z zaborcami, miast na elementach tej idei oprzeć zrąb organizacyjny, rozwijano wśród nielicznych oddziałów III korpusu tendencję zorganizowanego, spokojnego powrotu do domów, „powrót do kraju z bronią w ręku i z na-

¹⁾ Patrz zeszyt 6 „Niepodległości”, str. 323—346.

²⁾ Raport Dowództwa Wojsk Polskich na Ukrainie do Rady Regencyjnej z dnia 26 maja 1918 r. Arch. Inst. Badania. Teki Fr. Studzińskiego.

bytem na Rosjanach mieniem. Drugim celem miała być obrona mienia polskiego na Ukrainie“³⁾).

Dla celów obrony tego mienia zorganizowało się polskie ziemiaństwo i, bez trudu opanowawszy swemi wpływami generała Michaelisa, zrećcznie się postarało, aby oddziały wojskowe rozlokowane zostały po dworach, folwarkach i cukrowniach, z obłudnym zadaniem obrony „kresowych placówek“ polskości. Na własną tedy nawet rękę formowano oddziały, które pod mundurem polskiego żołnierza bez miłosierdzia tępiły „chłopską rebelję“, wyrządzając „niepowetowaną krzywdę sile zbrojnej polskiej i idei powstania państwa polskiego“⁴⁾), ściągając cały korpus III do roli samoobrony klasowego stanu posiadania, wśród mas chłopskich jeszcze silniejszą, jeszcze bardziej żywiołową budząc do wszystkiego, co polskie, nienawiść. Wkrótce też, właśnie wiosną 1919 roku — krwawo musieli zapłacić za tę zbrodniczą politykę nie kto inny, jeno sami ziemianie i ich obrońcy.

W podobnych warunkach nie mogło być mowy, rzecz prosta, o jakim takim znośnym stosunku do reprezentantów republikańskiego rządu ukraińskiego. który, na masach chłopskich bazując swoje oparcie, gorzkie czynił wyrzuty polskim czynnikom wojskowym i politycznym, coraz bardziej wrogą z każdym tygodniem przybierając wobec nich postawę, uchylając się wkońcu wręcz od wszelkich rozmów, mających za tło porozumienie polsko-ukraińskie i jednaką ideę obrony wspólnych, narodowych spraw. Jaszczce zaś bardziej pogorszyło sytuację wkroczenie na ukraiński teren okupacyjny wojsk niemieckich i austriackich, kreujących na gruzach republikańskich władz kijowskich urząd hetmana Skoropadskiego.

Wykorzystawszy stan ciągłego wrzenia przeciw polskości wśród chłopskich mas, postanowiono w sztabie generała Eichhorna załatwić się z tyle dla Niemców niewygodnymi formacjami polskimi zapomocą chłopskich ukraińskich kłonic, wideł i cepów. W tym celu, wnet po zajęciu Kijowa, rozwinięto energiczną, inteligentną i celową akcję, mającą elementy chłopskiej ku Polakom niechęci i nienawiści spotęgować do stopnia najsil-

³⁾ Tamże.

⁴⁾ Raport gen. Osieńskiego do Rady Reg. z dnia 26.V.1918. Arch. Inst. Badania.

niejszego wrzenia. Korzystając z tego, iż stan zaprowiantowania polskich oddziałów opierał się na systemie rekwizycyjnym, uzgodnionym zresztą swego czasu z republikańskimi władzami kijowskimi, niemniej płatnym kwitami, rozpoczęli Niemcy skupować potrzebne im żywnościowe zapasy, płacąc natychmiast gotówką i to po cenach nierównie wyższych, rozsyłając pozatem liczne kadry agitatorów, burzących przeciwko Polakom ludność miejscową. Stwarzało to sytuację wręcz tragiczną, którą Niemcy starali się konsekwentnie pogarszać, żądając przeprowadzenia rewizji umowy, zawartej między Ukrainą a wojskiem polskim, na każdym kroku utrudniając warunki jego egzystencji.

W tych warunkach Barta jako szef sztabu Naczelnego Dowództwa postanowił ratować oddziały korpusu III, do czego pierwszym krokiem było ich skoncentrowanie na jednym miejscu. Przenosi tedy sztab Naczelnego Dowództwa do Gniewania i pod nieobecność generała Osińskiego, starającego się w tym czasie wytargować od Niemców warunki, w którychby umożliwiona została egzystencja formacyj, wydaje zarządzenia, mające na celu rychły i celowy ratunek oddziałów.

Akcję tę jednak Niemcy wlot zrozumieli. Skoropadski natychmiast rzuca na teren falę komisarzy, którzy rozpoczynają nie przebierającą w środkach agitację. W Braclawiu naznaczono punkt zborny dla watah chłopskich, dokąd ściągają chłopi, ujęci w wojskową organizację przez wolnych kozaków, uzbrojeni nie tylko w widły i cepy, ale w karabiny, granaty i broń maszynową, czego wówczas w żadnej ukraińskiej wsi nie brakowało.

Pod wsią Pieczary w dniu 10 kwietnia następuje pierwszy atak na tabor polskich ułanów, następnego dnia drugi w Rogoźnie, co przerywa odrazu łączność między oddziałami 7-go ułańskiego pułku. Jednocześnie dwa szwadrony, rozlokowane w Niemirowie, gdzie zgromadzone zostały duże zapasy materiałów wojennych, powoli poczynają być otaczane, tak, że wysłany dla wzmocnienia Niemirowa jeszcze jeden szwadron z karabinami maszynowymi musi się już przez kordon ukraiński przebijać⁵⁾.

⁵⁾ Henryk Bagiński: Wojsko polskie na Wschodzie. Warszawa, 1921.

Staje się jasnym, że, jeżeli natychmiast nie rozpocznie się energicznej akcji ratowniczej, poszczególne oddziały, rozlokowane w dużych od siebie odstępach, zniszczone zostaną przez przeważającą siłę ukraińską, dochodzącą w okolicach Niemirowa i Braclawia do kilkunastu tysięcy. Próżno jednak stara się pułkownik Kuncman, prawy i ofiarny żołnierz, dotrzeć do Barty. W drodze do Dzwonichy mordują go chłopci, zanim tam przybywa Barta, prowadzący ze sobą kompanję piechoty, Legję rycerską i pluton artylerji. Stąd oddział rusza dalej w kierunku na Niemirów, do Kanawy, gdzie natknięto się na komisarzy ukraińskich z Szewczenką, głównym kierownikiem akcji niemirowskiej, na czele.

Barta rozpoczyna natychmiast pertraktacje. Zdaje sobie przecież doskonale sprawę z tragizmu bratobójczej walki, podżeganej rękoma niemieckimi, wie, że nie wolno mu zużywać sił wojska polskiego, którego celem jest walka z zaborcami, do walki z Ukrainą. Dlatego stara się napotkanym komisarzom wytłumaczyć bezcelowość wzajemnej walki, co jednak nie doprowadza do upragnionego celu. Masy bowiem chłopskie, zamknąwszy tymczasem szczelnym pierścieniem Niemirów, przeprowadzały gwałtowne natarcia, trwające od wieczora 14-go kwietnia do południa dnia następnego, zmuszając w rezultacie pozbawionych amunicji ułanów do złożenia broni. W epilogu końcowym rozżarte chłopstwo, gwałcąc warunki umowy, rzuca się na nieszczęsnych bezbronnych obrońców: legło pięciu oficerów, trzydziestu ułanów, resztę, poranionych, oddano władzom austriackim.

Tego samego dnia zawiązuje się również walka między Ukraińcami a oddziałem Barty. Po wyczerpaniu środków pokojowych Barta forsuje Boh, jednak, otaczany z prawego i lewego skrzydła, wobec przewagi nieprzyjaciela zmuszony zostaje do odwrotu. Drogą na Dzwonichę i Tywrów, wśród ustawicznych walk odwrotowych, pełnych niecodziennego męstwa i determinacji, cofają się oddziały Barty na Gniewań, stację kolejową linii Kijów — Odesa, gdzie w godzinach przedwieczornych zdołano się zebrać, odpierając przez cały wieczór, noc i dzień następny zażarte natarcia nieprzyjaciela. Kres nierównej walce położyło nadejście oddziałów austriackich, przy pośrednictwie których wyczerpani walkami, zagrożeni znów bra-

kiem amunicji, zawarli z Ukraińcami układ, na mocy którego oddziały Barty mogły spokojnie odmaszerować do Winnicy.

Tam, gdy rozkwaterowano całą ówczesną się korpusu III, nie przenoszącą 1.500 ludzi, rozegrały się dramatyczne sceny, które w końcowym rezultacie doprowadziły III korpus do ostatecznej zagłady. Na zebraniu oficerskim, zwołanem rankiem 19 kwietnia, nie zawiadamiając o niem Bartę, wystąpiono z ostremi, gwałtownymi grawaminami, których głównym tonem był zarzut, postawiony Barcie, iż nie wezwał wojsk austriackich do pomocy, iż nie odparł na czas obrońców Niemirowa oraz, że wogóle nieprawnie władzę szefa sztabu Naczelnego Dowództwa i aktualnie nad oddziałami III korpusu sprawuje ⁶⁾).

Przywykłemu do żołnierskiej, istotnej karności, wychowanemu na żyznej glebie ideowej Drużyn, I brygady i Polskiej Organizacji Wojskowej, umięjącemu szerokimi horyzontami myślowymi ujmować istotę każdego zagadnienia, pułkownikowi Barcie powtórzyło „koło“ oficerskie na następnem zebraniu swe gorszące oskarżenia jeszcze raz, aczkolwiek w oględnej i delikatnej już formie. Zareagował na nie natychmiast i, mając już w ręku żądanie dowództwa XXV korpusu austriackiego, wyznaczające oddziałom polskim rejon Pików — Janów — Chmielnik, w widłach Bohu, co się równało internowaniu, wręcz zebranych oficerów zapytał: „czy usłuchają, jeśli da rozkaz nietylko niesłuchania Austriaków, lecz ewentualnej walki z nimi?“ Odpowiedziano: „nie!“ ⁷⁾).

Dla Barty był to cios, jakiego zapewne się nie spodziewał. Wiedział przecie, że większość tych oficerów, zdemoralizowanych wielomiesięcznym na Ukrainie kwaterunkiem, w luźnym, jeśli nie w żadnym, jak Rómmel czy Jaworski, stosunku do dotychczasowego dowództwa pozostających, przesiąkniętych lokalną atmosferą walk, z chłopstwem w obronie polskich dworów toczonych, co na długie lata zaciemniło im całkiem szerszy w tych sprawach myślowy horyzont, — nie tyle dla idei niepodległościowych i państwowych, ile dla własnych rodzinnych często interesów w mundurze polskim tkwiła, niemniej mógł jednak sądzić, że, gdy padnie pytanie, czy do walki z zaborcami mają stanąć, czy bezwolnie w ręce się ich oddać, decyzja

⁶⁾ Z raportu Andrzeja Świtka do Rydza Śmigłego. Arch. Inst. Badania.

⁷⁾ Z raportu Świtka do Śmigłego. Arch. Instytutu.

padnie po stronie jego pragnień i jego wyraźnej, żołnierskiej ideologii. Zawiódł się — i natychmiast też podał się do dymisji, szefostwo sztabu Naczelnego Dowództwa składając w ręce bezpośredniego swego przełożonego.

IX.

Dymisja Barty ze stanowiska szefa sztabu nie była ani przez chwilę aktem słabości. W warunkach, w jakich się znalazł, osamotniony tu w Winnicy całkowicie, nie widzący w nim poparcia, otoczony ciasną atmosferą rozjątrzenia, wpływającą zarówno z niechęci ku niemu osobistej, z Michaelisowych nieustannych intryg w niemalym stopniu się wywodzącej, jak i z tej siły bezwładu, jakim charakteryzował się podległy mu od kilku zaledwie dni korpus oficerski, nie był w stanie innych z ówczesnej sytuacji wyciągnąć konsekwencji. Pozostawała mu coprawda droga wydania rozkazu, rozkazu, wywodzącego się z formalnej jego nominacji przez generała Osińskiego, jednak niewątpliwą jest rzeczą, iż rozkazu takiego podwładni jego by nie wykonali, rozporządzeniom austriackim by się nie oparli, na walkę z nimi by nie poszli. W warunkach zwykłych wojskowego porządku rzeczy, w wypadku zbiorowej, personalnie przeciwko niemu zwróconej, niesubordynacji, nie pozostawało Barcie nic innego, jeno kula w łeb. W tej jednak sytuacji, gdy nie miał przeciwko sobie oficerów, względem których należało żywić uczucie żołnierskiego szacunku, pozostawała jedynie droga, jaką wybrał. Droga dymisji ⁸⁾.

⁸⁾ Prośba o dymisję wyjaśnia całkowicie stanowisko Barty. Brzmi ona następująco: „Do dowódcy wojsk polskich na Ukrainie: Proszę o zwolnienie mnie z pełnienia obowiązków Szefa Sztabu Dowództwa Wojsk Polskich na Ukrainie.

Powody tego są następujące — prowokatorskie postępowanie czynników austriackich i niemieckich wywołało krwawe starcie naszych wojsk z chłopami. Udało mi się jednak dojść do porozumienia i zlikwidować zatarg.

Obecnie zażądały władze austriackie przeniesienia naszego miejsca postoju do rejonu Chmielnik — Pików — Janów, przyczem postawiły ultimatum rozbrojenia.

Wiadomem mi jest, że nasz przemarsz wywołałby rozruchy.

Również nie uznaję prawa władz austriackich do wydawania rozkazów wojskom polskim.

Przedstawionej sobie dymisji generał Osiński był winien nie przyjąć. Przyjęcie jej bowiem akceptowało nie stanowisko Barty, zajęte w Winnicy, lecz stanowisko zbuntowanych oficerów, co się jaskrawo sprzeciwiło konsekwencjom, jakie w stosunku do nich natychmiast generał Osiński wyciągnął, przestając ich samych i pozostałe przy nich oddziały uważać za należących do składu wojsk polskich na Ukrainie, a to wobec wyraźnego braku „karność wojskowej“ i podpisania deklaracji, oddającej resztki III korpusu „bez zastrzeżeń... pod rozkazy wojskowych władz austriackich... bez jakiegokolwiek mandatu ze strony Rządu Polskiego“⁹⁾ i jego, generała Osińskiego, zgody.

Znalazł się tedy Barta od dnia 18 kwietnia w ciężkiej osobistej sytuacji (której winę przez fakt przyjęcia dymisji ponosił teraz generał Osiński), nie rozjaśnionej w wodotku ani przez chwilę sytuacją natury ogólnej. Resztki korpusu III, maszerujące z Winnicy pod dowództwem pułkownika Rómmla do wyznaczonego przez Austriaków rejonu, gdzie w niedługi potem czas niesławne złożenie broni miało je spotkać, przedstawiały dlań teren pracy, już teraz bezpowrotnie stracony. Pozostawał teren Polskiej Organizacji Wojskowej oraz III korpusu.

Niepodległościowa, wojskowa praca polska rozpoczęta została na terenie ukraińskim zaraz w samym początku wojny światowej, lecz emisariusze Piłsudskiego w skromnych ją mogli z początku rozwijać ramach, zważywszy na ogólny nastrój tutejszego społeczeństwa, zdecydowanie stojącego na stanowisku odezwy wielkoksiażęcej Mikołaja Mikołajewicza, jak i na niewielką garść ludzi, przedwojennymi wpływami pracy niepodległościowej ogarniętych. Niemniej, z chwilą wybuchu wojny zo-

Z powyższych powodów chciałem to ultimatum odrzucić, przedstawiając powody, i stawić opór ewentualnemu rozbrojeniu.

Jednak dowódcy poszczególnych oddziałów sprzeciwili się temu. Wobec tego oddałem dowództwo nad tutejszemi oddziałami pułk. Rómmlowi.

Tutejsi dowódcy zamierzają oprzeć się o siłę austriacką i wystąpić przeciw chłopom, co uważam za zgubne dla wojska i sprawy polskiej.

Z powyższych względów proszę o zwolnienie mnie z obowiązków Szefa Sztabu Wojsk Polskich na Ukrainie.

Oryginał podpisał Pułkownik Barta. Winnica, dnia 20 kwietnia 1918 r. (Arch. Inst. Badania. Teki Fr. Studzińskiego).

⁹⁾ Z raportu gen. Osińskiego do Rady Reg. Arch. Instytutu.

staje natychmiast tu założona organizacja „Dniepr“, poczem, gdy w Warszawie na czele Polskiej Organizacji Wojskowej postawiony został Tadeusz Żuliński, niezmordowana jego energja rychło ogarnęła i polskie kresy, sięgając nietylko do Kijowa, ale i do Odesy. Wówczas to na czele P. O. W. w Kijowie staje niespożyty jej pracownik Józef Jot-Bromirski, ogarniając organizacyjnymi ramami osiem okręgów, — aż do Saratowa, gdzie rozpoczął peowiacką pracę zesłany tu Henryk Józefski.

Żywszą jednak akcję mogła Polska Organizacja Wojskowa rozwinąć dopiero z chwilą wybuchu rewolucji rosyjskiej, z chwilą gdy na horyzontach politycznych poczęła się coraz bardziej realnie zarysowywać możliwość odzyskania niepodległości. Zastępy pracowników rosna, a w miarę rozwoju wypadków, gdy na terenie rosyjskim poczynają powstawać wojskowe formacje polskie, coraz się większe otwiera pole pracy. Przysłany tu najpierw Hołówko, Barthel de Weydenthal, wślad za nim Miedziński i Schätzel — mieli teraz tę pracę rozwinąć, rozbudować, ku wyzyskaniu jaknajbardziej intensywnemu dla wojskowych i politycznych spraw polskich popchnąć ją i spotęgować.

Według opinii kierowników polskiej akcji niepodległościowo - wojskowej nie nadawał się do tej pracy Barthel, przez Śmigłego tu wysłany. Aczkolwiek zakres jego prac wyraźnie został ograniczony do spraw czysto wojskowych, podczas gdy Hołówko miał sobie oddaną reprezentację polityczno - ideową ruchu niepodległościowego, to przecie Polska Organizacja Wojskowa, choć sama nazwa wyraźnie Bartę na jej terenie jako kierownika wskazywała, jednaki splot zagadnień wojskowych, jak i polityczno - ideowych, w sobie mieściła, wzajem je ząbując i łącząc, równie sprężystego wymagając na swem czele dowódcy, jak i wytrawnego gracza politycznego. Barthel był — według opinii Komendy Głównej P. O. W. — tylko pierwszym, wyraźnie też Hołówkę ostrzegali i Śmigły i Moraczewski, zgodnie twierdząc, iż jest to „wybitny żołnierz“, o ogromnych możliwościach, jednocześnie jednak o wybujałej ambicji i trudny do współpracy. Nieznajomość zaś zarówno Rosji, jak i środowiska rewolucyjnego rosyjskiego, przy braku przeszłości działacza politycznego, uniemożliwiały samodzielną jego rolę polityczną¹⁰⁾.

¹⁰⁾ Relacja Tad. Hołówki. Arch. Instytutu.

Nieco za ostry w tym wypadku sąd, skoro się zważy, iż w niedawnym kryzysie przysięgowym Barta odegrał rolę do tyła wybitną, iż na jej podstawie wraz ze Śmigłym i Moraczewskim do kierowniczej pracy niepodległościowo-wojskowej przez oficerów I brygady został wybrany — miał jednak swoje racje, które przebieg dalszych działań Barty w niemałej mierze uzasadniał.

Wyraźna bowiem i zdecydowana namiętność Barty do spraw czysto wojskowych i jednoczesna zarazem niechęć w stosunku do politycznych zagadnień już w pierwszych zaraz dniach wspólnej pracy poróżnić go miała z Hołowką, wbrew któremu Barta nie udał się do Moskwy dla wywalczenia tam wśród sowieckich władz centralnych stosunku, przychylnego dla spraw formacyj polskich. Podobnie pierwszy jego okres odrazu skierowuje Bartę do zajęcia się czysto wojskowym zadaniem, jakim było ratowanie korpusu III, przy jednoczesnem odsunięciu się od spraw Polskiej Organizacji Wojskowej, któremi już był się zajął porucznik Miedziński, pracownik polityczny pierwszorzędnej miary, wlot orjentujący się we wszystkich zawiłościach i subtelnościach stosunków na Ukrainie, zarówno wytwarzanych przez grę niemiecką, austriacką, rosyjską czy ukraińską, jak i przez różnorakie ambicje i ambicyjki tych czy innych działaczy lub wojskowych.

W tym tedy stanie rzeczy, gdy w drugiej połowie kwietnia Barta został bez czysto wojskowego warsztatu pracy, gdy zarówno przez temperament, porywczność, jak i gwałtowną ambicję, — najbardziej motoryczną siłę swego w tym czasie charakteru — nie był w stanie ułożyć zgodnej współpracy z zimnym i rozważnym Świtkiem-Miedzińskim, poczęły go pociągać i niewolić ku sobie sprawy korpusu II, teraz właśnie, od połowy kwietnia rozkazem generała Osińskiego zatrzymanego przy przeprawach Kaniowa.

II korpus znalazł się tutaj po uciążliwych marszach z Sorok, które wypadło mu opuścić w związku z zawarciem przez Rumunję pokoju z państwami centralnemi. Początkowy projekt marszu na północ, w stronę korpusu I rychło, z chwilą, gdy okupacja niemiecko-austriacka poczęła się posuwać w głąb Ukrainy, okazał się nierealnym, przyjęto przeto dyrekcję na wschód, zwalczywszy przedtem z powodzeniem opór generałów Stankiewicza i Glassa, którzy, oderwawszy część oficerów i żoł-

nierzy, pod opiekuńcze skrzydła austriackie ufnie się oddali. Wyznaczony przez Komitet wykonawczy na dowódcę generał Haller, wobec którego, manifestując swą doń lojalność, Komitet ustosunkował się do tego stopnia życzliwie, że się rozwiązał, na dowódcę II korpusu przelewając teraz całą swą władzę, poddał się rozkazowi generała Osińskiego, stając pod Kaniowem i nie usiłując przeprowić się na drugą stronę Dniepru.

Dla każdego, bystrzej patrzącego, orjentującego się w istotnym stosunku Niemców do formacyj polskich, jak i w bezsile Rady Regencyjnej, jawnem już było w połowie kwietnia, że nad korpusem zawisła zagłada. Trudno jest winić tutaj generała Osińskiego, że, poddawszy się Radzie Regencyjnej, usłuchał lojalnie stanowczo wyrażonego jej życzenia, by oddziały korpusu II „pozostały w miejscu obecnego postoju i nie przedsiębrały żadnych kroków, któreby w czemkolwiek przesądzały nasze późniejsze postanowienia“¹¹⁾, w konsekwencji czego Haller stanął pod Kaniowem. Wina doprowadzenia do zguby korpusu II obarczała przedewszystkiem gen. Hallera, bowiem on, który zbrojną ręką przedarł się przez front austriacki, wypowiadając swym krokiem państwow centralnym wojnę, wypowiadał ją tem samem i Radzie Regencyjnej, z ramienia niemieckiego przeciw sprawującej w Warszawie swą enigmatyczną władzę. W miesiąc później, w sposób urągający wszelkiej logice polityczno-ideowej, wysłała po objęciu przez siebie dowództwa II korpusu deklarację lojalności względem tejże Rady Regencyjnej, oddając jej „kierownictwo i władzę zwierzchnią nad II korpusem wojsk polskich“¹²⁾.

Wypadki musiały się tedy potoczyć w kierunku, deklaracją ową zarysowanym. Asumpt z niej biorąc, Rada Regencyjna przyjmuje — rzecz prosta — władzę nad korpusem II i na podstawie tej władzy wydaje generałowi Osińskiemu polecenie zatrzymania na miejscu postoju Hallera i zakaz jakiegokolwiek z wojskami niemieckimi zatargu.

Należało tego nie usłuchać. Należało nie oglądać się na Radę, jak się nie oglądano na nią w dniu 15 lutego pod Rarańczą, należało pójść za projektem Barty, przeprowić się przez Dniepr, odrywając się od wojsk niemieckich, i w kierunku ode-

¹¹⁾ Pismo Rady Reg. do gen. Osińskiego. Arch. Instytutu.

¹²⁾ Bergel. Dzieje II korpusu polskiego. Warszawa, 1921.

skim, koalicyjnym szukać dla zbrojnych formacyj oparcia. Ale na ten krok musiałby się zdecydować generał Osiński, oderwany od spraw, które się w latach wojny w kraju odgrywały, całkowicie im obcy w miesiącach swej frontowej służby, teraz od roku pracowicie i z poświęceniem oddający wszystkie swe siły sprawom wojska polskiego, piastujący w duszy swej tęsknotę do karności i lojalności względem rządu polskiego, który przecież nietylko jemu, żołnierzowi przedewszystkiem, ale i wielu tęgim, politycznym głowom — prawowitym, istotnym rządem polskim w tej chwili się wydawał. Generał Osiński Radzie Regencyjnej, z rąk pełnomocnika której otrzymał Dowództwo Naczelne, przeciwstawić się nie mógł. Mógł to uczynić tylko Haller, który już raz na czele II brygady drogą złamania posłuszeństwa poszedł, który teraz w warunkach, oczywistych dlań i jasnych, winien był konsekwentnie po raz obranej drodze się posuwać. Haller jednakże, poddawszy się lojalnie generałowi Osińskiemu i Radzie Regencyjnej, przy każdej okazji podkreślający szumnie i górnie swe w stosunku do Niemców wrogie zamiary, jednocześnie, poza plecami Osińskiego, komunikuje się z warszawskimi ludźmi Rady Regencyjnej, brnąc coraz głębiej i coraz bezmyślniej w splot spraw, w których gubi się i bezradnie, beznadziejnie płacze.

W tej sytuacji, gdy zarówno dla Miedzińskiego, Schätzla i przybyłego w tym czasie Wieniawy-Długoszewskiego jasną się stawała zagłada korpusu, coraz szczelniej z dnia na dzień pierścieniem Niemców zamykanego, Barta postanawia wejść do korpusu II, urządzić zamach od dołu na Hallera, objąć dowództwo i, wyrwawszy korpus z niemieckich kleszczy, pójść na wschód. Nie zdąży jednak zamiaru swego przeprowadzić, hamowany zarówno przez kierowników Polskiej Organ. Wojsk., która, zważywszy na popularność Hallera i na brak przygotowania akcji, stanowczo Bartę od gwałtownego kroku powstrzymuje, jak i przez szybki, szybszy, niż się spodziewano, rozwój wypadków. W dniu 11 maja, w trzy tygodnie po oddaniu oddziałów korpusu III przez Rómmla opiece wojsk austriackich, następuje krwawa rozprawa Niemców z II korpusem, którego postój kaniowski stał się grobem.

Pozostaje już tylko korpus I i w tamtą stronę głodna ustawnie czynu biegnie myśl pułkownika Barty.

X.

Na decyzję Barty, by wyjechać do korpusu I i tam spróbować ratować tę najliczniejszą formację polską od zagłady, która nieuchronnie nad wojskiem polskim, w Bobrujsku zgromadzonem, wisiała, wpłynęła niemało zarówno sama sytuacja I korpusu, jak i coraz bardziej pogarszający się jego stosunek osobisty do Komendy Naczelnej P. O. W. w Kijowie. Wzajem się wykluczające, sprzeczne ze sobą usposobienia, temperamy i sposób myślenia Barty i Miedzińskiego od pierwszej chwili przysłania tu Andrzeja Świtka nie rokowały nadziei zgodnej ich ze sobą współpracy, którą w dodatku pogłębiały nadsyłane w ciągu kwietnia i maja instrukcje, z Głównej, krakowskiej komendy przychodzące.

Aczkolwiek nie przesądzały one w sensie formalnym sprawy kierownictwa Polską Organizacją Wojskową na niekorzyść Barty, któremu, jako stopniem legjonowym najstarszemu, kierownictwo to przysługiwało, zgodnie zresztą z pierwszym, początkowym, w Krakowie otrzymanym mandatem — to jednak siłą rzeczy, na skutek zajęcia przez Bartę stanowiska szefa sztabu u Osińskiego i odsunięcia się w ten sposób od powiastkich, bezpośrednich zadań, przeszło ono całkowicie w ręce Świtka — Miedzińskiego. Był on teraz w ciągłym, usilnie pilnowanym i doskonale zorganizowanym kontakcie z Krakowem, na jego ręce przychodziły stamtąd instrukcje Śmigłego, on też posyłał tam meldunki wyczerpujące, wnikliwie, świetnie charakteryzujące sprawy, stosunki i ludzi.

W tych warunkach, odsunięty siłą wypadków od bezpośredniego z Krakowem kontaktu, niezdolny pogodzić się z poważnym, niemniej stanowczym procesem pracy, jaki Komenda kijowska P. O. W. rozwinęła, szukający ustawicznie gwałtownych i efektywnych rozstrzygnięć, pożerany wielką, niecodzienną ambicją czynu, gorzkie w dodatku przeżywając teraz chwile po scenach winnickich i przyjęciu przez generała Osińskiego dymisji — Barta postanawia od pracy P. O. W. odsunąć się, własnych szukając teraz dróg, skoro te, które narzucał mu Kraków, nie odpowiadały mu całkowicie. Otrzymał on bowiem w dniach kaniowskiej katastrofy rozkaz z Krakowa bezzwłocznej jazdy „na wschód, by zbadać warunki i możliwości pracy

organizacyjno-wojskowej na terenach bolszewickich“¹³⁾, nadto zaś polecenie zebrania materiału dla misji politycznej, którą dla porozumienia z Koalicją zamierzał był Śmigły wysłać tam w najbliższych tygodniach.

W raporcie, datowanym z Kijowa w dniu 16 maja, tłumaczy pogląd swój na niecelowość jazdy na wschód, rozwija obraz sytuacji w Rosji, by, zamknąwszy raport gorzkim stwierdzeniem braku poparcia z Krakowa i powolnego od pracy w P. O. W. odsuwania go, zameldować o swem usunięciu się od roboty, widząc w niej na skutek wytworzenia miast jednostkowej odpowiedzialności — odpowiedzialności kolektywnej „słabość i zarodki końca“. Zaczem, podniecany coraz bardziej ponuremi wiadomościami, jakie przychodzą z Bobrujska, rusza do I korpusu Dowbóra-Muśnickiego, za wszelką cenę pragnąc uratować od zagłady tę najliczniejszą polską formację na Wschodzie.

Decyzja Barty, samodzielnie powzięta, staje się jasną w obliczu tej dalekosiężnej oceny sytuacji, jakiej dawał wyraz już przed rokiem. Barta przecież jeszcze w Warszawie, jeszcze przed kryzysem przysięgowym, zwracał uwagę na konieczność jaknajrychlejszego zwrócenia energii polskiego obozu wojskowego w kierunku wschodnim, na konieczność opanowania tam formujących się oddziałów. Całą też później niepospolitą swą energję tam wyładowuje, nic też dziwnego, że i teraz śpieszy do I korpusu.

Rozkwaterowany w rejonie Bobrujska, liczący ponad dwadzieścia trzy tysiące ludzi, świetnie zaopatrzony, dysponujący ogromnymi zapasami wszelakiego sprzętu i materiału wojennego, I korpus przeżywał teraz denerwujące chwile, poprzedzające demobilizację. Poza sobą już mając dwumiesięczne, wyczerpujące, a bezużyteczne walki z oddziałami sowieckimi, na skutek czego, zamknąwszy sobie drogę na wschód, poniewoli zmuszony został do oddania się pod opiekę Niemców i Rady Regencyjnej, przeżywał teraz gorzkie chwile głębokich rozczarowań i poczucia własnej bezsilności. Generał Dowbór-Muśnicki, oplątany warunkami niemieckimi, zamknięty jak w pudle

¹³⁾ Instrukcja Komendanta Głównego P. O. W. do ob. Andrzeja Świtka z dnia 6 maja 1918 r. Arch. Inst. Badania Najn. Hist. Polski. Teki Fr. Studzińskiego.

w ciasnym rejonie Bobrujska, zwodzony gołosłownemi orędziami warszawskiego rządu polskiego, sam na swą osobistą odpowiedzialność biorąc polityczno-wojskowe rozstrzygnięcia, do czego najmniejszych od swych mocodawców z Naczpola nie miał upoważnień, przeżywał ciężkie teraz godziny korzenia się przed butnymi wysłannikami Ober-Ostu, naglącymi do demobilizacji korpusu, prącymi gwałtownie do kompletnego jego unicestwienia. Za niewykonalne zostały uznane plany przejścia przez Dniepr, w sztabie przygotowywane, za nierealną i szaloną uznana została myśl przebicia się na drugą stronę Dniepru, plan marszu na północ czy południe, w kierunku Murmanu czy Odesy.

Korpus skazany był na zagładę. Zdawano sobie z tego sprawę w Kijowie już od pierwszej, lutowej, między Niemcami a korpusem zawartej, umowy, zdawała sobie teraz sprawę z nieuniknionej jego zguby cała tamtejsza polska opinja, tragedją kaniowskiego boju i końcem II korpusu wstrząśnięta do głębi. Zdawali sobie zwłaszcza sprawę ci, którzy za wszelką cenę w samym korpusie zagładzie jego zamierzali przeciwdziałać, gorączkową w tym celu rozwijając tam pracę, wysłannicy Polskiej Organizacji Wojskowej i z nią sprzysięgli: Leopold Lis-Kula, Ignacy Matuszewski, Hubicki, Biernacki, Melchjor Wańkiewicz.

W takim momencie, w którym korpus znajdował się niejako już *in articulo mortis*, na dwa dni przed podpisaniem w dniu 21 maja przez generała Muśnickiego ostatecznych warunków kapitulacji przyjeżdża do Bobrujska Barta. Nawiazuje natychmiast porozumienie ze związkowcami, staje na ich czele, wraz z Lisem-Kulą wydając pilne, najkonieczniejsze zarządzenia, by w zbliżającej się nieuchronnie tragicznej nocy z 21 na 22 maja 1918 roku wyratować I korpus od zagłady, ocalić honor polskiego żołnierza.

Do ostatniej chwili, poza nieliczną garścią związkowców, łudzili się oficerowie i żołnierze I korpusu, że nie dojdzie do kapitulacji, że nie dopuści do niej ich dowódca, że zapewnienia jego o niedopuszczeniu do rozbrojenia będą dotrzymane. Tymczasem 20 maja wyjeżdża z Bobrujska pełnomocnik Muśnickiego, generał Karnicki, i po krótkich, bezowocnych zresztą próbach targu, na wyznaczoną ultymatywną godzinę 16-tą podpisuje w dniu 21 maja ośmnaście punktów kapitulacji korpusu.

Wiadomość o kapitulacji wstrząsnęła korpusem i przynagliła związkowców do natychmiastowego działania. Barta, po upewnieniu się, na jakie oddziały może liczyć, po zmobilizowaniu wszystkich sprzyśżonych, udaje się jeszcze raz do Dowbora, z którym w przeddzień krótką, lakoniczną przeprowadził rozmowę, by wymusić na nim wydanie rozkazu do walki. Muśnicki odmawia, wobec czego zostaje aresztowany. Barta obejmuje dowództwo korpusu, Matuszewski — szefostwo sztabu, Lis-Kula opanować ma twierdzę.

Biegną godziny krótkiej letniej nocy. Załoga twierdzy w całości jest gotowa, pułk inżynieryjny Skoryny stoi pod bronią, gotów każdej chwili do śmiertelnej walki, to samo kompanja samochodowa, oddziały lotnicze, szkoła podoficerska, kompanja sztabowa. Ani jeden z oddziałów twierdzy nie zawiódł.

Rozstrzygnięcie jednak leży poza załogą twierdzy, spoczywa w ręku dowódców 1, 2, 3 dywizyj strzeleckich. Dowódca dywizji 2-ej, generał Jaźwiński, odmawia wręcz poddania się pod rozkazy Barty, dywizja 1-a zwleka z odpowiedzią, dywizja 3-a zwołuje oficerskie zebranie. Jedna tylko dywizja kawaleryjska stanęła pod bronią i ciągnie już na Bobrujsk.

Związkowcy wiedzą jednak, że, gdy rozlegnie się łomot wystrzałów, żadna siła ludzka nie powstrzyma korpusu od uderzenia na Niemców. Walkę trzeba rozpocząć za wszelką cenę, zanim nadejdzie bład świt, zanim minie bezcenny moment zaskoczenia. Padają ostatnie rozkazy, gdy wtem nadchodzi złowroga wiadomość, iż Legja Oficerska, która wespół z pułkiem inżynieryjnym Skoryny uderzyć miała na niemiecką, słabą załogę twierdzy, odmawia posłuszeństwa.

Następuje tragiczny moment, sekunda wahania. Czy rozpocząć bez Legji, a z samym tylko pułkiem Skoryny, czy z Legją. Wbrew radzie Lisa - Kuli, Barta decyduje się Legję opanować. Bez jej dwu bataljonów opanować twierdzy się nie da...

W tym momencie, w owej sekundzie decyzji Barta ponosi klęskę. Jak przed miesiącem w Winnicy, przed oficerami korpusu III-go, podobnie i teraz staje twarzą w twarz wobec kwiatu korpusowej młodzieży, wobec oficerskiej jego Legji. Złowrogie wspomnienie winnickiej odmowy walki z Austryjaczami tkwi w nim nakształt bolesnego w piersi żelaza. W oficerów tych nie wierzy, głos jego nie potrafi ich porwać. Odmawiają

wręcz — wybierają hańbę. Noc z 21 na 22 maja blednie, jak biedną twarz Barty, Lisa-Kuli i Matuszewskiego.

Następuje krótki finał. Barta odwołuje wszystkie wydane rozkazy, nakazuje zwolnić Dowbora, oddając się do jego dyspozycji. Za chwilę opuszcza odwach przedstawiciel niemieckiego dowództwa, lejtenant Gördeler, związkowcom Dowbór nakazuje natychmiast opuścić Bobrujsk.

W kilka dni później w rozkazie dziennym rozbrajanego już korpusu ogłoszony został przez generała Dowbór-Muśnickiego punkt, w którym pułkownik Barta, kapitan Lis-Kula i podkapitan Matuszewski nazwani zostali „łotrami, za obce działającymi pieniędze”.

XI.

W ostatnich dniach „położenie w I korpusie zaczęło gwałtownie ulegać zmianie. Po naradzie z dowódcami dywizji gen. Dowbór odrzucił projekt marszu na wschód, do którego porobione już były daleko idące przygotowania. Siły niemieckie zaczęły gwałtownie wzrastać, mimo to zapanował w sztabie optymizm... wzrost sił niemieckich tłumaczono obawą przed nami, zresztą mówił szef sztabu, iż attaché niemiecki jest bardzo grzeczny i na zapytanie zaprzeczył, jakoby istniały zamiary rozbrojenia. Jeszcze jakie 2 — 3 miesiące możemy spokojnie siedzieć“.

„21 b. m. postawiono jednogodzinne ultimatum. Generał, wbrew wszystkim zapewnieniom dotychczasowym swoim, ultimatum przyjął.

„Nastrój w korpusie ostatnio poprawił się znacznie, to znaczy, że, gdyby rozpoczęto walkę z rozkazu generała, nie byłoby wypadku, że oddziały się rozbiegną i do ataku idzie kilka. Zrozumienia jednak tego, że zniesienie ostatniego, względnie niezależnego, oddziału polskiego jest przekreśleniem naszego prawa do bytu, nie było i niema. Przykro było patrzeć, jak z bardzo małymi wyjątkami walki II korpusu nie robiły żadnego wrażenia; jeżeli o nich wogóle się mówiło, to jako o bardzo dalekich, dziwnych lekkomyślnościach. Ja odnosiłem wrażenie, że gdyby walkę rozpoczął na własną rękę jeden z oddziałów I korpusu, to z małymi wyjątkami nie wpłynęłoby to na oddzia-

ty inne. Najgorzej pod tym względem, jak się później okazało, stała Legja, przeszło 1.100 oficerów.

„Mosty Niemcy obsadzili przed wręczeniem ultimatum, tak, że, dzięki rozproszkowanemu rozlokowaniu oddziałów, nie mogło już być mowy o przejściu na wschód. Wogóle przy około 5.500 bagnatów i szabel oraz 24.000 ludzi korpus był niesłychanie ciężką machiną.

„Pułkownikowi Barcie oświadczył Dowbór w dniu podpisania ultimatum, że dołoży wszelkich starań, ażeby po zdecydowaniu się na rozbrojenie demobilizacja odbyła się najspokojniej.

„Pozostała tylko możliwość marszu na południe, w kierunku Orszy, z której to strony było najmniej oddziałów niemieckich. Wcześniej czy później musiałyby się to skończyć rozpuszczeniem korpusu, jednak w każdym wypadku możnaby było istnieć 2 — 4 tygodnie.

„Po przyjęciu warunków niemieckich około godziny 6 wieczorem zapanowało dość wielkie poruszenie w oddziałach.

„Mając 3 małe oddziały, zupełnie oddane, w nocy z dnia 21 na 22 aresztowaliśmy generała i przedstawicieli niemieckich. Dowództwo korpusu objął płk. Barta. Komendanci wszystkich oddziałów i instytucyj, kwaterujących w twierdzy Babrujsk (2-ga dywizja, pułk inżynieryjny, Legja 2, kompanje etapowe, artylerja, żandarmerja i t. d.), zameldowali się pod rozkazy. Ogółem było tam około 1.700 bagnatów (razem z Legją), tak, że główny punkt ciężkości musiał spoczywać na Legji. Wszystko prysło z momentem wydania rozkazów do walki. Oba bataljony Legji urządziły meeting. Z innych oddziałów można było pociągnąć dość znaczne grupy. W każdym razie oddziału niemieckiego, rozlokowanego tuż pod twierdzą w trzech miejscach, razem około 800 ludzi i karab. maszyn., rozporządzalną siłą rozbroić nie było można. Ponieważ przewrotu dokonaliśmy nie poto, aby korpus zdemobilizować, z powodu negocjowania przez oddziały myśli walki (z całej Legji można było użyć około 50 oficerów), Barta odwołał wszystkie rozkazy i oddaliśmy się obaj do dyspozycji Dowbora. Dowbór sądził, że to jakiś zamach bolszewicki, dopiero gdy oficer, który przyszedł aresztować Bartę (czekaliśmy obaj w Sztapie), zameldował mu o mnie, przysłał adjutanta osobistego, ażeby nas skłonić do odejścia i „nierobienia mu trudności“...

Tyle spokojny, chłodny raport Lisa-Kuli, wysłany do Rydza-Śmigłego w dniu 28 maja, to jest w dniu, w którym Barta z najwybitniejszymi związkowcami znaleźli się zpowrotem w stolicy Ukrainy. Lis-Kula ze swą równą, spokojną i niewyczerpaną zarazem energją wnet zajął się przygotowywaniem ewakuacji tych ludzi I korpusu, którzy, mimo wszystko, w dalszym ciągu pragnęli organizować formacje wojskowe, Barta zaś, otrząsnąwszy się z chwilowego przygnębienia, poczyną znów gorączkowo szukać oddziałów wojskowych. Jakiś czas nosi się z zamiarem wyjazdu do Chmielnika, by czekające tam na moment rozbrojenia resztki korpusu III wyratować, porzućwszy jednak ten zamiar, zajął się wykładami na kursach lotnych oddziałów peowiackich. Nie daje to jednak ujścia gwałtownej jego energii, nie zaspakaja głodu czysto wojskowej pracy, głodu dowodzenia.

W tym to czasie przychodzą nań złe, niezdolne chwile, na krawędź samobójczej śmierci go prowadzące, buntujące niepohamowaną jego ambicję, doprowadzające do ostrych, dla pracy samej i dla niego szkodliwych, niepotrzebnych, zgoła zbędnych wybuchów. Pod ich gorącym tchnieniem wysyła do Rydza-Śmigłego obszerny, świetnymi i efektownymi, acz w niejednym miejscu nienaturalnymi pisany sztrychami, raport, w którym wyjaśnia słowami, malującami niecodzienną jego indywidualność, swój pogląd na stan wojskowych spraw na wschodzie, ocenę swojej dotychczasowej w nich roli, by zamknąć go niesłusznym, gorzkim i zapalczywym twierdzeniem, że Polska Organizacja Wojskowa straciła swą czynną, życiową rewolucyjność, przestała pracować metodami Piłsudskiego.

Nie zrywa jednak kontaktu z Lisem-Kulą, który w tym czasie obejmuje Komendę Naczelną Nr. 3 w Kijowie, nie doprowadza do potargania tych nici, które wiążą go z najbliższymi w Kijowie ludźmi. Szuka jednak ciągle możliwości dalszej pracy i wkrótce znajduje się w stronach, na które już w marcu wskazywał, w których na wiele tygodni przed tragicznym finałem korpusu II chciał widzieć formujące się polskie oddziały.

Terenem tym jest południe Rosji, Kubań i Odesa. Tam mocno jeszcze usadowione pozostały koalicyjne wpływy, tam, poza Murmanem, jedyny jeszcze pozostał kąs, gdzie upartą, niezłamaną, wiecznie żywą ideą wojska narodowego w czyn można wprowadzić. Tam też poczynają się zbierać rozbitki trzech

polskich korpusów, II legjonowej brygady, związków wojskowych Polaków, nędzarze teraz, wiodący gorzki żywot tułaczy.

Rychło poczynają powstawać oddziały przy boku antysowieckiej, ochotniczej armii generała Aleksiejewa. W „Staniczy Paskowskiej“ pod Ekaterynodarem powstaje bataljon piechoty, dywizjon jazdy, kompanja inżynieryjna i baterja dział. Organizuje ją Barta.

Powoli jednak, po upływie kilku tygodni, wzrastają oddziały, do których dzień po dniu, pojedynczo czy grupkami ściągają żołnierze-wędrowcy z dalekich stron. W październiku jest tu już generał Lucjan żeligowski, 1-ej jeszcze dywizji polskiej, później I korpusu niezawodny żołnierz, powstaje Dowództwo Wojsk Polskich na Wschodzie, poczyną się tworzyć tyle sławna później IV dywizja żeligowskiego, jedyna z wielu polskich dywizyj, na wschodzie tworzonych, która właśnie z tych stron, z południa Rosji, z kierunku, wlot przez Bartę swego czasu nakreślonego, zbrojną kolumną do wolnej już ojczyzny w najcięższych dlań chwilach wkroczyła.

Narazie daleko jest jednak do tych chwil. Jeszcze przyjdą radosne dla dywizji dnie, w których oficer i żołnierz dowie się o ziszczeniu się jego ideologii, o odrodzeniu państwa polskiego, jeszcze w ślad za tem przyjdą chwile złe, w których oficerowie porzucać poczną szeregi, by na własną rękę, jak najszybciej, dostać się do kraju, jeszcze przyjdą dni krwawych bojów, w których niejeden z niezłomnych żołnierzy zdala od kraju zamknie ostatni raz swe oczy.

W końcu listopada 1918 roku dywizja z Kubania przenosi się do Odesy. Stoją tam jeszcze liczne, niemałą siłę przedstawiające oddziały niemieckie i austriackie, lecz już pokonanych i zwyciężonych swych krajów, stoją antysowieckie oddziały rosyjskie, pełno ponadto wojsk francuskich i greckich, szykujących się do obrony ważnego odeskiego portu. Oddziały dywizji polskiej, w ustawicznych trwając walkach, jakie się rozwijały szerokim pierścieniem z naciskającymi na Odesę wojskami sowietów, rozrastają się coraz bardziej. Są już trzy pułki piechoty: 2, 13 i 14 pułk ułanów oraz pułk artylerji pod dowództwem Barty.

Sformował go Barta prawie z niczego. Utworzywszy w Odesie niewielki oddziałek, złożony z ochotników, raz po raz przeprowadzając akcje bojowe w obronie portu, w krótkim

czasie powiększył baterje swe o pokaźną ilość koni, amunicji i dział. W styczniu 1919 r. uderza na czele swego oddziału na transport Niemców, gotowych do odjazdu, zdobywając znów niemałą ilość materiału wojkowego, dzięki czemu, zwłaszcza po zdobyciu Terespolu, dywizjon składa się już z trzech bateryj, zaopatrzonych obficie w potrzebny sprzęt. Jednocześnie kieruje szkołą artyleryjską, dostarczywszy armji Hallera we Francji i do inspektoratu artylerji w Warszawie kilkuset świetnych artylerzystów.

W niedługim czasie, w miesiącu kwietniu oddziały koalicyjne, napierane coraz gwałtowniej ze wszystkich stron, postanawiają opuścić Odesę. Dywizja gen. Żeligowskiego otrzymuje rozkaz krycia odwrotu, tylnej straży przydzielony został II-gi pluton 1-ej baterji, przy działach której w ostatnim szeregu znajdował się Barta. Rankiem 5 kwietnia przy wyjściu z miasta baterja wpada pod gwałtowny ogień karabinów maszynowych i broni ręcznej, kierowany z odległości zaledwie dwudziestu kroków. W zażartej, bliskiej walce Barta, z karabinem w rękę stojący pod murem, pada uderzony kulą w brzuch. Pozostawiony u miejscowego popa, zabrany nazajutrz do szpitala, mimo dokonanej i udanej operacji, umiera z zakażenia krwi w dniu 7 kwietnia. Pogrzbem zajęła się p. Rybińska, członkini „Ligi Kobiet Polek w Odesie“. Z pieniędzy Barty, pozostawionych lekarzowi szpitalnemu, zakupiona została trumna i grób. Pogrzeb odbył się wczesnym rankiem, w sinym brzasku dnia i pokryjomu. Obok wykopano grób czterem polskim żołnierzom, tego samego dnia poległym, razem z pułkownikiem Bartą pochowanym.

W trzy tygodnie później, dnia 30 kwietnia 1919 r., dowodzący armją Dunaju generał Berthelot donosi w rozkazie dziennym, iż poległ „Le Colonel Barta, Commandant de l'artillerie polonaise, Officier superieur d'une haute valeur morale, et chef de Corps de premier ordre, gravement blessé le 5 avril 1919, en donnant à tous un admirable exemple de courage, d'audace et de sang-froid“¹⁴), poczem w niecały miesiąc później, w dniu 24 maja, generał d'Anselme, dowodzący I-szą Grupą dywizji, podnosi w rozkazie dziennym Grupy, iż „au cours de l'évacuation de la Russie meridionale, engagé dans un terrain difficile et ayant reçu une mission delicate a resisté vigoureusement à une attque ennemie et lui occasionna de lourdes pertes; de-

bordé, s'est fait tuer sur ses pièces plutôt que de les rendre. Courage antique" ¹⁴⁾).

Zaś w dwa i pół lata później, w dniu 30 listopada 1921 roku, minister spraw wojskowych Rzeczypospolitej Polskiej, generał Kazimierz Sosnkowski, zatwierdził podpisem orzeczenie, które w uzasadnieniu procesowym stwierdza, iż „zarzuty, stawiane pułkownikowi Barthłowi przez generała Józefa Dowbór-Muśnickiego, Oficerski Trybunał Orzekający uznał za bezpodstawne i wysoce krzywdzące“ oraz że „pułkownik Barthel de Weydenthal-Barta Przemyślów może być oficerem Wojska Polskiego“.

¹⁴⁾ Arch. Inst. Badania. Teka płk. Barty.

DOKUMENTY.

Do POLITYKI ANTYPOLSKIEJ NIEMIEC.

1.

NACZELNY PREZES
PROWINCJI POZNAŃSKIEJ
No. 146/80 S. I.

Poznań, 9 listopada 1880 r.

Poufne!

Z dotychczasowych doniesień prasy polskiej o uroczystościach 50-ej rocznicy powstania polskiego r. 1830/31 wnioskować należy, że panuje zamiar obchodzenia uroczystości w szerszych rozmiarach i nadania jej charakteru demonstracyjnego przeciwko istniejącemu łaadowi państwowemu, chociaż z ogłoszonych programów jedynie wynika, że 29 listopada ma się w kościołach katolickich odbyć nabożeństwo za uczestników powstania.

Proszę pana sprawie tej poświęcić szczególniejszą bacność i donieść niezwłocznie, skoro Pan dowie się o zamierzonych ze strony polskiej zarządzeniach, aby zawczasu rozważyć, czy nie należałoby wydać odpowiednich zakazów.

Naczelnny Prezes, rzeczywisty tajny radca
Günther

Do wszystkich panów landratów prowincji i prezesów policji.

* * *

Oryginał z akt magistratu w Gnieźnie. Oddział 170 L. 1. p. t. Dążenia polskie i wrogie niemieczyźnie nastroje.

2.

NACZELNY PREZES
6826/95 O. P.

Poznań, 26 czerwca 1895 r.

Tajne!

Podług podanej w Dzien. Poznańskim nr. 133 z 12 czerwca r. b. wiadomości, przybędzie ze Lwowa większa wycieczka celem zwiedzenia tutejszej prowincjonalnej wystawy przemy-

słowej. Ze zwiedzeniem wystawy połączona ma być masowa wycieczka do Gniezna, Inowrocławia, Kruszwicy i t. d.

Że zamiar taki istnieje, potwierdza odezwa wychodzącej w Krakowie „Reformy“ w numerze 139. „Reforma“ pisze, że wystawę przemysłową w Poznaniu pozbawiono z rozmysłem piętna polskości i że z tego powodu jest koniecznością podążyć tłumnie do Poznania, aby naocznie przekonać się o postępach polskiej pracy i uścisnąć dłoń naszych rodaków i zachęcić ich do obrony narodowych praw, zagwarantowanych nam traktatami podziałowemi.

Dalej wzywa się towarzystwa Sokołów, śpiewackie, kółka rolnicze udziałem w wycieczce dać dowód, jak żywo odczuwamy los naszych braci pozakordonowych.

Chociażby przyjazd galicyjskich Polaków miał mieć na celu jedynie zwiedzenie wystawy i przedsiębiorstw przemysłowych, nie jest wykluczonem, że dojdzie odruchowo do masowych polskich manifestacyj.

Proszę Pana zaopatrzyć podlegające mu władze policyjne w odpowiednie instrukcje i nakazać im ruchy wycieczkowiczów obserwować i przeciwstawiać się z całą stanowczością wszelkim zakusom masowych polskich demonstracyj, przyczem zwracam uwagę, że policji przysługuje prawo w obronie bezpieczeństwa spokoju i publicznego ładu każdego obcokrajowca w y d a l i ć z g r a n i c p a ń s t w a .

v. Willamowitz.

Do P. Prezesa rejencji, rzeczywistego tajnego radcy rejencyjnego von Tiedemanna w Bydgoszczy:

* * *

Tłumaczenie z akt magistratu w Gnieźnie p. t. „Ruch polski i wrocie niemieczyźnie dążenia“.

3.

NACZELNY PREZES
PROWINCJI POZNAŃSKIEJ
I, No. 5246/98 O. P.

Poznań, 26 maja 1898 r.

Dnia 24 grudnia r. b. upływa sto lat od urodzenia polskiego poety Adama Mickiewicza. W najbliższym czasie w rozmaitych miejscowościach mają się odbyć uroczystości. Aby zapobiec wybrykom (Ausschreitungen), należy trzymać się wskazówek, wydanych przy obchodach ku uczczeniu Sobieskiego i Kościuszki w moich dekretach z 27 sierpnia, 3 i 5 września 1883 No. 207, 229, 238 S. J. i 20 marca 1894 No. 128 S. J. Jednakże uważane wówczas jako dopuszczalne wywieszanie chorągwi biało-czerwonych stało się obecnie bezprawnem z powodu zarządzonej

w międzyczasie zmiany kolorów prowincjonalnych¹⁾. Z tendencji utworów Mickiewicza i ze znaczenia, jakie prasa polska przypisuje uroczystościom, należy przyjąć, że obchód ma na celu propagandę polskości.

Stosownie do przepisów § 1 i 4 ustawy o stowarzyszeniach należy, aby zebrania były jako polityczne zgłoszone w policji i policyjnie kontrolowane.

Willamowitz

Do pana Prezesa rejencji w Bydgoszczy.
Do własnych rąk.

Na odwrotnej stronie: Bydgoszcz, 8 czerwca 1898

PREZES REJENCJI
J. N. 180 S. J.

Tajne!

Przesyłam odpis do wiadomości i zastosowania się Wspomniany dekret z 3 września 1883 zakazuje umieszczania tablic pamiątkowych w miejscach publicznych na mocy § 9 ustawy prasowej (?) z 12 maja 1851 (dzien. ustaw str. 273).

O przebiegu uroczystości w obwodzie Pana proszę mi donieść do 15 grudnia r. b., o ile ważne zajścia nie spowodują wcześniejszego sprawozdania.

Tidemann.

Do wszystkich landratów okręgu.

4.

PREZES REJENCJI J. N. 285
G. I. Tajne!

Bydgoszcz, 17 czerwca 1902 r.

Do rąk własnych.

Doszło do wiadomości Pana naczelnego Prezesa, że w cechach rzemieślniczych odzywają się narodowe polskie dążenia.

Polscy majstrowie usiłują wszędzie tam, gdzie mają większość w cechu, wprowadzić rozprawy w języku polskim, pomimo, że dla cechów, jako korporacyj prawa publicznego, obowiązującą jest ustawa z dn. 26 sierpnia 1876 r. o języku urzędowym. Niemiecy majstrowie zmuszeni są albo rozprawiać po polsku, co czynią, jeśli mają polską klientelę, albo nie przychodzić na posiedzenia i płacić karę. Czynią to tem chętniej, uczuwając często jak podczas albo po posiedzeniu drwi się z Niemców.

W cechach, w których polscy majstrowie znajdują się w mniejszości, usiłują Polacy uprzykrzać życie Niemcom w ten

¹⁾ Objasnienie. Pierwotnymi kolorami W. Ks. Poznańskiego był kolor biały i amarantowy. Dekretem Królestwa nadano prow. poznańskiej kolory białe i czarne i czarny krzyż na białym polu.

sposób, że skoro przewodniczący się odezwie, jeden z majstrów to samo po polsku powtórzy. Nawet w takich cechach woła do-brodusznymi Niemcy, którzy żyć tylko chcą dla interesu, płacić kary i posiedzeń unikać.

Zachodzi poważna obawa, że wszędzie tam, gdzie Niemcy majstrowie fachowi nie są w większości, będą usiłowania z polskiej strony oddać cechy w usługi polskiej propagandy.

Pan naczelny prezes życzy sobie zebrać ściśle wiadomości o istniejących w cechach stosunkach. Proszę dlatego donieść mi, ściśle poufnie, jak sprawa ta ukształtowała się w pańskim okręgu, i zdać mi sprawozdanie w przeciągu czterech tygodni.

K r u z e.

Do panów landratów i panów pierwszych burmistrzów.

5.

NACZELNY PREZES
PROWINCJI POZNAŃSKIEJ
J. No. 8925/02 A.

Poznań, 9 października 1902 r.

Podług sprawozdania tutejszego prezesa policji mają odbyć się w najbliższym czasie w rozmaitych miejscowościach prowincji uroczystości jubileuszowe na cześć polskiej poetki Marji Konopnickiej.

Polska poetka Konopnicka, będąca członkiem honorowym polskiego muzeum narodowego w Rapperswilu, zagroziła poezjami swemi w brutalny sposób spokojowi Pruskiego Państwa. Między innymi w wierszu, zatytułowanym „Prusak męczy polskie dzieci“, ogłoszonym w gazecie, wychodzącej w Ameryce, w Pittsburgu — „Wielkopolanin“, wzywa do jawnego powstania przeciwko pruskiemu panowaniu i tem samem do walki przeciwko niemieckiej ludności. Wiersz ten był przedmiotem rozprawy tutejszej Izby karnej z 12 czerwca r. b. w postępowaniu zaocznem przeciwko amerykańskiej gazecie „Wielkopolanin“.

Izba karna zawyrokowała, że wszystkie w posiadaniu autora, drukarza, wydawcy oraz księgarzy znajdujące się egzemplarze numeru 12-go tejże gazety zniszczyć należy. W motywach wyroku ustalił sąd, że treść wiersza podburza rozmaite klasy ludności do gwałtów.

Wobec tego zachodzi konieczność zamierzonych obchodów na cześć Konopnickiej wogóle zakazać.

W zastępstwie
E h o n.

Do pana prezesa rejencji w Bydgoszczy.

6.

PREZES REJENCJI
J. No. 4053 Ia Q.

Bydgoszcz, 1.12.02 r.

Poufne!

Polscy adwokaci należą do tych osób, które najbardziej czynnie popierają narodowe polskie dążenia.

Proszę o oświadczenie, jacy adwokaci w Pana powiecie uchodzą za agitatorów, w jakim kierunku politycznym występują i jaki wpływ posiadają.

Zarazem chciałbym wiedzieć, czy zachodzi potrzeba osiedlenia się w pewnych miejscowościach adwokata Niemca i czy w danym razie przy pomocy zapomogi ze strony państwa — jak to się dzieje u lekarzy — byłyby widoki udaremnienia wpływów polskich.

K r u s e.

Do wszystkich landratów okręgu.

7.

PREZES
PROWINCJI POZNAŃSKIEJ

Poznań, 18.5.1908 r.

Tajne!

Proszę Pana donieść mi do 1 lipca r. b., którzy z katolickich duchownych w powiecie pana okazali się przy wyborach do sejmu polsko-narodowo usposobieni i w jaki sposób odznaczyli się przy agitacji wyborczej.

v. Waldow.

Własnoręcznie

Rządowi przysługiwało przy niektórych hojnie uposażonych beneficjach kościelnych prawo prezentacji proboszczów. Rząd pomijał przy obsadzaniu probostw rządowego patronatu księży patrijotów i była mu potrzebna kontrola nad klerem. Wybory do sejmu pruskiego były jawne, kontrola nie była więc trudną. Miało na celu odstraszyć młodych księży od udziału w pracy nad ludem i od szerzenia wśród ludu oświaty narodowej. Zabór pruski miał brak inteligencji i kler był dla obrony narodowej niezmiernie ważnym czynnikiem.

8.

PREZES REJENCJI
No. 4692 Q. Ia.

Bydgoszcz, 9 czerwca 1910 r.

Tajne!

Doniesiono mi poufnie, że niejaki Tadeusz Gutkowski, członek akademickiego kółka Towarzystwa Szkoły Ludowej w Krakowie, jeździ po Górnym Śląsku w celu zorganizowania wycieczki górnoślązaków do Krakowa na uroczystość pamiątkową

bitwy pod Tannenbergiem. Robi się starania, by pozyskać w każdej miejscowości męża zaufania, usposobionego polskonarodowo i umiejącego utrzymać tajemnicę.

Podług najnowszych doniesień objeżdża Gutkowski nietylko Górny Śląsk, ale także prowincję poznańską, wschodnio i zachodnio pruską i stara się skłonić Polaków do udziału w wycieczce na uroczystość grunwaldzką. Wzywam do poszukiwania i śledzenia, wrazie przychwycenia go, proszę wezwać do natychmiastowego opuszczenia pruskiego terenu państwowego i to jaknajkrótszą drogą.

W danym razie należy mi złożyć niezwłocznie sprawozdanie.

w. z.

Do Panów landratów i miejskich urzędów policyjnych.

9.

PREZES NACZELNY
PROWINCJI POZNAŃSKIEJ
O. P. 9525/12 A.

Poznań, 9 grudnia 1912 r.

Tajne!

Proszę Pana o możliwie śpieszną wiadomość, kiedy, gdzie i w jaki sposób zamierzają Polacy obchodzić uroczystość powstania styczniowego r. 1863, mianowicie czy mają odbywać się uroczystości w kościołach? Czy znanem jest, czy i jakie zajmują stanowisko co do udziału organów kościelnych duchowne władze przełożone?

Mam złożyć panu ministrowi śpieszne sprawozdanie i dla tego proszę o możliwie szybką odpowiedź.

w. z. Thon.

Do p. Prezesa rejencji w Bydgoszczy.

Na odwrotnej stronie znajduje się relacja policji gnieźnieńskiej, która brzmi w tłumaczeniu:

Dotychczas nie można było wywieść się, gdzie i w jaki sposób Polacy zamierzają obchodzić rocznicę styczniowego powstania.

O ile tutaj wiadomo, biskup Likowski odmówił pozwolenia na żałobne nabożeństwa.

Gniezno, 18.12.1912.

Urząd policyjny
Schoppen.

10.

PREZES REJENCJI
J. No. 1260 I u. E.

Bydgoszcz, 14 czerwca 1913 r.

W obwodzie rejencji poznańskiej uzalają się, że wkłady Polaków w komunalnych kasach oszczędnościowych cofnęły się i częściowo prawie zupełnie zanikły. Przypuszczać należy, że Polacy znoszą swe oszczędności do polskich banków.

Natomiast zauważono, że, gdy chodzi o pożyczki i hypoteki, zwracają się Polacy do publicznych kas oszczędności.

Jako środek obrony zamierza się w okręgu rejencji poznańskiej, skoro zachodzi potrzeba wypowiedzenia pożyczek, w pierwszej linii wypowiadać sumy, udzielone Polakom.

Proszę o oświadczenie, czy te same spostrzeżenia zrobiono także w tamtejszym obwodzie rejencyjnym i jakie tamtejsza administracja zajęła wobec tego stanowisko. Zarazem proszę donieść, w jakim stosunku stoją udzielone Polakom pożyczki do pożyczek, przyznanych Niemcom. O ile możności proszę podać stosunek w procentach i to tak co do kwot wkładek, jak pożyczek.

w. z. v. Gottberg.

Do Panów landratów okręgu i pierwszych burmistrzów Bydgoszczy, Gniezna, Inowrocławia i Piły.

Własnoręcznie!

Podał *Antoni Karpiński*

MISCELLANEA

Z POBYTU W TUNCE¹⁾.

W cytadeli siedziałem na dole, w środkowym korytarzu, w celi Nr. 15, a naprzeciw siedział, a właściwie leżał, Razumiejczyk, który zaraz po aresztowaniu zachorował na galopujące suchoty. Często słyszałem przez drzwi jego okropny kaszel. Na widzenia z matką noszono go do kancelarji na krześle, bo chodzić już sam nie mógł. Wkrótce zmarł, zmarła również w X pawilonie na suchoty jego siostra, wzięta w kilka miesięcy po mojem aresztowaniu. Po śmierci matka Razumiejczyka, kobieta nerwowa, przychodziła do X pawilonu i urzędowała żandarmom awantury, za co zesłano ją na 3 lata do gub. Nowgorodzkiej.

Wiosną r. 1889 z początku wywieziono nas na Pawiak, a po kilku dniach do Moskwy do „Butyrek“. W „Butyrkach“ już zastaliśmy kilku Rosjan, potem zaś przywieziono jeszcze kilku więźniów, osądzonych na katorgę w sprawie zamachu na Aleksandra III. W tej liczbie Tytusa Paszkowskiego, krewnego zmarłej nie tak dawno Marji Paszkowskiej; był skazany na 10 lat katorgi, po odbyciu której w gub. Jakuckiej zastrzelił się.

Latem wywieziono nas z Moskwy razem z Rosjanami w liczbie około 70 na Sybir. Ci, co byli skazani na zesłanie do gub. Tobolskiej, pozostali w mieście Tiumentiu, skazani zaś do Wschodniej Syberji lub do gub. Tomskiej na „barży“ pojechali do Tomsku. W Tomsku mieliśmy miłe spotkanie z „politycznym“, kapitanem żandarmów warszawskich, Własowym, który robił u mnie rewizję i który mnie aresztował. Za roztrwonienie pieniędzy skarbowych Własow został zdegradowany, pozbawiony praw i zesłany do gub. Tobolskiej. Eks-kapitan siedział

¹⁾ Autor tych wspomnień należał od końca r. 1884 do „Proletarjatu“ i został aresztowany we wrześniu 1885 r. w Warszawie. Po prawie dwuletnim pobycie w cytadeli wywieziony na Sybir, znalazł się w Tunce, w gronie zesłańców Polaków i Rosjan, wśród których nie brakowało ludzi o znanych nazwiskach. Red.

w Tiumeniu razem z innymi przestępcami kryminalnymi, czem bardzo był skonfundowany, narzekał na niesprawiedliwość rządu i zdradzał „tajemnice“ żandarmów — tajemnice, któreśmy i bez niego znali.

Z Tomska wysyłano politycznych niedużemi partjami, po 10—12. W pierwszej takiej partji pojechało nas 12: Bohuszewiczówna, Felsenhardt, Mancewicz, Łacki, Strzemiński, Wojnicz, paru robotników i kilku Rosjan. Z początku podróż była bardzo przyjemna, bo pogoda była dobra — sucha i ciepła. Lecz wkrótce zaczęły się deszcze, i Bohuszewiczówna przeziębiła się, a ponieważ jeszcze w X pawilonie zachorowała na suchoty, więc na etapach rozchorowała się na dobre i musiała pozostać w więzieniu Krasnojarskiem. Przy niej pozostał Mancewicz, na którego rękach po kilku miesiącach zmarła. Pochowano ją na cmentarzu katolickim w Krasnojarsku.

Partje politycznych nie szły samodzielnie, lecz razem z ogromnemi partjami kryminalistów. Wprawdzie politycznych zawsze zamykano do małego pokoiku, odgrozonego deskami od ogólnego baraku na kilkaset kryminalistów, lecz „parasza“ była wspólna dla polityków i dla kryminalistów i stała u tych ostatnich. Łatwo sobie wyobrazić, co to była za okropność dla naszych kobiet korzystanie z „paraszy“ na oczach kilkuset mężczyzn.

Po wyjeździe z Krasnojarska warunki naszej podróży strasznie pogorszyły się. Na etapach panował tyfus plamisty, z rana, wychodząc z etapu, trzeba było przechodzić przez liczne trupy, które leżały na podłodze i w korytarzu. Trzeba dziwić się, że stosunkowo umierało niedużo, choć wszy na etapach było moc. Pierwszy na tyfus zachorował Strzemiński i pozostał w Birusie z Łackim, który go pielęgnował. Wkrótce zmarł Strzemiński, a Łacki nas dopędził w Niżnieudińsku. Następnie zachorowałem ja, potem Felsenhardt i robotnik Wilczyński. Już chorych dowieziono nas do Niżnieudińska, gdzie był szpital, lecz miejscowy doktor nie radził nas zostawiać w szpitalu, ponieważ był on wogóle w okropnym stanie i przepełniony kryminalistami tak, że my, trzej chorzy, leżeliśmy w jednym pokoju ze zdrowymi. Rozalja Felsenhardt (narzeczona Feliksa Kohna) zmarła, Wilczyński zaś i ja wyzdrowieliśmy i już zimą pojechaliliśmy do Irkucka.

Do Tunki²⁾ przyjechałem w grudniu 1887 r. i zastałem tam Wojnicza, który przyjechał wcześniej, gdy ja leżałem cho-

²⁾ Wieś Tunka, położona w dolinie rzeki Tunki, w 90 klm. na południowy zachód od jeziora Bajkału, między dwoma łańcuchami gór, niedaleko od granicy mongolskiej. W r. 1863—4 do Tunki było zesłanych 180 księży, z których w r. 1887 pozostało tylko kilku. Zajmowali się handlem, pożenili się z sybiraczkami i wszyscy dorobili się dużych majątków.

ry w Niżnieudińsku. Mancewicz przyjechał w pół roku później, ponieważ odsiadywał w więzieniu Irkuckiem półroczną karę za zamachnięcie się na zawiadowcę X pawilonu, rotm. Furse, i wobec tego w pół roku później ode mnie mógł wyjechać z Tunki. Oprócz Wojnicza zastałem w Tunce z Polaków: Bronisława Szwarcego, po pół roku z Irkuckiego więzienia przyjechał Michał Mancewicz, a latem 1889 r. Józef Piłsudski, zwolniony z Kireńska do Tunki dla poprawy zdrowia, ponieważ Tunka słusznie uważana była w całej Syberji za bardzo zdrową miejscowość. Piłsudski był zesłany do Kireńska w r. 1887 w sprawie zamachu 1-go marca 1887 r. na Aleksandra III. On był najmłodszy z nas wszystkich — miał wtenczas 21 — 22 lat. Był bardzo chudy i wątły, trochę przygarbiony, piersi miał wpadnięte, ciągle kaszlał. Może były to skutki nienormalnych urodzin, urodził się bowiem w 7-ym miesiącu ciąży matki, jak sam opowiadał. Pierwsze lata dzieciństwa spędził wśród bon i gu-guernantek, bo ojciec jego należał do bardzo zamożnych sfer ziemiańskich, lesz stopniowo stracił dwa ogromne majątki, dzięki budowaniu różnych zakładów przemysłowych w swych posiadłościach. W czasie przebywania Piłsudskiego na Syberji, o ile przypominam, rodzice jego już nie posiadali żadnego majątku.

W Tunce pobieraliśmy 10 rubli zapomogi miesięcznie od rządu, a wszystkie towary, przywożone z Rosji, jak cukier, nafta, ubranie i t. p. były dwa-trzy razy droższe niż w Rosji. Prowadziliśmy więc z musu życie „tryglodytów“, jak nas nazywali towarzysze, zamieszkali w Irkucku. Otóż Piłsudski wyróżniał się nawet wśród „tryglodytów“ tem, że absolutnie nie dbał o swe wygody: obiadów np. nigdy nie gotował, zadawała się chlebem i mlekiem, jeśli który z towarzyszy nie nakarmił go obiadem. Wyróżniał się jeszcze i tem, że gdy wszyscy zesłańcy podawali rękę „nadzorcy“ (który raz lub dwa razy na tydzień obchodził mieszkania, aby przekonać się, czy wszyscy są w Tunce obecni) — człowiekowi grzecznemu i potulnemu, Piłsudski mu ręki nie podawał. Pozatem niczem się wówczas nie wyróżniał od innych — ani zdolnościami, ani rozumem.

Był wśród nas jeden towarzysz, bardzo zdolny, bardzo ocytany, więc byliśmy pewni, że z niego wyjdzie albo wielki uczonec, albo pisarz znakomity, jednakże na całe życie pozostał urzędnikiem banku prowincjonalnego w Rosji. Drugi towarzysz, Rosjanin Rklicki, marzył po powrocie z Syberji o zostaniu na Ukrainie „pasiecznikiem“ — „bo do czegoś więcej jestem zdolny?“ — mówił. Tymczasem wyszedł z niego znany statystyk i ekonomista, który za prace statystyczne otrzymał kilka nagród naukowych i pisywał opowiadania z Tunki, przyjmowane do druku przez najlepsze miesięczniki w Rosji. Tak to trudno wydawać sąd o ludziach nawet już dojrzałego wieku!

Wojnicz na drugi rok pobytu w Tunce chciał niby skończyć samobójstwem. Przeszelił sobie zlekka skórę na pierśsiach, a wkrótce potem uciekł zagranicę. Miał on wybujałą fantazję i wyniki jej podawał za rzeczywistość, w którą sam święcie wierzył. Z czasem został — z początku w Londynie, a później w Nowym-Yorku bardzo praktycznym kupcem antykwarjuszem i dorobił się znacznego majątku, którym rad był zawsze podzielić się z każdym. I tak w tym człowieku były w zgodzie — niezwykła fantazja (inni to łgarstwem nazywali), praktyczność istic amerykańska i dobre serce. Wojnicz był żonaty z Angielką, znaną powieściopisarką. Umarł w początkach r. 1920 w Nowym-Yorku.

Bronisław Szwarce był zesłany do Tunki z Tomska za udział w politycznym „Czerwonym Krzyżu“. Do Tomska zaś przyjechał z Turkiestanu, dokąd był wysłany z fortecy Szlisselburskiej, w której przesiedział 7 lat za udział w powstaniu 1863 r. W fortecy miał tylko książki treści geograficznej i filologicznej, więc stał się wielkim geografem i poliglotą. Nie było, zdaje się, na świecie takiej małej rzeczki lub miejsciny, o którejby nie wiedział, i posiadał wiele języków. Ale 7 lat samotności i obcowania tylko z książkami pozostawiło ślady w jego psychice. Zajmował się astrologją i wyniki swych studjów astrologicznych przenośił na misternie kreślone mapy, na których były wyrysowane nieistniejące morza, góry, rzeki i t. d. w połączeniu z gwiazdami. Map tych nikomu nie pokazywał, — „Jak skończę, to cały świat zobaczy i będzie podziwiał“ — odpowiedział na moją prośbę o wytłumaczeniu znaczenia map, przy których przypadkowo zastałem go pracującego. Pozatem był to zupełnie normalny człowiek o wielkiej erudycji we wszystkich gałęziach wiedzy. W r. 1890, jeśli się nie mylę, pozwolono mu wyjechać zagranicę, ponieważ był obywatelem francuskim, jako urodzony we Francji z matki Francuski i ojca emigranta z 1830 r.

Mancewicz, Piłsudski i wyżej wspomniany Rklicki większą część czasu spędzali razem na myślistwie: nie zważając na 30-stopniowy mróz, niemal codziennie zimą wychodzili do tajgi, a w jesieni i wiosną po pas w wodzie polowali na kaczki, latem zaś jeszcze z paroma towarzyszami wychodzili 40 — 50 klm. w góry rąbać drzewo na opał, które następnie wiązali w tratwy i spławiali po rzekach Irkucie i Tunce do Tunki.

Inni towarzysze, a było nas w Tunce około 15 osób, w tej liczbie 3 — 4 kobiety, studjowaliśmy języki, matematykę, prawo i t. p. Dla tych zesłańców, którzy znaleźli pracę, zajmującą cały ich czas, wygnanie nie było uciążliwym. Kto zaś nie umiał oddać się przyjemnej dla niego pracy, ten tęsknił, rozpijał się lub kończył życie samobójstwem. Ja zawsze miałem pociąg do prawa, więc z przyjemnością studjowałem nauki prawnicze,

zapisywałem prawo obyczajowe miejscowych chłopów, kozaków, Burjatów, wierzenia religijne prawosławnych i budystów i t. p. — słowem byłem zajęty, więc nie miałem czasu na tęsknotę.

14.VII.1930.

Stefan Juszczynski.

DO BIOGRAFJI JÓZEFA MIRECKIEGO.

I.

Notatka autobiograficzna ¹⁾.

J ó z e f M i r e c k i, l a t 26.

Aresztowano mnie 2 maja 1902 r. w wojsku, w Petersburgu i stamtąd odwieziono do Piotrkowa. Oskarżono o należenie do P. P. S. i działalność w Zagłębiu. O zdrajcach trudno jest cośkolwiek pewnego powiedzieć, gdyż 1) aresztowany zostałem przy końcu śledztwa, więcej niż w rok po pierwszych aresztach w tej sprawie; 2) ilość osób badanych była dość wielka: po ukończeniu śledztwa w sprawie figurowało 168 osób.

Badano mnie dwa razy. Pierwsze badanie poświęcone było omawianiu mojego udziału w ruchu. Rotmistrz żandarmów Gorlenko doradzał przyznanie się do wszystkiego, lecz rada jego nie poskutkowała. Do niczego się nie przyznałem, tak, że w końcu fijoł chciał napisać, że odmawiam zeznań, ja jednak nie przystałem na to, obawiając się, abym, jako żołnierz, nie był karany za bezpośrednią odmowę. Ostatecznie w pierwszym protokule są tylko odpowiedzi przeczące.

Na drugim badaniu tłumaczyłem i objaśniałem fijołowi listy, zabrane podczas rewizji u mnie.

Początkowo siedziałem sam, lecz po ukończeniu śledztwa (19.VI.1902) dano mi towarzysza w znacznej osobie Stanisława Piątkowskiego, aresztowanego (grudzień 1902) w sprawie łódzkiej.

Z Piotrkowa, gdzie warunki były możliwe, szczególnie pod koniec, gdy skutek naszego bezustannego pilowania uzyskaliśmy wspaniałe oświetlenie, materiały piśmienne, bibliotekę, i gdzie władza więzienna zachowywała się dość grzecznie i nieraz czyniła ustępstwa, wywieziono nas z początku kwietnia 1903 r. do wstrętnego więzienia Radomskiego.

Tam chciano, abyśmy przed naczalstwem stali „na wytiażku“, abyśmy przy sprawdzaniu wieczorem podnosili się z sienników i t. d. Przeciw takiemu żądaniu protestowaliśmy i nie spełnialiśmy ich.

¹⁾ Z Archiwum P. P. S.

Stanowisko wojujące, jakie zajęliśmy wobec naczałstwa, nie wpłynęło łagodząco na jego wrogie usposobienie. Toteż po manifestacji majowej (patrz Nr. 51 „Robotnika“) ²⁾ nie tylko wytoczono nam drugą sprawę, lecz wszelkimi sposobami starano się nas zgnębić...

O wyroku zawiadomiono mnie w lutym 1904 r., lecz jednocześnie oznajmiono, że z powodu wojny wysłania na wschód wstrzymano i że nie wiadomo, co dalej będzie. Radzono mi, abym wstąpił na ochotnika do armji czynnej, lecz odmówiłem.

W drugiej połowie kwietnia oznajmiono, że, zawdzięczając Japończykom, będę wysłany nie na Syberję, lecz do gub. Ołonieckiej. Przyjąłem to do wiadomości i w towarzystwie różnych opryszków wyjechałem z Radomia 19.IV.1904 r. Podróż trwała miesiąc.

Pierwsze trzy miesiące mieszkałem w wiosce, później przenieśliem się do Wyteгры, gdzie zastałem kilku zesłańców. Był pomiędzy nimi i taki, który mniemał, że P. P. S. to właśnie narodowa demokracja, w której głównymi działaczami są... ogoleni księża! i że jedyną partją socjalistyczną jest „Proletariat“.

O ile umiałem, tłumaczyłem, jak rzeczy stoją, i broniłem (zdaje się, z dobrym skutkiem) żądania Niepodległości.

Nie mogąc znaleźć jakiegokolwiek zarobku, postanowiłem wyjechać z Wyteгры wcześniej, niż miałem być poprzednio zamiar. Wystarałem się więc o pożyczkę i 16.I.1905 r. wyjechałem. Drogę skierowałem na Petersburg (370 wiorst koźmi). Jechałem bez paszportu. Pierwsze trzydzieści wiorst wiózł mnie wtajemniczony włościanin — dalej udawałem „prikazczika“, po trzech dobach drogi byłem w Warszawie i, gdyby nie to, że w miejscowości, przez którą miałem przejść, leżały głębokie śniegi, byłbym na czwartą dobę w Krakowie. Wskutek właśnie tych śniegów zmuszony byłem dwa miesiące tulać się po znajomych i dalszych krewnych i dopiero 15.III przeszedłem pas kordonowy. Przytem tak mi już było pilno to uczynić, że aż pogubiłem kalosze.

²⁾ W n-rze 51 „Robotnika“ z dn. 1 sierpnia 1905 r. w dziale „Święto majowe“ znajdujemy następującą wzmiankę: „Towarzysze, siedzący w więzieniu radomskim, 1-o maja wyszli na podwórze przepasani czerwonymi szarfami i zaśpiewali „Czerwony Sztandar“ oraz inne nasze pieśni. Za karę przeniesiono ich do innych, gorszych cel, odebrano też światło, książki i tytoń. Towarzysze na wolności bierzcie przykład z tych dzielnych braci naszych, którzy nawet w okowach potrafią manifestować dla sprawy robotniczej! Dodamy, że 3-go maja kryminaliści o godz. 7-ej urządzili bunt i porozbijali okna, stołki i t. d. i wyszli na podwórze z okrzykiem: niech żyje Polska! niech żyją socjaliści! Jak w pierwszym, tak i w drugim wypadku publiczność tłumnie zgromadziła się koło więzienia“.

II.

Józef Mirecki w więzieniu Piotrkowskiem.

(od 6 maja 1902 do 7 kwietnia 1903).

Dostał się w nasze ręce akt więzienny Józefa Mireckiego z czasów jego pobytu w więzieniu piotrkowskiem. Aczkolwiek zawiódł on nasze nadzieje i nie zawiera ciekawych szczegółów, uważamy jednak za potrzebne ogłoszenie tego przyczynku do życia tego człowieka na wielką miarę. Może przyszły biograf z tego materiału skorzysta.

Mirecki został aresztowany w czasie, gdy odbywał służbę wojskową, jako szeregowiec bataljonu saperskiego lejbgwardji w Petersburgu. Polecenie aresztowania wydał rotmistrz żandarmerji Michał Gorlenko, naczelnik komendy żandarmerji na powiaty częstochowski i noworadomski w związku z jego poprzednią działalnością na terenie Zagłębia Dąbrowskiego. Oskarżony został na podstawie zeznań jednego z aresztowanych, który sypał¹⁾. Oskarżono go z artykułów 250, 252 i 318 t. zw. „Ułożenia o nakazaniach ugołownych i isprawitielnych“. Artykuły 250 i 252 traktują o buncie przeciw władzy zwierzchniej, mianowicie artykuł 250 mówi o zamiarze buntu, zaś art. 252 — o wydawaniu i rozpowszechnianiu pism i wygłaszaniu mów o charakterze buntowniczym. Art. 318 zaś tyczy się przestępstwa należenia do stowarzyszeń nielegalnych.

Mirecki został oddany władzom więziennym dnia 6 maja 1902 r. (23 kwietnia st. st.) o godzinie 6 rano wraz z pismem naczelnika Piotrkowskiej Gubernjalnej Komendy żandarmerji, płk. Lwa Uthofa, polecającem umieścić go pod strażą w oddzielnej celi. Wedle zestawionego 9 maja „Zawiadomienia o przybyciu aresztanta“ Józef Mirecki, syn Teodora, szlachcic, lat 23²⁾, został aresztowany na podstawie postanowienia rotmistrza oddzielnego korpusu żandarmerji, Gorlenki, z dnia 9 maja 1902 r., z oskarżenia o przestępstwa z wyżej wyszczególnionych artykułów. Śledztwo prowadził przeciw niemu pomocnik podprokuratora, który miał powierzoną sobie sprawę o należenie do P. P. S. powiatu będzińskiego, Anatol Czechowski.

Mirecki przebywał w więzieniu piotrkowskiem przez 11 miesięcy. Akt więzienny, niestety, niezbyt wiele rozjaśnia nam ten okres jego życia. Dowiadujemy się, że w czasie tym miał t. zw. widzenia z dwiema tylko osobami, z matką, Franciszką, i bratem. Wacławem. Ogółem miał takich widzeń dziesięć, cztery z matką i sześć z bratem. Oto ich zestawienie:

1) Szczegół ten podaje Arciszewski w swym życiorysie Mireckiego, umieszczonym w N-rze 29 „Pobudki“ z 17 lipca 1927 r.

2) Mirecki urodził się 27 lutego 1879 r.

Rok	Miesiąc i dzień	Godzina	Z kim	Za czyjemi zezwoleniem
1902	9 czerw.	4 pp.	Franciszka Mirecka	Nacz. Piotr. Gub. Żandarm.
"	23 "	1 w poł.	Franciszka Mirecka	" " " "
"	26 "	11 rano	Franciszka Mirecka	" " " "
"	20 lipca	10 "	Wacław Mirecki	" " " "
"	3 sierp.	1 w poł.	Wacław Mirecki	Pom. prokuratora
"	25 paźdź.	1 "	Franciszka Mirecka	" " " "
"	30 listop.	10 rano	Wacław Mirecki	Prokurator
1903	2 lutego	12 w poł.	Wacław Mirecki	Pom. prokuratora
"	23 "	10 rano	Wacław Mirecki	" " " "
"	6 kwiet.	11 "	Wacław Mirecki	" " " "

Ostatnie zatem widzenie się z bratem nastąpiło w przeddniu opuszczenia przez niego więzienia piotrkowskiego. Należy przypuszczać jednak, że obok tego legalnego sposobu komunikowania się ze światem Mirecki musiał mieć i nielegalny kontakt, skoro miał za czasów tego pobytu w więzieniu nawiązać stosunki z miastem i założyć tam organizację P. P. S.³⁾

Za czasu pobytu w więzieniu piotrkowskim wysyłał Mirecki dwukrotnie jakieś podania do władz. Pierwsze podanie skierował 9 września 1902 r. do Prokuratora Warszawskiej Izby Sądowej. Dn. 19 września przybyła do więzienia odpowiedź odmowna: polecono więźniowi zakomunikować, że prośba jego nie została uwzględniona. Drugie podanie skierował zapewne z początku r. 1903 na imię ministra sprawiedliwości. Kancelarja prokuratora Warszawskiej Izby Sądowej poleciła mu pismem, odebranem przez kancelarję więzienną 10 lutego 1903 r., zakomunikować, że podanie jego skierowano do Departamentu Policji celem dopełnienia go informacjami o petencie. Dalszego biegu tej sprawy nie znamy. Nie wiemy również, co było przedmiotem obu podań Mireckiego.

Jak już zaznaczyliśmy, z polecenia pułk. Uthofa Mirecki przebywał w osobnej celi. Stan ten trwał do czasu ukończenia śledztwa. Po ukończeniu tegoż zarząd więzienia otrzymał dn. 14 października 1902 r. pismo od gub. piotrkowskiego, Konstantego Millera, który na podstawie zawiadomienia, otrzymanego od Prokuratora Warszawskiej Izby Sądowej, i w myśl cyrkularza Głównego Zarządu Więziennego z 8 kwietnia 1901 r. polecił przenieść go do wspólnej celi z aresztantami, co do których śledztwo również zostało ukończone.

Gdy Mirecki przybył do Piotrkowa, został wciągnięty na rachunek żandarmerji, jednak od 27 września 1902 r. obciążono jego utrzymaniem Ministerstwo Sprawiedliwości, począwszy zaś od 13 stycznia 1903 r. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych⁴⁾.

³⁾ Arciszewski, j. w.

⁴⁾ Odnośne dwa pisma Prokuratora Warsz. Izby Sąd., Eugenjusza Wasiljewa, znajdują się w akcie więźnia politycznego Romana Domanka.

Mało mamy wiadomości o jego życiu i zajęciach w więzieniu. Wiemy tylko, że w dwa dni po jego przybyciu do więzienia żandarmerja odesłała zarządowi więziennemu jego rzeczy. Inwentarz ich jest szczupły: łyżka, scyzoryk, lusterko, futerał do ołówka, skórzany pas i metalowy zegarek z łańcuszkiem. Większość rzeczy jego została w Petersburgu w bataljonie saper-skim. Mirecki z więzienia wystosował list do Komendy bataljonu z prośbą, aby zaopiekowano się jego rzeczami. Otrzymał odpowiedź 27 grudnia 1902 r., że bataljon nie może opiekować się temi rzeczami, i że Mirecki winien podać adres, pod którym należy je odesłać. Decyzji jego w tej sprawie nie znamy. Mirecki prowadził również korespondencję z bataljonem swym w sprawie pieniężnej. Zapewne w czasie służby wojskowej przychodził kolegom z pomocą drobnymi pożyczkami. Komenda bataljonu przysłała mu odebrane od 6 szeregowych 13 rubli 15 kopiejek, zaznaczając, że od jednego nie można było odebrać, gdyż został z powodu choroby ze służby zwolniony ⁵⁾.

W czasie pobytu w więzieniu piotrkowskim dostarczano Mireckiemu dwukrotnie za pośrednictwem pułk. Uthofa książki do czytania: 21 czerwca 1902 r. odebrał 29 książek, zaś 16 sierpnia 1902 r. dodatkowo jeszcze 15 książek. Lektura była prawdopodobnie głównem jego zajęciem w celi więziennej. Drugą rozrywką jego była zapewne muzyka, gdyż z pierwszą paczką książek otrzymał równocześnie metalową harmonijkę.

Korespondencja Mireckiego, prowadzona drogą oficjalną, nie była zbyt obfitą. Przez cały czas pobytu w więzieniu piotrkowskim władze żandarmskie przesyłały zarządowi więzienia cztery listy dla doręczenia mu, a mianowicie 2 lipca 1902 r. przysły do niego dwa listy, 5 lipca 1902 r. i 20 lipca 1902 r. po jednym liście. Dopiero 25 lutego 1903 r. pomocnik prokuratora Czechowski pozwolił wręczyć Mireckiemu jego listy, znajdujące się w kancelarji.

Po jedenastu miesiącach pobytu w Piotrkowie Mirecki opuścił więzienie piotrkowskie — nie aby dostać się na wolność, ale aby znaleźć się w innem więzieniu. Więzienie piotrkowskie było przepełnione więźniami politycznymi. Wobec tego Gen.-Gub. warszawski polecił 12 więźniów politycznych przewieźć z Piotrkowa do Radomia. Oprócz Mireckiego do grupy tej należeli Witold Borowiecki, Roman Domanek ⁶⁾, Bolesław Jagodziński, Walenty Kuc, Adolf Lewandowski, Zygmunt Lewański, Antoni

⁵⁾ Zakomunikowano to Mireckiemu 22 lipca 1902 r.

⁶⁾ Wiadomości te czerpiemy również z aktu więziennego Romana Domanka. Na podstawie tego aktu należy sprostować, że Roman Domanek nie był, jak błędnie podają „Materjały do Historji P. P. S.” tom II, słuszarzem z Huty „Katarzyna”, ale robotnikiem Akcyjnego Towarzystwa „Zawiercie”.

Orłowski, Jan Osiński, Stanisław Piątkowski, Józef Rybicki i Antoni Torbus. Byli to przeważnie członkowie P.P.S. z Zagłębia Dąbrowskiego; Lewandowski był, podobnie jak niegdyś Mirecki, uczniem szkoły górniczej i, jak on, będzie później pracować w organizacji Bojowej P. P. S. w 1906 r. jako okręgowiec w Zagłębiu ⁷⁾).

Oдноśne rozporządzenie przesłał kancelarji więziennej gub. piotrkowski Miller. Kancelarja odebrała je 7 kwietnia 1903 r. i tegoż dnia zostało ono wykonane. Konwojowali więźniów żandarmi i ostatnim dokumentem w akcie więziennym Mireckiego jest zaświadczenie, którem podoficer żandarmerji potwierdza jego odbiór od zarządu więziennego z datą 7 kwietnia 1903 r.

Tych kilka wiadomości z życia więziennego Józefa Mireckiego niech będzie zachętą dla dalszych badań nad jego losami. Ciekawym naprzykład byłby akt więzienny z Radomia, gdzie Mirecki zorganizował po przybyciu obchód 1 maja, a zwłaszcza akt ostatniego jego przedśmiertnego pobytu w więzieniu.

Dr. Adam Próchnik.

⁷⁾ St. A. Radek: Rewolucja w Zagłębiu Dąbrowskiem 1894 — 1905 — 1914, str. 47.

SPRAWOZDANIA

JÓZEF PIŁSUDSKI. Pisma — Mowy — Rozkazy. Wydanie zbiorowe prac, dotychczas drukiem ogłoszonych. Wydawnictwo Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski. Warszawa, 1930. Tom III. Str. IX+388+XXV.

W wydanym w listopadzie ub. r. trzecim tomie pism Józefa Piłsudskiego zgrupowane zostały prace, powstałe w latach 1910—1914, a więc w okresie intensywnych przygotowań do walki zbrojnej o Polskę.

Przeegrany ruch rewolucyjny w latach 1905 — 1908, w którym Józef Piłsudski odegrał rolę kierowniczą, nie zmienił bynajmniej jego poglądów na możliwość walki o wyzwolenie kraju. Był on dla niego — jak słusznie podniesiono — „jedynie drogowskazem, który nie mówił, jak to powiedział wielu innym, że walka ta jest beznadziejna i niemożliwa, a tylko to, że była źle przygotowana i nie wyzyskała wszystkich możliwości”. Te z rewolucji wniesione doświadczenia skłoniły do zwrócenia się ku przerwanyim studjom militarnym, wskazały na konieczność szukania w nich powodów klęski i wyciągania wniosków na przyszłość. Sam Piłsudski, pisząc w jednym ze swych artykułów o tym okresie pracy, szukał porównań dla siebie i zatrzymał się na postaci młodo zgasłego Józefa Sułkowskiego w poetyckiej interpretacji Stefana Żeromskiego. Jak Sułkowski bowiem ukochał wojnę, chciał się nauczyć jej całej, osiąść na własność wszystkie jej znane i tajemnicze siły. Jak Sułkowski bowiem uważał wojnę za „jedyny pług, który drze ugory ziemi, aby siewca mógł w rozerwane jej łono rzucać nowych zbóż ziarna, wydobywać z niej zamiast chwastu pszenicę”. Zapomocą nauki, wytrzymałości skupionej pracy wydrzeć wojnie największe jej tajemnice, bo naród uśnie w jarzmie i godzien się stanie smutnego swego losu. Przekonać, jak przekonywać usiłował Sułkowski, że „naród nieszczęśliwy, który niema sił i środków, ażeby natychmiastowe odnieść zwycięstwo, winien się nieustannie ćwiczyć we wszystkim, coby czynił, gdyby był wolny. Kto chce kiedyś pokonać wroga, musi się dziś uczyć sztuki być wolnym w duchu. Każdy człowiek i każdy naród musi najprzód uwierzyć w siłę swej duszy i w niezłomne jej prawa, a następnie ćwiczyć w sobie żądzę wolności i wyteplać zarazę niewolnictwa”...

W rozległych studjach militarnych Piłsudski bada zjawiska wojny, wżera się — według własnych słów — „w tajniki jej boga”. Analizuje wojny

współczesne od bojów napoleońskich poprzez kampanję francusko-pruską do zmagani angielsko-burskich, rosyjsko-japońskich i bałkańskich, opracowuje dokładnie poszczególne epizody taktyczne i strategiczne, a z wnikliwej tej analizy buduje „zasady w dziedzinie zagadnień ogólnowojskowych”. Wyras im daje w szeregu artykułów, broszur, wykładów szkolnych i odczytów publicznych. Powstałe w tym czasie: „Kryzysy bojów”, „Historja militarna powstania styczniowego”, „22 stycznia”, „Mobilizacja powstania” i cykl artykułów o wojnie bałkańskiej w r. 1912 — liczą w sumie około 300 stron druku, a wchodząc — wszystkie bez wyjątku — w skład tomu III pism Piłsudskiego, zajmują ponad $\frac{3}{4}$ jego objętości. Słusznie więc powiedzieć można, że w tomie tym występuje Piłsudski, jeśli nie wyłącznie, to głównie jako teoretyk wojny. Myśli jego idą tu w kierunku „zgiębnienia najistotniejszych zagadnień sztuki wojennej, rozwiązania zagadek, stanowiących w syntezie swojej istotę filozofji wojny”.

Z zagadnień tych na plan pierwszy wysuwa się kwestja możliwości improwizacji większych sił zbrojnych i wypływającej stąd „zmiany form dyscypliny”, opartej „na dobrej woli, a nie na przymusie”. Jest to dla niego zagadnienie tem większe, tem ważniejsze i donioślejsze, że w przewidywanym wypadku zbrojnego wystąpienia mieć będzie musiał do czynienia z koniecznością — jak sam to określa — improwizacji organizacyjnej. Nie zgadza się bynajmniej z rozpowszechnionym i utartym poglądem, zaliczającym improwizację wojenną do czynów beznadziejnych. Przeciwnie, na wymownych przykładach stwierdza dodatnie jej strony, powiada bowiem, że inicjatywa improwizacyjna wodzów tureckich zbawiła państwo od zupełnego i ostatecznego rozbicia, Francji zaś — w dobie wielkiej Rewolucji — gdy w krótkim czasie stworzono prawie bez kadrów armję 100-tysięczną, dała absolutne zwycięstwo, dała „jeszcze przedtem nim genjusz Napoleona zajaśniał w całej pełni, przedtem, nim została wytworzona wielka armja Jeny, Austerlitzu, Wagramu i Friedlandu”.

Uczeni militaryści powodów klęsk, jakie przypadły w udziale armjom zwyciężonym, doszukują się w objawach dezorganizacji — w brakach w wyszkoleniu i zaopatrzeniu w żywność, broń, amunicję, w brakach dyscypliny, identyfikowanych zazwyczaj z brakiem „moralności” w wojsku. I z tym poglądem nie zgadza się Piłsudski. Bo — przedewszystkiem — „moralność” wojska polega na innych przejawach: istotą jej „jest namiętne dążenie do zwycięstwa, do zgnięcia i ostatecznego pokonania nieprzyjaciela oraz wiara w powodzenie swego oręża i płynące stąd zaufanie do siebie, jako żołnierza. Uczucia te, gdy są szeroko w masie żołnierzy rozpowszechnione, wytwarzają podłoże tak dogodne dla rozkwitu wszystkich cnót żołnierskich, jak męstwo, wytrwałość, humor przy znoszeniu ciężarów bitwy i wogóle wojny, że dają siłę fatalną, prowadzącą do zwycięstwa” nawet w najtrudniejszych warunkach technicznych, w najcięższym położeniu. Dobra organizacja, dyscyplina, ład, porządek mogą być tylko „surogatem elementarnych podstaw” moralności w wojsku, surogatem, „najczęściej niewystarczającym w pracy wojennej”. Bo bój — zwycięstwo i klęska — odbywają się „nie na martwym terenie, nie zapomocą materjalnych kul i bagnetów, czy najnowszych wynalazków technicznych — wszystko to nie może mieć głównego, zasadniczego znaczenia. „Jedynie w niematerjalnym duchu ludzkim ma miejsce walka, tam ście-

rają się pomiędzy sobą słabe tajemnicze cnoty z potężnymi tajemniczymi ranami" lub odwrotnie. „Dalsze, materialne już skutki są tylko zwykłym następstwem żywej emocji duchowej, przeżytej przy tym niematerialnym boju”.

Tak oto wyglądają w możliwie krótkim streszczeniu rozważania Józefa Piłsudskiego z dziedziny filozofii wojny. Stanowią one najgłębszą, a zarazem i najobszerniejszą część III tomu jego pism. Dla wojskowych, nawet najwyższych, tom ten będzie prawdziwą rewelacją, przedmiotem studjów i analizy, książką, do której wraca się często i zawsze z żywą radością. I nie tylko dla wojskowych. Bo armja przestała być już oddawna zamkniętą w sobie kastą, dziś potężnymi ramionami swemi obejmuje cały naród. To też i cały naród znajduje tam dla siebie duchową strawę. Zresztą dla ścisłości dodać muszę, że obok najgłębszych myśli z dziedziny filozofii wojny stoją tu niemierniej głębokie wskazania, będące dla przeciętnego obywatela w jego życiu gromadzkim najzupełniej pozytywnym kapitałem.

Oprócz wymienionych już wyżej prac w skład III tomu „Pism — Mów — Rozkazów” wchodzi: „Historja organizacji bojowej P. P. S.”, opowiedziana na tle tak ogólnego stanu społeczeństwa, jak i samej organizacji partyjnej; „Bunt więzienny w Irkucku”, zawierający szczegóły autobiograficzne z roku 1887; wygłoszony w r. 1912 w Paryżu odczyt o „Polskim ruchu strzeleckim”; opublikowany w „Naprzodzie” w r. 1913 artykuł o „Orjentacji p. Balickiego”, będący odpowiedzią na perfidne przedstawienie sprawy organizacji strzeleckich w Galicji, jako prowokacji głośnego pułkownika austriackiego Redla; wreszcie obszerny artykuł p. t. „Jeszcze o delegatach amerykańskich”, drukowany w r. 1914 w wychodzących pod redakcją Aleksandra Dębskiego w odległym Chicago „Wiciach”, a będący odpowiedzią na polityczną intrygę, skierowaną ku zniszczeniu polskiego ruchu wojskowego przed wojną.

Władysław Pobóg - Malinowski.

MICHAŁ LITYŃSKI. Z dni grozy i walki o wolność. Lwów, 1929. Skład Główny w Spółce Nakładowej „Odrodzenie”. 8-ka zwykła, str. 2 nlb. + 220 + 4 nlb.

Jak zwykle po wszelkich kataklizmach dziejowych, zjawiała się po wojnie światowej duża ilość pamiętników. Politycy, dyplomaci, wojskowi, którzy w mniejszej, lub większej mierze brali udział w wojnie, śpieszą utrwalić swe przeżycia z nią związane na tle rozgrywających się w ich oczach wypadków. Nie brak też zapisków „zwykłego śmiertelnika” — obserwatora zawieruchy dziejowej, która, rzecz prosta, na każdego swój wpływ wywarła. Książka Lityńskiego jest właśnie rodzajem pamiętnika człowieka, stojącego poza frontem, cywila, którego wojna goni z miejsca na miejsce, który z silnym zainteresowaniem śledzi jej postępy i skutki, jakie ona wywołuje na tyłach. Zanim autor przystąpi do właściwych zapisków pamiętnikarskich, podmalowuje tło polityczne w b. Galicji i stosunki miejscowe. Już na wstępie spotykamy się z charakterystyką stronnictw politycznych, we wszystkich zaborach działających, więc Narodowej Demokracji, krakowskiej Partji Konserwatywnej, tak zwanej Polskiej Demokracji, P. P. S. i Polskiego Stronnictwa Ludowego. Autor, nieuprzedzony do żadnego stronnictwa politycznego, wyszukuje w działalności każdego z nich stron dodatnich. Sam, należąc do Polskiej Demokracji, stoi na gruncie niepodległościowym, co uwidacznia się na kartach

pamiętnika niejednokrotnie. Z radością wita powstanie przed wojną Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, z entuzjazmem odnosi się do Legjonów, których zwycięstwa napawają go dumą i radością. Oświadczenie grupy podolaków z Tadeuszem Cieńskim i Witoldem Czartoryskim, oraz narodowych demokratów, którzy, ustępując z N. K. N., „boleli nad niepomyślnym wynikiem sprawy legjonu wschodniego”, oburza autora głęboko (str. 191, w. 26). Oburzeniu swemu daje również wyraz, mówiąc o odezwie 24-ch narodowych demokratów lwowskich z dn. 10 listopada 1914 roku, będącej szczytem perfidji i kręactwa politycznego, a zarazem serwilizmu wobec Rosji i Austrii. Rok 1914 od wybuchu wojny i połowa 1915 roku zeszyły autorowi na przymusowych podróżach: Dżurów, Czerniowce, Lwów, Bystrzyca siedmiogrodzka, Budapeszt, Wiedeń i Kraków — oto etapy tej wojennej tułaczki. Ciągła zmiana miejsca, nowiny z pola bitwy oraz wieści o nowoutworzonych Legjonach — wszystko to tworzy bogactwo przeżyć, z których autor usiłuje sobie zdać sprawę na łamach pamiętnika. Na każdej stronie książki widoczna niewspółmierność, z jaką traktuje rzeczy ważne obok szczegółów, nic nie znaczących. Autor posiada kolosalną pamięć, dzięki której zasypuje nas stale mnóstwem nazw, adresów i t. p. W powodzi tych drobiazgów rzeczy istotne nie wypadają tak silnie, jakby autor pragnął. Jako członek Biura Prasowego N. K. N., autor miał dużo informacji politycznych międzynarodowych i specjalnie dotyczących sprawy polskiej. Są to rzeczy bezsprzecznie interesujące, lecz, by je odnaleźć, trzeba uzbroić się w cierpliwość i brnąć przez gąszcz gawędziarskich wynurzeń, którymi nas zasypuje.

Całość wybitnie gawędziarska, w oświetleniu zjawisk widoczna dobrodusznosc autora. Książka ta, choć może przyczynić się do oświetlenia nastrojów ludności podczas wojny, rozgrywającej się na ziemiach polskich, nie budzi większego zainteresowania i jest lekturą dość nużącą. Należy wątpić, aby, prócz szperaczy zapisków pamiętnikarskich z tego okresu, zainteresowała kogokolwiek.

Wanda Kiedrzyńska.

SPROSTOWANIE

do artykułu K. Pietkiewicza „Michał Mancewicz i jego czasy”, umieszczonego w poprzednim zeszycie: Nazwiska i nazwy powinny być: Leonard Frenkiel (a nie Bernard, str. 231); Basow (nie Barow, str. 239); Bogoradcy (nie Bogorodcy, str. 241 i 243) pod Jakuckiem; Jonow (nie Janow, str. 245). Przekręcenia: winno być: kolegi (nie kolei, str. 249, wiersz 13 od dołu); stracone (nie skromne, str. 249, wiersz 2-gi od dołu) placówki. Opuszczenia: Na str. 239 wiersz 17 od góry po słowie: u p a d e k — opuszczono punkt i dalej zdanie: Esdecy jednak nie mieli w tym czasie ani (partji); na str. 240 wiersz 17 od góry po słowie S y b e r j a, opuszczono średnik i słowa: nie tak (jak to bywało).

do artykułu T. Nocznickiego „Pożółtki arkusz zapisanego papieru” w tymże zeszycie: na str. 351 ma być: Żółcik (nie Żółtek).

do artykułu D-ra A. Próchnika „Akcja bojowa pod Rogowem” w tymże zeszycie: na str. 314, wiersz 17 od góry, po słowie „w Łodzi” ma być „gen-major Dubrowa i komendant łódzkiego rejonu”; str. 317, wiersz 7 od góry — nie „końskiego”, ale „Dońskiego”, wiersz 23 od góry — nie „Późniejsza”, ale „Poważniejsza”; str. 319, wiersz 1 od góry — nie „pojechała”, lecz „pojechał”; str. 320, wiersz 8 od dołu — nie „rządowych”, ale „sądowych”.

„GMINA“ I JEJ REDAKTOR*).

II.

Pismo to — pierwszy i jedyny jego zeszyt ukazał się w Paryżu 15 lipca 1870 — nosiło tytuł trójjęzyczny, obok bowiem polskiej „Zmowy” widniało litewskie „Kupos susitarimas” i białoruski „Hromadźki zhowor”²⁹⁾. W bezimiennym artykule wstępnym, noszącym datę: „Paryż, 10 lipca 1870” — redakcja zawiadomiła, że „najdalszy i najogólniejszy” cel jej propagandy określa się nazwą pisma. „Pragniemy z mowy ludu Polski, Litwy i Rusi przeciwko wrogom zewnętrznym, (podkreślenia moje), przeciwko wszystkiemu, co wewnątrz kraju czyjekolwiek panowanie krzewi, rozwija i popiera...” „Stąd właśnie najbliższe i najrzeczywistsze zadanie nasze ma charakter całkowicie zaprzeczny. Odrzucamy i potępiamy wszelkie instytucje, na których się opiera nowoczesny porządek społeczny, gdyż takowy fatalnie ciągnie za sobą niewolę, ciemnotę i nędzę dla milionów, a zbytek, rozpustę i znikczemnienie dla tysięcy...” „Mamy na widoku orężne powstanie ludu przeciw tym, którzy owego porządku rozmyślnie bronią; mamy na widoku rewolucję. Wiemy

*) Patrz zeszyt 7, str. 20—43.

²⁹⁾ Na ostatniej stronie „Zmowy” redakcja jej zawiadamia: „Przy niniejszym numerze wyszedł dodatek w języku rusińskim p. t. „Z ruk w ruki” (z rąk do rąk). Prenumeratorom rozeszliśmy go jednak przy drugim numerze, jeżeli nie będziemy mogli dołączyć go do prospektu, oddrukowanego w Paryżu”. Ani dodatku tego, ani prospektu w zbiorach Bibl. Rapp. niema. Należy wątpić, czy wobec zawieszenia pisma jeszcze przed wyjściem drugiego zeszytu ten „rusiński” dodatek wogóle się ukazał.

jednakże, że do walki nie powoła ludu polsko-litewsko-ruskiego, kto doń idzie w imię samego li niszczenia i dlatego hasłem naszym jest: burzyć, budując. Twierdzącą zaś stronę naszej myśli czerpamy w widomej, acz na Zachodzie bezsilnej, dążności naszego wieku ku wcieleniu, zrealizowaniu nieśmiertelnych przekazów prawdy i sprawiedliwości, — i w głębokiem przeświadczeniu, że zewnętrzne materjały, niezbędne dla tej realizacji, leżą nietknięte w charakterze, w usposobieniu, w zwyczajach i tradycjach warstw społecznych, które w Polsce nigdy dotąd własnem życiem żyć nie mogły. I to jest nasz socjalizm”.

„Zmowę” wypełniły artykuły wołyniaka Włodzimierza Rożałowskiego („Krajowcom”), J. A. Medekszy („Rewolucjoniści moskiewscy o Polsce”) i Józefa Tokarzewicza. Ten ostatni ogłosił tu dwie swoje prace. W jednej z nich, podpisanej pełnem nazwiskiem, poruszał sprawę otwierającej się podówczas możliwości uzyskania przez Galicję samorządu, dając przytem wyraz przekonaniu, że „duszą każdego społeczeństwa jest lud, jest owo milczące i złowrogo ciche morze wydziedziczonych, które tutaj na Zachodzie coraz dziś bardziej piętrzy się bałwanami, grożącemi zalewą wszystkiemu, co na powierzchni od wieków pleśniało i więdło”. Ubolewa Tokarzewicz, że w Galicji „każdy politykuje, a nikt nie myśli o ludzie”, że stronnictwa polityczne ubiegają się tam „o lepsze w Wiedniu i na sejmie lwowskim”, a „to, skąd płynąć powinien wszelki żywotny ruch, na czem oparcia i potwierdzenia w parlamentarnych walkach szukać należy, to stoi samotne i opuszczone. Między inteligencją i siłą nie istnieje tam żaden mocniejszy węzeł; inteligencja też karłowata i zmurszała, a siła siebie samej nieświadoma”. W dalszym ciągu tegoż artykułu, przechodząc do spraw emigracyjnych, pełnych kłótni, swarów, niesnasek i wzajemnej niechęci, wzywa ogół emigracyjny do porozumienia się i zgody, do zerwania z systemem ukrytych spisków jednych przeciw drugim, gdyż — jak powiada — „jedyna nam tylko zmowa potrzebna: z mowa ludu o niepoległość ojczyzny przeciw zmowie jej wrogów na naszą wolność, na naszą przyszłość, na nasze sumienie”³⁰).

³⁰) Zob. „Zmowa”, art. Tokarzewicza „Z domu i z obczyzny”.

W drugim swym artykule, noszącym tytuł: „Czyśmy demokraci”, a podpisanym pseudonimem Bazylego Niebiasta³¹⁾, Tokarzewicz, wychodząc z założenia, że zadaniem prawdziwej demokracji jest „osadzenie stosunków między ludźmi na podstawie wolności i sprawiedliwości”, i stwierdzając, że czynną ona być nie może w świecie, trzymającym się jedynie niedolą i niesprawiedliwością, gdyż „dzisiejsza władza opiera się na sile oręża, dzisiejsza religja stoi obłudą, dzisiejsza własność żyje nędzą wydziedziczonych, dzisiejsza familja ma za dogmat — pogńębienie niewiasty”, — wyraża niewiarę, by w „takim porządku, a raczej w takim bezładzie” dojść można było do jakiejś unji, jakiegoś paktu, jakiejś umowy „między obrońcami swobodnej przyszłości a wyzyskiwaczami dzisiejszej niedoli”. Według niego, stronnictwa demokratyczne, wypisując na swych sztandarach zrodzone w Rewolucji hasła wolności, równości i braterstwa, kłamać muszą własnej swojej myśli, własnemu ideałowi, jeśli do urzeczywistnienia tych haseł idą „nie przez wywrót wszelkich obecnie istniejących urządzeń społecznych, ekonomicznych, prawnych i politycznych, lecz przeciwnie — przez kompromis z temiż właśnie urządzeniami”. Pokazując bowiem ludom „obiecana ziemię szczęśliwego bytu, a do niej prowadząc ścieżkami, dokądinąd wiodącemi, czynią, jak owi faryzeusze i sofiści, którzy, zgodziwszy się na zasadę, nie chcą się zgodzić na konieczne jej wyniki i zastosowania”.

Demokrację „pokojową”, demokrację „legalną” uważa Tokarzewicz za „niedorzeczność teoretyczno-słowną”, jaką w praktyce „zasłania się jeno obłuda i głupstwo”. Demokracja „z natury swej, ze swego założenia” jest „nieprzejednaną”, a więc przez to i „obowiązana do popierania rewolucji socjalnej, mającej na celu gruntowny przestwór form i kształtów teraźniejszego państwowo-właścicielskiego ustroju”. Do demokracji polskiej zwraca się Tokarzewicz z wezwaniem, by pamiętała o tem. Albowiem „nieprzyjaciele ojczyzny naszej panują nad nami dlatego właśnie, że w nich się uosabia i koncentruje dążność starego świata”, życie zaś Polski — „jeżeli tylko Polska żyć ma kiedykolwiek — zawczasu musi przyspasiać się we wszystkie przymioty i barwy przyszłej społeczno-

³¹⁾ Zob. „Wykaz pseudonimów emigracyjnych” — rkp. w Bibl. Rapp.

ści, pod karą wiecznej niemocy i wiecznego, a bezpłodnego prawowania się ze swymi ciemieżcami..." „I logika i praktyka” bowiem dowodzą, że „pogiębiony przegra każdą razą z pogiębicielem, gdy do obowiązującego odwoła się kodeksu:..”

Rzuceni na obczyznę, zdani na własną jedynie słabość, wydawcy „Zmowy” dokładnie zdawali sobie sprawę, że nie tak łatwo podołać będą mogli obowiązkowi, wypływającemu z reprezentowanej „socjalistyczno-rewolucyjno-czerwonej”³²⁾ idei. Zapewne nie przypuszczali jednak, że przeszkody będą aż tak wielkie. Nie pomogło umieszczenie na czołowym miejscu wezwanie do „współrodaków” o pomoc i współpracę. Głosu „Zmowy” nie posłyszeli i nie pojęli zapewne nawet ci, którym nie obcą była „droga do serc i przekonań ludu”³³⁾. Pierwszy jej wzlot był jednocześnie i jej upadkiem³⁴⁾.

„Gmina” — „Niepodległość” — „Zmowa” nie były widocznie w stanie zaspokoić ambicji wydawniczo-redaktorskiej Tokarzewicza, skoro w tymże czasie nosił się z myślą rzucenia w świat emigracyjny kilku innych wydawnictw. W liście do T. T. Jeża z 26.VII.1869, zwracając mu rękopis mowy, wygłoszonej „na obchodzie pierwszego jubileuszu Konfederacji Barskiej”, pisze: „Drukować w „Niepodległości” jej nie myślałem, a sądziłem, że się zrobi z tego użytek w „Pamiętkowych szkicach z r. 1868”, które zamierzam odbić w osobnej broszurze”³⁵⁾. W liście z dn. 20.X.1869 zapytuje, czy T. T. Jeż nie zechciałby mu „dopomóc do postawienia zbiorowego pisma? Zagniewaliście się na „Niepodległość”, ale to nie dowodzi, że i na mnie. Potrzebowałbym od was opracowania mniej więcej

³²⁾ Określenie Tokarzewicza. Zob. — „Główniejsze etapy życiowe”...

³³⁾ Cytuję z artykułu wstępnego, umieszczonego na 1 stronie „Zmowy”.

³⁴⁾ Tokarzewicz w swych wspomnieniach („Główniejsze etapy”...) powiada: „...należałem do redakcji „Zmowy” z trzema tytułami: Zhowor, Susitarimas Gminas... Współpracownikami oprócz mnie byli: Medeksza i Rożałowski. Pieniądze na „Zmowę” dawał Medeksza. Wyszło 5 czy 6 numerów. Prenumeratorów było 300”. Jest to wyraźny błąd. Tokarzewicz, dyktując swe wspomnienia Fedorowskiemu w r. 1903, nie przypominał już zapewne wielu szczegółów i „Zmowę” pomieszać musiał z jakimś innym pismem. Wyniki moich badań wskazują aż nadto wyraźnie, że „Zmowy” wyszedł jeden tylko zeszyt.

³⁵⁾ Oryginały wszystkich cytowanych w tym szkicu listów — w Bibl. Rapperswilskiej. Pisownia listów zmodernizowana.

z 450 lub 500 wierszy, w jednym z tych przedmiotów: Stowarzyszenia socjalno-polityczne na Zachodzie (faktów co najwięcej) — albo Przegląd piśmiennictwa polskiego w r. 1869 (idej co niemiara), albo nareszcie wszystko, co chcecie, byleby to było świeże w dniu 25 listopada i nie wyglądało, jak lekarstwo po śmierci...” Wogóle znane mi listy jego z tych czasów poświęcone są prawie wyłącznie sprawom redaktorsko-literackim. Tu bowiem prosi o jak najszybsze nadesłanie jakiegoś artykułu, tam usprawiedliwia powody, dla których nie wszystkie z nadesłanych prac w „Niepodległości” umieszcza, gdzieinziej dziękuje za rady i pochwały, dzieli się wrażeniami i projektami. W cytowanym już liście z 26.VII.1869 pisze do Jeża: „...Miałbym wielką ochotę poznać autora „Asana”³⁶⁾. Czy wiecie—pewno nie wiecie—żeście napisali arcydzieło? Musicie mi jeden egzemplarz z podpisem waszym poświęcić. Ja zato, jak wytnę rozbiór, to Wam odrazu 200.000 prenumeratorów przybędzie. Tak, czy inaczej — powtarzam — „Asan” jest arcydziełem. Jeżeli Wy Mrówki nie postawicie w ten sposób na nogi, no, to niech sobie trumnę zawczasu robić każe...” W liście z 10.VII.1869: „Wiem teraz, dlaczego Kossobudzki nie drukuje „Niepodległości” — zajęty Waszą broszurą. A że i broszury dotychczas nie wydał, to się tłumaczy tem, iż jest zajęty „Niepodległością”, do której rękopisma na 6 numerów od miesiąca u niego leżą”. Musiał mu ten Kossobudzki srodze dokuczać, skoro gdzieinziej nazywa go „tęgim dyplomata” i dodaje, że gdyby mu podano „jaki środek ukarania i zemszczenia się nad nim — byłbym... na całe życie obowiązany”³⁷⁾.

Praca na polu wydawniczo-pisarskim nie wyczerpuje bynajmniej bogatych zasobów energii Tokarzewicza. Jednocześnie bowiem (1867 — 70) interesuje się żywo i czynny bierze udział w życiu wychodźstwa polskiego; pracuje nad zorganizowaniem kilku seryj odczytów i sam wygłasza ich niemało. Poza tem, jako członek „Komitetu Zjednoczonej Emigracji

³⁶⁾ Miłkowski Zygmunt — „Asan”. Ustęp z dziejów Słowian bałkańskich, powieść historyczna. Biblioteka Mrówki, Nr. 7, Lwów, 1869, w 16-ce, str. 212.

³⁷⁾ Drukarnia Kossobudzkiego — pierwotnie Ag. Gillera — kolejno w Zurychu, Bendlikonie, Genewie. Zakupiona z funduszków Rządu Narodowego za pośrednictwem Gillera.

polskiej”, bierze udział w pracach politycznych. W r. 1867 np. prowadzi z Miłkowskim korespondencję w sprawie agencji broni w Liège ³⁸⁾, wyrażając przekonanie, że Miłkowski nie dopuści, „aby rdza frank po franku z karabinu staczała”. W jednym z późniejszych swych listów donosi, że wybierał się do Galicji, jako delegowany Komitetu; miał zwiedzić wystawę kołomyjską, a później zaś spędzić dwa miesiące we Lwowie „dla porozumienia się z tamtejszą demokracją”. Wyjazd ten do skutku jednak nie doszedł. Dwukrotna w tymże czasie wycieczka do Szwajcarii („poznałem Bosaka-Hauke, widziałem Garibaldiego”) ³⁹⁾ mieć mogła również jakiś związek z pracami Komitetu. Wreszcie w r. 1869, w związku z ogólnymi wyborami na emigracji, stawia swoją kandydaturę.

Pracując w ciągu dwóch ostatnich lat w Komitecie Zjednoczonej Emigracji Polskiej — jako pisarz (dziś powiedzieliśmy — sekretarz), musiał się dać poznać z jak najlepszej strony, skoro z wyborów wyszedł zwycięzcą: wraz z Aleksandrem Frankowskim i Walerym Wróblewskim stanął bowiem na czele Komitetu. W odezwie, wydanej bezpośrednio po wyborach, grają aż nazbyt wyraźnie echa „Gminy” i późniejsze trochę hasła naczelne „Zmowy”. „Wszewładztwo ludu — czytamy tam — wziętego w przedrozbiorowych granicach naszej ojczyzny, a usuniętego z pod wpływu i opieki obcej, wytworzy z rozbitych ziem naszych — Rzeczpospolitą: politycznie — związkowo-demokratyczną, społecznie — gminowładną, a indywidualnie — równoprawną...” „Jądem społeczności naszej jest własność niepodzielna w gminie...”

Wojna francusko - pruska r. 1870 zastała Tokarzewicza w Paryżu. Uczucia jego były po stronie Francji. Bo — jak powiada w swoich wspomnieniach — „cóż Niemcy przedstawiają w dziejach ludzkości, cywilizacji? Jaka jest ich zasługa

³⁸⁾ Broń ta zakupiona została jeszcze w r. 1863, nie zdążono jednak wysłać jej do kraju. Do t. zw. Komitetu likwidacyjnego należeli poza Miłkowskim — Karol Ruprecht, Seweryn Gałęzowski i inni. Ostatecznie broń tę sprzedano.

³⁹⁾ Wycieczki do Szwajcarii notuje Fedorowski na podstawie słów Tokarzewicza pod datą 1869. Jest to, zdaje się również błąd. Ze słów Tokarzewicza wynika, że w czasie jednej z tych wycieczek poznał Garibaldiego „na mitingu w Genewie”. Jest to najwyraźniej mowa o Kongresie Ligi Pokoju i Wolności, który przy udziale Garibaldiego odbył się w Genewie 9 września 1867 r.

w rocznikach postępu i oświaty? Szczególnie zjawisko! Każda jednostka tego plemienia, wzięta osobno, niezależnie od innych, uosabia niemal zawsze dość znaczną sumę cnót i przymiotów społecznych; związani w całość — to kupa sprężyn bezdomnych. Pracowici, rządni, rzetelni, spokojni w domu i jako sąsiedzi prywatni, stają się jakimiś tępemi lub zębategości częstkami maszyny do deptania tego wszystkiego, co człowiek kiedykolwiek wielbił. Triumf przeto Niemiec — wyraźnie Niemiec, nie zaś Niemców — na widowni publicznej, międzynarodowej, byłby odwrotem i cofnięciem się oświaty o lat sto, dwieście ku epoce średniowiecznej”⁴⁰). Uczucia te i myśli prowadzą go do szeregów wojska — zaciąga się, zrzekając się żołdu — do paryskiej gwardji narodowej i służy w 207 batignolskim bataljonie obok generała Waligórskiego. „Batignolskie bataljony gwardji wysyłano na służbę nocną przy okopach znacznie dalej od dzielnic i miejsc, z których pochodziły, aby ojcowie rodzin nie zmykali z pod broni na nocleg do swoich żon i dzieci, a kawalerowie nie wpuszczali do miasta znajomych panien i dziewcząt o niewłaściwej porze. Nasz bataljon pełnił obowiązki najczęściej w dzielnicy Ternes, od strony Wersalu; straże jego rozciągały się nieraz do bramy Point-du-Jour, tej samej, przez którą, znacznie później, za Komuny, wdarły się pierwsze oddziały wersalczyków i walkę w Paryżu rozpoczęły. Sypialiśmy na ziemi, przyprószonej słomą, w tak zwanych koszarach opancerzonych, *casamates blindées*, t. j. w izbach, wydrążonych w okopach od strony miasta i obmurowanych wewnątrz. Dyżur podoficerski, zmieniający się o północy, pilnował porządku i wywoływał z listy tych, na których przychodziła kolej czuwania przy bramie, lub na wierzchu szańców, oraz patrolowania na ulicach przyległych; zwało się to: *byé a n f a c t i o n*... Chodziliśmy niekiedy i do Tuillerjów, do ogrodu od strony Pól Elizejskich i do wnętrza pałacu. Mieliliśmy z sobą tylko t. zw. wojskowe *c o u v e r t u r e s d e l a i n e* — rodzaj płacht szerokich, które w razie chłodniejszych nocy mogły być narzucane na mundur w zastępstwie płaszcza. Feliks Lewicki, który z pięciu, czy sześciu nas w całej kompanji — tworzyliśmy w niej osobny półpluton (*e s c o u a d e*) — sam jeden miał w Paryżu rodzinę, przyno-

⁴⁰) Zob. Tokarzewicz — „W dniach wojny i głodu”. Bibl. Dz. Wyb. nr. 148, Warszawa 1900, str. 19 i 20.

sił z sobą zazwyczaj naczynia do herbaty, inni — kubki, a wszyscy razem — jakieśkolwiek zakąski. Najczęściej przeto na gawędce spędzaliśmy dobrą połowę regulaminowych 12 godzin⁴¹⁾.

Ale ten okres — rzeczy można — sielski, anielski nie trwał długo. Forty paryskie zaczynały coraz częściej połykiwać ogniem armatnim i grzmieć złowrogo. Powtarzały się coraz częściej trwogi nieuzasadnione, przywidzenia niedorzeczne co do możliwości nagłego napadu... Wreszcie przyszły wszystkie okropności oblężonego Paryża.

Całą wojnę Tokarzewicz spędził w stolicy. W początkach Komuny mieszkał razem z Brzezińskim na Avenue Italii nr. 62; z okien mieszkania tego obserwował m. in. „najpierwszą z wersalczykami rozprawę”, a mianowicie — „zdobycie artylerji przez komunardów⁴²⁾”.

W Komunie udziału nie brał. Jak jednak z listu jego do Jeża wynika, z przedstawicielami jej łączyły go ściśle stosunki. List ten (datowany w Wersalu 10.V.1871) ze względu na bardzo ciekawe szczegóły pozwolę sobie przytoczyć w większych wyjątkach:

„Do Jarosława list w tej chwili poszedł drogą n a j p e w n i e j s z ą. Na tej kwalifikacji poprzestańcie—choć, z drugiej strony, ubliżyłbym prawdzie, chcąc wam dać do zrozumienia, czego w rzeczy samej niema. Jestem komunistą tylko teoretycznie. Zresztą zastrzeżenia niepotrzebne... wszakże do krajowców po pieniądze się udaję.

„O ile pora (jest godzina 10-a wieczór) i zmęczenie pozwalają, posyłam wam kilka notatek co do stanu komuny. Możecie to zużyć do korespondencji dziennikarskiej — tylko nie do „Kraju⁴³⁾”, boby się w duplikacie znalazły.

„Wczoraj widziałem się z Dupontem i Gerardinem — dwoma najczynniejszymi członkami komuny. Są przestraszeni. Otrzymali od tajemnego Komitetu reakcyjnego w Paryżu wyroki śmierci. Pyat i Delecluze, których widziałem w Hotel de

⁴¹⁾ Ibidem, str. 27 i 28.

⁴²⁾ Zob. — „Główniejsze etapy życiowe”. W liście do Jeża z dnia 25.IV.1871 Tokarzewicz pisze: „Przed wojną bowiem okradł mnie kolega i przyjaciel Rożałowski z zasobów, na drogę przeznaczonych, musiałem więc dziewięć miesięcy męczyć się w Paryżu”.

⁴³⁾ Czasopismo krakowskie, wydawane przez Ludwika Gumplowicza.

Ville, wyglądają, jak szkielety... Fort Issy wzięty. Rossel po-
dał się do dymisji, upraszając o komorne w Maren (?), Wró-
blewski strzeżony, chociaż nie ostatecznie — bo się Bicêtre
i Montrougem ⁴⁴⁾ zasłonił. Kanonada straszna. Vanves oto-
czony i prawie odcięty.

„Dąbrowski, którego widziałem w Gentilly, jak z krzyża
zdjęty. Pomimo szalonej popularności, nie zrobić nie może
z gwardją — spłoszoną, zniechęconą i zdeorganizowaną,
Zdaje się jednak, że Jarosławowi dadzą dyktaturę.

„Mówicie o szkicach (?). Istotnie mam materjały — ach,
w pamięci tylko — jedyne. Przypatrzyłem się rewolucji u jej
źródeł, choć udziału nie brałem. Co powiecie np., gdy napomnę,
iż motorem ruchu 19-go marca był Polak, co nam w Czytelnii
przy rue de l'Ancienne Comedie w piecu palił. Zwie się Antoni
Mycielski... Nazwiska nie oszczędzajcie, chyba przez osobistą
litość — bo mi pozwolili pisać o sobie do dzienników.

„...Darujcie bezład, którego, jako literat, wstydzę się, ale
dalibóg w głowie mi krąży i piekło w piersi. Co to się na świe-
cie dzieje — co się dzieje — zwarzować można”.

Te niewątpliwie bardzo bliskie stosunki ze światem pary-
skich komunardów pociągnęły za sobą następstwa jak najgor-
sze. Posądzony bowiem o udział w Komunie, został aresztow-
wany i w więzieniu w najokropniejszych warunkach spędził
pół roku. Oto szczegóły. Pod datą 15.V.1871 Tokarzewicz no-
tuje: „Otrzymałszy pieniądze od Guttry'ego i Wróblewskiego,
wyjechałem do Wersalu. Stałem u Górskiego, prenumeratora
„Niepodległości”. Prosty, ale zacny, dobry człowiek. Chodzi-
łem na pisma do kawiarni na placu Plac Arms (sic!). Robiłem
codziennie piesze wycieczki naokoło fortów aż do Juvizi (gdzie
była letnia willa, należąca do zakładu św. Kazimierza)”. Pod
datą zaś 21.V.1871 pisze: „Wieczorem o 11-ej, wśród ciemnej
nocy, gdy — list wrzuciwszy — wracać chciałem, chwycili
mnie za małe palce u jednej i drugiej ręki konstable i zapro-
wadzony byłem do wydziału bezpieczeństwa publicznego. Po
drodze, pod pozorem wyjęcia chustki, wyrzuciłem z kieszeni
przepustkę Wróblewskiego na wolny wstęp do Paryża, aby
mnie nie kompromitowała. Jednocześnie zabrano wszystkie pa-
piery”. Następnego dnia — po spisaniu protokołu — ogołocono
go zupełnie z pieniędzy. Po tygodniowym pobycie w wersal-

⁴⁴⁾ Przedmieścia Paryża.

skim wydziale bezpieczeństwa Tokarzewicz odbył „w wagonach zwierzęcych podróż do Cherburga”. „Na pontonie — wspomina — siedziałem do połowy listopada”, kiedy to wydano mu w prefekturze paszport, bilet i pozwolono wrócić do stolicy. „Na bruku paryskim znalazłem się brudny, obdarty, śmierdzący, owszawiały...”⁴⁵⁾. Pobyt „na pontonie” obfitować musiał w momenty niemiłe, przykre, bolesne, skoro w liście z 16 grudnia 1871, prosząc Jeża o wyrobienie jakiejś posady, pisze: „Chcę uciec z Paryża, cokolwiekbyś mi o dogodnościach komunikacyjnych i cywilizacyjnych. Niech ich piorun trzaśnie z ich cywilizacją, z ich drogami, telegrafami etc. Kocham Francję, ale Francuzów nie mogę dziś znieść. Podłe pokolenie i basta...”. W innym, wcześniejszym (18.X. ?) liście zwraca się do Jeża, który właśnie „z wędrówki wrócił do dom”, i to „nie z ubogą sakwą wrażeń, nadziei i zamiarów” — prosi o udzielenie kilku „okruszyn, bo po piekielnych mękach więziennych nie wiem, co mam z sobą począć”.

Przybywszy — po odzyskaniu wolności — do Paryża, Tokarzewicz dowiedział się, że pułkownik Bitis i Józef Brzeziński, współredaktor „Gminy”, w obozie leśnym pod St. Germaine „wzięli przedsięwzięcie zapalania lamp”. „Bez porozumienia się jadę do nich. Zacząłem wraz z Bitisem i Brzezińskim pełnić obowiązki lampucera”⁴⁶⁾.

Wyjazd z Paryża do St. Germaine nastąpił po kilku nieudanych próbach zdobycia jakiejś posady „w biurach kolei żelaznej u bankierów przy rachunkowości”. Na owoce pracy literackiej trudno również było liczyć. „Przed zimą do kraju boję się ruszać — pisał do Jeża — tutaj żadna robota się nie sklei. Wydeptane ścieżki emigracyjnej propagandy porosły ostem niepowodzenia, z piśmiennictwem krajowym zadawać się — bez ścisłego poprzedniego rozgłosu, nie chcę; do ręcznej pracy na codzienną strawę wezmę się chyba w ostateczności”⁴⁷⁾. „Kraj” mię zawiódł — pisze w innym liście. — Pysyłałem mu wszystko, com wyprodukował, sądząc, żeć przecie znajdą kilka franków na utrzymanie korespondenta, a oto mi w zeszlą środę Gumplowicz odpisał, że nic płacić nie może. Wzbrania się nawet drukować moje listy otwarte „o rzeczach

⁴⁵⁾ Zob. — „Główniejsze etapy życiowe”...

⁴⁶⁾ Ibidem.

⁴⁷⁾ W liście z 18.X.1871.

pospolitych”, powiadając, że mam w Galicji najgorszą reputację, że niby paliłem Tuilerje i Bóg wie co. Aż mi się źle zrobiło...”⁴⁸⁾. Wykorzystując przymusowe bezrobocie, wypoczywa, układając notatki. Kawałków jest poddostatkiem. Rzecz o udziale Polaków w Komunie, zarysowana jeszcze w Wersalu przed 19 Maja; Kobiety rzymskie Tacyta; Francja i Moskwa (dwa poglądy z za kraty); Polityka galicyjska. Te i tym podobne szkice pontonowe...”⁴⁹⁾. W innym liście donosi, że opowiada właśnie „sceny 5-go sierpnia r. z. na placu giełdowym. Fantazji trochę wolno? Na tle prawdziwym coś w rodzaju powiastrki uchodzi? Zmieniają się dekoracje miejsc i wypadków, a osoby trwają od początku aż do końca, czy tak? Co mam robić z nazwiskami polskimi? Jest to możebnem, ażeby Polacy w zdarzeniach francuskich brali udział na kartkach „Kłósów” lub „Wieńca”⁵⁰⁾. Pisał atoli to wszystko — zapewne po licznych bezskutecznych szturmach do biur redakcyjnych „bez wiary, aby się to kiedy drukowało”⁵¹⁾.

Pobyty w St. Germaine nie trwał długo. W lutym 1872, otrzymawszy od Turskiego⁵²⁾ z Zurychu list z zaproszeniem do objęcia stanowiska redaktora mającego powstać tam pisma rewolucyjnego, Tokarzewicz daje Brzezińskiemu zastępcę („lappucera”) i jedzie do Szwajcarji „dla skreślenia programu”⁵³⁾. Czeką go tu jednak gorzkie doświadczenie. Wezwany tam został bowiem w momencie, gdy się ważyły losy Nieczajewa, rewolucjonisty rosyjskiego, znanego i głośnego ze spisku w r. 1869. Nieczajew uciekł był przed aresztowaniem do Szwajcarji, ale w r. 1872, na skutek zabiegów rządu petersburskiego, wydany został przez nią Rosji, zdradzony przez prowokatora Stępkowskiego.

Tokarzewicz, wezwany do Zurychu za pośrednictwem Stępkowskiego, nieznanego mu dotąd zupełnie, zetknął się z emigrantami rosyjskimi, m. in. z Bakuninem i Nieczajewem. „Turski — wspomina Tokarzewicz — działał w dobrej wierze, ale był podstawiony przez Stępkowskiego, aby mnie ścią-

⁴⁸⁾ W liście z 16.XII.1871.

⁴⁹⁾ W liście 18.X.1871.

⁵⁰⁾ W liście z 16.XII.1871.

⁵¹⁾ W liście z 18.X.1871.

⁵²⁾ Życiorys Kacpra Michała Turskiego, pióra Kazimierza Pietkiewicza, w I zeszytce „Niepodległości”.

⁵³⁾ „Główniejsze etapy życiowe”.

gnąć dla schwytania. Skoro się wykryła zdrada, doznaję po raz pierwszy w życiu coś w rodzaju mizantropji, smutku bezbrzeżnego, graniczącego z obłędem..." „Obawiałem się — dodaje trochę niżej — by Stępkowski nie zwałił na mnie porwania Nieczajewa, więcej to było powodem mojego quasi-obłędu, aniżeli obawa Sybiru”⁵⁴⁾.

Czekał go jednak w tymże roku jeszcze jeden cios, jeśli chodzi o wrażenie — nie mniej, niż zuryski, silny i bolesny. Jak wspomniałem już wyżej, Tokarzewicz w wyniku wyborów w r. 1869 stanął wraz z Wróblewskim i Frankowskim na czele Komitetu b. Zjednoczenia Demokracji Emigracyjnej. „Niewyrachowanie się z czynności funduszów”, administracji tych trzech osób powierzonych, pociągnęło za sobą przykre następstwa w postaci odpowiedzialności przed Sądem Wyższym b. Zjednoczenia. Sąd ten po dokładnem rozpatrzeniu całej sprawy (7.IV.1872) ustalił, że wina spada wyłącznie na Frankowskiego, Tokarzewiczowi zaś i Wróblewskiemu zrobił zarzut „wysokiej lekkomyślności, jaka widoczną jest w tem nieograniczonym i za długo trwającym zaufaniu w kasjerze Komitetu, lekkomyślności, która Frankowskiemu wielce była pomocną do robienia licznych nadużyć”⁵⁵⁾. Wyrok ten, a raczej publiczna „asymilacja ze złodziejem Frankowskim”⁵⁶⁾ ugodzić musiała bardzo boleśnie w przeczuloną już wskutek sprawy zuryskiej ambicję Tokarzewicza.

Szukając ratunku przed nawiedzającą go coraz częściej myślą o obłąkaniu, Tokarzewicz stosuje się do wskazówek lekarza i odbywa podróże (sierpień — październik 1872) po Szwacarji, Francji, Holandji i Anglii⁵⁷⁾. Był zresztą i inny powód. Poznawszy się w tym czasie z p. Wandą z Hermanowskich Paszkowską, pochodzącą z Wilna emigrantką, która w r. 1861 brała „żywy udział w konspiracjach prasowych”, myśleć zaczyna o małżeństwie. Od niej to otrzymał „najmilszy” rozkaz nie wracać do Paryża przed listopadem: „Jedź

⁵⁴⁾ Chodzi tu prawdopodobnie o spisek w celu odbicia Nieczajewa, czyniony przez Turskiego.

⁵⁵⁾ Akta Sądu Wyższego b. Zjednoczenia Demokracji emigracyjnej. 1870—1874. Rkps. Bibl. Rapp. a 5, str. 72.

⁵⁶⁾ Wrażenia Tokarzewicza z listu do L. Dygata z 31.V.1872.

⁵⁷⁾ Szczegóły i wrażenia z tej podróży składają się na treść rozdziału „Na Wakacjach”—w „Wyborze prac literackich 1872—1897”. J. Tokarzewicza, Warszawa, 1898, nakł. Lewentala, str. 513—607.

sobie, gdzie chcesz, rozerwij się i namyśl. Co po namyśle postanowisz — dobrze będzie. Piszesz, że nad wolność osobistą przenosisz niewolę we dwoje... Ale powtórzenie tych wyrazów ustne za dwa miesiące co najmniej jest niezbędnem, nieodzownem. Wcześniej nikogo w Paryżu nie zastaniesz..." „Ruszaj teraz w świat — rozerwij się, rozejrzyj..."⁵⁸⁾

Odbycie wycieczki zagranicznej i zawarcie małżeństwa⁵⁹⁾ umożliwiły niezłe stosunkowo zarobki, płynące z pracy literackiej. Dzięki bowiem poparciu T. T. Jeża, uzyskał — jeszcze za pobytu w St. Germaine — możliwość umieszczania swych prac w „Kłosach” i dodatkach do nich. Trochę później zaproszono go do współpracy w innych pismach krajowych, m. in. w „Tygodniku Ilustrowanym”. W tym samym czasie, również przy poparciu Jeża, zdobywa dla siebie miejsce w „Tygodniku romansów i powieści”, wysyłając tam m. in. pierwszą swą powieściową pracę p. t. *Małżeństwo liberalne*, zadedykowaną „łaskawemu protektorowi” — autorowi „Asana”⁶⁰⁾. Wogóle pisze w tym okresie wiele, próbuje sił swoich w różnych kierunkach. Z pracy tej jednak nie jest zadowolony. W listach z grudnia 1872, donosząc Jezowi o wysłaniu Lewentalowi, księgarzowi i wydawcy warszawskiemu, rozprawy swej o „Niemczech tegorocznych”, gdzie porównał powieść niemiecką z polską, i, odpowiadając, że „Gazety Narodowej”, w której umieszczono jakąś recenzję, czy wzmiankę o jego pracach, „nie czytał i czytać prawdopodobnie nie będzie”, podkreśla z całym naciskiem, że pisze narazie „tylko dla chleba”. „Lepsze da Bóg ziarno — trzeba pierwiej poważną uprawę przysposobić. Dziś studjuję i kompiluję — więc opiłków i próbek nie mogę za moje liczyć. Przytem po katastrofach ostatnich we Francji i na emigracji, nie mogę jeszcze przyjść do siebie. Całkiem mię podrujnowały moralnie. Świat posmutnał, a ludzie pokazali się tak obrzydliwymi, żem omal nie zwarjowałem...” A w parze z tym — zadaleko, być może, posunięty — samokrytycyzmem

⁵⁸⁾ Ibidem — str. 530.

⁵⁹⁾ W „Główniejszych etapach życiowych” Fedorowski na podstawie słów Tokarzewicza zapisuje: „Małżeństwo kościelnym sposobem ulegalizowane zostało (według obrządku rz.-kat.) 17.VI.1874 r. w Normandji, na górze św. Michała, koło Avraches”. Pod datą zaś 17.X.1872 — „Syn Kazimierz przyszedł na świat. Ochrzczony w Paryżu, według obrz. rz.-kat.”.

⁶⁰⁾ Tokarzewicz w liście do Jeża z 19.XII.1872.

idzie wewnętrzna potrzeba pogłębienia studjów, rozszerzenia zakresu wiedzy. „Pracy, pracy, nauki, nauki” — woła w jednym z listów. W październiku zaś 1872 donosi Jeżowi: „Uczę się, pracuję. W końcu tego miesiąca zaczynać słuchać prelekcij w szkole wolnej nauki politycznych. Zapisalem się na stałego ucznia i wpisowe półroczne opłaciłem...”

Lata 1873 — 78 schodzą mu na niezwykle intensywnej działalności pisarsko - publicystycznej. Pracami swemi zasila główne czasopisma krajowe, płacące mu po „7½ kopiejek za 2 wiersze” ⁶¹). Głównym terenem jest „Wiek”, do którego od chwili jego powstania wysyła liczne korespondencje „ze wszystkich stolic świata, na podstawie telegramów”, podpisywane „setkami pseudonimów”. Rzeczy lepsze, poważniejsze wysyła głównie do „Kłosów”. Zarabiał miesięcznie od 100 — 120 rubli, co „na Paryż, przy rozmianie na franki, pozwaało literatowi prowadzić życie wspaniałe” ⁶²).

W r. 1878, gdy w związku z wystawą powszechną przybyło do Paryża wiele Polaków z kraju, Tokarzewicz zawiera szereg znajomości, m. in. z Sienkiewiczem, Sygietyńskim, Finkenhauzem i znanym podróżnikiem Wiśniowskim. Wśród częstych spotkań i rozmów rodzi się myśl założenia wielkiego czasopisma zagranicznego. Największe zainteresowanie okazywali w tej sprawie Sienkiewicz, Duchiński i Godebski. Z wielu jednak względów do realizacji tych zamierzeń nie doszło. Tokarzewicz jednak nie daje za wygraną i w r. 1878 — jeszcze w czasie trwania wystawy — przystępuje do wydawania „Listów polskich”. Był to dwutygodnik. Pierwszy jego zeszyt nosi datę 5.II.1878. W skład redakcji wchodził poza Tokarzewiczem — Alfred Ciszkiewicz i Edward Siwiński. Koszta wydawnictwa — według słów Tokarzewicza — pokryli prenumeratorem, zresztą trochę pieniędzy dał Ciszkiewicz. Z notatki p. t. „Od inicjatorów „Listów Polskich”, umieszczonej na 3 stronie pierwszego zeszytu, dowiadujemy się, że mieli oni na celu: „rozbiór krytyczny i naukowy tych wszystkich zagadnień, które dotychczas poruszane były na emigracji w sposób, odpowiadający wymaganiom dawniejszych lat; sprawozdania z umysłowych dążeń kraju, w stosunku do przeszłych lub

⁶¹) „Główniejsze etapy życiowe”.

⁶²) Ibidem.

teraźniejszych zapatrywać się wychodźstwa na ogólne zadania naszego wieku i naszej ojczyzny; zaznaczenie i roztrząsanie wszelkich objawów myśli obcej, zostających w związku ze sprawą obecnego położenia Polski; wreszcie — kronikę wychodźczą”⁶³).

Bez echa jednak przebrzmiała prośba „do całego wychodźstwa” o poparcie tego przedsięwzięcia. „Listy polskie” na czwartym zeszyte (25.III. 1878) zakończyły swój żywot. Zresztą, do zgonu tego przyczynił się w pewnej mierze i Sienkiewicz, który — według słów Tokarzewicza — „wyjeżdżając do kraju, ogołocił ze wszystkiego grosiwa Ciszkiewicza”⁶⁴). W wydawnictwie tem Tokarzewicz umieścił kilka prac, a mianowicie — „List otwarty do J. I. Kraszewskiego”, w którym prosi o wypowiedzenie zdania o tem, „co jest dla nas słowem chwili obecnej”, podobny w treści list do T. T. Jeża, oraz obszerny artykuł „Do niezadowolonych”, będący odpowiedzią na uwagi, nadesłane redakcji po wyjściu pierwszego zeszytu⁶⁵).

Z chwilą upadku „Listów polskich” Tokarzewicz przerywa na czas dłuższy pracę publicystyczną. Wstąpiwszy w tym czasie — jako „urzędnik” — do domu komisowego pod firmą C. Adam (Ciborowski Adam), wysyła do wszystkich pism polskich i rosyjskich ogłoszenia i broszury reklamowe. Praca polegała na tłumaczeniu z języka francuskiego na polski i rosyjski i przynosiła mu miesięcznie 120 franków. W chwilach wolnych pracował nad przekładem „Notre Dame de Paris” Victora Hugo, który też sprzedał Lewentalowi po 16 rubli za arkusz.

Wkrótce jednak te źródła dochodu wyschły zupełnie. Lata 1880 — 81 spędza Tokarzewicz w krańcowej nędzy, z którą w parze szedł „najokrutniejszy” upadek ducha, „smutek, tęsknota do kraju, rozpacz bezdena, wstręt do pisania z powodu cenzury”⁶⁶). „Wyjechać potrzebowałem — nie mogę, — pisze do Jeża w liście z 13.III.1881. — W przystępie szaleństwa, wywołanego widokiem cudzych, prawdziwych, czy fikcyjnych

⁶³) „Listy Polskie” — nr. 1. Komplet ich oprawny w zbiorach Bibl. Rapp.

⁶⁴) „Główniejsze etapy życiowe”.

⁶⁵) W „Listach Polskich” ogłoszono m. in. bardzo ciekawe i charakterystyczne odpowiedzi Kraszewskiego i Jeża na wezwanie Tokarzewicza.

⁶⁶) „Główniejsze etapy życiowe”.

nieszczęść, zużyłem się tak strasznie i głęboko, że nie czuję siebie. Tak było razy z dziesięć — i zawsze wyszedłem czarny, jak węgiel, podarty jak szmata. Stąd w końcu napady złości takie, że nic zgoła świętego dla mnie na ziemi niema. Bezczeszczać, — bezczeszczyć się...”

Listy jego z tych czasów roją się od skarg na niezwykle ciężkie warunki życiowe. Pełno w nich zabiegów i trosk o dach nad głową i kawał chleba. Tu bowiem nadmieni, że jest w „okropnych długach”, tam rzuci szczegół: „jestem bez grosza, bez koszuli”, gdzieindziej przekona: „jeżeli jutro i pojutrze nie nadejdą pieniądze ani od siostry z Bielska, która zwykle w początkach roku przysyła arendę z domu, a teraz z powodu złamanej nogi męża zwlec musiała ekspedycję, ańi od Erazma Jerzmanowskiego, który w Ameryce zrobił miliony, a jakoś zapomniał, że w szkole Metz za mojem pośrednictwem miał od Komitetu Emigracji do 400 fr. — to rzeczywiście 19 (marca) zostaną ścięty z nóg, jak trawa. Ani chaty, ani jadła na imieniny”.

Pisał w tym czasie niewiele. Raczej — milczał zupełnie. Nie zachęcała do pracy — jak wspominałem — cenzura rosyjska. Były zresztą i inne powody. Jakżeż wymowna jest np. skarga w liście z 16.III.1881: „Onegdaj p. Świętochowski ni stąd, ni zowąd zawiadomił mię, że nie on jest redaktorem „Nowin” i że zatem za rachunki z tem pismem nie odpowiada. A czemuż około Nowego Roku nic o tem nie powiedział? Licho wie, do kogo się teraz modlić w „Nowinach...”

Zresztą, „wstręt do pisania” miał jeszcze jedno źródło. Na pytanie bowiem Jeża — dlaczego nic nie pisze, dlaczego nie uczy się i nie uczy innych — odpowiada Tokarzewicz: „Dlatego, że mam wiarę, której nikt w Polsce nie podziela... prawie i cokolwiekbym pisał, pisać muszę nieuczciwie. O społecznych moich przekonaniach niema co wspominać. Cofnąłem się od mrzonek komunistycznych, ale spotęgowałem się w kwestjach filozofji pozytywnej — a jednak radykalny tego kierunku niedostatek widzę, jak na dłoni. Błąkam się i błądzę, nie żem ślepy ślepotą nieporadną, lub że istotnie dróg, organów pisarskich niezależnych, niema u nas. U pozytywistów trzeba bić szlachtę i katolicyzm, choćby do spółki z Moskalami i Niemcami, u katolików należy plwać na postęp i oczywistość naukową. Lecz mniejsza jednak o zasady filozoficzne i socjalne.

ZMOWA.

Kūpos susitarimas — Hromadzki zhovor.

№ 1.

15 Lipca 1870.

„Zmowa” wychodzi dwa razy na miesiąc: 15^o i 30^o.
Adres Administracji: Mr. J. A. Medeksza, rue Nollet, 57, Batignolles, Paris.
Prenumerata kwartalna we Francji i krajach jej sąsiednich wynosi z przesyłką fr. 3,
gdzieindziej fr. 3 et. 50, wraz z dodatkami besterminowymi „Przez lud.”

Paryż, d. 10 Lipca 1870.

Najdalszy i najogólniejszy cel naszej propagandy określa się nazwą naszego pisma. Jak to już napomknęliśmy w prospekcie, pragniemy zmowy ludu Polski, Litwy i Rusi przeciwko wrogom zewnętrznym i przeciwko wszystkiemu, co wewnątrz kraju czyjkolwiek panowanie krzewi, rozwija i popiera.

Ztąd znówu najbliższe i najrzeczywistsze zadanie nasze ma charakter całkowicie zaprzeczny. Odrzucamy i potępiamy wszelkie instytucje na których się opiera nowoczesny porządek społeczny, gdyż takowy fatalnie ciągnie za sobą niewolę, ciemnotę i nędzę dla milionów, a zbytek, rozpustę i znikczemnienie dla tysięcy.

Mamy więc na widoku orężne powstanie ludu przeciw tym, którzy owego porządku rozmyslnie bronia; mamy na widoku rewolucję.

Wiemy jednakże, że do walki nie powoła ludu polskolitewsko-ruskiego, kto doń idzie w imię samego li niszczenia, i dla tego hasłem naszym jest: burzyć, budując. Twierdzącą zaś stroną naszej myśli czerpamy: w widomej, acz na Zachodzie bezsilnej, dążności naszego wieku ku wcieleniu, zrealizowaniu nieśmiertelnych przekazów prawdy i sprawiedliwości, — i w głębokiem przeświadczeniu, że zewnętrzne materiały niezbędne dla tej realizacji, leżą nietknięte w charakterze, w usposobieniach, w zwyczajach i tradycjach warstw społecznych, które w Polsce nigdy dotąd własnem życiem żyć nie mogły. I to jest nasz socjalizm.

Pierwsza strona „Zmowy”.

Przebieg sprawy,

Do celów do wyjazdu do Galicji
i do delegacji komitetu. Będę na wyjeździe
wiosny, nie, a później - przed dwa miesiące -
na wyjazd, do wyjazdu i z tamtego
długość.

Przebieg sprawy i Heltmanna objawi mi
całkowicie i wykarze do tego walczyć
wtedy was, jako że objawił w jednej z listów
swoich. Heltmanna wyjechał. Miałem dwa
dni, więc napisałem i przysłałem list
to że stało się, przysłałem im listy.

O Heltmanna odwiedzić w październiku
wtedy wyjechał, nie wiem, gdzie
wtedy w maju 1895.

Do 4. w wyjazd

O wyjeździe wyjechał, nie wiem, gdzie
wyjechał, nie wiem, gdzie.

Przebieg sprawy wyjechał, nie wiem, gdzie
wyjechał, nie wiem, gdzie.

Przebieg sprawy wyjechał, nie wiem, gdzie
wyjechał, nie wiem, gdzie.

Przebieg sprawy wyjechał, nie wiem, gdzie
wyjechał, nie wiem, gdzie.

Przebieg sprawy wyjechał, nie wiem, gdzie
wyjechał, nie wiem, gdzie.

Facsimile listu J. Tokarzewicza-Hodiego.

Do artykułu W. Półóg - Malinowskiego.

Lecz gdzie dla mnie bieda — to w polityce. Byłem, jestem i będę stanowczo za związkiem z Rosją postępową, liberalną, uczciwą. Wierzę w nią. Gdzież każecie o tem pisać? Chyba w „Dzienniku Warszawskim”? I rzeczywiście, z księciem Golicynem (szują podobno nie gorszą ode mnie) prowadziłem korespondencję, jakiej drugiej, dalibóg, nie dałoby się przeprowadzić z żadnym publicystą polskim. Z Sienkiewiczem może, ze Spasowiczem...”⁶⁷⁾.

Jeż — „kochany, poczciwy Jeż” — po raz setny chyba wyciąga pomocne dłonie. Stanowcza jego interwencja zmusza Tokarzewicza do opanowania się, do wydobycia się ze stanu przygnębienia, zniechęcenia, niewiary. Słowa moje — pisał Jeż — pochodzą „ze szczerego sprzyjania Panu, człowiekowi, obdarzonemu pięknym talentem, z którego ciągnąć możesz korzyści i dla siebie, i dla ogółu. Nie słyszałem, ażeby w Paryżu mówił kto źle o Panu, ale głos powszechny obwinia Pana o chodzenie drogami błędnymi. Błędzisz i błąkasz się, rozpraszasz się, czynisz krzywdę i sobie, i nam. Czyż nie możesz tyle w sobie mocy duszy znaleźć, ażeby wyjść na drogę prostą i jasną i nie schodzić z takowej? W tem nie pomoże Panu nikt. Zależy to od Pana samego. Zmień miejsce pobytu, jeśli Paryż Panu niedogodny, zajmij się pracą literacką, która się naprasza pióra Pańskiego; zostań tem, czem zostać Panu tak łatwo...”⁶⁸⁾.

Wezwanie to nie przebrzmiało bez echa. W liście z 20.XI.1881, wysłanym „nie dla przypomnienia chwil dla Pana przykrych z mojej winy, lecz z obowiązku sumienia”, zawiadamiał Tokarzewicz Jeża, że w ciągu ubiegłego półrocza, — „od chwili wezwania do pracy” — napisał do „Ateneum” — „Studjum o arjach pierwotnych”, do „Niwy” — czteroarkuszową pracę o „Pierwiastkach samorządu społecznego w Anglii i Francji”, do „Gazety Polskiej” — liczące około 4.000 wierszy „Ekonomiczne dążności naszego czasu”, oraz powieść obszerną⁶⁹⁾. Poza tem pracował w tymże czasie nad dwiema

⁶⁷⁾ W liście z 15 marca 1881.

⁶⁸⁾ Jeż w liście do Tokarzewicza z dn. 12.III.1881.

⁶⁹⁾ Mowa tu zapewne o powieści „Ślepy Paweł”, będącej według słów Tokarzewicza jego własną autobiografią. Powieść ta drukowana była w 1881 r. w „Gazecie Polskiej”. Niektóre z wymienionych szkiców weszły w skład cytowanego już tomu „Wyboru prac literackich” — Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1898.

innemi powieściami, których jednak do druku wysłać nie mógł, gdyż, jak sam się wyraża, „potrzebuję odstylizowania w kraju, zachwycenia choć kropli powietrza ojczyzstego, bez którego konam”. Honorarja, otrzymane za te prace, pozwoliły spłacić część długu. Nie wydarły go jednak z objęć nędzy. W tymże liście prosi Jeża o wyrobienie mu jakiegokolwiek zajęcia w dziennikach paryskich, gdyż — pisze „jestem w gorszej nędzy, niż byłem, a bardziej jeszcze zrozpaczony”.

Były to już ostatnie miesiące pobytu Tokarzewicza we Francji. Żona jego, wysłana przezeń do kraju wkrótce po upadku „Listów polskich”, po długich zabiegach i staraniach w Petersburgu, uzyskała pozwolenie na powrót do kraju. W maju 1882 Tokarzewicz, po 20-letnim pobycie na wygnaniu, wraca do Polski.

Do stron ojczyzstych jednak zawitał dopiero w roku następnym, bo jakieś, wynikiłe zapewne w międzyczasie, trudności nie pozwoliły mu na przekroczenie granicy rosyjskiej. Zwiedziwszy Poznań, wyjeżdża na Śląsk, później do Krakowa i Lwowa, skąd wraca ponownie do Paryża, zostawia tam u znajomych syna i przez Wiedeń po raz drugi przyjeżdża do Krakowa. Stąd jednak wkrótce wydalony zostaje przez policję austriacką. Jedzie więc do Poznania, stamtąd do Torunia. Tu wreszcie otrzymuje zezwolenie na wjazd do Królestwa. Po krótkim, bo 5-dniowym pobycie w Warszawie, którą ujrzał po raz pierwszy w życiu, udaje się do Grodna, skąd po załatwieniu niezbędnych formalności w gubernatorstwie dociera do rodzinnego Bielska.

Resztę życia Tokarzewicz wypełnił ciężką pracą publicystyczną. W czerwcu 1883 — po zaoferowaniu swej współpracy „Krajowi” — zostaje przez Spasowicza ściągnięty do Petersburga. Pracuje tu do końca 1885 — kiedy to, „podjudzany” przez Aleksandra Jelskiego, opuszcza „Kraj” dla warszawskiej „Chwili”. Była to jednak zamiana przysłowiowej siekierki na kijek. W „Chwili” bowiem znalazł „zupelną nędzę”, wskutek czego „pracować czas jakiś musiał bezpłatnie. W r. 1886 wchodzi do redakcji „Kłósów”, wkrótce jednak „z powodu zamiaru zredukowania pensji z 75 rubli do połowy” zwraca się z telegraficzną prośbą do Piltza o ponowne przyjęcie do „Kraju: We wspomnieniach pod datą 1887 — 1893 notuje: „Praca szalona w „Kraju”. Znaczne osłabienie

wiary, ażeby się dało coś z Rosjan zrobić, wpędziło mnie niemal w obłąkanie. Dr. Tomaszewski: „Co się panu zdaje?” — „Zdaje mi się, że gdy wychodzę na ulicę, wszyscy ze mnie szydzą”. — „Biednyś”. Na tym punkcie miałem dużo współczucia ze strony Piltza, tylko więcej w nim nienawiści, posuniętej aż do zdrady, do przerzucenia się na stronę Niemców. To mnie strasznie przeciw niemu oburzało”⁷⁰).

Praca w „Kraju” trwała do r. 1893. Nieznośne stosunki, panujące w redakcji, zmuszają go do wyjazdu z Petersburga. Spędziwszy parę miesięcy w Warszawie, osiada na stałe w Grodzisku, skąd zasila (pod pseudonimem Grodzickiego) korespondencjami, artykułami i studjami nie tylko „Kraj”, lecz i inne pisma, m. in. „Ateneum”, „Gazetę Warszawską”, „Kurjer Codzienny”, „Niwę”, „Gazetę Polską”, „Prawdę”, „Przegląd Tygodniowy” i inne. Z prac większych, powstałych w tym czasie, zasługują na uwagę cytowane już wspomnienia „W dniach wojny i głodu”, wydana w r. 1891 powieść „Pan Głuchy Gaweł” oraz obszernie studja filozoficzno - literacko - społeczne, ogłoszone w wydawanej przez „Gazetę Polską” — „Historji XIX stulecia”.

Tokarzewicz zmarł w Grodzisku w r. 1916.

⁷⁰) „Głównejsze etapy życiowe”...

Dr. EDMUND BRZEZIŃSKI.

WSPOMNIENIA MOJEGO ŻYCIA¹⁾.

II.

W jesieni 1878 r. zdałem egzamina przyrodnicze, zacząłem się przygotowywać do 1-ej części egzaminu lekarskiego—praca szła mi dobrze. Stanisław Waryński przed mojem uwięzieniem przeniósł się do Lipska i tam zapisał się na medycynę; Ludwik Waryński zawieruszył się w organizacji rewolucyjnej w Warszawie; wyjeżdżał często zagranicę, raz jeden przez kilka dni gościł u mnie. W Genewie zaczęła wychodzić „Równość” („Przedświt”). W Warszawie urządzona była polska tajna drukarnia, sprowadzona z zagranicy. Wychodzące w kraju druki agitacyjne nie wystarczały — pomyślano o zagranicy, co nie natrafiło na przeszkody. Ruch przemysłowy druków na byleją granicy austriackiej wzmoógł się. Punkty przemysłowe trzymała Warszawa, a jeśli Rosjanie chcieli z nich korzystać, to mogli to czynić za zgodą i pozwoleniem Warszawy, gdyż kilka punktów wsypali. Bliskość Krakowa i względna wolność prasy w Galicji były warunkami nader korzystnymi dla wybrania Krakowa jako centrali wydawnictw polskich. O tem pomyślał Ludwik Waryński wraz z organizacją warszawską.

Wiosną 1879 r., kiedy przystąpiłem do pierwszego rygorozum, wszczął się popłoch wśród młodzieży polskiej w Wiedniu. Aresztowani zostali Edmund Mikiewicz, słuchacz politechniki, Stanisław Barabasz, słuchacz architektury, Bronisław Lubicz-Jankowski, słuchacz medycyny i jeszcze paru innych. Mnie nie tykali. Dziwiło mnie to trochę,

¹⁾ Patrz zeszyt 7, str. 47 — 70.

ale policja czekała, aby zebrać poszlaki. Stehling, wytrawny detektyw, szukał.

Zatarłem wszelkie ślady, najmniejszego niepotrzebnego świstka nie trzymałem w domu. Pewnego razu doręczono mi list polecony z Zurychu z prośbą o wysłanie do Krakowa paszportu rosyjskiego pod adresem nieskazitelnym, wystawionego i sfabrykowanego na imię głośnego później Pa w ł a A x e l r o d a, jednego z filarów rewolucyjnego ruchu rosyjskiego, który miał przejechać granicę rosyjską. Sprawa była nagłą i ważną. Uskuteczniłem wysyłkę i, nim oddałem do przechowania receptis pocztowy, wsunąłem go pod arkusz do pocierania zapalek, przybity pluskiewkami nad mojem łóżkiem. Wysłany list doszedł bez wypadku do rąk adresata.

Ludwik Waryński bawił wówczas w Krakowie i zajmował się wydawnictwem kilku broszur agitacyjnych. Polecił wydawnictwo drukarni Koziańskiego na Podgórzu, a sam zajął się organizowaniem młodzieży w Krakowie. Był mistrzem w sprawach tego rodzaju Poszło wszystko jak najgładziej. Powstała grupka zorganizowanych. Młodszy brat jego, Stanisław, po blisko 2-letnim niewidzeniu się z bratem przyjechał także do Krakowa na dni kilka bez żadnych agitacyjnych celów. Niespodziewana wsypa — zabierają obu Waryńskich i jeszcze kilku. Mówiono powszechnie, że to Koziański zrobił doniesienie. Zaczęła się nagonka i zabieranie bez najmniejszego wyboru. W tym właśnie czasie napisałem do Stanisława najzwyczajniejszy list przyjacielski z podpisem Stanisław, a nie Edmund. List dostał się w ręce policji krakowskiej i jedynie tej fikcji zawdzięczam przedłużenie mojej wolności jeszcze na dni kilka. Mikiewicz był wzięty jedynie na podstawie brzydko w uszach policji brzmiącego imienia, wkrótce został wypuszczony i dochodzenie przeciw niemu zamknięto.

Na drugi dzień po wysłaniu wspomnianego paszportu do Krakowa zjawia się u mnie o 7-ej rano ponownie pan Ż y ż k a i budzi mnie słowami: „Proszę wstawać, ubierać się, pójdziemy”. Wstałem, ubrałem się, poszliśmy i do mieszkania już więcej nie wróciłem. Rewizji nie przeprowadził wcale, w ten sposób ów receptis, wsunięty pod papier do zapalek, na jaw nie wyszedł. Z domu zaprowadzono mnie do znanego mi z poprzedniego procesu Landesgerichtu. Obiecywałem sobie dłuższe w nim przebywanie — stało się inaczej. Wytrawny Ste-

hling, przekonawszy się, że Bogu ducha winny Mikiewicz był zupełnie bezpodstawnie uwięziony, zażądał przysłania z Krakowa mego listu, podpisanego „Stanisław”, wiedział bowiem z meldunku, że blisko przed dwoma laty mieszkałem z młodszym Waryńskim na Lenaugasse. Zbadane przez rzeczoznawcę pismo potwierdziło przypuszczenie Stehlinga na moją niekorzyść i w 3 dni potem wyruszyłem znowu w towarzystwie pana Żyżki i Pateka do Krakowa, tym razem jednak, o ile pamiętam, bez kajdanek. W Krakowie powitał mnie klucznik pan Wiatr, przeze mnie nazywany Wiatrowskim, który mię ulokował w osobnej celi na korytarzu, przydzielonym jego opiekuńczemu dozorowi. Zczasem surowy pan Wiatr dał się porządnie oblaskawić. Można było za jego pośrednictwem, a za własne pieniądze, załatwić takie lub inne zakupy, nawet czasami przesać jakiś liścik, choćby i zagranicę — listy dochodziły.

Byłem tedy znowu pod śledztwem w sprawie „Ludwika Waryńskiego i towarzyszy”. Śledztwo było żmudne, nudne i nieraz dokuczliwe, trwało 11 miesięcy, z początku w kierunku „głównej zdrady”, czyli Hochverrat'u o wymiarze kary 10—20 lat ciężkiego więzienia, a nawet do szubienicy. Potem zredukowano do zbrodni „zaburzenia publicznego” z przewidzianą karą 1 — 5 lat zwykłego więzienia.

Śledztwo prowadził sędzia Turek, tęgi, trochę ociężały i nieco leniwy; dozorował i kierował prokurator Brazon, tępy formalista, zawzięty i oschły; miał wielką skłonność podejrzenia każdego o jakieś nieczyste i brudne sprawy — zdradzał żywą chęć skompromitowania nas. Na szczęście nie udało mu się to ani razu! Nie można powiedzieć, żebyśmy cierpieli bardzo z powodu szykanowania, ale znosiliśmy surowe przepisy więzienne, niehygieniczne i długie więzienie, zły wikt, brak świeżego powietrza. I my i obrońcy nasi upominaliśmy się o doręczenie nam aktu oskarżenia. Napróżno. Pod koniec śledztwa wydano hasło strejku głodowego i wiadomość ta przeniknęła do pism perjodycznych. Wszczął się popłoch, Wiedeń się o tem dowiedział. Władze krakowskie były zaalarmowane, Prezes Sądu Najwyższego przybył osobiście do więzienia, dochodził, odwiedzał każdego z osobna, w obecności naszych obrońców. Coś radzono i coś postanawiano. Trzy i pół doby wytrzymałyśmy głodówkę, zaczęliśmy przyjmować pożywienie

po ogłoszeniu nam ulg: 1) w najkrótszym czasie obiecano nam wydać akt oskarżenia, 2) wszystkich uwięzionych w Krakowie i Lwowie obywateli austriackich wypuszczono na wolną stopę, 3) dano ulepszone wikt, pozwolono schodzić się po kilku w celi. Warunki stawały się znośniejszemi. Wkrótce otrzymaliśmy akt oskarżenia. Był to elaborat prokuratora — pretensjonalny i naiwny zarazem, — przestudjowaliśmy go starannie, naradziwszy się przedtem z obrońcami i między sobą. Właśnie na krótki czas przedtem **L u d w i k W a r y ń s k i** po przebytych ciężkim tyfusie zjawiał się wśród nas. Na podstawie wprowadzonych ulg schodziliśmy się w jego celi i władze patrzyły na to przez palce.

Uwolnieni odpowiadać mieli z wolnej stopy; my, rosyjscy poddani, z więzienia. W ostatnich dniach przybyło kilku nowych: wpadł **Stanisław Mendelson**, już raz wydalony z Austrii; młody 17-letni **Mieczysław M a ń k o w s k i** z Krakowa, znalazł się także uczeń 6-ej klasy z gimnazjum św. Anny, **Szczepan M i k o ł a j s k i**, obecny wysoki urzędnik sanitarny we Lwowie, wreszcie jak *deux ex machina* **K o b y ł a ń s k i**, tym razem pod pseudonimem **K r a e m e r a** (zresztą w parę dni był całkowicie rozkonspirowany).

Rozprawa odbywała się publicznie przed ławą przysięgłych. Zjawili się wszyscy oskarżeni — razem około 40-tu. **Ludwik Waryński** był głównym oskarżonym. Przewodniczył prokurator Wyższego Sądu, **Cyszczan**, wybitny prawnik, doświadczony sędzia, spokojny, czujny i idealnie bezstronny. Dla oskarżonych nie zdradzał żadnej niechęci, a jego bezprzykładną obiektywność i pobłażliwość odczuwaliśmy jako pewną sympatię dla nas. Wylosowana ława przysięgłych z 12 członków i 6 zastępców składała się wyłącznie z obywateli, którzy sami przed 10 — 15 laty także spiskowali. Obrońcami byli **d r. M a c h a l s k i**, najstarszy, później prof. Uniw. Jag., **R o s e n b l a t**, i najmłodszy, **d r. P i e n i ą ż e k**. Sprawa toczyła się o utworzenie tajnego związku na tle t. zw. „Programu Brukselskiego”, znalezionej u niektórych przy rewizji. Główny oskarżony, **L u d w i k W a r y ń s k i**, był jego tłumaczem i interpretatorem. Przewodniczący **Czyszczan** głównie jego o to wypytywał. **Waryński** wywiązał się z zadania ku zadowoleniu naszemu i ku widocznemu poruszeniu publiczności.

Przy tej sposobności chcę poświęcić chwil kilka pamięci

mego kolegi z gimnazjum Białocerkiewskiego i przyjaciela z ławy szkolnej, **L u d w i k a W a r y ń s k i e g o**. O rok młodszy ode mnie, był wprowadzony przeze mnie jako członek do biblioteki polskiej, przezemnie założonej, w której pozostał do zakończenia gimnazjum. W czasie procesu miał 22 lata. Fizycznie był typowym kresowcem. Wysoki blondyn, silnej budowy, bardzo krótkowzroczny, stałe nosił szkła. Był bardzo przystojny i od pierwszego wejrzenia ujmował sobie ludzi. Niesłychanie odważny, w postanowieniach stały, w przyjaźni wierny. Oczytany, orjentował się szybko. Był wymowny i dyskutował umiejętnie, popierając argumenty wyrazistemi gestami. Miał wielki wpływ na otoczenie, był bardzo obowiązkowy. W Warszawie w 1882 r. został zasądzony na 16 lat katorgi, zmarł na suchoty w 1886 r. w Szlisselburskiej twierdzy i tam pogrzebany. Przez cały czas rozprawy Waryński skupiał na sobie ogólną uwagę.

Przysięgli odnosili się do nas z sympatją, na dowód czego przytaczam następujący wypadek. Kiedy podczas mego przesłuchania prokurator **B r a z o n** zapytał: „A jak się pan zapatruje na rozbiór Polski?” — odpowiedziałem: — „rozbiór Polski uważam za polityczny gwałt i zbrodnię” i chciałem coś dalej mówić, to przewodniczący przerwał mi słowy: — „już wiemy, już wiemy” i kazał mi usiąść, a podczas urządzanej pauzy powiedział mi: — „radzimy panom na rozprawie o Austrii nic nie wspominać, a wszystko zwać na Rosję i Prusy”.

Rozprawa ta trwała 2 miesiące, codziennie przed i po południu. Rodziny oskarżonych, tak miejscowych, jak i zamiejscowych, codziennie przybywały na rozprawę. Zaznajamialiśmy się i wywiązywała się na sali serdeczna i przyjemna atmosfera. Niestety, z mojej rodziny nikt przybyć nie mógł...

Zbliżał się dzień decydujący. Po oskarżającej mowie prokuratora, długiej i bezbarwnej, po przemówieniu obrońców według starszeństwa i résumé przewodniczącego — krótkiem i treściwym — i po niedługiej naradzie ławy przysięgłych, przewodniczący ich odczytał przy głębokiem napięciu i milczeniu na sali następujący wyrok: główny oskarżony **L u d w i k W a r y ń s k i** uwolniony jest od oskarżenia tworzenia tajnego związku, skazuje się natomiast za przestępstwo fałszywego meldunku na 2 tygodnie zwykłego aresztu. Na 3 tygodnie ta-

kiegoż aresztu skazany był Mendelson za niedozwolony powrót do Austrii. Na 4 tygodnie — Kobylański — za fałszywy meldunek i niedozwolony powrót. Zresztą wszyscy co do jednego zwolnieni jednogłośnie od głównego oskarżenia. Triumf nasz był zupełny. Uszczęśliwionym oskarżonym i rodzicom kilka radosnych okrzyków wyrwało się z serca. Wśród łez radości matek i sióstr zaczęto tłumnie wychodzić do domów, my żegnaliśmy się z obrońcami. Czyszcza wesoło przypatrywał się naszemu ożywieniu, przysięgli także. Brazon zaś naprędce złożył swoją tekę i, nieżegnany przez nikogo, nie zgłaszając sprzeciwu, wyszedł bocznymi drzwiami. Trzem zasądzonym na areszt kazano pójść do swoich cel, reszcie obcokrajowców tylko poto, aby się spakować, gdyż mieliśmy być odesłani do aresztów policyjnych, gdzie miały się ostatecznie rozstrzygnąć nasze losy.

W niespełną godzinę paczka, składająca się z 8-u czy 9-u, znalazła się w głośnych aresztach policyjnych, przygotowanych nieco na nasze przyjęcie. Zrzędy nam miny; wprawdzie nie gnębiono nas specjalnie, znaleźliśmy te same kraty, te same brudne posłania i podłogi, powietrze także nie odznaczało się zbytym aromatem, ale drzwi nie były zamykane na klucz, mogliśmy wychodzić na korytarz, zbierać się razem, i traktowano nas względnie poprawnie, nie dawaliśmy zresztą żadnych ku innemu traktowaniu powodów. Zaniepokoiła nas wiadomość z ust komisarza, że nadziei na pozostanie w kraju mieć nie powinniśmy, a już pod wrażeniem przeżytych ostatnich dni zaczynaliśmy się łudzić. Obrońcy nasi w czasie rozprawy wyrażali pewność pomyślnego końca procesu, w najgorszym razie obcokrajowcy mogli być wydaleny, ale my, uwolnieni całkowicie od winy i kary, wzruszeni łaskawością sędziów, bezwzględną sprawiedliwością przewodniczącego i współczuciem publiczności, poszliśmy w ocenie naszych szans zadaleko. Zmęczeni długim więzieniem, wielką stratą czasu, wzdychaliśmy czasami do takich zakątków ziemi, gdzie za ludzkie wierzenia i przekonania nie dręczy człowiek człowieka i nie pała pragnieniem zemsty, dlatego rzeczywistość chwili wydała nam się tak ciężką. Porozumieliśmy się jeszcze raz z obrońcami; powiedzieli nam, że policja krakowska w takich razach zawsze dekretuje o wydaleniu, że byłaby jedyna rada wnieść rekurs do namiestnictwa, ale na odpowiedź trzeba poczekać często kilka

miesiący i że najlepiej byłoby zrzec się na piśmie rekursu. Zresztą pozostawiono nam czas do namysłu. Namysłaliśmy się i radzili, wkońcu na przedłożonym nam urzędowym druku podpisaliśmy swoje nazwisko. Klamka zapadła. Odczuwaliśmy to jako ciężki cios, zadany nam władcą ręką polską, i nie tylko nam, ale rodzinom naszym, zwłaszcza naszym matkom.

Dekret namiestnictwa brzmiał: „(nazwisko) wydała się ze wszystkich krajów koronnych, reprezentowanych w Austrjackiej Radzie Państwa”. Dziwiliśmy się niemało, że namiestnik galicyjski otaczał swoją pieczołowitą opieką wszystkie kraje koronne, powtarzając tylko utarty frazes urzędnika austrjackiego; nie robił tego zupełnie bezmyślnie i — co jeszcze mniej — bezinteresownie. Wiedział dobrze, że zasługi jego będą policzone, a że kilku Polaków będzie miało życie i przyszłość zwichniętą, że wysyła ich na bezdroża, a ich rodziny unieszczęśliwia, to mu zapewne snu nie przerywało.

Żegnałem w myślach na długie lata matkę wierszem, który tak często obijał się o moje uszy dziecięce:

Klęknij przed Matki cudownym obrazem,
I na miecz patrzaj, co jej serce rani.
Takim Twe serce wróg przeszyje razem!

Dokonało się! Przygotowaliśmy się do wyjazdu. Obrońcy nasi zapewnili nam wyjazd do Szwajcarii wyłącznie przez teren państwa austrjackiego, omijając Bawarię, gdzie Niemcy robili przygotowania do zabrania z nami bliższej znajomości i trwałego zaopiekowania się po swojemu. Arlbergbahn jeszcze nie istniała. Ruszyliśmy tedy koleją do Wiednia w asystencji dwóch policjantów cywilnych. Noc w aresztach policyjnych. Policjanci z Krakowa powrócili do domu, natomiast zastąpili ich panowie Ż y ż k a i P a t e k, którzy mieli nam towarzyszyć do granicy szwajcarskiej. W Grazu drugi nocleg, taki, jak w Wiedniu. A z Grazu na Landeck i Bludenz traktem pocztowym po wspaniałej szosie przy wesołym trąbieniu pocztyljona. U podnóża Arlbergu przesiedliśmy się na sanie, a po przebyciu szczytu stanęliśmy na wolnej ziemi Helweckiej. Byliśmy u kresu — wolni i nienapastowani. Nastąpiło pożegnanie z panami Ż y ż k a i P a t e k i e m: ściskali nam ręce, a ze szczególną serdecznością żegnali się ze mną, jako ze znajomym od blisko dwóch lat, prosili o zachowanie ich w dobrej pamięci i o odpowiadanie na ich listy. Byliśmy z nimi grzeczni, ale nic nie obie-

cywaliśmy, ani o nic nie prosiliśmy. Z ich strony była to próba ostrożnej prowokacji, bo, gdyby się był znalazł wśród nas jaki naiwny i lekkomyślny i niebacznie wysłał do którego z nich list, to pociągnęłoby pewno za sobą poważne następstwa. Z najbliższej stacji kolejowej pojechaliśmy na Zurych, Bern, Lausanne do Genewy, dokąd przybyliśmy około północy.

Incydent z detektywami nasuwał mimowoli analogię pomiędzy nimi, a namiestnikiem galicyjskim. Detektywi zajmowali podrzędne i zależne stanowiska, obarczeni pracą przy małych zarobkach; namiestnik zaś posiadał szerokie przywileje, obsypany zaszczytami i odznaczeniami, a spodziewać się mógł jeszcze wyższych. Różnica polegała jedynie na wysokości stanowisk i wysokości zysku. Cóż mogło namiestnika natchnąć uczuciami miłości do pohańbionej ojczyzny, kiedy mu osobiście na służeniu Austrii było daleko lepiej, niż jego sławnym przodkom w dawnej Polsce.

W Genewie zastaliśmy emigrację polską zwiększoną. Zjechali ze wszystkich krańców Polski przeważnie ludzie młodzi, częściowo w celach politycznych, częściowo dla ukrycia się przed prześladowaniem rządu rosyjskiego. Za parę tygodni mieli przybyć W a r y ń s k i, M e n d e l s o n i K o b y ł a ń s k i. Zamieszkaliśmy na wspólnej kwaterze w osobnym domu na krańcach Genewy i zarząd prowadziliśmy własny. Było wesoło i gwarno. Nadmienić muszę, że tylko nieliczni z nas posiadali środki własne, przeważna część nie posiadała żadnych. Gospodarowaliśmy wspólnie — kwaterę naszą nazwaliśmy „komuną”. B o l e s ł a w L i m a n o w s k i był już w Genewie i zamieszkał oddzielnie z rodziną. Osobno mieszkał także z rodziną czcigodny Z y g m u n t M i ł k o w s k i, tytułowany powszechnie pułkownikiem. Bawił również czasowo głośny generał Komuny Paryskiej W a l e r y W r ó b l e w s k i, oczywiście tytułowany przez nas generałem.

Brunet, wysokiego wzrostu, przez cały czas walk powstańczych nie opuszczał Królestwa, ostatni ze swoim oddziałkiem przeszedł granicę austriacką i szczęśliwie dostał się do Paryża. Skończył Akademię Wojskową w Petersburgu, był bardzo wykształconym artylerzystą i całe życie interesował się wyłącznie wojskowością. Miał bardzo rozległe stosunki w tych kołach i przez długie lata współpracował w pismach fachowych, zwłaszcza angielskich. Z Miłkowskim żył w bliskich stosunkach —

tytułowali się według szarż. W Paryżu po śmierci komendanta Komuny Jarosława Dąbrowskiego objął komendę, a po upadku Komuny ukrył się w Szwajcarii. Zaocznie skazany na śmierć, po kilku latach został ułaskawiony. Często wyjeżdżał do Paryża i przemieszkiwał tam zawsze u żyjącego jeszcze Wiktora Hugo. Nas obdarzał żywą sympatją, często zapraszał i przyjmował u siebie. Kwalifikował nas z punktu widzenia danych na wojskowego. Żył dostatnio, dużo czytał, przeważnie dzieła fachowe obce, lubił o tem rozprawiać i marzył o powstaniu polskiem. Z rosyjską emigracją w Londynie utrzymywał bliskie stosunki, i nowoprzybyli Rosjanie, aby się dostać do takiego Piotra Ławrowa, także wyższego pułkownika armji rosyjskiej, a późniejszego redaktora „Wpieriodu”, musieli prosić Wróblewskiego o legitymacje. Tak powszechnie był szanowany. Wiele lat po moim wyjeździe ze Szwajcarii umarł w Paryżu w biedzie i zapomnieniu. Była to szczerą duszą żołnierska, mężna i wierna, niekiedy rubaszna z odcieniem złośliwej wesołości.

Kolonja rosyjska w Genewie była liczniejsza od naszej. Podtrzymywaliśmy z nią oficjalne do pewnego stopnia stosunki. Aby stworzyć podstawę do jakiejś takiej wspólnej platformy z nimi — coś na podobieństwo „za naszą i waszą wolność” — urządziliśmy szereg odczytów o Polsce. Bolesław Limanowski, jako żywy świadek i współtwórca dziejowych wypadków, wygłosił szereg odczytów w języku rosyjskim. Po każdym odczycie odbywała się dyskusja, świadcząca niekiedy o wyraźnej rozbieżności poglądów. Wkońcu ani my ich, ani oni nas nie pokonali. Na odczyty obie kolonje schodziły się w pewnej zamówionej kawiarni. Przychodzili: Plechanow, Bokanowski, sławna Wiera Zasulicz (sprawczyni zamachu na Trepowa, sądzona przez sąd przysięgłych, uniewinniona, osiadła potem na dłuższy czas w Genewie), ks. Czerkiewow, Gruzin, i kilku innych. My interesowaliśmy się tem więcej, niż oni. Przychodził dość pilnie Dragomarow, b. profesor uniw. Kijowskiego, Ukrainiec, który po rozpoczęciu dyskusji pierwszy zabierał głos, w nieokrzesanie złośliwych słowach obalając tezy, jakich chciał dowieść Limanowski. Bywał na odczytach także i Wróblewski, w dyskusjach głosu nie zabierał i nazywał Dragomarowa „panamar”. Po jakimś czasie odczyty były zaniechane.

Jednym z najsympatyczniejszych typów wśród emigracji rosyjskiej był Ż u k o w s k i. Były oficer armji rosyjskiej, wykształcony kawalerzysta, salonowiec, w początkach powstania wysłany do Polski, podał się do dymisji i został cywilem. W 1866 r., zamieszany do głośniejszej w swoim czasie sprawy Pietraszewskiego, aresztowany, uciekł do Paryża, potem osiadł z żoną i dziećmi w Genewie. Z bardzo bogatej rodziny, spokrewnionej po żonie z rodziną Szuwałowych, na emigracji posiadał nader skromne środki. Żona jego, dzielna i światła kobieta, była duchem opiekuńczym domu. Ten to Żukowski po naszym przyjeździe do Genewy przywitał nas, ofiarowując każdemu swoją fotografię z napisem: „Z Wami rozpocząłem i z Wami zakończę”. Z biegiem lat zmanjerował się, rozpróżniaczył, żył z dnia na dzień, stał się próżnym gadułą. Takim go pożegnałem, opuszczając Genewę. Pozostał człowiekiem uczciwym i prawym.

Wogóle pomiędzy dwiema naszymi kolonjami nie wytworzyła się ściślejsza zażyłość. Zналиśmy się, w stosunkach z nimi byliśmy poprawni. Niekiedy świadczyliśmy sobie wzajemne usługi, uznawaliśmy w niektórych z nich wielką ofiarność osobistą i męstwo, ale do zupełnego zlania się światopoglądowego między nami nie przyszło. Przedstawialiśmy sobą dwa różne typy i dwie różne historie.

Grunt genewski stawał się dla niektórych z nas uciążliwym. Wspólne pożycie w komunie, jak najzgodniejsze i przyjazne, zaczęło zczasem nużyć i podkreślać różnice indywidualne. Komuna urządzona była nie jako eksperyment dla dowiedzenia takiej lub innej tezy, lecz odruchem uczuciowym ze strony kolegów zamożniejszych dla udzielenia pomocy tym, co, nie posiadając nic, pozostałoby bez dachu nad głową. Role były nierówne: jedni oddawali wszystko, co posiadali, drudzy korzystali ze wszystkich udogodnień, jakie tylko współzycie zabezpieczyć mogło. Na tem tle musiały powstawać rozmaite wewnętrzne konflikty uczuciowe członków. Po pewnym czasie nastąpić musiała reakcja.

Ja postanowiłem kontynuować studia medyczne, a przywykły do wykładów w języku niemieckim, niebawem osiadłem w Bernie i tam zapisałem się na medycynę. Studja, odbyte w Wiedniu, zostały mi zaliczone. S t a n i s ł a w W a r y Ń s k i zapisał się na medycynę w Genewie — osobno. J a b ł o Ń s k i,

zecer z Warszawy, znalazł zajęcie w jednej drukarni genewskiej i dobrze zarabiał. Uziębło, Kobylański i ktoś jeszcze także opuścili komunę. Pozostał w komunie tylko główny sztab: Ludwik Waryński, Kazimierz Dłuski, Stanisław Mendelson, W. Piekarski i Szymon Dickstein. Przybywający od czasu do czasu ktoś z kraju znajdował w komunie oparcie. Zakrzętnięto się energicznie około uregulowania wydawania „Przedświtu” i broszur, skonfiskowanych w Krakowie. Nadchodziły korespondencje z kraju, pojawiały się niekiedy ulotki i nadzwyczajne dodatki. Nawiązywano stosunki z organizacjami zagranicą.

W tym czasie w Bernie pracowałem gorliwie i wytrwale, aby powetować czas stracony. Przyrzeczone przez dr. Sakowicza stypendjum po sprawie krakowskiej do skutku nie przyszło. Zabiegałem o pożyczkę, którą miałem spłacić po ukończeniu studjów. Szło to bardzo ciężko. Stałem na rozdrożu! Trzeba było na coś się zdecydować. W tym czasie profesorem chemji fizjologicznej na uniwersytecie Berneńskim był dr. med. Marceli Nencki, Polak, rodem z Warszawy. W 14 roku życia był skompromitowany politycznie, wyjechał do Berlina, skończył gimnazjum i wydział medycyny. Ścisłemu umysłowi przyszłego uczonego obrany zawód nie odpowiadał, to też medycyny nie uprawiał wcale, a poświęcił się wyłącznie studjom chemicznym pod kierunkiem najslawniejszych uczonych berlińskich. Habilitował się na docenta, ogłosił dużo prac i został powołany na katedrę chemji fizjologicznej w Bernie. Pracowity uczony, znany w całym świecie i szanowany w kołach fakulteckich, jest po dziś dzień dumą i chlubą nauki polskiej. Był to człowiek o wysokiej kulturze, prawdziwy europejczyk, o czystym jak kryształ charakterze i gołębiem sercu. Udałem się do niego po radę i prosiłem, czy nie mógłbym za jego protekcją dostać się do kliniki, jako posługacz szpitalny. Po polsku mówił poprawnie — odpowiedział: „Te dwa zajęcia nie dadzą się pogodzić — albo będziesz pan złym posługaczem, albo nie będziesz miał czasu na wykłady i naukę. Obmyśl pan co innego i przyjdź jeszcze raz”. Skłoniłem się, wyszedłem — podłoga pode mną się chwiała. Prędko nie poszedłem.

W parę tygodni później przyszedł do mnie dr. Smidt, późniejszy profesor i rektor Akademji Weterynaryjnej we Lwowie, i w imieniu Nenckiego zaprosił mię do niego. Poszedłem.

Zaproponował mi pracować w jego laboratorium zupełnie bezpłatnie — zawsze czegoś się pan douczy — powiedział. Wprawdzie w Wiedniu już byłem przesłuchał chemję w zakresie wymaganym, z podziękowaniem jednak zgodziłem się i pracowałem przez 3 lata bez przerwy, aż do ukończenia medycyny. Nenckiego przez ten czas poznałem dobrze; nauczyłem się cenić jego wielką delikatność i podziwiać niezwykłą bezinteresowność uczonego. W parę miesięcy od czasu jak zacząłem chodzić do jego laboratorium, zapytał mię, czy moje finanse poprawiły się. Odpowiedziałem, że wszystko zostało podawnemu, zresztą poznać to można było po moim ogólnym wyglądzie. Podał mi jakiś adres: „pójdź pan pod tym adresem i umów się o warunki z matką — tam potrzebują dla siedmioletniego chłopczyka lekcyj języka polskiego, matka jest Niemką”. Ku memu wielkiemu wzruszeniu był to adres mieszkania Nenckiego, a chłopak — jego synkiem. Lekcje były tanie, dawało mi to około 30 franków miesięcznie. Te lekcje miałem aż do końca studjów.

Nencki był niesłychanie pracowity i pomysłowy. Z laboratorium jego wychodziło dużo prac. Wielu ukończonych lekarzy, zwłaszcza Polaków, przybywało do niego na kilka miesięcy. Dla każdego znalazł temat, każdemu poddał jakiś pomysł i pokierował w pracy. Pewnego dnia po obiedzie zastałem w laboratorium samego Nenckiego. Był bardzo zajęty czytaniem jakiegoś telegramu. „Słyszałeś pan o nowym wynalazku? Dr. Smidt donosi mi ze Lwowa, że na posiedzeniu lekarskiem w Pradze, prof. Horbaczewski (Rusin ze Wschodniej Galicji) odczytał referat o syntetycznym sposobie przedstawienia kwasu moczowego, nad którym ja pracowałem od lat 10”. Nie połapawszy się, jak mam na to zareagować w kwestji, która mnie mało interesowała, odpowiedziałem: „szkoda!” „I to słyszę z ust pana, panie B.? To nie jest sąd uczonego, a motywy geszefciarzy patentowanych”. Był ze mnie tego dnia niezadowolony. Po tej nauczce zacząłem pilniej przypatrywać się reszcie profesorów i starać się dociec, czy kierują się motywami bezinteresownymi, czy może interesem. Ku memu głębokiemu zadowoleniu nie mogłem dopatrzeć się ani cienia jakichś motywów osobistych poza dociekaniem prawdy i usiłowaniem pomóc cierpiącym. Nabierałem szacunku i sentymentu dla uczelni i dla zawodu, mającego stać się moim. Zaczynałem czuć po

lekarsku i robiłem różne postanowienia. Podnosiło mię to na duchu i pracowałem pilnie. Oddalało mnie to nieco od rozmaitych światoburczych planów. Marzyłem o Polsce i o mojej dla niej pracy.

Z genewczykami widywałem się od czasu do czasu albo w Genewie, albo do mnie ktoś z nich przyjeżdżał. Był parę razy nawet generał W r ó b l e w s k i. W 1881 r. miał się odbyć 50-letni jubileusz powstania 1830 — 1831 r. Zainscenizowano to na szeroką i hałaśliwą skalę. Podczas kiedy Warszawa gotowała się do cichego, uroczystego i konspiracyjnego obchodu, Genewa chciała urządzić obchód międzynarodowy. Rozesłano odezwy do głośnych działaczy wszech krajów, w tej liczbie do M a r k s a i E n g e l s a. Odezwa zapraszająca zaczynała się od słów: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się” i tłumaczyła czytelnikom, że hasło „jeszcze Polska nie zginęła” jest przedawnione i odpowiada dążnościom klas posiadających — i w tym sensie dalej, kończąc znowu słowami: „Proletariusze etc.”. Miałem w ręku odpowiedź Marksa i Eugelsa tej mniejwięcej treści: zaczynając od słów „Jeszcze Polska nie zginęła!”, podnoszą udział Polski we wszystkich walkach wolnościowych od Wielkiej Rewolucji zaczawszy, po przez rok 1830 — 31 do r. 1863. I obecnie zjawisko, usiłujące pogodzić dwa zwaśnione narody w celach międzynarodowych, stanowi dalszy powód, aby obchód jubileuszowy zakończyć okrzykiem: „Jeszcze Polska nie zginęła!”

Treść odezwy genewskiej napsuła dużo krwi Warszawie, odpowiedź Marksa wydłużyła nosy Komitetu obchodowego w Genewie. Od uroczystości obchodu trzymali się zdala Limanowski, Miłkowski i jeszcze paru z procesu — ja także nie brałem udziału, wyjeżdżałem bowiem w tym czasie do Poznania.

Rzecz się miała w ten sposób: M e n d e l s o n, H i e r o n i m T r u s z k o w s k i i pani J a n k o w s k a wyjechali na agitację do Poznania. Rozpoczęli robotę po dyletancku — stawali u wrót fabryk i wprost wtykali robotnikom broszury i druki. Był z nimi także J a n i s z e w s k i, zecer z Poznania. Naiwny sposób agitacji wkrótce na nich się zemścił — nastąpił donos i areszt. Czwartą z rzędu aresztowaną była p. M a r j a J a n k o w s k a, wielka dama i żona bardzo bogatego obywatela na Ukrainie. Bardzo młodo wydana zamąż i matka dwóch



Edmund Brzeziński.
(1873).



Edmund Brzeziński.
(1882)



Kazimierz Dłuski.
(1879)



Stanisław Barabasz.

Do artykułu E. Brzezińskiego.

synów 10 i 12 lat była ekscentryczną i odważną. Po aresztowaniu mąż jej poruszył niebo i ziemię, aż do audjencji u Bismarcka, a kiedy to nie poszło, pozostawił w Poznaniu upelnomocnionego a długoletniego guwenera chłopców pana Suderlanda, Anglika, w celu czuwania nad przebiegiem sprawy. Na życzenie p. Jankowskiej pomoc prawna była zapewniona także dla Truszkowskiego i Janiszewskiego. Trzeba zatem było dowiedzieć się, jak sprawa stoi i co uwięzionym zagraża. Trzeba było także w jakikolwiek sposób dać znać uwięzionym, czy i co się robi dla ich ratowania. Zwrócono się do mnie z Genewy, i ja się podjąłem tego bądź co bądź dość ryzykownego zadania. Zaopatrzony w bardzo pożądaną paszport na imię syna generała Lamoni, Finlandczyka, zabrawszy ze sobą książki dla Mendelсона i trochę rzeczy dla innych, któregoś dnia wyjechałem przez Bazyleję do Poznania.

Przybyłem na trzeci dzień, zobaczyłem się z Suderlandem, dowiedziałem się, czego potrzebowałem, i skierowałem swe kroki do kancelarji sędziego śledczego. Na podany przez woźnego bilet wizytowy zaraz mnie przyjął, był greczny i rozmowny. Przedstawiłem się jako kuzyn Mendelсона i prosiłem o pozwolenie widzenia się z nim. Kazał przyprowadzić go zaraz. Powitaliśmy się pocałunkiem i przy tem zdążyłem wsunąć z ust do ust wąską karteczkę, zwiniętą mocno w kształcie papierosa i zapisaną drobnem a wyraźnem pismem. Połapał się momentalnie — po chwili spostrzegłem, że z ust coś wyjął i schował. Misja moja była skończona. Wyjąłem z małego kufierka książki i trochę bielizny, pożegnałem się, podziękowałem sędziemu i wyszedłem zadowolony.

W kilka minut byłem znowu u Suderlanda. Był bardzo zdenerwowany i opowiedział mi, że w kilkanaście minut po mojem od niego odejściu przysłała matka Mendelсона, która co tydzień przyjeżdża do syna. O moim przyjeździe do Poznania nie wspominał jej, obawiając się atoli, aby się ze mną u sędziego nie spotkała, zatrzymywał ją na wszelki sposób. Nie pomogło — śpieszyła się. Sędzia po przyjęciu jej nie chciał dopuścić do widzenia się z synem, tłumacząc się tem, że wizyty u jej syna są bardzo częste i że przed kwadransiem odwiedził go kuzyn pan Lamoni. Zaczęła zapewniać, że nie mają takich kuzynów, że to być nie może. To go zastanowiło; wyjął z szuflady biurka szereg fotografij z procesu krakowskiego i na wrywki

zapytywał o nazwiska. Znała nas wszystkich dobrze z procesu i, kiedy przyszła kolej na moją — powiedziała. Sędzia zadzwonił na woźnego, napisał parę słów, zaadresował i kazał gdzieś odnieść.

Zdawało się, że znów wpadnę. Z duszą na ramieniu powracałem do hotelu, nie tracąc czasu, załatwiłem rachunek, wziąłem dorożkę i pojechałem na dworzec na 3 godziny przed odejściem pociągu. Te godziny były najgorsze. Co chwila ktoś przychodził, przypatrywał mi się — zaciskałem zęby, przybierając obojętną minę,, a wewnątrz drżałem. Wreszcie jestem w wagonie. Zaszywam się w najdalszy kąt i siedzę nieruchomy kilka godzin — jestem we Wrocławiu. Nocnym pociągami jadę dalej, do Pragi, potem Norymberga — dobie odpoczywam — znowu dalej — po 8-miu godzinach staję na błogosławionej ziemi szwajcarskiej — wesoly, szczęśliwy i wolny.

Zaczęło się życie normalne. Interesa moje o tyle się polepszyły, że udało mi się znowu nawiązać stosunki, zapewniające miesięczną ratę pożyczkową do ukończenia.

W kilka dni po opisanych wypadkach zdarzyło się coś niezwykłego. W Poznaniu w gmachu sądowym i w więzieniu, gdzie oczekiwały swoich losów wspomniane powyżej osoby, wybuchł pożar i zniszczył doszczętnie gmach i wszystkie akta. Władze były w kłopotcie, a że nadzwyczajnych rzeczy nie bywa na świecie, przeto policja poznańska wykoncypowała, że ja i Dłuski przybyliśmy do Poznania, aby zorganizować podpalenie sądu. Było to najzupełniej wyssane z palca. Dłuski przez cały czas mojej ostatniej eskapady pozostawał w Genewie. Nieprawdopodobna improwizacja rządu niemieckiego oparła się jednak o władze berneńskie i wkrótce została całkowicie anulowana. Ja nawet nie byłem przesłuchiwany w tej sprawie, a przezacny Nencki wykazał moje alibi.

Dochodzenia i proces poznański rozpoczęły się na nowo, natrafiono przytem na ślady knozań i stosunki uwięzionych poza murami więzienia. Truszkowski został przeniesiony do Plötzensee, lecz i przy bardzo zaostrzonym i surowym rygorze więziennym nie przestał myśleć o ucieczce. Pozyskał klucznika do tego stopnia, że ten nietylko ułatwił mu stosunki ze światem zewnętrznym, ale miał z Truszkowskim razem zbiec poza granice Niemiec. Truszkowski wiedział, że po skończeniu procesu wydany będzie Rosji, i starał się ratować za wszelką cenę. Był

to człowiek wyjątkowej wytrzymałości, przeszedł ciężką szkołę, nie skończył gimnazjum, był łagodnego usposobienia, małomówny. Wpływu wielkiego wśród rówieśników nie posiadał, lecz kto go bliżej poznał, stawał się jego prawdziwym przyjacielem, a i on w wyborze się nie mylił. Przygotowania do ucieczki zostały wykryte, Truszkowski ukarany został rokiem więzienia, dozorca zaś pokutował kilka lat za to.

W połowie 1882 r. w lecie przybył do mnie L u d w i k W a r y ń s k i pożegnać się przed wyjazdem do Warszawy. W kołach tamtejszych byli z obchodu jubileuszowego mocno niezadowoleni. Zanosilo się na rozłam. Waryński odjeżdżał, aby nieporozumienia uporządkować, nosząc się jednocześnie z myślą założenia nowej organizacji „P r o l e t a r j a t”. Rozstaliśmy się w najlepszych nadziejach, nie przeczuwając, że się w życiu nie zobaczymy więcej. W kilka miesięcy potem wpadł w ręce policji. Kupując w dystrybucji papierosy, zostawił przez zapomnienie paczkę papierów. Po jakimś czasie, wbrew ostrzeżeniu, poszedł tam znowu, lecz paczki już nie znalazł — papiery z dystrybucji dostały się do policji, a on przy wyjściu ze sklepu został aresztowany. Po długim śledztwie skazany na 16 lat katorgi; po kilku latach zmarł na suchoty, pozostawiając po sobie głęboki żal wśród swoich i obcych. Skończył się także i proces poznański: J a n i s z e w s k i i M e n d e l s o n skazani na kilkumiesięczne więzienie, pani J a n k o w s k a na 4 tygodnie, T r u s z k o w s k i na największą karę. Po odsiedzeniu więzienia Truszkowski był wydany Rosji, zesłany na Syberję, uciekł zagranicę i wkońcu osiadł w Londynie. M e n d e l s o n a czekało to samo. Eskortowany do granicy, zmylił czujność straży i znikł. Na ślady jego władze nie wpadły. Znalazł się także w Londynie, skończył prawo, dużo pisał. P. J a n k o w s k i e j pozwolono po odbyciu kary wyjechać do Paryża. Później wyszła zamąż za Mendelсона. Dłuski wyjechał do Paryża, zapisał się do „École des sciences politiques”, skończył ją i później poszedł na medycynę, ukończył ją także, powrócił do Małopolski, wykazał wielkie zdolności.

Generacja nasza częściowo ginęła, częściowo rozpierzchnęła się. Kolej przysła na mnie. Po przesłuchaniu wszystkich kursów medycznych przygotowywałem się do ostatecznych egzaminów. Na letni semestr wyjechałem do Bazylei w celu przesłuchania wykładów prof. Hugenena, jednego ze sławniejszych

w owym czasie internistów. Powróciwszy do Berna, zasiadłem do egzaminów. Trwało to przez jesień, zimę i wiosnę. W maju 1883 r. otrzymałem nareszcie dyplom — byłem przez połowę u celu. Rozumiałem dobrze, że uzupełnić te wiadomości potrzebuję. Postanowiłem dalej się uczyć i wyjechać do Francji. Wybrałem z różnych powodów Nancy. Spieniężywszy, co miałem, co razem z pożyczką, zaciągniętą przed egzaminami, stanowiło pewną kwotę, wyjechałem.

Duch tu panował inny. Uprzejmie przyjęty przez władzę fakultetu, zacząłem się szybko aklimatyzować. Chodziłem na wykłady, do wszelkich klinik miałem wstęp wolny, jako ukończony lekarz nie byłem na stopie studenta i korzystałem z większej swobody ruchów na terenie klinik. Cieszyłem się nie mniejszą od studentów pomocą profesorów. Było mi bardzo dobrze i powziąłem zamiar zdawania egzaminów na dyplom francuski. Myślam często wybiegałem do domu rodzinnego, w którym blisko już 7 lat opłakiwała mię matka. Posiadanie drugiego dyplomu lekarskiego ułatwiłoby zdobycie trzeciego, który ewentualnie czekał mnie w zaborze rosyjskim. Poszedłem do Dziekanatu rozmówić się w tej sprawie i tam znalazłem urzędowe ogłoszenie konsulatu bułgarskiego tej treści, że po wyzwoleniu z niewoli Bułgarja potrzebuje młodych lekarzy, Słowian, znających języki słowiańskie i ukwalifikowanych do zawodu. Wiadomością tą byłem zelektryzowany. Rozmówiłem się z dziekanem, powiedziałem o moich zamiarach co do dyplomu francuskiego. Zapytał o posiadane środki i dowiedział się, że żyję z pożyczonych pieniędzy; następnie, czy mam zamiar osiąść we Francji? Odpowiedziałem — może być, że tak wypadnie. Namysliwszy się, radził mi temi słowy: „my pana znamy, pan jest lekarzem dobrze przygotowanym i w życiu nie będziesz pan gorszym, jak tylu innych, kończących u nas. Szkoła lat, a przecież nie wyjedzie pan na zawsze”. Obiecał mi wydać świadectwo mojej 4-miesięcznej pracy w Nancy. Zdecydowałem się.

Z Nancy jechałem przez Bawarię w kierunku południowo-wschodnim. Na terenie austriackim objechałem Wiedeń, prześiadając się ze 6 razy od stacji do stacji, aby przypadkiem nie wpaść w oczy organów bezpieczeństwa. Wreszcie stanąłem w Budapeszcie. Miałem do załatwienia parę interesów: chciałem się zobaczyć z niejakim p. Marechalem, b. kolegą z towa-

rzystwa „Siła” w Wiedniu, w owym czasie zamieszkałym dla interesów w Budapeszcie. Podczas mego pierwszego uwięzienia pamiętał zawsze o mnie i czasami odwiedzał, a potem, co ważniejsza, dokumenty przechowywał. Chciałem zabrać niektóre dowody, by je wysłać do Genewy. Drugi interes był nie mniej ważny: zrzekając się w Nancy nostryfikacji mego dyplomu, czułem, jakby usuwała mi się z rąk pewna możliwość osiedlenia się w Galicji. Między ministerstwami austriacko-węgierskimi istniał układ wzajemności: lekarze węgierscy posiadali prawa austriackie i odwrotnie. Jak lunatyk, błądziłem koło każdej możliwości. Poszedłem do uniwersytetu ze wszystkimi dowodami. Przyjęto mnie uprzejmie i trochę sucho. Dokumenty moje uznano bez zastrzeżeń — wypadki takie były rzadkie; powiedziano mi, że po przepracowaniu jednego semestru mogliby wyznaczyć jakiś ulgowy egzamin z jednym i niezmiennym warunkiem, że egzamin odbyć należy w języku węgierskim. Ślęczyć nad tak trudnym językiem nie zdecydowałem się i po 2 dniach wyjechałem z Budapesztu do Bułgarii.

Otrzymawszy od Dyrekcji żeglugi bilet wolnej jazdy, jechałem Dunajem 2 — 3 doby wygodnie i przyjemnie. W drodze poznałem się z towarzyszem podróży, nieżyjącym obecnie b. premierem serbskim, P a s i c z e m. Mówił doskonale po rosyjsku, był za jakieś sprawy aresztowany i zasądzony na śmierć, po pewnym czasie ułaskawiony i skazany na banicję. Jechaliśmy parowcem węgierskim z prawami eksterytorjalnymi. Pasicz — wspaniały mężczyzna, bardzo wykształcony, był gorącym zwolennikiem Rosji, a nienawidził Austro-Węgier. Prosił mię, abym doręczył w Łom-Palance list bardzo ważny właścicielowi jedyne go hotelu w tem miejscu, Serbowi - emigrantowi. List wziąłem i docho wałem przyrzeczenia.

Podjeżdżając do przystani, z pokładu parostatku dojrzałem na kładce, prowadzącej na ląd, żywy „omen” w postaci rosłego policjanta rosyjskiego z rękami, położonemi na poręczach i wykrzykującego „prygotowlat’ pasporta!” Podróżni tłumnie schodzili na kładkę. Nie śpieszyłem się, trzymając w ręku przygotowany mój imienny bilet okrętowy. Podałem — „to nie paszport — paszport jest’?” — Jest — odpowiedziałem. Postawiłem dwa kuferki na kładce — znowu zapytanie: „Pan Rosjanin?” „Tak” — i zacząłem szukać w bocznej kieszeni marynarki. Miałem paszport przedawniony o pół roku. Nim zdą-

żyłem go znaleźć, zawołał: „proszę przechodzić — natłok”. Przeszedłem — powiedziałem sobie w duchu. Poszedłem wprost do hotelu, oddałem gospodarzowi list. Zapytał mnie, czy wiem, od kogo ten list? Nie wiedziałem, powiedział jakieś nazwisko, ale to było nazwisko przybrane. Wówczas dowiedziałem się, że to był Pasicz. Gospodarz, kontent z listu, pomógł mi znaleźć parokonną budę, podobną do góralskiej, i puściliśmy się w drogę prosto na południe z dwoma Czarnogórcami, jadącymi do generalnego konsula rosyjskiego Jonina, rezydującego w Sofji, w charakterze dwóch przybocznych woźnych. Jazda była wesoła i przyjemna, trochę przesyrialiśmy się i na trzeci dzień przed południem stanęliśmy w stolicy księstwa, Sofji.

(D. c. n.)

LUDWIK KRZYWICKI.

NA MARGINESIE STAREJ FOTOGRAFJI¹⁾.

III.

Nie pozostawałem w bliższych stosunkach z Józefem Stankiewiczem.

Miałem z nim wszystkiego jedno widzenie. Było to najprawdopodobniej w r. 1882, w okresie rozpoczynających się wakacyj letnich. Zygmunt Straszewicz zawiadomił mnie, iż przybyło dwóch petersburszczan celem porozumienia się z nami. O ile mnie pamięć nie myli, spotkanie nastąpiło w hotelu Saskim. Było nas czterech: jednym był J. Stankiewicz, drugim bodaj Kunicki, ale tego nie jestem pewny. Wogóle o całym tem zdarzeniu pozostał mi w umyśle obraz bardzo mętny. Nie pamiętam nawet, o czem porozumiewaliśmy się.

Drugi raz spotkałem się z nim w Kielcach, w gmachu miejscowej Szkoły Handlowej, w okresie ruchu wolnościowego. Nie poznałem go wtedy i dopiero w chwili wyjazdu ktoś wymienił mi jego nazwisko.

Józef Stankiewicz był jednym z tych urodzonych pedagogów, którzy od czasu do czasu wypływają na powierzchnię życia. Wprawdzie wypłynął bardzo późno, już w okresie istnienia szkoły polskiej. Członek Proletariatu, nawet Komitetu Centralnego, wycofał się z partji bodaj w r. 1884. Z zawodu leśnik, w Petersburgu przyjaciel Rechniewskich (nawet była chwila, iż przed rodzicami Tadeusza uchodził za narzeczonego przyszłej jego żony — nie pamiętam obecnie powodów tej maskarady), w ciągu wielu lat zajmował stanowisko, zdaje się,

¹⁾ Patrz zeszyt 5 „Niepodległości”, str. 66—78 oraz 6—str. 209—225.

w zarządzie leśnym Zamoyszczyzny. I, gdyby nie wypadki 1905 r., może pozostałby tam i do końca życia swego, nieświadom tego, że jest urodzonym pedagogiem. Bojkot szkół rosyjskich i spolszczenie szkolnictwa prywatnego otworzyły przed nim nowe pole — działalności pedagogicznej. Jakim sposobem trafił do Kielc, do tamtejszej Szkoły Handlowej, która dopiero w r. 1908 osiągnęła całkowitą liczbę siedmiu klas, nie wiem. Możliwe, iż przyczynił się był do tego szwagier jego, Czesław Pogorzelski, również uczestnik zbiorowej fotografii, który osiadł był w Kielcach i, między innymi, ułatwiał tajny przejazd granicy w r. 1886 Aleksandrowi Dębskiemu.

Były to czasy ciekawe ze względu na młodzież.

W końcu lat osiemdziesiątych rozpoczyna się praca organizacyjna wśród młodzieży gimnazjalnej, która, objawszy przede wszystkim wyższe klasy, stamtąd oddziaływać zaczęła i na niższe. Z biegiem czasu powstają organizacje z różnym odcieniem politycznym i społecznym, powiązane nielegalnymi zjazdami delegatów szkolnych z całej Kongresówki. A w cieniu tamtych organizacji tkwiły różne koła samokształcenia. Rozbudzony pęd organizacyjny przybierał charakter przebiegu żywiołowego i wylewał się w kształtach najrozmaitszych, zawsze nielegalnie, bo dla jakichkolwiek legalnych kół nie było wtedy miejsca. Wypadło mi w różnych sytuacjach stykać się podówczas z tą młodzieżą i do dnia dzisiejszego pozostają pod silnym dodatkiem wrażeniem ówczesnego poziomu umysłowego i moralnego młodzieży szkolnej z wyższych klas gimnazjów ówczesnych. Znałem młodzieńców klasy 7-ej i 8-ej, z którymi mogłem prowadzić nie prostą dyskusję, ale właściwie wymianę myśli i to na takim poziomie, na jaki nie stać obecnego studenta wyższych uczelni — naturalnie, o wyjątkach nie mówię. Zwłaszcza szkoły handlowe przodowały pod względem wyrobienia uczniów. Szkoły te były dziełem Wittego: znajdowały się pod opieką i kontrolą Ministerstwa Finansów, wolne od szkodliwego wtrącania się Ministerstwa Oświecenia, miały rozległy program przyrodniczy i społeczny i otwierały dużą widownię dla pobudki społecznej w postaci Rady Kupców i powoływania przez nią, choć za zatwierdzeniem przez władze ministerjalne, kierownika. Na czele Warszawskiej Szkoły Kupców stanął Jerzy Cwietkowski, jeden z wyjątkowych pedagogów, a przede wszystkim człowiek o dużym polocie myśli i niezmiernie uczi-

wy pod względem politycznym. Należał do tej niewielkiej gromadki Rosjan ²⁾, jak profesor uniwersytetu, historyk D. Pietruszewskij, albo mineralog Wulf, którzy stanęli na gruncie aspiracji społeczeństwa polskiego i spoglądali, między innymi, na szkołę rosyjską, jako na największą krzywdę, wyrządzoną społeczeństwu polskiemu. Zresztą gromadka tych dzielnych ludzi była liczniejsza. Na przyjęciach towarzyskich, które urządzał jego członkowie, poznałem obu braci Sawinkowów — jeden, żonaty z córką Hleba Uspienskigo, bodaj na zesłaniu odebrał sobie życie. Cwietkowskij, gdy szkoły prywatne uległy były polonizacji, został przez Radę Kupców zatrzymany na swoim stanowisku dyrektora i dopiero po paru latach opuścił Warszawę, owacyjnie żegnany nie tylko przez uczniów, ale i przez nauczycieli-Polaków. Odrazu postawił Szkołę Handlową na wysokim poziomie. Wyznawał zasadę, iż uczeń, opuszczając codziennie szkołę, z wykładów nauczycieli powinien tyle wynieść, by był przygotowany na następną godzinę odpowiedniego przedmiotu. Na takich przedmiotach, jak prawo i ekonomja polityczna, zamiast wysłuchiwania lekcji, toczono rozprawy nad treścią wykładu. Kiedy w r. 1906 objąłem wykłady ekonomji w szkole warszawskiej, byłem zdziwiony głęboką znajomością przedmiotu, zwłaszcza przez tych, którzy podczas strejku szkolnego wyszedłszy ze szkoły, zdawali egzamin później jako eksterni. Szkoła Kupców m. Warszawy oddziaływała i na szkoły handlowe, będące na prowincji. Z chwilą przejścia szkół na język polski i ukazania się niejakich swobód politycznych, w murach szkolnych pod opieką władz szkolnych zaczęły działać różne koła naukowe. I bodaj tutaj, na prowincji, życie umysłowe uderzało żywszem tętnem, niż w Warszawie. W Warszawie tysiąc okoliczności pociągało młodzież ku sobie, nadawało wszechstronniejszy, ale zarazem płytszy charakter zainteresowaniom, a przede wszystkim wpychało ją w wir sporów partyjno-politycznych. Na prowincji praca umysłowa była bardziej skupiona, swobodniejsza od zabarwienia politycznego. Ten poziom umysłowy szkoła polska odziedziczyła po rosyjskiej. Nie dlatego, ażeby szkoła rosyjska była lepsza, przeciwnie, była o wiele gorsza, ale właśnie dlatego, że była brutalna, jak wogóle

²⁾ Jerzy Cwietkowskij był właściwie Ukraińcem i należał do lewego skrzydła „Hromady” kijowskiej, jako zwolennik Dragomanowa. Red.

brutalnymi były rządy okupantów rosyjskich, młodzież była wepchnięta w konieczną walkę o swoje prawa osobiste i prawa społeczno-narodowe, aż wkońcu walka stała się hasłem dnia, zrodziła zapal powszechny i kształtować zaczęła duszę młodzieży według miary niecodziennej. Pokolenie to, wyhodowane wśród walki, a pełne obudzonej energii, szukało wyładowania, między innymi, w samokształceniu. Wykładając w ciągu lat wielu w Szkole Kupców m. Warszawy, mogłem zaobserwować, jak ten dorobek, będący puścizną zapalczą walki młodzieży przeciw rygorowi policyjnemu i uciskowi umysłowemu, kurczył się z roku na rok, aż wkońcu wypadło mi było po latach 10—15 mieć do czynienia z istotnym mizeractwem umysłowym. Zresztą nieco tego przygnębienia należy położyć na karb głodu, jaki wszyscy odczuwaliśmy w r. 1915 i następnych podczas okupacji niemieckiej. Właśnie pomiędzy tych uczniów, mających za sobą tradycję walki, dostał się Józef Stankiewicz. „Józef Stankiewicz — pisze do mnie jeden z jego uczniów — zrobił na nas już od pierwszych lekcji duże wrażenie, zarówno swą wyjątkową erudycją, jak i tem szczególnie, że wykładał przyrodę po uniwersytecku: nie pytał uczniów, lecz wdawał się z nimi w pogawędkę. W podobny sposób traktował uczniów ówczesnej klasy VI-ej, z którymi siódmioklasiści byli bardzo zżyci, pracując od paru lat w kółkach samokształceniowych. Nie wiedząc o tem, byliśmy pilnie obserwowani i klasyfikowani, jako przyszli współpracownicy księgi, która — według zamierzeń prof. Stankiewicza — miała odzwierciedlić życie Szkoły Polskiej. Wydanie takiej księgi było głównym celem, który postawił sobie J. Stankiewicz, gdy — miast prowadzić życie emeryta, przyszedł do naszej szkoły, narażając się na dużą pracę i wielkie koszta, które, podobno, mocno zachwiały jego pomyślnym dotychczas stanem finansowym. O tym celu dowiedzieliśmy się w drugiej połowie roku szkolnego 1908 — 9. W lutym czy marcu J. Stankiewicz zwołał pierwsze zebranie tych kilkunastu uczniów klasy VII-ej i VI-ej, których wybrał do przeprowadzenia swego planu i wraz z nimi przystąpił do przeglądania, korygowania i dopełniania artykułów, mających się ukazać w Księdze Pamiątkowej. Omawiano referaty, wygłoszone przez uczniów w trzech istniejących kółkach samokształceniowych w ciągu trzech lat istnienia tych kółek, odczytywano i kwalifikowano wiersze i prozę kolegów-poetów, nietylko tych, którzy

dali się już jako poeci poznać, lecz i pracujących do owego czasu w ukryciu; prof. Stankiewicz umiał ich ośmielić i zachęcić do wydobywania z ukrycia ich utworów i opracowania do Księgi Pamiątkowej... Rzecz znamienita, że inicjator i twórca tej Księgi nie pozwolił umieścić w niej najmniejszej wzmianki o roli, jaką przy jej pisaniu i wydaniu odegrał; niema jego nazwiska nawet na liście wykładających w r. 1908/9 (str. 27). Jedynym jego ustępstwem było, że dał się sfotografować wraz z członkami kółka przyrodniczego (fotografja na str. 276)".

I ukazała się ta książka: „Dla Siebie i dla Szkoły!” — obejmuje 588 stron, moc rysunków do tekstu drukowanych przyczynków przyrodoznawczych i kilku fotografii kółek naukowych w szkole. Książka, pod której tytułem dodałbym mniejszymi czcionkami: „Książka zapłodniona technieniem entuzjazmu, który objął był młodzież szkolną wśród walki z caryzmem i zrodził z siebie strajk szkolny, a który między innymi wystawił w pracy zbiorowej kielczan świadectwo jej ówczesnego poziomu umysłowego”. Zaiste dziwna książka! Splotły się z sobą różnego rodzaju zamiłowania: twórczo-artystyczne, literacko-historyczne, matematyczno-przyrodnicze. Z zakresu przedmiotów, które mnie bliżej obchodzą, są przyczynki, z których w razie potrzeby zaczerpnąłbym materiału faktycznego do pracy ogólniejszej. Niegdyś, gdy otrzymałem ją był przed laty, w ciągu paru godzin przerzucałem te próby myśli młodocianej. A i dzisiaj, gdy piszę swoje wspomnienia, mam ją przed sobą i z całym poważaniem przerzucam jej kartki. I mimowoli dręczy mnie pytanie, czemu tylko jedna taka książka, właściwie książka, obejmująca tylko jedną szkołę, ukazała się w druku? Przecież, gdy biorę wspomnienia swoje z owych czasów ze Szkoły Kupców m. Warszawy, i tam był jednak wśród uczniów zastęp, który podołałby takiemu zadaniu...

IV.

Mimoходом muszę zacząć jeszcze o jednego z uczestników fotografii petersburskiej. Jest to Tadeusz Recheniewski.

Napisał o nim z wielkim pietyzmem całą książkę Bernard Szapiro. Czytając ją, spostrzegłem nieco luk, które pragnąłbym uzupełnić.

Przedewszystkiem parę słów należy się Libawie, która w ciągu lat 1878 — 1884 była ciekawym zakątkiem myśli socjalistycznej polskiej, — spokojną zatoką, którą gdzieś na łąkach wytworzył wartki nurt rzeki.

Libawa w końcu lat siedemdziesiątych była cichem miastem, będącem w ręku władz niemieckich i wolnem od tych szykan, które ściagały każdy wysiłek natury kulturalnej zarówno w Polsce, jak i w Rosji. Wszystko było tam, że użyjemy zwrotu niemieckiego: *gemüthlich*. Między innymi Niemcy, ludzie o wiele wyższym poziomie potrzeb kulturalnych, niż społeczeństwo rosyjskie, pojmowali pożytek oświaty i nie czynili przeszkód, gdy ktoś imał się pracy oświatowo-kulturalnej, a jeśli rzecz sprzeciwiała się istniejącemu zwyczajowi administracyjnemu rosyjskiemu, milczeli i patrzyli przez palce. Właśnie dzięki temu mogła powstać nielegalna polska biblioteka uczniowska, która mieściła się w pokoju chłopców Rechniewskich. Rzecz była w mieście powszechnie znana, ale z tego powodu nie czyniono nikomu najmniejszych przykrości. Zresztą dużo zaważyło także to poważanie, jakim cieszył się stary Rechniewski. Zwłaszcza matka była całkowicie po stronie synów! Córka Ihnatowicza, dyrektora pierwszego gimnazjum w Petersburgu, wyrosła w atmosferze liberalizmu, jaki zapanował był w początkach rządów Aleksandra II: w domu Ihnatowicza-ojca odbywały się zebrania pedagogów (w tej liczbie bywał i sławny Uszynskij), radzące o reformie szkolnej. Córka zaś jego, matka Tadeusza, uczyła dziatwę w zakładanych wtedy szkołach niedzielnych, tym pierwszym tworze radykalizmu rosyjskiego. Zresztą i ojciec - Rechniewski nie sprzeciwiał się umieszczeniu biblioteki. Był liberałem ówczesnym w dodatkiem znaczeniu tego słowa. Ale biblioteka wywołała niebawem zgrozę wśród polskiego towarzystwa w Libawie doborem swoich książek. Winowajcą, który Tadeusza wprowadził na tę ścieżkę grzeszną, miał być „nihilista”, zesłany do Libawy. Był to rzetelny według wszystkich wzorów powieściowych nihilista! Człowiek, który przedewszystkiem wdziawał na siebie przyodziewek radykalny, zgóry uniemożliwiający mu rozleglejszą pracę społeczną, zwłaszcza konspiracyjną: pled, zamiast palta, założony według wszystkich wymagań ówczesnego kunsztu pleadowego, długie włosy, duży kapelus z olbrzymim rondem — niestety, nie wiem, czy nosił do tego okulary. Zetknął się z Ta-

deuszem i jeszcze w lat parę potem, gdy Tadeusz zaczął poważniej „grzeszyć”, w rodzinie powtarzano, że sprawcą wszystkiego złego był ów zesłaniec. Bodaj nazwisko jego brzmiało Bałmaszow, ale bynajmniej nie jestem pewny tego. Pod jego wpływem biblioteka wchłaniała dzieła wolnomyślne. W każdym razie panie barwy mocno katolickiej zaczęły sarkać na to, iż w bibliotece znajdują się książki gorszące. Nawet któryś z Przędzieckich zaofiarował bibliotece znaczną kwotę pieniędzy, pod warunkiem jednak, że pewne książki i pisma zostaną stamtąd usunięte. W Warszawie w r. 1899 za podobne grzechy, choć bodaj łagodniejsze, cały zespół pracowników Czytelni Dobroczynności trafił do Cytadeli! Ale w Libawie rządzą Niemcy, którzy nie przejmowaliby się zbyt skargami na wolnomyślny dobór książek, gdyby nawet je skierowano do nich. Były chwile gorące: na czwartku u Jagminów (p. Elwira Jagminowa była siostrą Witkiewicza) doszło do bardzo ostrej wymiany zdań pomiędzy paniami a młodziutkim Rechniewskim, który, według zwyczaju młodzieńczego, nie umiał pohamować swego języka. Na drugi dzień chodził do wszystkich pań z przeprosinami! Zdarzało się to zresztą niejednokrotnie. Ale lubiono Tadeusza i przebaczano mu ostre odpowiedzi. Co więcej, ponieważ na bibliotekę trzeba było urządzać teatrzyki amatorskie, w których i Tadeusz występował i nawet odgrywał role kobiece, panie chętnie udzielały mu wszelkich rad, dotyczących charakterystyki. Wogóle było dokoła niego gwarno, chociaż ostateczne wyrobienie społeczne Tadeusza przypada dopiero na czasy petersburskie. Z Petersburga dojeżdżał, działając coraz wyraźniej w kierunku socjalistycznym.

Tymczasem w Libawie powoli powstała cała gromadka sympatyków, a nawet „instytucja” stwarzania paszportów legalnych dla osób nielegalnych.

Mieszkała wtedy w Libawie siostra Józefy Czarnowskiej, jednej z uczestniczek fotografii petersburskiej, W. Dalecka z mężem swoim. Dalecka usiłowała stworzyć sobie jakąś treść życia. Jako nowelistka zaczęła drukować prace swoje dopiero w lat dziesięć później. W Libawie pomagała rewolucjonistom. Jej mąż pracował na kolei i, między innymi, prowadził ewidencję robotników. Miał w ręku swoim paszporty pracujących. Te legitymacje wyciągano mu i robiono kopje, mając druki po temu. Wszystkiego tego dokonywano pocichu przed Dalec-

kim. Starszy Narutowicz, Stanisław, przez okno, trzymając oryginały na szybie, kopjował je najpierw ołówkiem, ażeby potem poprzez ręce Tadeusza w świat je puścić w razie potrzeby. (Dalecka miała introligatornię: w oprawach książek szły listy i nielegalszczyzna do zesłańców i katorżan na Syberję).

Jeszcze później osiadł, jako inżynier przy budowie portu libawskiego, inny uczestnik fotografii, Jan Bielski, wraz ze swoją żoną, Marią, Staniewiczówną z domu. Tędy, przez jego dom, uciekał Degajew po zabójstwie Sudiejkina. Towarzyszył mu do Wilna w tym samym pociągu Kunicki i za nim miał przybyć do Libawy. Sam Degajew nocował u Bielskich. Przyjechał o dzień wcześniej od Kunickiego. W. Dalecka, która mi szczegółowo opowiadała całe to zajście, zaszła przypadkowo do Bielskich i spotkała Bielskiego, gdy wychodził już z Degajewem. Wszedłszy do pokoju, gdzie była Bielska, znalazła ją niezmiernie zaaferowaną: Cicho! — szeptem zawołała Bielska, jeszcze ciszej, denerwując się, powiedziała, że mąż wyszedł z zabójcą Sudiejkina, który wczoraj przyjechał, dzisiaj wyjeżdża okrętem. Dalecka przesiedziała cały czas u Bielskiej, opuszczając ją tylko na krótko, aby zajrzeć do domu. W domu zastała tylko co przybyłego Kunickiego, który przesiedział u niej dzień cały, oczekując na stanowczą wiadomość o wyjeździe. Sama Dalecka spędziła dzień ten u Bielskich, dopóki pan Jan nie powrócił, uspakajając żonę jego, która, zdenerwowana, drżała wciąż jak w febrze i jedynie rozmowa, zwracając jej myśli w innym kierunku, uspokajała ją nieco.

Tyle o czasach libawskich Tadeusza — czasach, względnie bardzo spokojnych w jego życiu. Wyniósł z nich jednak, jak brzmi zwrot mowy obecny: „nastawienie” na całe życie — poglądy demokratyczne, zabarwione sympatjami niewyraźnymi socjalistycznymi i poczuciem konieczności obrachunku z carem. Tyle sam wyniósł i tyle przekazał gromadce młodzieży, z którą się stykał. Wśród tej gromadki znajdowali się dwaj bracia Narutowicze, starszy Stanisław, prawnik, który w Kijowie organizować miał wykradzenie Tadeusza z więzienia, a później podpisywał się jako wydawca *Tygodnika Powszechnego*. Młodszy, Gabrjel, był używany, jako o parę lat niżej będący w gimnazjum, do różnych „posyłek”. Wyszedł stąd i Wincenty Janowicz, późniejszy przywódca koła socja-

listycznego w Dublanach, który w r. 1886 — 1887, w charakterze emisariusza, wysłany przez Paryż, próbował zgromadzić rozproszone szczątki Proletariatu i związać je w całość zorganizowaną, ale w końcu około r. 1888 lub 1889 rozszedł się z Mendelsonem, jako stanowczy przeciwnik haseł terrorystycznych. Odegrał następnie dużą rolę w powołaniu do życia Tygodnika Powszechnego, pierwszej placówki socjalistycznej legalnej w Warszawie, aż wkońcu całkowicie pochłonęła go działalność organizacyjno-przemysłowa — a był organizatorem na wielką skalę: nie mogąc organizować rzesz robotniczych z braku swobód politycznych, zaczął organizować przemysł.

Jeszcze raz zaznaczamy: czasy libawskie były dla Tadeusza czasami względnie spokojnymi, bez przejść ostrzejszych. Dopiero, gdy dostał się do Petersburga, i pogłębił tam swoje poglądy, oraz zetknął się z żywiołami czynniejszymi — polskimi i rosyjskimi, doszło do rozdzwieńków silniejszych pomiędzy nim a Libawą. Jak wszyscy z naszego pokolenia, został porwany przez hasła walki z caratem: sympatje dla Narodnej Woli wystąpiły silnie. I nietylko sympatje! Jak Kunickiemu, jak innym jego znajomym, wypadło mu wejść w bliższe zetknięcie z walczącą grupą Narodnej Woli. Ślad tych stosunków pozostał na stronicach wspomnień Wiery Figner. Wiera Figner opowiada o porozumiewaniu się z inicjatywą Szabalina jesienią 1883 r. przedstawiciele Narodnej Woli i Proletariatu. Z pośród Rosjan byli: Degajew, Jakubowicz (Mielszyn), Rossi, Usowa i oficer Stepurin. Polaków reprezentowali: Kunicki, Dębski i Rechniewski. Kunicki był już oddawna członkiem grupy Narodowolców, którą powołał był do życia Degajew w r. 1881 w Instytucie Dróg Komunikacyjnych. (Zdaje się, iż na tem właśnie zebraniu zdemaskowano Degajewa, jako prowokatora). Stosunki pomiędzy Narodowolcami a polskimi rewolucjonistami były wtedy jaknajlepsze. Rechniewski mawiał do Rosjan: w Petersburgu jestem Narodowolcem, w Warszawie członkiem Proletariatu. I właśnie pogłoski o tym czynnym radykaliźmie Tadeusza doszły do Spasowicza, ten zaś pośpieszył zawiadomić starego Rechniewskiego...

Z sympatjy dla Narodnej Woli, a właściwie nie z sympatjy, bo im się nigdy nie sprzeniewierzył, ale z przejęcia się jej taktyką wyzwolił się T. Rechniewski dopiero wy-

szedłszy z ciężkich robót na osiedlenie. Wł. Zubow, inny z uczestników fotografii petersburskiej i również członek P r o l e t a r j a t u, dbał o przesyłanie mu książek. Wypadało mi je dobierać: szły właśnie te same przyczynki, z którymi zaznajomiwszy się Plechanow, zerwał był z poglądami C z a r n e g o P e r e d j e ł a i rzucił wyzwanie N a r o d n e j W o l i. A kiedy Rechniewski po raz pierwszy przyjechał do Warszawy, stał wyraźnie na stanowisku ruchu klasowego i taktyki, wypracowanej przez myśl socjalistyczną europejską. Po kwadransie rozmowy zrozumieliśmy obaj, że pomiędzy nami niema jakichkolwiek poważniejszych różnic. Odwiedził wtedy Warszawę nielegalnie, a właściwie był zbiegiem, którego poszukiwały władze syberyjskie, ażeby pociągnąć go do odpowiedzialności za uczestnictwo w ruchu rewolucyjnym 1905—1907. A wojskowe sądy syberyjskie ówczesne pod żelazną ręką Rennenkampfa działały krótko i węzłowato... I otóż zdarzyło się, że podczas tej bytności wprowadziłem go na czwartkowe zebranie u Henryka Radziszewskiego. Były to zebrania, naturalnie, niemeldowane, gromadzące po kilkadziesiąt osób różnych przekonań, celem wzajemnej wymiany myśli i wspólnej akcji. Było to już w okresie przełomu ruchu wolnościowego, kiedy rewolucja 1905—1908 chyliła się ku upadkowi. I na nieszczęście wpada ktoś z wiadomością, że policja obsadziła dom. Nie potrzebuje wspominać, jakie to miałyby konsekwencje dla Tadeusza, gdyby postrach stał się rzeczywistością. Ale skończyło się na postrachu! W rzeczy samej policja była na dole, w bramie, ale chodziło tam jej o coś innego. Kilkadziesiąt osób więc zdołało najspokojniej opuścić mieszkanie Radziszewskiego, wychodząc w oczach policji po jednym, po dwóch co kilka minut. Rechniewski odetchnął całą pierśią po wyjściu. Odetchnąłem i ja, widząc, iż wyszedł cało.

BERNARD CHRZANOWSKI.

DZIESIĘĆ
LAT TAJNYCH WYCIECZEK MŁODZIEŻY
Z ZABORU PRUSKIEGO DO KRAKOWA
1905 — 1914¹⁾

Za czasów niewoli Kraków był długi czas źródłem narodowego pokrzepienia. Przy wzmożeniu ucisku udawały się do niego ze Śląska pielgrzymki pobożnych, z Poznańskiego — wycieczki inteligencji. Na Wawelu i na Kopcu Kościuszki ogrzewały się serca przeszłością; była ona im ostoją i bodźcem. Kiedyś, oprowadzając nas po Lublanie i wskazując na wody słoweńskiego narodowego odrodzenia, zwracali mi uwagę przywódcy Słoweńców, że naród ich jest prawie bez historii, że zazdroszczą nam naszej. Mówili, że musi ona być przecież dla nas wspaniałym orężem w walce o byt narodowy. I rzeczywiście, była nim ona. Królowie i bohaterzy nasi byli zawsze z nami. Kościuszko — i jego portret i wspomnienie o nim — był tak prześladowany, jak gdyby żył wśród nas naprawdę i starał się dotrzymać przysięgi, złożonej na krakowskim rynku, że wypędzi z Polski trzech mocarzy²⁾.

To słońce naszej przeszłości, świecące tak jasno w Krakowie, łączyło swoje promienie z ciepłotą ogniska naszej kultury, rozwijającej się tam bądź co bądź swobodniej. Na to słońce i do tego ogniska trzeba było zawieźć chociaż na krótki czas młodzież z zaboru pruskiego; ona tych promieni i tego ciepła potrzebowała koniecznie, aby nie skarleć i nie zobojętnieć pod

¹⁾ Akta w archiwum grodzkiem w Poznaniu.

²⁾ Stenograficzne zapiski parlamentu niemieckiego — 1906 r. — 14 marca — str. 2004—2009 — przemówienie posła B. Chrzanowskiego.

względem narodowym. Przecież ci z młodzieży gimnazjalnej, którzy nie pochodzili z zamożniejszych, kulturalniejszych rodzin, nie mieli i nie czytali książek polskich w domu lub nie należeli do tajnych związków szkolnych imienia Tomasza Zana³⁾, zatracali przy ciągłym skazaniu na niemiecki język w szkole i na niemieckie książki z biblioteki szkolnej — nieraz mimo czytowania polskich gazet — umiejętność swobodnego, łatwego czytania książki polskiej; przecież szesnastoletni chłopak odnosił pożyczone mu „Syzyfowe prace” Żeromskiego, tłumacząc się nieśmiało, że łatwiej mu czytać książki niemieckie; język literacki polski poznawała taka młodzież chyba jeszcze tylko na publicznych wykładach naukowych⁴⁾ lub w teatrze.

*

*

*

Wobec tego oświadczył wielki społecznik, prof. Henryk Jordan, w Krakowie w 1904 r. gotowość zajęcia się wycieczką młodzieżą z zaboru pruskiego, jej pomieszczeniem, wyżywieniem i opieką nad nią w wakacyjnym miesiącu lipcu; jako czas trwania pobytu oznaczył trzy do czterech tygodni, ilość uczestników na trzydziestu do czterdziestu, miejsc bezpłatnych na pięć. Młodzież miała to być gimnazjalna w wieku około czternastu do dziewiętnastu lat; mniejsza część mogła być pozaszkolna i to z Pomorza, jako najbardziej zagrożonej dzielnicy. Cała młodzież miała, wobec obowiązkowego zgłoszenia wycieczek na policji w Krakowie, podaną być ze względów bezpieczeństwa pod obcymi imionami i nazwiskami oraz miejscami pochodzenia, jako młodzież pozaszkolna rzemieślnicza, kupiecka i włościańska. Wszystkiem tem przyrzekł zająć się prof. Henryk Jordan.

Względy bezpieczeństwa były konieczne. Przecież dwaj studenci, przez żandarmerję pruską na Mazurach w Prusach Wschodnich przytrzymani, jako członkowie niewinnej wycieczki, uznanej jednak przez władze za „agitacyjną”, wydaleny zostali z uniwersytetu. To samo spotkało kilku studentów uniwer-

³⁾ I. W. Kosmowska — Związki Młodzieży Polskiej — Warszawa 1924 — str. 56—79, 191—193.

⁴⁾ „Dziesięć lat Tow. Wykładów Ludowych im. Adama Mickiewicza w Poznaniu”—Bernard Chrzanowski—Przegląd Oświatowy, Poznań 1911—zeszyt 1 str. 7.

sytetu wrocławskiego za wycieczkę do Krakowa. Minister oświaty, gdy wstawiał się za nimi u niego poseł Dr. Felicjan Niegolewski, dziwił się wprawdzie w pierwszej chwili, że „ci młodzi panowie tylko za wyjazd do Krakowa mają być wydalenii”, później jednak wydalenia tego nie zniósł. Niebezpieczeństwo było zatem poważne; ryzyko dla młodzieży znaczne; odpowiedzialność organizujących wycieczkę wielka; groziło tak samo zresztą, jak przy tajnych związkach Towarzystw im. Tomasza Zana, wydalenie! Nie było jednak na to innej rady, jak zachowanie wszelkiej ostrożności. Tajna praca stawała się z biegiem lat także i w zaborze pruskim konieczną.

Poznań zająć się miał zorganizowaniem wycieczek, werbowaniem uczestników, poniesieniem części kosztów ich podróży i pobytu w Krakowie. Na pokrycie tych kosztów służył procent od funduszu Jana Rucza, oddanego przez ofiarodawcę za pośrednictwem Dr. Zygmunta Celichowskiego i Bernarda Chrzanowskiego do dyspozycji Koła Polskiego w parlamencie niemieckim na cele oświatowe⁵⁾, datki kilku wtajemniczonych ofiarnych osób i składki części młodzieży samej.

Werbowanie jej było i łatwe i trudne. Łatwe, o ile chodziło o młodzież szkół średnich z Poznańskiego; tę proponował tajny Związek Towarzystw Tomasza Zana w Poznańskim; młodzież szkół średnich z Pomorza pozyskiwano z początku przez polecenia zaufanych osób na Pomorzu, okazało się to jednak niełatwym. Przeszkodą była obawa wielu rodziców, względnie mężów zaufania, a także i młodzieży przed szpiegostwem, wykryciem członków wycieczki i wydaleniem ze szkół. Oto co pisał mąż zaufania: „Młodzież gimnazjalna tak jest zastrachana, a wreszcie i szpiegostwo w Prusach Zachodnich tak jest rozwinięte, że wszyscy obawiają się już prawie samej myśli o wycieczce”. Znów inny mąż zaufania, poważny duchowny, ostrzega przed wycieczką, sądząc, że „wspomnienie o niej, to wymysł, bo zamiar pociągnąłby za sobą wydalenie ze szkół”. Donosząc jednemu z mężów zaufania, lekarzowi, o dniu wyjazdu wycieczki, wymieniono w depeszy nieopatrznie nazwisko chłopca; nadeszła następująca odpowiedź: „Przy-

⁵⁾ Fundusz ten przekazany został po odzyskaniu niepodległości na rzecz Tow. Czyt. Lud. (Uniwersytety Ludowe) w Poznaniu — patrz Józef Kisielnicki „Światło w mroku” — Pięćdziesiąt lat pracy Tow. Czyt. Lud. Poznań 1930 str. 241.

kro mi bardzo, że Szan. Pan wypisał na telegramie nazwisko mego pacjenta Miasteczko nasze niewielkie, łatwo można się tu dowiedzieć o wszystkim, co się stanie, i nie jest rzeczą niemożliwą, że wiadomość o telegramie się rozejdzie. Byłbym tedy w trudnem położeniu, ponieważ ojcu chorego przyrzekłem, że o wyjeździe chorego do specjalisty nikt się nie dowie. Myślę, że kuracja u specjalisty mu posłuży, ale pewnie potrwa czas dłuższy". Gimnazysta, który chciał jechać z wycieczką, donosi: „Ks. B.... napisał mi, że rząd bardzo szpieguje gimnazystów, a Ks. K.... dał mi do wiadomości, iżby się napewno wydało i rząd by mnie wydalil, bo to jest „grosspolnische Agitation". Byli oczywiście i odważniejsi: „Chłopcy są sobie świadomi niebezpieczeństwa, lecz biorą odpowiedzialność na siebie", — pisze np. jeden z mężów zaufania. Takie było przygnębienie wobec pruskiego ucisku w społeczeństwie. Z powodu tych obaw podawało później także i uczniów gimnazjalnych Pomorzan Tow. Tomasz Zana na Pomorzu przez Związek Poznański. Trudnem było wyszukanie uczestników wycieczki z pośród młodzieży pozaszkolnej pomorskiej, a szczególnie wybrzeżnej, także i z innych powodów, jak nieodpowiedni czas i zubożenie ludności. Pisze więc zgodnie szereg mężów zaufania: „Pora sianokosowa nie pozwala" — „Kaszubi nie chcą słuchać o tem, aby syn ich w najważniejszej porze nie miał rodzicom pomagać w gospodarstwie, albo u innych rodaków zarabiać". — „Latem jest tu koniecznie potrzebny". — „Właśnie w miesiącu lipcu najbardziej ich w domu do pracy potrzebują". A inni piszą: „Niektórzy z moich informatorów twierdzą, iż na całej oksywskiej i puckiej kępie nikt się nie znajdzie chętny do wyjazdu do Krakowa". Pisma ze środka Pomorza brzmią podobnie: „Wobec obojętności tutejszych rodaków dla sprawy, trudno mi było się wystarać o chłopaka". Szanowny działacz ze sfer mieszczańskich pisze drastyczniej: „U tutejszych kupców i rzemieślników nie możemy nic wykołatać, bo są mallowani po polsku, a dusza już... się zbrudziła".

Mimo te nieraz odmowne odpowiedzi, przeszło dwudziestu pomorskich mężów zaufania, na wysyłane do nich co rok prośby o młodzież, Pomorze, dzięki ich szczerzej chęci i pomocy, miało jednak na wycieczkach co rok swych przedstawicieli, tak z pośród młodzieży gimnazjalnej, jak i pozaszkolnej. Wykazuje to statystyka:

Rok	Pomorze Gimn. Z poza gimn.	Poznańskie	śląsk	Obczyzna	Razem
1905	— 6 = 6	20	—	—	26
1906	8 + 10 = 18	14	—	—	32
1907	1 + 15 = 16	17	1	—	34
1908	5 + 5 = 10	21	3	—	34
1909	15 + 7 = 22	7	2	—	31
1910	12 + 8 = 20	8	—	—	28
1911	8 + 1 = 9	40	9	—	58
1912	10 + 4 = 14	32	—	—	46
1913	11 + 9 = 20	22	2	2	46
1914	12 + 6 = 18	27	—	—	45 ⁶⁾
	82 + 71 = 153	+ 208	+ 17	2 =	380

Stosunek między udziałem Pomorza i Poznańskiego w wycieczkach był zatem prawie równomierny. Młodzież tych dwóch dzielnic miała sposobność, przy nasyceniu się polską kulturą środowiska, poznać się wzajem i zrozumieć. Na jednej z wycieczek tak się zdarzyło, że była ona istnym sejmikiem delegatów gimnazjów poznańskich i pomorskich, ostatnich — z Chełmna, Chojnic, Gdańska, Kościerzyny, Pelplina, Świecia, Torunia i Wejherowa. Wobec udziału z Pomorza także i młodzieży pozaszkolnej były różnice wykształcenia wprawdzie nieraz silne, lecz nie przeszkadzało to zgodzie, panującej w gronie wycieczki. Wybijiała się oczywiście na czoło starsza młodzież gimnazjalna. Ona przecież, gdy starzy, wątpięcy zawodzili, śmielsza — sama starała się o uczestników wycieczki. To też, gdy z początku niełatwo było osiągnąć liczbę trzydziestu uczestników, później przekraczała ona czterdziestkę; w 1911 r. uroczystość grunwaldzka spowodowała przekroczenie nawet pięćdziesiątki. Starsza ta młodzież w ostatnich latach sama też już wycieczki do Krakowa zawoziła; przedtem skoro powstała Straż Narodowa, w Poznaniu uczynili to kilka razy członkowie jej sekcji kulturalnej; pierwsze wycieczki zawoził sam. Starsza ta młodzież wreszcie brała później sama w piekę swych towarzyszy pozaszkolnych, przyrzekając zajęcie się nimi.

Podczas pobytu w Krakowie, szczególnie w pierwszych latach wycieczek, była młodzież podług programu, wypracowanego i przeprowadzonego przez prof. Henryka Jordana, pod

⁶⁾ Oprócz tych 45 jechało z wycieczką z inicjatywy Dr. Krawerego Zakrzewskiego 7 osób do Skolego, gdzie był obóz harceski.

ścisłą opieką wybranego przezeń do troszczenia się o wycieczkę p. Ant. Eug. Balickiego. On to przy swem gorącym sercu sam kierował zwiedzaniem Krakowa, sam po nim oprowadzał, informował, opowiadał, wykladał, uczył, sam organizował wycieczki w okolicę, a przy końcu pobytu z gronem szczuplejszem, w grosze zasobniejszym, także i w Tatry.

W drugiej połowie dziesięciolecia starsza młodzież już sama starała się o zorganizowanie na czas wycieczki kursów naukowych.

*

*

*

Chociaż wycieczki te krótko trwały, wpływ ich na młodzież był silny bardzo. Oto jako dowód kilka wyjątków z listów, pisanych już to jeszcze z Krakowa, już to później po wycieczce.

Z listu starszej młodzieży: „Młodzi Kaszubiacy zadowoleni, uszczęśliwieni pod każdym względem, robią korzystniejsze wrażenie od Poznaniaków, mniej zadowolonych”. Z listu męża zaufania z Pomorza: „Gimnazjaści wycieczką zachwyceni. W gorących słowach wyrażają swe zadowolenie. Mnie sprawia to nieklamana, szczerą radość”. Również z Pomorza pisze wybitny działacz społeczny, duchowny: „Na chłopca, który był w zeszłym roku w Krakowie, wywarła ta podróż wpływ bardzo dodatni. Rodzina jego prosi mnie, abym wyraził ich podziękowanie za wyświadczone synowi dobrodziejstwo”. Jeszcze ustęp z listu ojca: „Ponieważ przeszłoroczna wycieczka na moich synów dobrze wpłynęła, wyrażam tu moje dzięki za wszystką fatygę i starania”. Prawda, że to była młodzież przeważnie wybrana. Charakteryzował ją też już za pierwszych wycieczek p. A. E. Balicki tak: „Chłopcy młodszy są karni, posłuszni, dobrzy, pełni interesu i ciekawości na każdy szczegół lub wiadomość i starsi znów inteligentni, rozumni i szczerze czujący po polsku”. Chodziło przecież przy organizowaniu wycieczek o takich — lepszych, aby z nich wyrosli kiedyś przyszli działacze w życiu społecznym i narodowym. To się urzeczywistniło.

A byli jednak wówczas w społeczeństwie tacy, którzy takiego wpływu tych wycieczek nietylko nie przeczuwali, lecz uważali je za zgubne! Oto np. jeden z rozumnych przecież, wykształconych, szanowanych, społecznie pracujących, zamoż-

nych ziemian Poznańskiego odmówił, gdy chodziło o wycieczkę w jubileuszowym roku grunwaldzkim, składki na nią, tłumacząc się w liście, że „chłopcom się tam tylko w głowie przewróci”.

Jeszcze dwa przykłady: Najpierw, jak oddziałała wycieczka na chłopca zdolnego, o dobrym charakterze, lecz pod względem narodowym — ciemnego. Chłopak ze środka Pomorza, polecony przez wybitnego działacza społecznego. Gdy rozpakowywał w Krakowie swe rzeczy, spostrzeżono u niego w ramki oprawny portret — Wilhelma II! żadnej mu z tego powodu ani wówczas, ani też przez cały czas pobytu nie zrobiono uwagi. A jednak, gdy wyjeżdżał do domu, zauważono, że chłopak wziął portret i zniszczył. Opowiadał mi to sam prof. Jordan. Drugi przykład, jakie wrażenie wycieczka wywarła na całe życie wiejskiej rodziny na wybrzeżu. Opowiadał mi to i opisał p. Stanisław Thugutt ⁷⁾: „...na stoliku garstka pocztówek z Zakopanego i albumik z Krakowa, to wspomnienia wyjazdu syna, gimnazysty, na obchód grunwaldzki. Jak oni to tam wspominają, jaka to była epoka, jaki dzień był wielki, świąteczny... Wyobraźcie sobie ludzi, którzy całe długie, czy krótkie, życie widzieli polskość pomiataną, popychaną nogami, gnaną za drzwi, jeżeli nie do kozy, i którzy stanęli olśnieni wobec tego dnia wspomnień o chwale wielkiej, chociaż minionej”.

Wobec tego warte były te wycieczki poświęconego im zachodu.

⁷⁾ „Ziemia” — 1911 — monograficzny zeszyt kaszubsko-pomorski — str. 29.

ALEKSANDER RINGMAN.

Z ZAGŁĘBIA, WIĘZIENIA i EMIGRACJI.

Z rewolucjonistami zetknąłem się pierwszy raz w Sosnowcu w r. 1902. W wydawanym w tem mieście „Kurjerze Sosnowickim” napiętnowałem postępowanie pewnego fabrykanta, za co zostałem zadenuncjowany przez jednego z nauczycieli i wydalony z VI klasy sosnowieckiej szkoły realnej. Wkrótce po wydaleniu zwrócili się do mnie dawni koledzy z prośbą, abym pożyczył swego półpaska (przepustki, umożliwiającej mieszkańcom pogranicza przejazd zagranicę) nieznanemu mi zresztą rewolucjoniście. Półpasek ten kolegom dałem, a już później dowiedziałem się, że rewolucjonistę tego przeprowadził zagranicę nauczyciel rosyjskiego Eck, który uchodził wśród uczniów za socjalistę i który wraz z kilkoma swymi kolegami prowadził ostrą walkę z dyrektorem szkoły, Pfeifrem.

W jakiś czas potem zawezwał mnie Pfeifer do swego gabinetu w szkole i zaproponował zdradzenie Ecka za cenę przyjęcia mnie zpowrotem do szkoły. Z oburzeniem odrzuciłem tę propozycję, twierdząc, że ani ja półpaska — jak to mówił Pfeifer — nikomu nie dawałem, ani wogóle po wydaleniu ze szkoły nigdy z Eckiem nie rozmawiałem. Na to Pfeifer nagle się odezwał: „Nu, ładno, dajcie czestnoje słowo, czto wy nie dawali półpaska i togda ja wam powieriu”; odpowiedziałem mu drwiąco: „ja czestnoje słowo (słowo honoru) daju tolko czestnym ludziom”. Dając taką odpowiedź, byłem przygotowany nawet na jakąś fizyczną ze strony Pfeifra reakcję. Dyrektor się jednak pohamował. Na drugi już dzień jednak wezwany zostałem do naczelnika powiatu będzińskiego, Danilczuka, który bardzo spokojnie i łagodnie zakomunikował mi, że zaraz po

wczorajszej mojej rozmowie z Pfeifrem ten ostatni żądał od niego, Danilczuka, wydalenia mnie zagranicę jako pruskiego poddanego. Ja powiedział mi dalej z wyraźną niechęcią dla Pfeifra Danilczuk, tego zrobić jednak nie chcę, tylko proszę pana o powstrzymanie się od dalszych awantur z Pfeifrem, bo w przeciwnym razie jednak zmuszony będę odstawić pana do granicy. St. Andrzej Radek w swej „Rewolucji w Zagłębiu Dąbrowskiem” przedstawił Danilczuka bardzo ujemnie, ja nie mam innych danych prócz powyżej opisanego faktu uczciwego i ludzkiego zachowania się w stosunku do mnie i wyraźnie akcentowanej pogardy dla Pfeifra, abym mógł tę ujemną charakterystykę Danilczuka kwestjonować, muszę jednak na podstawie własnych spostrzeżeń stwierdzić, że wśród Rosjan — urzędników administracyjnych i nauczycieli — w Zagłębiu zdarzały się jednostki szlachetniejsze, które z niechęcią odnosiły się do czarnosecińców i rusyfikatorów, a nawet z pogardą do służących im na dwóch łapkach „poliaczyszek”. Miałem tego dowód nietylko z Danilczukiem, lecz i z kilku nauczycielami Rosjanami, którzy pomogli mi jednak ukończyć szkołę średnią. Jeden z nich, Kalichiewicz (który w Sasnowcu wraz z Eckiem walczył z Pfeifrem i zato przeniesiony był do Łowicza), wyjednał mi w Kuratorjum Warszawskiego Okręgu Naukowego pozwolenie zdawania, jako eksterniście, w łowickiej Szkole Realnej. Okazał mi też przy samych egzaminach dużą pomoc materjalną i moralną, wyraźnie podkreślając, że czyni to dla mnie, jako dla człowieka, który ucierpiał za swe przekonania od dyrektora czarnasecińca. Nie chcę przez to powiedzieć, że Kalichiewicz i jemu podobni szlachetniejsi Rosjanie mieli sympatje dla naszych uczuć narodowych. W naszej epoce nawet liberalni Rosjanie, którzy lubili uczniów Polaków, karali ich jednak za samodzielną interpretację historii stosunków polsko-rosyjskich! Liberalni i socjalistyczni nauczyciele Rosjanie mieli wówczas wiele sympatji dla postępowego i socjalistycznego ruchu w Polsce, ale nawet tacy Rosjanie bardzo niechętnie odnosili się do naszej przeszłości, zwłaszcza zaś do historii porozbiorowej. Doświadczyłem tego na sobie już w trzeciej klasie, gdy na lekcji zakwestjonowałem twierdzenie historyka Kryżanowskiego, Rosjanina, który nas uczył, że hetman Konstanty Ostrożski był pobity w bitwie pod Orszą przez Rosjan. Kryżanowski, dobry i dla mnie nawet bar-

dzo życzliwy człowiek, postawił mi dwójkę za kwartał z historii, trójkę ze sprawowania i zagroził wydalaniem! Ominęło mnie to już wówczas tylko dlatego, że Kryżanowski mnie cenił, ponieważ historję zawsze bardzo lubiłem i uczyłem się jej gorliwie.

W jesieni 1904 wstąpiłem na Politechnikę Warszawską. Zamieszkałem wraz z bratem moim, Leonem i z kolegą, Walerym Janotą (późniejszym wybitnym działaczem P. P. S.), na ulicy Pięknej u pani Wegnerowiczowej, matki kolegów z sosnowieckiej szkoły realnej: Witolda i obecnego naszego konsula w Marsylji — Romana.

Witod Wegnerowicz był starszy od nas i już na ławie szkoły realnej w Sosnowcu był w żywym kontakcie z władzami kierowniczymi P. P. S. Jako taki, był aresztowany i w czasie mego pobytu u pani Wegnerowiczowej siedział w więzieniu piotrzkowskim. Dzięki tej okoliczności, oraz zapewne dzięki temu, że i Roman Wegnerowicz brał już wówczas żywszy udział w ruchu rewolucyjnym, w mieszkaniu naszym w krótkim czasie było kilka nocnych rewizyj. Policja i żandarmi szukali Weisbluma, który później był czynnym członkiem P. P. S., znanym pod pseudonimami „Antek” i „Kudłaty”. Weisblum istotnie w pokoju naszym w mieszkaniu pani Wegnerowiczowej często przebywał, a nawet nocowywał, szczęśliwym jednak trafem w czasie nocnych rewizyj nigdy nie był obecny. Podczas jednej z takich rewizyj policja aresztowała mnie, lecz nazajutrz zostałem uwolniony z braku dowodów udziału mego w pracy P.P.S. Udział ten rzeczywiście aż do r. 1905 był bardzo luźny; kontakt mój i mego brata, Leona, z partją ograniczał się wówczas do uczestnictwa w studenckich i robotniczych kółkach partyjnych.

W zbrojnej demonstracji na placu Grzybowskiem aktywnego organizacyjnego udziału nie brałem, byłem tam jednak wkrótce po strzelaninie i brałem już udział w późniejszych tegoż dnia wypadkach. Na ulicach dzielnic robotniczych gęsto krążyły patrole, które strzelały tam nawet do oddzielnie idących pojedynczych osób; pomagałem ranionym schronić się do bram. Później już częściej brałem udział w zebraniach robotniczych i w doraźnych demonstracjach.

Na święta Bożego Narodzenia pojechałem z bratem Leonem do rodziców, mieszkających z dwoma innymi braćmi,

Edwardem i Pelagjuszem, i siostrą Julją we wsi Małobądź w pobliżu stacji kolejowej Nowy Będzin. Mieszkanie to od r. 1905 do 1908 było przytuliskiem dla kilku, czasem dla kilkunastu „nielegalników”: agitatorów i bojowców. Korzystali oni z tego mieszkania nawet po moim aresztowaniu w r. 1906 i dopiero po zaaresztowaniu mego starszego brata, Edwarda, w końcu r. 1907 mieszkanie to nie mogło już służyć partji, ponieważ wszyscy czterej bracia po wypuszczeniu nas z więzienia znaleźliśmy się zagranicą na emigracji politycznej.

Na przełomie lat 1904 i 1905 Zagłębie przeżywało wraz z całym krajem chwile wielkiego ożywienia politycznego. Zaczęły się wiece masowe, strejki, a wraz z nimi rozruchy i aresztowania. Rzuciłem się z całym rozmachem młodzieńczego entuzjazmu wraz z braćmi w wir tego życia na dobrze mi od dziecka znanym terenie. Od rana do wieczora biegałem po fabrykach i kopalniach na wiece i zebrania kółkowe. Zetknąłem się wówczas z wybitnymi działaczami P. P. S. — Wincentym Markowskim i Bolesławem Iwińskim, którzy przez dłuższy jak na „nielegalników” czas mieszkali u nas w Małobądziu. Toczyliśmy z „Pawłem” (pseudonim Markowskiego) i „Henrykiem” (pseudonim Iwińskiego) długie dyskusje na temat stosunku niepodległości do socjalizmu. Był to wówczas główny temat ścierania się z S. D-kami, którzy, ulegając (Polacy podświadomie) wpływom rosyjskim, niemieckim i przede wszystkim żydowskim, nie tylko nie uznawali postulatów niepodległości, ale go zajadle zwalczyli i nawet z niego szydzili.

Pomagałem wraz z braćmi, Leonem i Edwardem — „Pawłowi” i „Henrykowi” w kółkowej robocie uświadamiającej, kolportowaliśmy bibułę, którą też często „Paweł” i „Henryk” odbijali w naszym mieszkaniu na szapirografie.

Dn. 9 lutego 1905 odbyła się potworna strzelanina do robotników na hucie „Katarzyna”; ofiarą padło około 40 robotników zabitych i przeszło 100 rannych, a na czele strzelającego do nich wojska stał Polak! Tegoż dnia zaczęły się aresztowania masowe. Znajomy urzędnik powiatowy, Brokowski, dał mi znać za pośrednictwem swej córki, Eugenji, która później wraz ze swym bratem Stefanem (obecnie znanym w Wilnie lekarzem) brała czynny udział w pracy P. P. S., że w nocy będę prawdopodobnie aresztowany, więc tegoż jeszcze dnia wyjechałem na Górny Śląsk do kolegi mego szkolnego i przyjaciela,

Antoniego Hłaski, syna znanego w Dąbrowie Górniczej dyrektora huty „Paulina”. Antoś Hłasko był wówczas sympatykiem P. P. S. Pracując w jednym z zakładów księcia Donnersmarcka, udzielał on p. p-sowcom schronienia i gościny, korzystał z niej m. i. też mój brat Leon.

Wkrótce potem Hłasko wyjechał ze mną do Krakowa, dokąd polecił mi udać się O. K. R. Zagłębia z raportem o masakerze w hucie „Katarzyna” do towarzysza „Ziuka”. Pierwszy też raz w życiu spotkałem się wówczas z późniejszym Komendantem Legjonów, dzisiejszym Marszałkiem Polski Józefem Piłsudskim. Później, już w czasie swego siedmioletniego pobytu na emigracji politycznej we Lwowie, spotykałem się z nim często na posiedzeniach Sekcji Lwowskiej Frakcji Rewolucyjnej P. P. S. i jako członek Związku Walki Czynnej. Hłasko wyjechał do Belgji, na początku wojny światowej wstąpił do Legjonów i zginął w Kieleckiem.

W Krakowie zamieszkiwałem czas jakiś u znanego księgarza, Kaspra Wojnara, który, nie będąc nigdy socjalistą, udzielał jednak serdecznej gościny P. P. S.-owcom, chroniącym się do Krakowa przed prześladowaniem policji rosyjskiej. Młodzież akademicka w Krakowie żywo reagowała wówczas na wypadki w byłej Kongresówce; odbywały się ciągle wiece i zebrania młodzieży socjalistycznej.

Wyjechałem do Lwowa z zamiarem zapisania się na Politechnikę, jednakże i we Lwowie było w tym okresie zbyt gorąco. Uległem wkrótce moralnej presji, jaką wywierała na młodzież ówczesna walka rewolucyjna; pobyt we Lwowie w tym niezmiernie żywym politycznie okresie wydawał mi się zdradą Polski i Partji. Wróciłem zatem potajemnie do Zagłębia, gdzie w międzyczasie organizacja P. P. S. ogromnie się rozrosła.

Na czele jej stał wówczas niezwykle popularny w Zagłębiu z powodu swej nieustraszonej odwagi i ofiarnej pracy dla społecznego i narodowego wyzwolenia robotników Tomasz Arciszewski (pseud. „Stanisław”), który wraz z Czarkowskim (pseud. „Leon”) działał w Zagłębiu jeszcze na kilka lat przed rewolucją roku 1905. Arciszewski był jednocześnie groźnym dla policji instruktorem bojowym i przemawiającym na wiecach i kółkowych zebraniach agitatorem.

Byli też już wtenczas w Zagłębiu bardzo tam również po-

pularni Bolesław Iwiński i Wincenty Markowski, członkowie Okręgowego Komitetu, którzy przeważnie mieszkali u nas w Małobądziu, chodząc od nas na zebrania, lub w domu, pracując nad układaniem odezw i planów organizacyjnych. Później już, przeważnie w r. 1906, bywali w naszym mieszkaniu student uniwersytetu Monic („Eryk”, „Eugenjusz”), Witold Trzcziński („Kiejstut”), Jan Rutkiewicz („Wicek”), który czas jakiś był przed rozłamem członkiem Centralnego Komitetu Robotniczego, Wacław Biernacki („Kostek”), obecny pułkownik, Lewinson („Paweł”), Zygmunt Limanowski („Szczur”), Dr. Szymanowski („Franciszek”), obecny profesor uniwersytetu, Marja Paszkowska, Dr. Nelken („Tytus”), obecny pułkownik - lekarz, Tadeusz Szpotański („Zbigniew”), obecny wiceprezydent Warszawy, bracia Jaśkiewicz, Krzeczkowski („Prosper”), obecny profesor wyższej szkoły handlowej. Wymienieni, wybitni już wówczas działacze polityczni, przyjeżdżali do nas z Warszawy lub z Krakowa i dłuższy lub krótszy czas pozostawali na robocie w Zagłębiu, zamieszkując u nas, u pp. Siwików, Piwowarów lub u innych miejscowych członków P. P. S., czy jej sympatyków.

Na krótkie, jedno- lub kilkudniowe występy przejeżdżali w latach 1905 — 1906 Semen Wityk, późniejszy członek Dyrektorjatu na Ukrainie, Władysław Gumplowicz, Zygmunt Klemensiewicz, Michał Sokolnicki i niektórzy inni. Z miejscowych obywateli, którzy do partji należeli, którzy pracy w jej organizacji całą duszą się oddawali, którzy jednak mogli się poświęcić tej pracy tylko po całodziennem zajęciu w fabrykach, biurach lub szkołach (nauczyciele), byli mi bardziej znani: Bronisław i Zofja Siwikowie w Sielcu (obecna dzielnica Sosnowca), Bronisława Chajkowska (nauczycielka) w Dąbrowie Górniczej, późniejsza żona poety Orkana, Celina Ostachiewiczówna (nauczycielka) w Zawierciu (pseudonim „Grażyna”), później aresztowana w Łodzi (wyszła zamąż na emigracji za Dr. Bańkowskiego, znanego i niezmiernie lubianego w Myszkowie lekarza i również bardzo wybitnego działacza P. P. S.), Dr. Adam i Alina Piwowarowie, którzy w tym czasie wrócili z zesłania w gubernji Archangielskiej, Stefan Brokowski i jego siostra Eugenja, Marjan Stanek, państwo Berbeccy, Zygmunt Widera, obecny inżynier w hucie Hajduki, żona profesora szkoły handlowej w Będzinie, Warchałowa, i jej siostra Jadwiga, bra-

cia Roman, Walery i Henryk Janotowie, Marja Szmitowa, robotnicy Budniewski („Kwadrat”), Gajek, Rolnik, Kluska, bracia Łobzowscy („Franek” i „Brawura”) i niezliczona ilość innych, całą duszą oddanych walce z caratem o wyzwolenie członków partji i tak zwanych jej sympatyków.

W zebraniach kierowników organizacji, które już wówczas odbywały się często u nas, brałem udział ja i brat Leon, a brat Edward tylko czasem, o ile nie pracował w biurze. Najmłodszy nasz, zmarły w r. 1913, brat Pelagjusz, miał wówczas tylko lat 13, jednak był używany do przemycania bibuły i broni z Katowic. Chłopiec ten pierwszy z nas był chwilowo aresztowany za czynną akcję w strejku szkolnym. Brat Leon chronił się kilka tygodni w Katowicach, gdzie też uczestniczył w tamtejszych pracach P. P. S. pod kierunkiem Strożeckiej, Morawskiego, Caspari’ego i innych.

Całe Zagłębie było podzielone na dzielnice. Mnie przydzielono przez jakiś czas dzielnicę Będzin, do której należały również wsie i osady Grodziec, Łagisza, Małobądz, Gzichów i niektóre inne. Rozległość dzielnicy i wielka liczba kółek zmuszała mnie do pozostawiania prawie cały dzień poza domem; wychodziłem na wiece i kółkowe zebrania często o piątej rano, wracałem późnym wieczorem. Odpoczynkiem były zwykle te dni, gdy odbywały się u nas narady wszystkich nielegalników i wybitniejszych miejscowych działaczy. Narady takie odbywały się w tym czasie najczęściej u nas, u pani Chajkowskiej, u państwa Siwików i trwały zwykle cały dzień z krótką przerwą na obiad.

Mieszkanie nasze bardzo się nadawało na takie zebrania, ponieważ było położone na połowie drogi między Sosnowcem a Będzinem, w pobliżu stacji Nowy Będzin. Ludność Małobądzia znała nas bardzo dobrze i w większości z nami sympatyzowała lub w najgorszym razie była neutralna. Zdrajcy na miejscu nigdy nie było, i ta okoliczność, oraz fakt, że z pobliskiego wzgórza łatwo było obserwować całą okolicę, ułatwiały nam rozstawianie pikiet, których zadaniem było uprzedzanie nas w czasie liczniejszych zebrań o zbliżaniu się policji lub wojska. Alarm taki raz tylko był wiosną r. 1906. Siedziało nas kilkanaście osób przy obiedzie, a jednocześnie u sąsiada włościana odbywała się jakaś uroczystość rodzinna, na której też było sporo zaproszonych gości. Wtem nadbiegli rozstawieni na pi-

kietach robotnicy z wiadomością, że od strony Będzina nadjeżdżają kozacy. Wszyscy wstali od stołu i wybiegli na podwórze; gdy to zauważyli goście sąsiada, wybiegli również, chwilowo więc zebrano się na podwórzu kilkadziesiąt osób, na szczęście jednak kozacy przejechali koło stacji Nowy Będzin i nie mieli widocznie żadnego zamiaru odwiedzenia nas.

Po takich zebraniach większość uczestników rozchodziła się już pod wieczór do swych konspiracyjnych mieszkań, a kilku, czasami nawet kilkunastu, nocowało u nas w specjalnie dla nich przygotowanych pokojach, w których wraz z braćmi przechowywaliśmy też prawie stale bibułę, broń palną, a czasami i bomby. Dla broni tej brat Edward, pracujący wówczas w fabryce budowy mostów i kotłów W. Fitzner i K. Gamper w Sielcu, zamówił u robotników P. P. S.-owców specjalną skrzynkę żelazną, hermetycznie zamykaną. Skrzynkę tę wraz z bronią rzucało się na dno płynącej tuż obok naszego mieszkania rzeki Czarnej Przemszy, a w razie potrzeby wyjmowało się jej zawartość, z którą mieszkający u nas, lub gdzieindziej, bojowcy dokonywali zamachów.

Jako awans za pracę swą w dzielnicy Będzin dostałem później bardzo skupioną, ale też i znacznie ważniejszą dzielnicę Sosnowiec, do której należały największe fabryki w Zagłębiu, a mianowicie: Przędzalnia wigonji i fabryka trykotaży firmy C. G. Schön na Ostrej Górcie; Przędzalnia wełny czesankowej C. G. Schön w Środulce; Fabryka rur firmy Huldshinsky i Synowie w Sielcu; Przędzalnia wełny czesankowej Henryk Dietel w Sosnowcu; Fabryka Kotłów Parowych i budowy mostów W. Fitzner i K. Gamper w Sielcu; Fabryka Chemiczna w Gzichowie; Fabryka Chemiczna w Radosze; Papiernia w Ostrej Górcie; Szklarnia w Sosnowcu oraz kilka kopalń, jak Hrabia Renard, Niwka i t. d. i cały szereg mniejszych zakładów przemysłowych.

Wiece i zebrania w tej dzielnicy urządzałem teraz często wprost w kopalniach i fabrykach, tylko posiedzenia komitetów fabrycznych odbywały się w bardziej zakonspirowanych mieszkaniach robotniczych. Tematem moich przemówień i następującej po nich dyskusji była najczęściej na wiecach sprawa rewolucji rosyjskiej i stosunku do niej P. P. S., oraz jej program odbudowy niepodległości; sprawom, bezpośrednio robotników obchodzącym, t. j. poprawie ich materialnego bytu, skrót-

cenie czasu pracy, zatargom z administracją fabryczną i t. p. poświęcałem osobiście mniej czasu. I dziś, po latach 26-ciu, stwierdzam, że robotnika polskiego daleko więcej pociągała sprawa polityczno - narodowego wyzwolenia, niż sprawa jego ekonomicznego wyzysku przez obcego najczęściej fabrykanta. Zdawało mi się wówczas, — i bez trudu przekonywałem o tem również robotników — że wyzysk ekonomiczny sam przez się upadnie z chwilą odzyskania niepodległości politycznej. Nie wyobrażałem sobie wówczas, że niepodległość ta przyjdzie, jako wynik strasznej, przeszło czteroletniej wojny światowej i następującej po niej bezpośrednio jeszcze przeszło dwuletniej wojny z najazdem bolszewickim. Nikt z nas nie mógł wówczas przewidzieć, że wojna ta i poprzedzająca ją blisko 150-letnia niewola materialnie tak wyniszczy kraj, że przez długie jeszcze lata po odzyskaniu niepodległości będzie on musiał leczyć swe rany w warunkach politycznie bardzo niekorzystnych, w warunkach wewnętrznego politycznego niedorozwoju i spowodowanego nim tarcia, a nawet otwartej walki o władzę i o jej formę, w warunkach otwartych pretensyj jego sąsiadów o ziemie polskie i spowodowanych tem olbrzymich wydatków wyniszczonego kraju na utrzymanie licznej armji, wyłącznie poświęconej obronie zdobytej niepodległości. W owe czasy nikt temi przewidywaniami się nie zajmował. Prowadząca naród do walki P. P. S.-owska inteligencja i pod względem rewolucyjnym czołowa warstwa narodu, robotnicy, walczyli przede wszystkim o polityczną jego wolność i ze wstrętem odrzucali wszelkie godzenie się z losem, wszelkie teorie wschodnich rynków zbytu, choćby upiększone neosłowiańską, a w istocie swej panrosyjską frazeologją. Podstawą naszej argumentacji była godność narodowa i rewolucyjna, która nie mogła w żaden sposób pogodzić myśli klasowego wyzwolenia z polityczną narodu niewolą. Poziom jednak historycznego wykształcenia inteligentów, był naogół niewysoki i nie mógł być w ówczesnych warunkach innym. Chciwie przeze mnie wówczas czytana historia ojczysta i powieści historyczne były wprawdzie zupełnie wystarczającą odtrutką na „kazionnyje” wykłady historii Rosji i stosunku jej do Polski, lecz lektura tych książek była zbyt chotyczna, aby mogła wytworzyć jasny i wykończony pogląd na kwestję niepodległości i stosunek tego postulatu do sprawy społecznego wyzwolenia robotników, robotnicy zaś przygoto-

wania naukowego nie mieli żadnego, a niskie zarobki, długi 10-ciogodzinny dzień pracy i brutalne często traktowanie ich przez administrację fabryczną stwarzały — zdawałoby się — grunt bardzo podatny dla jednostronnej propagandy czysto klasowego wyzwolenia.

Korzystali też z tego esdecy, którzy lwia część swej pracy poświęcali zwalczaniu postulatu niepodległości. Sosjaliści rosyjscy i niemieccy w większości zapomnieli już wówczas o poglądach na sprawę polską Marxa i Engelsa, którzy uznawali całkowicie prawo Polaków do niepodległości. Socjaliści rosyjscy i niemieccy sprawę tę w teoretycznych rozważaniach wówczas przeważnie pomijali, praktycznie zaś, choć prawie wcale nie przeciwstawiali się narodowemu uciskowi na ziemiach polskich i ukraińskich, to jednak w zwalczaniu P.P.S. za jej ówczesną walkę o własne narodowe państwo nigdy nie posuwali się tak daleko jak członkowie S.-D. K. P. i L. Nasi polscy esdecy wzięli na siebie wówczas smutną rolę denuncjowania P. P. S. o klasową nieprawomyślność przed Międzynarodówką i przed rosyjską i niemiecką Socjaldemokracją. Denuncjacje te spotykały się u socjalistów rosyjskich i niemieckich ze zdziwieniem, rzadziej ze wstrętem. W agitacji wewnętrznej przy omawianiu historii Polski nasi esdecy opierali się przeważnie na podobnej zupełnie argumentacji, jak osławione podręczniki Iłowajskiego i jemu podobnych rosyjskich, oficjalnych historyków. Oszczerstwa, rzucane na przeszłość narodu, przedstawianie kwestji poddaństwa włościan, jako wyłącznie polkoszlacheckiej instytucji, uwielbianie wszystkiego, co rosyjskie i niemieckie, wyłączne zwalczanie kleru i religii katolickiej przy zupełnym pomijaniu męczeńskiej ofiarnej roli księży w powstaniach polskich i haniebnej roli prawosławnego duchowieństwa w sprawie przymusowego nawracania unitów — oto cechy charakterystyczne agitacji S.-D. K. P. i L. w latach 1905 — 1907 i późniejszych, aż do chwili wybuchu wojny światowej.

Esdecy opierali się też przeważnie na elementach, narodowo zupełnie obojętnych, a nawet czasami wprost dla sprawy polskiej wrogich, spreparowanych już dla ich agitacji przez komisarzy włościańskich, niektórych zaprzkańców narodowych i przez prasę po polsku przez zaprzkańców tych drukowaną i dla moralnego utrwalenia rosyjskiego panowania w Polsce

przeznaczoną. Robotnicy, posiadający choć trochę historycznego przygotowania i godności narodowej, stronili od esdeków, natomiast tłumnie uczęszczali na nasze P. P. S-owskie zebra-
nia, na których ja obok zagadnień ekonomicznych wykladałem im historję polską i zwłaszcza historję porozbiorową. W wy-
kładach tych miałem całkowitą swobodę i oddawałem się im z ogromnem zamiłowaniem. Obok tej pracy czysto partyjnej uczyłem w tajnych kompletach szkolnych fizyki i matematyki. Kompletety te nie były wcale partyjne, utworzyła je miejscowa
patrijotyczna międzypartyjna inteligencja dla dzieci rosyjskich szkół średnich, które były pod bojkotem. Nacisku zresztą na dzieci nie wywieraliśmy prawie żadnego.

Zapał patrijotyczny i nienawiść do szkół rosyjskich były tak wielkie, że strejk szkolny wybuchł w Zagłębiu prawie spon-
tanicznie, pomimo pewnych represyj władz, które zatrzymały na kilka godzin zresztą tylko kilku bardziej krewkich chłop-
ców z młodszych klas, którzy oddziaływali fizycznie na nie-
licznych łamistrejków.

W październiku 1905 r. pojechałem wraz z bratem Leo-
nem do Warszawy, aby uregulować swe sprawy na politech-
nicę i naradzić się z kolegami w sprawie dalszego do niej sto-
sunku. Zostałem w Warszawie ruch niezwykły. Wszyscy mó-
wili o wypadkach w Rosji. Wkrótce później wybuchł strejk
powszechny — stanęły też koleje. Zdawało się nam, że dni pa-
nowania caratu są już policzone.

Stosunków politycznych i robotniczych w ówczesnej War-
szawie dobrze nie znałem, a intuicyjnie wyczuwałem, że wię-
cej się nadaję dla pracy P. P. S. w Zagłębiu. Dostać się tam
jednak nie mogłem z powodu przerwania ruchu kolejowego,
zwróciłem się więc do kierowniczych władz partyjnych z pro-
pozycją wyjazdu do Zagłębia na rowerze, oświadczając goto-
wość zabrania odezw i instrukcyj dla towarzyszy w Radomiu,
w Kielcach i w Zagłębiu. Takiej samej misji podjął się brat
Leon, który z bibułą pojechał statkiem do Płocka i Włocław-
ka; po spełnieniu swej misji Leon powrócił do Warszawy,
gdzie krótki czas pracował w stołecznej organizacji partyjnej.
Następnie, opatrzony obficie bibułą i ustnemi instrukcjami kie-
rowników stołecznej organizacji, Leon wyjechał, już po zli-
kwidowaniu strejku kolejowego, do Zagłębia, gdzie przeby-
wał czas jakiś, a następnie w końcu r. 1905 wraz z Iwiń-

skim pojechał do Częstochowy, skąd później wybrany został na VIII Zjazd partyjny do Lwowa, lecz przed samym wyjazdem aresztowany został na ulicy wraz z bojowcem Krakiem i Grützhändlerówną (pseudonim „Jaga”). Wszyscy trzej byli przytem strasznie pobici, a bicie trwało z przerwami kilka godzin. Leon bronił się na śledztwie tem, że przyjechał na hutę „Raków” w celu starania się o praktykę, jako student Politechniki Warszawskiej, czemu prowadzący śledztwo pułkownik żandarmerji Bielski uwierzył, choć między innymi pytał aresztowanych o agitatora P. P. S., noszącego pseudonim „Słaby”. Pseudonim ten właśnie należał do mego brata, o czym Bielski jeszcze wówczas nie wiedział. Poza podaniem swego adresu, prawdziwego nazwiska i rzekomego celu swego przyjazdu do Częstochowy, Leon innych zeznań odmówił, żądając kategorycznie ukarania policjantów, którzy go bili. Wrócił on do Zagłębia, a następnie wyjechał do Krakowa na partyjną szkołę agitacyjną, na której wówczas wykładał cały szereg wybitnych P. P. S-owców. Po 6 tygodniach Leon wrócił do Zagłębia i odrazu rzucił się w wir pracy politycznej.

Ja opuściłem Warszawę nazawsze z paczką bibuły. W mglisty jesienny dzień 1905 r. przyjechałem do Radomia w południe i natychmiast oddałem część odezw i instrukcyj miejscowych kierownikom organizacji, poczem udałem się na krótki odpoczynek do hotelu. Gdy po dwu godzinach jechałem przez Radom, kierując się dalej na Kielce, sklepy i zakłady przemysłowe już były zamknięte naskutek zarządzeń Radomskiej organizacji, która z piorunującą szybkością wykonała przywiezione przez mnie instrukcje C. K. R. Z takąż samą sprężystością wprowadziła w życie te instrukcje organizacja Kielecka, której wręczyłem je tegoż dnia wieczorem.

Po noclegu w Kielcach pojechałem dalej przez Miechów, Olkusz i Dąbrowę Górniczą do Sosnowca; jechałem co było tchu w piersiach i zajechałem wprost na olbrzymi wiec, odbywający się na pustym jeszcze wówczas, wielkim placu przed Szkołą Realną, do której przed czterema laty chodziłem. Z nieopisanym zapałem wskoczyłem na trybunę, z której właśnie przemawiał towarzysz P.P.S-owiec (o ile mnie pamięć nie myli, był nim ówczesny mój przyjaciel, Wincenty Markowski). Odczytałem instrukcję C. K. R., wzywającą do powszechnego

strejku, który wybuchł zresztą spontanicznie już przed moim przyjazdem; jednym z dalszych punktów instrukcji pozatem było wezwanie do uwalniania z więzień aresztowanych towarzyszy.

Wezwałem zgromadzony olbrzymi tłum do natychmiastowego marszu na więzienie powiatowe w Będzinie w celu uwolnienia więzionych tam towarzyszy, i pochód robotników ruszył w tym kierunku. W Środulce, koło przędzalni firmy C. G. Schön, zastąpili nam drogę kozacy z karabinami, gotowemi do strzału. Na ten widok dalsze szeregi naszego pochodu drgnęły i cofnęły się do bram fabryki i za linię kolejową. Ośmieleni tem kozacy rzucili się bez użycia karabinów z nahajami na nas, stojących w pierwszym szeregu. Dostałem nahajką w głowę. Okrwawiony, rzuciłem się do towarzyszy, nawołując do spokoju i stanowczości, kozacy czuli się jednak niepewnie i zadowolili się rozproszeniem tłumy, nie aresztując nikogo. Tak zaczął się nowy główny okres mej pracy w zagłębiowskiej organizacji P. P. S.

Okres ten obfitował w doniosłe wypadki na całym olbrzymim terytorjum byłego Imperjum. Wprawdzie powstanie w Moskwie upadło, i carat po chwilowem oszołomieniu zaczął bezwzględne represje, skierowane głównie przeciw Socjalistom-Rewolucjonistom, ale w byłym zaborze rosyjskim carat napotkał narazie tak wielką zorganizowaną siłę P.P.S., że nie wszędzie i nie odrazu zdecydował się na gwałtowne represje; szczególnie w Zagłębiu, gdzie stało mało wojska i gdzie ludność robotnicza oddawna już przez P. P. S. została zorganizowana, władze rosyjskie jakby zniknęły.

Policmajster Sosnowca Kronenberg pertraktował z nami w gmachu drukarni Jermułowicza, którą myśmy wówczas zajęli, i gdzie jawnie wychodził „Górnik”. Byłem wówczas sekretarzem Redakcji „Górnika” i pomagałem Iwińskiemu i innym „pisarzom” w technice. Pozatem po dawnemu biegałem z wiecu na wiec i stale obsługiwałem komitety kopalniane i fabryczne w swej dzielnicy. Nasze zarządzenie drukarnią Jermułowicza i jawne wydawanie „Górnika” wkrótce się jednak skończyło. Upredzono nas, że będziemy aresztowani, o ile się z drukarni Jermułowicza nie wyniesiemy, a próba oporu byłaby bezcelowa. Władze opanowały swój strach przed powszech-

na rewolucją, a partja nie miała jeszcze wówczas tak zorganizowanej siły zbrojnej, jak później, w lecie 1906 roku.

Wynieśliśmy się więc od Jermułowicza, zabierając tylko jedną maszynę drukarską, którą „technika” ustawiła w konspiracyjnym mieszkaniu, niedaleko naszego, u Herholdów. Naczelnikiem powiatu był już wówczas Mirbach, który zadowolony był z tem narazie, i kółkowe, a nawet wiecowe zebrania odbywały się dalej.

W tym okresie na czele organizacji w Zagłębiu stali już Markowski, Monic (pseud. „Eryk” i „Eugenjusz”), Dr. Nelken („Tytus”), Dr. Szymanowski („Franciszek”), Rutkiewicz („Wicek”) i cały szereg wyżej już wymienionych nielegalników i miejscowych mieszkańców. Wśród tych ostatnich w Sosnowcu duże techniczne usługi oddawał partji w lecie 1906 r. Ginsberg („Lutek”), u którego przemieszkivali okręgowi instruktorzy bojowi. Z instruktorów tych przebywali na zmianę w Zagłębiu poza Arciszewskim, Bobrowski Stanisław, Klempiński Jan („Zenon”), Prystor Aleksander (obecny minister, wówczas towarzysz „Rafał” lub „Bogdan”), Tor Stanisław („Felek”), Biernacki Wacław („Kostek”), Sosnkowski Kazimierz (obecny generał) i później już Dąbkowski Mieczysław („Paweł”), również obecnie generał, który w lecie 1906 roku był instruktorem na okręg Częstochowski, skąd wybrany został do C. K. R. Fr. Rew. Już w więzieniu Mokotowskim mówił mi Birzyszko, że i on tam przebywał pod pseudonimem „Konrad”. W lecie r. 1906 był też w Zagłębiu Okręgowy Instruktor bojowy Włodzimierz Momentowicz („Florek”), obecny radca M-stwa Przemysłu. Technika, to jest przechowywaniem i kolportażem bibuły wiosną 1906 roku kierowała Marja Reckierówna („Janka”), która przedtem pod pseudonimem „Małgorzata” pracowała w warszawskiej technice bojowej. Wyszła ona później zamaż za Kowala (pseud. „Hilary”), również członka Zagłębiowskiego Komitetu Robotniczego.

W lecie 1906 kierował techniką i drukarnią Roman Janota („Łukasz”), jeden z 3-ch braci, którzy cały czas niezamordowanie pracowali dla sprawy. Brat Romana — Walery Janota, mieszkał też przeważnie u nas, a najmłodszy z braci, Henryk Janota, przebywał na Rakowie pod Częstochową, gdzie rodzice Janotów mieli dom, który narówni z naszym mieszkaniem stale służył jako schronisko konspiracyjne dla agitatorów i bojow-

ców P.P.S. Henryk Janota dostał się wreszcie na katorgę, którą w strasznych warunkach (opisanych we wspomnieniach Jana Kwapińskiego) przecierpiał aż do roku 1917, to jest aż do wybuchu rosyjskiej rewolucji marcowej. Bracia Janotowie oddawali partji bardzo wielkie usługi; po wyspie Sankowskiego Roman Janota ocalał jeszcze drukarnię, choć mu się dosłownie ziemia paliła pod nogami. Walery wyjechał później do Liège, a następnie do Mons w Belgji, gdzie skończył Akademię Górniczą, i dziś jest znanym inżynierem górniczym.

Z robotników swą inteligencją, poświęceniem i usilną pracą odznaczali się w tym okresie bracia Łobzowscy — Ludwik, zwany „Brawurą”, i Franek, Budniewski („Kwadrat”), Gajek, Berger, Kania, Kapuścikówna i cały szereg innych. Wspominam tylko tych, z którymi bliżej współpracowałem i których zapamiętałem. Oczywiście było ich mnóstwo. Zapamiętać wszystkich nie mogłem, a takich, którzy swemi czynami, ukochaniem Ojczyzny i niezmordowaną pracą dla jej wyzwolenia wówczas się odznaczali, były setki. Ogół robotników w Zagłębiu, jak w całym kraju zresztą, idąc w ślady bohaterskich powstańców roku 1863, walczył wówczas z najazdem z takim zapałem i poświęceniem, że wzbudzało to podziw nawet u przedstawicieli władzy rosyjskiej.

Zmarły przed kilku laty w Ameryce adwokat Kułakowski, który wraz ze ś. p. Leonem Papieskim i obecnym naszym posłem w Moskwie, Stanisławem Patkiem, najczęściej bronił P.P. S-owców przed rosyjskimi sądami wojennymi, opowiadał nam już po swej ucieczce przed aresztowaniem we Lwowie takie przykłady nadludzkiej wprost odwagi i takiej bohaterskiej brawury bojowców dla sprawy niepodległości i wyzwolenia robotników, które śmiało można postawić obok czynów największych bohaterów nie tylko Polski, lecz i całej ludzkości.

Sam bojowcem nie byłem, choć spotykałem się z nimi często. Mieszkał też u nas w tym czasie okręgowy instruktor bojo-
wy na Zagłębie, Bobrowski ¹⁾, student IV kursu prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Inni podwładni mu bojowcy przychodzili często po broń i wskazówki; najlepiej zapamiętałem jednego z nich, z twarzą cherubinka. Chłopiec ten mógł mieć lat 18, a wyglądał jeszcze znacznie młodziej. Nazwiska jego sobie

¹⁾ Zmarł jako adwokat w Odesie.

nie przoypominaam — były one zresztą najczęściej zakonspirowane. Chłopiec ten mieszkał też przez czas pewien u nas i w tym właśnie czasie wykonał kilka niezwykle śmiałych i udanych zamachów na żandarmów i strażników. Raz go strażnicy zaaresztowali na ulicy, ale starszy z pośród nich kazał go puścić wolno, nie dając wiary, aby taki dzieciak mógł być bojowcem. W istocie był nim i to jednym z najgroźniejszych w zagłębiowskiej organizacji bojowej!

Brat mój Edward zauważył raz, jak młodzieniec ten wyrzynał coś na hebanowej ręczce browninga; nic mu nie mówiąc, obejrzał potem dokładnie browning, leżący na stoliku, i zauważył kilka dat, wrytych na ręczce — daty te były datami bardziej głośnych, udanych zamachów w Zagłębiu. Edward o nic go już potem nie pytał, lecz domyślił się wiele rzeczy. Bojowcy zresztą o tych sprawach nam, agitatorom, sami nie mówili — było im to zakazane. Raz tylko — pamiętam — przyszedł do nas ów młodzieniec i podniecony zaczął opowiadać, że spotkał na ulicy patrol z 4-ch kozaków, którymi dowodził strażnik. Były to już późniejsze czasy Stołypinowskich sądów polowych, i patrole te często rewidowały młodych ludzi na ulicy, poszukując u nich broni. Strażnik — opowiadał ów bojowiec — chwycił mnie odrazu za gardło i, krzycząc „dawaj browning”, sięgnął po niego do mojej kieszeni, jam go jednak uprzedził i, błyskawicznie dobywszy browninga, zabiłem na miejscu; kozacy stali opodal i dopiero po chwili zaczęli strzelać, widocznie oniemieli narazie z wrażenia — nie trafili mnie jednak, a tylko przestrelili palto. Uciekłem — zakończył swą krótką opowieść młodziutki bojowiec.

Wypadków takich było w praktyce organizacji bojowej mnóstwo. Przytomność umysłu, błyskawiczność decyzji i działania wyratowała niejednego bojowca od niechybnej — zdawało się — śmierci lub gorszej często od niej, długotrwałej katorgi. Już później, gdy w zimie 1907 siedziałem w fortach cytadeli, opowiadał mi jeden żołnierz z t. zw. Keksholmskiego pułku gwardji, który stał u nas warcie, analogiczną historję, która rozegrała się w Warszawie na placu Broni. Na placu tym spotkali dwaj patrolujący żołnierze samotnego bojowca, do którego z odległości kilkunastu kroków wymierzili z karabinów z okrzykiem „ruki wwierch”. Bojowiec zastosował się do żądania i podniósł obydwie ręce, gdy jednak żołnierze podeszli

blisko, z widocznym zamiarem zrewidowania go, bojowiec błyskawicznym ruchem wysunął trzymany za rękawem w górze browning i celnymi strzałami zabił obojgu żołnierzy, poczem uciekł. Gwardyjec z podziwem, graniczącym z zachwytem, opowiadał mi o tej tragicznej scenie, którą zdaleka obserwował. Fakty takie na pierwotne, lecz odważne natury żołnierzy rosyjskich działały bodaj bardziej uświadamiająco, niż praca naszych agitatorów, którzy ich coprawda do takiego pojmowania czynów bojowców przygotowywali.

Skoro już mowa o bojowcach, to wspomnę tu jeszcze o tragicznym losie rodziny bojowca Zygmunta (jest to nazwisko, imienia jego nie pamiętam). Zygmunt preparował bombę dla jakiegoś zamachu w swem mieszkaniu na Wygwizdowie (dzielnica Sosnowca). Był już późny wieczór, rodzina Zygmunta spała, gdy bomba wybuchła w ręku Zygmunta i zabiła mu całą rodzinę — matka, siostra i brat zabici zostali we śnie, a całe mieszkanie zrujnowane. On sam, choć ciężko poraniony, miał jeszcze tyle siły, że uciekł z mieszkania, do którego niebawem przyszła policja.

Zygmunt schronił się do mieszkania Bronisława Siwika, urzędnika w fabryce firmy W. Fitzner i K. Gamper. Siwik w takich wypadkach okazywał wyjątkową odwagę i poświęcenie, udzielając gościny nie tylko instruktorom bojowym, lecz i ranym w czasie akcji bojowcom. Mieszkanie Siwika znajdowało się jednak zbyt blisko mieszkania rewirowego, któremu dobrze było znane, przeniesiono więc Zygmunta do innego schronienia, gdzie jednak policja go odnalazła i wywiozła do piotrkowskiego więzienia gubernjalnego. Na śledztwie tłumaczył się, że bombę przygotowywał i wybuch jej spowodował jego zabity brat, sędzia śledczy zdawał się wierzyć temu i zgodził się wypuścić Zygmunta za kaucją 2.000 rubli.

Zygmuntowi w więzieniu nie chciały goić się rany, a wogóle tylko niezwykle silny organizm i atletyczna budowa jego uratowały go od śmierci, którą warunki więzienne mogły jednak spowodować. Wypuszczony z więzienia za kaucją, więcej się u sędziego śledczego nie pokazał.

Zamachów na policję i wojsko było w Zagłębiu, zwłaszcza w latach 1906 i 1907, mnóstwo; można liczyć je na setki.

W jednym wypadku też koło Sosnowca dwaj bojowcy, Szuwara i Kapałło zranili strażnika, który, leżąc już ranny, strze-

łał do nich jeszcze i ranił ciężko Szuwarę w brzuch, a Kapałę lekko w nogę. Obydwu przenieśli robotnicy do mieszkania Bronisława Siwika. Niebezpieczeństwo było wielkie, bo Szuwara z bólu strasznie jęczał i mógł być łatwo zauważony przez mieszkającego w pobliżu rewirowego. Być może, że ten tylko udawał, że nie słyszy i nie widzi. Obydwaj ranni — Szuwara był już prawie konający — doczekali się wkrótce lekarza, Dr. Pfabego, sprowadzonego przez Siwika. Zaczny Dr. Pfabę zrobił opatrunek, orzekł jednak, że Szuwarę nie da się ocalić, przewieziono go więc do szpitala. Szpitalem tym zarządzał wówczas Dr. Czajkowski, który, narażając się sam na aresztowanie (rannych już wszędzie policja szukała), przechował obydwóch w oddziale chorych na tyfus, licząc na to, że tam policja nie zajdzie. Nie przyszła też tam istotnie, choć w szpitalu wogóle policjanci byli. Po upływie tygodnia, wbrew przewidywaniom lekarzy, Szuwara był już na tyle silny, że można było przewieźć go do Czeladzi, skąd inżynier Czeczot (zmarły niedawno profesor Akademii Górniczej w Krakowie) odwiózł rannego w kopalnianej karecie na Śląsk, a w dalszym ciągu przewieziono go już koleją do Krakowa. Po roku Szuwara zjawiał się u Siwika, którego w międzyczasie, już po rozłamie, wybrano do Okręgowego Komitetu Frakcji Rewolucyjnej P. P. S., a wkrótce potem aresztowano i po 4-ro miesięcznym więzieniu wysłano w głąb Rosji. Szczęściem dla Siwika wyżsi urzędnicy policyjni i żandarmi nigdy się nie dowiedzieli, że mieszkanie jego w Sielcu przez kilka lat rewolucyjnych było schronieniem dla bojowców, przygotowujących zamachy i w akcji bojowej rannych. Siwik już później, w czasie wojny, był mężem zaufania P. P. S. Frakcji Rewolucyjnej w Petersburgu, gdzie wówczas mieszkał i gdzie znowuż udzielał serdecznej gościny P. P. S-owcom, między innymi zwolnionym w 1917 politycznym katorżanom.

Policja w Zagłębiu bojowców, a przez nich i nas się bała i, choć wiele rzeczy szeregowcy policji wiedzieli, to jednak, aż do przyjazdu do Zagłębia wraz z oficerami Warszawskiej Ochrony we wrześniu 1906 zdrajcy Sankowskiego, większych aresztowań wybitniejszych agitatorów i bojowców P.P.S. w Zagłębiu w tym czasie nie było. Ten strach policji przed naszą organizacją bojową spotęgowany był bliskością granicy pruskiej i austriackiej, za którą w razie potrzeby dość łatwo

można było się schronić, a z drugiej strony ta bliskość granicy ułatwiała zaopatrywanie w broń nie tylko bojowców, lecz i wielu bardzo zorganizowanych w P.P.S. robotników. Szczególniej na Niemcach (nazwa osady) i na Niwce mieli broń prawie wszyscy robotnicy, to też wyprawy policyjne do tych miejscowości były rzadkie, a te, które się jednak odbywały, często kończyły się śmiercią żołnierzy, policjantów i żandarmów.

Śmielej już sobie poczyniała policja w Będzinie. W tym mieście rzucono w lecie r. 1906 bombę, która zabiła naraz kilku policjantów. Na czas pewien poskromiło to ich gorliwość, podsycałą naprawdę przez władze powiatowe, mające siedzibę w Będzinie. Częstsze też, niż w Sosnowcu były aresztowania w Dąbrowie Górniczej, gdzie między innymi aresztowano drugi raz mego młodszego brata, Leona, który właśnie w tym czasie wrócił ze szkoły agitatorskiej w Krakowie i objął dzielnicę w Dąbrowie Górniczej. Było to w dniu 1 maja 1906 i po ulicach Dąbrowy krążyły gęsto patrole wojskowe. Leon miał rozwinąć na projektowanej demonstracji masowej czerwony sztandar. Idąc po ten sztandar, zamykał jakiś sklep, którego właściciel go za to zadenuncjował; został zaaresztowany i znowu przytem okropnie pobity. Policja pastwiła się nad nim, bijąc go po głowie lufą rewolweru. Wybito mu ząb i tak podbito oko, że pewien czas nic na nie nie widział. Odprowadzono go do naczelnika straży ziemskiej, gdzie kozacy bili więźniów gumowymi pałkami i jego też chcieli bić dalej, lecz ujął się za nim znajomy urzędnik Polak, Jaworski, którego syna przed kilku laty uczyłem matematyki i który przypadkowo w kancelarii naczelnika był obecny. Za wstawiennictwem Jaworskiego odstawiono Leona do więzienia powiatowego w Będzinie, skąd po 2-ech tygodniach przewieziono go w kajdanach na rękach do więzienia w Piotrkowie. Traf chciał, a może była to zorganizowana przez bojowców za bicie więźniów zemsta, że w czasie pobytu Leona w będzińskim więzieniu bojówka P. P. S. zabiła wszystkich policjantów, którzy bili jego i innych aresztowanych 1 maja 1906 r. P. P. S-owców. Powiedziałem też bratu na stacji, gdy go wprowadzono do odjeżdżającego do Piotrkowa pociągu, że za pobicie został pomszczony.

W więzieniu piotrkowskim sprawy Leona nie prowadził już Bielski, lecz inny oficer żandarmerji, który o poprzednim aresztowaniu Leona w Częstochowie nic nie wiedział. Było to

dla niego szczęście, bo w międzyczasie Bielski dowiedział się, że poszukiwany przezeń agitator „Słaby” był identyczny z Leonem Ringmanem. Leonowi poza zamykaniem sklepu w dniu 1 maja niczego nie udowodniono, i po miesiącu został uwolniony z więzienia piotrkowskiego na mocy amnestji, którą ogłoszono po zebraniu się Dumy Państwowej. Leon wrócił znów do Zagłębia, gdzie objął po mnie dzielnicę Niwkę. Jednak dwukrotne okropne pobicie, jakiego doznał podczas swych dwóch aresztowań, mocno nadwyrężyło jego zdrowie, zwłaszcza płuca. Zmuszony też był dla poratowania zdrowia wyjechać do Zakopanego, gdzie na dobitek złego ciężko rozchorował się na zapalenie płuc i blisko rok przebywał w Domu Zdrowia Bratniej Pomocy młodzieży akademickiej.

Represje bojowców po maju 1906 czas jakiś skutkowały, bo później wypadki znęcania się nad aresztowanymi były jednak rzadkie, wznowiły się one dopiero po krwawej środzie 15 sierpnia 1906, gdy Organizacja Bojowa P. P. S. w całym kraju zabiła kilkudziesięciu policjantów i żandarmów.

Represje Ochrony ułatwił bolesny dla bojowej organizacji P. P. S. fakt, że w szeregach jej znalazło się kilku zdrajców. Jednym z nich, który najwięcej partji i szczególnie jej organizacji bojowej dał się we znaki, był wspomniany już Sankowski. Sankowski był jakiś czas bojowcem w Zagłębiu Dąbrowskiem, znał wielu robotników-bojowców i bywał też w naszym mieszkaniu, a mnie pozatem znał z mej pracy agitacyjnej w kopalni Niwka, gdzie on sam w tym czasie był instruktorem bojowym.

Był piękny słoneczny dzień wrześniowy, gdy z okien mego mieszkania, wychodzących w kierunku stacji Nowy Będzin, zobaczyłem oddział kozaków, cwałujących koło stacji w stronę Sosnowca. Serce me ścisnęło jakieś straszne przecucie czegoś niedobrego, pobiegłem na stację i pierwszym pociągiem pojechałem do Sosnowca, gdzie już wiedziano, że z Warszawy przyjechał z „ochrannikami” Sankowski, który sypie. Gruchnęła też wieść, że zrobiono obławę na bojowców w osadzie Dańdówka za Sosnowcem; otoczono tam dom, w którym się zebrało 6-ciu bojowców, i ci się bronili. Dwóch z nich zabito na miejscu, a czterech strasznie pobitych aresztowano. Poszedłem na zwiady w stronę Dańdówki i wkrótce spotkałem wóz, na którym leżały ciała zabitych bojowców. Za wozem szło 4-ch are-

sztowanych, a cały ten tragiczny kondukt otaczało kilkudziesięciu kozaków z kilku oficerami kozackimi i żandarmskimi na czele. Bojowcy, acz strasznie pobici, szli hardo i dumnie spoglądali na przypadającą się pochodowi publiczność.

Cały dzień biegałem po znanych mi konspiracyjnych mieszkaniach, uprzedzając towarzyszy, aby pochowali broń i zniszczyli lub pochowali bibułę, a sami nie nocowali w domu — o własnym mieszkaniu jakoś w tym rozgardjaszu zapomniałem. Po południu byłem jeszcze na komitetach farbycznych w Sielcu. Gdy wreszcie wieczorem — było już zupełnie ciemno — wracałem do domu, schwycili mnie przed nim kozacy i zrewidowali. Była to epoka stołypinowskich sądów polowych i wzmożonych represyj. Rewizjom takim ja i moi bracia podlegali już przedtem kilka razy; myślałem, że i tym razem rewizja jest przypadkowa; gdy więc kozacy puścili mnie wolno, wszedłem do mieszkania, gdzie zastałem żandarmów, którzy aresztowali już mego starszego brata Edwarda. Żandarmi zasypali mnie natychmiast gradem pytań. Oficer żandarmski zwrócił się do mnie ze słowami: „pański pseudonim jest Olek?” Odpowiedziałem mu, że nie jest to pseudonim, lecz imię, bo tak mnie wszyscy w domu nazywają od imienia Aleksander, poczem dodałem: „niech pan spojrzy do paszportu, a przekona się pan o tem”. Żandarm zdziwiony przekonał się, że tak jest istotnie. Przemawiało to bardzo na moją korzyść, bo wszyscy wybitniejsi partyjnicy nosili pseudonimy, ja zaś jakoś wolałem zostać przy swym imieniu zdrobniałem i poza krótkotrwałym okresem, gdy po powrocie z zagranicy w roku 1907 przebywałem na zasadzie paszportu na nazwisko Drzewieckiego, nigdy ²⁾ nie używałem obcego nazwiska lub imienia; cała organizacja знаła mnie tylko jako „Olka”, okoliczność zaś, że ktoś w partji nosił pseudonim, zawsze bardzo obciążała aresztowanego.

Żandarmi znaleźli u nas moc starych odezów i kawałek starego szapirografu. Znaleźli też żelazną skrzynkę dla przechowywania broni, o której już wyżej pisałem. Widziałem, że ich mocno zaintrygowała, pytali się więc mnie, do czego służy. Ja już poprzednio im powiedziałem, żeby się nie trudzili pytaniami, bo nie będę na nie odpowiadał, odmówiłem też podpisania

²⁾ Po wojnie, jako publicysta używałem czasami nazwiska mej matki, Wasilewskiej z domu.

protokołu. Po godzinnem blisko pobycie żandarmi wyszli, zabiurając tylko mnie, brata Edwarda puścili narazie wolno; aresztowano go dopiero po roku. Brat Leon był już na kuracji w Zakopanem, a brat Pelagjusz miał wówczas lat 13 i aresztowany był dopiero w roku 1912 za sprawę spalenia portretu carskiego we Lwowie.

Na ulicy kozacy skępowali mi rzemieniem ręce i poprowadzili pieszo kilka kilometrów do więzienia w Będzinie; po drodze towarzyszył mi prócz szeregowców dońskich kozaków tylko jakiś ich podporucznik, żandarmi pojechali oddzielnie.

Dopiero później, siedząc już w cytadeli w Warszawie, dowiedziałem się od odwiedzającej mnie matki, że w czasie rewizji w naszym mieszkaniu był obecny także zdrajca Sankowski w przebraniu kozackiem. Ja go nie poznałem, poznał go Edward, którego Sankowski też znał, lecz, ponieważ Edward miał stałe zajęcie w fabryce W. Fitzner i K. Gamper, więc Sankowski o jego pracy partyjnej niewiele wiedział. Było to dla Edwarda wielkie szczęście, ponieważ on właśnie przechowywał broń i on kazał zrobić dla niej tę żelazną skrzynkę. Traf chciał, że skrzynka ta w dniu mego aresztowania była w mieszkaniu pusta, a kilka browningów Edward przechowywał w swem biurku w fabryce, w którym wówczas rewizji nie przeprowadzono.

Oficer kozacki, który mnie związanego odprowadził do więzienia, zachował się poprawnie. W mej celi więziennej w Będzinie zastałem 4-ch aresztowanych rano na Dańdówce i pobitych bojowców. Byli to szeregowcy, a ja znałem tylko tych wybitniejszych, których spotykałem w naszym lub w innym kospiracyjnym mieszkaniu. Chłopcy, choć strasznie pobici, nie byli wcale przygnębieni, przeciwnie, zachowywali się nad wyraz dzielnie.

Nazajutrz przewieziono nas, t. j. tych 4-ch bojowców i mnie w wagonie 3-ciej klasy do Warszawy. Przy każdym z nas postawiono po dwóch żołnierzy, i dowodzący oficer żandarmski uprzedził nas, że przy najmniejszym ruchu w kierunku okna, lub w razie najmniejszego alarmu z zewnątrz pociągu będziemy natychmiast rozstrzelani. Jak się później dowiedziałem, ostrzeżenie to nie było tylko formalnością, ponieważ bojowa organizacja Zagłębia istotnie miała zamiar odbić nas koło Zawiercia; nie wiem, dlaczego odstąpiono od tego zamiaru, który

coprawda prawdopodobnieby się nie udał z powodu zbyt licznego konwoju.

Koło Częstochowy wezwał mnie do swego przedziału II klasy dowodzący pułkownik żandermerji i zapytał mnie wprost, czy znam mych towarzyszy podróży. Odpowiedziałem mu całkiem szczerze, że nie znam wcale, bo tak było istotnie. Pułkownik mi na to odrzekł, że chłopcom tym grozi prawie pewne rozstrzelanie, ponieważ bronili się przy aresztowaniu wystrzałami z browningów. Ja — rzekł dalej żandarm — chciałbym ich od tego ocalić, niech pan im powie, żeby się tłumaczyli, że wystrzały, które się w izbie rozległy, gdy kozacy do niej zewnątrz nacierali, pochodziły stąd, że bojowcy rzucili naboje do ognia pod kuchnię, a ponieważ nikt z żołnierzy, ani oficerów nie został raniony, więc tłumaczenie to może być przyjęte z wiarą. Żandarm o nic więcej mnie nie pytał i kazał mi wracać do towarzyszy.

Powtórzyłem towarzyszom tę rozmowę, dodając jednak, że, znając sami najlepiej swą sytuację, niech ocenią, czy w słowach żandarma nie kryje się jakiś podstęp. Nazwiska tego żandarma i później się nie dowiedziałem, był to jednak — zdaje się — ten sam oficer żandarmerji, o którym później „Przedświt” pisał, że z wielką niechęcią odnosił się do podłej roboty prowokatorów.

Nie zdołałem już później dowiedzieć się, czy bojowcy ci skorzystali z tłumaczenia, poddanego im przez tego oficera, siedziałem z nimi jeszcze kilka dni w jednej celi więzienia w ratuszu warszawskim, dokąd nas wprost ze stacji przewieziono. Chłopcy w obliczu grożącego im sądu polowego zachowywali się wówczas wprost jak bohaterowie! Nie mogę i teraz bez wzruszenia myśleć, jak te młode chłopaki, dzieci robotniczego ludu, pozbawione prawie zupełnie nauki i wychowane nieomal w nędzy, z pogardą się odnosili do swych dozorców więziennych. Leżąc na pryczy lub chodząc po celi z zabandażowanymi głowami, śpiewali pomimo zakazu rewolucyjne pieśni. Po kilku dniach wywieziono ich zpowrotem do więzienia w Będzinie, gdzie ich w nocy chyłkiem, jak to zwykli robić carscy siepacze, rozstrzelano. Nazwisk, niestety, nie dowiedziałem się, lecz sądzę, że są one znane ówczesnej bojowej organizacji Zagłębia i pragnąłbym gorąco, by te słów kilka, które powyżej o ich bohaterskiem zachowaniu się skreśliłem, przyczyni-

niły się do zachowania we wdzięcznej pamięci rodaków nazwisk bohaterów, którzy z niesłychaną brawurą na męczeńską śmierć wówczas czekali.

W ratuszu warszawskim naczelnikiem więzienia, jak mi wówczas mówiono, był podobno książę Kurakin.

Ze znajomych w ciągu tych kilku dni siedzenia w więzieniu na ratuszu spotkałem tylko mego kolegę z sosnowieckiej szkoły realnej, Stanisława Kamockiego. Był on aresztowany jako bojowiec i groziła mu również kara śmierci. Ratując się przed nią, udawał z wielkim powodzeniem warjata, aczkolwiek powodzenie to okupił szyderczymi prześladowaniami ze strony strażników; przeniesiono go później do Tworek, gdzie przesiedział czas dłuższy i skąd wreszcie przy pomocy organizacji uciekł. Spotkałem go później we Lwowie na Politechnice, na którą obaj zapisaliśmy się. Pokazywał mi głęboką szramę na twarzy od rany, którą mu w więzieniu szpitalnym zadał drewnianym kołkiem jakiś prawdziwy warjat.

W ratuszu, po wywiezieniu bojowców do Zagłębia, siedziałem jeszcze tylko parę dni. Wywieziono mnie wraz z P.P.S-owcami Birżyszką, Czerniewskim, Młynarskim, Kajcem, Dyrzem i z kilku innymi, których nazwisk nie pamiętam, do więzienia mokotowskiego. Przyjął nas tam pomocnik naczelnika więzienia, Tatarow, o którym mi mówiono, że był bratem eserowca, znanego dobrze w P. P. S. pod pseudonimem „Książę”, który już przedtem był zabity, jako prowokator. Tatarow przyjął nas bardzo uprzejmie, choć z odcieniem lekkiej ironji. Czytając przy sprawdzaniu tożsamości więźniów nazwiska niektórych i widząc w aktach, że jedna i ta sama osoba zapisana jest pod kilkoma nazwiskami, Tatarow odezwał się ze śmiechem: „no, no, panowie, widocznie mam do czynienia ze starą szlachtą rodową, bo prawie każdy z was ma po dwa, trzy nazwiska”, poczem odesłał nas do jednej wspólnej celi; siedziało nas tam coś około dziesięciu wymienionych i kilku innych, których nie zapamiętałem.

Birżyszko (pseud. „Konrad”) i Dyrz byli bojowcami i spodziewali się skazania na śmierć za liczne czyny bojowe; spraw innych bojowców bliżej nie znałem. W Mokotowie, jeszcze przed sądem, który skazał go na 8 lat katorgi, zachowywał się Birżyszko bardzo dzielnie i z taką godnością, a nawet z taką wobec władz więziennych zuchwałością, że zyskał sobie tem

powszechne uznanie, a nawet podziw nas współwięźniów. Pamiętam raz wieczorem przyszedł do nas na „prowierku” drugi pomocnik naczelnika, w przeciwieństwie do Tatarowa bardzo surowy i szorstki; oczywiście wszedł w czapie. Birżyszko demonstracyjnie nałożył też czapkę na głowę, a na uwagę pomocnika, żeby nie był zuchwałym i czapkę zdjął, odpowiedział, że przedewszystkiem to powinien zrobić sam pomocnik, ponieważ znajduje się w gościnie u ludzi. Wściekły pomocnik kazał Birżyszkę natychmiast wyprowadzić do pojedynczej celi, co uważane było za karę. Zdaje się, że siedział też za to kilka dni w karcerze.

Grywałem z Birżyszką i z Dyrzem w szachy, zrobione z chleba. Dyrz, który z początku zachowywał się też bardzo dzielnie, począł stopniowo wpadać w jakieś tępe odrętwienie. Wzywano go często na śledztwo, a po każdym badaniu wracał strasznie przygnębiony. Opowiadał nam, że o wszystkich jego terrorystycznych napadach żandarmi wiedzą.

Dyrz mówił mi, że ma tych badań dosyć i że napisze list do Ochrany z przyznaniem się do wszystkiego, bo — jak twierdził — woli śmierć, niż takie długie inkwizycyjne śledztwo. Uspakajałem go wraz z Birżyszką, jak mogłem, i obydwaj prosiliśmy usilnie Dyrza, aby się trzymał twardo i do niczego się nie przyznawał. Dyrz powtarzał jednak uporczywie, że ma tego oczekiwania pewnego stryczka dosyć i przyzna się do wszystkiego. Czy do win własnych, a raczej do swej twardej służby w bojowej organizacji Dyrz się przyznał — tego się nigdy nie dowiedziałem, wkrótce jednak po tych jego zwierzeniach zabrali go do Ochrany z ratusza. Dowiedziałem się już później, gdy siedział w cytadeli, że Dyrz zaczął sypać bojowców, ratując się sam przed śmiercią na szubienicy. Był on obok Sankowskiego głównym świadkiem Ochrany w olbrzymiej sprawie 67-miu bojowców. Sam bojowcem nigdy nie byłem i dlatego o zachowaniu się Dyrza mogę tylko domyślać się, że należał do tych natur, które w otwartym starciu z rosyjskimi żandarmami i policją mogli się zdobyć nawet na wielką odwagę; czuli wówczas otuchę i pomoc ze strony innych bojowców. Gdy jej zabrakło i trzeba było pokazać największe bohaterstwo, na jakie młody człowiek musi się zdobyć, to jest bohaterstwo spokojnego i mężnego oczekiwania śmierci z wyroku carskich sędziów i siepaczy, którzy umyślnie z sądem i wyro-

kiem często zwlekali w celu ostatecznego moralnego złamania skazańca, to takie natury jak Dyrca nie wytrzymały próby. Dyrca się załamał i zginął później, zginął jednak nie w aureoli męczeństwa za wyzwolenie ojczyzny, lecz jako zdrajca, ukarany przez swych byłych towarzyszy bojowców. W ten sam sposób zginął i Sankowski, którego wraz z Dyrcelem zabili bojowcy w restauracji na placu Wareckim, dzisiejszym placu Napoleona. O zabójstwie tem dowiedziałem się już później na emigracji. Zdrajca Sankowski nagubił mnóstwo ludzi. Trudno tych wszystkich wymienić, którzy dzięki niemu zostali powieszani, rozstrzelani lub osądzeni na katorgę i administracyjne zesłanie. Był to chyba najstraszniejszy w skutkach swej zdrady członek tajnej organizacji, jakiego znały dzieje polskich organizacji rewolucyjnych. W skutkach, a nie sam przez się, bo Sankowski był jednak tylko nędznym, o bardzo słabej inteligencji człowiekiem, niezdolnym do takiej świadomej demonicznej działalności, jaką w wiekach średnich odznaczali się działacze inkwizycji lub współcześni nam czekiści w rodzaju Dzierżyńskiego, Petersa lub Menżyńskiego. Sankowski był tylko zdrajcą, który dlatego tak wiele szkód i krzywd swym byłym towarzyszom narobił, że zawiele wiedział. Pogardzali nim nawet sędziowie rosyjskiego sądu wojennego i ci żandarmi, którym ich podle rzemiosło nie zagaściło zupełnie iskierki szlachetniejszych uczuć.

Zdaniem mojem, zdrada takich ludzi, jak Dyrca, miała już inne przyczyny. Prócz niezdolności do dłuższego oporu wobec inkwizycyjnych metod władz moskiewskich, na Dyrca prawdopodobnie przygnębiająco wpływał zupełny brak moralnego oparcia bojowej organizacji w samym społeczeństwie. W mokotowskim więzieniu odbieraliśmy w tym czasie gazety; większość tych gazet z wyjątkiem „Gońca” nie miała żadnego zrozumienia dla bohaterskich wysiłków naszych bojowców, którzy może się mylili w ocenie swych sił, środków walki, jej metod, ale niewątpliwie z całym entuzjazmem i z głębokim przekonaniem uważali się — i takimi w mojem również przekonaniu byli — za spadkobierców ideowych dawnych żołnierzy Kościuszki i powstańców roku 1830, 1863. Takich przykładów bohaterstwa, jakiego dali Kopiś, Baron, Montwiłł - Mircki, Okrzeja, czterech bojowców, o których wyżej pisałem, i zapewne setki innych bezimiennych, bliżej mi nieznanym,

rzadko można spotkać w dziejach nietylko Polski, lecz i ludzkości. A tymczasem wysiłki bojowe tych bohaterów przyjmowane były przez całą prawie legalną prasę polską w najlepszym razie jako szkodliwy dla Polski romantyzm, a często nawet jako zwykły bandytyzm. Wiedzieli o tem siedzący w więzieniach i oczekujący często wyroków śmierci bojownicy o niepodległość Polski. U jednych ten stosunek wywoływał skurcz moralnych boleści, u innych pogardy, a u jeszcze innych przeżalenie, że napróżno walczyli, że słuszną zatem karę ponoszą. Od tego uczucia słusznosci ponoszonej kary był już tylko krok jeden do zrzucenia części odpowiedzialności na innych, chodzących jeszcze na wolności, bojowców i innych P. P. S-owskich działaczy. To były obok inkwizycyjnych sposobów śledczych i ślepego strachu przed szubienicą bardzo często ważne przyuczyny naradzania się zdrady, którą też w P. P. S. większe znacznie aresztowania spowodowała, niż wysiłki żandarmów i policjantów.

Ale wracam do swych wspomnień więziennych.

Zastanawiając się nad losem Birzyszki, którego za karę przeniesiono do „odinoczki”, i obserwując sposób życia innych więźniów, siedzących w tych pojedynczych celach, przyszedłem wkrótce do wniosku, że dla człowieka, chcącego umyślowo pracować, pobyt w „odinoczce” jest daleko znośniejszy, zwróciłem się więc do jednego z dozorców więziennych, który uchodził — słusznie, czy niesłusznie, tego się nie dowiedziałem — za P. P. S-owca, z prośbą aby mi doradził, jak się dostać do pawilonu „odinoczek”. Dozorca ten, który dostarczał nam nawet nielegalnej P. P. S-owskiej bibuły, odpowiedział mi, że, jeżeli o to przeniesienie poproszę, to mi napewno odmówią, i poradził mi, bym popełnił niezbyt wielką niesubordynację więzienną, bo za większą — dodał z uśmiechem — może się pan dostać do karceru na chleb i wodę. Najlepiej, niech pan rozmawia przez okno, ja o tem doniosę naczałstwu, to i pana do „odinoczki” przeniosą. Tak się też stało.

W „odinoczkach” poznałem naszą ówczesną arystokrację więzienną. Była nią przedewszystkiem trójka osądzonych już na katorgę bojowców: studenci Medard Downarowicz, Mieczysław Dąbkowski, Zygmunt Raczyński. Zachowanie się tej trójki imponowało nietylko nam, młodszej ich pod względem czasu siedzenia i przeżytych cierpień, braci, ale i straży więziennej.

Umieli oni odnosić się do naczalstwa z taką wyniosłą godnością z zachowaniem jednak umiaru, że zyskali sobie powszechny szacunek nawet kryminalistów i majtków zbuntowanych w Kronsztacie rosyjskich okrętów wojennych, którzy odsiadawali wówczas karę w więzieniu mokotowskim. Przykład tych więźniów był dla nas nowicjuszów dowodem, że nawet katorżanie mogą u władz carskich zasłużyć na szacunek i wzbudzić obawę przed karą za grubjańskie zachowanie się straży więziennej. Wzbudzało to otuchę, spotęgowaną wrażeniem, że dozorczy w rzeczywistości bardzo nas się bali, ponieważ ci z nich podówczas, zresztą nieliczni, którzy pozwalali sobie na nieludzkie traktowanie więźniów, bardzo często padali pod strzałami chodzących jeszcze na wolności bojowców. Downarowicz, Dąbkowski i Raczyński później, już po przewiezieniu mnie z Mokotowa do cytadeli, wysłani zostali do katorgi Aleksandrowskiej na Syberji. Podczas wspólnego pobytu naszego w „odinoczkach” mokotowskich komunikowałem się z trójką tą dość swobodnie, ponieważ cele nasze często były otwarte. Gdym wyjeżdżał do cytadeli, zakomunikowałem im, że jako niemiecki poddany, spodziewam się tylko bezpowrotnego zesłania zagranicę. Wiedziałem, że starała się o to, bez mojej woli zresztą, ale i bez sprzeciwu, moja rodzina. Na to jeden z „trójki”, Medard Downarowicz, krzyknął mi na odchodem: „no to wkrótce zobaczymy się we Lwowie”. Spojrzałem na jego strój katorżniczy ze smutnem niedowierzaniem. Po roku, czy półtora już przekonałem się, że Downarowicz nie rzucał słów tych na wiatr. Uciekł on wraz z Dąbkowskim z katorgi syberyjskiej i przyjechał do Lwowa, gdzie ja chodziłem już na Politechnikę i byłem w owe czasy członkiem Zarządu Sekcji Lwowskiej P. P. S. Frakcji Rewolucyjnej.

W więzieniu mokotowskim siedział m. i. wówczas też w „odinoczce” Teodor Mystkowski, który jako nauczyciel ludowy za udział w pracy agitacyjnej P. P. S. został aresztowany. Mystkowski pożyczał ode mnie książki naukowe, przeważnie z zakresu wyższej matematyki, którą ja, jako były student Politechniki Warszawskiej studjowałem, nosząc się z myślą kontynuowania nauki po wyjściu z więzienia. Mystkowski studjował ją też z wielkim zapamięłaniem i w rok później spotkałem się z nim też we Lwowie, gdzie mimo starszego już wieku i braku środków do życia zapisał się również na Politechnikę, którą

wkrótce ukończył. Później wyjechał do Francji i skończył drugi wydział elektrotechniczny w Grenoble. Dziś jest znanym inżynierem. Tak to praca w P. P. S., a nawet odsiadki za nią kary na silne i szlachetne natury działały zachęcająco do robienia kariery w szlachetnym tego słowa znaczeniu.

Z innych więźniów Mokotowa był powszechnie lubiany za niezmiernie miłe i wesołe obejście Król-Kaszubski, który później skończył medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie i w dniu wybuchu wojny wyruszył z strzelcami na pole ich śmiertelnych zmagania z Moskalami; Kaszubski zginął męczeńską śmiercią pod Tarnowem, powieszony przez Moskali, którzy w ten sposób realizowali znaną odezwę Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza i jego obietnicę „połączenia Polski wolnej w wierze, języku i samorządzie”.

Pobyt w Mokotowie w otoczeniu wyżej wymienionych ludzi nie był bynajmniej przykry. Miało się wtedy swe dwadzieścia kilka lat i płomienną wiarę w wyzwolenie Polski. Niepodległość Ojczyzny i walka o nią była też w dalszym ciągu osią naszych dyskusyj więziennych. W partji na tem tle gotował się rozłam. Jeszcze na wolności w Zagłębiu toczyły się te dyskusje bez końca między zwolennikami „młodych” i „starych”. Ja już wówczas zupełnie wyraźnie byłem ideowym zwolennikiem „starych”, choć osobista przyjaźń i dłuższy czas towarzyskiego i koleżeńskiego współżycia łączyły mnie raczej z lewicą P. P. S., która podświadomie ulegała argumentacji ideowej obydwu skrzydeł autonomistów: S-decji N-decji i coraz dalej odsuwała się od jasnego i stanowczego niepodległościowego programu, odkładając sprawę zupełnego politycznego wyzwolenia narodu i stworzenia niepodległej polskiej republiki do rozstrzygnięcia Konstytuanty.

W więzieniu ostatecznie skryształizował się mój pogląd na tę najważniejszą sprawę. Wprost pojąć nie mogłem, jak socjaliści, walcząc o wyzwolenie klasowe robotników polskich, zgodzić się mogą na polityczne ujarzmienie jednego z wielkich europejskich narodów, który w okresie swego tysiącletniego niepodległego bytu włożył olbrzymie zasoby do skarbnicy cywilizacyjnego dorobku ludzkości. Lewi ugodowcy, to jest s-decy, swoją nieznamość historii Polski i swój strach przed czynem ukrywali pod figowym listkiem wschodnich rynków zbytu i rzekomego wyzwolenia całej klasy robotniczej bez

względu na narodową niewolę. Prawi zaś ugodowcy — n-decy, pod płaszczykiem narodowych frazesów nawoływali bez zastrzeżeń do słowiańskiej solidarności, która w ówczesnych przedwojennych warunkach musiałaby w praktyce doprowadzić do zlania się polskiego ruczaju w słowiańsko - rosyjskiem morzu. To też, gdy wieść o rozłamie na IX zjeździe partyjnym dotarła do nas do cytadeli, gdzie wówczas już siedziałem; bez żadnego wahania oświadczyłem się za Rewolucyjną Frakcją P. P. S., jak zresztą większość nas, ówczesnych więźniów politycznych.

W cytadeli nie było tego spokoju, który w Mokotowie umożliwiał nam długie dyskusje i naukową nawet pracę. W jednej celi, a raczej w jednej podziemnej niszy siedziało nas po kilkunastu, a w przeciwieństwie do Mokotowa, gdzie było idealnie czysto, panował w więziennych fortach cytadeli straszny brud. Dokuczało nam też zimno, wilgoć. W Mokotowie większość więźniów składała się wprawdzie z kryminalistów, ale byli oni od nas politycznych przez samą administrację więzienną nie tylko fizycznie, ale nawet moralnie oddzieleni, w cytadeli przeciwnie ogromna większość była polityczna, ale składała się ona z najprzeróżniejszych obozów, było też sporo członków różnych bandyckich organizacyj. Było wśród nas też sporo ludzi wybitnych, byli i bojowcy P. P. S., ale gubili się oni w tym różnobarwnym tłumie.

Wartę mieliśmy teraz wyłącznie z żołnierzy warszawskiego garnizonu, najczęściej z 4-ch pułków gwardji, którymi dowodził zwykle jakiś podoficer; zachowywali się oni w czasie mego pobytu w cytadeli względnie przyzwoicie i po ludzku. Wdawałem się z nimi w dyskusje polityczne i uświadamiałem ich klasowo i historycznie, to samo robili inni więźniowie; kto wie, czy ten pobyt pułków gwardyjskich w cytadeli w charakterze naszych aniołów stróżów nie przyczynił się do stworzenia w nich rewolucyjnych idei i tradycji. W czasie rewolucji 1917 byli w tych pułkach inni już ludzie, ale — być może — że załązki organizacji, które w latach 1905 — 1909 utworzyła w tych pułkach Wojskowa Organizacja P. P. S., i nasza w cytadeli agitacja dały swój plon w czasie przewrotu w marcu 1917 roku. Ludzie przechodzą, ale idee nie giną.

Najbardziej podatni dla naszej rewolucyjnej propagandy i najbardziej ludzcy w obęjsiu z nami byli wówczas żołnie-

rze Keksholmskiego, czyli tak zwanego Austrjackiego Pułku Gwardji. Wdawałem się z żołnierzami tego pułku w długie polityczne i społeczne dyskusje, a sposobności miałem do tego wyjątkowe, ponieważ, ulegając swej ruchliwej naturze, po porozumieniu się ze współwięźniami fortu, zaproponowałem naczalstwu, które czasami do nas przychodziło, że sam będę gotował herbatę dla 100 przeszło mieszkańców naszego fortu; naczalstwo się zgodziło i w ten sposób zyskałem zajęcie wprowadzie dość uciążliwe, ale dające mi względną swobodę ruchów. Nie byłem już na dzień zamykany w celi, ponieważ cały prawie dzień paliłem pod dwoma olbrzymimi samowarami i roznosiłem towarzyszom niedoli herbatę. Miało to i tę dobrą stronę, że mogłem obrabiać dwóch pilnujących mnie specjalnie żołnierzy, którzy, obawiając się prowokacji, unikali jednak zbyt swobodnych rozmów z nieznaną sobie masą więźniów. Wówczas właśnie opowiedział mi żołnierz, jeden z tak zwan. „awstrijcew”, przy pilnowaniu samowaru powyższą historję o bojowcu, który zabił dwóch żołnierzy i który wzbudził w nim taki podziw; żołnierz ten proponował mi też ucieczkę. Była ona nawet z cytadeli możliwą. Opowiadano mi, że jeden z więźniów wymknął się wieczorem z prześcieradłem, którem się owinął i, czołgając się w śniegu, — była wówczas surowa zima 1906—7 — w ten sposób uciekł. Nie zdołałem później sprawdzić prawdziwości tej historji. Rozważałem na zimno propozycję „awstrijca”, o której też powiedziałem kilku bardziej zaufanym współwięźniom, lecz żołnierz ten później już nie przychodził, a mnie po kilku tygodniach wysłano zagranicę.

Miałem być wysłany wraz z kilkoma więźniami do Archangielskiej, albo do Wiackiej gubernji, tymczasem, dzięki staraniom rodziny, wstawił się za mną podobno u Skałłona konsul niemiecki, jako za pruskim poddanym, choć nie byłem nim już faktycznie, ponieważ nie odnowiłem paszportu i nie stawiłem się do pruskiego wojska. Należałem więc już do kategorii tak zwanych „inostrancew” bez bliższego określenia przynależności państwowej. Władze rosyjskie mogły mnie zatem wysłać administracyjnie, nie narażając się na interwencję dyplomacji niemieckiej. Interwencja ta, dzięki staraniom mej rodziny, jednak była i na skutek niej postanowiono wysłać mnie do Niemiec bez prawa powrotu kiedykolwiek do Imperjum Rosyjskiego; taki samowolny powrót groził mi już automatycznie zesłaniem na Syberję, jako niepoprawnemu włóczędze.

Przeniesiono mnie na razie do tak zwanej „pieresylnej” na Pradze, gdzie siedziałem jeszcze dwa dni z ówczesnym wybitnym P. P. S-owcem, Monicem. Była to postać ciekawa. Bardzo osobiście odważny, odznaczał się Monic („Eryk i „Eugenjusz”) też wielkimi zdolnościami oratorskimi, umiał dwu— a nawet czasami trzygodzinną mową wiecową przykuwać uwagę słuchaczy, nie męcząc ich, dzięki umiejętnemu wplataniu wesołych kawałów i anegdot.

Monic był wówczas przygnębiony upadkiem rewolucji i mówił mi, że prawdopodobnie tego upadku nie przeżyje. Istotnie po swej ucieczce z zesłania — był zesłany administracyjnie do gubernji Astrachańskiej — skończył życie samobójczym wystrzałem z browninga. Podobnie skończyli Drozdowicz, Kwiatek i niektóre inne wybitne w czasie rozkwitu rewolucji jej czołowe talenty. Obok szarzyzny życia męczyła ich często choroba — nie dożyli czasów niepodległej Polski, chociaż dla jej wolności bardzo dużo w latach 1905—1908 zrobili.

Z Pragi wysłano mnie, skutego z jednym P. P. S-owcem, do więzienia w Będzinie. W Będzinie przesiedziałem tylko jeden dzień, poczem wysłano mnie do Sosnowca, gdzie oddano w ręce policji pruskiej.

Po drodze pozwolono mi wstąpić w towarzystwie odprowadzających mnie policjantów do mieszkania rodziców we wsi Małobądź. Z nieopisanem wzruszeniem padłem w objęcia mej matki, która sama nigdy do P. P. S. nie należała, lecz która pierwsza nauczyła mnie kochać rewolucyjnie Polskę, która nie tylko nam, swym czterem uwięzionym w różnych czasach synom, lecz i wszystkim, bywającym w naszym domu, a podówczas bardzo licznym agitatorom i bojowcom P. P. S. okazała tyle cichych usług, tyle serdecznej przyjaźni. Staruszka do końca życia — umarła, mając lat 78 w roku 1927-mym — wspominała te czasy, gdy wszyscyśmy myśleli i walczyli o wyzwolenie Polski, choć nikt z nas podówczas nie myślał, że wyzwolenia tego się jeszcze sam doczeka.

Po półgodzinnem przebywaniu wśród najbliższych strażnicy odwieźli mnie do Sosnowca, gdzie już czekali pruscy policjanci, którzy odwieźli mnie do więzienia katowickiego. Przybyły tam komisarz policyjny zaczął krzyczeć, że u nich dłużej posiedzę za uchylenie się od służby wojskowej — okazało się, że matka ma naiwnie prosiła naczelnika powiatu będzińskiego, aby

mnie nie oddawał w ręce policji niemieckiej, bo ta mnie ukarze za niestawienie się do wojska, naczelnik zaś nietylko mnie wydał, lecz o dobrodusznej prośbie mej matki zaraportował pruskiemu komisarzowi.

Na szczęście dla mnie policja pruska działała niezwykle sprężyście. W ciągu jednego dnia zapytano telegraficznie o moje personalja niemieckiego konsula w Warszawie i magistrat miasta Zielona Góra (Grünberg) na Śląsku Dolnym, skąd przed przeszło 100 laty przesiedlił się do byłej Kongresówki mój dziadek ze strony ojca, i jeszcze przed upływem doby katowicka policja miała już telegraficzne odpowiedzi na swe zapytania.

Powiedziano mi, abym się z Prus wynosił, bo władze pruskie nie uważają mnie już za swego obywatela i nie pozwalają nawet na krótki pobyt mój w Prusach, wyjechałem więc z Katowic do Zakopanego, gdzie, jak już o tem wspominałem, leczył się w Domu Zdrowia Bratniej Pomocy mój brat Leon.

Pobyt mój w sanatorjum pod opieką zacnych Doktorostwa Kuczewskich, którzy serdecznie opiekowali się byłymi więźniami, należy do najprzyjemniejszych wspomnień mego życia. Przebywał w tem sanatorjum wówczas i brat Marszałka Piłsudskiego — Bronisław, dawny długoletni katorżanin, zesłany na Sachalin za sprawę zamachu na cara Aleksandra III.

Pomimo tak miłych stosunków wśród gór, które stały się mem największem umiłowaniem, tęskniłem do pracy partyjnej w Zagłębiu, wyjechałem więc najpierw do Tęczynka pod Krakowem, gdzie była wówczas mała kolonja emigrantów P. S. S-owskich, a stąd do Zagłębia Dąbrowskiego. Zamieszkanie u rodziców w Małobądziu było niemożliwem, zbyt dobrze znała mnie tam policja, mieszkałem więc jakiś czas w willi Basiuła w lesie koło Ząbkowic i zacząłem chodzić na kółkowe zebrania robotnicze. Wnet poczułem deptanie szpicli po piętach, policja już dowiedziała się o moim nielegalnym powrocie z Galicji i trzeba było uciekać. Wyjechałem najprzód do Warszawy, skąd skierowano mnie do Jaktorowa do zamieszkania u Kunowskiego (pseudonim „Kornel”), późniejszego Ministra Pracy i Opieki Społecznej. Po krótkotrwałym pobycie u pp. Kunowskich wyjechałem z powrotem do Zagłębia, gdzie jednak utrzymać się dla mnie było niepodobieństwem, trzeba było też myśleć o zarobkowaniu na życie, bo ciężarem dla partji być nie chciałem i nigdy też nie byłem. W powozie, danym mi z kopalni Saturn,

przez Czeladź udałem się więc z powrotem do Galicji, skąd po włączeniu do Tatrach z Sulkwiczem („Michał”, „Tatar”, który później zginął w Legjonach), Landym i kilkoma innymi towarzyszami z Frakcji Rewolucyjnej P. P. S. wyjechałem do Leoben z zamiarem zapisania się na Akademię Górniczą.

Zatęskniłem jednak za krajem i powróciłem do Lwowa, gdzie zapisałem się na Politechnikę, biorąc jednocześnie żywy udział we wszystkich prawie pracach Sekcji Lwowskiej Frakcji Rewolucyjnej P. P. S. Między innymi, byłem szereg lat członkiem Zarządu tej sekcji i głównym kolporterem wydawnictw partji na Wschodnią Galicję, byłem też na emigracji członkiem Komitetu Organizacyjnego prowadzenia dalszego strejku szkolnego w zaborze rosyjskim.

Z czasów pobytu w Galicji (1907 — 1914) najmilszym mojem wspomnieniem jest jednodniowy strejk demonstracyjny młodzieży szkół akademickich we Lwowie. Byłem inicjatorem tego strejku i przewodniczącym Komitetu Strejkowego. Powodem tej żywiołowej demonstracji młodzieży było aresztowanie przez policję austriacką kilku członków Związku Walki Czynnej w Krakowie, którzy zamieszani byli też w robotę bójową na terenie Kongresówki i którym groziło wydanie żandarmerji rosyjskiej. Do demonstracji tej przyczynił się też zakaz obchodu jubileuszu sędziwego już wówczas Bolesława Limanowskiego. Strejk udał się w zupełności. Bardzo tylko nieliczni profesorowie uniwersytetu i politechniki we Lwowie mu się przeciwstawiali, w rezultacie jednak, dzięki współdziałaniu władz partyjnych P. P. S. D. Galicji i Śląska, władze aresztowanych wypuściły i na obchód jubileuszu Limanowskiego zezwoliły.

W czasie mego pobytu we Lwowie aresztowany został w grudniu 1907 mój starszy brat Edward. Cud był to doprawdy, że tak długo po mojem i brata Leona aresztowaniu on go do tego czasu uniknął. Może dlatego, że wówczas agitacją się nie trudnił, oddając natomiast P. P. S. duże usługi natury technicznej, to jest w przechowywaniu broni i bibuły oraz w podtrzymywaniu ducha wśród robotników fabryki W. Fitzner i K. Gamper, gdzie jako urzędnik pracował. I jego po kilku miesiącach uwolniła z więzienia interwencja niemieckiego konsula w Warszawie, choć i on w owe czasy niemieckim poddanym faktycznie już nie był. Edwarda również pod strażą odstawiono do grani-

cy, nie wydano go jednak władzom pruskim i pozwolono mu jechać wprost do Krakowa, gdzie zamieszkał u nieżyjącego już przyjaciela naszej rodziny, Meduskiego, ojca zesłanego na katorgę bojowca Dobiesława Meduskiego i młodszego jego brata Emila, który jako członek Związku Walki Czynnej też był aresztowany w Krakowie w liczbie tych młodych chłopców, o których uwolnienie walczyliśmy we Lwowie strejkami akademickimi. Edward z powodu rozwijającej się u niego choroby piersiowej udał się później dla ratowania zdrowia do Zakopanego, gdzie zamieszkał. Po wybuchu wojny światowej wstąpił na początku sierpnia 1914 do Legjonów i służył w 5-tym pułku w charakterze sierżanta pod obecnym generałem Berbeckim. Po wojnie Edward wstąpił na służbę państwową w M-stwie Apropowizacji. Rzucił ją jednak wkrótce, ponieważ rozwijająca się gruźlica zmusiła go do powrotu do Zakopanego. Zmarł w domu rodziców w Dąbrowie Górniczej w r. 1924.

Najmłodszego mega brata, Pelagjusza, ominęło aresztowanie aż do roku 1912-go, ponieważ w latach rewolucyjnych był on jeszcze prawie dzieckiem. Przed aresztowaniem przyjechał do mnie do Lwowa, gdzie brał udział w demonstracji studenckiej z powodu oderwania Chełmszczyzny. Widocznie zauważyli go wówczas szpicle, bo po powrocie do Zagłębia został aresztowany i oskarżony o udział we wspomnianej demonstracji oraz o spalenie portretu carskiego pod pomnikiem Mickiewicza we Lwowie. Uprosiłem pana Lewickiego, sędziego lwowskiego, u którego z bratem Pelagjuszem wówczas mieszkałem, by pojechał do Sosnowca i tam złożył żandarmerji zeznanie, że we Lwowie w tym czasie mieszkałem tylko ja, a Pelagjusza tam wcale nie było. Prosiłem też p. Lewickiego, aby w razie potrzeby mnie przypisał spalenie portretu. Szlachetny p. Lewicki natychmiast prośbie mojej uczynił zadość, wyjechał do Sosnowca, a siostra moja Julja udała się aż do Petersburga, gdzie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych wyjednała zwolnienie Pelagjusza, który umarł w roku 1913-tym w Lipsku, jako student tamtejszej Akademii Handlowej.

Wyjeżdżałem w ciągu 7-miu lat politycznej emigracji w Galicji kilka razy — zawsze oczywiście nielegalnie — do Kongresówki i do Rosji. Ostatni raz wyjechałem w marcu roku 1914-go do rodziny żony, która mieszkała w Carycynie

nad Wołgą³⁾. W Carycynie znów aresztowano mnie w 1914. Miałem przy sobie starą matrykę konsularną do niemieckiego paszportu i zameldowałem się pod własnym nazwiskiem, licząc na to, że przy pomocy stosunków rodziny żony władze nie zwrócą zbyt wiele uwagi na moją przeszłość. Zapytanie władz w Warszawie groziło mi ciężką karą, ponieważ, prócz samowolnego powrotu i dawnych spraw politycznych, groziła mi odpowiedzialność za moją pracę w P. P. S. — Frakcji Rewolucyjnej we Lwowie. Na posiedzenia Lwowskiej Sekcji tej Frakcji przychodził bowiem i zdrajca Sukiennik, który znał mnie dobrze, a poza tym żandarmerja i mnie mieszała do sprawy spalania carskiego portretu, choć ani ja, ani brat Pelagjusz czynnego udziału w tej demonstracji nie braliśmy.

Na szczęście dla mnie policja w Carycynie aresztowała mnie tylko jako pruskiego poddanego, wzbudzającego podejrzenie tem, że nie stawiał się na wezwanie do ewidencji w chwili wybuchu wojny. Nie stawiałem się zaś dlatego, że z chwilą wybuchu wojny starałem się o jakiś nielegalny rosyjski paszport (za swoim niemieckim podróżować po Rosji w czasie wojny nie mogłem) na cudze nazwisko. Miałem bowiem zamiar za tym paszportem wyjechać na front i przedostać się tam do Legionów.

Niestety, nie udało się to. Po 2-tygodniowym siedzeniu w więzieniu carycyńskim zostałem wysłany na głuchą wieś do gubernji Wiackiej, dokąd dobrowolnie towarzyszyła mi żona, która już w czasie mego pobytu we Lwowie studjowała tam na uniwersytecie i również brała udział we wszystkich pracach P. P. S. Frakcji Rewolucyjnej.

Podróż do gubernji Wiackiej odbyłem początkowo Wołgą na luksusowym statku pod opieką tylko jednego strażnika, a od Bogorodska gorszym już statkiem Kamą i Wiatką. Tą samą drogą wróciłem po rocznym zesłaniu na skutek starań Polskiej Organizacji Pomocy Ofiarom Wojny do Carycyna, gdzie pozostawałem pod nadzorem policji aż do wybuchu rewolucji rosyjskiej. Byłem w tym czasie najprzód sekretarzem, później prezesem Patronatu nad jeńcami wojennymi i cywilnymi i w tym

³⁾ Ojciec żony, Kajetan Godziemba-Ryży, był z rodzicami, braćmi i siostrami zesłany przez Murawjewa - Wieszatiela do gubernji Permskiej, skąd pozwoli mu później wyjechać na południe Rosji.

charakterze dwukrotnie jeździłem do Moskwy i do Petersburga w celu wyjednania dla masowo ginących od głodu i chłodu naszych jeńców pomocy w postaci pieniędzy, odzieży i obuwia. Tam spotkałem starych towarzyszy — Bronisława Siwika i zwolnionych wówczas przez rewolucję z katorgi Aleksandra Prystora i Kazimierza Pużaka, obecnego posła.

Pomoc udało mi się uzyskać, zdobyłem też za ich pośrednictwem dla kilkudziesięciu Polaków paszporty, które po wybuchu bolszewickiej rewolucji wydawały już polskie organizacje w Moskwie i Petersburgu. Paszporty te, wbrew zakazowi bolszewickich władz w Carycynie, rozdawałem potajemnie między wojennych jeńców, wśród których była i grupa legjonistów: Komaniecki (obecny pułkownik), Zorn, Poruszyński, Marjan Szreter, Michoń - Czerwiński i inni, których nazwisk nie zapamiętałem.

Wszelkimi dostępnymi środkami ułatwiałem jeńcom ucieczkę z koszar i życie na wolności i byłem za tę działalność kilkakrotnie denuncjowany. Za to i za artykuł w „Echu Polskim”, wydawanem w czasach już bolszewickich przez pana Aleksandra Lednickiego, późniejszego przedstawiciela Rady Regencyjnej przy rządzie bolszewickim, groziło mi znów areztowanie. W artykule tym zająłem wyraźne stanowisko niemieszania się emigracji polskiej i jeńców do wewnętrznych walk rosyjskich i wzywałem do zachowania dla Polski wszystkich sił i środków Polaków, w Rosji mieszkających.

W biurze swem — byłem wówczas inżynierem na miejskiej stacji elektrycznej — i w mieszkaniu urządziłem rodzaj poradni dla jeńców-Polaków, podstępnie lub wprost przymusowo zapisywanych, jako rzekomo ochotników do czerwonej gwardji, która wówczas właśnie toczyła krwawe walki w pobliżu Carycyna z kozakami generała Krasnowa.

Skorzystałem z momentu, gdy kozacy podeszli pod Sareptę, leżącą o 30 kilometrów na południe od Carycyna, i uciekłem do tego miasta na łyżwach po zamarznętej Wołdze. Z Sarepty przedostałem się przez Noworosyjsk morzem do Odesy i stąd przez ówczesny front polsko-ukraiński w lutym 1919 wróciłem do Polski.

Przeznaczenie nie pozwoliło mi walczyć w Legjonach o wyzwolenie Polski podczas wojny światowej. Przeboleiałem to moralnie bardzo i pobyt w Rosji w tym okresie był właśnie z tego

powodu dla mnie moralnie znacznie przykrzejszy, niż pobyt w więzieniach Kongresówki, choć w Rosji poza krótkotrwałym więzieniem w Carycynie cieszyłem się nawet na zesłaniu względną wolnością ruchów.

Najbardziej mnie męczył moralnie radosny stosunek większości miejscowych Polaków do prawdziwych i rzekomych zwycięstw rosyjskich w Galicji. Stosunek ten jednak był rezultatem dłuższego oderwania się od kraju i źródeł niepodległościowej literatury, oraz karmienia się wiadomościami z prasy rosyjskiej, lub nie mniej od niej „prawomyślnej” rusofilskiej prasy polskiej. Trzeba jednak przyznać, że, mimo swego rusofilskiego nastawienia, kolonja polska w większości wydatnie pomagała jeńcom Polakom, a były i takie rodziny, jak p.p. Józefowiczów i Okszewskich, które otaczały przede wszystkim serdeczną opieką tych właśnie jeńców-Polaków, którzy nie ukrywali swego wrogięgo do Rosji stosunku.

Rzuciłem bez wahania dobrą posadę w naftowej firmie „Nobel”, gdy dyrekcja jej kazała mi robić rysunki granatów dla armji rosyjskiej. Dwa lata byłem z tego powodu bez żadnego płatnego zajęcia, bo gdzie się zwróciłem, jako inżynier, o pracę, wszędzie mi proponowano korzystne nawet zajęcie z warunkiem jednak pracy dla armji, ponieważ w tym czasie już wszystkie zakłady przemysłowe wyrabiały da niej broń, tabor lub umundurowanie. Jakże strasznie zazdrościłem wówczas swym dawnym kolegom z P. P. S. i ze Związku Walki Czynnej, którym przypadł zaszczyt walczyć o wolność Ojczyzny w latach wojny światowej. Dzięki wyrokowi losu jednak mogłem dostąpić tego zaszczytu służenia w Armji Niepodległej Polski dopiero w tragicznych dniach lipcowych roku 1920-go.

EUGENJUSZ AJNENKIEL
(Łódź).

„Z KURZEM KRWI BRATNIEJ“

Walki bratobójcze w okresie lat Rewolucji 1905—7 roku są najbardziej bolesnym wspomnieniem owych „górných i chmurnych” dni polskich zmagañ o wolność. „Łódź, ta ojczyzna ubogich, ta stolica proletariatu polskiego i kolebka polskiego bohaterstwa”, — stała się polem, na którym słały się pokotem ofiary tych walk. I tu jest to niebo i piekło zarazem, gdzie, „jak zwykle w stosunkach między ludźmi, są i kanałje obok bohaterów, podłość obok wzniosłości”. Bo Łódź — to miasto „jakby w welon żałobny spowite, a drwiące ze śmierci”, — jak określił je Bartkiewicz.

Ruch rewolucyjny, w czasie którego bój o wolność doszedł do najwyższego napięcia, rozpoczął się w Łodzi powszechnym strejkim politycznym w styczniu 1905. Strejk ten czyni wrażenie zerwania tamy, przy której przez lata całe zatrzymywała się energja ludowa. Jak przez zerwaną tamę woda, tak poprzez ten strejk powszechny rozlały się po Łodzi szeroką falą strejki, trwające nieustannie przez lat kilka. W każdej fabryce, w każdym warsztacie pracy strejki powtarzały się raz po raz: to polityczny, to ekonomiczny, protestacyjny i t. p. Dla przykładu przytoczę, iż w drugim półroczu 1906 w Łodzi, normalnie, codzien niemal, strejkowało 2.000 robotników¹⁾.

Strejki te wybuchały nawet tam, gdzie się ich najmniej spodziewano i gdzie solidarność robotników napotykała na największe przeszkody²⁾. „Zjawisko to da się łatwo wytłuma-

¹⁾ „Sprawozdanie z IX Kongresu P. P. S.” — Kraków 1907.

²⁾ Nawet narodowi demokraci, choć zwalczałi akcję strejkową, kiedy, chcąc opanować masy robotnicze przez stworzony w tym celu N. Z. R.,

czyć: przed rewolucją proletarjat nasz znajdował się w stanie zupełnego bezprawia; każda wspólna obrona interesów traktowana była i przez rząd i przez kapitalistów, jako przestępstwo, gdy zatem rozluźnił się nieco ucisk rządowy, wprost od ruchowo rzucono się do powetowania sobie tych długich lat nędzy i upokorzenia". Akcje te jednak były niezorganizowane i pozostawały bez przemyślanego przewodnictwa; a działo się to dlatego, że proletarjat nie posiadał wówczas żadnej wypróbowanej organizacji zawodowej; ruch zawodowy jeszcze w następnych latach był w powijakach. A jednak strejki te odegrały niemałą rolę przy wszczynaniu t. zw. walk bratobójczych.

W początkowych fazach rewolucji P. P. S. pociągała za sobą wszystkie żywiej czujące części społeczeństwa i swą silną wolą dyktowała całemu ogółowi nakazy działania. To, oczywiście, podniecało ruchliwość i innych stronnictw politycznych, których siły wzrastały w zamęcie rewolucyjnym. Rozpoczęło się wzajemne licytowanie i bezapelacyjne przyswajanie praw do jedyne go przewodnictwa nad rzeszami robotniczymi. O prym pod tym względem walczyły przedewszystkiem Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy i Narodowa Demokracja.

Początek rewolucji był czasem, w którym partje skrajne posiadały silną organizację i wywierały znaczny wpływ na masy robotnicze. Walk bratobójczych wtedy nie było. Jednak już pod koniec 1905, a jeszcze bardziej z początkiem 1906 uwidoczniła się silny pęd do opanowania wrzenia rewolucyjnego ze strony Narodowej Demokracji. Mistrz Narodowej Demokracji, Roman Dmowski, w listopadzie 1905, w czasie owych „dni wolnościowych”, zobowiązywał się uspokoić Królestwo Polskie, jeśli jego stronnictwo otrzyma władzę lub choćby pozory tej władzy³⁾. Dążąc w tym kierunku, Narodowa Demo-

weszli do fabryk, musieli strejki organizować i popierać, a Chrześcijańska Demokracja, mówiąca o bezwzględnej szkodliwości strejków, pod wpływem ogarniętych przez siebie robotników, sama — choć niedołącznie i niechętnie — poczęła strejki urządzać. Bowiem przy zetknięciu się z realnymi potrzebami życia robotniczego musiano uznać strejk, jako broń niezbędną.

³⁾ Art. „Truciele duszy narodowej” w „Myśli Niepodległej” Nr. 16 z lutego 1907 r.; art. „Narodowa Demokracja” w „Trybunie” Nr. 2, Kraków, listopad 1906; broszura „N. D. w pierwszej Dumie” — napisał Arosz, Warszawa 1907.

kracja poczęła przedstawiać rewolucję jako obłąd, który może „narodowo zdemoralizować lud i uczynić go obojętnym i nieczułym w stosunku do zadań narodowych”. Przytem wskazywała, że ruch ten, „kierowany przez żywioły niepolskie, żydowskie i niemieckie, w części swej świadomie, w części nieświadomie niszczył ekonomicznie Kongresówkę, działając na szkodę narodu... a na korzyść przemysłu niemieckiego”⁴⁾. W akcji tej na przeszkodzie N. D. stawała P. P. S., która ze swym programem niepodległościowym nie mogła wyglądać na „agentów niemieckich”, lecz i w tym wypadku N. D. „propagowała wśród robotników, że P. P. S., bez wyjątku, jest partją nie narodową”, zaś oni, ugodowcy, są narodowi w stu procentach⁵⁾. N. D. pragnęła uchodzić za przedstawicielkę całego narodu. Ujawniało się bardzo niedwuznacznie pragnienie ogarnięcia ruchu robotniczego i umieszczenia go pod swemi skrzydłami opiekuńczemi, zwłaszcza wtedy, kiedy ruch wolnościowy ujawnił wielkie znaczenie polityczne ruchu robotniczego. Pragnąc te wpływy uzyskać, trzeba było wnieść do wielkiej rodziny robotników — nienawiść, później zaś na tym gruncie wykazać swą jedność i spistość. Trudnem jednakże było złączyć bezpośrednio razem fabrykantów i robotników, kapitalistów i proletarjat — stworzono więc rzekomo samodzielny „Narodowy Związek Robotniczy”, który w sprawach ekonomicznych miał być niezależnym, we wszystkich zaś kwestjach politycznych stosować się miał do programu i taktyki narodo-demokratycznej⁶⁾. N. Z. R. utworzony został przez N. D., bowiem potrzebowała ona siły fizycznej robotników⁷⁾. W tym celu demoralizowano N. Z. R. przez używanie jego członków do tłumienia wolności słowa na zgromadzeniach wyborczych. „Policyjny duch, tłumienie swobodnego rozwoju i samodzielności, wszystko, co charakteryzuje zarząd stronnictwa N. D., przejawia się w dążeniach zarządu N. Z. R.”⁸⁾. N. D. postano-

⁴⁾ Józef Petrycki „Roman Dmowski”, Warszawa 1920, str. 23.

⁵⁾ „Naród a Państwo”, pismo pod redakcją Wł. Studnickiego, — Warszawa 1907.

⁶⁾ „Narodowy Związek Robotniczy” — Wiedza tom I rok 1908, str. 679; „Zarys Dziejów Narodowego Związku Robotniczego” — Niepodległość, zeszyt 6, Warszawa 1930.

⁷⁾ Odezwa Tymczasowego Komitetu Frakcji Niepodległościowej N. Z. R. — rok 1908.

⁸⁾ „Naród a Państwo” — Warszawa 1907.



Waryńscy.
(1882)



Bronisław Lubicz - Jankowski.



Wiesława Sieroszevska.



Jan Drozdowski.

Do artykułu E. Brzezińskiego.



Józef Stankiewicz.



Witolda Rechniewska.



Tadeusz Rechniewski.



Tadeusz Rechniewski.

Do artykułu L. Krzywickiego.

wiła przeciwstawić obłudowi rewolucyjnemu (jak go nazywała) — „pozytywny program narodowy i wokół niego skupić to wszystko, co mu służyć chciało, a innych nawet siłą zmusić do posłuszeństwa”... z ruchem zaś „anarchistycznym walczyć czynnie” postanawiając⁹⁾. Ta czynna walka poczęła pochłaniać ofiary ludzkie. Sposobność nadarzyła się przy wyborach do Dumy. W dniu 25 lutego 1906 w Warszawie na wiecu N. D. zastrzelony został robotnik Kornacki, w samym zaś dniu wyborów do Dumy (25 kwietnia 1906) w różnych punktach miasta Warszawy ginie kilku robotników-socjalistów.

P. P. S. bojkutowała te wybory. S.-D. K. P. i L. też wzywała do bojkotu. N. D. wzywała do czynnego udziału w wyborach. I powód do walki gotów. W Łodzi na niedzielę 18 marca 1906 N. D. zwołała wiec przy ul. Wodnej. Esdecy pragnęli dostać się na wiec, na który ich jednak nie dopuszczono. Gromadzących się robotników powstrzymywało wojsko i kozacy. Rozpoczęła się bójka, padły strzały. Walka uliczna trwała parę godzin. Wychodzącego mówcę endeckiego, Morsztynkiewicza, robotnicy obrzucili wyzwiskami; widząc groźne miny, wyciągnął rewolwer. Robotnicy rzucili się wówczas na niego i poturbowali go. Policja i kozacy rozpędzili tłum. Wobec poturbowania socjalistów przez (także ochraniających wiec) sokołów, robotnicy w poniedziałek w fabryce „Hirszberg i Wilczyński” rozbili ich. Część z nich dotkliwie pobito. Jak morowe powietrze, przeszło to na inne fabryki¹⁰⁾. To do pewnego stopnia rozzuchwaliło esdeków i spowodowało walkę z pepeesowcami, których uznawano za zbyt narodowych. Walka ta wynikła na tle strejków, tak wówczas powszednich. Na dzień 10 maja 1906 P. P. S. wezwała do strejku. S.-D. postanowiła temu przeciwdziałać. Gdy do fabryki Starka przybyli agitatorzy P. P. S., pracujący tam esdecy warsztatów nie opuścili, przeszkadzając jednocześnie wiecowaniu. Powstała kłótnia, potem strzały i krew robotników obryzgała maszyny¹¹⁾. Z tych dwóch faktów wynika rola N. D. i S.-D. K. P. i L. w początkach walk bratobójczych. Lecz P. P. S. szybko likwidowała ten stan podraż-

⁹⁾ Józef Petrycki „Roman Dmowski” — Warszawa 1920, str. 23 i 25.

¹⁰⁾ „Czerwony Sztandar” — organ S. D. K. P. i L. Nr. 57—26 marca 1906, cytowany u Rzewskiego w „Walki bratobójcze w Łodzi” — Express dziennik łódzki — 1924 — Łódź.

¹¹⁾ „Robotnik”, Nr. 103 z 27 maja 1906, cytowany u Rzewskiego.

nienia, wiedząc, że on może „jeszcze większy rozłam wznieść w szeregach robotniczych, a to nie leży w interesie socjalizmu i klasy robotniczej”. Nastąpiło chwilowe uspokojenie, lecz tego nie chciała N. D. „N. Z. R. przeciwstawił się energicznie prądowi rewolucyjnemu w Polsce” — podkreśla historyk N. Z. R-u, p. K. Dębiec. A czynił on to wślad za kierownictwem Narodowej Demokracji. N. D. i N. Z. R. dążyły do walki z „rwącą falą moskiewskiej rewolucji, zasad i doktryn socjalistyczno-międzynarodowych..., postawienie mocnej tamy temu mętnemu zalewowi fal, rozkładu życia i ducha narodu było rzeczą i kwestją dalszego naszego egzystowania... i zostało przez obóz narodowy pomyślnie dokonane”¹²⁾. W pierwszym rządzie N. Z. R., jako grupa, opierająca się na robotnikach, postanowiła przeciwdziałać strejkom. Zrazu słabo, a w miarę rozbijania się jednościami klasy robotniczej i jej wewnętrznych szarpań — coraz jawniej i coraz silniej. Wyłamywano się z pod solidarnego wystąpienia robotników tej czy innej fabryki, zmuszając swym postępowaniem do liczenia się z niem, a jeszcze częściej zmuszając do ostrego wystąpienia strejkujących robotników przeciw łamistrajkom. Pod tą presją opuszczano jednak fabryki. I tu należy szukać powodów do wyrzucania narodowców z fabryk.

Od początku r. 1906 zdarzały się wypadki, że robotnicy jednej partii żądali wydalenia robotników, do innej partii należących — za złamania solidarności robotniczej. Tem przeciwstawieniem się strejkom „narodowcy” (tak nazywano enzyeterowców) wypełniali nakazane zgóry postępowanie: „osłabić siły rewolucji”. „Antistrejkowe ich wystąpienia miały dowieść, że wszechwładztwo socjalistów zostało poderwane i niebawem będzie musiało ustąpić”¹³⁾. Do tego celu poczęto przeciw siłą rozpędu, nie bacząc na krwawe ofiary. Do walki podniecały artykuły ówczesnej prasy narodowo-demokratycznej. Z osłabieniem sił socjalistycznych wzmacniała się agresywność N. D., której wpływy (jak też i Ch. D.) w Łodzi wzrosły do niebywalej poprzednio siły. Zdecydowano więc z rąk socjalistów wyrwać przewodnictwo i „uspokoić” rewolucję.

Wzrost tych wpływów należy sobie tłumaczyć tem, że

¹²⁾ „Kiliński” — organ N. Z. R. Nr. 4 z 1907.

¹³⁾ Jeremski — „Bratobójcy” — strona 67.

N. D. swą akcją „w obronie polskośći” pozyskała dużo ludzi. Dopomogło jej serdeczne współzycie z władzami rosyjskimi fabrykantów łódzkich, w przeważającej większości Niemców i żydów¹⁴). Szczególnie to ostatnie było łatwym argumentem agitacyjnym N. Z. R-u, bowiem kazało nieuświadomionym robotnikom wierzyć, że nędzy ich są winni właśnie ci Niemcy i żydzi — dlatego, że są tej narodowości. Z tego też powodu walki bratobójcze doszły do najsilniejszego napięcia w Łodzi, gdzie narodowcy rozwinęli największą kampanję pod hasłem walki z żydami i Niemcami oraz „ich parobkami-socjalistami”. Znamienne jednak pomogła im w tem polityka antypolska „Socjaldemokracji”, która wśród niemieckich robotników uzyskała dość znaczne wpływy. Nie bez znaczenia było i osłabienie sił P. P. S., w której rozpoczęły się tarcia wewnętrzne, doprowadzające w końcu tę silną organizację do rozłamu. Ogólne, a bardzo dogodne warunki wzajemnych waśni i rozdrażnień wśród szeregów robotniczych stwarzały „utrata wiary w zwycięstwo rewolucji, ciężki stan ekonomiczny kraju, wzrastanie liczby szpiegów, rozluźnienie karbów organizacyjnych, uprawianie metod prowokacji i podszczuwanie przez żandarmerję oraz walki religijne i partyjne wśród robotników”¹⁵).

Dnia 4 października 1906 w Łodzi, z powodu wyroków Sądu Wojennego nad rewolucjonistami, socjaliści wezwali robotników do strejku powszechnego, który trwał 4 dni. Narodowcy w poszczególnych fabrykach zażądali wówczas od socjalistów zwrotu pieniędzy, straconych jako zarobek z powodu tego strejku. Jednak tego od socjalistów otrzymać nie mogli i nie otrzymali. Wtedy to narodowcy oświadczyli, że z tych fabryk, gdzie w większości są narodowcy, należy socjalistów usunąć. Na tem tle powstał zatarg w fabryce „Gampe i Albrecht” na Wólczańskiej. Robotników-socjalistów nie chciano wpuścić do fabryki. Było to 8 października. Przybywający robotnicy zażądali wpuszczenia ich do fabryki. Stojący w oknach robotnicy endeccy żądaniu temu odmówili. Robotnicy, zebrani na ulicy, oświadczyli, że nie odejdą, że do fabryki wejdą. Rozpo-

¹⁴) Henryk M(iller) „Ostatnie godziny” — „Łodzianin” Nr. 17 (818) z 1.V.1931.

¹⁵) „Walki bratobójcze w Łodzi z r. 1906” Al. Rzewski, artykuły w „Expressie”, rok 1924.

częła się kłótliva wymiana zdań, w końcu której z okien fabrycznych i z dołu posypały się strzały brauningowe. W wyniku strzelaniny — kilku rannych. Na wieść o tem socjaliści w fabryce Kona wyrzucili narodowców, w odpowiedzi na to w fabryce Birnbauma narodowcy wyrzucili socjalistów. Walka rozgorzała. Wtedy to S.-D. K. P. i L. wydała odezwę, kończącą się słowami: „szpicel na ulicy, a endek w fabryce to jedno”. A na ulicach Łodzi raz po raz padały ofiary. W sprawy te wdały się organizacje polityczne i, chociaż nie bez trudu, przywrócili zgodę. Typową z tego okresu jest uchwała konferencji przedstawicieli fabrycznych różnych partyj, którą podała ówczesna prasa w październiku 1906. Postanowiono tam „przyjmując z powrotem do pracy wszystkich endeków, usuniętych z fabryk przez stronników przeciwnych partyj..., partje podają sobie ręce i dają słowo, że zaniechają raz na zawsze walk partyjnych i że zobowiążą swych przedstawicieli do niewyglaszania w fabrykach mów podburzających”. Dni te były pierwszą próbą gremjalnego wystąpienia narodowców i to przegraną próbą. Socjaliści byli jeszcze silni.

Uchwała powyższa i inne nie mogły zupełnie zażegnać rozchukanych namiętności, ale je bądź co bądź łagodziły i przyczyniły się do czasowego uspokojenia. Jednak zarzewie tlało. W fabryce „Gampe i Albrecht” odbywał się wiec. Mówcy, tak socjalista, jak i narodowiec, zaciętrzewili się. Sala podzieliła się na dwie części, złowrogo na siebie patrzące. Chwila, a walka wybuchnie. Lecz niedawno podjęte uchwały działały jednak. Jeden z bojowców P. P. S. zaproponował narodowcom, by, zaniechawszy bójki, wybrali z pośród siebie jednego, który gotów byłby bić się z nim. Po krótkiej naradzie wyrażono zgodę i wybrano jako broń mauzery. Na polance poza fabryką odbyło się spotkanie tegoż bojowca z narodowcem o nazwisku Dąder, który, jako wyzwany, strzelał pierwszy. Chybił. Następny strzelał bojowiec; nie chcąc zabić narodowca, postrzelił mu nogę. To jednak wywołało bójkę, z której bojowcy wycofali się. Bito się butelkami, kijami, czem kto mógł. Poważniejszych ran, poza Dądrem, bijący się nie ponieśli. W następnym dniu zwołany przez P. P. S. wiec doprowadził znów do jakiego takiego spokoju.

Z powtarzających się walk cieszyła się policja rosyjska. Wzajemne te mordy i bójki wzbudzały w niej usprawiedliwio-

ną i cichą nadzieję, że rewolucjoniści i narodowcy sami się wymordują, że Polacy sami krwią własną ugaszą pożar, przez siebie wzniesiony. Rewolucjoniści, bijąc się z narodowcami, zapominali o policji, która swobodniej poczęła oddychać.

Narodowcy wysuwają na swą obronę, że pierwszą ofiarą walk bratobójczych był członek N. Z. R. — Bezyngier, którego zabił esdek. Jednak zabójstwo to dokonane zostało w takich okolicznościach, jakie istniały przed rewolucją i jakie istnieją do dziś dnia. Bezyngier z gronem robotników pił w knajpie. Wśród obecnych prowadzono dyskusję, oczywiście, polityczną. Wypity w nadmiernej ilości alkohol, w niepięknych słowach wypowiedane zdania pod adresem tej, czy innej partji, doprowadziły do kłótni, która zakończyła się morderstwem po wyjściu biesiadników z knajpy. Lecz tego nie można nawet porównywać z później toczoną walką, obmyślaną a zaciekłą.

Faktycznym początkiem regularnych walk bratobójczych jest napad, dokonany na księdza marjawickiego, Skolimowskiego, w drugiej połowie listopada 1906. Napad ten dokonany został przez narodowców i t. zw. później chrześcijańskich demokratów, a powstał na podłożu ostrej naganki, prowadzonej przez kler katolicki przeciw marjawitom. W obronie marjawickiego księdza stanęli robotnicy-marjawici. Podczas starcia kilku marjawitów-socjalistów zamordowano, kilku raniono, zaś ks. Skolimowski został ranny. Był to więc zatarg na tle religijnem, nic wspólnego z tą lub inną ideologją polityczną nie mający¹⁶⁾. Zbiegiem okoliczności katolicy byli narodowcami,

¹⁶⁾ Przy pisaniu niniejszego szkicu przypomniał mi się pogrzeb jednej z ofiar walk bratobójczych w 1907. Zastrzelony został syn dozorca (nazwiska nie pamiętam) domu, mieszczącego się przy ul. Benedykta Nr. 51. Był socjalistą, a ojciec jego enzeterowcem. Na pogrzeb przyniesiono dwa krzyże: z kościoła katolickiego (na żądanie ojca zabitego) i z kościoła marjawickiego (zabity był marjawitą). Przed samym wymarszem konduktu pogrzebowego powstał wśród zebranych gorący spór: który krzyż ma uczestniczyć w pogrzebie. Uczestnicy pogrzebu podzielili się na dwie wrogie grupy. Spór groził walką. Ponieważ nieboszczyk należał do milicji P.P.S., na pogrzeb towarzysza przybyły dwie piątki bojowe. Instruktor tychże, widząc gorącą awanturę, po porozumieniu się z towarzyszami oświadczył zebranym, że zdecydował, iż krzyż katolicki będzie niesiony przed karawanem, a marjawicki za karawanem, poczem pójdzie rodzina i uczestnicy pogrzebu. Podniosły się protesty jednej i drugiej strony. Wobec jednak groźnej postawy bojowców—ucichły. Dzięki takiemu postawieniu sprawy uniknięto grożącej lada chwili walki, i pogrzeb odbył się spokojnie.

a marjawici — socjalistami (byli to i P. P. S-owcy, w większości jednak esdecy), których trupem padło siedmiu, rannych zaś sześciu.

Ten napad i walka stanowią punkt zwrotny w okresie bratobójczej rzezi. Wieść o nich szybko rozniosła się po mieście. Najrozmaiciej komentowano ją. Wzywano do odwetu. Silnym ośrodkiem marjawityzmu było przedmieście Łodzi — Bałuty. Tam też nazajutrz napadnięto na „narodowy” sklep spółdzielczy. To grupa marjawitów, oburzona napaścią i powodowana zemstą, wzięła odwet. Wystarczyło to jednak, by znów przedmieścia robotnicze zelektryzować wieścią: „socjaliści mordują narodowców — rozbijają spółdzielnie”.

Rozpoczęło się podjudzanie jednej strony przeciw drugiej. Rozpoczęta akcja toczyła się silnym pędem. Dzięki cichemu poparciu władz rosyjskich, przyniosła ona sporo niewinnych ofiar. Władze rosyjskie uznawały walki bratobójcze jako znany i wypróbowany środek tłumienia buntu. Już w r. 1892 zastosowały go, używając w tym celu t. zw. „pobytowych” oraz lumpenproletariatu przedmieść. W czasie rewolucji buntujący się sami między sobą „rznęli się, jak cielęta”. No, bo Łódź podatnym ku temu była terenem. Miasto o małej kulturze, zamieszkałe przez Polaków, Niemców i Żydów; w masach robotniczych panowała wszechwładnie ciemnota; codzienna walka o nędzny kawałek chleba tworzyła psychikę grozy i rozpacz. Na takim to gruncie pleniła się pełna tragizmu walka bratobójcza.

Walki bratobójcze miały dwa silne okresy: pierwszy — od napadu na księdza marjawickiego do grudnia 1906, drugi — od końca marca do 24 kwietnia 1907. Na okres blisko 3 miesięcy napięcie ich spadło z powodu groźnej wieści, że fabrykanci ogłosili lokaut z dniem 29 grudnia 1906, wyrzucając i skazując na śmierć głodową 100.000 ludzi.

Tak więc od listopada 1906 Łódź była widownią nieustających mordów. „Zabójstwa te — pisze „Łodzianin”¹⁷⁾ — nosiły charakter jednakowy: bandy sokolskie napadały na mieszkania lub też na przechodzących socjalistów i mordowały ich. że walki te były organizowane, najlepszym dowodem jest, że zmieniały one miejsce i rzadko jednocześnie odbywały się

¹⁷⁾ „Łodzianin” Nr. 30 z 22 lutego 1907.

w kilku punktach miasta. Możemy nawet wykazać krwawą marszrutę tych band sokolskich: z początku operowały w okolicach Chojen i szosy Pabjanickiej, Górnego Rynku i ul. Zakrzewskiej, później przeniosły się na Widzewską, Fabryczną, Targową, później w okolicach Wysokiej, Wodnej, Miedzianej, aż wreszcie przeniosły się na Bałuty, na ul. Drewnowską i Dworską, gdzie bodaj padło najwięcej ofiar. Ciemne bandy najemnych morderców były kierowane jakąś niewidzialną ręką...”

Lokaut, rozpoczęty przez łódzkich fabrykantów, przerwał na krótki czas walki bratobójcze. Lecz wtedy uwydatniła się rola, jaką odegrała w tej akcji t. zw. prasa narodowa, umieszczając cały szereg artykułów, wzywających wcale niedwuznacznie robotników do dokonywania mordów nad socjalistami. Wyjątki cytuję: „Otrzeźwienie nastąpiło dopiero wtedy, gdy robotnik, szarpany nędzą, zażąda rachunku od agitatorów i wygna z Łodzi krzewicieli anarchji” („Kurjer Warszawski” z 28 grudnia 1906). „Teroryzowana masa... przedewszystkiem stratuje tych, co ją na manowce kierowali” („Kurjer Warszawski” z 6 stycznia 1907). „Inaczej zaczną się w Łodzi takie walki, takie rzezie, o jakich kraj nasz cywilizowany nie sły­szał, i robotnicy polscy, zamiast, aby dziś stanowczo się tym agitatorom przeciwstawić, jutro zmuszeni będą walczyć z nimi na noże, aby zachować wprost swe życie, które agitatorzy owi zniszczą z taką brutalnością, z jaką dziś niszczą mienie i dobrobyt robotnika polskiego” („Goniec” z 28 grudnia 1906). Zaś nieoficjalny organ N. D. „Gazeta Polska”, z 29 grudnia zgóry przewiduje: „...zrozpaczony robotnik zwróci się przeciw swoim prowodyrom”. A któż są ci prowodyrzy? O tem pisze w innym numerze ¹⁸⁾: „Nie można pozwolić, by socjaliści bałamucili i prowadzili do zguby nieświadomych i obalamuconych. Przeciw zbrodniczej agitacji podżegaczy socjalistycznych należy stanowczo wystąpić, chociażby wypadło gwałt gwałtem odcisnąć; robotnicy winni na terror odpowiedzieć terorem; chociażby ceną krwi własnej i bratniej wyswobodzić się z tej ohydnej niewoli, w jakiej od dwóch lat trzymają ich socjaliści”.

A plon tych zasiewów dziennikarskich kładł się na ulicach

¹⁸⁾ „Gazeta Polska” Nr. 75 z 17 marca 1907 w artykule „Walka czy abdykacja”.

Łodzi, jak żyto koszone. Mord socjalistów na Zarzewiu potwierdza to. „Gdy skutkiem podniesienia się solidarności robotniczej żywiołowe walki ustały i trudno było organizować pojedyncze napady, bo nie znajdowano po temu „amatorów”, postanowiono zaniechać tej „partyzantki” skrytobójstw i wyprawić socjalistom jedną krwawą łaźnię”. Sposobność ku temu szybko się nadarzyła. Do przechodzących ulicą Miljonową dwóch pepeesowców, Józwiaka i Frontczaka, dano cały szereg strażów, pozbawiając ich życia. Uczyniła to bojówka narodowa, ukryta w kooperatywie „sokolskiej”, mieszczącej się na rogu ulicy Miljonowej i Grabowej. W odwet za to na w pobliżu leżącej ulicy zabity został enzeterowiec Konarzewski. Trzy te ofiary chowano w jednym dniu. Pogrzeb narodowy przybył do kościoła św. Anny i stąd odprowadzony został przez księdza na cmentarz na Zarzewie (pod Łodzią). Później przed ten sam kościół przybyły trumny zamordowanych socjalistów, a to na skutek specjalnej prośby rodziny, która chciała t. zw. pokropku przed kościołem. Kilku organizatorów udało się w stronę plebanji, do księdza, z prośbą o wyjście i dokonanie pokropku nad obiema trumnami. Znajdujący się na plebanji ks. Wyrzykowski delegacji do siebie nie dopuścił a żądaniu jej odmówił. Już w czasie zbliżania się konduktu pogrzebowego do kościoła uczestników pogrzebu prowokowano okrzykami: „precz z żydowskimi parobkami”, „precz z psami”, „do rynsztoka z nimi!”. To podjudzanie i odmowa pokropku spowodowały, iż organizatorzy i uczestnicy pogrzebu zażądali po raz wtóry przybycia ukrytego na plebanji księdza i dokonania obrządku religijnego. Wybrano delegację, która znów zwróciła się do plebanji, otoczonej drewnianym płotem. Furtkę zastali zamkniętą. Nie wpuszczono ich. Nastąpiły wyzwiska, za płotem bowiem i na wieży kościelnej znajdowali się bojowcy narodowi pod dowództwem enzeterowca Ludwika Denysa¹⁹⁾. Rozległ się strzał. Na ten sygnał tak z za płotu, jak i z wieży

¹⁹⁾ Ludwik Denys, komendant bojówek N. Z. R., działających na jednej czwartej części m. Łodzi, na t. zw. Chojnach, górnej dzielnicy i Szlezyngu, własnoręcznie zabił kilkunastu socjalistów. Po zakończeniu rewolucji urządzał napady bandyckie; pochwycony na jednym z napadów, skazany został w 1912 na 4 lata katorgi. W czasie wojny światowej zbiegł z więzienia, uprawiając nadal zawód bandycki. W roku 1919 w czasie napadu bandyckiego w Moszczenicy został zabity w walce z policją polską.

posypały się strzały. Stojący na dole odpowiedzieli. Wszczęła się panika. Bezbronny tłum rzucił się do ucieczki, lecz strzały padały nadal... Gdy zamilkły, rozległy się tylko jęki rannych i konających. Przybyłe wojsko i kozacy aresztowali każdego, kto wpadł pod rękę. Ks. Wyrzykowski opuścił dom Boży, wsiadł w karetę i, otoczony swymi bojowcami, odjechał z placu boju, na którym pozostało 8 zabitych, 15 ciężko rannych i około 30 lekko rannych. Liczba ta w istocie jest o wiele wyższa, gdyż, kto tylko mógł, unikał „kontroli”. Wszyscy poszkodowani, z wyjątkiem jednego, są to uczestnicy pogrzebu socjalistycznego. Wymowa tych cyfr jest tak straszna, że „Rozwój”²⁰⁾, stojący blisko N. D. i Ch. D. i lubiący zwałać wszystko na socjalistów, tym razem się na to nie odważył, mówił tylko, że nie można dojść tego, kto jest winnym. Fakt ten jest najbardziej znamienym”²¹⁾).

Walki bratobójcze przeobraziły się w boje, pełne zasadzek. Nikt nie był pewny, czy z pracy wróci i czy wogóle żyć będzie. Była w tem wszystkim, co rozgrywało się w Łodzi, pewna planowość i systematyczność, jakaś sprężyna, jakaś ręka, ukryta wówczas złowrogo w ciemnościach, lecz kierująca wypadkami, a nadająca im ton i charakter oraz mająca w przelewaniu „krwi bratniej” swój własny interes.

Lansowano pogłoski, że socjaliści są niechętni, a nawet nienawidzą spółdzielczości (!?) i sklepy spółdzielcze rozbijają; że rozpoczęli walkę pierwsi celem niedopuszczenia do ukończenia lokautu. Rozszerzano w Łodzi pogłoskę, że żydzi-felczery na Bałutach zajmują się zatrutowaniem kul socjalistycznych; że socjaliści to same „mankietniki”²²⁾, że chcą zabrać katolikom kościoły, profanować ołtarze — i oto dlatego pogrom socjalistów, mankietników i Żydów jest nieunikniony.

I pogrom się rozpoczął. Ohydny, bezwzględny, okrutny. Rozpoczęto go w niedzielę 7 kwietnia 1907. Bawiący w Łodzi sprawozdawca „Przeglądu Porannego” rozmawiał z jednym z wybitnych działaczy narodowo-demokratycznych, od którego otrzymał informacje w formie następującej²³⁾ :

²⁰⁾ „Rozwój”, dziennik łódzki pod redakcją Czajewskiego, spełniał w Łodzi taką rolę wobec robotników, jak w Warszawie gazety N. D.

²¹⁾ „Łodzianin” Nr. 30 z 22 lutego 1907.

²²⁾ W łódzkiej gwarze nazywano tak marjawitów.

²³⁾ Cytuję za „Trybuną” Nr. 12 z 15.IV.1907 r.

„W piątek Żydzi i socjaliści niszczyli nasze sklepy (wybito szybę w jednym sklepie i poturbowano subjekta — przypisek sprawozdawcy „Przeglądu”). Wieczorem wezwaliśmy naszych robotników na ochotnika ²⁴⁾ — stanęło ich więcej, aniżeliśmy posiadali broni ²⁵⁾; uzbroiliśmy część, reszcie poleciliśmy czekać, aż przyjdzie broń. W sobotę Żydzi jeszcze działali zeczeplnie; naszych padło 8, rannych 4, ogółem 12; socjalistów i Żydów taka sama mniej więcej cyfra. W niedzielę socjaliści zrejterowali, nasi się tylko mścili za zabitych i zabili 20 socjalistów. Tak samo było w poniedziałek i wtorek” ²⁶⁾.

Oto jeden z podawanych „komunikatów” z pola walki. W każdym razie według wykazów, urzędowo sporządzonych, w ciągu 3 dni, od 7 do 9 kwietnia zabito 36 osób, raniono 41 osób. Jak znów podaje „Rozwój” łódzki, w ciągu tych trzech dni zabito: 16 socjalistów, 6 Żydów, 1 chrześcijańskiego demokratę, 1 narodowego demokratę i 5 nieznanych. I to zestawienie wystarcza. Wynika z niego, że socjaliści byli jedynie stroną broniącą się, a dowodem tej postawy obronnej jest i ten fakt, że na przeszło 300 ofiar walk bratobójczych dwie trzecie tej liczby stanowili socjaliści.

Tragicznym jest fakt, że do tej walki z robotnikami pchnięto robotników, zorganizowanych w „Sokole” i Narodowym Związku Robotniczym. N. Z. R. wypiera się tej roli, lecz w r. 1908 w organie swym „Głos Wolny” ²⁷⁾, pisząc o akcji przeciwpruskiej, buńczucznie i dumnie woła: „W każdej chwili jesteśmy gotowi na w z ó r Ł o d z i pokazać, jak biją endeki”. A i następujący fakt, niegołosłowny, potwierdza to niezbiecie: W Zawierciu N. Z. R. dokonał krwawego napadu na socjalistów z powodu święta dnia 3 maja. Dnia 1 maja 1907 socjaliści świętowali sami, niezmuszając do tego innych robotników. W dniu 2 maja N. Z. R-owcy oświadczyli, że w dniu 3 ma-

²⁴⁾ To oczywiście poza kontyngentem bojówek. Np. kierownik fabryki „Ludwik Geyer” miał do swego rozporządzenia bojówkę narodową, złożoną z dziesięciu bojowców, którym płacił tygodniowo 12 rubli na osobę. Komentantem jej był omawiany już wyżej Ludwik Denys.

²⁵⁾ Składy broni narodowców w tym czasie mieściły się przeważnie w kooperatywach.

²⁶⁾ „Gazeta Polska” pisała „Odwet był straszny dla socjalistów, od ubiegłej soboty padło ich trzy razy więcej niż narodowców”.

²⁷⁾ „Głos Wolny” — organ N. Z. R. — Zagłębie Dąbrowskie Nr. 17 z lutego 1908 r.

ja nie śmie nikt pracować, fabryka stać musi i że, choćby po trupach, dopną swego celu. W nocy z dnia 2 na 3 maja członkowie bojówki N. Z. R. z premedytacją nie dopuścili do rozpalenia w kotłach, a robotników, przybyłych do pracy, przywitani ogniem brauningów, zabijając i raniąc kilku socjalistów. N. Z. R-owcy ofiar nie mieli. Przywódcy N. Z. R. byli dowódcami operujących w fabryce bojówek²⁸⁾. Członkowie N. Z. R., popularnie zwani „narodowcami”, mieli w swych ciałach kierowniczych rdzennych narodowych demokratów, którzy bezsprzecznie kierowali tą organizacją w myśl wskazań N. D. Uwidacznia się to w fakcie następującym: przelana krew bratnia obudziła sumienia robotników-enzeterowców²⁹⁾ i spowodowała nacisk dołu partyjnego na sfery kierownicze partji, aby wziąć rozbrat z Narodową Demokracją³⁰⁾. Zjazd N. Z. R. w r. 1908 postanowił zerwać łączność z N. D. Wówczas pięciu przedstawicieli Zarządu Głównego głosowało przeciw temu wnioskowi, a po stwierdzeniu, że wniosek przeszedł, pożegnali Zjazd przemówieniem i wrócili znów do N. D.³¹⁾. „Ale piętno N. D-eckiej bojówki długo jeszcze ciążyło i mściło się na N. Z. R. Ci ludzie, nauczywszy się mordować przeciwników, gotowi byli w obronie własnej tępić opozycjonistów. Słynne zabójstwo Orlińskiego, przywódcy opozycji Związku, już po odehraniu się od N. D., świadczy o prawdzie mych słów”³²⁾.

Omawiany rozlew krwi bratniej wywołał spazm radości w prasie narodowo-demokratycznej. „Te walki bratobójcze — pisała „Gazeta Polska” w Nr. 85 — są jakby pojedynkami, w których obie strony walczą mniej więcej równą bronią, w jednakowych warunkach. Jest pewna rycerskość w tych zapasach, w których bracia zabijają braci”. „Tu jedni lub drudzy muszą zwyciężyć i narzucić pokonanemu swoją wolę. W Łodzi niema miejsca na sielan-

²⁸⁾ Memorjał Robotników Fabryki Tow. Akc. „Zawiercie”, cytowany w art. „Wobec groźby nowych walk bratobójczych” — Wiedza 1907, tom I, str. 865.

²⁹⁾ Mówi o tem cały szereg uchwał fabrycznych w Łodzi, przyjętych przez robotników narodowców.

³⁰⁾ Odezwa „Tymczasowego Komitetu Frakcji Niepodległościowej N. Z. R.”.

³¹⁾ „Kiliński” organ N. Z. R. Nr. 9 z roku 1908.

³²⁾ „Narodowy Związek Robotniczy” Przedświt Nr. 10 — październik 1911.

kę zgodnego współżycia. W Łodzi toczy się walka instynktu narodowego z anarchją rewolucyjną i ta walka, odraczająca dotychczas³³⁾, musi być wreszcie stoczona, żeby przybrać mogła inne formy, niż te, w jakich się toczy”³⁴⁾.

P. P. S. starała się od pierwszej chwili przeciwdziałać walkom partyjnym³⁵⁾, hamować uczucia zemsty, przejawiające się w jej szeregach, karcieć wybryki swych członków i sympatyków i, występując przeciw meniom N. D., zachowywała się powściągliwie wobec robotników narodowców. „Dowodem jej umiarkowania jest, że, posiadając organizację techniczną, przeznaczoną do cięższej chyba walki, niż ta, którą endecy sprowokowali, usiłowała unikać, o ile można, użycia swych sił na cele wojny domowej, budząc tem często rozgoryczenie we własnych szeregach, przerzedzonych przez skrytobójcze zamachy...” „Bandy morderców włóczyły się po mieście, zatrzymywały przechodniów rewolwerami, rewidowały, a znalazłszy jaki ślad przynależności do ruchu P. P. S., pozbawiały życia. Na agitatorów czatowano, wciągano ich do zasadzek, wywoływano z fabryk i kładziono trupem na miejscu. W pewnych punktach znajdowały się składy broni dla morderców. Oddziały były zorganizowane, wyćwiczone i kierowane przez dowódców. Najbardziej szkodliwe jednostki zostały przez organizację naszą ukarane tą samą bronią, jakiej używały. Ale zdawaliśmy sobie sprawę, że to nie wystarczy. Nie ślepa zemsta kierowała dłońmi naszymi, ale chęć powrócenia proletariatu jego sprawności bojowej na drogę mu właściwą — walki z rządem”³⁶⁾.

Przybyły do Łodzi w czasie walk bratobójczych Tomasz Arciszewski po naradzie z łódzkimi kierownikami P. P. S. wszczął akcję przeciw policji rosyjskiej, która nie przeciwdziałała walkom bratobójczym, a nawet, odwrotnie, dostarczała

³³⁾ Podkreślenia moje.

³⁴⁾ „Gazeta Polska” Nr. 102 z 16 kwietnia 1907 r.

³⁵⁾ „W Łodzi np. P.P.S. nie uczestniczyła w pewnym okresie w walkach bratobójczych” pisze p. St. Roszkowski w swym „Zarysie dziejów N. Z. R.” (Niepodległość tom III str. 251) — „Widzew był twierdzą P.P.S. Stwierdzić trzeba, iż w tej dzielnicy walk bratobójczych prawie że nie było” (Rżewski — Walki bratobójcze w Łodzi).

³⁶⁾ Sprawozdanie z XI Zjazdu P. P. S., Kraków 1909.

broni walczącym, lub nawet czasami i sama prowokowała napady niby to polityczne ³⁷⁾. Kilka udanych akcji zamachowych zwróciło uwagę łódzkiego proletariatu, że walka winna być toczona z rządem; zmusiło też i policję do udzielania zezwoleń na jawną akcję uspokojenia i zakończenia walk bratobójczych, prowadzoną „od dołu” przez P. P. S. Łódzka P. P. S. postanowiła „wzbudzić w masach robotniczych protest przeciw takiemu sposobowi prowadzenia walk partyjnych... Ogół robotniczy wypowiedział się przeciw walkom bratobójczym, a musieli tego dokonać nawet przedstawiciele robotniczej organizacji endeckiej” ³⁸⁾.

Zwołano konferencję międzypartyjną, w której — oprócz ugrupowań socjalistycznych — wzięli udział miejscowi delegaci Chrześcijańskiej Demokracji, N. D. i N. Z. R. Konferencją tą chciano zdemaskować zbrodniczą taktykę góry endeckiej oraz zapobiec szerzeniu się walk bratobójczych, bezrozumne jednak i niestosowne zachowanie się delegata Frakcji Umiarkowanej, t. zw. „Lewicy”, uniemożliwiło dojście do porozumienia. W tym czasie łódzki „Rozwój” wydrukował artykuł, nawołujący do dalszej rzezi, w tym też duchu przemawiała odezwa N. Z. R. z dn. 6 kwietnia 1907. Trzeba było przeciwdziałać i to uczyniono, robiąc nacisk „od mas”. W dniu 10 kwietnia zwołano wiec robotników fabryki Rozenblata w ilości 600 osób. Wiec ten zaprotestował energicznie przeciw artykułom „Rozwoju” i odezwie N. Z. R. i wzywał do zaprzestania walk bratobójczych. Na wiecu byli robotnicy wszystkich partyj, działających na terenie Łodzi. Rzucone przez P.P. S. na tym wiecu hasło: „koniec walkom bratobójczym” — poszło w masy. W dniu 11 kwietnia ukazała się odezwa P. P. S. Frakcji Rewolucyjnej. W dniu 13 kwietnia P. P. S.-Lewica, S.-D. K. P. i L. i Bund wydały odezwę, w której, choć słabo, wyrażone były oskarżenia, to jednak mocno i stanowczo wzywano do zaprzestania krwawych rozpraw. Akcja pokojowa poszła poprzez fabryki. Poczęto uchylać na wiecach fabrycznych rezolucje, żądające zwołania ogólnej konferencji delegatów fabrycznych. Dnia 18 kwietnia N. Z. R. wydał odezwę, wzywającą też do spokoju i oświadczającą, że niebawem będą zdemaskowani ci,

³⁷⁾ Życiorys Arciszewskiego — „Parlament Rzeczypospolitej Polskiej” Warszawa 1928.

³⁸⁾ Sprawozdanie z XI Zjazdu P. P. S.

którzy walki inspirowali. Odezwa zgadza się na zwołanie ogólnej konferencji delegatów fabryk. W odpowiedzi na to w dniu 19 kwietnia ukazały się odezwy socjalistyczne, zapowiadające zwołanie konferencji na dzień 24 kwietnia w sprawie zabójstw i dążenia do przywrócenia spokoju pomiędzy wszystkimi robotnikami. W odezwie tej partje socjalistyczne oświadczają swą gotowość do spokoju, komunikując jednocześnie klasie robotniczej Łodzi o zdjęciu zbrojnych posterunków ochronnych, a towarzyszyom swych polecając opiece tych robotników, którzy walk bratobójczych nie chcą.

Konferencja odbyła się w dn. 24 kwietnia 1907. Reprezentowani byli delegaci wszystkich fabryk. Powzięto uchwałę, obowiązującą wszystkich, a zabraniającą prowadzenia walk i oświadczającą gotowość karania zbiorowo tych, którzy uchwały tej pragnęliby nie honorować. W rezolucji konferencja między innymi stwierdza :

„...Zabójstwa i walki wśród robotników łódzkich różnych partyj są w związku z ogólnem położeniem kraju. Zabójstwa te są dziełem wrogów klasy robotniczej, którzy dla łatwiejszego ugruntowania swej władzy oraz panowania nad proletariatem chcą we krwi robotników zatopić solidarność robotniczą i dla własnych korzyści podzielić klasę robotniczą na wrogie obozy, pchnąć do walk bratobójczych przez zaostrzenie antagonizmów rasowych, przekonaniowych i wyznaniowych”.

„Zebranie piętnuje zachowanie się pewnej części prasy, rozsiewającej błędne pogłoski. Stronnicze oświetlenie przyczyn walk zaostrzyło je i skierowało przeciw żydom i robotnikom partyj skrajnych”.

JAN KLIMEK.

RETKINIA A ODRADZAJĄCA SIĘ POLSKA

Odrodzenie Polski poprzedziła długa mrówcza praca nad obudzeniem samopoczucia narodowego i uświadomieniem konieczności powstania samodzielnego państwa, przede wszystkim wśród szerokich warstw pracujących, a więc wśród chłopów i robotników. Historia powstania Odrodzonej Polski dopiero się tworzy, lecz nie jest jeszcze skonkretyzowana, a więc badacze winni zwrócić przede wszystkim baczną uwagę na te dwie warstwy społeczne i odegrać przez nie rolę przy wywalczeniu niepodległości państwa polskiego. Jeszcze dokładnie nie jest zbadany ruch niepodległościowy, jaki rozpoczął się w początkach XX wieku.

Trzeba będzie badać rok 1905 oraz dalsze, a mianowicie, jakie one zmiany psychologiczne wprowadziły wśród robotników i chłopów, i, następnie, szczegółowo i obiektywnie zbadać ruch „zaraniarski” i jego olbrzymi wpływ na chłopów. Gorączkowa, owocna praca „zaraniarzy” zmieniła bowiem strukturę psychologiczną dotychczasowego chłopca, mianowicie zbudziła w nim poczucie narodowe i państwowe, oraz zaprzęła do pracy niepodległościowej szeregi najdzielniejszej chłopskiej młodzieży, która swój zapal przyplącała życiem i mękami na Syberji. Prace „zaraniarzy” w chwili obecnej są jakby celowo przemilczane, pomijane i lekceważone.

Należy również zapoznać się z przekształceniem się dawnych „zaraniarzy” na późniejsze „Wyzwolenie”, co działo się wtedy, gdy na naszych ziemiach grzmiały armaty wrogów. Szerokie rzesze chłopskiej młodzieży wyzwoleniowej garną się w szeregi Legjonów, P. O. W., rozbrajają Niemców i Austriaków, walczą dzielnie i ofiarnie w obronie Wilna, Lwowa, o Gór-

ny Śląsk, w 1920 r. śpieszą na ochotnika na obronę kraju przed nawałą bolszewicką. Wszędzie tam były całe rzesze bezimiennych bohaterów, uświadomionych przez „Zaranie” czy „Wyzwolenie”.

Bez wątpienia fundamentalną rolę przy odrodzeniu Polski odegrały Legjony i Polska Organizacja Wojskowa, czego nikt nie kwestjonuje. Otóż zadaniem badaczy winno być stwierdzenie, kto był w Legjonach i P. O. W., jaki element społeczny przeważał i czyją krwią przy wspólnym wysiłku została Polska okupiona. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż największą zasługę Ojczyźnie wyświadczył Józef Piłsudski, twórca Legjonów, lecz i szare bezimienne kompanie żołnierzy dały cenne usługi, gdy kładły w ofierze swe życie.

Chłop polski — ten poczciwy, cierpliwy człowiek, pracujący w pocie czoła o chłódzie i głodzie, dużo działał przy odrodzeniu Polski, lecz chłop ten działał bezimiennie, działał w wierze i nadziei, że to jest jego obowiązkiem, i czy o tem będą wiedzieć, czy nie będą wiedzieć inni, jest dla niego obojętne, chodziło mu o sam fakt pracy i wysiłku dla urzeczywistnienia i osiągnięcia celu — niepodległości Polski. Chodzi teraz o to, by zebrać te rozproszone po szerokiej Polsce dokumenty i fakty, aby pokazać wszystkim, że lud siermiężny godny jest swego przodka Piastowego.

W niniejszym szkicu będą się starał wykazać prace, jakie wykonali chłopci mojej rodzinnej wsi — Retkini.

Prądy wolnościowe XX wieku znalazły oczywista w naszej wsi żywy odgłos. Wieś, leżąca o 4 klm. od Łodzi, a 11 klm. od Pabjanic, przynależała parafjalnie do tych ostatnich. Życiowo jednak ciążyła więcej ku Łodzi, która zaczęła w gwałtowny sposób rozrastać się i potężnieć. We wsi było już na tyle uświadomienia, iż zdawano sobie doskonale sprawę z położenia, w jakim znajdowała się ojczyzna, postanowiono więc na zebraniach sąsiedzkich działać w kierunku walki o niepodległość. Trudno jednak było coś robić w pojedynkę, trzeba się było od czasu do czasu zebrać, poradzić, a tu stójkowy zawsze się jakoś znalazł. Zdecydowano się więc zamaskować — utworzyć stowarzyszenie religijne, a mianowicie „bractwo różańcowe”. Tu można już było swobodnie zbierać się, radzić o Polsce i czytać nielegalne wówczas pisma, jak „Pochodnia”, „Polak” i inne,



Bronisław Siwik.



Medard Downarowicz.



Edward Ringman.



Pelagjusz Ringman.

Do artykułu A. Ringmana.



Pierwsi Peowiacy w Retkini:

Wawrzyniec Muras. ś. p. Wincenty Pycio. Franciszek Płoczek. Walenty Mucha-Muszyński.
ś. p. Piotr Klimek. Grzegorz Zubert.



Grupa członków organizacji lokalnej C. P. O. W. na dziedzińcu koszarowym
w pułku „Dzieci Łódzkich”.

Do artykułu J. Klimka.

oraz broszury i ulotki, później zaś „Robotnika”, który zajmuje poczesne miejsce.

Dotychczas istniejąca u nas organizacja przekształciła się w tajne koło polityczne, takie, jakie były w Łodzi i okolicy. Oczywiście, niestety, nie była to już organizacja jednolita, gdyż tak, jak i w całym kraju, w naszym retkińskim kole zarysowały się dwa odłamy: pierwszy niepodległościowy, który skłaniał się do prac, prowadzonych przez P. P. S., i kolportował „Robotnika” oraz głosił walkę czynną z wrogiem, oraz drugi — autonomistów, którzy prosili tylko Moskali o autonomję i zasilali ówczesną Narodową Demokrację.

W sąsiedniej Łodzi w szeregach P. P. S. szykowano się gorąckowo do walki, którą już czuć było w powietrzu, a która rzeczywiście później wybuchła. Burza z Łodzi przeniosła się szybko na okolice. Garstka entuzjastów w wieku pacholęcym, rekrutująca się z robotników łódzkich oraz chłopskich synów, rzuciła się na ciemiejącą ojczyznę i zaczęła mu zadawać raży. Zdawałoby się, że całe społeczeństwo przyjdzie z żywą i wydatną pomocą, aliści tak się nie stało, część społeczeństwa pozostała głuchą, pozostali uczynili gorzej, gdyż przeciwstawili się tej garstce bohaterów i rozpoczęli walkę z rewolucjonistami. Ta część społeczeństwa, tworząca Narodową Demokrację, werbowała robotników, tworząc z nich t. zw. Narodowy Związek Robotniczy, i tych pchnęła do walk bratobójczych z P. P. S.

Tak toczyły się walki w sąsiedniej Łodzi, oczywiście więc, że echo tych walk odbiło się głośno i u nas we wsi. Część ludzi śpieszy do Łodzi — pomóc walczącym towarzyszom z pod znaku P. P. S., również niektórzy podążają do szeregów N. Z. R., a w samej wsi stoczono potyczkę, wynikiem której był jeden trup, członka „Sokoła” z pod sztandaru Narodowej Demokracji. Ci, którzy nie brali czynnego udziału w walce, brali żywy udział w tłumnych zebraniach publicznych, gdzie gwałtownie dopominano się polskiego języka w szkołach oraz we wszystkich urzędach.

Ucichło w Łodzi i w kraju, a i u nas zapanowała cisza. Sześciu czy siedmiu młodzieńców powędrowało w dalekie drogi mroźnej Syberji, a nad wsią zawisła ponura niepewność jutra. Nie czas jednak było na rozpaczanie. Czas płynął — potrzeba było pracy. Zabrano się więc do niej i to od gruntu. Należało uświadamiać narodowo oraz uczyć i zapalać do walki jaknaj-

szersze masy. Przystąpiono więc niezwłocznie do tworzenia organizacji kulturalno-oświatowych. Założono przedewszystkiem spółdzielnię spożywców. Do wsi zalatują pierwsze jaskółki: „Siewba” i „Zagon” — zwiastuny tworzącej się chłopskiej organizacji. Wkrótce więc na gruzach rozbitych organizacji politycznych powstaje nowy silny prąd — „zaraniarski”, który głęboko wrzyna się w psychologję niektórych działaczy i pozostaje w nich na całe życie. Powstaje luźne koło czytelników „Zarania”, które wybiega dalej, het, poza wioskę, do sąsiednich gmin. Jednym z pierwszych zaraniarzy był ob. Ignacy Klimek, dotychczasowy pracownik z grupy niepodległościowców.

Stosownie do zleceń „Zarania”, wzięto się energicznie do pracy kulturalno - oświatowej. Dzięki więc takiemu uświadomieniu oraz temu, iż miejscowy proboszcz, jak na owe czasy, był solidny i współpracował z ludnością, powstaje we wsi cały szereg organizacji kulturalnych: kółko rolnicze, koło gospodyń wiejskich, kasy spółdzielcze oraz biblioteka, na którą musiano uzyskać zezwolenie aż z urzędu gubernjalnego z Piotrkowa. Wielką radością było dla wsi, kiedy urząd gubernjalny nadesłał na ręce ob. Ign. Klimka zezwolenie otwarcia biblioteki.

Przygotowanie i sposobienie przyszłego żołnierza polskiego, jakie odbywało się w b. Galicji za pośrednictwem Strzelca, Drużyn i t. p. organizacji, przedostało się również na teren b. Kongresówki. Tutaj oczywista nie można było tego prowadzić jawnie, lecz trzeba było to czynić tajnie, konspiracyjnie, pod bacznem okiem żandarma. Mimo to jednak organizacja ta zataczała coraz szersze kręgi, i w organizacjach konspiracyjnych gromadził się kwiat najszlachetniejszej młodzieży chłopskiej i robotniczej.

W Łodzi i okolicach, w sercach i duszach młodzieży żył jeszcze rok 1905 — 1907. Myśl wywalczenia niepodległości nie pozwalała, mimo złamania ruchu we wspomnianych latach, na bierność, a niewinnie przelana krew robotników łódzkich wołała o pomstę. Dawne bojówki P. P. S. zakonspirowały się. Rozpoczęto pracę nad kształceniem młodzieży. Dążenia i poczynania te dotarły naturalnie do Retkini, gdzie niezupełnie uspokoiło się po wspomnianych walkach w Łodzi i kraju.

Kłębiła się myśl utworzenia oddziału ćwiczebnego, a tu presja i czujne oko szpicla stawało na przeszkodzie. Oczywista

więc, zakonspirowano się, jednak dla pozorów wniesiono do guberni statut Towarzystwa Sportowo - gimnastycznego, lecz po długiej zwłoce otrzymano odpowiedź odmowną.

Naturalnie, spodziewano się takiej odpowiedzi, co jednak nie przeszkadzało w pracy. Regularnie co określony czas przybywali instruktorzy z Łodzi i Pabjanic, prowadząc wykłady i ćwiczenia z wiejską młodzieżą naszej wsi. A był to bardzo dobry materiał na żołnierza, chłonący dawane mu nauki. Ściśle zakonspirowanych było w Retkini około 15 osób w wieku 18 — 20 lat oraz paru starszych. Rej wśród tej gromadki wodzili: Fr. Plocek, A. Szer i K. Poros.

Nadszedł wreszcie rok 1914, zatrzęsała się w posiadach stara Europa, a wraz z nią i państwa zaborcze. Do wsi naszej, jako do komórki tajnej organizacji piorunem nadchodzą rozkazy z dowództwa, drukowane na czerwonym papierze, przeciwdziałać i przeciwstawiać się mobilizacji.

Oczywista, nie można było wiele zrobić w tym kierunku, a tylko paru udało się skłonić, by pozostali, gdyż z gwałtownym potępieniem tej akcji wystąpił ksiądz, oraz pewne odłamy społeczeństwa, o zabarwieniu Endecji. Ludzie ci kolportowali informacje, iż to robi się za żydowskie pieniądze, i że za każdą głowę pozostałą żydzi dostaną po parę rubli.

Z wybuchem wojny wkraczają do Kongresówki oddziały Piłsudskiego, a w ich szeregach był już jeden z naszych ziomków, ob. Murasik, który przedostał się do nich mimo ciężkich warunków. Wkroczyli do Łodzi nasi szarzy żołnierze, witani owacyjnie przez ludność, wśród której nie brakło sporej gromady naszych.

W 1915 r. idzie do Legionów drugi nasz ziomek, ob. G. Zurbert, który przebywa całą kampanję w 6 p. p. Zanim wkroczyli do Łodzi Niemcy, wokół miasta stoczyli krwawą bitwę, w której zginęło wielu żołnierzy i cywilnych. Wieś nasza, jako przyfrontowa, niemało ucierpiała od walk, a wkrótce potem, gdy jeszcze nie zdążono się odreparować, nastąpiła klęska gradobicia, powodująca wielką biedę.

W dniu wyjścia Moskali, tak, jak w całym kraju, i u nas natychmiastowo utworzono Milicję Ludową. Powołano więc zarząd w składzie naczelnika i kilku rewirowych. Wydrukowano i rozdano legitymacje, nakreślono plan pracy: utrzymywać porządek i kontynuować robotę niepodległościową, jaka była już

konspiracyjnie prowadzona. Milicja Ludowa utrzymywała w dzień i w nocy swoje posterunki, składające się z obywateli wsi po jednym z każdego domu.

Od 1900 r., równocześnie ze wzrostem miasta Łodzi, wzrosły do niemożliwych granic kradzieże i rozboje. W naszej wsi nie było prawie chaty, gdzieby nie skradziono krowy, konia, lub czegoś innego. Policja rosyjska o wytepienie tej plagi nie dbała. a nadchodząca wojna dopomagała i ośmielała rzezimieszków. Opryszki tak się rozzuchwalili, że uplanowali napaść i ograbić kasjera naszej kasy spółdzielczej, ob. Ign. Siejkę. Milicja Ludowa wytropiła ten zamiar i przeciwstawiła się temu napadowi, jednakże nie wyszła z tego cało. W starciu zbrojnym bandyci zabili naczelnika, ob. Zwierzyńskiego, oraz dwóch ranili. Milicja jednak osiągnęła cel, rozpraszając bandę i część jej oddając w ręce policji niemieckiej. Milicją Ludową kierowali najświatlejsi obywatele wsi, przeto była ona właściwie władzą wsi, gdyż Niemcy przybyli do wsi dopiero na wyraźne wezwanie — celem zabrania schwytanych złoczyńców. Milicja Ludowa utworzyła też Straż Ogniówą Ochotniczą, która zarazem była kadram ewentualnych żołnierzy.

Dnia 23.XII.16 r. zawitał do Retkini na odpoczynek oddział 1-go p. artyl. Legjonów w sile około 150 ludzi i rozkwatrował się po chałupach. Paru ludzi wraz z komendantem, kpt. Wilejskim kwatrowało w Brusie, zaś w Retkini był zastępca komendanta, ppor. Czap.

Stosunek miejscowej ludności do Legjonów, jako dla polskich żołnierzy, był nadzwyczaj sympatyczny. Ponieważ Niemcy bardzo nędznie ich żywili, więc mieszkańcy wsi dzielili się z nimi czem mogli. Po prawie rocznej bytności, kiedy to Niemcy zamknęli Piłsudskiego w twierdzy, zabrali się również i do Legjonów, żądając złożenia przysięgi i przystąpienia do tworzącego się Wehrmachtu. U nas oddział został zwinięty: Legjoniści z zaboru austriackiego zostali odstawieni do Krakowa, a stamtąd na front włoski, zaś Legjonistów z Kongresówki odstawiono do Szczypiorna, gdzie, jak nam wiadomo, paru z tych, którzy byli w Retkini, umarło. Kilku legjonistom Kongresowiakom miejscowi działacze wyrobili paszporty i udało im się uniknąć Szczypiorny.

Pamiętamy chwile pożegnania Retkini z Legjonistami. Oto cała ludność zebrała się pośrodku wsi na rozstajnych drogach,

gdzie wysoki biały krzyż wznosił ponad tłumem swe ramiona. To krzyż, który Legjoniści zostawili wsi na pamiątkę, pisząc na nim: „Legjony — Retkini”. Uroczyste nabożeństwo pożegnalne odprawił ks. Giebartowski z Konstątnynowa, a następnie pożegnał Legjonistów przemową, w której zapowiadał, iż niedługo już nadejdzie chwila zmartwychwstania Ojczyzny. Wygłoszono parę przemówień pożegnalnych i wśród ciszy, przerywanej nerwowym płaczem kobiet i dzieci, Legjoniści odmaszerowali w daleki świat na poniewierkę. Dużo wspomnień pozostało w Retkini po nich, a i Legjoniści pamiętali o nas, pisząc listy z obozów koncentracyjnych i z frontu w niebosiężnych Alpach do miejscowych działaczy.

Legjoniści, opuszczając naszą wieś, nie omieszkali posiadane zapasy broni i amunicji przekazać peowiakom i miejscowym działaczom, którzy powierzone im rzeczy przechowali do roku 1918, mimo srogich zakazów, grożących śmiercią. Rzeczy te zostały wówczas zabrane przez peowiaków, idących rozbrajać Niemców, oraz wstępujących w szeregi wojskowe.

Jednocześnie z opuszczeniem wsi przez Legjony i umieszczeniem części ich w obozach koncentracyjnych, tak jak i gdzie indziej, powstało u nas koło Ligi kobiet, które działało wspólnie z Zarządem Ligi Kobiet, mającym siedzibę w Łodzi. Zbierało więc składki i ofiary na Legjony oraz niosło pomoc przy ucieczce, ukrywaniu zbiega i t. p.

Wkroczywszy do Łodzi, Legjony otworzyły zaraz swoje biuro werbunkowe. Niestety, niedługo można było pracować jawnie, trzeba było wrócić do dawnej działalności podziemnej. Przystąpiono więc wogóle do pracy P. O. W. wszędzie, a więc i u nas. Łódź stanowiła komendę okręgu IV-go, zaś powiat łódzki obwód II. Nie mamy wszystkich danych, jak u nas rozwijała się praca, lecz możemy na podstawie rozkazu okolicznościowego komendy z d. 23.4.17 r. stwierdzić, iż obwód II obejmował północno-zachodnią część powiatu łódzkiego oraz dzielił się na 5 organizacyj lokalnych, i tak organizacja lokalna A obejmowała: m. Zgierz i okolice, między innymi wsie Piaskowice, Aniołów, mając wtedy ludzi 12; organizacja lokalna B — obejmowała os. Aleksandrów z okolicą, gdzie były wsie Bruzyca i Jastrzębiec, w sile 15 ludzi; organizacja lokalna C — obejmowała Retkinię wraz z wsiami Brus i Chocianowice oraz całe dzisiejsze m. Rudę Pabjanicką, licząc wtedy ludzi 19 —

i to tylko samych rekrutów, jak widać w rozkazie, gdyż z pozostałych miejscowości nie wymieniono ludzi; organizacja lokalna D — obejmowała wsie Zdziechów, Kazimierz — ludzi 7 i t. d. Organizacja P. O. W. wrkótce przesunęła się także i na południową część powiatu, obejmując os. Rzgów, Tuszyn i gminę Ciarnocin.

Widzimy więc, że te organizacje lokalne znajdowały się w naszych okolicach nietylko w miasteczkach, lecz i po wsiach. U nas, w Retkini, jako znanej starej siedzibie tajnych organizacji, utworzono siedzibę organizacji lokalnej C, podporządkowując jej nawet, jak wspomniano, Rudę Pabjanicką. Organizacja nasza była bardzo liczna, dochodziła do 40 ludzi, prócz sympatyków i tych, którzy czemś mogli pomagać organizacji.

Komendantem organizacji lokalnej C — retkińskiej, był ob. Słowik (Fr. Płoczek), który prowadził zbiórki i pomniejsze ćwiczenia, natomiast większe ćwiczenia i inne prace prowadzili instruktorzy z Łodzi oraz Legjoniści, jak np. Ostoja (Neugebauer), Piorun (ś. p. Pełka), Pałowski i inni. Ćwiczenia organizacyjne organizacji lokalnej odbywały się 2 razy tygodniowo, zaś całego obwodu raz na miesiąc.

Na urządzone kursa i przedszkola uczęszczali nasi członkowie, a głównie ob. Słowik, udając się nawet na kurs do Małkini za Warszawą.

Kiedy to w Łodzi w komendzie P. O. W. Niemcy zrobili rewizję i zaczęły się aresztowania, polecono i naszemu komendantowi schronić się na jakiś czas do Radziwia - Płocka.

Kierownicy P. O. W. w Łodzi, rozumiejąc, iż lud stanowi potęgę, jak mogli tak wciskali się na wieś, która z zadowoleniem przyjmowała ich poczynania. Całe dzisiejsze województwo łódzkie pokryte było siecią organizacji lokalnych, obejmujących wsie i miasteczka. Aby zrobić próbę sprawności i przegląd sił chłopskich, urządzono 6-dniowe kursa rolnicze w dniach 12 — 18.III.17 r. Chłopi peowiaci dopisali doskonale i sala była przepełniona. Było przeszło 300 osób, w tem z Retkini ponad 30 osób.

Rozkaz komendy naczelnej P. O. W. z dn. 6.8.17 r. w sprawie wypowiedzenia się przeciwko Tymczasowej Radzie Stanu został przyjęty przez nasz oddział z największym zadowoleniem oraz aplauzem ogólnym wszystkich mieszkańców. W akcji okazania Niemcom, iż istnieją żołnierze polscy, chociaż nie-

oficjalnie, i że stanowią oni potęgę, w akcji, polegającej na przecięciu wszystkich sieci telefonicznych w pewnym wyznaczonym dniu, nasi peowiacy wzięli żywy udział, przecinając wszystkie druty telefoniczne w całej okolicy.

Akcję Wehrmachtu przyjęto w Retkini niechętnie, chociaż w szeregach jego znalazło się paru retkiniaków, zwłaszcza tych, którzy byli w świecie.

Wieś ogarnia pęd do nauki. Kiedy przed wojną uczęszczało do szkół średnich w Łodzi tylko 5—7 chłopców naszych, to teraz zaczęło uczęszczać około 30 chłopców i dziewcząt. Polska Macierz Szkolna otwiera we wsi swój oddział, oraz zakłada bibliotekę. We wsi pozatem jest biblioteka peowiacka i czytelnia pism wojskowych. Również ob. Jan Klimek otwiera swój księgozbiór, jako bibliotekę, wypożyczającą książki retkiniakom i okolicznym mieszkańcom. We wsi powstał silny ruch umysłowy. Wszyscy czytali, bowiem sprowadzono sporo różnych wydawnictw, jak to: „Rząd i wojsko” — 10 egzempl., „Polak”, „Gazeta Ludowa”, „Wyzwolenie” — 50 egzempl., oraz fachowe pisma P. O. W.: „Strzelec”, „Przegląd wojskowy”, ulotne wydawnictwa P. O. W., broszurki wojskowe i t. p.

Bezwątpienia wielką rolę w życiu naszej wsi odegrało Wyzwolenie, a raczej jego przedstawiciele — miejscowi działacze i sympatycy tegoż. Byli to przeważnie dawni bojownicy niepodległościowcy, następnie zaraniarze. Kiedy ucichły odgłosy huków armat i świstu kul w Retkini, chłopci miejscowi, porównawszy pokopane okopami pola, przystąpili do pracy.

Na niwie społecznej zaczęło się ożywienie, co zaś do polityki, która skoncentrowała się przy walce o niepodległość, również, mimo braku pisma „Zaranie”, zaczęło się życie. I tak nurtują u nas prądy „Zarania”, „Narodowego Związku Chłopskiego” i inne, lecz wkrótce na miejsce ich powstał nowy, silny prąd — Wyzwolenie, które natrafiło u nas na bardzo podatny grunt. Założono natychmiast koło P. S. L. Wyzwolenie, liczące około 100 członków, zaprenumerowano 50 egz. pisma Wyzwolenia oraz wzięto udział w tworzeniu tego pisma, gdyż stanowiło ono instytucję udziałową.

Wyzwolenie wraz z P. O. W. rej wodzi nietylko na wsi, lecz i w całej gminie. W tym czasie pojawiają się na wsi agitatorzy, którzy agitują za tem, by chłopci na zwołanym w Warszawie zjeździe obwołali arcyksięcia Stefana z żywca królem

Polski. Agitatorzy ci rozdawali portrety Stefana i zapraszali jaknajliczniej na zjazd. Retkiniacy wyruszyli w sile 50 ludzi i wraz z innymi chłopami, zwłaszcza z Lubelskiego, przyczynili się do zupełnego rozbitcia tego zjazdu.

Jakby dla utrwalenia tej pamiątkowej pracy nazwali założoną drugą spółdzielnię spożywców „Wyzwolenie”. Wyzwolenie, jak dawniej „Zaranie”, mocno wżarło się w umysły i serca tutejszych działaczy, którzy głęboko wierzyli w wszelkie poczynania Wyzwolenia.

Korzystając ze względnej swobody, jaka była za okupacji niemieckiej, rozpoczęto wszędzie pracę, zmierzającą ku jaknajwiększemu uświadomieniu szerokich mas. I tak urządzono szereg uroczystości. W naszej wsi pierwszą taką wielką uroczystością było w 1916 r. poświęcenie sztandaru narodowego. W uroczystości tej wzięli udział wszyscy mieszkańcy wsi, ponad którymi powiewał sztandar z białym orłem na czerwonym tle. Była to rzeczywiście uroczystość wzruszająca i miła, jakiej nie pamiętali najstarsi ludzie. Sztandar powstał z dobrowolnych składek mieszkańców wsi, zebranych przez członków Towarzystwa Śpiewaczego.

Drugą również wielką uroczystością było poświęcenie wmurowanej w kościele tablicy pamiątkowej w setną rocznicę zgonu Tadeusza Kościuszki. Tak samo cała wieś brała udział w nabożeństwie i poświęceniu tej tablicy, którą również ufundowano ze składek i ofiar dobrowolnych mieszkańców wsi.

Harcerstwo Retkini powstało w trzech osiedlach: pierwszy oddział „Skautów” założył ob. Jan Klimek na kolonji Retkinia — Brzózki; niezależnie od tego powstał drugi oddział „Skautów” pod komendą ob. Aleksandra Głazewskiego na kolonji Retkinia — Piaski oraz trzeci oddział „Junaków”, założony przez ob. Franciszka Plocka na kolonji Retkinia — Zagrodniki. Te trzy oddziały początkowo prowadziły pracę niezależnie od siebie, następnie pierwszy i drugi połączyły się w jeden, a wreszcie w setną rocznicę zgonu Kościuszki, t. j. 15.X.1917 r. te dwa oddziały połączyły się uroczyście w jedną całość, na Górze Zagrodniczej, przybierając nazwę Drużyny Harcerskiej im. Bartosza Głowackiego w Retkini.

Odtąd praca w drużynie wre gorączkowo, a w wynajętym mieszkaniu tworzy się biblioteka, czytelnia pism, grano komejdyki patryjotyczne, główny zaś nacisk kładziono na ćwiczenia

wojskowe. Był to jakby młody oddział peowiaków, którzy starali się całkowicie, mimo młodego wieku, dorównać starszym.

Z komendy Z. H. P. z Łodzi przybywali instruktorzy, dawali wskazówki i informacje oraz prowadzili ćwiczenia. Kiedy nadeszła pamiątkowa chwila 10.XI.18 r., część starszych harcerzy brała udział w rozbrajaniu Niemców, a kiedy nadszedł rozkaz z komendy P. O. W. oraz z komendy Z. H. P., natychmiastowo wszyscy starsi wstąpili do wojska w liczbie 12.

Nadszedł rok 1918 — rok, w którym miały się ziścić marzenia trzech pokoleń, rok, w którym pękły okowy, dzierzące w niewoli ojczyznę.

Dzień ogłoszenia pierwszego Rządu Ludowego w Lublinie u nas w Retkini był uroczystym świętem. Wszystko, co było, wybiegło na drogę, skupiało się w gromadki i komentowało doniosłość tego historycznego wydarzenia oraz przewidywało szybkie wypędzenie Niemców, którzy u nas trzymali jeszcze na wszystkim swą brutalną żelazną stopę.

Szykowano się więc od tego dnia do wypędzenia Niemców, wykopywano i odszukiwano na strychach pozostawioną przez legjonistów broń, jak karabiny, naboje, bagnety, rewolwery i t. p. Każdy peowiak zaopatrzył się w te rzeczy i czekał cierpliwie rozkazu, aż wreszcie wieczorem dnia 10.XI.18 uderzono na alarm. Wybiła dziejowa godzina, kto był żyw i czuł się na siłach, śpieszył do pracy, a praca to była ważna. Ustny rozkaz z błyskawiczną szybkością rozbiegł się po wszystkich komórkach organizacyjnych, i natychmiast całe gromadki młodych ludzi śpieszyły tam, gdzie były niemieckie posterunki, i rozbrajały je.

Nasz oddział retkiński wyruszył natychmiast do Łodzi. Pamiętam tę ciemną noc, kiedy to każdy chwycił kurczowo ciężką broń do kieszeni i śpieszył na wschód, gdzie widać było migające światełka, wśród których koścista śmierć szczyrzyła swe zęby.

Błdzi ze wzruszenia i radości, iż mogą pomścić krzywdy swych ojców i dziadów i odzyskać wolność, śpieszyli więc rączy peowiaczy, a za nimi i wielu cywilów z Retkini po torze kolejowym w stronę stacji Łódź Kaliska, rozbrajając po drodze dwa posterunki na torze na polach Starego Rokicia. Następnie, przybywszy na samą stację, wraz z innymi rozbroili Niemców, poczem ruszyli dalej w miasto szturmować do posterunków i wart...

Poszli najlepsi synowie hen... tam do Łodzi, walczyć o Polskę. Czy wróca cało i zwycięsko? — oto pytanie, które cisnęło się rodzicom - staruszkom, żonom i narzeczonym. We wsi bowiem, mimo szczerej i ciemnej nocy, z tych, zo pozostali, niewielu spało. Wszyscy z zapartym oddechem czekali. Aż oto o świcie, kiedy nad lasem kominów milczących wzniosło się wielkie czerwone słońce, na drodze od lasu ukazała się nasza gromadka. Wszyscy wybiegli na spotkanie. Z oddali już z promieniejących twarzy odczytać było można zwycięstwo. Nastąpiła chwila ciszy... Wszyscy podnieśli głowy hen tam w wyżyny, dziękując Bogu za zwycięstwo. Polska zmartwychwstała.

Do domu z wyprawy wrócili wszyscy cało, a było ich z cywilami przeszło 40 osób. Natychmiast nadszedł rozkaz „mobilizacyjny”: zameldować się w dniu 13.XI.18 r. organizacja lokalna C. wraz z rewolwerami w komendzie placu P. O. W. w Łodzi, ul. Piotrkowska 102, dom bar. Hainzla.

W oznaczonym dniu stawili się wszyscy, a nawet trzy dni wcześniej zgłosiła się „rezerwa” — harcerze.

Komenda Z. H. P. nadesłała pismo, dotyczące stawienia się, i młodzi chłopcy w liczbie 12, przeważnie dzieciaki z rocznika 1901 — 1902 r., stanęli karnie w szeregi żołnierskie w Łodzi, skąd przewieziono ich do Cytadeli w Warszawie. Za nimi powędrowali peowiacy z komendantem na czele, których wcielono do 28 p. p. strzelców kaniowskich — pułku „Dzieci Łódzkie”, gdzie przebyli całą kampanję wojenną polsko-ukraińsko-litewsko-bolszewicką.

Walka o Lwów nie pozostała bez oddźwięku w Retkini, ruszył na pomoc Lwowowi Stanisław Kołacz, chłopiec z 1904 r., i przebył tam całą kampanję. Ochotnik ten udał się do Lwowa wraz z trzema kolegami, młodszymi od siebie. W tym samym czasie szereg młodzieńców z naszej wsi zgłasza się na ochotnika do wojska.

20.XII.1928.

ALEKSANDER HEFLICH.

Kartki te poświęcam żonie mojej Władysławie.

WSPOMNIENIA MOJE Z ROKU 1907.

Było to latem roku 1907. Korzystając z urlopu, wybrałem się z córkami do Berlina, Lipska i Drezna w celu zwiedzenia tych miast i obejrzenia galeryj obrazów. Oglądanie dzieł sztuki miało dla towarzyszek mojej podróży specjalny urok, gdyż obie malowały i oddawna pragnęły zobaczyć skarby sztuki, które dotąd znały tylko z reprodukcji.

Po kilkudniowym pobycie zagranicą znaleźliśmy się w Warszawie. Z dworca udaliśmy się karetką do domu przy ul. Hożej, gdzie nas już oczekiwano, gdyż wysłaliśmy poprzedniego dnia depeszę, o której godzinie przyjedziemy. Gdy stanęliśmy przy bramie, stróż domu wyszedł, aby pomóc znieść bagaże z karetki. Szepnął mi wtedy na ucho, że żandarmi i policja oczekują na mnie już od paru dni i, jeżeli nie chcę wpaść w ich łapy, bym do mieszkania nie chodził.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co robić, czy pojechać zpowrotem na dworzec i z Zawiercia za przepustką przekroczyć granicę, czy też śmiało wejść do mieszkania i narazić się na aresztowanie. Po krótkim namyśle postanowiłem pojechać tą samą karetką na Ordynacką do adwokata Stanisława Leszczyńskiego, z którym łączyły mnie bliższe stosunki, aby się poradzić, jak mam postąpić. Za namową adwokata L., który uważał, że może to nieporozumienie, że sprawa może się po kilku dniach wyjaśnić, wróciłem po godzinie do domu, gdzie oczekująca na mój powrót policja, po dokonaniu rewizji osobistej, przeprowadziła mnie do kancelarii komisariatu przy ul. Kruczej.

żona towarzyszyła mi do cyrkułu silnie zdenerwowana parodniowym pobytom szpicli i policji w mieszkaniu i aresztowaniem mojem. O 5-ej ppoł. pożegnałem się z żoną, uspakajając ją, że prawdopodobnie niedługo mnie wypuszczą, gdyż przez ostatnie 7 lat po opuszczeniu Cytadeli, gdzie więziony byłem przez 7 miesięcy, zajmowałem się tylko sprawami oświatowymi i wydawnictwem „Poradnika dla Samouków”.

Po paru godzinach pobytu w cyrkułe odesłano mnie razem ze stróżem z ul. Żórawiej i urzędnikiem z firmy Kowalski i Trylski, Kronikheimem, do Ratusza. Szliśmy pod opieką 4 żołnierzy z pułku litewskiego i policjanta przez ulice Kruczą, Bracką, Plac Saski i Senatorską. Jeden z żołnierzy konwoju, widocznie bardziej gorliwy niż inni, widząc, że idę, nie śpiesząc się, przyknął: „Swołocz, idi skoriejje”, na co oburzony odpowiedziałem też po rosyjsku: „Mołezi, sukin syn!”.

O 8-ej wieczorem przybyliśmy do ratusza, aby tu czekać kilka godzin na badanie przedwstępne. Dopiero o 11-ej w nocy podpisałem protokół, że do partji nie należę i ludzi partyjnych nie znam. Poczem odprowadzono mnie na górę, gdzie znalazłem się między znajomymi: Hieronimko, Frenkel, Freider, Szliferstein i inni obstąpili mnie, rozpytując o szczegóły mego aresztowania. Z powodu późnej pory należało się położyć. Kazałem sobie dać świeży siennik, gdyż bałem się spać na starym, tem bardziej, że powiedziano mi, że leżał na nim chory na świerzbę. Jako tako przespałem się, gdyż byłem bardzo zmęczony.

Nazajutrz zgodnie z przyrzeczeniem otrzymałem od żony koszyczek z prowiantami, t. zw. „wałówkę”. Nie koszyk z zawartością, lecz dowód, że pamiętają o mnie, sprawił mi wielką przyjemność. To też, gdy nadeszła godzina 1-sza, udałem się nadół, aby tam czekać przeszło godzinę na swoją kolej.

Zajmowałem celę Nr. 13 wraz z towarzyszami. Celą ta o 3 oknach, brudna, pełna robactwa, dawała się we znaki. Z powodu gorąca chodziłem przeważnie tylko w kalesonach, bez koszuli. Myłem się do pasa dwa razy dziennie, aby utrzymaniem ciała w czystości uchronić się od dolegliwości różnego rodzaju. Jako najstarszy w celi wybrany zostałem na gospodarza, którego obowiązkiem było utrzymywać w czystości celę, robić zakupy dla wszystkich i pośredniczyć w sprawach poszczególnych. Kazałem celę umyć i prosiłem o zdezynfekowanie jej karbolem. Jako towarzyszy miałem kilku młodych ludzi,

zamieszanych w sprawę zamachu na ul. Żórawiej. Byli tam: Dunin, Stiller, Kronikheim, Starczewski, stróż domu, lokaj. Prócz wymienionych siedział również właściciel kantoru ekspedycyjnego Ehrlich, osobistość niewyraźna, szantażysta — jak mówiono. Otóż Ehrlich ten stał się wkrótce pośmiewiskiem nie tylko naszej celi, lecz i całego więzienia. Co chwila rozlegały się krzyki: „Ehrlich wniz!”, „Ehrlich so wszami wniz!”. Słowem nie mógł się opędzić drwinom współtowarzyszy. Chwilami brała mnie litość nad tym człowiekiem, który cierpiał więcej niż każdy z nas, gdyż poza swojemi interesami osobistemi (geszeftami podejrzanemi czy też zwykłemi) o świecie bożym nie wiedział. Razem z nim aresztowano i eks-księdza Miłkowskiego, któremu, jak mówił E., dał przytułek u siebie i którego po paru dniach wypuszczono.

Kłozety w więzieniu ratuszowem okropne. Trzeba mieć silne nerwy, aby móc zajrzeć do nich, a jednak w tym smrodzie na ziemi leżeli ludzie, odpoczywając i wdychając to zatrute powietrze. Ludzie czy zwierzęta? Wydawało mi się, że i zwierzę nie wytrzymałoby tutaj przez czas dłuższy, więźniowie zaś leżeli tu po parę godzin w łachmanach, które oglądali, i strząsali wszy. Starczewski, artysta-muzyk, który wszedł pewnego razu ze mną do tego przybytku, dostał mdłości i wymiotów, ja z papierosem w ustach ledwo wytrzymałem.

Cela 21-a należała do złodziejów. Pewnego razu zwabili oni do siebie jednego z celi naszej, który, będąc chory, szukał doktora. Powiedzieli mu, że doktor więzienny znajduje się u nich. Gdy wszedł do celi, zamknięto ją, następnie jeden ze złodziei przyłożył rękę do piersi jego, a drugi zaczął walić w rękę pierwszego. Opukawszy go, zapisali mu receptę i wypuścili, zabierając papierośnicę srebrną i trochę gotówki.

Pomiędzy więźniami było dwu warjatów, siedzących już od dłuższego czasu. Byli oni pośmiewiskiem złodziei, którzy znęcali się nad nimi. Był także chłopak 16-letni, głuchoniemy, który rodziny nie miał i którego Ratusz przygarnął. Pod 16-ym numerem siedział bandyta „żabka”, który wydał swoich towarzyszy. Siedział on już od tygodnia w ciemnicy za to, że wyszedł zamiast brata, gdy wywoływano nazwisko jego. Pewnego razu, gdy go wypuszczono na chwilę do kłozetu, rzucili się na niego złodzieje, poszarpali na nim ubranie i pobili go strasznie. Parę dni spędziłem w tem piekle. Z powodu re-

montu więzienia postanowiono podzielić politycznych na kilka partyj i rozesłać do rozmaitych miejscowości. Zarządzający więzieniem w Ratuszu Kurakin (o którym mówiono, że był w swoim czasie katem) zamieścił mnie na liście do fortów. Z ledwością udało mi się, jako choremu, wycofać z tej partji. 10 rubli łapówki, które pozatem wręczyłem Kurakinowi, zrobiło swoje — zatrzymano mnie w Ratuszu.

Za dwa dni odchodzić miał transport do Brześcia. Do transportu tego zapisało się wielu towarzyszy, którzy chcieli podreperować zdrowie swoje, skołatane kilkutygodniowym pobytem w Ratuszu, oraz odetchnąć innem powietrzem. Przez cały dzień namyślałem się, co mam zrobić. Z jednej strony, pomimo warunków zdrowotnych, w jakich przebywałem tutaj, brała górę chęć widzenia się z żoną choćby codziennie, z drugiej—obawa, aby nie zachorować w tem piekle—nie ze względu na siebie samego, gdyż o sobie przez całe życie myślałem niewiele, lecz ze względu na najbliższych, którym życie moje i zdrowie przydać się mogą. Widzenie się moje z żoną rozstrzygnęło sprawę—po porozumieniu się z żoną postanowiłem jechać. Ciężko mi było rozstawać się z nią na czas dłuższy, tem bardziej, że w miesiąc po ślubie w r. 1899 Cytadela rozłączyła nas na długie 7 miesięcy. We czwartek dn. 4 lipca o godz. 7-ej ppoł. ruszyliśmy w liczbie 50 z Ratusza do t. zw. „pieresylnoj” na Pradze, konwojowani przez kilkudziesięciu żołnierzy pod dowództwem oficera. Szliśmy przez Danielewiczowską, Plac Teatralny, Krakowskie-Przedmieście i most. Rzeczy nasze znajdowały się na 3 dorożkach — dorożkarzom sami płaciliśmy. Na Pradze wyminęła nas dorożka, w której siedziała żona wraz z córkami. Z dorożki, wracającej zpowrotem do miasta usłyszałem wyrazy: „Olu, do widzenia!” Doznałem uczucia jakgdyby wyciągano mnie z przepaści. Żołnierz, stojący przy mnie, począł grozić i zamierzył się kolbą. Po 9-ej przybyliśmy na Pragę do „pieresylnoj”, gdzie nas ulokowano w dwu celach. Brudy okropne!... Po herbacie i zjedzeniu chleba suchego kilku z nas położyło się na ziemi, reszta zaś na gołych narach. Spać nie mogliśmy, gdyż karaluchy, pluskwy, pchły i wszy spacerowały wszędzie. Całą noc przesiedziałem... Nazajutrz mieliśmy okazję przyjrzenia się wielu „katorżnikom”. Co chwila słychać było brzęk kajdan spacerujących więźniów. Był tu słynny Mielczarek. Wyższe piętro zajmowały prostytutki i złodziejki. Przez

cały dzień przypatrywaliśmy się przychodzącym i odchodzącym „etapom”. W jednym z „etapów” do Wiatki znajdował się chłopak 14-letni, gazeciarz.

Nareszcie o godz. 7-ej przyszła i na nas kolej. Polecono nam wyjść z celi, aby nas konwój zrewidował i zabrał. Na czele konwoju był kapitan, człowiek starszy, syfilityk. Zdawało się, że będzie łagodniejszym, lecz, jak się okazało, zupełnie nie zwracał uwagi na to, co żołnierze robią z nami. Zabrano mi torbę, powyrzucano sporo drobnych rzeczy — między innymi mydło, innym potłuczono lusterka, wyrzucano stalówki, talerze, szklanki, proszek do zębów i t. p. Dobrze, że miałem jakiś stary fartuch, w który owinąłem powyrzucane rzeczy. Lewą ręką moją skuto z prawą Morawskiego kajdankami. Przeszło godzinę czekaliśmy jeszcze. Nareszcie zapalono pochodnie i konwój ruszył. Szliśmy powolnym krokiem. Co się działo w duszy każdego z nas, opisać trudno!

Przybyliśmy na pociąg. Na szczęście wagon był okratowany i dlatego, gdy pociąg ruszył, zdjęto nam z rąk kajdanki. Siedzieliśmy w wagonie jeden obok drugiego tak, że trudno było nie tylko położyć się, ale nawet głowę oprzeć o ławkę. Tak przebyliśmy całą drogę bez możliwości rozprostowania członków. Pociąg zatrzymał się przy fortecy. Tu już oczekiwał na nas konwój. Z kuferkami i zawiniątkami w rękach szliśmy 1½ wiorsty. W fortecy znowu odbyła się rewizja, którą przeprowadzali żandarmi. Następnie rozlokowano nas. W liczbie 17 zajęliśmy celę Nr. 9. Tu skończyły się wreszcie męczarnie nasze. Pokój dosyć obszerny, podłoga kamienna, powietrze w celi znośne i spacer parogodzinny wpłynęły na nas kojąco. Jemy z kotła. Ponieważ wszyscy jedzą, nie chciałem się wyłączać — tem bardziej, że jedzenie możliwe i jakoś nic nie szkodzi.

Po tylu dolegliwościach, jakich doznałem w Ratuszu, na „pieresylnoj”, w drodze do Brześcia, miałem wrażenie, że dostałem się do raju. I rzeczywiście pobyt w Brześciu pozostał w pamięci mojej jako jeden z przyjemniejszych epizodów. Komendantem więzienia był porucznik Mojsiejenko, człowiek dobry, wrażliwy na niedolę ludzką. Dzięki niemu udało się nam kupić tablicę szkolną i urządzić wykłady języka polskiego, literatury polskiej i powszechnej, arytmetyki i początków fizyki. Tablica nasza wędrowała z celi do celi — plan wykładów znajdował się w celi naszej. Razem ze mną przebywali przez czas

pewien Strug, ś. p. Antoni Lange i Wegnerowicz. Szczególniej ten rozpałił się do naszej działalności oświatowej i pracował gorliwie.

Zdawało się, że więzienie moskiewskie, o którym krążyły wśród społeczeństwa różne wieści o znęcaniu się nad przestępcami politycznymi, nie mogła być w żadnym razie placówką oświatową, a jednak zapał młodzieńczy (mówię o towarzyszach swoich, znacznie młodszych, gdyż ja już wówczas przekroczyłem czterdziestkę) i praca poprzednia w kółkach oświatowych i samokształceniowych zrobiły swoje.

Mieliśmy zajęcie i to bardzo wdzięczne, gdyż towarzysze więzienni, rekrutujący się przeważnie ze sfer robotniczych i rzemieślniczych, garnęli się do nauki. Podzieliliśmy więźniów na dwie kategorie: analfabetów i umiejących czytać i pisać. Wziąłem na siebie lekcje języka polskiego. Uczniów miałem 14: Szerwic Stefan, lat 19, ślusarz; Pasio Józef, lat 19, mularz; Fits Aleksander, lat 30, szewc; Stawicki Antoni, lat 20, szewc; Grünspan Abram, lat 19, piekarz; Gołaszewski Julian, lat 19, zecer; Szwedziński Teodor, lat 23, malarz; Ossowski Jan, lat 23, pończosznik; Ławiński Franciszek, lat 19, szewc; Czerwiński Wacław, lat 20, szewc; Markowski Klemens, lat 22, krawiec; Skrzyński Jan, lat 22, malarz; Melman Chyl, lat 17, felczer¹⁾.

Dwa miesiące pobytu mego w więzieniu przeszły prawie niepostrzeżenie. Porucznik Mojsiejenko wiedział o tej naszej działalności. Zastrzegł sobie tylko w rozmowie ze mną, aby wieści o tem nie wychodziły poza mury więzienia. Często przychodziły do kancelarji więziennej paczki z bielizną, ubraniem, mydłem i rozmaitemi drobiazgami z Brześcia i Warszawy, przeznaczone dla „politycznych”. Porucznik M. wzywał mnie wtedy jako najstarszego w celi do siebie i polecał mi podzielić te rzeczy między potrzebujących, uważając, że zrobię to lepiej od niego, znając położenie współtowarzyszy.

Podobnego rodzaju postępowanie oficera rosyjskiego, który miał nadzór nad więźniami politycznymi, zniewoliło mnie, gdym opuszczał mury więzienia, do wystosowania do niego listu, w którym podziękowałem mu w imieniu własnem i spół-

¹⁾ Przytoczyłem umyślnie nazwiska, wiek i zajęcie, aby stwierdzić, z jakich sfer rekrutowali się uczniowie moi.

towarzyszy za tak humanitarne obchodzenie się z podlegającymi jego pieczy więźniami.

Co poniedziałek odbywały się „widzenia” więźniów z rodzinami, przyjeżdżającymi z Warszawy i innych miejscowości w tym celu. Do mnie przyjeżdżała co tydzień żona, aby po nieprzespanej nocy w podróży stanąć z rana u bramy więziennej i czekać parę godzin, dopóki jej nie wpuszczą do kancelarji. Jednego dnia przyjechała wraz z synkiem naszym 6-letnim. Aby dziecko nie czekało zbyt długo, porucznik Mojsiejenko wziął je za rękę i przywiódł do celi mojej, gdzie przebywało, dopóki nie wpuszczono matki na widzenie się ze mną. To również świadczyć może o sercu komendanta więzienia.

Pewnego poniedziałku, podczas widzenia się z żoną, wręczyłem jej notatkę, która ukazała się w „Nowej Gazecie” jeszcze za pobytu mego w Brześciu. Przytaczam ją poniżej, aby scharakteryzować nastrój, jaki panował wśród więźniów podczas tego „święta więziennego”, jak nazywaliśmy każdy poniedziałek.

Brześć Lit. dn. 14.8.1907 r.

„Poniedziałek... dzień ten w życiu więziennem jest prawdziwym świętem.

Już w niedzielę rano odczuwać się daje jakiś niezwykły nastrój wśród towarzyszy. Każdy myśli o tem, że jutro zobaczy twarz ukochaną, dowie się czegoś, dostanie coś z domu. Nawet ci, których nikt nie odwiedza, rozpytują z niekłamana radością towarzyszy, kto do nich przyjedzie. A może i oni, pozbawieni możliwości zobaczenia najbliższych, skorzystają ze sposobności, jaka się im zdarzy? Może i oni za pośrednictwem przyjeżdżających otrzymają jakiekolwiek wiadomości z domu i dowody pamięci?

Nareszcie nadszedł dzień oczekiwany! Wszyscy wstają wcześniej niż zwykle. Cele przybierają wygląd świąteczny. Każdy z towarzyszy stara się o to, aby wyglądać jaknajprzyzwoiciej. Na koszulach zjawiają się kołnierzyki i krawaty, których przez cały tydzień nie widać.

Reduta, w której się mieścimy, przedstawia niezwykły widok po godzinie 8-ej rano, gdyż o tej porze przed bramą, prowadzącą do murów więziennych, zbierają się osoby, które otrzymały pozwolenie na widzenie się z więźniami.

Żołnierze dozorujący nie mogą sobie dać rady z uwięzionymi, którzy pną się po wałach, stają na krużganku, wiodącym do ustępu, aby stamtąd choć na chwilę zobaczyć oczekujących. Charakterystyczną rzeczą jest to, że wśród więźniów, biorących najczynniejszy udział przy wdzieraniu się na miejsce, skąd ujrzeć można gości, są przeważnie tacy, do których nikt nigdy nie zagląda.

Po paru godzinach oczekiwania, kóre zdają się być wiekami dla wybranych, nareszcie otwierają się podwoje, aby wpuścić pierwszą partję oczekujących, złożoną z kilku osób.

Trzeba widzieć wtedy twarze więźniów, przyglądających się temu pochodowi rodziców, żon, dzieci, prowadzonych przez patrol! Na obliczu każdego towarzysza maluje się wzruszenie, uczucie piękne, wykwitające tutaj z większą siłą niż gdzie indziej. Więźniowie wrażliwi są zarówno na cierpienia, jak i na radość towarzyszy. Szkoła, jaką tu przechodzą, wywiera niezatarte piętno na późniejszym ich życiu. Egoiści tracą grunt pod nogami, stają się ludźmi, pojmującymi, że szczęście osobiste nie daje pełnego zadowolenia.

Dwadzieścia minut widzenia przechodzi jak chwilka dla stron obu. Czyż można w tak krótkim przeciągu czasu wypowiedzieć choć część myśli tłoczących się w głowie? Zwykle widzenie kończy się na wzajemnem przypatrywaniu się sobie... Chciałoby się z oczu ukochanej osoby wyczytać to wszystko, czego usta nie wypowiedziały...

I oto ostatnia partja wkracza do twierdzy... Dzień święteczny ma się ku końcowi... Promyk słońca, który na chwilę zajaśniał i światłem swoim wlał życie w masy, oczekujące go z upragnieniem, zgasł... Ukaże się znowu za tydzień, witany z niemiejszą radością”.

Raz tylko podczas przebywania mego w Brześciu przyjechał pułkownik żandarmerji Zawarzin, aby zbadać więźniów. Ulokował się w kancelarji i po jednym wzywał do siebie uwięzionych. Opowiadali mi ci, kórzy wychodzili po badaniu, że prawie każdemu proponował wypuszczenie z więzienia, o ile zgodzą się na zaszczytne, dobrze płatne stanowisko szpiega. Gdy kolej przyszła na mnie, udałem się do kancelarji z postanowieniem plunięcia w twarz żandarmowi, gdyby spotkała mnie podobnego rodzaju propozycja, nie zastanawiając się nad

tem, jakie następstwa spowodować mógłby mój czyn. Na stole, przy którym siedział Zawarzin, leżał nabity rewolwer.

Pierwszy zabrałem głos, pytając żandarma, dlaczego i za co trzymają mnie w fortecy już kilka tygodni. Odpowiedział mi po namyśle: „Za kulturnuju rabotu”. Wtedy zaznaczyłem, że nie uważam pracy swej za grożącą zgubą Państwu Rosyjskiemu i, choćby trzymano mnie w więzieniu jeszcze parę lat, to po wyjściu będę się zajmował w dalszym ciągu tem, czem się zajmowałem przed aresztowaniem. Następnie Zawarzin przypomniał mi pobyt w Petersburgu, dokąd udałem się na zjazd Ligi Oświaty z ramienia Towarzystwa kursów dla dorosłych analfabetów i gdzie wybrany byłem na wice-przewodniczącego Zjazdu. Zjazd ten, jak wiadomo, rozwiązany był przez policję z powodu wyrażenia jednego z uczestników protestu przeciw karze śmierci w Rosji. Zwróciłem uwagę żandarmowi, że zjazd ten zaszczycił swoją obecnością W. Ks. Konstanty, a zatem był on prawomyślny, i że tylko sprawy oświatowe skłoniły mnie do podróży. Na uwagę tę odpowiedzi żadnej nie otrzymałem. Wkońcu żandarm uznał fakt znalezienia u mnie podczas rewizji kilku książek niecenzuralnych za obciążający w dostatecznym stopniu. Żadnych propozycji, uwłaczających mojej godności osobistej, nie było. Wychodząc, prosiłem o jak-najszybsze zakończenie mojej sprawy, gdyż do winy żadnej się nie poczuwam. W dwa tygodnie później zwolniono mnie z więzienia w Brześciu i nakazano wyjazd do Rosji lub zagranicę. Wybrałem to ostatnie i znalazłem się w Krakowie, gdzie, aby nie tracić czasu bez pożytku, zapisałem się na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego i brałem czynny udział w pracach stowarzyszenia akademickiego „życie”.

PIOTR KOCZARA.

PUŁTUSKIE W LATACH 1915 — 1918.

W powiecie pułtuskim chłop do końca dziewiętnastego stulecia nie odegrał żadnej roli politycznej. Echa powstania Kościuszkowskiego i Uniwersału Połanieckiego nie obity się pewnie głębiej o dusze naszych ojców i matek. Nieznane im też były później wielkie wskazania polityczne Mickiewicza, Libelta i in. i dlatego chłop tutejszy w całej swojej masie był w czasie ostatniego powstania w r. 1863 obojętny — nie ze swojej winy — dla sprawy narodowej. To też to, co się działo w latach 1915 — 1918, tem więcej zasługuje na uwagę. W wielkim wysiłku o wyzwolenie Polski wystąpił wtedy na widownię lud wiejski, nie popierany ani przez księży, ani przez właścicieli folwarków, rozpoczął szeroką akcję niepodległościową sam, prowadząc ją niekiedy w bardzo ciężkich i niebezpiecznych warunkach. Dzięki temu powiat pułtuski w dziejach ruchu i walk niepodległościowych odegrał rolę wybitną i mógł w pracy organizacyjnej i peowiackiej oddziaływać na sąsiednie powiaty.

Trzeba przedtem stwierdzić, że obszarnicy zgubili się w 1916 r. Ruchu, jaki ogarnął okolicę, nie poparli. Stracili wraz z całą Narodową Demokracją orjentację polityczną. Endecja długo wierzyła w autonomję Królestwa Polskiego pod berłem Romanowych i idei niepodległości Polski nie chciała traktować poważnie. Księża też „nie wtajemniczali się” w to, co się działo w powiecie, narazie jeden z nich, ks. F., wszedł do organizacji powiatowej, lecz w miesiąc potem pośpiesznie się z niej wycofał.

W Pułtuskim największe usługi oddali sprawie prof. Wyrwiński i F. Napierkowski. Sam Pułtusk jednak nie był ośrodkiem ruchu dla okolicy. Zorganizowany ruch niepodległościowy szedł tutaj ze wsi. Szedł ze wsi pobliskich i dalej położonych od Pułtuska. Szedł wyraźnie od tych wsi, w których na długi czas przedtem rozwijała się praca społeczno-oświatowa i kulturalna, gdzie lud wychowywano w kierunku samodzielnych poczynań i żądano od niego znacznie więcej, niż tylko dobrego gospodarowania na wsi... Były to wsie, gdzie prosperowały kółka rolnicze im. Staszica i gdzie pracowali „Zaraniarze”.

Ktokolwiek interesował się w owe czasy życiem publicznym w byłej Kongresówce — widział to wszędzie. Stwierdzili fakt ten legjoniści po wkroczeniu do Królestwa. Tam przyjmowano ich sercem, tam były silne dążności niepodległościowe, gdziekolwiek spotykali osiedla zaraniarskie. To nie był zwykły przypadek. Był to błogosławiony skutek ośmioletniej działalności społeczno-obywatelskiej kółek Staszicowskich. W tych organizacjach bowiem pouczano lud nie tylko o sprawach gospodarczych, lecz mówiono mu i o wolnej Polsce ludowej...

I u nas w Pułtuskim ruch niepodległościowy mógł się pomyślnie rozwijać tylko na podłożu blisko dziewięcioletniej pracy kółek rolniczych im. Staszica i dlatego też pracy tej pokrótce przyjrzeć się musimy.

W 1906 r. prawdziwi przyjaciele ludu: Wł. Symonowicz, M. Malinowski, Jan Kielak i inni zakładają Towarzystwo Kółek Rolniczych im. Staszica. Siedzibą tego Towarzystwa była Warszawa, a cel — moralne i materialne podniesienie ludu. Już pod koniec tegoż roku powstają w powiecie pułtuskim 3 kółka rolnicze im. Staszica: w Kacicach, Gnojnie i Ochudnie. Były to pierwsze zwiastuny zbiorowej samodzielnej pracy chłopskiej. W Kacicach staje na czele kółka Łukasz Deptuła, w Ochudnie — Antoni Abrameczyk, w Gnojnie — młody, dużo obiecujący, Wincenty Warda. Teren działalności kółek obejmował nie tylko pojedyncze wsie. Na zebraniu organizacyjnym kółka staszicowskiego w Gnojnie, na którym miałem zaszczyt być z nieodżałowanej pamięci Janem Adamowiczem, byli gospodarze z Gnojna, Bobów, Chmielowa i Przeradowa. Kółko rolnicze w Ochudnie już w następnym roku miało 80 członków.

A Kacice wogóle nie dawały się wyprzedzić, i pod względem gospodarczym i ogólnej kultury — przodowały.

„Zaranie”, które w owe czasy zaczął wydawać M. Malinowski, było ideowym kierownikiem pracy w kółkach im. Staszica. Sam redaktor odwiedził w 1907 r. nowozałożone kółka w Pułtuskiem, wygłaszając szereg pogadanek w Kacicach, Gnojnie i Ochudnie. W czasach tych rozpoczęła się wielki postęp na wsi tutejszej. Można nazwać moment ten przełomowym w życiu drobnego rolnika. W gospodarce rolnej zaczęto stosować nowe, dotychczas nieznanne, sposoby mechanicznej uprawy roli. W tym czasie wprowadzono siew rzędkowy, zaczęto używać nawozów sztucznych. Za dwa lata przychodzi spółdzielczość rolnicza. Rozpoczął się też ruch umysłowy. Przy kółkach powstają biblioteki, młodzież idzie do szkół rolniczych.

Do r. 1910 ilość kółek rolniczych im. Staszica w pow. pułtuskim wzrosła w czwórnasób. W październiku tegoż roku odbył się w Pułtusku w sali Towarzystwa Kultury Polskiej pierwszy powiatowy zjazd kółek. Był to pierwszy samodzielny zjazd chłopski na terenie tutejszego powiatu. Omawiano na zjeździe sprawy gospodarcze, zaangażowano bez żadnej pomocy z zewnątrz instruktora. Poza tem zjazd ten miał wielkie znaczenie społeczne. Chłop, który dotychczas żył życiem swej wsi, co najwyżej parafji, poczuł i zrozumiał swą siłę w powiecie.

Polityczne znaczenie podobnych zjazdów docenili przedewszystkiem ówczesni nasi „rządzący”, nie chcąc zalegalizować powiatowego Związku kółek Staszicowskich w Pułtusku i utrudniając w przyszłości sprawy powiatu. Mimo to ruch zaraniarski wzrastał i kółka staszicowskie tworzyły w okolicy Pułtuska coraz większą siłę społeczną ludu. Widzieliśmy to w r. 1912, kiedy okolica Pułtuska podejmowała iście po królewsku wielką wycieczkę szkół rolniczych ludowych z Jadwigą Dziubińską na czele.

To, co się robiło po drugiej stronie, w kółkach Centralnego Towarzystwa, mogło mieć znaczenie gospodarcze, ale nie wychowawcze ludu, nie budziło w nim wielkich i szlachetnych ambicji, nie mówiło mu, czem on ma być w narodzie, i nie przygotowywało zresztą do tych rzeczy, które on winien był podjąć w latach 1915 — 1918.

To też w 1915 r. w Pułtuskim rozpoczęli akcję niepodległościową ludzie, owiani duchem kółek Staszycowskich — „Zaraniarze”.

Już w miesiąc czy półtora po olbrzymich zmaganiach rosyjsko-niemieckich na linii Narwi przybył do Kacie M. Głuchowski, ojciec znanego legjonisty, oficera z oddziału Beliny. Były to czasy wielkiego zniszczenia. Połowę wsi w powiecie pułtuskim spalono. Zbiory poniszczone, inwentarz zrabowany. Wiele ludzi w zaborczych, mordujących się nawzajem, armjach. Okupant plądrował po zniszczonych wsiach i resztę mienia zbiedzonej, zropaczonej ludności wiejskiej zabierał. Głuchowski mówił Kaciczanom o działalności Legjonów i o potrzebie organizowania w narodzie całym olbrzymiego ruchu niepodległościowego. I uświadomiony już przedtem na gruncie kółek i „Zarania” lud szedł ku temu szybkim krokiem.

W powiecie pułtuskim planowa akcja rozpoczyna się na początku 1916 r. Centralny Komitet Narodowy przysłał tu wtedy swego oficjalnego przedstawiciela, A. Erdmiana. Na konferencji w Kacicach Erdman oświadczył, iż pragnąłby odbyć na terenie powiatu pułtuskiego zebranie, w którym uczestniczyliby przedstawiciele wszystkich stanów i organizacji. Było to stanowisko słuszne. Zebranie odbyło się we wsi Witach w domu Piotra Skoroszewskiego. Obecni byli na niem: Fortunat Napierkowski (Pułtusk), jako przedstawiciel Narodowego Związku Robotniczego; Damian Gniazdowski, prezes okr. Towarzystwa Rolniczego, i Marcei Tański z Gąsiorówki, przedstawiciele Narodowej Demokracji; Jan Ejdys, Stanisław Deptuła, Wł. Koszest i Kociura z grupy zaraniarskiej, do której zgłosili też akces zaraz na wstępie zebrania: Piotr Żebrowski, Piotr Skoroszewski i Leon Świerczewski.

Cel, jaki przyświecał inicjatorom zebrania na Witach, nie został osiągnięty w pełni. Przedstawiciele Narodowej Demokracji przedwcześnie opuścili zebranie, stwierdzając, że właściciele folwarków nie solidaryzują się z ruchem niepodległościowym na terenie pow. pułtuskiego. Z punktu widzenia narodowego był to objaw bardzo smutny. Pozostali w izbie reprezentanci organizacji ludowych sami ułożyli plan akcji niepodległościowej w okolicy, postanawiając: a) nieść uświadczenie wszędzie; b) tworzyć organizacje Centralnego Komitetu Narodowego we wszystkich gminach; c) tworzyć kółka peo-

wiackie; d) przygotowywać grunt do powiatowego zjazdu niepodległościowego, jaki miał się odbyć w drugiej połowie maja w Kacicach.

Przyjęte na Witach postanowienia dały się wykonać. Działacze nasi bez wahania zwrócili się z akcją swoją do kółek Staszicowskich. Tam był już teren przygotowany. Zebrania kółek mogły się odbywać jawnie, w obecności członków kółka można było mówić o wszystkim. Zbierano więc starszych, zbierano młodzież, uświadamiano się, radzono nad potrzebami chwili, organizowano się politycznie i robiono wszystko, ażeby pierwszy, potajemnie urządzony, zjazd niepodległościowców udał się. Zjazd bowiem kacicki miał być pierwszym przeglądem sił w powiecie, miał przyjąć szczegółowy plan pracy, wreszcie na zjeździe miał być obecny znany literat, legjonista, Wacław Sieroszewski.

Jednocześnie kółko rolnicze im. Staszica w Kacicach robiło starania u miejscowych władz okupacyjnych o legalizację odczytu p. t. „Wojsko polskie w okresie konstytucji 3 maja”, który miał być wygłoszony przez Wacława Sieroszewskiego w teatrze pułuskim. Starania Kaciczan zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Niemcy, nie orjentując się w rzeczy, na odczyt pozwolili i wieść o tem rozeszła się lotem błyskawicy po okolicy.

Zarówno zjazd kacicki, odbyty w dniu 21 maja, jak i odczyt, udały się doskonale. Do Kacic przybyli ludzie ze wszystkich zakątków pow. pułuskiego, co świadczyło, iż ruch niepodległościowy rósł szybko. Ze sprawozdań okazało się, że robotę prowadzili dzielni rolnicy i pewna część nauczycieli. Obszarnicy nie szli z ruchem i ludem, czego zapowiedź stwierdziliśmy zresztą na zebraniu w Witach. To też mąż zaufania J. Piłsudskiego, jakim był niewątpliwie Wacław Sieroszewski, jadąc w Pułuskie z misją niepodległościową, nie oparł się tutaj ani o większych właścicieli ziemskich, ani o księży — oparł się o lud. Jeden z „zaraniarzy”, zagajając zjazd kacicki i witając Sieroszewskiego, podkreślił ten moment, mówiąc, iż ziszczają się nadzieje największych ludzi w Polsce.

Sieroszewski czuł się w Kacicach bardzo dobrze. Pozostał tam jeszcze jeden dzień, w tym bowiem czasie szły pośpieszne przygotowania do jego odczytu w Pułusku. Odczyt ten był tylko dalszym ciągiem zebrania kacickiego. To, co Sieroszewski

mówił w Kacicach do stu ludzi, miał w innej formie mówić do tysiąca w Pułtusk. W Kacicach mówił wyraźnie o zamierzeniach Piłsudskiego, działalności Legjonów, o potrzebie współdziałania z nimi. W Pułtusk ubierał to w formę odczytu „o wojsku polskiem w czasie konstytucji 3-go maja”.

Zainteresowanie odczytem było wielkie. Interesowała się okolica, zaczął interesować się i Pułtusk. Jakto! — Co? Przyjedzie głośny pisarz, przyjedzie Sieroszewski na jakąś konferencję do chłopów? Kacicie kółko rolnicze urządza jego odczyt w teatrze pułtuskim?! To też nietylko sala teatru, ale wszystkie wejścia były wypełnione publicznością po brzegi. Scena, na której przemawiał literat, była pięknie udekorowana przez kaciczanki. Sieroszewski mówił z wielką siłą. Kiedy poruszył ostatnie czasy, powstał na sali wielki entuzjazm. Nietylko serca działaczy, ale serca mas rwały się ku Polsce wolnej.

Odczyt i zjazd kacicki miały dla ruchu niepodległościowego znaczenie olbrzymie. Od tej pory ruch po powiecie zaczął rozlewać się prawie żywiołowo. Endecja była tem wszystkim więcej, niż zaskoczona. Pamiętam jak pod koniec odczytu Sieroszewskiego przybył do Pułtuska jeden z najwybitniejszych miejscowych obszarników, M. G., i jak w sposób, który można najrozmaiciej tłumaczyć, gratulował naszym działaczom „pięknej i dużo obiecującej” pracy.

Praca ta coraz mocniej stawała na nogach. Po okresie przygotowawczym, prowadzonym przez organizacje gminne, przystąpiono do organizowania P. O. W. Duszą tej pracy w pow. pułtuskim był Stanisław Bojakowski (Widoń). Był to przepiękny typ człowieka, szlachetny, ofiarny, od najmłodszych lat „zaraniarz”, syn chłopski z Kujaw. Bojakowski miał duszę niezmiernie ujmującą. Kiedy mieszkał przez parę miesięcy w Kacicach, lubiany tam był przez wszystkich. Stamtąd też robił wycieczki po całym powiecie, organizując młodzież i kładąc mocne podwaliny pod miejscowy oddział P. O. W. W pracach tych pomagali mu: Piotr Żebrowski, Zygmunt Warren, Nodrychowski, Ej dys, Pomaski (pow. makowski) i inni. Pod koniec 1916 r. Bojakowski opuścił Pułtusk i jego miejsce zajął profesor Wyrwiński.

Rozrastająca się na terenie powiatu P. O. W. potrzebowała z dnia na dzień opieki moralnej i materialnej. Opiekę tę trzeba było ująć w jakąś formę organizacyjną. W tym celu

utworzony został powiatowy Komitet Pomocy Wojskowej. Przewodniczącym komitetu został Feliks Grzebski z Jackowa (jedyne przedstawiciel większej własności rolnej, biorący czynny udział w pracach niepodległościowych), pozatem czynni byli w pracach komitetu: Piotr Skoroszewski, St. Deptuła, J. Ejdys i inni. Na terenie miasta Pułtуска szczególnie czynna była Z. Wyrwińska.

Komitet zbierał ofiary w pieniądzu, urządzał szereg przedstawień teatralnych. Lwia część datków szła od ludu, stwierdzaliśmy to zawsze i wszędzie. Dawały jednostki, dawały organizacje ludowe. W księżce kasowej b. kółka rolniczego im. Staszica w Kacicach po dziś dzień widzimy kilka poważniejszych pozycji rozchodowych w 1916 i 1917 r. na skarb wojskowy. Jeszcze większe datki na powyższy cel przeznaczała, prowadzona przez „zaraniarzy”, Rada Opiekuńcza gm. Klonowo (jedyna zresztą w całym powiecie).

Powyższa Rada Opiekuńcza subsydjowała jednocześnie inną instytucję, związaną bardzo silnie z ruchem niepodległościowym w okolicy. Instytucją tą była nowozałożona szkoła rolnicza w Pułtusku. Założona przez kółka rolnicze im. Staszica w 1916 r., uczelnia ta potrafiła przyciągnąć do siebie nietylko najlepiej myślącą młodzież w powiecie i młodzież tę kształcić wszechstronnie, lecz zainteresowała sobą i starsze społeczeństwo, wywierając wpływ swój zbawienny na wszystkich.

W szkole nauczali ludzie o głośnych nazwiskach: nauczano lud rolnictwa, ale nauczano go i przygotowywano do spełnienia zadań, jakie wówczas przed narodem całym stały. Szkoła była terenem tajnych sprawozdań i wykładów z dziedziny wojskowości. Tam się głównie zbierali nasi niepodległościowcy, tam się naradzali. Tam stale lud okoliczny się gromadził i czuł się jak u siebie, bo szkoła wszak była jego własnością...

Pod koniec 1916 r. powstaje Polskie Stronnictwo Ludowe Wyzwolenie. Wyzwolenie, jako organizacja polityczna ludowa, tworzy się głównie z elementów „zaraniarskich”. Już w początkach następnego roku chłopcy w powiecie pułtuskim ławą przystąpili do tego stronnictwa, i akcja niepodległościowa prowadzona jest od tej pory pod kierunkiem Wyzwolenia.

Przyszły czasy internowania legionistów w obozach kon-

centracyjnych Szczypiorny, Benjaminowa, uwięzienia Komendanta Piłsudskiego w Magdeburgu. Ruch niepodległościowy musiał się tem bardziej kryć pod ziemią. Powiat pułtuski odczuwał to narówni z innymi okolicami. Pracę przerzucono wtedy na kółka rolnicze im. Staszica. Panna Bojarska, instruktorka kółek (rolniczych), rozpoczęła szeroką akcję oświatową.

W jesieni 1917 r. odbyto większe zgromadzenie rejonowe w Porządnie, Winnicy, Dzierżeninie i Gnojnie. Zaczęto też w tym roku wywierać wpływ na sąsiednie powiaty i skutek tego był poważny, gdyż na zjeździe, odbytym w końcu października w Kacicach, mieliśmy poza naszym powiatem przedstawicieli powiatów makowskiego i płońskiego.

Peowiacy z komendantem Wyrwińskim na czele prowadzili bardzo energicznie pracę. Ćwiczono się po zaułkach miejskich i w lasach pobliskich, słuchano często wykładów po chatkach, a zbiórki peowiackie okręgowe, urządzone po lasach nadnarwiańskich, mówiły o dużej sile i liczbie zorganizowanych.

W tym mniej więcej czasie rozpoczął się już większy ruch w Pułtusk. Zaczęły odbywać swe zebrania „kluby międzypartyjne” w sali „Lutni”, przewodził tej pracy M. Klott, instruktor Powiatowej Rady Opiekuńczej. Miało to jednak znaczenie teoretyczne.

W lecie w 1918 r., a już szczególnie w jesieni tegoż roku potęga militarna Niemiec zaczęła się łamać. Naród nasz coraz więcej był pewny niezawisłości. Wyzwolenie rozpoczęło silną akcję organizacyjną, przeprowadzając potajemną walkę z okupantami i wspierając wszystkie peowiackie zamierzenia. W nocy z 17 na 18 października 1918 r. przyszedł moment czynu. P. O. W. przerwała pod Pułtuskim wszystkie połączenia telegraficzne i telefoniczne. Na szosie Pułtusk — Nasielsk i Pułtusk — Wyszaków wywrócono słupy telegraficzne na przestrzeni kilku kilometrów, ażeby uniemożliwić okupantom komunikację ze światem. W końcu tego miesiąca potęga niemiecka na zachodzie była całkowicie złamana, przed narodem polskim otworzyły się wrota wolności. Młodzież wiejska z P. O. W. śmiałym czynem otwierała je szeroko naoścież.

Zarząd główny Wyzwolenia pośpiesznie organizował na 1 listopada kongres stronnictwa w Warszawie. Po kongresie przystąpiono do jawnej już walki z okupantami i postanowio-

no łącznie z P. P. S. utworzyć pierwszy samodzielny rząd w Polsce. Rząd ten powstał w dniu 7 listopada w Lublinie. Z ramienia P. S. L. Wyzwolenie wchodził do niego: Tomasz Nocznicki, Błażej Stolarski, Juljusz Poniatowski i Stanisław Thugutt.

Był to pierwszy Rząd Ludowy.

Do Pułtuska wiadomość o utworzeniu się Rządu Ludowego nadeszła w piątek, 8 listopada. Wiadomość tę w kołach niepodległościowych kolportowano z ust do ust z radością. Manifest rządowy odczytywano z największym zaciekawieniem i czcią. Tegoż dnia zarząd powiatowy Wyzwolenia postanowił urządzić w najbliższą niedzielę w Kacicach wielkie zgromadzenie ludowe, o czem powiadomiono wszystkie organizacje gminne.

W dniu 10 listopada 1918 r. na wieść o powstaniu Rządu Ludowego w Lublinie odbyło się w Kacicach wielkie zgromadzenie. Pierwszy przemówił w gorących słowach przybyły z Warszawy redaktor M. Malinowski. Wskazał on na ważność chwili dziejowej i rolę, jaką w niej powinien odegrać chłop. Następnie przemawiali: Piotr Skoroszewski, Piotr Żebrowski i Jan Ejdys. Zebrani przyjęli rezolucję, w której wyrażali hołd i oddanie się Rządowi Ludowemu w Lublinie. Przyjęto drugą rezolucję, ażeby się natychmiast opodatkować na rzecz własnego Rządu — i oto złożono na ręce Piotra Skoroszewskiego około 4.000 marek, co się równało w owe czasy z górą 1.500 rublom w złocie. Ofiara, złożona na rzecz Rządu Lubelskiego przez Zgromadzenie ludowe, odbyte w dniu 10 listopada 1918 r. w Kacicach, jest dokumentem historycznym.

Chłop pragnął Polski Niepodległej, pracował dla jej wyzwolenia, a skoro zobaczył pierwszy własny rząd, popierał go doraźnie swym ciężko zapracowanym groszem.

Na zgromadzeniu kacickim wybrano powiatową radę ludową, która następnego dnia łącznie z miejscową P. O. W. rozbroiła Niemców i przejęła wszystkie urzędy w Pułtusku. Walka z okupantami była ukończona, obóz niepodległościowy mógł triumfować. Lud wiejski spełnił swoją powinność...

Ruch niepodległościowy w powiecie pułtuskim zasługuje zewszecmiar na uwagę. Krzewił się on tutaj bujnie, gdyż znajdował dla siebie ludzi niepospolitych. Najbardziej zasłużeńi w tym ruchu, ludzie o wielkich naprawdę sercach i poświęceniu, jak: Stanisław Bojakowski, Piotr Skoroszewski, Piotr Żebrowski, Leon Świerczewski, Zygmunt Waren i Z. Wyrwińska, legli już w mogiłach. Niech potomność wie o ich ofiarnej pracy, a wspomnienie to niech będzie w pierwszym rzędzie uczczeniem Ich drogiej dla nas pamięci.

WŁODZIMIERZ GIEROWSKI.

KRÓLEWSKO - POLSKA KOMISJA WOJSKOWA ¹⁾.

V.

Okres od września do 26 października 1918 r.

Z końcem lipca i w początkach sierpnia sytuacja na froncie zachodnim nie pozwalała już utaić wyraźnej klęski niemieckiej, a równocześnie z nią następował upadek prestige'u politycznego Niemiec. Stosunek ich do państwa polskiego ulega radykalnej zmianie. Bardzo charakterystyczny w tej sprawie jest memoriał Bülowa, niemieckiego przedstawiciela przy c. i k. Wojskowym Gubernatorstwie Lubelskiem z dn. 27.IX 1918 do Szefa Sztabu Generalnego Armji polowej Niemieckiej Wielkiej Kwatery Głównej. Uważa on, że kwestja polska, codziennie zyskująca na znaczeniu, może się stać groźnem dla Niemiec niebezpieczeństwem. Nie są już, zdaniem jego, do osiągnięcia poważne koncesje terytorjalne ze strony polskiej, jak np. odstąpienie części obszaru przemysłowego Będzina. W dalszych pertraktacjach z Polakami, jako konieczność, od której zależy sukces, wysuwa niezbędną szczerą życzliwość i największą ustepliwość na każdym kroku, oraz skierowanie wzroku na wielkie sprawy i porzucenie dotychczas stosowanych drobnych „szachrajstw”. Pomędzy innymi sprawami jako „piekącą” stawia on kwestję rozbudowy Polskiej Siły Zbrojnej. Zestawia jej śmiesznie małe stany liczebne ze stanami formacyj polskich, zorganizowanych po stronie Koalicji, i ostrzega Szefa Sztabu przed niebezpieczeństwem, jakie

¹⁾ Patrz zeszyt 7, str. 127 — 150.

wynika ze wzrostu wpływów w społeczeństwie polskiem tych stronnictw, które dążą do uregulowania sprawy polskiej w drodze międzynarodowej, to jest przez Koalicję. Mówi też, że w razie dalszych powodzeń generała Hallera, zbierającego swoją „amerykańsko-polską” armję dla oswoobodzenia Ojczyzny, zachodzi możliwość jawnego buntu w kraju, co przysporzy Niemcom największych, być może, trudności.

Następnie, podkreślając lojalność Korpusu Oficerskiego Polskiej Siły Zbrojnej (Wehrmachtu) i jego przekonanie, że Polska musi iść ręką w rękę z Niemcami, przypuszcza, że i to uległ może zmianie wobec postępów formowania wojska polskiego po stronie Koalicji i że przy równoczesnem uniemożliwieniu stworzenia w Królestwie nawet małej stosunkowo armji doprowadzić może do rozpadnięcia się Polskiej Siły Zbrojnej, a przez to do wyłączenia ważnego, nawet najważniejszego kontaktu z Polakami. Z drugiej strony, uważa on, że wszystkie formacje wojskowe, znajdujące się poza Polską, stracą na sile atrakcyjnej i znaczeniu politycznem, jeśli utworzy się armję w samej Polsce. Twierdzi przytem, że „trzeba ponosić ryzyko, związane bezwątpienia z tem przedsięwzięciem, a ryzyko to niżej należy oszacować, niż skutki zaniechania”. Dalej wysuwa propozycję wzmocnienia Polskiej Siły Zbrojnej przez wcielenie do niej, po starannej segregacji, oficerów i podoficerów Korpusu Muśnickiego i oficerów z niemieckich obozów jeńców, którzy w styczniu 1917 zgłosili się do Polskiej Siły Zbrojnej na pierwszą odezwę. Uzupełnienie takie mogłoby, zdaniem jego, dać w niewielu miesiącach, wraz z „Wehrmachtem”, kadry dla korpusu, liczącego od 20 do 30 tysięcy żołnierzy. W wojsku tem wiecznie chwiejący się prząd polski znalazłby wreszcie tak konieczne już dlań teraz oparcie i dopiero dzięki niemu byłby w możności przeprowadzenia swej woli. Bülow kończy swój memoriał słowami: „W każdym wypadku polska armja stanowiłaby jedyną zdrową podstawę dla odbudowy państwa i przedstawiałaby również dla nas najlepszy środek, by móc, co jest koniecznością, oddziaływać na rozwój organizmu państwowego”.

Nie znalazłem danych, stwierdzających, że pogląd Bülowa na dalszą politykę Niemiec w stosunku do Polski został zaakceptowany, niemniej cały stosunek Niemców do Polski i Polskiej Siły Zbrojnej od końca września 1918 ulega radykalnej

zmianie i jest realizacją wytycznych tego memorjału. Niemcy chcą utrzymać w swych rękach ścisły kontakt z państwem polskim, którym jest dla nich Polska Siła Zbrojna, i nawet, ryzykując wiele, godzą się na dalszy jej rozrost, uzbrojenie i usamodzielnienie.

W tym czasie zwycięstwo Koalicji stawało się coraz bardziej oczywistem. W dniu 26 września 1918 Bułgarja prosiła o pokój, a zawieszenie broni z nią nastąpiło w 3 dni później. W dniu 5 października 1918 Niemcy, Austrija i Turcja zwróciły się do prezydenta Wilsona z prośbą o zawarcie pokoju, przyjmując przytem warunki, określone w 14 punktach jego orędzia z 8.I.1918 i w dodatkowych późniejszych deklaracjach. Wśród punktów orędzia prezydenta Wilsona 13 dotyczył utworzenia niezawisłego państwa polskiego z obszarów, zamieszkałych „niewątpliwie przez ludność polską”, z wolnym dostępem do morza, z gospodarczą niezawisłością i terytorjalną nienaruszalnością, zagwarantowaną przez układ międzynarodowy.

Wypadki te odbijały się mocno na stosunkach w Polsce. Z jednej strony ośmielały i zachęcały ówczesne władze polskie, t. j. Radę Regencyjną i jej organa wykonawcze, do energiczniejszych poczynań, z drugiej wpływały na okupantów, którzy, czując się coraz słabszymi, okazywali znaczną ustępliwość i miękkość wobec nowych żądań polskich.

Pierwszym objawem zmienionego nastroju czynników polskich był przedłożony Radzie Regencyjnej w dniu 4.X.1918 przez Komisję Wojskową wniosek natychmiastowego powołania do szeregów wojska polskiego jednego kontyngensu rekruta z 1918, motywowany:

a) Koniecznością posiadania własnej armji, mogącej poprzeć żądania Rządu Polskiego, co do losów Polski, jakie rozstrzygane będą na kongresie pokojowym likwidującej się wojny, na co wskazywały wypadki na Zachodzie, w Bułgarji i na innych frontach państw centralnych, jak również dokonywane się przewroty w Austrii i Niemczech, wskazujące nieodwołalnie na bliskość kongresu pokojowego, a co zatem idzie na powstawanie nowej mapy Europy. Szybkość, z jaką ta chwila się przybliża, pozwala obawiać się, że zostanie przyszłe państwo polskie z Rządem, nie posiadającym żadnej egzekutywy i siły własnej, a zatem skazanym na łaskę i niełaskę cudzych, jeśli nie wrogo, to w najlepszym razie obojętnie usposobionych bagnetów. Zupełnie inaczej przedstawiałaby się rzecz cała, gdyby Rząd Polski posiadał silne, wyćwiczone, karne i oddane sobie wojsko. Wtedy mógłby swoje słuszne żądania na kongresie pokojowym poprzeć realną siłą, mógłby nawet Kongres Pokojowy postawić wobec „fait accompli”, jest bowiem rzeczą bezsporną, że

w chwili ogólnej likwidacji łatwiej możnaby utrzymać okupowane tereny przez wojsko polskie, niż uzyskać je od kongresu pokojowego w imię ideałów lub sprawiedliwości dziejowej.

b) Przewidywanem wprowadzeniem w całym kraju na dłuższy czas administracji wojskowej.

c) Koniecznością utrzymania porządku wewnątrz kraju i obrony przed wrogiem wewnętrznym równie groźnym, a może groźniejszym niż wrogowie zewnętrzni.

W związku z sytuacją polityczną na Zachodzie i w Bułgarii oraz z zewnętrzną sytuacją i dokonywanymi przewrotami wewnętrznymi w Niemczech i Austrii coraz bardziej wzmaga się groza na wielką skalę zakrojonego ruchu anarchicznego w kraju naszym. Do kraju przyjeżdżają setki tysięcy zniszczonych przez wojnę i w wielkiej części zarażonych panującym w Rosji obecnie światopoglądem Polaków, przyjeżdżają i liczne szeregi wysłanników, zaopatrzonych w ogromne środki pieniężne na cele agitacji wywrotowej, są to, poza nielicznymi wyjątkami, najgorsze męty społeczne, z drugiej strony zaś zbliża się zima przy braku wszelkich robót publicznych, zupełnym zawieszeniu przemysłu fabrycznego, mogącego wyżywić, ubrać i ogrzać setki tysięcy głodnych proletariuszy.

Przy najmniejszym pozorze osłabienia nielicznych sił wojskowych państw okupacyjnych, konstytuujących w kraju naszym, może wybuchnąć pożar, w którego płomieniach zginie całkowity dzisiejszy dorobek powstającego państwa polskiego, a wszelka praca nad dalszą jego budową przy zbliżającym się końcu wojny, ten największy odsetek lat w momencie dziejowym, staje się czczą mrzonką, jak to zresztą widać z krwawych przykładów ościenego państwa.

Wiele stronnictw politycznych i ugrupowań, znajdujących się w kraju, ogląda się za utworzeniem czegoś w rodzaju białej gwardji, dla przeciwdziałania anarchji, która coraz śmielej i jawniej czyni postępy.

Tworzenie w dzisiejszych warunkach białej gwardji będzie efemerydą, która napozór tylko jest opartą na racjonalnej zasadzie. Jedyną naturalną białą gwardją, jedyną podporą prawdziwą dla Rządu Polskiego może być silne, karne i możliwie liczne Wojsko Polskie. Z drugiej strony organizowanie białej gwardji uważane będzie za pewnego rodzaju prowokację przez żywioty, wśród których zasady bolszewizmu trafiają do przekonania, i bezwątpienia wzmocni reakcję tychże w postaci zaciętszej i lepiej zorganizowanej gwardji innej, oraz przyspieszy jedynie wybuch.

Gdyby dziś wydano odezwę werbunkową dla utrzymania przy życiu wojska, prowadzącego od lat suchotniczy żywot i cierpiącego wiecznie na brak prawdziwego poparcia ze strony rządu, brak zaufania, obojętność, lub nienawiść ze strony społeczeństwa, stoimy przed ciężką ewentualnością powiększenia kadr wojska wstępującym celowo żywiołem wywrotowym, zorganizowanym i mającym za zadanie w odpowiedniej chwili właśnie temu wojsku broń wytrącić, zdemoralizować je, zdeorganizować i tym sposobem pozbawić Rząd Polski tej jedynej fikcji (przy dzisiejszej liczebności) siły i oparcia.

Werbunek kilku tysięcy ochotników, pomiędzy którymi znajdzie się znaczna ilość żywiołów naprawdę wojskowości wrogich, nie posuwa zasadniczo sprawy wojskowej naprzód.

Jedyną rzeczą, która sprawę wojska może zasadniczo posunąć naprzód, jest ogłoszenie na podstawie opracowanej w swoim czasie przez komisję Wojskową ustawy o powszechnej powinności wojskowej poboru kontyngensu rekruta z 1918 r. dekretem Najdostojniejszej Rady Regencyjnej, wydanym na skutek odnośnej uchwały Rady Koronnej.

W dalszym ciągu swych wywodów K. W. proponuje przeprowadzenie poboru rekruta w sposób, zgóry uplanowany i zapobiegający dostaniu się do wojska tą drogą żywiołów niepowołanych, i wyraża gotowość przedłożenia w każdej chwili takiego planu poboru. Dalej przewiduje, że przeprowadzenie spisów poborowych potrwać musi w najlepszym wypadku, przy najintensywniejszej pracy wszystkich urzędów, do 6 tygodni, a także uważa, że nawet sama wiadomość o przygotowanym poborze musi wpłynąć uspakajająco na szerokie warstwy społeczeństwa. Przypuszcza również, że państwa centralne nie będą stawiały przeszkód w stworzeniu wojska drogą poboru, gdyż rozumieją to dobrze, że w razie ogarnięcia przez płomień anarchii ziem polskich, wrzynających się między Austrię i Niemcy, nie byłoby już siły, któraby uchroniła od wywrotu ich własne państwa. Sądzi ona, że raczej przewidywać należy z ich strony pomoc przez wydanie umundurowania, ekwipunku i broni. Kończy wreszcie swe wywody przypuszczeniem, że Rada Stanu w tym składzie, jaki jest, nie uchwali poboru rekruta, bo nie pozwoli na to zaciętrzewienie żywiołów narodo-demokratycznych i indolencja polityczna innych ugrupowań politycznych.

Zewnętrznym wyrazem nowego, bardziej godnego i śmiałego stanowiska Rady Regencyjnej była jej odezwa do narodu z dn. 7.X.1918, głosząca zjednoczenie i niepodległość. Zapowiadała w niej Rada Regencyjna również rozwiązanie Rady Stanu, utworzenie rządu demokratycznego i koalicyjnego oraz zwołanie sejmu.

Nazajutrz, bo w dn. 8.X.1918 K. W. przedłożyła Radzie Regencyjnej następujące wnioski:

1. Zmiany roty przysięgi Wojska Polskiego.
2. Nawiazania zupełnej spójni pomiędzy Dowborczykami a obecnym Wojskiem polskim i wezwania generała Dowbór-Muśnickiego dla ewentualnego oddania mu Naczelnego Dowództwa nad Wojskiem Polskiem, wzmocnionem przez Dowborczyków.
3. Wydania dekretu poboru kontyngensu rekruta z 1918 r. i przekazania wy-

konania poboru Komisji Wojskowej przy współudziale Ministerjum Spraw Wewnętrznych. 4. Wydania polecenia Departamentowi Stanu zażądania na drodze telegraficznej wypuszczenia wszystkich oficerów jeńców z niewoli niemieckiej i uzyskania, bez zastrzeżeń, ułatwień na ich wstępowanie do Wojska Polskiego. 5. Wydania przez Najdostojniejszą Radę Regencyjną wezwania do wszystkich oficerów i żołnierzy Polaków, którzy z jakichkolwiek powodów (oprócz karnych i w jakimkolwiek czasie wystąpili lub byli zwolnieni z Wojska Polskiego, aby się bezzwłocznie kierowali do Warszawy i zgłaszali do Komisji Wojskowej dla zaciągnięcia się w szeregi Wojska Polskiego. 6. Wezwania do całego narodu o opodatkowanie się dobrowolnie na rzecz wojska. 7. Upoważnienia Komisji Wojskowej do pertraktowania z cesarsko-niemiecką intendenturą o odstąpienie wyekwipowania i broni oraz urządzeń na rachunek Skarbu Polskiego dla uzyskania narazie 50.000 wojska. 8. Wystąpienie do zarządu Generał-Gubernatorstw o otwarciu kredytu Rządowi Polskiemu na powyższy cel (punkt 7) z funduszków okupacyjnych.

Wnioski te zapewne zostały przez Radę Regencyjną zaaprobowane, bo K. W. już w dn. 11.X.1918 wystosowała pismo do Generał-Gubernatorstwa Warszawskiego z następującymi propozycjami:

1. Inspekcja Wyszkożenia (Gen. Barth) pozostaje w Polsce jako niemiecka Misja Wojskowa.
2. Z istniejącej I brygady piechoty ma być utworzona 1-a dywizja w składzie 3 pułków piechoty, jednego pułku jazdy, 1 p. a. p. i baonu sap.
3. Jaknajszybciej ma powstać Korpus jazdy, złożony z 4-ch pułków jazdy i jednego p. a. p.
4. Komisja Wojskowa ma być stopniowo przekształcona na Ministerstwo Wojny. Jako kandydata na stanowisko Ministra wysuwa Komisja Wojskowa gen. Rozwadowskiego.
5. Wielki Sztab Generalny powstaje jako Wydział Ministerstwa Wojny. Organizatorem miał być mjr. Zagórski.
6. Z pierwszej Dywizji w czasie jaknajszybszym ma powstać I korpus, drogą podziału na 3 dywizje (każdy baon tworzy pułk piechoty). Dowódcą dywizji, a następnie w ten sposób sformowanego korpusu ma zostać gen. Dowbór-Muśnicki.
7. Oficerowie i podoficerowie wszystkich dawnych formacji polskich oraz zwolnieni z niewoli niemieckiej i austriackiej zostaną przyjęci do W. P. Niemiecka Misja Wojskowa zreformuje zasadniczo system szkolenia i położy największy nacisk na ostre strzelanie i wyćwiczenie w ostatnich metodach walki zblizka.
8. Pewna liczba oficerów zostanie delegowana do niemieckich szkół lotniczych, warsztatów naprawy broni, składów artyleryjskich, wojskowych zarządów kolejowych, Intendenty C. N. Min. Wojny celem wyszkolenia.
9. Dla żandarmerji polowej zostanie utworzony obóz ćwiczebny na 1000 ludzi z ciągłym kursem.
10. Stanowisko Naczelnego Wodza nie jest na razie przewidziane. Jednostki wojskowe podlegać będą szefowi Szt. Gen.

Na propozycje te gen. Beseler w dniu 15.X.1918 r. odpowiedział:

1. Przemianowanie Insp. Wyszkożenia na „Misję Wojskową” może być aktualne dopiero po zakończeniu stanu okupacji w Polsce.
2. Na utworzenie 1 dywizji jak i 1 korpusu zgadza się, natomiast nie może wyrazić zgody na

osobę projektowanego przez Komisję Wojskową dowódcy. Motywy: a) gen. Muśnicki faworyzowałby oficerów swych byłych korpusów ze szkodą dla oficerów Polsk. Siły Zbr., co mogłoby mieć nieobliczalne następstwa, b) gen. Muśnicki — jako stary oficer rosyjski nie zechciałby z wszelką pewnością zachować dotychczasowych wzorów i zasad wyszkolenia. Wobec tego ze swej strony wysuwa gen. Beseler „bardziej polskiego generała” jak np. gen. hr. Szeptycki. 3. Zgadza się na stopniowe wystawienie większej jednostki kawalerji w granicach możliwości, zwraca jednak uwagę, że natychmiastowemu jej wystawieniu stoją na przeszkodzie znaczne trudności techniczne, szczególnie kwestja koni. 4. Nie zgadza się na przemianowanie Komisji Wojskowej na Ministerstwo Wojny, a to w interesie zachowania powagi i godności Polskiego Ministerstwa Wojny, które, objawszy w stosunku do W. P. funkcje, pełnione dotychczas przez Pruskie Min. Wojny, nie byłoby w stanie ich wykonać (dostarczenie broni, ekwipunku, umundurowania, brak sił fachowych polskich). 5) Do tworzenia Polskiego Sztabu Generalnego odnosi się przychylnie, winien on być jednak równorzędny Min. Wojny, a nie podporządkowany. 6. Co do przyjmowania do W. P. żołnierzy z byłych formacyj polskich nie wysuwa zastrzeżeń. 7. Zgadza się i będzie popierać sprawę odkomenderowania polskich oficerów na studia do Niemiec, obecnie jednak w okresie wojny stoją znaczne trudności na przeszkodzie. 8. Zgadza się na utworzenie szkoły żandarmerji polowej i jest gotów dać do dyspozycji instruktorów niemieckich. 9. Wreszcie sprawę Nacz. Wodza W. P. pomija gen. Beseler milczeniem.

W międzyczasie, bo 12.X.1918 Rada Regencyjna wysłała dekret o przysiędze i o objęciu władzy zwierzchniej nad wojskiem, który brzmiał:

„My, Rada Regencyjna Królestwa Polskiego, postanowiliśmy i stanowimy wprowadzić natychmiast rotę przysięgi dla Wojska Polskiego o następującem brzmieniu:

„Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, że Ojczyźnie mojej, Państwu Polskiemu i Radzie Regencyjnej, jako tymczasowej zastępczyni Władzy Zwierzchniej Państwa Polskiego, na lądzie i wodzie i w powietrzu i na każdym miejscu wiernie i uczciwie służyć będę, że będę przełożonych swych i dowódców słuchał, dawane mi rozkazy i przepisy wykonywał i wogóle tak się zachowywał, abym mógł żyć i umierać, jako mężny i prawy żołnierz Polski. Tak mi Panie Boże dopomóż”.

Z chwilą zaprzysiężenia wojsko przechodzi pod zwierzchnią władzę Naszą, wskutek czego dalsze nominacje oficerskie przez Nas podpisywane będą. Dotychczasowe nominacje pozostawiamy w mocy.

Dla natychmiastowego zaprzysiężenia Wojska Polskiego według nowej roty polecamy Dyrektorowi Komisji Wojskowej przedsięwziąć odpowiednie kroki.

Dan w Warszawie dn. 12.X.1918 r. Aleksander Kakowski, Józef Ostrowski, Zdzisław Lubomirski.

Pozornie dekret ten miał cechy... zamachu stanu. Tak jednak bynajmniej nie było. Nie znalazłem pisma Rady Regen-

cyjnej, ani K. W. do gen. Beselera w sprawie zmiany tej przysięgi. Natomiast znalazłem odpowiedź gen. Beselera, która rozwiewa wszelkie wątpliwości w tej dziedzinie. Odpowiedź ta w tłumaczeniu polskim brzmiała:

„General Gubernator Warszawy dn. 12.X.1918 r.

Do Wysokiej Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego przez Cesarskiego Komisarza Niemieckiego przy Królewskim Rządzie Polskim w Warszawie.

Rotę przysięgi, przedłożoną mi przez Komisję Wojskową pismem z 8.X.1918 r. i mającą obowiązywać armję polską, skierowałem do miarodajnych instancyj.

Niemiecki Rząd Cesarski wyraził swą zgodę na ustalenie tej nowej roty przysięgi. Beseler, generał pułkownik”.

Podobne oświadczenie w dniu 12.X.1918 przesłał na ręce ks. Janusza Radziwiłła, Dyrektora Dep. Pol., Delegat C. i K. Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W przekładzie polskim brzmiało ono:

„W imieniu C. i K. rządu mam zaszczyt złożyć oświadczenie, że tenże zgadza się na zmianę obowiązującej dotychczas i ustalonej przez nas w porozumieniu z Rzeszą Niemiecką rotę przysięgi dla Wojsk Polskich, według formuły, zaproponowanej przez Wysoką Radę Regencyjną. Przynależność państwowa obywateli austriackich względnie węgierskich, służących w armji polskiej, przez to nie może być naruszona”.

Złożenie nowej przysięgi przez wojsko odbyło się bardzo uroczyście, a Inspektor Wyszkozenia, gen. Barth, skrupulatnie kontrolował i pilnował, aby nikt się od niej nie uchylił.

W dniu 16.X.1918 regent ks. Lubomirski, wraz z dyrektorem Komisji Wojskowej, ks. Franciszkiem Radziwiłłem, dokonał przeglądu wojska w Ostrowi. Przeglądowi temu starano się nadać cechy najuroczystsze, gdyż miał on być widomym znakiem objęcia władzy nad wojskiem przez Radę Regencyjną. W rzeczywistości jednak to podporządkowanie wojska Radzie Regencyjnej chwilowo było nieco problematyczne, bo ani władze niemieckie, ani Rada Regencyjna nie przestały uważać generała Beselera za Naczelnego Wodza Polskiej Siły Zbrojnej.

K. W., zwracając się do gen. Beselera w sprawie awansowania mjr. Włodzimierza Zagórskiego na podpułkownika w W. Sztapie Gener., tytułuje Beselera Naczelnym Wodzem Wojsk Polskich („Oberbefehlshaber des polnischen Heeres”). Nie znalazłem odpowiedzi gen. Beselera, ale zato jest pismo K. W. do Insp. Wyszko. przy Wodzu Naczelnym z dn. 21.X.1918 następującej treści:

„Komisja Wojskowa przesyła w załączeniu pismo Wodza Naczelnego Nr. 19348 p. 1 z dnia 18 b. m. z prośbą o wystawienie dla ppłk. Zagórskiego dokumentów wojskowych i książki żołdu” (załącznika brak).

Gdy dwa te pisma zestawimy z reskryptem Rady Regencyjnej z dn. 18.X.1918, który głosi:

My, Rada Regencyjna Królestwa Polskiego, postanowiliśmy i stanowimy co następuje:

Mianować m-jra Włodzimierza Ostoję-Zagórskiego na wniosek Naczelnego Dowódcy z dnia 18.X. r. b. ppłk. Generalnego Sztabu z rangą od 1.I.1918 r.”

to mamy wyraźny dowód, że faktycznym wodzem wojsk polskich był jeszcze generał Beseler.

A wnioski, jakie miał on kierować do Rady Regencyjnej w sprawie awansów, o których ona wspomina, wydają się mocno problematyczne, bo trudno przypuścić, aby gen.-gubernator niemiecki, podlegający wprost cesarzowi, mógł uznać Radę Regencyjną, chociażby w tej sprawie, za swą władzę przełożoną.

Dopiero w dniu 21.X.1918 gen. Beseler sam tę godność złożył (zapewne na rozkaz z Berlina), a razem z nim złożył również Insp. Wyszkożenia gen. Barth swą funkcję, którą objął płk. Minkiewicz na rozkaz Rady Regencyjnej. Dopiero wtedy Rada Regencyjna zaczęła nareszcie sprawować władzę nad Polską Siłą Zbrojną, nie wyznaczając narazie Wodza Naczelnego.

Wojsko Polskie w dniu objęcia nad niem władzy przez Radę Regencyjną, t. j. w dniu 12.X.1918, liczyło: oficerów — 352, podchorążych — 138, podoficerów — 899, szeregowców — 3.424. Razem 4.813 ludzi i 297 koni, z tego 116 koni było w szt. Wojsko to dysponowało: 3.012 karabinami, 13 k. maszynowymi, 6 działami, 110 pistoletami, 97 lancami, mając do tego jako amunicję tylko 953 ostrych naboń karabinowych, 1.637 pistoletowych i 65 granatów ręcznych ostrych.

Cyfry te mówią same za siebie. Dodać jeszcze należy, że Polska Siła Zbrojna nie posiadała żadnych magazynów ani broni, ani mundurów, ani amunicji, ani żywności i t. d. i że nie posiadała masek gazowych, w jakie wyposażeni byli Niemcy, że miała nadto bardzo nędzny stan koni, i gotowość bojowa tak baterji, jak i szwadronu, wskutek tego była bardzo wątpliwą. Poza tem dyzlokacja oddziałów, separująca zupełnie arty-

lerję (Garwolin), kawalerję (Mińsk Mazowiecki) i piechotę (Ostrów), przypuszczalnie też nie była dziełem przypadku.

Jednakże, pomimo tej znikomości siły, jaką wyrażają wyżej przytoczone cyfry, wojsko to, aczkolwiek nieliczne, posiadało załączki wszystkich rodzajów broni, miało regulaminy i formy życia wojskowego, wypracowane niemal do najdrobniejszych szczegółów, a przez to było pierwszorzędnym materiałem kadrowym, najzupełniej wystarczającym i przygotowanym do kilkakrotnego powiększenia się w bardzo krótkim czasie w razie uzyskania ludzi, broni, ekwipunku i t. d., co wszystko zależało od dobrej woli władz niemieckich. W rękach niemieckich bowiem była nadal cała administracja, tak cywilna, jak i wojskowa kraju. Oddając Polską Siłę Zbrojną Radzie Regencyjnej, Niemcy nie przestały jej żywić, ekwipować i uzbrajać, a mające powstać oddziały miały być również zaopatrywane we wszystko przez odpowiednie organa armji niemieckiej, więc też nadal wszelkie projekty w dziedzinie organizacji wojska realizowane być mogły jedynie za zgodą i przy poparciu władz niemieckich.

Rada Regencyjna istniała w Polsce z woli Niemiec i pod ich opieką. Nie miała ona popularności w szerszych masach. Stronnictwa radykalne i cały obóz niepodległościowy, którego wodzem ideowym był Józef Piłsudski, nie uznawały ani jej, ani tworzonych przez nią wojska. To też o rozpoczęciu jakiejś akcji szerszej poza plecami władz niemieckich mowy być nie mogło i nie było, a wszelkie poczynania wojskowo-organizacyjne są nadal tylko przedewszystkiem kwestją rokowań z Niemcami i od ich zgody całkowicie się uzależniają.

Opierając się na piśmie generała Beselera z dn. 15.X.1918, który nie zgodził się na przemianowanie Komisji Wojskowej na Ministerstwo Spraw Wojskowych, natomiast zezwolił na tworzenie polskiego Sztabu Generalnego, Rada Regencyjna w dniu 17.X.1918 r. postanowiła, że:

1. Komisja Wojskowa, jako zawiązek Ministerstwa Wojny, aż do utworzenia tegoż pełnić będzie wszelkie czynności, związane z atrybucjami Ministerstwa Wojny, a Dyrektor Komisji Wojskowej lub jego zastępca przedkładać ma Radzie Regencyjnej wszelkie raporty o postępie prac Org. Wojsk.
2. Sztab Generalny niezwłocznie tworzony ma być przez Komisję Wojskową.
3. Przy Radzie Regencyjnej, jako zwierzchniej Władzy Państwowej, zostaje utworzony zaczątek Gabinetu Wojskowego, którego kierownik będzie jej przedkładał do zatwierdzenia wszelkie propozycje odnośnej władzy wojsko-

wej, dotyczące nominacji i awansów oficerskich, oraz występował z wnioskami w kwestji przeniesień. 4. Komisja Wojskowa przedłoży jej do zatwierdzenia w najbliższym czasie propozycje obsadzenia tych nowych stanowisk.

Zapewne na skutek punktu 4-go tego postanowienia Rady Regencyjnej (dokumentu brak) w dniu 17.X.1918 zameldował się w K. W. mjr. Włodzimierz Zagórski, złożył przysięgę i podany został do nominacji na podpułkownika Wielkiego Sztabu Generalnego, do formowania którego w łonie K. W. przystąpił i, dobrawszy sobie kilku oficerów, zorganizował zaczątek Sztabu Generalnego, który zaraz rozpoczął funkcjonować jako Wydział K. W. (wypracowane plany i projekty z tego czasu noszą nagłówek „Sztab Generalny”, a podpisywane są przez Fr. ks. Radziwiłła, Dyrektora K. W.).

Ppłk. Zagórski przygotował niezwłocznie projekt rozbudowy W. P., dostosowany do uwag gen. Beselera. Projekt ten już w dniu 19.X.1918 był przedmiotem obrad na Radzie Koronnej. Przewidywał on: 1. Natychmiastowe rozpoczęcie organizacji: 1 dywizji piechoty, 1 pułku artylerji, 1 pułku ułanów, 16 konnych szwadronów (Lubelskie), utworzenie ochotniczych oddziałów z Korpusu Dowbora-Muśnickiego (Lubelskie). 2. Powierzenie organizacji I-ej dyw. pułkownikowi Minkiewiczowi i mianowanie go generałem. 3. Utworzenie w Komisji Wojskowej Sekcji Technicznej (Wroczyński) i Komisji Mobilizacyjnej (Zagórski), mianowanie płk. Januszajtisa generałem. 4. Wydanie dekretu o poborze rekruta z rocznika 1897 z tem, że narazie wziętych będzie 12.000 rekruta. 5. Natychmiastowe rozpoczęcie pertraktacyj z Niemcami i Austrią o dostarczenie broni, amunicji, umundurowania i ekwipunku. 6. Zarządzenie ochrony granicy wschodniej narazie drobnymi oddziałami. 7. Przyspieszenie pertraktacyj z Austrią o wydzielenie oficerów i żołnierzy z armji austriackiej i formowanie z nich oddziałów w Lubelskiem.

Realizację tego programu wyobrażano sobie w K. W. następująco (ppłk. Zagórski):

- ad 1: pocz. 1.X — koniec na Nowy Rok piech.
- pocz. 1.X — koniec w połowie lutego art.
- pocz. 1.X — koniec w połowie lutego (pułk kaw.).
- pocz. 1.X — koniec w pierw. dn. list. (kon. szw.).
- pocz. 1.X — koniec wedle możności.

Uwaga: O ile okupanci dadzą broń i potrzebne kredyty.

ad 2: w Ostrowi, Warszawie, Garwolinie, Kalwarji (potrzebne kredyty).

ad 3: natychmiast.

ad 4: natychmiast — 4 dni na przygotowanie, do 2 tyg. pobór ukończony.

ad 5: broni: 2.633 kar., 319 karabinków, 112 pistoletów, 4 działa pol., 2 haubice, 256 ładunków, 1.752 do pist.

ad 6: wysłanie 1 baonu kolejną do Chełma, osłona linii Bugu (okopami). Prócz tego 2 p. p. i 2 p. kaw., obiecane przez Austrię.

Przypuszczać należy, że realizacja większości propozycji tego projektu z pewnymi zmianami została uchwalona, gdyż tego samego dnia 19.X.1918 ukazuje się rozkaz Rady Regencyjnej do Dyrektora K. W., nakazujący mu rozpocząć natychmiast, aż do zamianowania Naczelnego Wodza, pracę około organizacji: 1) 1 dywizji piechoty, złożonej z 3 pułków piechoty, 1 pułku art., 1 pułku kawal., 1 bataljonu saperów wraz z oddziałami pomocniczymi. 2) 16 szwadronów konnicy wojewódzkiej. 3) Luźnych oddziałów ochotniczych ze stojącego do dyspozycji materiału ludzkiego byłych korpusów polskich (P. K. P. I, II, III).

Tego samego dnia, t. j. 19.X.1918, Rada Regencyjna wydała dekret, zarządzający przeprowadzenie poboru jednego rocznika. Brzmiał on:

„My, Rada Regencyjna Królestwa Polskiego, postanowiliśmy i stanowimy:

W związku z dekretem z dnia 12 października 1918 r. o przejściu Władzy Zwierzchniej nad Wojskiem Polskiem w Nasze ręce przystąpić do formowania narodowej armji regularnej, na podstawie istniejących kadrów Naszego Wojska, powołując do dwuletniej służby czynnej w szeregach armji polskiej obywateli kraju i w tym celu zarządzić pobór jednego rocznika, a mianowicie wszystkich mężczyzn, urodzonych w roku 1897, a więc tych, którzy w roku bieżącym kończą 21 lat życia.

Pobór przeprowadzony będzie bezzwłocznie na zasadzie Tymczasowej Ustawy Poborowej z dnia 19.X.1918 r.

Wykonanie tego dekretu poruczamy Naszemu Rządowi.

Dan w Warszawie, dn. 19.X.1918 r.

(—) Aleksander Kakowski

(—) Zdz. Lubomirski

(—) Józef Ostrowski”.

Takie były plany i decyzje władz polskich. Faktyczna ich realizacja całkowicie uzależniona jeszcze była od gen. Besele-

ra. Do niego więc K. W. nazajutrz, t. j. 20.X.1918 wystosowała pismo następującej treści:

„I. Na tamtejsze Tgb. Nr. 278/18 geh. P. I.

1. Mam zaszczyt przedłożyć następujące wnioski:

Na 3) Tworzenie większej jednostki kawalerji jest zamierzone początkowo stopniowo i uważane jest jako bardzo pilne ze względu na położenie zewnętrzno-polityczne. Tworzenie jest zamierzone w sposób następujący:

utworzy się w każdej siedzibie gubernatorstwa (województwo) najpierw oddział kawalerji w sile szwadronu. Oficerowie i żołnierze zostaną wzięci częściowo z rozwiązanych korpusów gen. Dowbór-Muśnickiego, częściowo uzupełnieni przez rekrutów, werbowanych na miejscu, wreszcie personel instruktorski zostanie odkomenderowany ze szwadronu w Mińsku Mazowieckim. Cały korpus zostanie podporządkowany oficerowi w randze brygadiera kawalerji z siedzibą w Warszawie.

W całości chodziłoby o utworzenie 16 szwadronów w ogólnej sile..... koni. Zapotrzebowanie koni możnaby pokryć przez zakup na miejscu, na co proponuje użyć kwotę okrągłą 12.000.000 marek, jako zaliczkę, z rozliczenia z tytułu zwrotu materiału korpusu gen. Dowbór-Muśnickiego.

Na 6) Propozycje następują.

Na 7) Zamierza się utworzyć początkowo jedną dywizję piechoty, jeden pułk artylerji (nawiasem 3 baterje) i jeden pułk kawalerji (4 szwadrony). Na dowódcę dywizji proponuje się płk. Minkiewicza, któremu jednocześnie powierza się przeprowadzenie organizacji, na dowódcę pułku artylerji płk. Rodziewiczza, na dowódcę pułku kawalerji rtm. Strzezińskiego.

Dylokacja: P. P. 1 — Ostrów, pp. 2 — Chełm, pp. 3 — Ostrów, 1 p. p. art. — Góra Kalwarja, Garwolin, 1 p. uł. — Mińsk Mazowiecki, pół-baon saperów — Ostrów, baon taborowy — Ostrów, Mińsk Mazowiecki.

Szwadrony jazdy wojewódzkiej: w Zamościu: szwadron Zamość i Sandomierz; w Lublinie: Szwadron Lublin, Warszawa, Radom; w Siedlcach, Łomży, Mławie, Płocku, Włocławku, Łowiczu, Kaliszu, Łodzi, Kielcach, Piotrkowie, Częstochowie — przynależne szwadrony. Czas wystawienia 1 listopada 1918 r.

II. Uprasza się o wysłanie broni, sort mundurowych i ekwipunku do wskazanych miejsc przeznaczenia stosownie do zapotrzebowań, które następują w czasie najbliższym, gdzie zostaną podjęte przez oficerów zaopatrzonych stąd w upoważnienia.

Generał Beseler, już jako gen. - gubernator, odpowiada w dniu 23.X.1918 r.:

I. W piśmie mojem z 15.X.1918. Nr. 278/18 Geh. P. I. wypowiedziałem się już, że odnoszę się przychylnie do wystawienia większej jednostki kawaleryjskiej w celu utrzymania w kraju spokoju i porządku. Jednocześnie jednak wskazałem na znaczne techniczne trudności, które przeciwstawiają się zbyt szybkiemu urzeczywistnieniu tego planu. Pod tem pojęciem rozumiem nie tylko zagadnienie uzyskania koni, uzbrojenia, umundurowania i ekwipunku, ale w znacznie wyższym stopniu zagadnienie wyszkolenia i wojskowego utrwalenia (Festigung) formacyj, które mają być wystawione. Nie wydaje mi się, by to było zapewnione, że nagle zostaną utworzone w 16 rozmaitych

miejscach kraju mniejsze jednostki kawalerji, aż do siły szwadronu b. armji rosyjskiej częściowo z młodych ludzi kraju. Raczej należy się jaknajpoważniej obawiać, że gromady te (Haufen), szybko zebrane, mniej lub więcej sobie samym pozostawione, przyniosą więcej szkody niż pożytku. Uważam przeto za bezwzględnie konieczne uprzednie zebranie i jednolite wyszkolenie tych szwadronów pod odpowiedzialnem kierownictwem w większym obozie wojskowym, rozdzielenie szwadronów po kraju w sposób zamierzony dopiero wtedy, gdy te będą całkowicie w ręku dowódców, i jednolite wyszkolenie będzie zapewnione. Inaczej nie byłbym w stanie udzielić mej zgody na plan organizacyjny, jako gen. gubernator, obecnie w kraju jedynie odpowiedzialny za utrzymanie spokoju i porządku.

Proszę więc o nowe propozycje w tym kierunku.

Na 7 bez uwag.

Na „dyszlokację”: co się tyczy rozmieszczenia oddziałów polskich w C. K. obszarze okupacyjnym (Chełm i Zamość), to pozostawiam to bezpośrednio porozumieniu z wojskowem Gen. Gubernatorstwem w Lublinie.

II. Żądania broni, umundurowania i ekwipunku będą zaspokojone w stosunku, na jaki pozwoli własne położenie przemysłu wojennego i wymagania niemieckiego frontu zachodniego.

Oto całość rokowań wojskowych polsko-niemieckich, jaka da się odtworzyć z materiałów, będących w archiwach.

Z przebiegu tych rokowań wnioskować można, że czynniki polskie pragnęły jaknajszerszej i jaknajszybszej rozbudowy wojska, Niemcy zaś, aczkolwiek zupełnie inaczej ustosunkowali się obecnie do tej sprawy i okazywali znaczną ustępliwość wobec żądań polskich, to jednak nie śpieszyli z realizacją faktycznej budowy armji polskiej i usamodzielnieniem Polski, natomiast proponowali zostawienie w kraju wojsk niemieckich tak długo, póki państwo polskie nie stworzy siły zbrojnej, zdolnej zapewnić ład i spokój publiczny.

Rada Regencyjna, choć zdobyła się na odezwę z dnia 7.X.1918, w której ogłosiła Polskę zjednoczoną i niepodległą, a więc obejmującą także Galicję i Poznańskie, to jednak dążyła do połączenia tych dzielnic z Królestwem Polskiem drogą naturalnej ewolucji, a nie gwałtownych rewolucyjnych przewrotów, których się nawet obawiała, przypuszczając, że, w razie, gdyby one nastąpiły, „żywiły skrajne” w kraju wykorzystająby tę sposobność nietylko do wystąpień gwałtownych przeciw państwom centralnym, ale również przeciw niej samej i rządowi, przez nią utworzonemu. Jednak, pomimo to, pragnęła jaknajprędzej pozbyć się okupacji, tak niemieckiej, jak i austriackiej, lecz tak długo, jak długo własnej siły zbrojnej nie posiadała, nie mogła nic w tej kwestji przedsięwziąć.

Formowanie wojska, wobec niej lojalnego, bo tylko takie Rada Regencyjna organizować chciała, wymagało znacznego czasu, nawet przy najlepszych chęciach i dobrej woli władz niemieckich. Dekret Rady Regencyjnej z dnia 19.X.1918, nakazujący bezzwłocznie pobór jednego rocznika, był raczej posunięciem politycznym, niż faktycznym zarządzeniem poboru. Bo, aby go wykonać, należało mieć w swym ręku przedewszystkiem władze administracyjne, trzeba było mieć przeprowadzone spisy obowiązanych do poboru, a także egzekutywę do ściągnięcia poborowych, a więc żandarmerję, bo trudno byłoby zabierać poborowych przy pomocy żandarmerji niemieckiej lub austriackiej. Wreszcie, robiąc pobór, należało mieć zgóry już zapewnione i przygotowane koszary, umundurowanie, wyżywienie, uzbrojenie i t. d., co wszystko było dopiero tematem rokowań z Niemcami.

Na tej drodze więc nie było można liczyć, że da się szybko uzyskać wojsko. Pozostawała jeszcze jedna możliwość uzyskania wojska. Tą możliwością były pułki armji austriackiej, rekrutowane z Polaków galicyjskich. Zdawało się ówczesnym czynnikiem rządzącym w Polsce, że uda im się uzyskać od Austrii zarządzenie, aby pułki te wycofano z frontu i wydzielono z nich czysto-polski element żołnierski, któryby pod dowództwem generałów i oficerów Polaków z armji austriackiej wkroczył do Królestwa Polskiego i zastąpił okupujące Polskę wojska niemieckie. W tej kwestji rozpoczęto rokowania z rządem austriackim, który ustosunkował się do tych propozycji przychylnie, jednak wysunął trudności techniczne, stojące na przeszkodzie do realizacji projektu. Rozpadnięcie się Austrii i dzika demobilizacja jej armji pogrzebały te rokowania, zanim doprowadziły one do jakichkolwiek rezultatów.

Na tem kończą się w archiwach ślady zasadniczych rokowań ówczesnych władz polskich z mocarstwami centralnymi w kwestjach, dotyczących budowania wojska polskiego za ich zgodą i przy ich pomocy. Czy na ostatnie pismo gen. Beselera z dn. 23.X. 1918 była udzielona odpowiedź, nie udało mi się stwierdzić. Natomiast w dniu 25.X.1918 Rada Regencyjna, zachowując sobie Naczelne Dowództwo nad Polską Siłą Zbrojną, ustanowiła urząd szefa Sztabu Generalnego, następnego zaś dnia, t. j. 26.X.1918 r. przemianowała Komisję Wojskową na Ministerstwo Spraw Wojskowych.

To też, mówiąc o działalności K. W., zakończyć musimy na dniu 26.X.1918, gdyż dalsza jej działalność była już działalnością Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Streszczony przebieg rokowań polskich z mocarstwami centralnymi w sprawie organizacji wojska polskiego i przytoczone decyzje, tak polskie, jak i niemieckie, stanowią tę skalę możliwości, w której wszelkie wysiłki K. W. mogły się realizować. Wysiłki te zmierzały ku: 1) zwiększeniu istniejących kadr wojska, i 2) rozbudowania naczelných władz wojskowych.

Zarówno oficerowie i szeregowi Korpusów Wschodnich, jak i oficerowie rosyjscy-Polacy, znajdujący się jako jeńcy wojenni w niewoli austriackiej i niemieckiej, byli oddawna przedmiotem zainteresowań K. W. Starła się ona o ile możności wciągać ich do szeregów Polskiej Siły Zbrojnej, a przynajmniej ewidencjonować i być z nimi w kontakcie. W tym celu już 12.VII.1918 K. W. wydała rozporządzenie, że w żadnym urzędzie państwowym były oficer nie mógł otrzymać posady, lub jakiegokolwiek pracy, o ile nie przedstawił zaświadczenia, że zewidencjonowany został przez K. W.

Upřednio jednak wielkie trudności w tej kwestji robiły władze niemieckie. Przedewszystkiem nie dopuszczały one oficerów Korpusów Wschodnich do szeregów Polskiej Siły Zbrojnej. Naprzykład gen. Dowbora-Muśnickiego Komisja Wojskowa już w dniu 8.V.1918 proponowała powołać do służby czynnej, ale władze niemieckie odmówiły, tłumacząc brakiem odpowiednio wysokiego dlań stanowiska. Także gen. Beseler, nawet w okresie bardziej przychylnego i ustępliwego stanowiska wobec Polski, jakie zajęły Niemcy w październiku 1918, sprzeciwił się stanowczo projektowi oddania dowództwa nad wojskiem gen. Dowborowi. Wysuwając ze swej strony kandydaturę gen. Szeptyckiego, jako „bardziej polskiego”, wskazał niejako, że pożądane jest obsadzenie wyższych stanowisk w armji polskiej raczej oficerami Polakami z armji austriackiej. Poza-tem władze niemieckie rozciągały ścisłą kontrolę policyjną nad b. oficerami Korpusów Wschodnich, którzy przebywali w kraju, a oficerów rosyjskich Polaków, zwalnianych z niewoli austriackiej, wogóle nie wpuszczaly na swoją okupację.

To też pierwsze wysiłki K. W. w dziedzinie zwiększenia kadry oficerskiej skierowały się ku sprawie uwolnienia i powrotu jeńców oficerów Polaków z niewoli niemieckiej i jeńców ofi-

cerów, już zwolnionych z niewoli austriackiej i pozostających na okupacji austriackiej, jako nie mających prawa powrotu do swych miejsc stałego zamieszkania, o ile znajdowały się na okupacji niemieckiej. W dniu 9.X.1918 wystosowano w tej sprawie pismo do Gen.-Gubernatorstwa Warszawskiego i natychmiast uzyskano na to zgodę, jak również zezwolenie, aby ci oficerowie wstępowali swobodnie do wojska polskiego.

W dniu 12.X.1918 Rada Regencyjna wydała odezwę, wzywającą oficerów i żołnierzy, którzy zbrojnie służyli Ojczyźnie w Legjonach Polskich i innych formacjach polskich, do niezwłocznego stawienia się pod sztandary wojska polskiego, tworzącego się w stolicy państwa. Wezwanie to uzupełniła odezwa K. W. z dn. 15.X.1918, w której wezwani zostali do rejestracji także oficerowie armji rosyjskiej oraz definitywnie zwolnieni jeńcy wojenni. Zgłaszać się oni mieli przez odpowiednie Główne Urzędy Zaciągu, przyczem odezwa polecała oficerów jeńców, zwolnionych z niewoli austriackiej i niemieckiej, oraz b. oficerów legjonowych natychmiast odsyłać do Warszawy, innych zaś kazała zaewidencjonować, złożone zaś przez nich dokumenty nadsyłać do K. W., pozostawiając zapisanych na miejscu aż do czasu wezwania ich na służbę (oficerów, nie mających wykształcenia 6 kl., nie przyjmowano). Żołnierzy z b. formacyj polskich polecała przyjmować natychmiast i odsyłać do Warszawy zgodnie z odezwą werbunkową z dnia 26.IX.1918. W stosunku do innych żołnierzy zalecała jaknajwiększą ostrożność w przyjmowaniu i dokładne badanie ich wartości moralnej.

Przeprowadzenie tej rejestracji oficerów przeciążyło pracę istniejące Główne Urzędy Zaciągowe, których władza przełożona (Krajowy Inspektorat Zaciągu, dr. mjr. Wyrostek) wystąpiła z wnioskiem, aby K. W. uzyskała u odnośnych władz zarządzenie natychmiastowego powołania do życia 34 Powiatowych Dowództw Uzupełnień, których organizacja i etaty ustanowione były już w dniu 30.IV.1918, oraz zaproponowała utworzenie Głównego Urzędu Zaciągu w Suwałkach, a także wysłanie konspiracyjnych komisarzy z Krajowego Inspektoratu Zaciągu do Wilna, Grodna i Mińska. Nie mogłem stwierdzić, czy projekty te były rozpatrywane i jak je załatwiono. Sprawa utworzenia 34 Powiatowych Dowództw Uzupełnień nie została zrealizowana.

Zorganizowanie akcji wysyłania z Galicji do Warszawy

oficerów i żołnierzy b. Polskiego Korpusu Posiłkowego Komisja Wojskowa poleciła w dniu 17.X.1918 płk. Władysławowi Sikorskiemu, który podówczas znajdował się w Krakowie. Przyczem pieniądze na ten cel płk. Sikorski miał otrzymać z Departamentu Skarbu galicyjskiego Naczelnego Komitetu Narodowego, do którego odpowiednią prośbę o udzielenie tej pomocy pieniężnej wystosowano.

Postanowiono też utworzyć szkołę dla oficerów I Korpusu Polskiego, byłych oficerów armji rosyjskiej, oraz oficerów jeńców, zwolnionych z niewoli austriackiej i niemieckiej. Kurs miał trwać 3 — 4 miesiące. Przewidywano na nim 8 miejsc dla oficerów sztabowych, 337 dla kapitanów, subalternów i chorążych (20 kawalerzystów, 20 artylerzystów, 5 inż., 292 piechoty) i 15 dla oficerów rachunkowych. Kandydaci przy przyjęciu mieli przedstawić: a) świadectwo ukończenia 6 klas szkoły realnej lub gimnazjum filologicznego, b) stan służby (formularz, lub księga ewidencyjna), c) zaświadczenie dowództwa pułkowego. Każdy oficer elew, bez względu na rangę, miał otrzymać umundurowanie żołnierskie, zaś dystynkcje oficerskie i płaszcz miał sobie kupić sam, nadto miał otrzymywać dziennie 5 marek strawnego i 4 marki pensji. Zapisy miano zakończyć 16.X, kurs miał się rozpocząć 21.X. K. W. rozpoczęła staranie o otrzymanie obozu w Dęblinie dla pomieszczenia tego kursu. Gen. Gubernator pismem z dn. 22.X.1918 odpowiedział, że obóz w Dęblinie może być przekazany władzom polskim w dn. 25.X. 1918. Faktycznie obóz objęto w dn. 28.X.1918 r.

Co do szeregowych i wezwanych ochotników, to już na skutek odezwy z dnia 26.IX.1918 zgłosiło się 205 kondydatów, z których w dniu 15.X.1918 przyjęto 147. Po 15.X.1918 napływ nowowstępujących ożywił się znacznie i do dnia 25.X.1918 wogóle ze Stacji Zbornej w Warszawie do pułków odeszło 600 ludzi i nowi ciągle napływali. Równocześnie w oddziałach Polskiej Siły Zbrojnej czyniono przygotowania do przyjęcia, umundurowania, uzbrojenia i szkolenia napływających ochotników. Od 25 do 31.X.1918 oddziały pobierają transporty ekwipunku (po 500 kompletów) z intendentury niemieckiej, a władze niemieckie przygotowują dla nich odpowiednią ilość broni w Niemieckiej Komendzie Obożnej w Ostrowi.

W związku z zamierzonym przeprowadzeniem poboru rekruta bardzo ważną stała się również kwestja szybkiego roz-

budowania żandarmerji. Pertraktacje, prowadzone w tej sprawie z Niemcami, nie doprowadziły do ustalenia wspólnego programu. W dniu 22.X.1918 K. W. za L. Szt. Gen. T. Nr. 2/Org. wydaje rozkaz utworzenia z dn. 10.XI.1918 szkoły żandarmerji polowej. Jako instruktorów miało wydzielić Dowództwo żandarmerji 45—50 podoficerów. Kurs miał się odbywać w Warszawie i miał trwać trzy do czterech miesięcy. Szkoła miała liczyć 300 uczniów, w tem 150 podoficerów. Cały etat szkoły miał wynosić 12 oficerów i 339 szeregowych. Komendantem Szkoły został mianowany rtm. Stoch. Uczniowie mieli tworzyć dwie kompanje pod komendą ppor. Marszałka i Maćkowskiego. Równocześnie z powstaniem tej pierwszej Szkoły podoficersko-żandarmskiej przy tejże Szkole miał być otwarty Kurs Oficerski (3—4 miesięczny) dla 50—60 oficerów.

Wspomnieć należy też o próbach K. W. formowania wojsk lotniczych. Rozpoczęto od oględzin niemieckiej szkoły lotniczej na placu Mokotowskim, które z polecenia K. W., a za zezwoleniem władz niemieckich w dniu 17.X.1918 przeprowadziła delegowana przez nią grupa oficerów lotników i specjalistów. Są też ślady starań K. W. o uzyskanie od władz niemieckich kilku płatowców. Starania te ograniczyły się na razie do zebrania wiadomości w tej sprawie. Władze niemieckie miejscowe, aczkolwiek do propozycji tych odnosiły się życzliwie, jednak zgóry wyraziły wątpliwość, czy będą one zrealizowane wobec strat w materiale lotniczym, jakie armja niemiecka poniosła w ostatnich walkach na froncie zachodnim.

Jak już wspomniałem wyżej, w dniu 17.X.1918 w łonie K. W. płk. Szt. Gen. Włodzimierz Zagórski zorganizował zaczątek Sztabu Generalnego, który w dniu 25.X.1918 wyodrębnił z niej został i dalej rozwijać się zaczął samodzielnie. W dniu 24.X.1918 major Szt. Gen. Iwanowski, dotychczasowy kierownik Referatu IIa w Sztabie Inspekcji Wyszkołenia (sprawy personalne i uzupełnienia oficerów) przeniesiony został do K. W. dla utworzenia wydziału personalnego, jako zaczątek przyszłego Gabinetu Wojskowego przy Zwierzchniej Władzy Państwowej. Sama zaś K. W. w tym czasie powiększyła się przez Sekcję Techniczną, którą powierzono płk. inż. Janowi Wroczyńskiemu, oficerowi Korpusu Dowbora - Muśnickiego. Płk. Wroczyński od dłuższego czasu był już w kontakcie z K. W. On to w dn. 2.VIII.1918 opracował „Projekt organizacji pomiarów

Królestwa Polskiego”, a dnia 5.IX.1918 przedłożył rzeczowo i krytycznie opracowany „Projekt rozszerzenia działalności Komisji Wojskowej”, lecz dopiero w dniu 9.X.1918 K. W. wystąpiła do I. N. W. z prośbą o przyjęcie go do wojska polskiego. Rada Regencyjna, przemianowując w dniu 26.X.1918 K. W. na Ministerstwo Spraw Wojskowych, powierzyła pułk. Wroczyńskiemu jego kierownictwo.

Organizacja Komisji Wojskowej w tej fazie końcowej, z której rozwinęła się w Ministerstwo Spraw Wojskowych, przedstawiała się następująco: (Patrz tablicę Nr. IV).

Dodać by też należało o trudnościach urzędowania K. W., wynikających z jej rozlokowania. Poszczególne sekcje rozrzucone były po różnych częściach miasta w 5-ciu odrębnych lokalach. Już w dniu 8.X.1918 dyrektor K. W. zwracał się z prośbą do Gen. Gubernatorstwa o przydzielenie na ten cel jednego z gmachów rządowych w śródmieściu—o 75 do 100 ubikacjach, motywując prośbę zupełną niemożliwością urzędowania w dotychczasowych warunkach i ogromnymi kosztami, jakie ze szczupłego budżetu Komisji pochłania samo komorne za użytkowane lokale.

VI.

Ocena dorobku Komisji Wojskowej.

Problematyczna możliwość faktycznego budowania armji polskiej ciążyła nad działalnością i organizacją K. W. od momentu powstania niemal do końca jej istnienia. To też w rzeczywistości była ona tylko organem zagadnień polityczno-wojskowych i opieki nad wojskowymi Polakami tak Tymczasowej Rady Stanu, jak następnie Rady Regencyjnej.

Realną pracę budowania armji mogła ona prowadzić tylko przy odpowiednim poparciu i zgodzie panujących wówczas nad krajem mocarstw centralnych.

W pierwszym okresie jej istnienia, t. j. od stycznia do lipca 1917 mocarstwa centralne nie tylko godziły się na jaknajszersze rozbudowanie wojska polskiego, im podległego najzupełniej, ale nawet gorąco tego pragnęły. Wtedy jednak nie godziły się na zaproponowane warunki budowy wojska czynniki polskie — z powodów, poprzednio omówionych.

Organizacja Wewnętrzna Komisji Wojskowej w październiku 1918

Dyrektor Komisji Wojskowej ks. Franciszek Radziwiłł,
Wicedyrektor Komisji Wojskowej płk. M. Januszajtis.

<p>C. I. Adjutantura (kpt. Durski). C. II. Personalja pracowników K. W. (ppor. Bałanda). C. III. Registratura, ekspedycja (pchor. Lewicki). C. IV. Uniwersytet żołnierski (prof. Kornilłowicz).</p>	<p>Sekcja Centralna (S.C.) płk. Januszajtis</p>
<p>W fazie reorganizacji.</p>	<p>Sekcja Gospodarcza (S.G.) mjr. Int. Górecki</p>
<p>Wydział Inżynierji Wojskowej (st. ref. Aleksandrowicz). Wydział Budowlany (st. ref. Koziel-Poklewski). Wydział Lotniczy (st. ref. Łossowski). Wydział Przemysłu i Zaopatrywania (st. ref. Staniszewski). Wydział Topograficzny (st. ref. Surmacki). Wydział Graficzny (w z. st. ref. Surmacki).</p>	<p>Sekcja techniczna (S.T.) płk. Wroczyński</p>
<p>N. I. Wydawnictwa (kpt. Gąsiorowski). N. II. Biblioteka (urz. Daszkiewicz). N. III. Archiwum (plut. Albiński). N. IV. Słownictwo (p. ref. inż. Malinowski). N. V. Administracja Czasopism (w fazie organizacji).</p>	<p>Sekcja Naukowa (S.N.) Radaa min. prof. Tokarz</p>
<p>Adjutantura (por. Mach). O. I. Zasiłki dla rodzin żołnierzy W. P. (st. ref. inż. Skwarecki). O. II. Schroniska i zapomogi dla b. wojskowych form. polskich (ppor. Słomczyński). O. IIa. Pomoc w sprawach szkolnych dla b. wojsk. (por. Greffner). O. III. Rejestracja należności od skarbu rosyjskiego (w fazie organizacji). O. IV. Biuro pośrednictwa pracy (płk. Łempicki). O. V. Opieka nad inwalidami (st. ref. Niskupski). O. VI. ref. lek. dr. Bogacki.</p>	<p>Sekcja Opieki (S.O.) Płk. Paślawski</p>
<p>Inspekcja Obozów i aprowizacja (st. ref. Strakacz). Sekretarjat (p. Kurzeniecki). Biuro W. J. (ppor. Bereszko). Oficer łącznikowy kpt. Sztobryń.</p>	<p>Wydział Jenców (W.J.) st. ref. dr. Zawadzki</p>
<p>P. I. Wydział Druków (ref. Dołęga-Dołęgowski). P. II. Wydział Prasowy (ref. Zagórski). P. III. Wydział Agitacyjny (por. Michalski).</p>	<p>Urząd Propagandy (U.P.) st. ref. inż. Odyniec</p>

Lipiec 1917 był momentem przełomowym dla stanowiska mocarstw centralnych w kwestji powołania do życia armji polskiej. Z użycia jej, jako siły w toczącej się wojnie, w tym czasie zrezygnowały całkowicie.

Ta część społeczeństwa polskiego, która po lipcu 1917 jednak postanowiła trwać przy myśli budowania państwa i armji polskiej przy poparciu Niemiec, aczkolwiek coraz bardziej stanowczo pragnęła i dążyła, zwłaszcza w ostatnich dniach wojny światowej, do stworzenia faktycznej siły zbrojnej polskiej, to jednak całe swe wysiłki w tym kierunku opierała nadal tylko na najzupełniej lojalnym stosunku do mocarstw centralnych i ograniczyła się do ram, przez nie zaakceptowanych. Tak Niemcy, jak i Austrja, choć w ostatnich chwilach okazują znaczną ustępliwość wobec Polaków, to jednak do ostatka niemal bynajmniej nie śpieszą się z jakąś naprawdę szeroką akcją, któraby ówczesnym władzom polskim, t. j. Radzie Regencyjnej, dała możność faktycznego sprawowania rządów i panowania nad krajem.

Rada Regencyjna i przez nią powołane do życia naczelne władze wojskowe nie cieszą się popularnością w społeczeństwie, nie mają w swem ręku ani odpowiednich zasobów finansowych, ani administracji państwowej, ani też organów siły wykonawczej, wystarczającej, aby zapewnić sobie posłuch. Władze wojskowe i wojsko są tylko kadrami, które rozwinąć się mogą w faktyczne Władze Naczelne i faktyczną Polską Siłę Zbrojną, albo pod opieką dalszą wojsk obcych, okupujących Polskę, albo przy poparciu dobrowolnem, stanowczem i wydajnem większości społeczeństwa polskiego.

Faktycznym dorobkiem ostatecznym całej działalności Komisji Wojskowej w dziedzinie zorganizowania Armji Polskiej jest licząca w tym czasie około 6.000 ludzi Polska Siła Zbrojna, której znaczenie, jako siły militarnej, ze względu na niski stan liczebny, jest minimalne, i nie jest ona zdolna do utrzymania spokoju i porządku w kraju, a tem bardziej do ochrony granic. Niemniej jednak wojsko to posiada znaczne wartości kadrowe i zdolne jest do powiększenia się kilkakrotnego w razie uzyskania ludzi, ekwipunku, broni i t. d.

Podobną też wartość, choć bez porównania niższą, miały wytworzone załączki Naczelných Władz Wojskowych.

Już we wrześniu 1918 K. W. w organizacji swej znacznie

zbliżona była, oczywiście w minimalnej skali, do Pruskiego Ministerstwa Wojny, na którym się w swej budowie wewnętrznej wzorowała. Porównując ostateczną organizację K. W. z organizacją Pruskiego Min. Wojny, widzimy, że „Sekcja Centralna” jest niejako mocno uszczuplonym załącznikiem Pruskiego „Departamentu Centralnego”, „Sekcja Gospodarcza” odpowiada w tym samym stopniu „Departamentowi Zarządu Armji”, a „Sekcja Opieki” — „Departamentowi Opieki i Sprawiedliwości”.

Na niekorzyść wartości Komisji jako kadry przyszłego Ministerstwa Wojny przemawia fakt, że w sprawie wytworzenia załączka takiego organu, jak istniejący w Pruskiem Min. Wojny „Ogólny Departament Wojny”, do którego kompetencji należały sprawy organizacji, wykszolenia i mobilizacji armji, nie mogła się ona poszczycić choćby minimalnie dostatecznymi rezultatami. Czy to „Referat Prac Przygotowawczych” w jej organizacji pierwotnej, czy następnie „Wydział Studjów nad wojskowością Polską”, czy wreszcie „Ogólna Sekcja Wojskowa”, zorganizowana we wrześniu 1918, miały tak ogólnikowy i ograniczony zakres zagadnień, tak szczupłą obsadę personalną, że nie można uznać ich za kadrę nawet najbardziej mikroskopijną w tej dziedzinie. Ostatnia organizacja z października 1918 wogóle tej sekcji nie przewiduje. Stąd wnioskować by należało, że ówczesne czynniki kierownicze polskie planowały zapewne powierzenie sprawowania tych funkcji specjalnym Departamentom Broni lub specjalnym Inspektoratom Broni, względnie częściowo departamentom, częściowo zaś inspektoratom. To ostatnie przypuszczenie potwierdzają Wydziały Inżynierji i Lotniczy, przewidziane w świeżo zorganizowanej „Sekcji Technicznej” K. W.

Ostatecznie jednak nawet w momencie końcowym t. j. w październiku 1918 nie można powiedzieć, aby K. W. miała gotowe kadry pracowników fachowych, opracowane instrukcje, nagromadzone materiały i t. p., a tem samem aby miała możliwość szybkiego przekształcenia się w Ministerstwo Wojny, naprawdę zdolne do natychmiastowego i dobrego funkcjonowania. To, co istniało, zaszczerpie było i zbyt ograniczony miało zakres działania, aby wypracować mogło przyszłe formy istnienia Ministerstwa Wojny, ze szczegółami organizacji wewnętrznej, z naukowo wypracowanymi planami uzbrojenia, z organizacją przemysłu wojskowego, wypracowanymi programami

wyszkolenia wojsk wszystkich rodzajów broni, z organizacją i zapoczątkowaniem techniki wojskowej i t. d.

A przecież wszystkie te zagadnienia były właśnie najważniejsze. Prawda, że brak środków, niepewność i trudność przewidzenia warunków organizacji i liczebności mającej się tworzyć armji polskiej w znacznym stopniu kwestjonowałyby wartość wysiłków, w tej dziedzinie podejmowanych w szerszym zakresie, niemniej należałoby dążyć do wytworzenia takich organów choćby w najmniejszej skali, tak jednak, aby wszystkie dziedziny organizacji wojskowej miały choćby mikroskopijne załączki, mogące się rozwijać w miarę potrzeby i sprzyjających warunków.

W rezultacie poza opracowaną Ustawą o powszechnej służbie wojskowej, którą w dniu 27.X.1918 Rada Regencyjna zatwierdziła, K. W. nie może się poszczycić innemi wykończonemi elaboratami w najważniejszych dziedzinach organizacji wojska. Dokonane przez nią wysiłki w dziedzinie prawno-wojskowej, czy w słownictwie wojskowem polskiem i t. p. miały oczywiście swoją wartość i swe znaczenie, ale wszystko to były kwestje co najmniej drugorzędne. Wszelka praca faktycznie wojskowa tak w organizacji, jak w regulaminach, przepisach, wyszkoleniu, wypracowaniu form życia koszarowego i t. d. i t. d. dokonywuje się w tym czasie tylko w szeregach Polskiej Siły Zbrojnej, w zakresie jej oczywiście właściwym i dostępnym, i jest jej zasługą.

Pomimo tych braków, jednak w rzeczywistości K. W. odegrała rolę kadry tak dla Sztabu Generalnego, jak i Ministerstwa Wojny — i to jest bezsprzecznie jej wielką zasługą. Wytknięte braki tłumaczą się warunkami jej pracy, wyłącznie cywilną, a nie wojskową obsadą personalną, i to przez czas dłuższy jej działalności, trudnościami, stawianemi na każdym kroku przez władze okupacyjne, a wreszcie tem, że przecież władze polskie, dla których była ona organem zagadnień wojskowych, choć miały reprezentować naród i państwo polskie, w rzeczywistości reprezentowały tylko jego niemoc.

DOKUMENTY.

PROPAGANDA POLSKA W ANGLJI.
(1867 — 1874).

I.

Polska ¹⁾.

Program herbaty oraz publicznego zgromadzenia:

w Cambridge Hall;
Newman Street;
22 stycznia 1867 roku.

Dla upamiętnienia ostatniej polskiej rewolucji 1863 roku.
Herbata o 7-ej wieczór.

Podczas herbaty kapela wytwórców narzędzi muzycznych
wykona następujące utwory:

- | | |
|---------------------------------|-------------------------|
| 1. Polski hymn narodowy. | 6. Marsyljanka. |
| 2. Uwertura z Tankreda. | 7. Walc „Sliczny ptak”. |
| 3. Walc Julji. | 8. Pieśń Garibaldiego. |
| 4. Hymn polski. | 9. Galop z Orfeusza. |
| 5. Francuski Bouquet Quadrille. | |

Po herbacie przewodniczący wprowadzi chór dla odśpiewania polskiego hymnu:

„BOŻE, COŚ POLSKĘ”

Zagajenie przewodniczącego, po którym zostaną wniesione i uzasadnione:

1-sza rezolucja.

Polacy, zebrani tu dla upamiętnienia rocznicy swego powstania, oświadczają, że wiernie stoją przy manifeście pol-

¹⁾ Angielska kartka ulotna, zachowana w Archiwum P. P. S.

skiego Rządu Narodowego z dn. 22 stycznia 1863 r., który to manifest obalił wszystkie przywileje, obdarzył chłopów ziemią i ogłosił wszystkich mieszkańców bez różnicy jako wolnych i równych wobec prawa, i głęboko wierzą, że są to jedyne skuteczne sposoby przeciwstawienia się nieczym zakusom moskiewskiego cara podzielenia społeczeństwa polskiego na oddziały różnych klas, wyznań i ras i że jest to jedyna słuszna zasada, na której można utrwalić jedność narodu i zorganizować potęgę narodową w stopniu, dostatecznym dla odzyskania wolności i niepodległości, i dlatego wzywają zgromadzenie do oświadczenia, że w dążeniu do tych swoich celów mają prawo do życzliwości i współdziałania wszystkich wolnych i cywilizowanych ludów, a zwłaszcza klas pracujących całego świata.

2-ga rezolucja.

Że wolność nie może być ustalona w Europie bez niepodległości Polski.

3-cia rezolucja.

(po francusku i angielsku).

Oddział francuski międzynarodowego stowarzyszenia pracowników protestuje w imieniu wspólności interesów wszystkich narodów przeciwko ujarzmieniu Polaków i przyrzeka im swą pomoc w odbudowaniu Polski na podstawach demokratycznych, republikańskich i socjalistycznych.

4-ta rezolucja.

Że niedawne zniesienie Polski Kongresowej przez cara jest obelgą dla tych wielkich mocarstw Europy, które przyczyniły się do tych zarządzeń przez pobłażanie lub skutkiem wzajemnych zawiści, lecz my, którzy reprezentujemy uczucie oraz interes ludu, nie możemy żałować tego niesprawiedliwego, a stąd poronionego kompromisu z 1815 r. i nawet jesteśmy szczęśliwi, że odtąd Kwestja Polska sprowadza się do tego prostego wyniku: albo zgodzić się na całkowite zniknięcie imienia Polski z mapy Europy, albo walczyć o jej odbudowanie w granicach z 1772 r.

Po uchwaleniu rezolucyj, kapela odegra polski hymn narodowy:

„JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA”.

II.

Adres wychodźców polskich do Narodu Angielskiego ¹⁾.

Podczas gdy płatni agitatorzy panslawizmu, wnosząc swoje intrygi w sam rdzeń życia ludów słowiańskich, przygotowują dla cara sposobność nowych zdrad, nowych inwazyj i nowych podbojów, podczas gdy moskiewscy dozorczy niewolników depczą lud polski, obdarłszy go ze wszystkiego dlatego że lud ten nie chciał porzucić wiary swych przodków; podczas gdy pod ochroną swej armji i, wypełniając oddawna dojrzałe plany, Rosja buduje własne wojskowe drogi po przez pustynie Azji Centralnej ku Indjom Brytyjskim — car rosyjski ośmiela się przybyć do Londynu, by złożyć oświadczenie swej przyjaźni Królowej wolnego ludu, przeciwko interesom którego jednocześnie tajemnie spiskuje.

Jeśliby ta wizyta nie miała innego znaczenia i była jedynie aktem grzeczności względem dworu angielskiego, my, Polacy, byłibyśmy ostatni przy zabieraniu głosu w tej sprawie. Lecz, na nieszczęście, nauczeni jesteśmy doświadczeniem, że takie wycieczki cara zawsze są wykorzystywane jako sposobność do intryg i potwarzy przeciwko narodowi polskiemu. Przy takiej sposobności czynione są wysiłki zatruwania przeciwko nam umysłów narodów, które dotychczas przyjaźnie były usposobione dla sprawy polskiej, otwierania nowych dróg dla podbojów i jednocześnie przedstawiania Rosji jako matki i dobrodziejki tych właśnie narodowości, na których gardle oparła ona swoją stopę. Dlatego to my, synowie narodu, który miał swe dni wielkości i za czasów ich trwania dokonywał wielkich czynów dla sprawy postępu ludzkości — nie możemy milczeć w wypadku, który pozwala nam na przypomnienie Anglii tej starej, często powtarzanej, prawdy:

„Jeśliby rząd angielski nie był obojętny na nieustające wysiłki Polski odzyskania niepodległości, to ani Anglja, ani reszta Europy nigdy nie potrzebowałyby się bać rosnącej mocy ciągle rozszerzającego się imperjum rosyjskiego; zamiast kosztownych i ustawicznie wzrastających zbrojeń, Anglja mogłaby, korzystając z błogosławieństwa pokoju, rozwinąć przemysł, dobrobyt i swobody, a jednocześnie stać się protektorką Międzynarodowej Sprawiedliwości, obecnie sprowadzonej do zera przez każdego despotę, któremu się spodoba swoje własne ambitne marzenia wywyższyć ponad interesy reszty świata”.

Właśnie teraz naród angielski zagrożony jest zbliżaniem się Rosjan przez Turkiestan ²⁾ ku granicom Brytyjskich Indyj.

¹⁾ Przekład 6-stronicowego pisma ulotnego w języku angielskim bez oznaczenia miejsca druku — z archiwum P. P. S.

²⁾ W oryginale „Tartary”.

Naród angielski, jeśli rozumie swoje własne interesy, winien być najbardziej szczerym i gorliwym przeciwnikiem swego (może nie proszonego) gościa i winien zrozumieć, jak ogromną pomocą dlań może być przyjaźń niezwykłego i niezniszczalnego narodu, jakim jest Polska.

Przez położenie geograficzne i przez gotowość po wszystkie czasy walczenia za sprawę ludzkości Polska była i będzie zawsze w przyszłości pierwszym szermierzem sprawiedliwości, cywilizacji i rozwoju przemysłowego w całej północno-wschodniej Europie. Dowiodła tego niezbitie przez wieki trwające walki przeciwko inwazjom wschodnich barbarzyńców z jednej strony i przeciwko inkwizycji, gnębiącej wówczas niemal całą zachodnią Europę — z drugiej.

Jak się to stało, że narody Europy Zachodniej mogły w spokoju oddawać się rozwijaniu swego życia społecznego? Poprostu dlatego, że na wschodzie żołnierz polski stał na czatach, zawsze czujny, zawsze gotów do walki, do poświęcenia swego zdrowia, własności, życia. Europa zawdzięcza ochronie oręża polskiego, że przy jej zbudzeniu się do nowego życia sztuka i nauka mogły zakwitnąć nanowo, że handel, przemysł i dobrobyt mogły osiągnąć swego obecnego wspaniałego rozkwitu w Europie Zachodniej. Coby się naprzykład stało z dziedzictwem cywilizacji, pozostawionem Zachodowi przez pracę 2-ech stuleci, jeśli Polska, sama zagrożona przez hordy mongolskie na Wschodzie, nie przyszła na ratunek środkowej Europie, zagrożonej przez Turków, i nie złamała potęgi Ottomańskiej przez świetne zwycięstwo pod murami Wiednia?

Współcześni sceptycy niewątpliwie powiedzą nam: „Wszystko to należy do przeszłości; chwała wasza przeminęła nazawsze, a wasze poprzednie ofiary, poniesione dla sprawy Europy, zostały wynagrodzone przez wspaniały pomnik nad grobem”. Lecz na to odpowiemy, że nawet dzisiaj, jeśli Europa nie jest zalana przez obecnie organizowane hordy barbarzyńców, zawdzięcza to niezwykłemu narodowi polskiemu, którego nigdy nie ustające wysiłki odzyskania wolności zmuszają do trzymania w pogotowiu siły, którejby car w przeciwnym razie użył, porywając się na podbicie Europy. Ta wytrzymałość Polski wobec najbardziej miażdżących klęsk, ten ciągle powtarzający się nawrót do walk, te ciągle powtarzające się krwawe protesty przeciwko przemocy, której podpada dzięki obojętności Europy, osiągnęły przynajmniej taki skutek, że obudziły te słowiańskie narody, które dotychczas mile przyjmowały zalecanki Rosji, i tym sposobem Polska rozbroiła najbardziej niebezpiecznych pomocników w rozszerzaniu na świat panowania cara — jego panslawistycznych agentów.

Posłuchajcie półurzędowego głosu słynnego historyka rosyjskiego, prof. Pogodina, w dziele, wydrukowanym na rozkaz i kosztem Rządu rosyjskiego: „Polska, dotychczas najbardziej

bolesny wrzód na ciele Rosji, musi się stać jej prawą ręką. Z powodu Polski wzbudziliśmy przeciwko sobie opinię elity Europejskiej, przez Polskę musimy zrehabilitować siebie w tej opinii". Poczem proponuje, zgodnie z tradycyjną polityką rosyjską, odbudować Polskę w kształcie małego, słabego Królestwa, pod rządami któregoś z książąt z rodziny carskiej; to pozorne pogodzenie się z Polską, sądzi on, byłoby najsilniejszą przynętą dla austriackich i tureckich Słowian. „Powinniśmy — ciągnie dalej — ogłosić to w manifeście, Anglja i Francja będą zagryzały usta, zaś co do Austrii, będzie to dla niej cios śmiertelny... Cała Polska, nawet jej najbardziej nieprzejednani synowie, rzuci się w nasze objęcia; austriaccy i pruscy Polacy połączą się ze swymi braćmi. Wszystkie plemiona słowiańskie, obecnie gnębione przez Austrię — Czesi, Chrowaci, Węgrzy (!), nawet Słowianie tureccy będą tęsknili do chwili, w której będą mogli oddychać tak swobodnie, jak Polska. Będziemy rasą o stu milionach pod jednym berłem, a wówczas wy, narody Europy, przyjdźcie i spróbujcie się z nami!"

Taki był program dla zadośćuczynienia żądzy podboju rządu moskiewskiego. Brak mu tylko jednej rzeczy — zgody Polski. Na wszystkie te przynęty — jak to światu wiadomo — Polska odpowiedziała: „Muszę żyć i zamierzam żyć nie jako narzędzie zagranicznych, wszechogarniających knowań cara, lecz jako wolny naród wśród wolnych narodów Europy!". I krwią każdego ze swych synów potwierdza ona ten niewzruszony wyraz swej woli. Z pokolenia na pokolenie idzie ona z postępem, dotrzymując kroku ogólnemu postępowi ludzkości.

Po wiekach służby orężnej w sprawie postępu ludzkości Polska w momencie, decydującym o jej odrodzeniu, została rozkawałkowana pomiędzy 4 różne państwa. Kościuszko, brniąc niepodległości Polski, walczył w tym samym czasie o zasadę równości — podstawę Konstytucji 3 Maja 1791 r. Powszechnie wiadomo, że od chwili utraty niepodległości narodowej i wbrew tej utracie Polska, dzięki wrodzonemu patryjotyzmowi i solidarności ze wszystkimi walczącymi o ludzkie prawa narodami, stała się najbardziej czynnym szermierzem znieważonej sprawiedliwości, bez względu na kraj, i spłacała swój udział krwi na każdym polu bitwy, gdzie zwalczano tyranję. Niezłamana przez swe własne klęski oraz przez niechęć rządów europejskich, Polska ani na chwilę nie zapominała o obowiązkach, nałożonych na nią przez własną jej wolę, przez historję i przez wzgląd na przyszłość.

Przez bezgraniczne ofiary swych patryjotów we własnym kraju, przez misjonarską i orężną działalność polskich wygnańców demokratycznych, przez męczeństwo milionów Polaków na Syberji, w rosyjskich bataljonach karnych, w więzieniach i na wygnaniu Polska rozwinęła z głębi swego sumienia

narodowego zasady, które mają służyć za fundament przyszłej republice polskiej.

Nasze narodowe hasło: „Wolni z wolnymi, równi z równymi” oraz „Za naszą wolność i waszą” zespalają świetną minioną historję Polski z jej przyszłością: zasady, któremi ta przyszłość ma się kierować, są wyraźnie ustalone w manifestach z 1830, 1845 i 1863 r.

Pierwszy z tych manifestów, stwierdzając niewzruszone prawa narodowe Polski, głosi jednocześnie równość praw ludu wiejskiego. Manifest z 1845 r., wydany na ziemi polskiej, w wolnym wówczas mieście Krakowie, i sankcjonowany przez delegatów ze wszystkich części Polski, obwieszcza nie tylko równość praw, ale również zasadę, że ziemia, uprawiana przez chłopów w ciągu stuleci, winna stać się ich własnością.

W części Polski, gwałtem przydzielonej do Rosji, właściciele ziemscy, uznając ten manifest jako część polskiego prawa narodowego, z własnej wolnej woli i niejednokrotnie decydowali (od r. 1859 do 1863) uwolnić swe sumienia od zarzutu gnębienia własnych ziomków i rozwiązać sprawę ziemi drogą wspólnego porozumienia się z chłopami. W zasadzie kwestja ziemi w Polsce była rozwiązana przez Konstytucję 3 Maja 1791 r.; jeśli później chłop polski był ciemniony, był to jedynie wynik despotyzmu i machjowelizmu cara, który opierał swe panowanie na wzajemnym antagonizmie posiadaczy ziemskich i chłopów. Wyżej wymieniona rezolucja, tycząca się ziemi, była powzięta na długo przed cesarską proklamacją z dnia 18 lutego 1861 r., tak, że ta proklamacja, roszcząca pretensje do ustalenia równych praw dla chłopów, jest jedynie płaszczykiem dla ustawicznie powtarzanych usiłowań cara zagarnięcia dla siebie cudzej własności. Lud polski poszedł w niewolę, **ziemia stała się własnością cara**, zaś jako kara za krwawy protest, podniesiony w r. 1863 przeciwko zdrażliwemu barbarzyństwu gnębieli, Polskę spotkał cały szereg brutalnych prześladowań, na któreby się wzdrygnęła nawet tyranja wieków przeszłych.

To i tylko to jedynie było rezultatem carskich proklamacyj, które cała Europa oklaskiwała i wynosiła pod niebiosa! Lecz ani okrutne jarzmo cara, ciężące na Polsce już całe stulecie, ani obojętność Europy nie zdolne były jej zabić.

żyliśmy, żyjemy i będziemy żyli mocą naszej własnej woli, naszej siły i naszego własnego politycznego i społecznego rozwoju, co wywyższa nas ponad naszych gnębieli, których istnienie oparte jest od początku do końca na przemocy, więzieniach i szubienicach i których główne środki działania zagranicą — to ciemne knowania i machinacje, zdrażliwe niespodzianki i podboje.

Któż inny, jeśli nie Dwór Petersburski, stworzył tę „Kwestję Wschodnią”, która kosztowała i będzie znów kosztować potoki krwi i góry złota narody zachodnie?

Kto, jak nie Gabinet petersburski, nawołuje teraz wszystkie plemiona słowiańskie, by się łączyły w wyprawie krzyżowej na Niemcy, wykorzystując krótkowzroczną politykę Bismarcka w stosunku do Polski?

I czyż Dwór austriacki nie jest zaszczycony przyjaźnią Moskiewskiego rządu, który jednocześnie tajemnie podburza do buntu Słowian austriackich w przewidywaniu chwili, w której będzie mógł posłać do Austrii armję rosyjską, by „ochronić Europę przed anarchją?”.

Jest to ten sam Gabinet petersburski, który zgniótł Polskę, okaleczył Szwecję, ujarzmił Kaukaz, rozczłonkował Turcję, z Persji uczynił swego wasala, zawojował Azję Centralną, i który teraz, stawszy się sąsiadem Anglii u granic Indyj, przybywa złożyć Anglii sąsiedzką wizytę!

Możemy zadać tylko jedno pytanie: czy nie jest czas najwyższy, by naród angielski, w uznaniu dla tego wielkiego aktu uprzejmości, zwrócił się ku swemu prawdziwemu, może jedy-nemu prawdziwemu, przyjacielowi — Polsce? Niech sobie przypomni w tym celu oświadczenie co do Polski, uczynione przez słynnych profesorów petersburskich Spasowicza i Pypina, oraz tego, jeszcze bardziej znanego i oficjalnego trybuna rządu rosyjskiego, M. Katkowa: „Miejcie się na baczności! Obecne pokolenie młodych Polaków, bratając się z naszą młodzieżą, zatruwa swemi ideami wolności i niezależności naszego starodawnego, nieskończenie uległego ducha narodowego i skończy tem, że zrujnuje Rosję!”.

A świat wie, że polskie braterstwo i polska nienawiść nie są to puste słowa w ustach zdradliwych dyplomatów.

Na rozkaz i w imieniu stowarzyszenia: Lud Polski

Generał W. WRÓBLEWSKI, przewodniczący.
JAN KRYŃSKI, sekretarz.

Londyn, 3 Maja 1874 r.

POLEMIKA

Drogi Redaktorze,

Nie potrzebuję Ci przypominać, iż jednym z założeń dyskusyj, jakie poprzedziły wydawanie „Niepodległości”, było, że stanie się ona nietylko zbiorem dokumentów, wspomnień i zapisków, lecz także, zczasem, kuźnicą konstrukcji historycznej. W dyskusjach tych przewijało się wyraźne odróżnienie pracy rozpoczynanej nad dziejami odbudowania Polski od typu almanachów pamiętnikarskich rosyjskich — poniekąd nawet od większości czasopism historycznych wogóle, w których nieomal wyłącznie dominuje analiza. Mówiąc krócej, ambicją głębszą powstającego pisma było stworzyć, w jego własnej dziedzinie, szkołę myślenia:

Również więc nie potrzebuję podkreślać gotowości, z jaką przyjąłem Twoją inicjatywę, abym skreślił uwagi „O metodzie dziejów odzyskania niepodległości”¹⁾. I dzisiaj pozostaje mi tylko wyrazić radość, że te szkicowe i niepełne uwagi wywołały echo i że, jak pisze Dr. Próchnik²⁾, „dyskusja jest otwarta”. Pozwolisz więc może teraz, iż — trochę jak ów advocatus diaboli w procesach kościelnych — będę w dyskusji tej zabierał głos.

* * *

Wydaje mi się, że z dr. Próchnikiem dzielą mię najczęściej — słowa; niema więc innej rady, jak przejść do słów tych treści, a wtedy, jeśli się nawet nie porozumiemy, to przynajmniej — zrozumiemy.

¹⁾ Niepodległość, zesz. 6, str. 193.

²⁾ Niepodległość, zesz. 7, str. 1.

Pisałem, że przesianie źródeł „z odróżnieniem ważnego od rzeczy bez znaczenia” zostawiam „z konieczności” pokoleniom następnym. Nie znaczyło to wcale, abym negował potrzebę zbierania źródeł i krytyki źródeł już obecnie — w moich słowach zabrzmiał tylko samokrytycyzm, chciałem wskazać na zgóry ograniczoną wartość naszej obecnej krytyki. Mogę więc tylko jak najżywiej przyłączyć się do życzenia dr. Próchnika, aby powstał posterunek pracy nad „bibliografią źródeł” dziejów Niepodległości. Sądzę, że taka instytucja — myślę bowiem o stałej instytucji rejestrującej — powinnyby się jak najprędziej zrealizować — i to w związku z naszym kwartalnikiem.

Drugie niezrozumienie czy nieporozumienie wywołane zostało mojem twierdzeniem, „iż niepodległość w znacznej mierze zdobył za nas los”, co jest parafrazą znanego powiedzenia z czasu wojny, że przez długo „pracowała na nas historia”. Dr. Próchnik widzi w mojem twierdzeniu „koncepcję, że przyczyną odbudowania państwa polskiego był przypadek”. Nic fałszywszego; nic bowiem nie jest dla mnie dalszem od pojęcia „losu” jak pojęcie „przypadkowości” i nic nie jest bardziej stałem, nieodmiennem, koniecznem, jak ów „los”. Jest to *c a u s a c a u s a r u m* i nic nie ma wspólnego z „ślepyim losem” czy trafem.

Sam zresztą dr. Próchnik mówi, iż poza sprzyjającą Polsce konjunkturą „stały czynniki nieskończenie większej wagi”, i że istotną przyczyną odrodzenia Polski był splot szeregu czynników... mechanizm procesu historycznego”. Nie sądzą, aby to wszystko było dalekiem od mego pojmowania „losu”. Rozłóżmy ów „proces historyczny” na składowe czynniki, a znajdziemy u d-ra Próchnika, podobnie jak u mnie, „ziemię”, czyli pierwiastki geograficzne, dalej „przesłanki gospodarcze”, które ja nazwałem „warunkami geograficzno-ekonomicznymi”, wreszcie „pierwiastki złączone z szeregiem pokoleń”—innemi słowy „mechanizm procesu historycznego”. W teorii przyczyn wojny światowej badacze rozróżniają już *les causes immediates* oraz *les causes lointaines de la guerre*; podobnie skłonny byłbym szukać odległych przyczyn restytucji w znaczeniu upadku Polski, w okolicznościach rozbiorów, we krwi pokoleń zmarłych za ojczyznę, w trwają-

cej przeważnie mimowolnie, pomimo wszelką rzeczywistość, idei.

Owóż — i tu może rozchodzimy się z d-rem Próchnikiem — restytucja Polski, jakkolwiek jest faktem życia polskiego, nie przestaje być przede wszystkim zjawiskiem międzynarodowym. Dr. Próchnik skłania się do tego na jednym odcinku — rozumie restytucję Polski jako część europejskiej realizacji zagadnienia narodowego. Nie byłbym tak bardzo tej rzeczy pewien. Realizacja ideałów narodowościowych wypada w Europie na lata 1848—1870, od tej epoki dzieli nas okres „krwi i żelaza” i rozwój zagadnień socjalnych. „Odbudowanie państwa polskiego nie jest faktem odosobnionym.. równocześnie szereg innych narodów odzyskał lub zdobył niepodległy byt” — na te, niezupełnie ściśle twierdzenia możnaby powiedzieć, że ani rozbiór Węgier, ani utworzenie Czechosłowacji — gdyż te dwa najważniejsze fakty w grę tutaj wchodzi — nie poszło po linii dążeń, ani granic narodowościowych: zdecydowała i tu, i tam w pierwszym rzędzie *M a c h t f r a g e* — racja stanu państwowa.

Restytucja Polski jest faktem o wiele rozleglejszego i bardziej podstawowego dla Europy znaczenia, niż realizacja jednego z licznych, równoległych do polskiego, dążeń narodowościowych. Dotyczy ona, mówiąc najogólniej, stosunku Wschodu i Zachodu Europy, a także dalszego rozrostu lub też zaniku zachodniej cywilizacji. Pod tym względem zagadnienie państw bałtyckich gatunkowo nie jest rzeczą inną. Można, bez obawy o przesadę, odpowiedzieć twierdząco na pozornie paradoksalne pytanie d-ra Próchnika — neutralnie w granicach racjonalności takich zapytań wogóle: „gdyby na ziemiach polskich nie mieszkał naród polski... zasada równowagi doprowadziłaby również”, jeśli nie „do powstania tu jakiegoś państwa” — to przynajmniej do walki o restytuowanie na tem terytorjum panowania, w tej czy innej formie narodowościowej, cywilizacji zachodniej.

Ani chwili nie należy tracić z pod uwagi faktu, iż w zagadnieniu polskiem chodzi nie o stworzenie nowego, ale o restytucję dawnego państwa — i to państwa, którego główną cechą jest nie jego typ narodowy, a jego typ cywilizacyjny. W tem przywróceniu terytorjum dawnego państwa polskiego, względnie ludów je zamieszkujących, prawom i obyczajom cywilizacji

zachodniej widzę owo „automatyczne” działanie „równowagi”, zwichniętej w XVIII w., odnowionej w XX. Ta równowaga to nie balance of power — „równowaga między państwami” — jak mię mylnie dr. Próchnik zrozumiał; jest to jedność cywilizacyjna Europy — przynajmniej zachodniej i środkowej — załamana wskutek rozbiorów Polski, zrestytuowana, przynajmniej częściowo, obecnie.

Dziwię się, jak można w tem wszystkim upatrywać „refleks teorii propagandystycznej”. O „zwichnięciu równowagi” mówił już Napoleon, porównując Polskę do „klucza w sklepieniu Europy”, określając Europę po rozbiorach Polski jako będącą „w stanie grzechu śmiertelnego”. I nie „propagandzie” polskiej zawdzięczamy słowa Fryderyka II o Polsce, która jak hostja podzielona i spożyta złączyła trzy wyznania — katolickie, protestanckie i prawosławne — trzech swych rozbiorców; — słowa, które miałem na myśli, pisząc o „wyroku sprawiedliwości powszechnej”.

Na innym miejscu podejmę dyskusję w przedmiocie, na ile naród polski jako całość przyczynił się do restytuowania państwa polskiego. Naturalnie, nie chodzi mi tu wcale o „winy i zasługi”, tylko o fakty. W dziedzinie faktów rzeczy różne trzeba rozróżniać i nazywać inaczej. To, że naród polski się rozradzał, że zachował swą indywidualność etniczną i rozwijał swą cywilizację odrębną, a nawet to, że walczył o szkołę polską, przeciw uciskowi religijnemu, a w odpowiedzi na prześladowania despotyczne miewał odruchy rewolucyjne — to wszystko nie stanowiło ani „dojrzałości politycznej”, ani tem mniej świadomego dążenia do niepodległego państwa. Byliśmy — tak jak i nadal jesteśmy — społeczeństwem o rozlicznych w sobie możliwościach — ale nie mieliśmy jako całość, bo wydarto ją z nas, samowiedzy politycznej. Naród bez samowiedzy politycznej jest „materjałem etnicznym”. To, że w ciągu siedmiu lat przemierzaliśmy dystans od materjału etnicznego do czynnika spajającego wielkie państwo — świadczy, poza nawet działającymi tu czynnikami ziemi, gospodarstwa, historii, o dużych zdolnościach narodu, ale jednocześnie wskazuje na pewne niebezpieczeństwo, które określam terminem „niedorośnięcia do niepodległości”.

W czem się natomiast najzupełniej z dr. Próchnikiem zgadzam, to, że wszystkie takie przesłanki i twierdzenia należy

„realnie stwierdzić”. Może na innym miejscu i w rozleglejszy sposób będę mógł bardziej gruntownie skorzystać z dostarczonej mi okazji dyskusowania i motywowania postawionych przeze mnie twierdzeń.

*

*

*

Obawiam się, Drogi Redaktorze, iż nadużywam łaskawie udzielonego na polemikę miejsca, więc pozwól, że na zakończenie wyrażę z powodu artykułu p. Hłaski³⁾ całą mą niechęć do prowadzenia dyskusji, rozpoczętej nie we właściwej formie. Nie mam zaszczytu znać osobiście p. Hłaski, i wskutek tego nie uważałbym za możliwe zarzucać mu „odwracania kota ogonem”, zwać go „pseudohistorykiem”, przy okazji wymawiać mu jego „przyjaciół” — jednym słowem walczyć tą bronią, bezceremonjalnie osobistą, której w stosunku do mnie użyć zechciał.

Zaznaczę więc tylko, że wszystkie te argumenty ad hominem nie mają nic wspólnego z tematem. Tematem tym jest: 1) kto był inicjatorem neoslawizmu, 2) czy Stołypin popierał go, czy zwalczał, 3) czy neoslawizm wymierzony był przeciw Niemcom czy też przeciw Austro - Węgrom. Od odpowiedzi na te pytania zawisł wniosek: czy polityka p. Dmowskiego wyprowadziła w pole Rosję, wpłynęła na zwrócenie jej przeciw Niemcom i postawiła kwestję polską jako aktualną na terenie słowiańskim; czy też poszła na pasku rosyjskiego imperjalizmu, wyzyskaną była do rosyjskiej, lub nawet rosyjsko - niemieckiej gry przeciw Austro - Węgrom, i przyczyniła się w końcu nie tylko do powstania sprawy Chełmszczyzny, ale do wznowienia planów zaborczych Rosji, skierowanych na Lwów i Przemyśl.

Przyznaję zgóry, że dyskusję w tych sprawach uważam za dopiero rozpoczętą — i ten cel miał właśnie na widoku szkicowy raczej ustęp mego artykułu. Szczególnie pożądanem byłoby wypowiedzenie się uczestników akcji, o ile możliwe z dokumentami w rękę. Twierdzenie moje o „jednoczesnej” inicjatywie neosłowiańskiej Stołypina opierałem: 1) na akcji neosłowiańskiej petersburskiego klubu działaczy społecznych i jego prezesa Krassowskija, stołypinowskiego człowieka,

³⁾ J. Hłasko: „O czem nie wie p. Sokolnicki”, „Gazeta Warszawska”, 23 stycznia.

2) na opinji p. Szymona Askenazego⁴⁾ i 3) last but not least— na wymowie faktów: za czasów bowiem Stołypina nastąpiło zawiązanie akcji neosłowiańskiej, oparcie jej w Czechach na notorycznym moskalofilu Kramarzu i wygranie jej dla oderwania Chełmszczyzny. Naturalnie, rzecz wymaga dalszych badań i spodziewam się, że do niej jeszcze wrócę.

Artykuł p. Hłaski zawiera jeden interesujący szczegół akcji neosłowiańskiej, wprowadzie już ogólnikowo wspomniany kiedyś przez p. Dmowskiego⁵⁾, mianowicie uprzedzenie przezeń o tej akcji „najwybitniejszych członków Koła Polskiego” w Wiedniu i otrzymanie odpowiedzi, że „jeżeli rodacy z państwa rosyjskiego uważają tę akcję za pożyteczną dla celów ich polityki, oni nie chcą stawiać im przeszkód”. Uważam epizod ten za jedną z czarnych kart naszej przedwojennej historii, wskazującą do jakiej politycznej niemocy i do jakiego rozbitcia doprowadził począty z niewoli trójlojalizm.

* * *

Sądzę, że to wystarcza. Chcę Cię zapewnić na zakończenie, że zawsze gotów jestem stanąć do dyskusyjnego apelu i brać udział w walce o rzeczy i idee.

Twój

Michał Sokolnicki.

⁴⁾ Uwagi, str. 405 n.

⁵⁾ Polityka polska i odbudowanie państwa, str. 101.

MISCELLANEA

I.

W SPRAWIE UCIECZKI JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO I ŻONY JEGO PELAGJI¹⁾.

W Nr. 59 „Ojczyzny” z r. 1865 wydrukowano korespondencję ze Sztokholmu, zawierającą szczegóły aresztowania, śledztwa i ucieczki Jarosława i Pelagji małż. Dąbrowskich, którzy znaleźli schronienie w czerwcu 1865 roku na gościnnej ziemi skandynawskiej. „Korespondent” — w rzeczywistości sam Dąbrowski — dołączył dwa swoje listy — jeden do wojennego generał-gubernatora niżnie-nowgorodzkiego, A. A. Odincowa, drugi do Katkowa, które poniżej przytaczamy. Listy te, wydrukowane w Nr. 59 „Ojczyzny”, następnie przedrukowano w londyńskim „Kołokole”.

„Korespondent” ze Sztokholmu, poświęciwszy kilka słów działalności Jarosława Dąbrowskiego w Petersburgu i w Warszawie w latach 1859 — 62, pisze, że pierwszy, kto zdradził przed rządem rosyjskim jego działalność, był Miładowski, b. oficer inżynierji, aresztowany na Litwie w październiku 1863 r. Miładowski pod wpływem depresji w więzieniu murawjewskim złożył zeznania o działalności Dąbrowskiego w Petersburgu. Wskutek tych zeznań Berg, namiestnik Królestwa, kazał Dąbrowskiego, któremu komisja śledcza od sierpnia 1862 do października 1863 nic nie mogła udowodnić i który był trzymany jedynie w nadziei, że czas wykaże jego udział w organizacji spiskowej, — poddać ponownemu śledztwu.

Wskutek zeznań Miładowskiego, jak podaje „Korespondent”, sąd polowy skazał Dąbrowskiego na karę śmierci. Berg zmienił wyrok na 15 lat ciężkich robót²⁾. Dn. 18 listopada 1864

¹⁾ Patrz prace na ten sam temat pp. J. Krzesławskiego (zeszyt 3) i Z. Żmigrodzkiego (zeszyt 6).

²⁾ Do zamiany kary śmierci na roboty ciężkie przyczyniło się: 1) mało obciążające zeznanie Miładowskiego, bo dotyczące się głównie działalności

wyrok został odczytany w obecności 100 osób w cytadeli warszawskiej, poczem nastąpiła wysyłka. „Tymczasem w więzieniu wileńskim ³⁾ — pisze „Korespondent” — O. (skar) A. (wej-de), upadły fizycznie i na duchu pod prześladowaniem długiego więzienia i inkwizycyj Wieszatiela, potwierdził zeznania Miładowskiego — w tejże chwili Wieszatiel wysłał pogoń za Dąbrowskim do Syberji i wydał od siebie wyrok śmierci na niego. Ale wszystkie usiłowania były próżne. Dąbrowski, korzystając z sympatji ludu wiejskiego, w podróży zaopatrzył się w ubranie kobiet moskiewskich, a upatrzawszy dogodną chwilę, niepostrzeżony przez kolegów ani przez warty, uciekł z Kołymańskiego dworu, okrążonego bagnami moskiewskimi. Ucieczka była dokonana na 3 dni przed łaźnią, która według dzienników moskiewskich miała mu posłużyć do ucieczki, bez najmniejszej pomocy obcych mu osób.

„Młodzież rosyjska rewolucyjna pracująca nad wyzwoleniem ludu z pod dzikiej władzy niemiecko-tatarskiej powitała go z wielką radością i współczuciem. Ukryła go między sobą i ułatwiła podróże po Rosji, które w interesie sprawy wolności po swojej ucieczce odbywał.

„Naprawdę Katkow zachęcał do ujęcia go, napróżno szpie-dzy, do liczby których Wieszatiel przysłał 7 swoich, obiecywali go wyśledzić. Dąbrowski był zupełnie bezpieczny wśród postępowych Rosjan, którzy przycichli pod naciskiem reakcji, lecz nie wyrzekli się swego programu. Pomimo niebezpieczeństwa i stryczka, grożącego mu, Dąbrowski nie chciał wyjeżdżać z Rosji, dopóki nie dopełnił tego, co jest najświętszym obowiązkiem Polaka i człowieka poświęconego wolności. Zaproszony na obchód pamiątki dekabrystów stawił się wśród licznego zgromadzenia Rosjan, czczących pamięć swoich męczenników.

„Wśród wyuzdanej i roznamiętnionej tłuszczy, pobudzonej przez sprzedajnych sług carskich do nienawiści Polaków, ci ludzie zaprzestali działać, brak im było energii i brak sił do stawienia czoła podłości i nikczemności, które ogólnym strumieniem płynęły. Dąbrowski ich obudził i do wytrwałości zachęcał. W ten sposób, zwiedziwszy rozmaite okolice i zbadawszy dokładnie stan rzeczy, usiłował powiązać prace rosyjskiej mło-

Dąbrowskiego w Petersburgu, 2) wielka sympatja, jaką cieszył się Dąbrowski w korpusie oficerów — nawet wśród Rosjan i 3) ślub z młodzieńką Pelagją Zgliczyńską, zawarty w cytadeli warszawskiej przed samym wyrokiem.

³⁾ Oskar Awejde złożył zeznanie o Dąbrowskim w Warszawie nie w Wilnie, więc nie Murawjew wysłał rozkaz powrotu i wyrok śmierci, lecz Berg, namiestnik Królestwa Polskiego. Miładowski nie wiedział o działalności Jarosława Dąbrowskiego w Komitecie Centralnym Narodowym, zaś Awejde złożył zeznanie już po wysyłce Dąbrowskiego do Rosji. Dlatego też zeznanie Awejdy nie jest przytoczone w motywach wyroku sądu wojennego przeciwko Dąbrowskiemu.

dzieży z usiłowaniami naszymi o tyle, o ile być mogą połączone dwie różne armje, działające każda dla swojego celu, mające wspólnego nieprzyjaciela.

W zakończeniu „Korespondent” podał szczegóły wyjazdu z Ardatowa Pelagji ze Zgliczyńskich Dąbrowskiej, którą wywiózł jakoby sam Dąbrowski, gdy wrócił z objazdu po Rosji, w rzeczywistości zaś „Ozierow”⁴⁾. Szczegóły zresztą niczem się nie różnią od tych, które sam Dąbrowski podał w poniżej przytoczonych listach do Odincowa i Katkowa.

Jak wynika z zestawienia materiałów, podanych przez p. zmigrodzkiego w Nr. 6 „Niepodległości”, i z pamiętnika Pelagji Dąbrowskiej, Dąbrowski wystosował oba listy w tym celu, aby pogmatwać toczące się śledztwo w sprawie ucieczki jego i żony i aby uchronić osobę Ozierowa (Mirbacha?) i inne osoby od pojeńczeń i ewentualnego więzienia.

Dr. Marja Złоторzycka.

(List do A. A. Odincowa, generał-gubernatora niżnie-nowgorodzkiego)

Panie,

Wyjazd żony mojej z miasta Ardatowa zapewne da powód do śledztwa. Co to jest śledztwo? — z doświadczenia bardzo dobrze mi wiadomo. Wiem, że komisje śledcze nigdy nic nie wysledzą, lecz zawsze dla widoków własnej korzyści starają się zawikłać niewinnych i dlatego, chcąc oddalić wszelkie od kogokolwiek bądź podejrzenia i przykrości, uważam za rzecz niezbędną opowiedzieć Panu szczegóły tej ucieczki. Zresztą niejasno się wyraziłem: nie była to ucieczka, lecz porwanie, ponieważ nietylko ciotka żony mojej, ale nawet ona sama aż do ostatniej chwili nic nie wiedziała o moich zamiarach. Nie chciałem ją o nich uprzedzać, obawiając się rozgłosu, który mógłby zepsuć mój plan, w rzeczywistości bardzo prosty. Dopełniwszy spraw, zatrzymujących mię w Rosji, udałem się do m. Ardatowa, zabezpieczony będąc względem władz miejscowych wszystkimi wymagalnymi dowodami. Czas przybycia do Ardatowa był dobrze obrachowany: był to dzień targu; mogłem, nie zwracając na siebie uwagi, wyczekiwać na wyjście żony mojej z domu.

Szczęście, jak zawsze, tak i tu mi sprzyjało. Udało mi się zobaczyć z żoną, doręczyć jej w sposób niezwracający uwagi karteczkę, zawiadamiającą ją o wszystkim, a prócz tego mając podwodę w okolicach miasta. O godz. 10 wieczorem byliśmy już w drodze, a po dwóch dniach w Petersburgu, gdzie już przedtem wszystko było przygotowane przeze mnie do naszego wyjazdu zagranicę. Przyznaj Pan, że to sprawa tak prosta, że

⁴⁾ Pamiętnik Pelagji Dąbrowskiej — „Naprzód” z 1923 roku Nr. 170 — 194.

nie było najmniejszej potrzeby współdziałaczy, przynajmniej w Ardatowie; przeszłość moja świadczyć może, że wogóle nigdy nie lubił zaplątywać innych w moje sprawy, bez nieuniknionej potrzeby. Przy tej sposobności niech mi wolno będzie wyrazić nadzieję, że chociaż ten wypadek nie jest przyjemny Panu, jako naczelnikowi kraju, lecz jako człowiek pocieszysz się tą myślą, że ta mała nieprzyjemność dla Pana stanie się źródłem szczęścia dla ludzi, którzy już bardzo wycierpieli.

Jarosław Dąbrowski.

(„Ojczyzna” Nr. 53 z 1865).

Sztokholm, dn. 15 czerwca 1865 r.

(List do M. Katkowa, redaktora dziennika „Moskowskija Wiedomosti”)

Panie,

W jednym z numerów „Moskiewskich Wiedomosti”, donosząc o mojej ucieczce, wyraził się pan z nadzieją, że będę niezwłocznie ujęty dlatego, że w Rosji nie znajdę schronienia. Zadziwienie sprawie we mnie taka nieznajomość swej ojczyzny w publicyście. Zaraz chciałem listownie powiedzieć panu, że jego nadzieje są bezzasadne; wstrzymała mnie tylko chęć dowiedzenia czynem całego niedołęstwa rządu, któremu pan czołem bijesz, przynajmniej publicznie. Dzięki wychowaniu mojemu, ja, chociaż cudzoziemiec, znam Rosję lepiej niż pan. Tak mało obawiałem się wszelkich policyj tajnych, jawnych i literackich, że, oddając całą słuszność policyjnym zdolnościom pańskim, miałem zaszczyt być długo jego sąsiadem i oglądać osobę pana bardzo często.

W tydzień po ucieczce mojej mogłem udać się zagranicę, lecz mi wypadło pozostać jeszcze w Rosji, więc zostałem. Później okoliczności zmusiły mnie odwiedzić kilka główniejszych miast rosyjskich i w tych podróżyach nie spotkałem najmniejszych przeszkód.

Wreszcie, urządziwszy się ze wszystkim, co mi było potrzeba, zapragnąłem udać się z żoną zagranicę i, choć żona moja znajdowała się wtedy w ręku pańskich współpracowników, dokonanie mego zamiaru nie natrafiło na żadne przeszkody. Jednym słowem podczas sześciomiesięcznego pobytu mego w Rosji przy pewnym stopniu energii można robić wszystko, co się podoba.

Tylko chęć dowiedzenia, jak wogóle bezzasadne są pańskie wyroki, zmusza mnie pisać do człowieka, starającego się rozpalic nienawiści międzynarodowe, który zniesławił swe imię orędownictwem zabójstw i rozbojów i zhańbił kłamstwem i oszczerstwem. Lecz, odważywszy się na krok tyle mi niemiły, nie jestem w stanie nie wyrazić pogardy, którą powodują we wszystkich uczciwych ludziach smutne wysilenia pana i podob-

nych do pana dla podtrzymania ciemnoty i ucisku. Zaprawdę udało się panu na czas pewien podniecić zwierzęce chucie i fanatyzm Rosjan, lecz kłamstwo i oszczerstwo długo triumfować nie mogą. Tłumy wygnańców naszych rozniosły do najbardziej zapadłych kątów Rosji prawdziwe pojęcie o naszych usiłowaniach, o naszym narodzie. Zjawienie się ich we wszystkich miejscach było najwymowniejszym zaprzeczeniem kłamstwa, rozszerzonego przez urzędowych i najemnych oszczerców, i przebudziło ludzkie uczucie w duszach Rosjan.

Współczucie to stanie się zakładem odrodzenia ludu rosyjskiego, i niech ono będzie wyrzutem sumienia dla pana, jeśli tylko tego sumienia ostatecznie nie przytłumiło uściśnienie carskiej ręki. Racz pan przyjąć ode mnie tę nową dla siebie regalję. Proszę ją zachować razem z innymi dla swych potomków: znajdą oni w niej więcej prawdy niż w innych i łatwo zrozumieją, że napisana nie jest po sutym obiedzie.

Jarosław Dąbrowski.

Sztokholm, dn. 16 czerwca 1865 r.

(„Ojczyzna”, Nr. 59 z r. 1865).

II.

S A M O O B R O N A.

Rok 1905-ty w Warszawie obfitował w wydarzenia historyczne. Nosiły one przeważnie charakter podniosły lub dramatyczny, tu i owdzie jednak trafiały się, jak zwykle w życiu, szczególności o zacięciu komicznym. Dla całości obrazu dobrzeby było może na marginesie owoczesnych wypadków zaznaczyć niekiedy i te lżejsze kreski, nie psujące zresztą powagi całego obrazu.

Zwłaszcza okres listopad—grudzień roku 1905-go, okres ciągnący się od ogłoszenia przez cara „konstytucji” aż do zgniecenia przezeń powstania w Moskwie, był dla Warszawy okresem niespodzianych paradoksów; w owem oscyłowaniu między „dniami wolności” a różnego rodzaju stanami wyjątkowymi i samowolą władz wojskowych, w owej powodzi niespodzianych a zdumiewających przeciętnego obywatela wieści i pogłosek politycznych wytworzyło się znakomite podłoże do powstawania najniedorzeczniejszych nieraz wieści i plotek.

Jedną z takich pogłosek, usilnie omawianą po maglach i bramach kamienic, była wiadomość o ataku, jaki mają wykonać na Warszawę „czarne sotnie” czyli bandy, złożone z szumowin, organizowane w Rosji przez Kruszewana i Puryszkiewicza, a które rząd przywiezie do Warszawy, gdzie będzie im dana możliwość stosownego „pohulania”. Jak zaś to „pohulanie” będzie wyglądało, dawały przedsmak pogromy żydów w Rosji. W Warszawie prócz żydów miała paść ofiarą i ludność polska. Wymieniano stacje kolejowe, na których stoją jakoby pociągi,

naładowane „czarnymi sotniami”, wymieniano miejscowości, do których dotarły oddziały motłochu rosyjskiego w rzekomym marszu pieszym na Warszawę; ba, pewnego dnia twierdzono kategorycznie, że „czarne sotnie” obozują tuż za mostem kolejowym, koło Pelcowizny i że od woli policmajstra jedynie zależy chwila, w której banda ta runie na ulice miasta.

Być może, że wieści te rozsiewały władze rządowe, usilnie zabiegające o rzucenie postrachu na miasto.

I oto pewnego dnia „Bund” zorganizował samoobronę mieszkańców domów w dzielnicy żydowskiej, ogarniając dużą część miasta — aż po ulicę Grzybowską czy Twardą. Prawdopodobnie obawiano się „pogromu” ludności żydowskiej ze strony miejscowych mętów społecznych, zorganizowanego przez policję.

Inne organizacje polityczne, zdaje się, nie wierzyły zbyt w „czarne sotnie” i nie kwapiły się do organizowania samoobrony. Były to jednak czasy wzmożonego pędu do organizowania się wśród sfer szerokich, i tego nie można było lekceważyć. Dbałe o zachowanie wpływów organizacje polityczne nie mogły się dać zdystansować „Bundowi”, zwłaszcza, że ludność Warszawy istotnie oczekiwała napadu. Z drugiej zaś strony nastrożoną była sposobność dania tej ludności pewnej lekcji skupiania się i zbiorowego działania—ba, nawet z bronią w rękach. Tak, czy owak, polskie organizacje polityczne tego samego dnia jeszcze przystąpiły do organizowania samoobrony, podzieliwszy nawet bodaj między sobą Warszawę na odpowiednie sfery wpływów.

Byłem w możności wybrania sobie z licznych różnych ulic Warszawy tej, którą z ramienia związku Kilińskiego miałem otoczyć swą opieką; nie kwapiłem się do tej roboty, gdyż uważałem, że inne moje roboty ówczesne bardziej były ważne i pilne, ale, gdy się okazało, że muszę się również i tego podjąć, wybrałem sobie ulicę Leopoldyny (dziś Emilji Plater); o wyborze rozstrzygnął fakt, że ulica ta, dzięki kościołowi na Koszykach i ogrodowi pomologicznemu, posiada niezbyt wiele kamienic, a więc nie nastrożać dużo pracy.

Koło wpół do ósmej wieczorem obszedłem wszystkie domy mojej ulicy; wszędzie wywoływałem stróża i zapowiadałem mu, by niezwłocznie zwołał wszystkich mężczyzn, mieszkających w danej kamienicy, na zebranie, na którym podzielią się oni na grupy, mające kolejno dyżurować przez noc całą. Bliższych instrukcyj obiecałem udzielić przy nocnym sprawdzaniu stanu samoobrony.

Że stróże spełnią polecenie, nie ulegało wątpliwości, choć nie legitymowałem się wobec nich żadnymi pełnomocnictwami; takie były to czasy. Nie obawiałem się też, by stróże ci, będący wówczas właściwie bezpłatnymi funkcjonariuszami policji, zdenuncjowali mnie w cyrkule: w czasach owych zdarzyło się

właśnie, że przed pewnem mieszkaniem przy ulicy Wilczej utworzył się długi ogonek stróżów, sięgający domów sąsiednich, bo rozeszła się wieść, że w mieszkaniu tem zapisują do „partji stróżowskiej” (szło o związek zawodowy stróżów). Nie uważałem nawet za potrzebne zastąpienie swej czapki studenckiej przez kapelusz cywilny.

Gdym wracał do domu (mieszkałem wówczas na Polnej), już w bramie jednego z domów huczało jak w ulu: odbywał się sprowokowany przeze mnie wiec lokatorów.

Koło pierwszej w nocy ruszyłem na „swoją” ulicę. Po stronie numerów parzystych w pierwszym zaraz domu spotkał mnie zawód; stróż oznajmił, że on sam wartuje, bo w tym, niewielkim zresztą, domku mieszkają dwie lokatorki-staruszki, a mężczyzn niema zupełnie. Rozradował mię natomiast jeden z domów po stronie nieparzystej, położony między Wilczą a Hożą: spotkałem się tam z wielkim zapałem lokatorów bez różnicy ich stanowisk społecznych. Dowódca załogi poprowadził mię przez podwórka i zaułki na koniec posesji, gdzie wskazał z dumą barrykadę, osłaniającą wylot posesji na puste place. Duch załogi wyborny, tylko broni palnej brak zupełny.

W jednym z domów, mam wrażenie, lokatorzy wynajęli sobie dwóch obrońców, którzy stale mają noce spędzać w bramie: tutaj moje dążenia pedagogiczno-uspołeczniające spaliły na panewce. W innych domach lokatorzy stróżują mniej więcej poprawnie. Tylko w jednym z domów po stronie parzystej między Hożą a Wspólną spotkałem w bramie dwóch młodych Izraelitów, podobno kuzynów gospodarza, którzy mi oznajmili, że wierzą tylko w samoobronę z ramienia „Bundu” i że, dopóki się nie wykażę upoważnieniem tej partji, samoobrony w tym domu nie będzie; widocznie tu stróż nie dotarł do lokatorów i zadowolił się zreferowaniem mego polecenia tylko gospodarzowi.

Zaznaczyć trzeba, że w innych domach nie pytano zupełnie, kim jestem, ani z czyjzego polecenia przychodzę, tak sprawa wydała się mieszkańcom zrozumiała sama przez się. Ja zaś nie zdradzałem się ani z nazwiskiem, ani z poglądami politycznymi, z jednej strony dla względów konspiracyjnych, z drugiej zaś — by nie wywołać wśród samoobronców różnych poglądów.

Pięknie się urządzili lokatorzy jednego z domów po stronie nieparzystej, między Nowogrodzką a Jerozolimską: warta siedzi w pustym pokoju parterowym, udzielonym przez gospodarza, obłożona dubeltówkami i pałaszami, i gra zawzięcie w preferansa; miejscowe panie pomyślały o tem, by warcie nie zbywało na pożywieniu i trunkach, o czem zresztą przekonałem się osobiście. Naprzeciwno jednak, po stronie parzystej, spotkało mnie przyjęcie mniej miłe. Stróż nie otworzył nawet bramy, lecz przez zamkniętą furtkę oznajmił:

— Pan gospodarz kazał powiedzieć, że jakby tu jeszcze kto zachodził, to da się znać do cyrkułu...

Domy odporne pozostawiłem własnemu ich losowi, zresztą bez najmniejszej szkody dla nich. W pozostałych zaś domach mieszkańcy uspołeczniali się po nocach i uprawiali się w użycie broni coś przez tydzień czy dłużej, aż dopóki władze rządowe nie zakazały istnienia samoobrony, a patrole wojskowe nie poczęły strzelać do bram, w których poprzez kratę dostrzec można było istnienie samoobrony.

Lokatorzy zaś, zmuszeni przezemnie do czuwania po nocach, niech zechcą mi wybaczyć ówczesne me postępowanie, które potępiliby tem mocniej, gdyby wiedzieli, że oparł się stanowczo organizowania samoobrony na Polnej,—bo tam sam byłem lokatorem.

J. Strzempiel.

SPRAWOZDANIA

TADEUSZ HOŁÓWKO. Przez dwa fronty. Ze wspomnień emisariusza politycznego z r. 1918. Z Warszawy do Kijowa. Warszawa, 1931. Dom Książki Polskiej. Str. VII + 1 nlb. + 279 + 2 nlb.

Wybuch rewolucji rosyjskiej i ogłoszenie przez petersburski Rząd Tymczasowy manifestu w sprawie niepodległości Polski były — jak wiadomo — momentem zwrotnym w dziejach polskiego obozu niepodległościowego. Sądono bowiem, że — jak pisze p. Hołówko we wstępie do swej pracy — „walki z Rosją należy, jeśli nie zaprzestać, to przynajmniej zawiesić, i całą uwagę, wszystkie siły skierować przeciwko państwom centralnym, w których posiadaniu znalazła się de facto całość ziem polskich”. Znanie są powszechnie etapy wypowiedzianej walki — kryzys przysięgowy w Legjonach, obozy w Benjaminowie i Szczypiornie, wreszcie aresztowanie i wywiezienie do Magdeburga Komendanta Piłsudskiego. Coraz cięższe represje władz okupacyjnych, coraz liczniejsze aresztowania dziesiątkują i dezorganizują polski obóz niepodległościowy, który w podziemiach konspiracji szukał dla siebie zaczyna schronienia. „Byliśmy bezsilni — pisze p. Hołówko — zgnębieni, prześladowani przez władze okupacyjne, szczuci ironją i drwinami wiernej sobie polskiej ugody, co najmniej obojętnie patrzącej na to, jak jej „sojusznicy” kneblowali nam usta i tamowali każdy nasz ruch”... W takich warunkach oczy wszystkich zwracały się ku Rosji, przepalającej się w ogniu rewolucji. Napływały stamtąd wieści o rzuconem tam hasle samookreślenia narodów, wieści o inercji rosyjskiej i wielkim chaosie rewolucyjnym, który mówił przedewszystkiem o szerokiej możliwości stworzenia tam licznej, silnej, dobrze zaopatrzonej armji polskiej. Co więcej — dochodziły wieści, że armja taka już się tworzy, dowiadywano się jednak równocześnie, że na czele jej postawiono ludzi, — „którzy jeszcze wczoraj byli mężami zaufania carskich ministrów i dygnitarzy”, że opieką swą otoczyły ją „reakcyjne żywioły polskie, które mogły z tej armji polskiej uczynić sojuszników rosyjskiej reakcji, a w razie wkroczenia do Polski, posługiwać się nią do walki z polską demokracją”. „My zaś — pisze p. Hołówko — będąc również zwolennikami idei tworzenia armji polskiej w Rosji, pragnęlibyśmy, aby była ona formowana przez polskie żywioły demokratyczne, pod znakiem sojuszu z ludem rosyjskim i z koalicją i aby, wkracząc do Polski, reprezentowała te same polityczne i społeczne ideały, którym hołdowały Legjony Komendanta Piłsudskiego”.

Ten tragiczny splot wypadków mówił przede wszystkim o konieczności przedarcia się przez front, by polskiemu obozowi demokratycznemu w Rosji, który „stracił duchowy kontakt” z krajem i wszedł na złe tory, — wyjaśnić to nieporozumienie, poinformować go „o istotnej sytuacji w kraju i zawrócić z fałszywej drogi”.

Zadanie to poruczone zostało p. Tadeuszowi Hołówce. W styczniu r. 1918 wyjechał on z Warszawy. Po krótkim pobycie we Lwowie i Krakowie, gdzie musiał odbyć parę konferencji z Rydzem-Śmigłym i Moraczewskim oraz zaopatrzyć się w niezbędne upoważnienia, udaje się do Zbaraża, w którego okolicach przekracza granicę austriacką. W książce swej, będącej według własnych jego słów „zwykłym pamiętnikiem”, — opowiada o wypadkach, „których był świadkiem lub uczestnikiem”, odtwarza swe „ówczesne przeżycia, zamierzenia i wysiłki, jak również ówczesną ocenę tych ludzi, z którymi wtedy tam się spotkał lub współdziałał”.

Rzuca przed nami obrazy z życia polskiej emigracji wojennej, opowiada o wrzeniu rewolucyjnym wśród ludności miejscowej oraz o nieszczęściach, kłopotach, zabiegach i krótkowzrocznej pod względem politycznym samoobronie kresowego ziemiaństwa, opisuje szczegółowo pierwsze dni pobytu na ziemi rosyjskiej „żelaznej Brygady” gen. Hallera, mówi o życiu rozrzuconych garstkami po Wołyniu i Podolu oddziałów polskiego wojska. Powstający tą drogą obraz uzupełnia sprawozdaniami ze spotkań, wizyt i konferencji, odbytych z przedstawicielami rosyjskiej władzy rewolucyjnej oraz polskich organizacji politycznych i wojskowych. Brak miejsca nie pozwala mi, niestety, na obszerniejsze omówienie tych spraw. Z konieczności więc ograniczyć się muszę do wypadków najważniejszych. Przedtem jednak zwrócić chciałbym uwagę, że wspomnienia p. Hołówki odznaczają się bardzo rzadko spotykaną u nas bezstronnością. Zgodnie z zapowiedzią, umieszczoną w słowie wstępnym, opowiada w sposób jak najbardziej obiektywny, szczerzy i rzetelny. Nawet najbardziej zdecydowany przeciwnik polityczny nie będzie mógł zrobić mu zarzutu „fałszu, porachunków osobistych lub oceny ludzi i wypadków pod kątem widzenia dnia dzisiejszego”. Aby przekonać się o tem, wystarczy przeczytać uważnie, co pisze tu i tam o ludziach z przeciwnego obozu — np. o hr. Grocholskim, przedstawicielach ziemiaństwa kresowego lub o St. Strońskim, o jednym z wystąpień politycznych którego wyraża się z jak największym uznaniem. „Tem większej więc wagi — podnosi słusznie jeden z recenzentów — nabierają słowa potępienia, jakich p. Hołówko nie szczędzi kilku postaciom, które wówczas odgrywały rolę bardzo wybitną”, bo „kto potrafi chwalić swego przeciwnika, budzi wiarę, że jest sprawiedliwy również, kiedy wydaje sądy najsurowsze”.

Oto np. gen. Stankiewicz, dowódca II korpusu wschodniego: „..., Siwy, małego wzrostu staruszek — był typowym rosyjskim generałem starej daty; źle mówił po polsku, nie orjentował się wcale w stosunkach politycznych w Polsce, nie zdradzał najmniejszej chęci dowiedzieć się od nas o sytuacji w kraju — poprostu, nie interesowało go to wszystko. Sprawiał wrażenie człowieka zmęczonego, wykołajonego, nie mogącego należycie przystosować się do nowej sytuacji i roli dowódcy polskiej formacji...”

Oto gen. Józef Haller, przyjmujący od p. Hołówki propozycję pośredniczenia wobec władz sowieckich w sprawie dalszej możliwości egzystencji

II Brygady i utworzenia z niej kadrów wojska polskiego, a z drugiej strony odrzucający zaofiarowaną mu szczerze i lojalnie „współpracę wojskową I Brygady i P. O. W.” Nie zrozumiał Haller korzyści, jakie wypłynąć mogły z tej współpracy, nie rozumiał, bo „silniejsze było w nim poczucie fałszywej ambicji, manji wielkości, strach przed nawiązaniem łączności z I Brygadą i koniecznością wyraźnego ustosunkowania się do Komendanta, któremu przez tyle czasu przeciwstawiał się i którego autorytetu nie chciał uznać”...

Oto — wreszcie — mąż tej „miary, zasług i sławy”, co gen. Michaelis. Wyjmuję obrazek najbardziej wymowny. „Proszę pana — oświadczył mi uroczyście generał Michaelis. — Może pan być spokojny. Daję panu słowo generała, że gdzie stanie stopa niemiecka, tam mnie nie będzie”. — Mówiąc to, wyciągnął do mnie rękę na potwierdzenie swego przyrzeczenia. Serdecznie uściśnąłem rękę generała, naiwnie wierząc w szczerłość i powagę tych słów. To też musiałem mieć wyjątkowo głupi wyraz twarzy, gdy w trzy tygodnie później stanąłem jak wryty na ulicy Kijowa, ujrzawszy roześmianego jowialnie generała Michaelisa, jadącego wojskowym autem razem z niemieckim generałem”...

W rękę takich lub podobnych do nich ludzi spoczywały losy formacji polskich na Wschodzie. To też nie mogły być uwiecznione powodzeniem starania i zabiegi emisariuszy obozu niepodległościowego. „Można było i należało kuć na obczyźnie miecz polskiej irredenty — woła p. Hołówko — ale tylko nie rękami generałów Dowbór-Muśnickiego, Michaelisa i Stankiewicza”. Jeśli tacy ludzie stanęli na czele formacji — „nie mogły one skończyć swej historii inaczej, niż skończyły”... Wina ciąży poza tem i na polskim obozie demokratycznym w Rosji, który „swoim negatywnym stosunkiem do wielkiej sprawy tworzenia armji polskiej w Rosji oddał ją w ręce Narodowej Demokracji i dawnych carskich generałów, należących całą swą psychologją i poglądami do epoki, rozsądzonej i obrócone w gruzy przez rewolucję, a którzy z armji polskiej chcieli zrobić sprzymierzeńca reakcji rosyjskiej, i którzy — co najsmutniejsza — byli obcy duchem i sercem Polsce, w męce i trudzie najlepszych swych synów dźwigającej sztandar walki o niepodległość”...

Z całej pracy p. Hołówki, z każdej strony, z każdego niemal zdania i słowa bije jakieś dziwne, głęboko ujmujące ciepło, wydobyte niewątpliwie z najdalszych pokładów duszy, szczerze wielkiej sprawie oddanej, serdecznie zatroskanej o losy Polski, budzącej się do życia. Z tem większą więc niecierpliwością oczekiwać będziemy następnego tomu jego wspomnień.

Kończąc zaś, korzystamy ze sposobności, by zwrócić uwagę czytelników, że ponieważ logicznem uzupełnieniem pracy p. Hołówki jest ogłoszona obecnie w „Niepodległości” praca p. Wacława Lipińskiego o sprawie pułkownika Barty.

Władysław Pobóg - Malinowski.

Ks. MIECZYŚLAW BUŁAWSKI. Miasteczko nad frontem. Wspomnienia z roku 1919. Nakładem autora. Poznań, 1929. Stron 147, 11 rycin.

Swym pamiętnikiem obejmuje ks. Buławski okres od 24.XI.1918 do 20.I.1920, kiedy ostatnia załoga Rynarzewa, miasteczka powiatu szubińskiego, opuszcza swe miejsce postoju dla dokonania rewindykacji ziem polskich.

W szeregu żywych obrazów przesuwają się przed nami niektóre posiedzenia rad ludowych, mające szczególne znaczenie w dziejach wewnętrznych miasteczka nad frontem, pertraktacje z władzami i mieszczaństwem niemieckim, a potem krótki okres okupacji miasta przez oddziały pruskiego grenszucu. Charakterystyka dowódcy grenszucu, terror, stosowany przez niego wobec mniejszości polskiej z rozkazu pruskich władz z Bydgoszczy, uprowadzenie z górą stu zakładników — oto treść drugiego rozdziału. Dwa dni długiego, nad wyraz przykrego oczekiwania od 11 do 13.I.19, a potem „jedyna chwila w życiu”, zajęcie miasteczka przez oddziały powstańców pod wodzą „wspaniałego oficera”, Zygmunta Kittla. Zmieniające się kolejno załogi Rynarzewa mają w autorze wdzięcznego kronikarza, odnotowującego ważniejsze wypadki ich służby polowej i garnizonowej. Dalsze dwa rozdziały poświęca autor ponownej okupacji Rynarzewa przez grenszuc, trwającej krótko od 1 do 5.II.19. Mamy tu opisy nastrojów załogi polskiej, która musiała ustąpić, nastrojów mieszczaństwa niemieckiego, obraz śmierci polskiego porucznika Mettlera i uwagi o zachowaniu się niemieckich żołnierzy. „Oswobodzeni” oto tytuł rozdziału o ponownym oswobodzeniu Rynarzewa. Szczegółowa charakterystyka nowego dowódcy polskiej załogi, jego sposoby oddziaływania na żołnierzy i mieszczaństwo dopełniają treść tej części. Pod tytułem „Pancernik” przedstawia autor zdobycie przez powstańców pociągu pancernego, okupione bohaterką śmiercią oficera Wachtla i 23 szeregowych. Rozdział „Internowani” to opowieść o losie wywiezionych w dniu 11.I.19 Rynarzewiaków i o zabiegach Komisarjatu Naczelnej Rady Ludowej celem oswobodzenia ich z niemieckiej niewoli. Z trzech ostatnich rozdział pod tytułem „Varia” zawiera interesujące szczegóły z wewnętrznych dziejów małego miasta, odnoszące się do samorządu miejskiego i szkolnictwa, którymi to sprawami zajmował się sam autor. Dalej mamy szkic o „Straży Ludowej”, jak powstała, jak pomagała w obronie miasta. „Boże Ciało” roku 1919 było smutne. Do ataku na Zamość szły bataljony 10 pułku strzelców wielkopolskich i wróciły pobite wskutek zdrady szpiega Witomskiego. Malując w epilogu wymarsz polskich saperów z Rynarzewa 20.I.19, kończy autor: „Wreszcie przebrzmiały ostatnie takty marsza wojskowego, wraz z nimi poczęły usuwać się w przeszłość i stawać się już tylko wspomnieniami przeżycia z nad frontu. Zakończył się najburzliwszy rok historii Rynarzewa, pełen czynów i wrażeń, jedyny rok godny pamięci w ciągu sześciowiekowego istnienia miasteczka”.

W całości stanowi pamiętnik ks. Buławskiego relację o dużej wartości historycznej. Relacja ta uzupełnia naszą znajomość wypadków wojennych zajmującymi szczegółami z życia małych miast w pasie frontu, z życia którego typowe przejawy odzwierciedla szczerze i prosto.

Dr. Włodzimierz Lewandowski.

JAN TOMASZEWSKI, kpt. em. Walki o Noteć. (Żnin — Łabiszyn — Szubin — Rynarzew). Poprzedzone przygotowaniem i wybuchem powstania w Poznaniu. Poznań. Stron 110 + 1 mapka orjentacyjna.

Lektura tego pamiętnika wymaga dużej cierpliwości. Nieprawdopodobny wprost chaos w nazwach miejscowości (bez wszelkiej racji stosuje autor aż 20 nazw niemieckich i 10 błędnych nazw polskich!), mapka orienta-

cyjna, pozbawiona większej wartości, błędy korekty, poważne wady konstrukcji całości — oto powody, wystarczające dla uzasadnienia powyższego twierdzenia.

Pierwsze cztery rozdziały tej pracy to nieudana próba ogólnej charakterystyki procesów polityczno-wojskowych, które doprowadziły do wybuchu walk otwartych w Poznaniu i w całej Wielkopolsce. Nieznajomość podstawowych faktów i chronologii zjawisk, brak umiaru i spokoju w ocenach zjawisk i ludzi budzą najdalej zastrzeżenia co do treści tych rozdziałów. Na dużo pewniejszym gruncie porusza się autor z chwilą, kiedy przechodzi do opisu swoich działań wojennych na froncie północnym powstania wielkopolskiego. Działania te rozgrywały się głównie na terenie powiatów żnińskiego i szubińskiego i obejmują fazę walk od 9.I do 28.II.19. W rozdziale „Wyjazd na front północny” opisuje kpt. Tomaszewski przebieg mobilizacji ochotniczej w Poznaniu i wyjazd ze swoim oddziałem do Gniezna, gdzie nastąpiła koncentracja oddziałów grupy ppłk. Kazimierza Grudzielskiego. Są to wypadki 9 i nocy z 9 na 10.I.19. Następnie opisuje naradę wojenną w Gnieźnie i swój wyjazd do Damasławka w charakterze dowódcy oddziałów, mających atakować Żnin, zajęty przez oddziały pruskiego grenszucu. Dalsze cztery rozdziały zawierają przebieg działań wojennych z dnia 11.I.19, prowadzących do zdobycia Żnina w dniu 12.I.19. Dalej mamy sprawozdanie z zarządzeń administracyjnych i wojskowo-organizacyjnych, związanych z ustanowieniem władz polskich w zdobytym mieście i powiecie żnińskim. Opis tych wydarzeń zamyka autor w dniu 20.I.19, kiedy przenosi się ze swym sztabem do Łabiszyna, położonego w powiecie szubińskim nad Notecią. Rozdział „Dalsze walki” obejmują wypadki od 21 do 28.I.19 włącznie. Autor opowiada o udziale swych oddziałów w utarczce pod Brzozą w dniu 21.I oraz o drobniejszych starciach nad kanałem noteckim, stoczonych przez polskie oddziały odcinka łabiszyńskiego z nieprzyjacielskimi oddziałami z Bydgoszczy. Rozdział ten zawiera również charakterystykę warunków, wśród jakich pełniły polskie oddziały służbę polową bez jakiegokolwiek pomocy ze strony służb, wówczas jeszcze nieutworzonych. Opis zatargu z dowódcą oddziału powstańców barcińskich to mała próbka taré moralnych, znamienna dla nastrojów początku 19 roku. Krótki szkic o zdobyciu Turu i charakterystyka stosunków w Dowództwie Frontu Północnego oraz działaczy społecznych, ułatwiających spełnienie zadań dowódcy, zamykają tę część pracy. W następnym rozdziale autor zajmuje się ofensywą niemiecką z początku lutego 1919. Opis tej ofensywy i przebiegu polskich przeciwdziałań jest słaby. Powagi położenia autor nie umie przedstawić. Ostatni rozdział, poświęcony kontrofensywie na Rynarzewo w dniu 3.II.19, ma treść bogatszą, niż zapowiada tytuł. Poza działaniami bowiem związanymi z przeciwuderzeniem na Rynarzewo, zapoznajemy się z niecisłym opisem zdobycia niemieckiego pociągu pancernego w dniu 18.II.19. Wpleciony w rozdział ten szkic wypadków w Kcyni i pod Kcynią w dniu 3.II.19 również nie jest kompletny, ani dokładny.

Jak z tych uwag wynika, pamiętnik kpt. Tomaszewskiego stanowi zupełnie surowy materiał źródłowy. Niemniej przecież wobec małej ilości prac o walkach wielkopolskich 1918/19 posiada on przy obecnym stanie wiedzy stosunkowo dużą wartość, gdyż ułatwia przyszłym badaczom zebranie drogą ankiety wśród podległych autorowi dowódców dalszych relacyj.

Dr. Włodzimierz Lewandowski.

LUDWIK ŚLEDZIŃSKI. Jak to było w latach 1905—1908. Wspomnienia o powstaniu Organizacji Związku Zaw. Robotników Cukrowni b. Królestwa Polskiego. Warszawa, 1931, 8-ka, str. 64.

W związku z dwudziestą piątą rocznicą rewolucji 1905 r. o której, mimo błędów, klęsk i niepowodzeń, z dumą wspomina lud polski dawnego zaboru rosyjskiego, ukazuje się w druku sporo wspomnień z tego okresu (ostatnio A. Bienia, S. Radka i innych). Wspomnienia z 1905 r. i z lat, bezpośrednio potem następujących, zwłaszcza te z pośród nich, które są narysowane na większą skalę, tem się różnią od innych, że rola osobista autorów schodzi niejako na drugi plan wobec akcji zbiorowej. Tłumaczy się to masowością ruchu w tym niezwykle ciekawym okresie. Spór historyczny na temat — kto tworzy dzieje: jednostka wybitna, czy masy, ciągnie się bez końca. Najgorętszy jednak zwolennik roli jednostki w dziejach nie może zaprzeczyć, że zdarzają się okresy, gdy bezimienna masa, ruszona ukochaną ideą, staje się pierwszorzędnym czynnikiem historycznym.

Takim właśnie okresem były lata 1905, 1906, 1907. W działaniu rewolucyjnym nikt się również nie dał prześcignąć. Każdy poczytywał sobie za największy zaszczyt znaleźć się w szeregach bojowników o wolność, a najwięcej go bolała niemożność poniesienia ofiary z życia i wolności. Na miejscu jednego aresztowanego lub straconego stawały setki innych. Gdziekolwiek człowiek się pojawił, znajdował tysiące zwolenników, ożywionych wspólną ideą. Dzieje 1905 r. — to dzieje mas ludowych, ich bezgranicznej ofiarności i poświęcenia. Tem śmieiej można to powiedzieć, że, jeśli chodzi o jednostki wybitne, niewiele wówczas znalazło się takich, które naprawdę stanęły na wysokości zadania.

Poseł L. Śledziński, jeden z ówczesnych działaczy, pochodzący sam z klasy robotniczej, a znany z wielu prac, ogłoszonych drukiem (przeważnie są to wspomnienia z katorgi i zesłania), w ostatniej swej książce opisał walkę z caratem na jednym z odcinków robotniczo-niepodległościowego frontu, na odcinku związku zawodowego robotników cukrowni. Proste to i bezpretensjonalne opowiadanie. L. Śledziński nie jest zawodowym literatem i nie ma widocznie w tym kierunku pretensyj. Nie sili się na ozdoby stylowe, na literackie efekty. Pisze prosto i serdecznie, a tą prostotą nieraz chwyta czytelnika za serce.

W opisie walk ówczesnych, mających charakter zarówno polityczny, jak społeczny, rzuca się w oczy nietylko udział szerokich mas (przyczem autor czyni wszystko, co możliwe, aby wydobyć z niepamięci nazwiska szarych, lecz ofiarnych uczestników ruchu), lecz i stopień niebezpieczeństwa, na jakie narażali się wszyscy, namawiający lud do walki, do solidarności i nieustępliwości w obronie swych praw. Tropieni jak psy przez wojsko i żandarmerię, często zmuszeni do otwierania sobie drogi rewolwerem, śpiący często w ukryciu pod gołym niebem, aby uniknąć pościgu i jego strasznych następstw, ludzie ci śmiało mogą powiedzieć, że nie tak łatwo i tak prosto niepodległość została zdobyta. Złożyły się na nią tysiączne wysiłki.

Dlatego podnieść należy z uznaniem dążność, aby ten wysiłek mas ludowych nie utonął w niepamięci. Każdy przyczynek do dziejów okresu rewolu-

cyjnego ma ogromną wartość. Zwłaszcza da się to powiedzieć o pracy L. Ślezińskiego, która odzwierciedla rzeczywistość, wolny od wszelkiej przesady, obraz ówczesnych zmagania.

J. Krz.

J. JEREMSKI. Bratobójcy. Powieść. Warszawa, Biblioteka grodzowa. 8-ka, stron 238.

Książki tej nie będę omawiał z punktu widzenia jej wartości artystycznej, ani też ze względu na podejście polityczne, z jakiego oświetla ona walki bratobójcze w Łodzi w okresie rewolucji lat 1905 — 1908. Książka ta ma znaczenie o tyle, o ile reprezentuje jakąś wartość historyczną. A taką wartość ma.

Autor bierze jako punkt obserwacyjny rodzinę robotniczą, składającą się z rodziców i czworga dzieci. Aby okazać się bezstronnym, dzieli członków tej rodziny na wyznawców N. Z. R., S. D. K. P. i L. oraz P. P. S. Powiadam, że autor chce być bezstronnym, choć dzieje tych walk oświetlone są ze stanowiska najstarszego syna tej rodziny, a bohatera powieści, który zostaje wprowadzony do akcji jako wybitny członek N. Z. R. na terenie Łodzi. Podkreślam, że nie stoję na stanowisku autora co do obarczania winą tej czy innej partii za walki bratobójcze, jednak stwierdzam, że tło tej powieści (walki bratobójcze, ich groza i zezwierzęcenie uczestników) przedstawione jest z całą ścisłością i oparte na faktach. Autor omawia zatargi, powstałe na terenach fabryk, pomiędzy członkami N. Z. R. a socjalistami i wyrzucanie jednych przez drugich z warsztatów pracy. Są tam też rozprawy sądów robotniczych oraz wykonywanie wyroków partyjnych. W r. 1906 zostali zabici na ul. Grabowej i Miljonowej dwaj socjaliści Frontczak i Józwiak i mieli być pochowani na cmentarzu poza Łodzią, na Zarzewie. Otóż pogrzeb ten wywołał największą z bójek, formalną bitwę bratobójczą pomiędzy socjalistami a narodowcami przed kościołem św. Anny na Zarzewie. Narodowcy umieszczeni byli w kościele i w zabudowaniach kościelnych. W wyniku tej bitwy było 38 rannych, z których siedmiu zmarło na skutek odniesionych ran. Tę bitwę autor opisuje i przedstawia może trochę za jaskrawo, jednak w całej ohydzie zezwierzęcenia obu stron walczących. Zezwierzęcenie to doprowadziło do tego stopnia zamroczenia umysłowego walczących, że znikło u nich wszelkie ludzkie poczucie. Gdy przybyłe pogotowie ratunkowe zabierało ciężiej rannych, oddziały jednej albo drugiej bojówki partyjnej zatrzymywały karetkę i stwierdzały, kogo wiozą. Jeżeli przeciwnika, to wyrzucano go na bruk, często dodając mu jeszcze kilka kul brauningowych, a na miejsce wyrzuconego kładziono rannego przyjaciela partyjnego. Jedna z karettek była kilka razy zatrzymywana i powyżej opisana operacja powtarzała się kilkakrotnie.

Książka, omawiana przez mnie, ma wartość dla historyka, bowiem oddaje z całą ścisłością grozę walk bratobójczych, zapisanych krwawymi zgłoskami w dziejach ruchu robotniczego wogóle, a w Łodzi w szczególności.

Eug. Ajnenkiel.

STEFAN SURZYCKI. Z dziejów pamiętnego „Zetu”. Kraków, 1930. Przedruk z „Myśli Narodowej” w Warszawie. 8-ka, str. 16.

„Związek Młodzieży Polskiej”, popularnie zwany „Zetem”, doczekał się już szeregu wspomnień, rzucających światło na jego działalność. Ostatnio

zajął się nim p. J. Offenberg w dziełku, któreśmy omówili w zeszycie 3 „Niepodległości”. Broszura profesora S. Surzyckiego, obecnie wydana, napisana została jeszcze w r. 1928, a więc przed wyjściem pracy J. Offenberga. Uzupełnia ona dotychczas ogłoszone dzieje „Zetu” licznymi nowymi szczegółami—tem bardziej cennymi, że autor jej należał do założycieli i najwybitniejszych działaczy tej organizacji. Opowiada więc nie tylko o składzie, programie i rozwoju „Zetu”, ale również kreśli tło życia młodzieży, na którym wylęła się myśl utworzenia tej organizacji. Zwłaszcza ciekawe jest to, co pisze o wewnętrznej strukturze „Zetu”. „Organizacja Zetu” posiadała członków w trzech kondygnacjach, z tem, że tylko najwyższa — t. zw. „Bracia” wiedzieli o 2 niższych: średniej „Towarzyszach” i najniższej „Kolegach”, ale ci znów o nich („Braciach”) nie wiedzieli: „Koledzy” nie wiedzieli o „Towarzyszach” i „Braciach”, „Towarzysze” zaś o „Braciach”. Miało to pozory masońskie, tem bardziej, że były z początku ustanowione pewne znaki, po których się członkowie tych 3-ch stopni poznawali. Statut zaś organizacyjny był w stosunku do tej zasady względnej znajomości sprawy także ułożony: osobny dla „Kolegów”, osobny dla „Towarzyszy”, osobny dla „Braci”. — Jak wiemy organizatorem „Zetu” był Z. Balicki, jeden z założycieli Ligi Narodowej (z której ramienia tworzył „Zet”), socjalista narodowy i mason. Stąd owe „pozory masońskie”, któremi Balicki rad obdarzał tworzone przez siebie organizacje, i które usiłował później bezskutecznie wprowadzić i do Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich, gdy został jego członkiem i mężem zaufania po zjeździe paryskim 1892 r. Profesor Surzycki uzupełnia relacje o życiu wewnętrznym „Zetu” cennymi wspomnieniami osobistymi i charakteryzuje rolę tej organizacji, wynikłej ze źródeł radykalnych i masońskich, w życiu obozu narodowo-demokratycznego.

L. Was.

JÓZEF PIŁSUDSKI. Pisma — Mowy — Rozkazy. Wydanie zbiorowe prac, dotychczas drukiem ogłoszonych. Wydawnictwo Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski. Warszawa, 1931. Tom IV. Str. XVI+470+LXXXVI.

Tom czwarty szybko zmierzającego ku końcowi wydawnictwa tego zawiera prace J. Piłsudskiego, powstałe w okresie Wielkiej Wojny. J. Piłsudski występuje tu jako organizator czynu wojskowego, jako wódz odradzającej się w bolesnych mękach armji polskiej i jako polityk, realizujący program niepodległości narodowej. Wielostronność czynności Piłsudskiego w tym okresie ilustruje właśnie bogata treść omawianego tomu. Mamy tu obok mnóstwa rzeczy drobnych (przemówienia, odezwy, rozkazy) ważne historycznie listy i memorjały (do prezesa N. K. N., W. L. Jaworskiego, do rektora Brudzińskiego, do prof. N. Cybulskiego, do Zdz. Lubomirskiego; o organizacji werbunku armji polskiej, w sprawie P. O. W. i inne). Tu też umieszczono „Moje pierwsze boje” — trzy wspomnienia z walk legjonowych, pisane w twierdzy magdeburgskiej. Duży odrębny dział obejmują przemówienia J. Piłsudskiego na posiedzeniach Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego. Tak samo jak i inne umieszczone w tym tomie prace, „Przemówienia” zostały obficie zaopatrzone w komentarze. Należy podnieść nadzwyczajne bogactwo treści tych ostatnich, zajmujących 41 stron petitu (wobec 51 stron samych przemówień). Bez tych, niekiedy bardzo drobiazgowych

i z wielką pracowitością zebranych, uwag i cytat same przemówienia w wielu wypadkach pozostałyby niezrozumiałe. Tem większą jest zasługą kierowników wydawnictwa, stanowiącego bardzo poważny dorobek literatury historycznej o ostatnim okresie naszych walk o niepodległość.

L. Was.

MIECZYŚLAW BUJALSKI. Związek im. Jana Kilińskiego (Narodowa Młodzież Robotnicza) 1901—1906. 1930. 8-ka, str. 34.

Do historii niesocjalistycznego ruchu robotniczego w b. Królestwie Polskiem przybywa wartościowy przyczynek, skreślony na podstawie dokumentów i wspomnień osobistych. P. M. Bujalski, będąc w posiadaniu protokółów naczelnych władz „Związku im. Jana Kilińskiego” i należąc do jego kierowników, daje nam dość szczegółowy obraz organizacji, życia wewnętrznego i działalności „Kilińczyków”, którzy pierwotnie byli tylko ekspozyturą robotniczą „Ligi Narodowej” i jej wykładnika politycznego — Narodowej Demokracji, później zaś stali się podstawą organizacji odrębnego Narodowego Związku Robotniczego. Autor omawianej broszury zgromadził dużo informacji faktycznych, podał sporo nowych, nieznanych szczegółów o rozmaitych stronach działalności „Związku” — tak, że fizjognomja polityczna i społeczna tego ostatniego występuje z zupełną wyrazistością. Przyczynek p. Bujalskiego, pomimo pewnej chaotyczności układu, odda niewątpliwie cenne usługi przyszłemu historykowi naszych ruchów niepodległościowych.

L. Was.

APOLONJUSZ BASIŃSKI. Wspomnienia dziennikarza poznańskiego. Podłoże ideowe opozycji wobec ministerstwa b. dzielnicy pruskiej. Rok 1928. (Bydgoszcz). 16-ka, str. 24.

W drobnej tej broszurce rozsypane są okruchy ciekawych wspomnień o wypadkach i nastrojach, pod wpływem których kształtowały się opinie i przekonania działaczy polskich b. zaboru pruskiego. Znajdujemy też w niej niejeden rys znamieny, charakteryzujący działalność i dążenia Narodowej Demokracji. P. A. Basiński jest również autorem nadesłanej nam większej broszury polemicznej „Piegrzymka Poznańczyka do państwowości polskiej” (Bydgoszcz, 1930), która zawiera między innymi przypomnienie rozmaitych faktów, świadczących o udziale w życiu ogólnopolskiem Poznańczyków, Pomorzan i Ślązaków.

L. Was.

Z WALK O SZKOŁĘ POLSKĄ. Nakładem Opieki Szkolnej Publicznej szkoły powszechnej Nr. 89. Warszawa, 1930. 8-ka, str. 24.

Jest to mały zbiorek wspomnień nauczycielek z okresu, kiedy walka o szkołę polską z systemem wynaradawiającym rządów zaborczych była jednym ze składników narodowego ruchu wyzwolenczego. Wspomnienia te, obejmujące okres od r. 1870 do 1917, zaznajamiają nas z poszczególnymi etapami tej walki, dziś już zwolna idącej w niepamięć i najmłodszemu pokoleniu mało zrozumiałej. Zasługą wydawnictwa jest ustalenie szeregu charakterystycznych faktów i zastępu nazwisk ofiarnych działaczek.

L. Was.



WYDAWNICTWA OTRZYMANE PRZEZ REDAKCJĘ
„NIEPODLEGŁOŚCI”

- Eugenjusz Ajnenkiel*. Pierwszy bunt robotników łódzkich w r. 1861. Odbitka z II Tomu „Rocznika Łódzkiego”. Łódź, 1930.
- Apolonjusz Basiński*. Wspomnienia dziennikarza poznańskiego. Podłoże ideowe opozycji wobec ministerstwa b. dzielnicy pruskiej. Bydgoszcz, 1928.
— Pielgrzymka Poznańczyka do państwowości polskiej. Bydgoszcz, 1930.
- Aleksy Bień*. W podziemiach Zagłębia, Płocka i Włocławka. 1912—1914—1918. 1930.
- Michał Bobrzyński*. Dzieje Polski w zarysie. Tom III. Warszawa, 1930.
- Wacław M. Borzemski*. Pamiętnik tajnych organizacji niepodległościowych na terenie byłej Galicji w latach od r. 1880—1897. Lwów, 1930.
- Mieczysław Bujalski*. Związek im. Jana Kilińskiego (Narodowa Młodzież Robotnicza) 1901—1906. Warszawa, 1930.
- Tadeusz Hołówko*. Przez dwa fronty. Ze wspomnień emisarjusza politycznego z r. 1918. Z Warszawy do Kijowa. Warszawa, 1931.
- Bernard Chrzanowski*. Z niewoli do wolności. Poznań, 1929.
- Wacław Lipiński (Socha)*. Szlakiem I Brygady. Wyd. 2-gie. Warszawa, 1928.
- Panteon Polski*. Bibliograficzne zestawienie artykułów i ilustracji roczników 1924—1929. Lwów, 1930.
- Józef Piłsudski*. Pisma — Mowy — Rozkazy. Tomy I—IV. Warszawa, 1930—1931.
- Polska Organizacja Wojskowa*. Szkice i wspomnienia. Warszawa, 1930.
- Eugenjusz Przybyszewski*. Ideologia społeczna Centralnego Komitetu Narodowego w świetle dekretu organizacyjnego z 21 lipca 1862. Warszawa, 1929.
- Stefan Surzycki*. Z dziejów pamiętnego „Zetu”. Kraków, 1930.
- Ludwik Śledziński*. Jak to było w latach 1905—1908. Warszawa, 1930.
- Marjan Turowicz*. Jan Tyssowski, dyktator krakowski w 1846 r. Działalność polityczna i społeczna. 1811—1857. Warszawa, 1930.
- Walka o szkołę polską*. W 25-lecie strejku szkolnego. Pod redakcją S. Drzewieckiego, Z. Nowickiego i T. Wojeńskiego. Warszawa, 1930.
- Walka o szkołę polską*. Warszawa, 1930.
- Lucjan Żeligowski*. Wojna w roku 1920. Wspomnienia i rozważania. Warszawa, 1930.

